

Ks. Eugeniusz Ceria

**MEMORIE BIOGRAFICHE
DI DON
GIOVANNI BOSCO**

TOM XI

1875

POGRZEBIEŃ 1958

DO CZYTELNIKÓW SALEZJANÓW

Wiadomą jest rzeczą, iż tom jedenasty Memorie Biografiche ukazał się przed tomem dziesiątym. Stąd ks. Ceria pisze w swej przedmowie do tego tomu, iż czytelnicy będą mieli dwa powody do zdziwienia, gdy dojdzie do ich rąk tom jedenasty, a mianowicie, dlaczego tom jedenasty wychodzi przed dziesiątym i dlaczego taki szczupły.

Otóż – pisze dalej ks. Ceria – tom dziesiąty już się przygotowuje i w niedługim czasie będzie gotowy. /Dziś już jest wydrukowany/. Zresztą jedenasty można czytać spokojnie, nawet nie znając treści tomu poprzedniego. Co zaś dotyczy się jego rozmiarów, to obejmuje on rok 1875, a posuwając się w opowiadaniu poza ten rok, tom stałby się zbyt obszerny i niepraktyczny w codziennym użytku, a tak będzie więcej podręczny.

„Czuję obecnie całą odpowiedzialność za pracę, jakiej podjąłem się z polecenia Najczcigodniejszego księdza Generała Filipa Rinaldiego, nie tylko przed obecnymi współbraćmi, ale jeszcze bardziej wobec przyszłych pokoleń. Podam, więc zaraz kryteria, jakimi kierowałem się przy układzie materiału. Nie mam zamiaru ujmować postaci Księdza Bosko ściśle w ramach lat, w których żył, gdyż te czasy właściwie jeszcze nie minęły, a zdarzenia, w których on brał udział, jeszcze się nadal rozwijają. Dopiero z dalszej perspektywy historycznej można będzie zdać sobie sprawę z wielkiej misji wyznaczonej przez Opatrzność Jemu i Jego Zgromadzeniu.

Trzymać się będę również porządku chronologicznego tak, jak ksiądz Lemoyne, który dając swej pracy tytuł: Memorie Biografiche, chciał przez to zaznaczyć, iż nie tworzy żadnej syntezy historycznej, ale przedstawia fakty z życia św. Jana Bosko, nawet nie z roku na rok, ale wprost z dnia na dzień. Tyle tylko zmiany wprowadzę, iż zamiast rozrywać zdarzenia innymi wplatającymi się w nie wypadkami, nieściśle z nimi związanymi, to je raczej podawać będę, jako całość tak, że każdy rozdział będzie mógł mieć swój wyraźny nagłówek.

Innymi słowy ustaliwszy sobie pewien okres czasu do omówienia w danym tomie, czy to będzie rok, czy więcej, postaram się zmieścić w poszczególnych rozdziałach wszystko, co z tego okresu dotyczy poruszanej sprawy. W ten sposób uważam, że bieg wypadków będzie bardziej przejrzysty. Jeżeli by zaś dla zaokrąglenia opowiadania wypadło przekroczyć granice omawianego zasadniczo okresu, uczynię to bez żadnego skrupułu.

Przyjąłem również, jako zasadę uszanować wszystkie słowa Księdza Bosko, podając je tak, jak nam zostały przekazane. Ksiądz Generał uczynił piękny podarek wszystkim Inspektorom salezjańskim, przesyłając im część mózgu świętego Jana Bosko. Otóż słowa naszego Założyciela są właśnie wyrazem myśli

i projektów, które przesunęły się przez tenże mózg. Niełatwo ustalić, która z tych relikwii jest droższa.

Będę miał również na względzie, dla kogo i w jakim celu zabrałem się do pisania. Stronice te przeznaczone są wyłącznie dla salezjanów, a wiadomo, że w gronie rodzinnym mówi się o tylu rzeczach, które dla obcych są zupełnie obojętne i o których nieraz nawet nie wypadałoby wspominać przed innymi. Salezjanie zaś oczekują prostego i jak najbardziej szczegółowego przedstawienia życia swego Założyciela, aby tym lepiej mogli przejąć się jego duchem i przykłady jego naśladować. Dlatego też moim staraniem będzie przedstawić wszystko dostojnie i zgodnie z prawdą, ale bez silenia się na stylistyczne frazesy. Całkowicie wystarczy, jeśli mnie wszyscy dobrze zrozumieją, a nikt nie zrozumie opatrnie”.

Ksiądz Ceria podjął się kontynuowania *Memorie Biografiche* po śmierci księdza Lemoyne, zaczynając swą pracę od tomu jedenastego. Ksiądz Lemoyne napisał tylko dziewięć tomów. Dziesiąty pisał już ksiądz Ceria, ale przed tym, jak wspomniano wyżej, wyszedł jedenasty. Przemawiając, zatem do swoich czytelników po raz pierwszy w tomie jedenastym, uznał za stosowne podkreślić wszelką pracę księdza Lemoyne i tak pisze dalej w przedmowie do tomu jedenastego:

„Uważam za swój ścisły obowiązek wyrazić tu pełne uznanie i wdzięczność dla księdza Jana Baptisty Lemoyne i księdza Joachima Berto, którym archiwum Zgromadzenia zawdzięcza zebranie wszystkich dokumentów, dotyczących życia św. Jana Bosko i rozwoju Jego Zgromadzenia. Oni to skwapliwi zbieracze i skrzętni konserwatorzy dawnych pamiątek, niczego nie zaniedbali, co by mogło posłużyć dla przyszłych historyków Zgromadzenia”.

ROZDZIAŁ I

Z NOWYM ROKIEM 1875

Katalog Zgromadzenia Salezjańskiego z roku 1875 zawiera nazwiska 64 profesów wieczystych, 107 czasowych, 84 nowicjuszów i 32 aspirantów. Razem 287, w tym 50 kapłanów. Podzieleni byli na 8 domów: Oratorium na Valdocco; kolegium w Valsalice; kolegia w Borgo S. Nizza, Lanzo, Varazze, Alassio; schronisko Sampierdarena, dom Maryi Wspomożycielki i szkoły miejskie w Mornese. Liczba nowicjuszów w tym roku widocznie wzrosła. Wśród nich zasługuje na uwagę Sługa Boży ksiądz Alojzy Guanella. Ponieważ o nim będzie często mowa w ciągu następnego trzechlecia, wypada go tutaj czytelnikowi przedstawić. Przez trzy lata ponawiał on usilne prośby u biskupa z Como, ażeby mu pozwolił wstąpić do Zgromadzenia Salezjańskiego. Ostatecznie mógł wnieść formalną prośbę o przyjęcie, na którą Ksiądz Bosko taką dał mu odpowiedź: „Drogi księżu Alojzy, gotów jestem księdza przyjąć. Po przyjeździe księdza do Turynu, ustalimy wspólnie miejsce i dom dla księdza odpowiedni. Odpisuję tak, mając na uwadze słowa z jego ostatniego listu: Jeśli nie zostanę przyjęty tutaj, zdecydowany jestem udać się, dokąd indziej. Proszę, zatem pozatwierać swoje sprawy tak, aby ksiądz, po przybyciu do nas, nie potrzebował już wracać do domu. Do widzenia, drogi księżu Alojzy, i miłej podróży. Niech nam Pan Bóg wszystkim błogosławi. Oddany przyjaciel Ksiądz Jan Bosko”. Nizza Marittima, 12.12.1874 r.

PS. We czwartek będę w Turynie.

Ksiądz Guanella zjawił się w Oratorium, gdy Przełożeni opuszczali zebranie po zadecydowaniu przyjęcia misji w Ameryce.

Ksiądz Bosko, natknąwszy się na niego u progu sali, przywitał go słowy:

Czy pojedziemy do Ameryki?

Chciałbym i ja – odpowiedział ksiądz Guanella – założyć w diecezji zgromadzenie sióstr zakonnych, a także i męskie zgromadzenie, jak to ustaliłem już z jednym z konfratrów.

Doskonale, tu mamy wszystko – zawołał Ksiądz Bosko – mamy księży, siostry i ksiądz pozostanie z nami na zawsze.

Umilkłem – pisze ks. Guanella w swym pamiętniku – i przez trzy lata, dopóki przebywałem w Zgromadzeniu, czułem wewnętrzną rozterkę. Ostatecznie pragnienie założenia własnej fundacji (zgromadzenia) zwyciężyło. Przebywając z Księdzem Bosko, czułem się jak w raj. Z Bożą pomocą i dzięki jego modlitwom, poprawiłem

się z wad, które w przeciwnym razie poniósłbym ze sobą do grobu. Zdaje mi się, że więcej postąpiłem w duchu umartwienia, praktykując skrupulatnie reguły.

W tym roku spotykamy w katalogu współbraci pewną nowość: przy współbraciach zmarłych w roku poprzednim znajdują się krótkie notatki biograficzne. Byli to kapłani: Franciszek Provera, Józef Cagliero, Dominik Pestarino i kl. Alojzy Ghione. Nekrolog ten poprzedził Ksiądz Bosko przedmową, w której nawiązując do życia czterech zmarłych, zwracał się, jako ojciec ze słowami zachęty do swoich synów duchownych:

Do Współbraci Salezjanów! Rok 1874, Najdrożsi Synowie, pozostanie dla nas szczególnie pamiętny. Jego Świątobliwość szczęśliwie panujący nam Pius IX, przy wielu innych objawach życzliwości, w dniu 3 kwietnia raczył zatwierdzić ostatecznie nasze skromne Zgromadzenie. Gdy to napełniło nas najwyższą radością, równocześnie zasmucił nas bardzo szereg następujących szybko po sobie zgonów. I tak dnia 13 owego miesiąca Bóg powołał do siebie księdza Proverę, potem księdza Pestarino, następnie kl. Ghione i wreszcie księdza Józefa Cagliero, a to w przeciągu czterech miesięcy. Przez te zgony straciliśmy czterech pracowników ewangelicznych, profesorów wieczystych, gorąco przywiązanych do Zgromadzenia Salezjańskiego, skrupulatnie zachowujących Ustawy, gorliwych zawsze o chwałę Bożą.

Nic, więc dziwnego, że te straty boleśnie odczuło Zgromadzenie. Lecz widocznie Bóg w dobroci swej niepojętej i według niezbadanych tajników swoich osądził ich już za godnych nieba. Można tu powtórzyć za Mędrce Pańskim, że „żyjąc krótko, przepracowali wiele” – „brevi vivens tempore, explevit tempora multa”. Mamy, przeto uzasadnioną nadzieję, iż (ci) przestawszy współpracować z nami na ziemi, będą naszymi orędownikami u Boga w niebie.

Stosowną też rzeczą będzie podać wam kilka rysów charakterystycznych z życia każdego z nich, aby pamięć ich cnót przetrwała nadal wśród nas, a to dla trzech głównych powodów:

1. Ponieważ taki jest zwyczaj po innych zgromadzeniach zakonnych;
2. Aby ci, którzy żyli z nami i praktykowali te same reguły, byli nam zachętą do naśladowania ich w dobrym, a unikania złego;
3. Aby nie tylko przechować pamięć ich czynów, lecz prosić również Boga o wieczny spoczynek dla ich dusz, o ile by jeszcze nie zostały przyjęte na łono Boga Miłosierdzia.

Wprawdzie my nie poświęciliśmy się służbie Bożej, dlatego, by pamięć o nas pozostała u ludzi, lecz by imiona nasze, jak mówi Boski Zbawiciel, wpisane były do ksiąg żywota. Niemniej krótkie te biografie przypominać nam będą, że jak nasze nieodpowiednie postępowanie jest zgorszeniem dla współbraci nawet po naszej śmierci, tak dobre przykłady będą dla nich zawsze zbudowaniem. Odczytując zaś te wspomnienia o naszych zmarłych, nie przestawajmy modlić się za nich i wszystkich współbraci, którzy od początku Zgromadzenia zostali już powołani do wieczności.

W czasie zaczynającego się roku 1875, powinniśmy w szczególniejszy sposób pamiętać w modlitwach o potrzebach Kościoła świętego i o Ojcu św. naszym tak

wielkim dobroczyńcy, który nie przestaje nas darzyć dobrodziejstwami duchowymi i doczesnymi, a ostatnio zatwierdził nasze Reguły. Bądźmy im wierni, praktykując je dla większej chwały Bożej i zbawienia dusz. Niech Bóg błogosławi was wszystkich, Najdrożsi Synowie i nie przestawajcie się modlić również za mnie, który pozostaje wam oddany w Jezusie Chrystusie. Ksiądz Jan Bosko.

Drugi list skierowany przez Księdza Bosko do jego synów w Lanzo, przechował nam ks. Lemoyne, dyrektor tamtejszego zakładu. Dziękując w nim za życzenia świąteczne i noworoczne, dołącza Ksiądz Bosko dłuższe słowa tchnące ojcowską dobrocią i gorliwością kapłańską.

I tak pisze: Do moich Najdroższych synów: dyrektora, nauczycieli, wychowanków i innych kolegium z Lanzo! Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa niech będzie z wami. Amen. Dotąd nie mogłem, Najdrożsi synowie, zadośćuczynić żywemu pragnieniu serca odwiedzenia was. Przeszkadzały temu i nawał zajęć i niedyspozycja w zdrowiu. Lecz zaznaczam, co was może zdziwić, że codziennie myślę o was i każdego dnia we Mszy św. polecam wszystkim dobroci Bożej. Ale widzę, że i wy również dajecie dowody swej pamięci o mnie. Z wielką przyjemnością odczytałem życzenia przez was podpisane. Zdawało mi się, że jestem tam wśród was i powtarzam sobie w głębi serca: evviva, moi synowie w Lanzo – niech żyją.

Rozpoczynam więc od podziękowania wam za synowskie, chrześcijańskie życzenia, jakie złożyliście mi i spraszam z nieba na was, na waszych rodziców i przyjaciół obfitość błogosławieństw Bożych. Niech Bóg was zachowa na długie lata w pomyślności. Przechodząc zaś do szczegółów, życzę wam zdrowia, powodzenia w nauce i postępu pod względem moralności.

ZDROWIE – jest to drogocenny dar Nieba. Dbajcie o nie, wystrzegając się nieumiarkowania, chłódów, przeziębienia, czy przemęczenia oraz przeciągów, zwłaszcza, gdy jesteście zgrzani. To są zwykłe przyczyny chorób.

NAUKA – jesteście w zakładzie dla zdobywania potrzebnej wiedzy, przy pomocy, której powinniście w przyszłości zdobyć sobie utrzymania. Jakiegokolwiek będzie stanowisko w waszym życiu, to zawsze tak postępujcie, abyście byli samowystarczalni i uczciwie pracowali na własne utrzymanie. Oby nam nigdy nie wyrzucano, że żyjemy kosztem innych.

MORALNOŚĆ – zdrowie i nauka opierają się na fundamencie moralności. Wiercie mi, moi Drodzy synowie, że piszę wam teraz wielką prawdę: jeśli zachowacie Boskie Przykazania, żyjąc zgodnie z obyczajami, to będziecie robić dobre postępy w nauce, przy kwitującym zdrowiu, będziecie kochani przez Przełożonych, kolegów, rodziców, przyjaciół, współobywateli, a nawet, zapamiętajcie to sobie, będziecie szanowani przez złych. Wszyscy ubiegać się będą o wasze względy i świadczyć wam przysługi. A teraz weźmy pod uwagę takie jednostki, które lekceważą sobie moralność: jaka to brzydka rzecz... To lenie, inaczej nie będą ich nazywać jak osłami; jeśli tacy prowadzić będą złe rozmowy, to będą gorszycielami, których należy ze wstrętem unikać. Jeśli się o takich spostrzegą w zakładzie, będą przedmiotem obrzydzenia u wszystkich, a w dniu, w którym zakład opuszczą,

zaśpiewa się tam Te Deum. A w domu rodzinnym, co ich czeka? Ogólna pogarda, tak w rodzinie, jak w ich miejscowości. Nikt ich nie poprze, a wszyscy będą od nich stronić. A ich dusza? Póki żyją będą nieszczęśliwi; w wypadku śmierci, wobec tego, że nic nie siali, jak tylko zło, nic też innego nie zbiorą. Odwagi, więc, moi Drodzy synowie, starajcie się zachować te trzy skarby: zdrowie, naukę i moralność.

Jeszcze jedna rzecz. Dochodzą nas z daleka głosy wołające: Chłopcy, wychowankowie z Lanzo, pospieszcie nam z pomocą... Są to wołania tylu dusz wyglądających ręki dobroczynnej, która by ich zatrzymała na krawędzi potępienia i skierowała na drogę szczęśliwości. Mówię o tym, bo wiem, że niektórzy z was są powołani do stanu duchownego, do pracy nad zbawieniem dusz. Nie zniechęcajcie się, więc. Wielu na was czeka. Pamiętajcie też na słowa św. Augustyna: „Duszę zbawiłeś – duszy swojej zbawienie zapewniłeś”.

W końcu, synowie moi, polecam waszym względem ks. Dyrektora tamtejszego. Wiem, że zdrowie jego trochę szwankuje. Módlcie się, więc za niego, pocieszajcie waszym dobrym postępowaniem, okazujcie mu życzliwość i nieograniczone zaufanie. Będzie to dla niego wielką pomocą a dla was zasługą.

Zapewniając was o mojej pamięci we Mszy św., polecam się również waszym modlitwom, aby mnie nie spotkało to nieszczęście, żebym, gdy innych pouczam, sam nie został odrzucony. Niech Bóg was błogosławi etc. Turyn, wigilia Trzech Króli 1875 r.

NB. Ks. Dyrektor niech objaśni chłopcom to, czego by dobrze nie zrozumieli.

O ojcowskim sercu Księdza Bosko świadczą jeszcze dwa listy pozostałe z owych czasów. A warto tu zaznaczyć, że Ksiądz Bosko zawsze starannie odpowiadał na listy swoich synów duchowych, mimo że to zajmowało mu wiele czasu. Bo pomyślny, na Nowy Rok 1875 otrzymał ich 204.

List pierwszy, jaki nam pozostał adresowany jest do księdza Józefa Ronchail, prefekta kolegium z Alassio.

Drogi mój księżu Ronchail! Cieszę się bardzo, że po złożeniu przez ciebie ślubów wieczystych, odczuwasz wielki spokój w sercu. Jest to znak, że ci Bóg błogosławi i że pełnisz Jego wolę najświętszą we wszystkim, co czynisz. Zatem, jeśli Bóg z nami, któż przeciw nam? Powiedz klerykowi Vallega, że otrzymałem jego list i dziękuję mu. Spełnię też chętnie, o co prosi, a przy okazji pomówię z nim osobiście. Dziękuję księdzu Dyrektorowi za wiadomość listowną i za przesłane podarunki. Bardzo są one wartościowe. Dodaj mu odwagi, a obaj miejcie troskę o swe zdrowie. Jeśli napotykanie trudności, piszcie mi, a ja pomyślę o tym, jak im zaradzić.

Owe 400 franków od OO Kapucynów można przyjąć na ten cel, o jakim mi piszesz. Jeśli będziesz mógł być u prof. Agnisi, spytaj o najnowsze wiadomości i napisz mi coś o nim. Niech ci Bóg błogosławi etc. Turyn, 15.01.1875 r.

Drugi list skierowany jest do kleryka, nauczyciela w San Martino: Mój drogi Borio! Twój list mnie bardzo ucieszył. Wynika z niego, że masz serce otwarte przed

Księdzem Bosko. Postępuj tak dalej, a będziesz zawsze „Gaudium meum, corona mea – moją radością i koroną”. Prosisz o kilka rad, oto one:

1. Gdy upominasz kogoś, nie czyn tego w obecności innych.
2. Udzielając napomnień, staraj się o to, by upominany odchodził od ciebie zadowolony i pozostał nadal twoim przyjacielem.
3. Dziękuj zawsze za otrzymane rady a upomnienia przyjmuj w dobrej wierze.
4. Niech świeci światłość twoja przed ludźmi, aby widzieli uczynki twe dobre i wielbili Ojca naszego, który jest w niebie.

Kochaj mnie w Panu i módl się za mnie, a Bóg nie ci błogosławi i uczyni cię świętym etc.

W innym zaś liście z tego czasu dziękuje niejkiej pani Pava za przesłane mu na Nowy Rok 500 franków i zawiadamia ją o udzielonym dla niej błogosławieństwie Ojca św. Ksiądz Bosko okazywał zawsze wielką wdzięczność względem swoich dobrodziejów i nie pomijał nigdy złożenia im życzeń z okazji dorocznych świąt, czy uroczystości rodzinnych. Mamy właśnie przechowane odpowiedzi na takie życzenia od kardynałów Patriziego i Antonellego oraz od biskupa Vitelloschiego. Kardynał Patrizi, dziękując za nadesłane życzenia, wyraża swoje zadowolenie z rozwoju Zgromadzenia Salezjańskiego i dodaje: „Jeżeli zaś, któryś z biskupów nie spogląda na wasze Towarzystwo łaskawym okiem i utrudnia wam pracę nad zbawieniem dusz, to nie należy się temu dziwić, ale raczej przyjąć to, jako znak, iż dzieło wasze jest miłe Bogu, który kieruje wszystkim dla większego dobra Towarzystwa. Niech myśl ta będzie dla Księdza pociechą w utrapieniach i podtrzymuje go na duchu w dalszych poczynaniach.

Jeszcze w serdeczniejszym tonie pisze kardynał Antonelli, sekretarz stanu, wzruszony tyłu względami ze strony Księdza Bosko.

Nie mniej wyraźnie robi aluzję, do trudności napotykanych ze strony ordynariusza turyńskiego, monsignore Vitelleschi, sekretarz Kongregacji Biskupów i Zakonników. Oto jego słowa: Widzę z listów Księdza, na ile trudności napotyka w mieście, gdzie znajduje się kolebka jego Zgromadzenia. Lecz tak to zwykle bywa, iż gdzie robi się coś dobrego, to Bóg w niezbadanych swoich wyrokach dopuszcza tam różne doświadczenia, o czym Ksiądz wie lepiej ode mnie. Z mej strony dodam poufnie, iż Kongregacja Biskupów i Zakonników wystosowała list do wspomnianego arcybiskupa, zawierający odpowiedź na zarzuty podniesione przez niego przeciw Zgromadzeniu Salezjańskiemu. Kopię tego pisma będzie drogą poufną Księdzu przesłana dla informacji. Gdy zaś arcybiskup turyński przybędzie do Rzymu, o czym Ksiądz w liście wspomina, wtedy tak ja, jak również inni pomówimy z nim, by zaprzestał opozycji, która wygląda bardzo niepoważnie.

Wśród tylu objawów szczególniejszej sympatii dla Księdza Bosko nie mogło zabraknąć i słów uznania ze strony oddanego mu całą duszą kardynała Berardiego. List z 9 stycznia, do którego jeszcze wypadnie nam wrócić, tak zaczyna:

Dziękując za życzenia przesłane mi z okazji bieżących uroczystości noworocznych, zapewniam niniejszym, że proszę Boga, aby zlał obfitość błogosławieństw swoich na założone przez Księdza Zgromadzenie. Równocześnie wyrażam mu swoje głębokie ubolewanie, nad tym, że wspomniany Prałat nie zaprzestaje go sekować.

W tym względzie kardynał nie ograniczył się tylko do słów, ale zareagował na to w sposób skuteczny, jak to wkrótce zobaczymy. Ksiądz Bosko nie zniechęcał się trudnościami wyłaniającymi się na samym początku roku, lecz spokojnie kroczył naprzód zdany całkowicie na Opatrzność Bożą, postępując w sposób, jaki mu dyktowała jego wielka roztropność.

ROZDZIAŁ II

DOROCZNE KONFERENCJE ŚW. FRANCISZKA

Przy końcu stycznia 1875 r. zebrali się u boku Księdza Bosko znaczniejsi z jego synów. Stosownie, bowiem do przepisów jednego z art. ówczesnych Reguł, który potem okazał się niezyciowy i wobec tego został zniesiony, wszyscy dyrektorzy w czasie triduum do św. Franciszka Salezego zjeżdżali się do Oratorium, gdzie wzajemnie informowali się o postępie własnych domów, rozstrzygali wątpliwości i załatwiali bieżące sprawy. Wszystko to odbywało się w atmosferze bezpośredniości i braterskiego zaufania pod okiem kochanego przez wszystkich Ojca, który w ten sposób formował wśród nich ducha rodzinnego, jakiego chciał przekazać swoim synom. Z tej okazji odbywały się konferencje, które miały podwójny charakter: jedne więcej poufne, w których brali tylko udział członkowie Kapituły Wyższej i wszyscy Dyrektorzy z Mistrzem nowicjuszków. Drugie były publiczne, dostępne dla wszystkich Współbraci. W tych ostatnich pozwalał Ksiądz Bosko uczestniczyć nawet uczniom klas wyższych, albo, dlatego, by w taki sposób czuli się więcej związani z Oratorium, bądź też, by uświadomili sobie lepiej rozwój Zgromadzenia, wzięcie, jakim się ono cieszyło i jego żywotność. Ten udział w wewnętrznym życiu salezjańskim przyczynił się u niejednego do obudzenia w nim iskry powołania zakonnego. W tym roku odbyło się sześć konferencji: trzy prywatne i trzy publiczne. Szczęśliwie zachowały się z nich sprawozdania, które poniżej wykorzystamy.

Członkami Kapituły Wyższej wtedy byli księża: Rua, Cagliero, Savio, Durando, Ghivarello, Lazzero; dyrektorzy księża: Bonetti, Lemoyne, Francesia, Cerrutti, Albera, Dalmazzo, Costamagna. Magistrem nowicjuszków był ks. Barberis. Na prywatnych zebraniach przewodniczył ks. Rua, na publicznych zaś Ksiądz Bosko. Pierwsze trzy prywatne odbyły się pod przewodnictwem księdza Rua i dotyczyły spraw administracyjnych dla nas mniej aktualnych, a z tej części, która dotyczyła spraw ogólnych ważniejszych, niestety mamy sprawozdanie bardzo ogólnikowe, o czym będzie jeszcze wzmianka później.

Oдноśnie do czwartego zebrania już publicznego z udziałem Księdza Bosko sekretarz w swej prostocie takim zaopatrzył wstępem swój protokół z niego. Dzień 27 stycznia 1875 roku, poprzedzający wigilię uroczystości św. Franciszka Salezego, na zawsze pozostanie pamiętny w dziejach naszego Zgromadzenia, a to z powodu bardzo ważnych zdarzeń, jakie w nim zaszły, a jakie zostały nam zakomunikowane na tej konferencji. Niech za to będzie chwała Bogu i św. Franciszkowi. Aby należycie ocenić te trochę pompatyczne wyrażenia, należy pamiętać, że w owych pierwszych latach, a w niespełna rok po zatwierdzeniu Reguł, świadomość samoistnego bytu Zgromadzenia dopiero się formowała, dlatego też każdy akt lub zdarzenie, choćby

drobne, odnoszące się do Towarzystwa, wszystkich bardzo cieszyło, owszem wprost ich entuzjazmowało. Ksiądz Bosko znawca serca ludzkiego umiał to pięknie wykorzystać i w ten sposób konsolidować z dnia na dzień spistość członków Towarzystwa. Zaraz na początku zebrania wyszła po raz pierwszy sprawa przywilejów, która tyle przysporzy Księdzu Bosko z biegiem lat kłopotów. Ale tu, by dobrze zrozumieć język Księdza Bosko, trzeba zrobić najpierw jeszcze jedną uwagę, a mianowicie, że Ksiądz Bosko w podobnych okolicznościach przemawiał bardzo tak „alla buona” /bez pretensji/, tak jakby mówił o wszystkim i o niczym, z wielką prostotą i bezpośredniością, a mimo to jego słowa były przyjmowane z religijną czcią i wywoływały głębokie wrażenie w duszach. A oto słowa protokołu z konferencji:

„Rozpoczęło się mówić o przywilejach zgromadzeń zakonnych, o które zamierzano ubiegać się dla naszego Zgromadzenia w Rzymie. Ksiądz Bosko rozpoczął od zaznaczenia, że inne zakony mają bardzo grube tomy przywilejów, ale o nie są zbyt zazdrośni i nikt nie chce ich użyczyć do przegłądnięcia. Dopiero w ostatnim czasie otrzymał to, które mają Oblaci i jakieś tam inne. Na tych wypadałoby się oprzeć, by podobne uzyskać i dla naszego Zgromadzenia. Obecnie jednak napotyka się na poważne trudności w ich uzyskaniu a jest nawet zakaz przyznawania ich per communicationem, tzn. przydzielając w całości przywileje jednego zakonu dla drugiego. W każdym razie Ksiądz Bosko ma nadzieję, że i to uzyska. Następnie został odczytany list od kard. Antonelli, który nadszedł tego dnia rano i zawierał czek na 1.000 lirów, jakie Ojciec św. posłał na zapoczątkowanie hospicjum w Sampierdarena. Czytamy w protokole:

„Odnosnie tego daru zauważono, że Papież jest bardzo hojny i rzadki, gdyż w podobnych okolicznościach Papież zwykł posyłać najwyżej 500 lirów. Tutaj Ksiądz Bosko zaznaczył, że ta subwencja wróci do swego źródła, kiedy będzie wysyłane świętopietrze, mimo to nic ona nie traci na swej wartości, bo jest wyrazem wyróżnienia nas przez Ojca św. Obecni byli pod wrażeniem, jakie ten dar Ojca św. wywołał. Zaraz wysunięto dwie propozycje: jedni chcieli, by list Ojca św. oprawić w ramki; drudzy, by go opublikować w Unita Cattolica. Ksiądz Bosko zgodził się pod warunkiem, że się nie poda jego nazwiska, gdyż to łatwo mogłoby wywołać we wrogiej prasie złośliwe uwagi, jak to już od czasu do czasu miało miejsce. Jeszcze dwie inne wiadomości zakomunikował Ksiądz Bosko zebranym. A mianowicie: nadejście urzędowego pisma, dotyczącego przyjęcia jego warunków odnośnie do misji w Buenos Aires i otrzymanie dekretu królewskiego w sprawie wywłaszczenia gruntów, na których miał być wzniesiony kościół św. Jana Ewangelisty. Ale o tym będzie mowa później.

W 5 - tej konferencji wzięli także udział nowicjusze i aspiranci. Ze względu na większą ilość uczestniczących, których było 150, odbyła się ona w kościele św. Franciszka Salezego. Na niej każdy z dyrektorów przedstawiał stan swojego zakładu tak i pod względem ekonomicznym, naukowym, moralnym jak i życia zakonnego. Pierwszy przemawiał ks. Bonetti, dyrektor z Borgo san Martino. Zakład jego był tak przepełniony, że już ani jednego wychowanka nie można było przyjąć.

W przyległym domu, umyślnie w tym celu wybudowanym, mieszkało 12 sióstr, Córek Maryi Wspomożycielki, które zajmowały się szatnią ku zadowoleniu wszystkich.

Stan zdrowotny zakładu bardzo dobry. Tak samo zadawalająca jest pobożność chłopców, o której świadczy wielka frekwencja do sakramentów św., chłopcy są weseli i zadowoleni. Do ogólnego dalszego postępu przyczynia się wielce doborowy personel.

Po nim referował swoje sprawy ks. Lemoyne, dyrektor z Lanzo. Liczba wychowanków jego zakładu przewyższała ilość z lat poprzednich. Jest ich blisko 200. godny podkreślenia jest Mały Kler, złożony w większości ze starszych. Żadnych chorych. Zdaje się, że zawdzięczać to należy zabiegom prefekta ks. Scappini. Dobre wyniki daje rozdział uczniów klas wyższych od tych z niższych. Przyznaje on z całą otwartością, że dobry postęp zakładu zawdzięczać należy personelowi przysłanemu przez Księdza Bosko w większej liczbie i lepiej dobranemu.

Ks. Francesia, dyrektor z Varazzo żalił się na szczupłość pomieszczeń. Przeszło 80 podań musiał z tego powodu załatwić odmownie. Chłopcy są bardzo przywiązani do zakładu i przełożonych. Rekreacje są tak pełne życia, że to trudno opisać. Nikogo nie ujrysz tam stojącego na uboczu, ani też nie tworzą się jakieś grupy, przy których nie byłoby asystenta. Z personelu jest „arcy zadowolony”.

Ks. Cerruti, dyrektor z Alassio podał do wiadomości, że liceum tamtejsze liczy 50 uczniów, o zachowaniu się wzorowym, a wielu z nich zamierza wstąpić do stanu duchownego. Więcej nie można było przyjąć i okazuje się wielka potrzeba rozbudowy także dlatego, by można sprowadzić siostry do obsługi kuchni i szatni.

Ks. Albera, dyrektor ze Sampierdarena, pocieszał się tym, że jest już prawie na ukończeniu budynek, który pozwoli na zdwojenie liczby wychowanków. Na tę budowę Ojciec św. już przedtem przysłał 2.000 lir. Chłopców jest 60. Zachowanie ich pod każdym względem wzorowe tak, że lepszego nie można sobie życzyć. Wielka jest też frekwencja do sakramentów św. Współbracia zajmują się również eksternistami, z których jedni uczęszczają do szkoły a inni do oratorium świątecznego. Miasto dla instytutu bardzo życzliwe.

O kolegium dla szlachty we Valsalice nie mniej pochlebnie referował dyrektor ks. Dalmazzo. Uczniów jest dwa razy więcej niż roku poprzedniego. Do powiększenia zgłoszeń przyczynił się dobry wynik egzaminów, przekonanie u rodziców, że nauki się tam udziela poważnie. Wycieczka do Rzymu urządzona dla lepszych uczniów i błogosławieństwo Ojca św. Jedynie, czego boją się rodzice, to to, że salezianie zrobią z ich synów księży. Poważna to bolączka między tymi pańskimi rodzinami. Ale to przynosi również honor salezjanom, gdyż świadczy, że doprawdy wychowują oni po chrześcijańsku. Stan zdrowotny bardzo dobry. Wykłady postawione są na wysokim poziomie. Profesorami są profesorowie z uniwersytetu. Co dotyczy karności, pobożności i ogólnego zachowania, od chwili, gdy kolegium przejęli salezianie, jest widoczny postęp z roku na rok.

Ks. Costamagna, mówiąc o Siostrach Córkach Maryi Wspomożycielki, których był dyrektorem w Mornese, chwalił przede wszystkim ich gorliwość: większość ich

wychowanek pragnie zostać zakonnicami, a wszystkie są tak przywiązane do zakładu, że żadna nie chciałaby go opuścić. Bolał tylko, że jest ich stosunkowo mało, gdyż zakład ten jest jeszcze nieznanym szerszemu ogółowi, a przy tym bardzo trudny tam dostęp. Nie ma ani kolei, ani autobusu, który, by tamtędy przejeżdżał. Liczba Sióstr stale jednak wzrasta i dochodzi już osiemdziesiątki. Stan zdrowotny bardzo dobry.

Ks. Rua, mówiąc o Oratorium, podkreślił wielką pobożność uczniów gimnazjalnych i najlepszą ich wolę, u rzemieślników zaś gorliwość w przykładowym odmawianiu modlitw. Także dla eksternistów robi się dużo dobrego. W tym roku wprowadzono nowość, a mianowicie szkoły wieczorowe dla dorastających. U współbraci odkąd rozmyślanie stało się obowiązkowe dla wszystkich, doprawdy podziwiać trzeba punktualność i skupienie, z jakim biorą w nim udział. Jest ono osobne dla profesorów i osobne dla nowicjuszków. W związku z tym przyspieszono wstanie o pół godziny, gdyż inaczej nie byłoby czasu na tę praktykę w rozkładzie dnia. Nowicjusze mają osobne także studium, szkołę i konferencje. Na końcu mówił o Małym Klerze i o towarzystwach religijnych, do których należą wychowankowie klas wyższych, wyróżniający się wzorowym zachowaniem. Zakończył słowami: Dziękujemy za wszystko Bogu i oremus ad invicem. Ostatnie uwagi księdza Rua dotyczące współbraci i nowicjuszków niech nas nie dziwią. Dotąd nie było wspólnego rozmyślania, ani większej regularności w życiu codziennym. Przed zatwierdzeniem Reguł Ksiądz Bosko, rzecz można, kierował indywidualnie poszczególnymi członkami. Praktyki pobożne odprawiano wspólnie tylko wtedy, kiedy on to uznał za potrzebne i korzystne. Lecz odkąd Reguły zostały zatwierdzone, trzeba było wszystko powoli dociągać do ich przepisów.

A nie mało było takich, którzy całym sercem przywiązani do osoby Księdza Bosko i gotowi dla niego skoczyć w ogień, nie zdawali sobie sprawy, na czym polega życie zakonne. I gdyby im się narzuciło naraz większy rygor zewnętrzny, mogłoby to wywołać u nich zniechęcenie i doprowadzić ich do nierozważnych kroków. Jak więc kiedy indziej, tak i w tym wypadku, Ksiądz Bosko posłużył się swoją wypróbowaną już praktyką, stosowaną w pierwszych latach, kiedy to zasady życia zakonnego trzeba było wpajać swoim „alumnatom” nie mówiąc im nic wyraźnie o zakonie. Wszak były to czasy, kiedy życie zakonne było stanem, którym lekkomyślnie pogardzano i o którym w ogóle nie warto było mówić. Ta jemu właściwa taktyka polegała cała na tym, by swoich alumnów przywiązać do domu, rozentuzjasmować ich do idei, tak by w Oratorium czuli się jak u siebie w rodzinie; reszta miała nastąpić sama przez się.

Późna już godzina nie pozwoliła Księdzu Bosko zobrazować, na zamknięcie posiedzenia, ogólnego stanu Towarzystwa. Uczynił to w dniu następnym wobec tego samego audytorium. Sprawozdawca tej konferencji tak to ujmuje: Księża Dyrektorzy powiedzieli wczoraj tyle pięknych rzeczy, że byliśmy tym wszyscy wprost zdziwieni; ja także chciałem powiedzieć coś o Zgromadzeniu, byśmy sobie uświadomili, na jakim punkcie jesteśmy. Uczynię to, więc dzisiaj.

Na pierwszym miejscu muszę ze swej strony podkreślić wszelkie zainteresowanie, jakie okazuje nam Ojciec święty, który wiedząc o naszej budowie

w Sampierdarena, raczył na nią wyasygnować dwa tysiące lirów. Umiejmy mu za to być wdzięczni i gdzie tylko mamy sposobność starajmy się podkreślić wielkość Papiestwa i jego prerogatywy.

Odbyłem niedawno wizytację naszych domów. Z radością muszę oświadczyć, że jestem z nich bardzo zadowolony. Wszystkie przepelnione są młodzieżą, zdrową i dobrą, jak nam to opowiedzieli ich dyrektorowie. Ale to, co mnie przede wszystkim uderzyło, to praca naszych współpracowników. Praca to olbrzymia, a pracują oni ze wszystkich sił. Jeden pracuje tam za kilku: uczy, asystuje w jadalni, sypialni, prowadzi na przechadzki, nie ma chwili do swej dyspozycji. Do tego stopnia mają czas zajęty, że kiedy chciałem, by mi ktoś przepisał kilka stronic, nie mogłem znaleźć ani jednego, który by miał na to chwilę wolnego czasu. Lecz więcej niż sama praca podoba mi się duch, w jakim się pracuje. Doprawdy nie można, by sobie życzyć więcej. Zdaje mi się, że został w pełni wcielony w życie ideał Zgromadzenia, jaki sobie wymarzyłem. A tej wytężonej pracy towarzyszy duch posłuszeństwa i gotowości na podjęcie jakiegokolwiek pracy. Nie ociąża się czy profesor, czy ksiądz, o ile zajdzie potrzeba podjąć się pracy w kuchni, czy miotły. Niech Bogu za to będą dzięki. Starajmy się zachować tego ducha, a ile od nas zależy – coraz bardziej go pogłębić. Obecnie, gdy Zgromadzenie dopiero się organizuje trzeba, byśmy byli gotowi znosić te niewygody, które wynikają z ciasnoty lokalu, czy z braku różnych rzeczy, które doprawdy zdawać się mogą nieodzowne. Mam jednak nadzieję, że w niedalekim czasie każdy ksiądz, każdy nauczyciel będzie mógł mieć przyzwoity pokój, wygodniejsze od tych, jakie teraz mamy. Także lokale dla nowicjuszków będą osobne. Będą i świetlice pełne światła i odpowiednio umeblowane. Na razie jednak znośmy cierpliwe obecne niewygody. Inna rzecz, którą chciałbym wprowadzić do naszych szkół, to jest posługiwanie się w nich klasykami chrześcijańskimi zamiast pogańskimi; oczywiście nie da się tego skutecznie naraz, lecz będziemy to czynić stopniowo, a zacząć trzeba od dzisiaj.

Dla mnie zupełnie by wystarczyło, gdyby moi klerycy, czy księża umieli przynajmniej tak pisać po łacinie, jak pisał taki św. Hieronim, Augustyn, Ambroży, Leon Wielki, czy Sulpicjusz Sewer. Zresztą, który z uczniów umie wyczuć całe piękno Cycerona czy Liwiusza?

A przy tym posługując się pierwszymi, uniknie się tylu zgubnych idei, z jakimi młodzież styka się na każdej prawie stronicy autorów pogańskich.

W tym celu już rozpoczął się druk wyjątków z dzieł św. Hieronima i mam nadzieję, że wkrótce ukażą się także wypisy z innych autorów chrześcijańskich. Tak położymy temu zło, jakie się szerzy z klasyków pogańskich.

W końcu zwrócił Ksiądz Bosko uwagę obecnych na misje w Ameryce. Protokół tak o tym pisze:

„Nadeszły w tych dniach listy z Ameryki, wzywające nas do głoszenia Ewangelii tamtejszym ludom. Postawiliśmy swoje warunki i te, jak już słyszeliście zostały przyjęte. Oczekują nas we dwóch miejscowościach : Buenos Aires i Nicolas de los Arroyos.

Wprawdzie pertraktowaliśmy już o miejscach nie tylko w Ameryce samej, lecz także w Azji, Afryce i na Oceanii. Zdaje się jednak, że misje w Buenos Aires najwięcej nam odpowiadają i dla warunków, jakie tam panują i ze względu na język hiszpański o wiele dla nas łatwiejszy od angielskiego, który gdzie indziej przeważa.

Tu protokół kończy się dwoma „etc., etc”. Łatwo uświadomić sobie ciekawość, z jaką zebrani w owych pierwszych latach Zgromadzenia słuchali tych wywodów Księdza Bosko, zwłaszcza, że na temat misji przemawiał on publicznie po raz pierwszy. Z Valdocco do Buenos Aires... Ale i to miało wkrótce stać się rzeczywistością.

ROZDZIAŁ III

DZIEŁO „SYNÓW MARYI WSPOMOŻYCIELKI”

W roku 1875 rozpoczął Ksiądz Bosko Dzieło, do którego skłaniała go jego gorliwość i niebieskie wskazania.

Wiemy, jak w owych czasach trudno było o powołania kapłańskie. Zamieszki polityczne, laicyzacja szkół, prasa frywolna, lekceważenie Kościoła i jego pasterzy oraz duchownych, ciężkie warunki ekonomiczne kleru, wszystko to powodowało poważne zmniejszenie się liczby kandydatów do stanu duchownego. Ażeby temu zapobiec, Ksiądz Bosko nie szczędził żadnych ofiar. Widząc, jaki kierunek przybiera ogólny bieg wypadków z Europie, nie przestawał powtarzać: „Już nadszedł czas, aby lewitów szukać wśród tych, co pracują łopata i młotem” /cytat ze snu/. Ale to, co robił wśród swoich chłopców, budząc w ich sercach iskrę powołania kapłańskiego, nie wystarczyło. Chłopcy są zawsze tylko chłopcami. Mimo wszelkich zabiegów i całej opieki, wielu z tych, którzy z początku myślą o kapłaństwie, gubi się po drodze i nikły z nich procent dochodzi do zamierzonego celu. Cóż, więc robić? Potrzeba była wielka. Gdyby, bowiem rzeczy postępowaly tak nadal, jak dotąd, to łatwo było przewidzieć, że brak kapłanów spowoduje wielkie spustoszenie w Winnicy Pańskiej.

Ksiądz Bosko już, jako uczeń gimnazjalny, ofiarował się z pomocą jednemu młodzianowi starszemu, który chciał zostać księdzem i tylko z tą pomocą zdołał on ukończyć studia teologiczne. Także i w następnych latach, kiedy już prowadził swoje Oratorium, pozwalał niektórym starszym młodzieńcom uczęszczać do jego szkół, aby tak mogli przygotować się do kapłaństwa. Przekonał się przy tej okazji, że ci poważniej zabierali się do nauki, odznaczali się pobożnością i byli przykładem dla młodszych towarzyszy.

Kiedy tak zastanawiał się, jakby zapewnić Kościołowi więcej powołań kapłańskich, przyszła mu szczęśliwa myśl, ażeby zebrać starszych młodzieńców dobrej woli i ułożywszy dla nich odpowiedni program, przygotować ich do służby ołtarza.

I otóż, kiedy tę rzecz rozważał, na początku roku 1875, zaszedł fakt, który poważnie wpłynął na ostateczną decyzję. Cytujemy tu dosłownie, co powiedział członkom Kapituły Wyższej:

„Pewnej soboty spowiadałem w zakrystii, ale natarczywie powracała mi myśl o małej liczbie księży i powołań kapłańskich. Miałem przed sobą cały szereg chłopców cisnących się do spowiedzi. Dobrzy to byli chłopcy i niewinni. Myślałem, więc sobie: „kto wie, ilu z nich dojdzie do kapłaństwa? A ile jeszcze czasu upłynie...,

podczas gdy potrzeby Kościoła są tak wielkie i pilne. Tak rozważając, spowiadałem dalej, gdy wtem naraz zdawało mi się, że jestem w swoim pokoju z katalogiem chłopców zakładu w ręku.

Jak to się dzieje, myślę sobie, że tu spowiadam, a równocześnie jestem we własnym biurze? Czyżbym śnił? Nie, to nie może być. Przecież trzymam katalog w ręku... to jest moje biurko... Tymczasem słyszę poza sobą głos mówiący mi: Chcesz się dowiedzieć, jak w krótkim czasie powiększyć liczbę dobrych księży, to przypatrz się lepiej katalogowi. Łatwo wywnioskujesz z niego, jak się do tego zabrać.

Przeglądałem, więc uważnie spis chłopców i mówię do siebie: wszak to są zwykłe katalogi z obecnego i ubiegłych lat... i nic więcej... Zastanawiałem się, czytałem nazwiska raz, drugi, oglądałem katalog z jednej i z drugiej strony, z dołu, z góry, ale bez rezultatu. I znów myślę: Czy śpię, czy to dokonuje się na jawie. Przecież jestem przy biurku i głos wyraźnie słyszałem. Tak podniecony zerwałem się, by zobaczyć, kto była owa zjawia, co do mnie mówiła... I rzeczywiście podniosłem się w konfesjonale. Chłopcy, co czekali na swoją kolejkę, widząc mnie zrywającego się tak nagle i trochę zmieszanego, podtrzymali mnie, przypuszczając, iż zrobiło mi się źle. Ale ich uspokoiłem i spowiadałem dalej. Po spowiedziach poszedłem do swojej stancji i zacząłem przeglądać katalogi te świeże i te z lat ubiegłych. Po dłuższym zastanawianiu się doszedłem do wniosku, że z pomiędzy stu wychowanków, co u nas zaczynają naukę gimnazjalną, niby w zamiarze wstąpienia do stanu kapłańskiego, zaledwie piętnastu na stu zostaje kapłanami. Odciągnie ich, gdy dorastają, od zamierzonego celu to rodzina, to egzamin, to wiek krytyczny itd. Spośród zaś starszych młodzieńców na dziesięciu ośmiu zostawało kapłanami. Pomyślałem, więc sobie: tak, tak, tych jestem pewniejszy i prędeej osiągnę swój cel.

Po tej refleksji Ksiądz Bosko postanowił przystąpić do dzieła. W tym zamiarze utwierdził go sen, jaki miał w marcu 1875 roku, a który opowiedział w Rzymie w rodzinie państwa Sigismondi, w obecności księdza Berto, który nam go przechował.

Zdawało mi się – opowiadał Ksiądz Bosko – że jestem w jakimś sadzie pod drzewem o owocach tak wielkich, że budziły wprost podziw. Trzy zaś były gatunki owoców: figi, brzoskwinie i gruszki. Naraz zrywa się gwałtowny wichur z gradem, który siecze moje plecy nie tylko kawałkami lodu, ale i kamieniami. Oglądam się, zatem za jakimś schronieniem, gdy wtem zjawia się Ktoś i mówi: Zbieraj, a prędko. Przypadkiem spostrzegłem opodal koszyk, ale bardzo maleńki. Gdy szedłem po niego, zostałem skarcony słowy: A weźże jakiś większy. Znalazłem na szczęście większy, ale zaledwie do niego włożyłem kilka owych owoców, już był pełny. Znowu otrzymałem skarcenie, czemu nie biorę większego kosza. Usłuchałem. I rzeczywiście znalazł się jeszcze większy. A mój Rozmówca dodał: Prędko zbieraj, bo inaczej grad wszystko zniszczy. Zabrałem się wtedy pospiesznie do zbierania. Ale jakies było moje zdziwienie, gdy podniósłszy kilka tych olbrzymich fig, zauważyłem, że były z jednej strony nadpsute. Wtedy Nieznajomy zaczął wołać: Prędko przebieraj. Podzieliwszy kosz na trzy części, zabrałem się do przebierania owoców i układałem te dobre figi z jednej strony, z drugiej brzoskwinie, a w środku położyłem gruszki. Tak figi, jak

brzoskwinie i gruszki były doprawdy wielkie, przynajmniej jak dwie pięści ludzkie razem. Nie mogłem się nacieszyć ich wielkością i cudnym wyglądem. Wtedy ów nieznajomy rzekł: Figi są dla biskupów, gruszki dla ciebie, a brzoskwinie dla Ameryki. To powiedziawszy zaczął klaskać w ręce i wołać: Odwagi. Brawo, brawo. Bardzo dobrze – i znikł, a ja się obudziłem. Sen ten jednak nie chciał mi zejść z pamięci.

Nie wiemy, czy Ksiądz Bosko zaraz domyślił się, że sen pozostaje w związku ze zamierzonym przez niego Dziełem, ale z biegiem czasu coraz wyraźniejsza stawała się jego łączność z tak zwanym przez niego Dziełem Synów Maryi Wspomożycielki. Trzeba było doprawdy z początku bardzo uważać, ażeby jednostki mniej odpowiednie przyjęte, jako Synowie Maryi do Oratorium, wszystkiego od początku nie popsowały. Obszerny koszt, w którym mogło się wiele zmieścić, oznaczał, że lokale powinny być obszerne: figi dla biskupów, to byli młodzieńcy, którzy z Oratorium przejdą do seminariów diecezjalnych. Brzoskwinie dla Ameryki – to misjonarze – gruszki zaś – to ci, co pozostaną w Zgromadzeniu w Europie. A cóżby miał oznaczać grad, który spadał na plecy? Otóż trudności, jakie w tym względzie Ksiądz Bosko napotkał, zwłaszcza ze strony dwóch ordynariuszów, którzy pisali nawet do Rzymu, aby na podobne przedsięwzięcie Księdza Bosko nie zezwolić.

Nazwano to Dziełem Synów Maryi Wspomożycielki, a nie kolegium lub instytutem, gdyż Ksiądz Bosko, przewidując, że większość kandydatów pochodzić będzie z rodzin ubogich, chciał zapewnić temu Dziełu szersze poparcie całego społeczeństwa, podczas gdy kolegium, przeznaczone zasadniczo dla bogatszych, takiego poparcia nie oczekiwały.

O swoich zamiarach założenia podobnego dzieła rozmawiał on z Piusem IX w czasie swego pobytu w Rzymie na wiosnę tego roku.

Na ten temat zatrzymaliśmy się dłużej z Ojcem Świętym – powie 14 kwietnia na zebraniu przełożonych wyższych i dyrektorów, przedstawiając im, co dopiero wydrukowany regulamin tego Dzieła. Projekt ten podobał się tak bardzo Papieżowi, iż samorzutnie wyraził gotowość udzielenia mu swego poparcia. Chciał tylko, by o tym poinformować najbliższych biskupów, których listy pochwalne mogłyby stać się punktem wyjścia dla odnośnego breve papieskiego.

Pius IX chciał również wiedzieć, skąd Księdzu Bosko przyszła ta idea. Ten wiernie wszystko opowiedział, nie pomijając i przytoczonego wyżej snu. Usłyszawszy to Papież, polecił mu poinformować o tym Przełożonych Zgromadzenia, co Święty spełnił na zebraniu, o którym teraz mowa.

Zanim Regulamin został odczytany zebranim dyrektorom, już był wysłany do 12 biskupów z niezbędnymi uwagami. Na okładce nosił tytuł: „Dzieło Maryi Wspomożycielki dla powołań do stanu duchownego” Następowало motto o wielkości żniwa ewangelicznego i braku pracowników. Po krótkim, ale trafnym wstępie o konieczności zorganizowania podobnego Dzieła, następował jego regulamin podzielony na cztery części: Warunki przyjęcia /od 16 do 30 lat/; Środki egzystencji

/życzliwość wiernych/; Uwagi /powody takiej nazwy ze zaznaczeniem, iż Dzieło to nie przynosi szkody innym podobnym instytucjom/; Korzyści duchowe.

Regulamin ten nie był przeznaczony dla szerszej publiczności, więc nie miał imprimatur Kurii arcybiskupiej. Zresztą Ksiądz Bosko, ażeby wyczuć nastroje, a również, by uniknąć możliwych trudności, kopię regulaminu wysłał tylko do biskupów alpejskich jemu życzliwych, czyli do wszystkich z wyjątkiem dwóch. Regulamin wyszedł następnie drukiem w pierwszych dniach sierpnia, w drugim numerze „Bibliofila”, periodyku, który był poprzednikiem przyszłego „Bollettino Salesiano”, a był drukowany poza diecezją turyńską dla uniknięcia przewidywanych kłopotów z cenzorem miejscowym.

Miedzy 12 a 18 kwietnia, Ksiądz Bosko otrzymał już 7 listów pochwalnych, a mianowicie: z Albengi, Vigenano, Acqui, Aleksandrii, z Tortomy, Casale i z Genui, z których cztery przyszły wprost do niego, a trzy były wysłane bezpośrednio do Rzymu, cztery otrzymane bezzwłocznie wysłał do kardynała Berardi z następującym pismem:

Eminencjo! Z okazji uroczystości św. Józefa, nie mogłem Waszej Eminencji wyrazić swojej wdzięczności, jak tego pragnąłem, za wszystko dobro dla nas uczynione. Ale jutro jest uroczystość Opieki Św. Józefa. Proszę, więc z tej okazji przyjąć, jako wyraz naszego hołdu, modlitwy, które będziemy zanosić o błogosławieństwo dla Waszej Eminencji przed ołtarzem Najświętszej Wspomożycielki, razem z naszymi chłopcami, ofiarując w tej intencji Komunię świętą. Jest to mało z naszej strony, ale ufamy, że Bóg wynagrodzi hojnie wszystko swoimi łaskami. Szczególniejszą zaś wzmiankę uczynimy w modlitwach o matce Wasze Eminencji.

Równocześnie pozwalam sobie załączyć listy pochwalne od biskupów z Casale, Aleksandrii, Vigenano i Albenie. List biskupa z Acqui został wysłany wprost do Rzymu: wobec tego, że są dwa projekty tego dzieła różniące się między sobą, przeto proszę o łaskawą interwencję, ażeby odpusty i błogosławieństwo Ojca świętego były przydzielane do każdego projektu. Tak będzie je można aplikować wedle potrzeby. Jeszcze w ciągu tego tygodnia przewiduję, że mi wypadnie pisać do Waszej Eminencji, przez co dam mu sposobność do spełnienia uczynku miłości bliźniego. Niech Bóg w swej dobroci zachowa Waszą Eminencję na długie lata szczęśliwego życia.

Prosząc o arcypasterskie błogosławieństwo, całuję ze czcią świętą purpurę Waszej Eminencji i mam zaszczyt kreślić się pokorny i zobowiązany sługa Ksiądz Jan Bosko. Turyn, 18 kwietnia 1875 r.

Ksiądz Bosko prosił o błogosławieństwo Ojca Świętego, aby zamierzonemu dziełu nadać większej powagi. Papież przez kardynała Berardi i biskupa Vitelleschi przesłał je „z największą przyjemnością i z całego serca”, o czym owi dwaj prałaci zawiadomili Księdza Bosko z największą serdecznością. Arcybiskup Selecji /Vitelleschi/ tak w tym względzie mu pisał: Byliśmy we dwójkę, aby uprosić dla Księdza specjalne błogosławieństwo Ojca świętego, o które się Ksiądz starał,

mianowicie był kardynał Berardi i ja. Ja jednak byłem pierwszy, a więc pierwsze błogosławieństwo ma Ksiądz przeze mnie. Przesyłam je z najlepszymi życzeniami, aby Bóg błogosławił wszelkie przedsięwzięcia, jakich podejmuje się Zgromadzenie Księdza.

Przy tym obaj dostojni prałaci zgodnie zalecili Księdzu Bosko jedną rzecz; pierwszy pisał: Niech, więc Ksiądz zabierze się do tego dzieła, ale z największą roztropnością i oględnością, by go nie spotkała jakaś nieprzyjemność od wiadomego nam ordynariusza. Na to samo położył nacisk i drugi, który bez ogródek pisał:

Z mej strony zwróciłbym uwagę, a to tylko z życzliwości, jaką mam do Zgromadzenia Księdza, czyżby nie było lepiej, aby Dzieło, o które chodzi założyć poza Turynem. Wszystko, co dotąd zaszło, wskazuje, że napotka ono w tej diecezji poważne przeszkody i sprzeciwy. Ksiądz mnie dobrze rozumie. Proszę się zatem poważnie zastanowić coram Domino, quid magie Expedia. Jest to moja całkiem prywatna uwaga i nic więcej.

Wypadki potwierdziły słuszność tych przewidywań. Ksiądz Bosko mając błogosławieństwo Ojca św. i listy pochwalne biskupów, uważał się za uprawnionego podać swoje zamiary do publicznej wiadomości w prasie. Opracował, więc jeszcze dokładniej regulamin, umieszczając na końcu wzmiankę o błogosławieństwie papieskim i o udzielonych odpustach. Z tym zwrócił się do cenzora Kurii turyńskiej o „nihil obstat” z prośbą, by powiadomił o tym ordynariusza. Na odpowiedź trzeba było czekać aż osiem dni. I jaka to była odpowiedź...

Ksiądz Bosko powinien się w rzeczy tak ważnej osobiście odnieść do biskupa, a na razie ma się wstrzymać od wszelkiej publikacji, gdyż przewiduje się, że arcybiskup uzna za stosowne w tej sprawie zwrócić się o zdanie do biskupów obu prowincji kościelnych: Turynu i Vercelli, a prawdopodobnie także do Genui. Wobec tego, że wszelkie wysiłki otrzymania audiencji u ordynariusza spełzły na niczym, Ksiądz Bosko nalegał znowu listownie, podkreślając, że Dzieło Synów Maryi Wspomożycielki nie jest żadną nowością, ale tylko dalszym rozwinięciem i usystematyzowaniem tego, co już w Oratorium istnieje w formie zaczątkowej i nie jest w żadnej sprzeczności z zatwierdzonymi przez nią Regulami. Zresztą „imprimatur” jest mu potrzebne tylko dla formalności. W odpowiedzi Kurii powtórzone były z naciskiem warunki poprzednie z dodatkiem, jaki wynika z załączonego poniżej listu Księdza Bosko do teologa Chiuso: Proszę cię, pisze w nim – powiedz księdzu arcybiskupowi, że dotąd nie ma dekretu odnośnie do odpustów, przyznanych Dziełu Synów Maryi Wspomożycielki. Wprawdzie Ojciec św. już ich udzielił, ale pragnie, by ich nie podawano do wiadomości, dopóki Dzieło nie zostanie rozpoczęte i by o nich powiadomić tylko zainteresowanych. Zanim jednak cokolwiek wydrukują, bez trudności przedstawię to księdzu arcybiskupowi, by mógł poczynić uwagi i zmiany, jakie będzie uważał za wskazane. Zrobisz mi prawdziwą przyjemność, jeśli złożysz najdostojniejszemu naszemu Arcybiskupowi wyraz mojej najgłębszej czci. Równocześnie dziękuję ci za wszystko etc. 29 lipca 1875 r.

W ciągu wymiany tej korespondencji arcybiskup przygotował już okólnik do wszystkich biskupów swojej prowincji i tej w Vercelli, by ich nakłonić do zaprotestowania w Rzymie przeciwko Dziełu Synom Maryi Wspomożycielki. Podkreślone było w okólniku, że będzie ono szkodliwe dla małych seminariów poszczególnych diecezji. Wszak wierni będą wzywani do ofiar na jego podtrzymanie, które tym samym nie wpłyną do seminariów biskupich. Będzie także rzeczą naturalną, że najlepsi młodzieńcy z każdej diecezji będą się czuli więcej pociągnięci do Zgromadzenia Księdza Bosko. Sam nie byłby przeciwny zatwierdzeniu tego Dzieła, ale pod warunkiem, że Ksiądz Bosko zapewni, iż nie będzie przyjmował młodzieńców poniżej lat 18 - tu i że nie będzie ich wychowywał inaczej, jak według regulaminu, ustalonego ze swoim ordynariuszem. Ten zaś z dwoma biskupami najstarszymi w prowincji będzie miał pełne prawo wizytować i inwigilować nowe kolegium, by tak upewnić się, że nie przynosi ono szkody seminariom diecezjalnym.

Miał słuszość biskup ze Skuzy, odpowiadając na ten okólnik, iż przecież obawa o seminaria wyższe wykluczona jest art. 5 regulaminu, który pozostawia swobodę wychowankom powrócić do ich diecezji po ukończeniu kursu Księdza Bosko. Odnośnie zaś do poddania instytutu pod jurysdykcję biskupów, to „niech mi daruje Wasza Eksceleńcja – pisze wspomniany biskup dalej – jeśli odważam się wyrazić mu swoje wątpliwości, żeby w tych warunkach, w jakich znajduje się Ksiądz Bosko, wypadło nam biskupom udaremniać przywilej egzempcji, przyznany mu przez Stolicę świętą. O ile okazał się skłonny poczynić wszystkie zmiany, jakie Wasza Eksceleńcja by mu podsunął, to jednak wątpię bardzo, żeby dał się nakłonić do tego, przez co zostałyby zaatakowany przywilej egzempcji i ograniczona jego niezależność. W takim wypadku znalazłby się on przed alternatywą, albo działać dalej nie zważając na sprzeciw Waszej Eksceleńcji, a wtedy ucierpiałaby na tym powaga arcybiskupa i okazałby się w pełni bezpodstawność obaw przed grożącym naszym seminariom niebezpieczeństwem; albo też Ksiądz Bosko zaniechałby swego projektu, a w takim wypadku będzie to ze szkodą dla Kościoła, który zostanie pozbawiony tych korzyści, jakie z tego dzieła by płynęły. Nam powinno leżeć na sercu, by te korzyści osiągnąć.”

Ordynariusz turyński nie zadowolił się tylko napisaniem okólnika do biskupów, ale zwrócił się także do kardynała Pizzami, prefekta Kongregacji Biskupów i Zakonników długim listem, który warto tu przytoczyć w całości.

Eminencjo, Ksiądz Bosko, założyciel i przełożony Zgromadzenia Towarzystwa św. Franciszka Salezego w Turynie, wczoraj przysłał do tutejszego cenzora druczek, zawierający projekt otwarcia przez to Zgromadzenie zakładu dla starszych młodzieńców, którzy okazują chęć wstąpienia do stanu duchownego. Chce ich w ten sposób przygotować do studiów filozofii i teologii, a następnie wysłać ich czy do zgromadzeń zakonnych, czy na misje, względnie do ich diecezji. Poza ogólną zachętą, z jaką zamierza zwrócić się do młodzieńców, ma być także załączony apel do wiernych, by przyszli mu z pomocą w utrzymaniu tego nowego kolegium. Kolegium ma nosić nazwę: „Dzieło Synów Maryi Wspomożycielki” i jest rzekomo zalecone i pobłogosławione przez Ojca świętego. Otóż taka instytucja będzie na pewno zupełną,

albo przynajmniej częściową ruiną dla małych seminariów diecezjalnych, bo wtedy większa część ofiar popłynie z diecezji do zakładu Księdza Bosko. Także wielu młodzieńców pociągniętych ulgami pieniężnymi, opuści małe seminaria własnej diecezji, ażeby iść do seminarium Księdza Bosko, który potem zatrzyma u siebie jednostki zdolniejsze, a odeśle do diecezji nieudolnych. Jestem dlatego pewien, że biskupi mej archidiecezji, zaledwie dowiedzą się o tym projekcie, zaprotestują przeciw niemu, jako zamachowi na życiowe interesy ich diecezji. Co dotyczy mojej archidiecezji, oświadczam, że ten projekt będzie zgubny dla małego seminarium, którego otwarcie tyle trudów mnie już kosztowało. Dlatego muszę posłużyć się wszelkimi środkami, jakie mi są dostępne, aby przeszkodzić powstaniu tego kolegium kosmopolitycznego, jakie Ksiądz Bosko zamierza otworzyć w Turynie. Pewne, że jest to dzieło bardzo zbożne i potrzebne, skoro ma przygotować młodzież do stanu duchownego i na misje, a przy tym zostało zalecone i pobłogosławione przez Ojca świętego. Ale tutaj w Piemontcie każdy biskup ma w swojej diecezji małe seminarium i za parę lat, jeśli znów jakaś zawierucha polityczna nie przeszkodzi, będą mogli z nich zbierać piękne owoce. W samym zaś Turynie istnieje kolegium szkół apostolskich, założone przed paru laty przez jego dyrektora księdza Ortaldo, który z wielkim nakładem i trudem wychowuje tam przeszło stu młodzieńców. Podobne kolegium jest także przy znanym instytucie kanonika Józefa Cottolengo, gdzie sześćdziesięciu młodzieńców z różnych diecezji kształci się darmo i skąd wychodzą doprawdy wartościowi kapłani. Projektowany, więc instytut Księdza Bosko jest w Piemontcie niepotrzebny, a właściwie szkodliwy. Dlatego też nie mogę wyrazić na niego swej zgody. A ponieważ dotąd nic mi nie wiadomo, żeby Ojciec święty wyjął zakłady Księdza Bosko spod jurysdykcji biskupiej, uważam, że jestem w pełnym prawie przeszkodzić tej inicjatywie. Pragnąc jednak uniknąć nieporozumień, by nie dostarczać materii przewrotnym dziennikom do pisania na kler, proszę gorąco Waszą Eminencję, a przez niego Kongregację Biskupów i Zakonników, ażeby zaleciła Księdzu Bosko zaniechania jego projektu, aż biskupi piemontccy wypowiedzą się w tym względzie. Chodzi o sprawę ważną, z której, jeśli się temu wczas nie zapobiegnie, mogą wyniknąć bardzo opłakane następstwa. Całując świętą Purpurę, kreślę się z najgłębszą czcią Eminencji Waszej najpokorniejszy i najbardziej oddany, sługa Wawrzyniec, arcybiskup Turynu, 25 lipca 1875 r.

Dnia 7 sierpnia przyszła kolej na biskupa Ivrei, który w obszernym piśmie skierowanym do tegoż kardynała, podobnie uzasadniał tezę, że otwarcie w Turynie Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki dla powołań kapłańskich, rekrutujących się ze wszystkich okolic Włoch, byłoby uszczerbkiem dla jurysdykcji ordynariuszów, wielką szkodą dla małych i wyższych seminariów, jak też utrudnieniem przy zwalnianiu kleryków od służby wojskowej, a nawet przyczyniłoby się z dalsza do zniknięcia niektórych diecezji. List zaś kończył się tymi słowami: Najusilniej proszę Waszą Eminencję, by wziął pod uwagę wyjaśnienia arcybiskupa turyńskiego odnośnie do opłakanych następstw i szkód, jakie by to dzieło pociągnęło za sobą i by raczył zarządzić, ażeby Dzieło Synów Maryi Wspomożycielki, /której nawet nie tytułuje się

Najświętszej/, nie doszło do skutku. W ten sposób położy się kres intrygom, które robią przykre wrażenie tak na poważnych kapłanach, jak i osobach świeckich, o tym poinformowanych.

Tymczasem nadchodzący nowy rok szkolny naglił ażeby prospekt przyjęcia dać, czym prędzej do druku i na czas to ogłosić. Stąd też Ksiądz Bosko posyłał raz i drugi kierownika drukarni do Kurii po upragnione pozwolenie, ale nie tylko, że nie nie wskórał, ale jeszcze za to przywołano go ostro do porządku. Chciano przy tym wyciągnąć od niego, czy przypadkowo nie otrzymał zlecenia od Stolicy Świętej, ażeby w tym względzie porozumiał się z arcybiskupem turyńskim. Ksiądz Bosko odpowiedział odwrotnie pismem do teologa Chiuso, że żadnego polecenia nie otrzymał z Rzymu, aby się porozumiewać z ordynariuszem turyńskim odnośnie do Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki, co jest zresztą zupełnie naturalne, skoro chodzi o dzieło dla ogólnego dobra Kościoła, a nie dla jednej diecezji. Zresztą nie ma potrzeby wiązania się z ordynariuszem, z którego diecezji bardzo mało, albo może nikt z tego dzieła nie będzie korzystał. Zaznaczył przy tym, iż Dzieło to uruchomi się za Turynem.

W tymże samym dniu wysłał także list do kardynała Antonellego, sekretarza stanu: Eminencjo, chętnie pominąłbym poniżej przytoczone sprawy, wiedząc dobrze, jak drogocenny jest czas Waszej Eminencji. Ale ponieważ wiem, że już do Ojca świętego doszły wiadomości o biegu wypadków w Turynie, odnośnie do Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki, czuję się zmuszony dać i od siebie odpowiednie wyjaśnienia. Prawdopodobnie Eminencja przypomina sobie, przynajmniej ogólnie, jaki powzięłem projekt, by umniejszyć przykre następstwa, spowodowane poborem kleryków do służby wojskowej. Mówiłem na ten temat także z Ojcem świętym, który pobłogosławił mój zamiar i jeszcze później zachęcał mnie do jego urzeczywistnienia. Wróciwszy do Turynu, przedłożyłem projekt zamierzonego Dzieła dwunastu biskupom, prosząc ich o listy pochwalne, które otrzymałem. Mając zaś drukować prospekt warunków przyjęcia kandydatów, posłałem go do cenzora kurialnego turyńskiego, z prośbą, aby ten rzecz przedstawił także naszemu arcybiskupowi. Na odpowiedź musiałem czekać aż osiem dni, po czym dano mi do zrozumienia, że w rzeczy tak ważnej arcybiskup musi się porozumieć z ordynariuszami prowincji turyńskiej, geneueńskiej i w Vercelli. Nie mogąc otrzymać posłuchania, od tutejszego arcypasterza, przedstawiłem jego sekretarzowi, że mnie nie chodzi o rzecz nową, ani dotyczącą wyłącznie jednej diecezji, ale dotyczy ogólnie dobra Kościoła i która została zalecona i pobłogosławiona przez wszystkich biskupów, którym ją przedstawiono, a także przez samego Papieża. Wobec czego potrzebne mi było tylko zwykłe „imprimatur” do druku, a nie żadna dyskusja nad wartością projektu. Ale odpowiedź pozostawała zawsze ta sama.

W okólnikach zaś, pisanych przez arcybiskupa do biskupów wspomnianych prowincji, przytaczane były różne powody, aby tylko ich skłonić do zaprotestowania w Rzymie przeciw temu Dziełu. A oto najważniejsze: Ksiądz Bosko ustala pensję miesięczną na 24 franki, a będzie przyjmował na pewno wychowanków za opłatą

niższą, albo w ogóle darmo. Ksiądz Bosko pisze, że mogą się zgłaszać młodzieńcy od 16 lat w górę, a potem przyjmie młodszych ze szkodą dla seminarium. Na utrzymanie tych młodzieńców będzie zbierał jałmużny od wiernych; ucierpią, więc przez to seminaria diecezjalne. Wartość tej argumentacji jest oczywista...

Dzieło zamierzone ma na celu dobro wszystkich diecezji, a jeśli młodzieńców będzie się przyjmować darmo, to tym lepiej: wiem także, że niektórzy biskupi już odpowiedzieli, iż nie można sprzeciwiać się inicjatywie zaaprobowanej przez Ojca świętego, ale przeciwnie należy ją gorąco poprzeć. Każdy biskup w swojej diecezji ma iść za wskazówkami Stolicy św. a nie występować przeciwko niej. Odnośnie zaś żądania arcybiskupa turyńskiego, by to dzieło było od niego zależne, to jeden z biskupów zauważył, że stawiać warunki ordynariuszom innych diecezji, jest to wdzierać się w ich jurysdykcję i tak stoi cała ta sprawa na martwym punkcie w tej chwili. Mam gotowy papier, ludzi, drukarnię, a tymczasem Kuria diecezjalna wszystko wstrzymała. Nie wyznacza nawet czasu, kiedy by tę rzecz można w ruch puścić. Na moje listy nie odpowiada, na posłuchanie osobiście ordynariusz nie chce mnie przyjąć. Takie zwlekanie jest bardzo szkodliwe i pociąga za sobą także straty pieniężne.

Wobec takiego stanu rzeczy jestem gotów uciąć krótko i rozpocząć to dzieło w innej diecezji, w której biskup będzie je popierał materialnie i moralnie. Wprowadzie wynikną z tego kłopoty z rozlokowaniem personelu, ale będzie przynajmniej spokój. Zanim jednak na to się zdecyduję, poprosiłbym Waszą Eminencję o łaskawe rozpatrzenie tej sprawy, a jeśli by Eminencja uważał za wskazane, niech w tej sprawie pomówi z Ojcem św. i napisze mi łaskawie kilka słów porady.

Słyszę z przykrością, że Eminencja słabuje na zdrowiu. Będziemy się modlić wszyscy, by dobry Bóg go zachował dla ogólnego dobra Kościoła, zwłaszcza zaś Zgromadzenia Salezjańskiego, którego Eminencja był zawsze łaskawym ojcem i wybitnym dobrodziejem. Z największą wdzięcznością całuję św. Purpurę i kreślę się pokorny sługa Ksiądz Jan Bosko, 08.08.1875 r.

Odpowiedź ordynariusza na list Księdza Bosko z 8 sierpnia do teologa Chiuso powiększyła jeszcze nieporozumienie. Wszystkie pertraktacje Księdza Bosko z Kurią były właściwie dolewaniem oliwy do ognia. Także w pewnym punkcie owej odpowiedzi Księdza Bosko dopisał na marginesie: Biada, jeśli się uczyni jeszcze jeden krok. Owo „biada” jest wyrazem obawy Księdza Bosko przed tym, co by nastąpiło, gdyby jeszcze dalej nalegał o „imprimatur”. Gdy więc przekonał się, że sprawa aprobaty ze strony Kurii weszła w ślepią uliczkę, zwrócił się o nie do biskupa z Fossano – biskupa Manacorda. Ale i tak pozostał formalny zakaz rozszerzania jakiegokolwiek odezwy czy programu na terenie archidiecezji turyńskiej aż do czasu, kiedy z Rzymu „nadejdzie autentyczny dokument, w którym Papież pełni swej władzy, ponad wszelkimi przepisami prawa kanonicznego, przyzna Księdzu Bosko, odnośnie do Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki, zupełną niezależność od biskupów”.

Z początku Ksiądz Bosko zamierzał Dzieło Synów Maryi Wspomożycielki otworzyć w Oratorium, w lokalu, po lewej stronie Bazyliki, ale ostatecznie, jak już

wspomnieliśmy, ażeby uniknąć dalszego odwlekania i sporów, w porozumieniu z arcybiskupem genueńskim, zdecydował się rozpocząć je raczej w Sampierdarena przy tamtejszym budującym się zakładzie. Na prospekcie przyjęć zaznaczonym było, by tam kierować podania. Pisząc o tym do biskupa Vitelleschi, wyraził się: O, gdybym był zaraz poszedł za radą Waszej Eksceleńcji i Dzieło Synów Maryi Wspomożycielki rozpoczął w innej diecezji, to byłbym sobie zaoszczędził dużo papieru.

Wszystkie te przykre zajścia bynajmniej nie wytrąciły Księdza Bosko z równowagi. O tym jego niewzruszonym spokoju świadczą listy z owych lat, między innymi niżej zamieszczony do teologa Chiuso:

Drogi księżę doktorze!

Jak już pisałem, dnia 8 sierpnia, jest moim najżywszym pragnieniem nie narażać się swojemu ordynariuszowi i dlatego za radą osobistości, która bardzo ceni naszego arcybiskupa, a jest również życzliwa i naszemu Zgromadzeniu, otwarłem instytut Synów Maryi Wspomożycielki w innej diecezji. Pisałeś mi o dwóch warunkach, pod jakimi można by je uruchomić tutaj w Turynie, ale są one nie do przyjęcia, gdyż całe to Dzieło z między diecezjalnego zamieniłoby się na diecezjalne. W takim wypadku projekt ten, jako nowy, musiałby zostać znowu odesłany do Rzymu, co by sprawę jeszcze odwlekło. Gdyby tu chodziło o instytucję diecezjalną, to oczywiście trzeba by jej program przedłożyć ordynariuszowi do aprobaty, ale mnie chodzi o zawiązanie dzieła o szerszym zakresie. Z naszej diecezji może się w nim znaleźć dwóch, trzech chłopców, a może i żaden. Dzieło to ma na celu zasilać zakony, misje, a także i seminaria diecezjalne i to bez żadnych kłopotów dla tych, którzy będą z niego ciągnąć korzyści.

Piszesz mi, że nie otrzymam pozwolenia ani na wydawanie odnośnych druków, ani na kolportowanie programów ani prospektów warunków przyjęć, ani tym bardziej wolno mi zwracać się do wiernych o jałmużnę. Dotąd tego nie robiłem w naszej diecezji. Co dotyczy druków, uważałem, że wystarczy zwykła cenzura kurialna. Co do zbierania ofiar, to skoro one nie popadają pod żadną jurysdykcję kościelną, to przecież mogę je zbierać na tak zbożny cel. Tak postępowalem od 35 lat po dzień dzisiejszy. Ostatecznie w diecezji nic nie będę publikował, a co do zbierania ofiar, poproszę o pozwolenie. Jeśli go zaś nie otrzymam, będę kwestował gdzie indziej.

Szkoda, że przy tym wszystkim, co się rozgaduje pod moim adresem, nie usłyszy się słówka na temat, ilu już młodzieńców przygotowałem do seminarium turyńskiego, nic się też nie mówi, co salezianie robią dla archidiecezji, głosząc kazania, ucząc katechizmu i na wszelkie sposoby przyczyniając się do rozwoju w niej życia religijnego, a to wszystko bez żadnej subiekcji dla ordynariusza. A teraz zamiast poparcia i życzliwości spotyka nas krzywdzące traktowanie, rzuca nam się kłody pod nogi, stawiając nam przeszkody, o jakich żadnemu z biskupów nie przyszło na myśl.

Przeczytaj cierpliwie ten list i przekonaj się, że nie mam innych celów przed sobą, jak przez to dzieło czynić dobrze Kościołowi, co zresztą stwierdził sam arcybiskup, który dawniej nieraz mówił i pisał, że w mojej działalności jest palec Boży

i że moje poczynania powinien popierać każdy człowiek dobrej woli jak tylko może.
Z wyrazami czci etc.

14.08.1875 r.

Warto tu przytoczyć jeden ciekawy szczegół, jaki w owym czasie zaszedł i na jednej z konferencji w owym roku prokurator seminarium turyńskiego mówiąc do kleryków o posłuchu należnym władzy kościelnej, skorzystał z tej okazji, ażeby wytknąć, jak to w niektórych instytucjach ubliża się posłuszeństwu należnemu władzy kościelnej i odciąga się tamtejszych alumnów od seminarium diecezjalnego, ku wielkiemu ich zgorszeniu i ze stratą diecezji. Nie wymienił przy tym Księdza Bosko, ale wszyscy słuchacze domyślili się, o kogo chodzi. Otóż na rekreacji, po tej konferencji, padła rozmowa między klerykami na temat wypowiedzi prorektora. Wtedy asystent jednej grupy kleryków, których było 38 z ciekawości kazał im się podzielić na dwie grupy, a mianowicie tych, którzy przyszli z Oratorium Księdza Bosko i tych skądinąd. Okazało się, że tych od Księdza Bosko było ni mniej ni więcej, tylko 35. Wtenczas asystent poprosił prorektora i przedstawił mu te dwie grupy. Zmieszał się biedak i po kilku słowach przeproszenia prędko się oddalił. Świadkiem tego jest ks. August Amossi, późniejszy salezjanin, zmarły w roku 1926. Wypadło też jeszcze Księdzu Bosko w sprawie Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki pisać do biskupa Vitalleschi, który jako sekretarz Kongregacji Biskupów i Zakonników, dał mu znać, iż Ojciec Święty poinformowany został o reklamacjach arcybiskupa Turynu i biskupa Ivrei, wniesionych przeciwko projektowi tej instytucji i zauważył, że przecież św. Kongregacja musi coś na to odpowiedzieć. Znaczyło to, iż biskup oczekuje wyjaśnień. Wysłał je Ksiądz Bosko z Mornese:

Ekscelencjo!

Przykro mi bardzo, że cała ta sprawa Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki nabiera tyle rozgłosu zupełnie niepotrzebnego. A oto jego krótka historia... W dalszym ciągu swego listu, przedstawię cały znany nam już przebieg tej sprawy, podkreślając trudności stawiane przez arcybiskupa turyńskiego i tak kończy: Obecnie zdecydowałem się na otwarcie Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki w diecezji genueńskiej, której arcybiskup jest nam bardzo życzliwy. Także inni biskupi proszą, by coś podobnego zorganizować u nich. W ten sposób, przypuszczam, uniknie się zażaleń ze strony ordynariusza turyńskiego, który, jeżeli uważa to za stosowne, może sam otworzyć podobny instytut razem z biskupem Ivrei w swojej archidiecezji. Ja będę się bardzo cieszył z tego, bo praca będzie intensywniejsza i tym obfitsze przyniesie plony. Jeżeli Ekscelencja raczy mi udzielić jakiejś porady, przyjmę ją z wdzięcznością. Proszę mi wybaczyć wszystkie kłopoty, jakie sprawiam Waszej Ekscelencji, i pozostaję etc.

25.08.1875 r.

PS. Aby kogoś nie urazić, prospekt i program Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki nie drukuje się w naszej drukarni, chociaż tu już był na maszynie, ale we Fossano, z „imprimatur” biskupa Manacorda.

Mimo to wszystko arcybiskup turyński nie uspakajał się. W liście z 25 sierpnia do kard. Bizzarri, znowu ten drażliwy temat poruszył, rozwodząc się nad całą sprawą Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki według swego punktu widzenia. Ale, podczas gdy oczekiwał odpowiedzi na ten list, Ksiądz Bosko otrzymał od kard. Antonelli te kilka pocieszających słów: Wzięto tu bardzo poważnie pod rozwagę, co Przewielebny Ksiądz pisał z 8 sierpnia. Wobec trudności, jakie tam napotyka, należy tylko pochwalić zamiar, by kolegium takie otworzyć w diecezji, w której cieszyłoby się poparciem ordynariusza. Z wyrazami etc.

04.09.1875 r.

Ksiądz Bosko, pragnąc uniknąć możliwych nowych nieprzyjemności, bez żadnego uprzedzenia, zawiadomił ze swej strony ordynariusza turyńskiego o decyzji otwarcia domu dla Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki w innej diecezji, następującym listem:

Ekscelencjo!

Ażeby nie było żadnych niedomówień, niniejszym mam zaszczyt zawiadomić, że otworzyłem dom dla Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki w innej diecezji. Oczywiście chciałbym prospekt warunków przyjęcia rozesłać także w archidiecezji turyńskiej, ale nie uczynię tego bez pozwolenia Waszej Ekscelencji i o to pozwolenie niniejszym bardzo proszę, o ile takie nie będzie przeciwne większej chwale Bożej. Z najgłębszą czcią etc.

29.09.1875 r.

Nie tylko w piśmie, ale i w słowach Ksiądz Bosko był bardzo oględny w omawianiu tej przykrej sprawy. Na posiedzeniu Kapituły Wyższej, dnia 14 sierpnia, nie powiedział jednego słowa więcej od tego, co było koniecznie potrzebne na ten temat i to zawsze w tym tonie jego wyrozumiałości właściwym. Kiedy indziej tak odezwał się do księdza Barberisa: Rozpoczęliśmy Dzieło Synów Maryi Wspomożycielki. Nie brakło przeszkód i nie wszystko idzie, jakby się chciało. Liczba kandydatów jest raczej skromna, ale zobaczysz, że dzieło to rozwinie się dobrze i będzie w przyszłości prawdziwym rezerwuarem powołań kapłańskich i misyjnych. Nieraz się słyszy powiedzenie: „Ciężkie czasy”, – ale miejmy nadzieję, że się wkrótce zmieni i nastaną lepsze, a wtedy zwiększy się także liczba powołań. Tak, tych lepszych czasów możemy pragnąć, ale nie spodziewać się ich. Jeżeli jest prawdą, że skutki są proporcjonalne do pracy oraz czynów i że dana przyczyna musi pociągnąć swoje następstwa, to biorąc pod uwagę stan rzeczy, jaki teraz widzimy, musimy dojść do przekonania, że zło zapuściło szeroko mocne korzenie i bardzo gorzkie będą jego

skutki i długofalowe. Trudno ludzkim dowcipem przewidzieć, jak się to wszystko kiedyś skończy. Wszak zaledwie 30 czy 40 lat temu istniały w Europie różne państwa katolickie, jedno mogło liczyć na drugie, a teraz doprawdy nic z tego. Widzimy, co się dzieje..., ale mimo wszystko nie traćmy odwagi. Żniwo jest wielkie. Dołóżmy i my cegielkę do majestatycznego pomnika zwycięstwa... /z kroniki księdza Barberis pod dniem 23 stycznia 1875 r./.

Ogół biskupów doceniał wartość i świętość Dzieła Synów Maryi. Biskup z Albengi nazywał je godnym wszelkiej pochwały. Biskup z Vigevano widział w nim pełnię ducha Księdza Bosko, tego „Męża Bożego”. Biskup z Acqui podkreślał, że „zapobiega ono doprawdy potrzebom czasu”. Na potwierdzenie tego przytoczył następujący fakt:

„Niedawno, bo wczoraj – pisze on – przyszedł do mnie jeden proboszcz, który ma w swojej parafii 24 - letniego młodzieńca, już zwolnionego ze służby wojskowej, a odznaczającego się pobożnością i bystrością. Ten pragnąłby zostać kapłanem. Wobec jednak już późnego wieku, przy nieznamomości języka łacińskiego, nie może być przyjęty do seminarium. Brak mu też środków na opłatę. Otóż właśnie dla owego chłopca i dla tylu innych w podobnych warunkach, w sam raz nadaje się zakład Księdza Bosko dla Synów Maryi.

Tak samo pełni uznania dla tej sprawy byli biskupi: z Aleksandrii, z Tortony, z Casale i arcybiskup z Genui. Biskup z Casale tak pisał w liście do Ojca świętego: Ów Mąż Boży, jakim jest Ksiądz Bosko, ułożył bardzo mądry program dla Dzieła Synów Maryi i można spodziewać się z tego bardzo dobrych owoców.

Na temat Synów Maryi, jak obecnie nazywamy młodzieńców ze spóźnionym powołaniem, Ksiądz Bosko zawsze chętnie rozmawiał, zaznaczając przy tym, że wobec prawa o poborze do wojska kleryków, przedmiotem jego szczególniejszej troski byli zawsze młodzieńcy, którzy albo odbyli już służbę wojskową, albo byli od niej zwolnieni. W przyszłości, mówił, biskupi, widząc dobre rezultaty naszych poczynań, będą nas naśladować i otworzą podobne szkoły. Deo gratias... Daliśmy przykład, bądźmy zadowoleni, że dobro przez nas zainicjowane rozszerza się, mniejsza o sposoby i instrumenty, przez które się to dzieje. Ja spodziewam się dużo po tych drogich Synach Maryi.

Doprawdy, odezwał się jeden z obecnych – godnym podziwu jest rozwój tego dzieła. Widzimy, że jeśli Ksiądz Bosko coś rozpocznie, to nigdy się nie wycofuje...

A to, dlatego się nie wycofuje – potwierdził Ksiądz Bosko – bo my zawsze krocymy po gruncie pewnym. Zanim coś się rozpocznie, upewniamy się, czy w tym jest wola Boża. Jeżeli tak, to już bezwzględnie idziemy naprzód. Mogą tysiączne piętrzyć się trudności przed nami, to nic nie znaczy. Jeśli Bóg tego chce, stoimy nieustraszeni w obliczu jakiegokolwiek przeszkody.

No tak – powiedział ks. Chiala – ale trudność polega na tym, skąd przekonać się, że coś jest doprawdy wolą Bożą?

Bez wyraźnego objawienia Bożego – wtrącił inny – nikt nie może być tego pewnym.

Przy tym jednak – ciągnął dalej Ksiądz Bosko – nie zważając na powyższe refleksje – choć oparci na woli Bożej i na Boskiej Opatrzności, nie idziemy ślepo naprzód, ale upewniamy się, czy są do tego odpowiednie środki, oczywiście nie te materialne, których nigdy nie ma dosyć, bo na ten czas... ale liczymy na te, które można liczyć roztropnie. Zrobiwszy zaś jedną część pracy, mówię sobie: Zaraz, zaczekajmy. Zobaczymy, czy można iść naprzód, czy są widoki? Czy to, co dotąd zrobione, daje rękojmię dalszego powodzenia? I tak idzie się powoli naprzód, oczywiście nie stojąc z założonymi rękoma. Pomocy szuka się tu, szuka się tam, pisze się petycje, odezwy, zaproszenia, urządza się loterie, rozsyła się listy subskrypcyjne, słowem porusza się pół świata. A to wszystko mam już na oku, kiedy rozpoczynam działać w danym kierunku. Jakże inaczej można by coś zrobić. Ufam bezgranicznie w Opatrzność Bożą, ale wiem także, że Opatrzność chce, byśmy jej pomagali z największym naszym wkładem.

Dzieło Maryi Wspomożycielki, w swych początkach tak atakowane, należało do tych, na które Ksiądz Bosko bardzo liczył. Ci młodzieńcy – mówił do swojej Kapituły – już dojrzały, o zdrowym kryterium, zaledwie zostaną wyświęceni na księży, zaraz będą bardzo owocnie pracować. Owszem, nawet przedtem jeszcze są wielce pomocni: pomagają, bowiem w domu, przy załatwianiu wielu spraw natury delikatnej, asystują młodszym, a niektórzy z nich zdolni są nawet uczyć w klasach elementarnych. Podań jest wiele. Zgłaszają się nawet żołnierze. Ostatnio wniósł prośbę o przyjęcie jeden brygadier.

Na początku tego roku szkolnego, choć główny zakład dla Synów Maryi, był w Sampierdarena, to przecież poważna ich grupa pozostawała jeszcze w Oratorium. Tak tu, jak i tam, na lekcje uczęszczali razem z młodszymi wychowankami. W roku 1876 Ksiądz Bosko zaprowadził pewną nowość. Wybrawszy starszych i zdolniejszych z klasy drugiej i trzeciej, utworzył z nich osobny kurs ze specjalnym programem z łaciny i włoskiego. Chciał w ten sposób skrócić im lata nauki i umożliwić szybkie przywdzianie sukni kłeryckiej. Kurs ten nazwano „scuola di fuoco – szkoła ognia”, a to ze względu na zapał jej uczniów i pośpiech w przerabianiu materiału szkolnego. O tej to szkole tak mówił Ksiądz Bosko 8 lutego 1876 r., na słówku wieczornym:

Dzisiaj, drodzy chłopcy, chcę wam mówić o jednej rzeczy, o której już temu i owemu wspomniałam, ale ogłowi jest ona jeszcze nieznaną. Obecnie pragnę zapoznać z nią was wszystkich. Otóż chciałbym urządzić wielki połów ryb:, dlatego zarzucam sieć i z radością wyłapię tych wszystkich, którzy zechcą się dać ułowić. Bo widzicie: z Ameryki nalegają na misjonarzy, których tam brak. Wiele szczepów jęczy tam jeszcze w cieniu śmierci, w pogaństwie, a to tylko, dlatego, że nie ma, kto by im głosił Ewangelię prawdy. A także i u nas poważnie daje się odczuwać brak księży. Otóż ten brak księży w naszym kraju i zapotrzebowanie na misjonarzy skłoniły mnie do zorganizowania specjalnego kursu dla tych, którzy pragnęliby w szybszym tempie odbyć studia gimnazjalne, a później filozoficzne. Będzie to prawdziwa „scuola di fuoco – szkoła ognia”, w której w przyspieszonym tempie przerobi się, co konieczne, z pominięciem przedmiotów drugorzędnych.

Do tej szkoły będą mogli uczęszczać ci z 4 i 3 gimnazjalnej, którzy już ukończyli 16 lat życia. Bo oczywiście, jeśli ktoś ma dopiero 10 rok, to mu się nie spieszy ze studiami i może je sobie odbywać całkiem regularnie. Ale pierwszym warunkiem przyjęcia do tego kursu jest właśnie dobra wola, bo jeśliby ktoś jej nie miał, to przy tym tempie pracy nie nadaży. Jestem przekonany, że z pomocą wybitnych profesorów, przy tej waszej dobrej woli, ale także przy waszym wielkim talencie, sprawa się uda. /Między chłopcami dały się słyszeć szepty i uśmiechy z komentarzami odnośnie do tej pochwały/. A oto dalsze warunki jeszcze: Każdy, kto chce zapisać się na ten kurs, powinien zdecydować, że albo pozostanie na stałe w Oratorium, albo wyjedzie na misje. Odnosi się to głównie do tych z diecezji turyńskiej, bo tutaj dla przyjęcia do seminarium, wymaga się ukończenia 5 klasy. My go nie wystawimy. Kto zaś takowego nie ma, choćby był najmądrzejszy, to do seminarium w Turynie nie będzie przyjęty. Nie jestem pewien, ale zdaje mi się, że tej praktyki w innych diecezjach nie ma. Są jeszcze inne warunki w seminarium turyńskim. Kto by, więc zamierzał do niego wstąpić, musi z tego kursu zrezygnować. To samo ci, którzy chcieliby potem składać egzaminy państwowe, nie będą mogli do tej szkoły zapisać się, bo w niej nie będzie się wykładać wszystkich przedmiotów, jakie przerabia się w liceach.

Dalej, kto pójdzie na ten kurs, musi zrezygnować z wakacji. Całym odpoczynkiem byłby tylko czas rekolekcji w Lanzo i parę dni wytchnienia. W ten sposób od marca do listopada da się przerobić główne przedmioty, które uzupełni się w czasie studentatu filozoficznego. Jak widzicie, moi drodzy, jesteśmy zmuszeni tak postąpić, gdyż ze wszystkich stron nas wzywają, a zwłaszcza z Ameryki, która oczekuje misjonarzy tak gorliwych, jak był św. Franciszek Ksawery. A więc odwagi, moi drodzy, starajmy się wszyscy wiernie Bogu służyć, dbać o Jego chwałę, a Bóg nie poskąpi nam swoich błogosławieństw. Dobranoc.

W związku z tym kursem warto tu zanotować jeden epizod, jaki się zdarzył w owym miesiącu. Otóż Ksiądz Bosko polecił kierownikowi tej szkoły, czyli jak zwykle się u nas mówi, radcy szkolnemu, aby w „szkole ognia” dał do tłumaczenia Korneliusza Kaposy. Ten jednak pocziwiec, biorąc pod uwagę, że ci z trzeciej już tłumaczyli tego autora, zamienił go na Cezara, nic o tym nie powiedziawszy Księdzu Bosko. I zaszło to, czego należało oczekiwać: słabsi i ci z drugiej klasy nie mogli sobie z Cezarem poradzić. Wobec tego kilku zdecydowało się powrócić do klasy regularnej. Ksiądz Bosko zawiadomiony o tym, skarcił kierownika w obecności innych księży i to w tonie raczej twardym, iż gdyby było posłuszeństwo, nie byłoby bałaganu. Gdyby się zastosowało teksty według jego rady, wszystko poszłoby dobrze. Myśl Księdza Bosko była, aby z początku nie zniechęcać chłopców i dać im do tłumaczenia łatwiejszego Korneliusza, zachęcając ich przy tym, że – skoro już przetłumaczyliście czytanki wybrane łacińskie i macie opanowane podstawowe formy gramatyczne, to obecnie wypada wam przejść do Korneliusza. Z wami będą go tłumaczyć ci, co go już znają i będą wam pomocą. Kierownik szkoły chciał się przed

Księdzem Bosko wytłumaczyć, zwracając właśnie uwagę, że już niektórzy Korneliusza przerabiali.

To nie o to chodzi – przerwał ostro Ksiądz Bosko, ale chodzi o to, żeby było zrobione tak, jak to było ustalone między nami, bo tego wymagało posłuszeństwo. Wobec przykrew sytuacji, jaka się w tej chwili wytworzyła, jeden z obecnych chciał zmienić temat rozmowy. Ktoś inny zwrócił uwagę, że owi trzej chłopcy, którzy powrócili do klasy regularnej, są bardzo dobrzy.

Ci trzej chłopcy... trzej chłopcy – przerwał Ksiądz Bosko. Mnie nie chodzi o trzech chłopców; nie mam zamiaru bliżej się nimi zajmować. Skoro wycofali się z obranej drogi, to... Tutaj wzrok Księdza Bosko mówił więcej niż słowa. Stało się wyraźnym, że całą odpowiedzialność za to, co zaszło, spada na kierownika szkoły.

Ten epizod przypomina nam świętego Patrona salezjanów. Otóż jeden akt, który pod względem posłuszeństwa, nie stanowił nawet lekkiego grzechu, ale był tylko zwykłą niedoskonałością, ściągnął na świętą Franciszkę de Chantal tak uroczyste i surowe skarcenie ze strony jej świętego kierownika duchowego, że miejsce, gdzie się to zdarzyło, pozostało pamiętne i po dziś dzień jest wskazywane i oglądane z bojaźnią i czcią.

Wyrozumiały aż do pobłażliwości św. Franciszek Salezy, w swoim kierownictwie duchowym wymogi stosował do stanu poszczególnych dusz, przez niego kierowanych na drodze zbawienia. Kto więc był powołany do wyższej doskonałości, do tego stosował zasadę ewangeliczną: „Komu więcej dano, więcej od niego wymagać się będzie”. Tak samo powyższe słowa Księdza Bosko, które na pierwszy rzut oka zdawać by się mogły bardzo surowe, nie miały w sobie nic, co by było sprzeczne z ideą świętości. Od starszych, zobowiązanych do większej cnoty, wymagał tylko większej wierności w stosowaniu się do jego zaleceń.

Ale tu również trzeba i to dodać, że w Oratorium nie wszyscy tak myśleli o Synach Maryi, jak Ksiądz Bosko. Nie wierzyli oni, ażeby tak szybko dało się coś wykrzesać z wczorajszych robociarzy od łopaty czy młota, o pamięci już trochę osłabionej wiekiem. Tak to na ogół bywa. Nowość budzi nieufność, a przy tym Ksiądz Bosko zwykł nie przed wszystkimi i nie naraz, wyjawiać swoje zamiary. Czynił to z biegiem czasu wedle potrzeby. Kto więc zdawał się całkowicie na niego, zaufawszy mu w pełni, ten bez ociągania się mógł robić, co on zalecał, pewny, że tak będzie najlepiej. Kto jednak nie wyrzekł się całkowicie swego widzimisię i na rzeczy patrzył powierzchownie, ten łatwo znalazł coś do krytykowania.

W naszym wypadku, kto mógł wtedy przewidzieć, że tylu wartościowych pracowników ewangelicznych, zwłaszcza na misjach, wyjdzie właśnie z owej „scuola di fuoco”.

Ksiądz Bosko, jak zwykle robił swoje i pozwalał gadać, ale też przy każdej sposobności podkreślał wartość tego kursu specjalnego, starając się zyskać dla niego życzliwość otoczenia i pomoc. Żeby mu nadać odpowiedni kierunek i spoistość, oddał go pod kierownictwo takiego świętego kapłana, jakim był znany nam już ks. Guanella. Ten powierzone mu zajęcie przyjął bardzo chętnie i sumiennie spełniał. Kiedy potem

Ksiądz Bosko wybierał się do Rzymu i chciał, żeby wszystkie działy Oratorium wystosowały listy hołdownicze do Ojca świętego, oczywiście nie mogło między nimi zabraknąć i tego od Synów Maryi. Oto tekst pisma, jakie o nich zredagował wspomniany ks. Guanella:

Ojciec święty. Opatrzność, która rządzi losami ludzkimi, powołała mnie od mojej dotychczasowej pracy parafialnej do Zgromadzenia Salezjańskiego. Jestem tutaj całkiem zadowolony i dziękuję za to Bogu. Czas upływa mi bardzo szybko, wśród zajęć, wyznaczonych mi przez dobrych Przełożonych. Dni świąteczne spędzam, jako dyrektor Oratorium św. Alojzego, do którego uczęszcza około 700 chłopców. W ciągu zaś tygodnia moim zajęciem jest kierownictwo Synów Maryi Wspomożycielki, którym Wasza Świątobliwość swego czasu raczył pobłogosławić. Jest ich przeszło stu, a czterdziestka w listopadzie przywdzieje suknię klerycką. Są to młodzieńcy wzorowi pod względem zachowania i bardzo pilni. Nawet ci słabi nie zniechęcają się pierwszymi trudnościami. Niektórzy z nich przerobią w jednym roku 5 klas łaciny. Bardzo są przywiązani do naszego ukochanego Księdza Bosko i oddani całym sercem Papieżowi Niepokalanej. Niecierpliwie oczekują chwili, kiedy będą mogli pracować dla zbawienia dusz. Niech Wasza Świątobliwość nam pobłogosławi, by nas było coraz więcej i byśmy wszyscy stali się jak najbardziej wartościowymi pracownikami w Winnicy Pańskiej... Proszę też o błogosławieństwo dla diecezji Como, aby tam jak najprędzej powstał zakład salezjański. Ośmielam się jeszcze prosić o odpust zupełny dla mnie i moich najbliższych, aż do trzeciego pokolenia, na godzinę śmierci, a my z wdzięcznością modlić się będziemy, by wszyscy ludzie uznali we wielkim Papieżu Niepokalanej i Soboru Watykańskiego – Anioła, opiekuna narodów. Upadając do stóp etc.

Ksiądz Bosko osobiście wręczył to pismo Papieżowi, który raczył je przeczytać, komentując poszczególne zdania i wreszcie dopisał na końcu swoje błogosławieństwo: *Benedicat vos Deus et dirigat in viis suis.*

Uradowany tym Ksiądz Bosko, nie omieszkał bezzwłocznie zawiadomić księdza Guanella, pisząc mu:

Drogi księżu Alojzy!

Na wczorajszej audiencji Ojciec święty, w swojej wielkiej łaskawości, raczył przeczytać od początku do końca przedłożony przeze mnie list od Synów Maryi, następnie wypytywał o ich liczbę, o postęp w naukach, jakie rokują nadzieje na przyszłość, czy ujawniają się wśród nich powołania misyjne. Na moje wyjaśniające odpowiedzi, znalazł następujące słowa zachęty: „Dziękuję Bogu, iż takie dzieło powstało. Niech Ksiądz powie tym drogim młodzieńcom, że ich bardzo kocham w Panu i liczę na ich współpracę nad zbawieniem dusz. Hasłem nich im będzie: nauka, cnota i pogarda. Całym sercem im błogosławię”. To powiedziawszy wziął pióro do ręki i łaskawie napisał kilka słów na końcu listu. Udzielił także dla nich dużo odpustów. Drogi księżu Alojzy, pracuj nadal z najlepszą wolą, a łaski Bożej nam nie zabraknie. Spokój, cierpliwość, odwaga. Resztę rzeczy ustnie. Pozdrów ode mnie

moich drogich Synów Maryi. Napisz też do księdza Albery, że i dla tamtejszych wychowanków jest specjalne błogosławieństwo papieskie. Kochaj mnie w Chrystusie Panu, który zawsze jestem oddanym ci przyjacielem. Polecam się o paciorek i o jedną Komunię św. na moją intencję. Powiedz księdza Barberisowi, by to samo zrobili nowicjusze.

Równocześnie w czasie wspomnianej audyencji Ksiądz Bosko prosił Ojca świętego o odpusty dla Pomocników jego w zakładaniu wspomnianego Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki. Otrzymał wkrótce breve papieskie, które powinno by było położyć kres wszelkiej opozycji z czyjejkolwiek strony.

Sprzeciwy jednak nie ustawały. Artykuł, jaki pojawił się w *Unita Cattolica*, nową wywołał reakcję. Była w nim wzmianka, że pierwszy eksperyment ze Synami Maryi dał dobre wyniki, a zakład otwarty dla nich w Sampierdarena, nie mógł wszystkich pomieścić, przeto kandydaci rozmieszczeni zostali po innych zakładach Zgromadzenia.

Z katalogów zaś szkolnych wynika, że wszystkich razem tych wychowanków jest stu. Kurs gimnazjalny w tym roku ukończy 35, tych ośmiu wstąpi do zakonu, sześciu chce jechać na misje, a dwudziestu wróci do własnej diecezji. Następnie wzmianka była o wielkiej życzliwości Ojca świętego dla tego dzieła i o przyznanych mu odpustach. Na końcu zamieszczono tłumaczenie breve papieskiego na język włoski. Artykuł ten ukazał się także w kilku innych periodykach katolickich. Potrzeba – mówił Ksiądz Bosko – ażeby nasi księża i dyrektorzy uświadomili sobie lepiej ważność tego dzieła, bo jak dotąd, jeszcze się w nim dobrze nie orientują. Mam wrażenie, że na przyszłość będzie to jedyne źródło, z którego biskupi będą mogli czerpać powołania duchowne, mimo prawa o poborze rekruta. Potrzeba także, ażeby pomocnicy nasi docenili wartość swojej z nami współpracy. Ufam, że w ten sposób większość ludności włoskiej przeniknie duch salezjański i utworzymy sobie drogę do przeprowadzenia jeszcze większych rzeczy. Słowa te zanotował i przekazał nam ks. Barberis. Nie ma jednak w jego zapiskach z owych czasów wzmianki o burzy, jaka wynikła wtedy z powodu ofiar składanych przez Pomocników na utrzymanie Synów Maryi i to całkiem niespodzianie. Kiedy bowiem Ksiądz Bosko wysłał drugi artykuł na temat Synów Maryi do teologa Margotti, redaktora *Unità Cattolica*, a przy tym prosił go także o umieszczenie w tym piśmie listu księdza Cagliero, redaktor odpowiedział mu jak następuje:

Przewielebny i Drogi Księżu Bosko, w tej chwili doręczono mi Jego list i drugi artykuł, wczoraj zaś otrzymałem reprimendę z Kurii, której kopię przesyłam. Nie byłbym nigdy podejrzewał, że Ksiądz Bosko każe mi coś wydrukować, czego nie wolno podawać do publicznej wiadomości. Główna wina spada tu na Księdza. Dotąd nic jeszcze nie odpowiedziałem kanonikowi kurialnemu i zdaje mi się, że w ogóle nie będę odpowiadał. Proszę mi kopię odesłać i powiedzieć swoją opinię, ale broń Boże z kimkolwiek o tym mówić. A no tak, trzeba zrobić czasem ofiarę z miłości własnej dla tych, których „*Spiritus Sanctus posuit regere Ecclesiam Dei*”. Piszę na kolanie, ale z całym szacunkiem i wyrazami szczerego oddania. Ks. Margotti, 20.09.1876 r.

Niech mi Ksiądz nie weźmie za złe, że mu zabronię robić dla siebie kopii z tej reprimendy.

Widać z wymiany tych listów całą roztropność i delikatność obu stron, tak Księdza Bosko względem swych przyjaciół, jak i dziennikarza względem Księdza Bosko. Wyrażenia: „nie byłbym nigdy podejmował” i to drugie: „cała wina spada na Księdza” nie są oczywiście żadnym wyrzutem, ale mają posmak swoistej ironii, do jakiej zdolny był dowcipny dziennikarz. Obydwaj rozumieli się bardzo dobrze. A oto tekst owej reprimendy:

Wielce Czcigodny Ks. Redaktorze, mój arcybiskup polecił mi zwrócić uwagę Waszej Wielbności, że bardzo przykro mu było czytać w *Unità Cattolica*, nr 216, artykuł pod tytułem „Dzieło Synów Maryi Wspomożycielki”, umieszczony bez jego wiedzy. Przy artykule tym jest załączone breve papieskie, które jeszcze dotąd nie zostało zakomunikowane arcybiskupowi jak to należało. Mówi się o kanonicznym założeniu stowarzyszenia jakiegoś, o czym także arcybiskup nic nie wie. Były tam opublikowane odpusty, o których tenże arcybiskup nic nie słyszał i to wbrew zaleceniom Soboru Trydenckiego. Słowem ignoruje się porządek hierarchiczny w Kościele, obraża się prerogatywy i deferencję, jaka należy się władzy arcybiskupiej z prawa Boskiego i kościelnego. Także i Księdzu Bosko z urzędu tutejszego zwrócono już uwagę, że publikuje podobne rzeczy bez „imprimatur” arcybiskupiego. I coś również na ten temat było i do Waszej Wielbności zapisane, a jednak te zalecenia pozostały bez echa. Powtarza się to już coś czwarty raz, że *Unità Cattolica* nadużywa okazywanego jej przez obecnego arcybiskupa i to w sposób ubliżający uszanowania, które, jeśli się od wszystkich należy swemu arcypasterzowi, to tym bardziej ze strony dziennikarzy katolickich. Nie wystarczy czynić dobrze; bo czynić dobrze – jest dobrą rzeczą. Ale trzeba pamiętać, że *bonum ex integro, malum ex quocinque defectu*. Arcybiskup ma nadzieję, że *Unità Cattolica* nie da mu już na przyszłość powodów do żalu i nie będzie publikowała programów, o których jest wzmianka w artykule, dopóki nie otrzyma zawiadomienia, że Ksiądz Bosko wszystko należycie z Kurią załatwił. Arcybiskup poleca mi załączyć jego pozdrowienia i wyraża swoje zadowolenie z ostatniego artykułu pt. „Krzyż z cierni”. Z pełnym poważaniem – kanonik Chiuso, sekretarz.

17.08.1876 r.

Wszystkie te wymogi i zastrzeżenia ordynariusza względem Księdza Bosko wynikały z tego, iż nie uznawał on przywileju egzempcji, przyznanego Księdzu Bosko, na który to powoływał się biskup ze Suzy. Prawdą jest to, że Dzieło Synów Maryi w diecezji turyńskiej istniało tylko *de facto*, podczas gdy w prawie traktuje się je, jako już formalnie ustalone i zatwierdzone kanonicznie, ze zwykłym zwrotem w takich aktach – „jako nam było przedłożone”. Ale przede wszystkim trzeba wziąć pod uwagę, że ordynariusz turyński nie kwestionował samego Dzieła, tylko kolegium i to kolegium kosmopolityczne. Dalej w pertraktacjach między Księdzem Bosko a Rzymem wzięto pod uwagę uznanie tego Dzieła przez arcybiskupa genueńskiego

przy zakładzie w Sampierdarena i ono właśnie było podstawą zwrotu w breve – „jako nam przedłożone”. Załatwiał te sprawy tamtejszy dyrektor, ks. Paweł Albera z polecenia Księdza Bosko i otrzymał zatwierdzenie Dzieła jak również „imprimatur” dla wydrukowania programu.

Niezadowolenie ordynariusza turyńskiego powiększało przekonanie, że przez Dzieło Synów Maryi Ksiądz Bosko chce wyłącznie dla siebie ciągnąć korzyści. Wynika to z jednego z przemówień arcybiskupa w kościele Świętego Ducha w Turynie, w którym zalecając ofiarność na rzecz ubogich kleryków, dodał: Prawdą jest, że w jednej dzielnicy tego miasta wychowuje się wielu kandydatów na kapłanów, ale ci są wysyłani potem daleko i żadnej z nich nie mamy pomocy. Aluzja była zbyt wyraźna, by słuchacze nie mieli zrozumieć, dokąd cios był wymierzony. W Turynie zresztą tylko z Valdocco wysyłało się misjonarzy poza Europę. Unità Cattolica zamieściła bez trudności list księdza Cagliari z Ameryki, jak sobie tego życzył Ksiądz Bosko, ale o Synach Maryi nie było wzmianki.

Ksiądz Bosko wprawdzie nie miał w tej chwili żadnego obowiązku pisać do Kurii, gdyż nie do niego, ale do księdza Margotti’ego skierowana była reprimenda, ale ostatecznie dla rozsądnego wyjaśnienia swego stanowiska wysłał do arcybiskupa następujące pismo utrzymane w tonie bardzo poprawnym:

Ekscelencjo!

Ks. Margotti dał mi do zrozumienia, że nie wydrukuje programu Dzieła Synów Maryi, jeśli przedtem nie omówię tej sprawy z Waszą Ekscelencją. Z mej strony najchętniej w każdej chwili służę wszelkimi wyjaśnieniami. Otóż to dzieło Synów Maryi Wspomożycielki, jak Ekscelencja będzie sobie przypominał, miało być zainicjowane w Turynie, ale dla uniknięcia powstających trudności, zostało przeniesione do Sampierdarena, diecezji genueńskiej, gdzie arcybiskup je popiera i zaleca, jako dzieło pobłogosławione przez Ojca świętego. Sam nawet raczył przyjąć poświęcić kamień węgielny pod budynek na ten cel przewidziany. Ojciec święty, biorąc pod uwagę listy polecające wielu biskupów, wydał breve, przyznające odpusty tercjarzy franciszkańskich dla tych, co będą z tym dziełem współpracować. Kiedy więc o tym pisałem do redakcji Unità Cattolica, to miałem na myśli właśnie ów zakład w Sampierdarena i uważałem, że może owo pismo, jako dziennik urzędowy dla spraw kościelnych, pisać o podobnych sprawach, dotyczących ogólnego dobra Kościoła. „Imprimatur” pozostawiłem do załatwienia redakcji. Co zaś mnie dotyczy, to ani w zeszłym roku, ani w tym, nic nie drukowałem, ani nie będę drukował, póki Wasza Ekscelencja na prośbie przeze mnie wzniesionej jeszcze w lipcu ubiegłego roku, nie położy swego zezwalającego podpisu. Kopię breve papieskiego miał Ekscelencja sposobność czytać we wspomnianym czasopiśmie. Jeśliby zaś sobie życzył sprawdzić oryginał, mogę w każdej chwili go przedłożyć. Prosiłbym równocześnie pokornie o udzielnie zezwolenia na umieszczenie drugiego artykułu w Unità Cattolica, a ja zawsze gotów jestem spełnić wszystkie życzenia Waszej Ekscelencji. Z największą czcią etc. 05.10.1876 r.

Żadna z tych przeszkód nie zniechęciła Księdza Bosko. W tydzień, po wyżej przytoczonym liście, pisał do księdza Cagliero: – W Nizza Narittima kupiliśmy wspaniałą budynek, gdzie będziemy mogli przyjąć przeszło stu uczniów do szkół zawodowych i tylu z Synów Maryi.

Aby już wyczerpać omawianą dotąd sprawę Synów Maryi, przytoczymy tu jeszcze jeden bardzo przykry dla Księdza Bosko incydent, jaki miał miejsce w jesieni 1876 roku. Wiemy już, jak mu leżała na sercu ta tak zwana „scuola di fuoco” – szkoła ognia. Kandydaci ci oddzieleni od reszty wychowanków młodszego Oratorium, mogli lepiej ugruntować się w swym powołaniu, a nie wyjeżdżając na wakacje, uniknęli różnych niebezpieczeństw w świecie. W tym osobnym dla nich kursie łatwiej było ich podciągnąć w łacinie, czy we włoskim, bez upokorzeń, jakie by ich spotkały w towarzystwie młodszych kolegów. Przy tym pomagali w różnych posługach w domu, a rozkład dnia dla nich był więcej luźny. Otóż z tego właśnie powodu niektórzy nauczyciele żalili się, że ich się zajmuje do zajęć pozalekcyjnych, że się wałęsają po domu, że nie uczą się wystarczająco i nie są punktualni na lekcjach. Opiekunem ich wtedy nie był już taktowny ks. Guanella, wysłany na dyrektora do Mondovi, ale ks. Lazzero, znany ze swej ustępliwości. Wszyscy też wiedzieli, że właściwym domem synów Maryi jest zakład w Sampierdarena. Na początku, więc roku szkolnego 1876/1877, w czasie nieobecności Księdza Bosko, zwinięto „scuola di fuoco”, wysyłając część kursantów właśnie do Sampierdarena, a reszta wróciła do klas regularnych. Gdy się o tym dowiedział Ksiądz Bosko, który bawił wtedy w Rzymie, nie czekał powrotu, by wyrazić swoje z tego niezadowolenie. Podkreślił przy tym, że on sam ten kurs ustanowił, on sam ze starszymi Przełożonymi chce go doprowadzić do rozkwitu, a przy tym tyle razy już wyraźnie przedstawił swój punkt widzenia w tym względzie. I choć jest dom dla Synów Maryi w Sampierdarena, to jest jednak dużo racji, by przynajmniej jedna klasa była w Turynie. Widocznie chciał on sam osobiście formować przyszłych misjonarzy, a w tym względzie miał już dobre rezultaty z lat przeszłych, a na przyszłość spodziewał się jeszcze lepszych. Po takim postawieniu sprawy przez niego, oczywiście, że kurs „scuola di fuoco” musiał zostać przywrócony. Zgłoszeń do niego nie brakło, a byli wśród kandydatów młodzieńcy doprawdy święci i inteligentni. O nich to wyraził się nasz Ksiądz Bosko, że w trzech, czy czterech latach mogliby już być walną pomocą w pracy misyjnej. Kiedy kończył te rozmowy z księdzem Barberisem i szedł do swego pokoju, natknął się na dwóch takich właśnie młodzieńców.

Oto – powiedział, wskazując na tego, który nazywał się Lago, oto przyszły dzielny misjonarz. Z tą swoją piękną brodą zaimponowałby nawet szachowi perskiemu. Czy chciałbyś – powiedział do niego – abyśmy cię wysłali na Oceanię?

Jestem w rękach Księdza Bosko. Mogę wyjechać i dziś – odpowiedział zagadnięty.

No, ale przecież nie w tym cywilnym ubraniu... Poślemy cię dopiero, jako kapłana. Nie trać, więc odwagi... Zostawmy wszystko Opatrzności Boskiej.

Potem zwrócił jeszcze kilka słów serdecznych do drugiego tak, że obydwaj odeszli wzruszeni serdeczną bezpośredniością Księdza Bosko. Lago był z zawodu aptekarzem i cały swój majątek oddał na dzieła salezjańskie. Zostawszy kapłanem, był niezmordowanym spowiednikiem i niezastąpionym wprost sekretarzem księdza Rua aż do śmierci.

„Synowie Maryi, pisze znakomity historyk, O. Grisar w swojej *Die Katholischen Missionen*, są dla misji salezjańskich wartościowymi pracownikami, gdyż spośród nich wychodzą kapłani pełni hartu ducha, doświadczeni życiowo, którzy już, by iść za swoim powołaniem, musieli pokonać wielkie trudności i stąd tym bardziej gotowi są na wielkie poświęcenia”.

ROZDZIAŁ IV

POMOCNICY SALEZJAŃSCY

Pojęcie Pomocnika Salezjańskiego nie było zaraz – w myśli Księdza Bosko - wyraźnie skryształizowane. Od roku 1841, to jest od chwili, gdy odczuł potrzebę pomocy i współpracy tak od ludzi świeckich jak i duchownych dla przeprowadzenia swych rozległych planów aż do lat 1874 – 1875 trwało układanie zrębów organizacyjnych Związku Pomocników Salezjańskich i dopiero w 1876 r. zredagował ostatecznie jego program i to jeszcze w trzech ujęciach. Nie od rzeczy będzie zestawić tu te trzy koncepcje, wzajemnie się uzupełniające, z których lepiej zrozumiemy właściwą myśl Księdza Bosko w tym względzie.

Zacznijmy od samej nazwy. Najpierw organizacja ta miała się nazywać: ZJEDNOCZENIE CHRZEŚCIJAŃSKIE, następnie STOWARZYSZENIE DLA CZYNIEŃ DOBRZE, wreszcie stało się na „POMOCNICY SALEZJAŃSCY”. Wszak, co innego jest zjednoczenie, a co innego stowarzyszenie. Zasadniczo Ksiądz Bosko zmierzał do utworzenia zespołu ludzi, silnie ze sobą związanych organizacyjnie dla przeciwstawienia się stanowczemu wszelkim atakom zła. I z początku zdawało mu się, że wystarczy tylko luźny związek ludzi dobrej woli, którzy by wspólnie dążyli do wytkniętego im celu. Powoli doszedł jednak do przekonania, że konieczna jest między nimi ściślejsza organizacja. I oto z chwilą, gdy zostało zatwierdzone Zgromadzenie przez Stolicę świętą, ono samo stanowiło już tą silniejszą więź wszystkich jego współpracowników o pomocników, którzy słusznie mogli być uważani: jakby jego tercjarze. I rzeczywiście, jako tacy zostali uznani przez Kościół z chwilą, gdy otrzymali zatwierdzenie kanoniczne.

A teraz od nazwy przejdźmy do celu, jaki miał przyświecać temu związkowi. W pierwszych dwóch redakcjach cel ten jest ujęty bardzo ogólnikowo, w trzeciej redakcji sama nazwa ma swoje wyjaśnienie, gdyż w całości tak ona brzmi: **„Pomocnicy Salezjańscy, czyli sposób praktyczny podtrzymywania dobrych obyczajów w społeczeństwie”**.

Ostrożność w doborze nazwy dla stowarzyszeń w owych czasach nigdy nie była za wielką, zwłaszcza, gdy chodziło o stowarzyszenia religijne. Bardzo łatwo, bowiem mogły powstać poważne zastrzeżenia tak z jednej jak i z drugiej strony. Trzeba było z góry zapobiec wszelkim możliwym nieporozumieniom i podejrzeniom.

Jak zaś miał wyglądać, na co dzień ów „sposób praktyczny podtrzymywania dobrych obyczajów”, to wskazane było we wszystkich trzech programach, z których pierwszy kładł nacisk na interesowanie się młodzieżą opuszczoną, zaś dwa następne zalecały miłość bliźniego, zwłaszcza wobec młodzieży narażonej na niebezpieczeństwo...

Oczywiście, że miłość bliźniego zaczyna się od nas samych, a więc na pierwszym miejscu stawić należało swój własny postęp duchowy.

Środki do osiągnięcia tych celów cztery głównie były wyliczane: pomagać Zgromadzeniu Salezjańskiemu w jego poczynaniach, popierać powołania duchowne, współpracować z dobrą prasą w zwalczaniu złej, wreszcie interesować się wprost młodzieżą opuszczoną. Ogólnym przy tym nakazem była absolutna zależność działalności religijnej nie tylko od Papieża, ale też od biskupów i proboszczów. Salezjanie i Pomocnicy mieli uważać się zawsze, jako bracia i spieszyć sobie wzajemną pomocą, gdy chodziło o większą chwałę Bożą i dobro dusz. Przepis składki w wysokości 1 lira na rok w pierwszej redakcji, już się w następnej nie powtarza, bo potrzeba pomocy finansowej w osiągnięciu celu Związku, nasuwa się sama przez się.

Nie będziemy tu zatrzymywać się nad tą częścią regulaminu, która dotyczy zarządu wewnętrznego, a które to przepisy po dziś dzień są niezmienione. O organie urzędowym pierwszy projekt milczy, w następnych takie wydawnictwo jest zapowiedziane, a ukaże się dopiero w roku 1877.

W żadnym z tych projektów nie ma wzmianki o niewiastach. Czyżby Ksiądz Bosko o nich nie myślał, albo uważał, że bez ich pomocy się obejdzie? Wcale nie... Na ten temat tak raz mówił do księdza Barberisa: „ponieważ już sprawa Synów Maryi Wspomożycielki jest na dobrej drodze, chciałbym teraz ostatecznie ustalić regulamin dla Pomocników Salezjańskich. Już od paru lat nad tym przemyśliwam. Ostatecznie normy dla nich będą gotowe do zimy. Koło dwu lat trzeba będzie, żeby to stowarzyszenie twardo stanęło na nogach. Tymczasem planuję nową rzecz i skoro tylko sprawa Pomocników będzie załatwiona, to się do niej zabiorę. Chodzi o założenie czegoś na kształt trzecich zakonów dla niewiast. Te by jednak nie były zależne od nas, ale od Sióstr Córek Maryi Wspomożycielki. Tyle przekazał nam ks. Barberis w swej kronice, pod dniem 8 lutego 1876 r.

Późną już wiosną Ksiądz Bosko, będąc w Rzymie rozmawiał z Ojcem Świętym także na temat Pomocników. Papież widząc, że w programie tego Stowarzyszenia nie ma wzmianki o niewiastach, *expressis* Derbis dezaprobował takie postawienie sprawy: Niewiasty – mówił, miały często w poczynaniach Kościoła pierwsze miejsce, zwłaszcza w działalności dobroczynnej i przy nawracaniu pogan. Zawsze okazują się one hojne i przedsiębiorcze, jeśli chodzi o pełnienie uczynków miłosierdzia, co u nich jest naturalną predyspozycją, więcej niż u mężczyzn. Wykluczając je, pozbawilibyście się doprawdy wielkiej pomocy..., Ksiądz Bosko, dla którego każde życzenie Papieża było rozkazem, bez żadnego wahania zmienił swój sposób patrzenia na tę sprawę i do Związku Pomocników włączył także i Pomocnice.

Dla zorientowania się lepszego, jaka myśl przewodnia kierowała nim przy organizowaniu Związku Pomocników Salezjańskich, przytoczymy tu późniejsze dwie jego wypowiedzi na ten temat z lat już osiemdziesiątych, kiedy to na konferencji publicznej w Borgo S. Martino tak mówił: Był czas, kiedy wystarczyło, że wierni łączyli się celem wspólnej modlitwy, ale dziś, gdy na wszelkie sposoby szerzy się przewrotność i zepsucie, to już nie wystarcza. Trzeba się organizować i działać.

W roku zaś 1886 tak przemawiał, rzec by można proroczo, do swych byłych wychowanków zgromadzonych z okazji jego imienin: Związek Pomocników Salezjańskich rozszerzy się na wszystkie kraje, przeniknie do wszystkich warstw społeczności chrześcijańskiej. Nastanie dzień, w którym nazwa: **Pomocnik Salezjański** – będzie znaczyła tyle, co dobry chrześcijanin. Pomocnicy nasi będą ostoją ducha katolickiego. Im więcej Stolica Apostolska będzie atakowana, tym bardziej będzie osłaniana przez Pomocników. Im więcej bezbożność będzie się panoszyć, tym wyżej Pomocnicy będą podnosić pochodnię aktywnej wiary.

Papież zaś Pius IX, na rok przed swoją śmiercią, do zaufanej osoby tak się wyraził: „Pomocnicy Salezjańscy są przeznaczeni do działania bardzo dużo dobrego dla Kościoła i społeczeństwa. Ich działalność z biegiem czasu nabierze takiego znaczenia, że zdaje się, iż już widzę jak rodziny, owszem całe miasta i kraje, zapisują się do tego związku”.

Czyż Akcja Katolicka, określona przez Piusa XI, jako współpraca świeckich z hierarchią kościelną, nie jest wcieleniem w życie idei przewodnich, jakie wytyczył swym Pomocnikom Ksiądz Bosko?

Dla tych swoich współpracowników, w nagrodę za ich pomoc, starał się on o podarki duchowe w postaci odpustów. Dopóki ich było niewielu, robił to osobno dla poszczególnych dobrodziejów. Z chwilą zaś zorganizowania się Związku Pomocników, by im wynagrodzić gorliwość i poświęcenie się, zaczął zabiegać o jak najbogatsze odpusty dla ogółu stowarzyszonych.

W tym celu postarał się o listy polecające od biskupów piemonckich i takowe otrzymał. Między innymi biskup z Tortony pisał do Księdza Bosko: „Związek Pomocników, który można bardzo dobrze uważać za trzeci zakon Zgromadzenia Salezjańskiego, już zatwierdzonego ostatecznie przez Rzym, zdaje się, że jest bardzo na czasie, a powiedziałbym, wprost, że jest dziełem opatrnościowym na dzisiejsze warunki, tak przez cel, jaki sobie stawia, jak i przez swoją organizację i sposoby, jakimi posługuje się do osiągnięcia swych zamierzeń. Idealnie, moim zdaniem, odpowiada on serdecznym nawoływaniom Ojca Świętego skierowanym do całego świata ...”.

Z tymi listami polecającymi Ksiądz Bosko skierował swoją prośbę do Papieża za pośrednictwem kardynała Berardi. Na razie nie mógł wprost prosić o ostateczne zatwierdzenie Związku, bo to, jak zwyczaj każe, poprzedzone być musi dekretem pochwalnym. Prosił, więc tylko o następujące facultates:

1. Aby odpusty i inne łaski przyznane zakonnikom wewnętrznym /salezjanom/ mogły być przez Przełożonego udzielane i dobrodziejom zewnątrz;
2. Aby Przełożony Główny mógł do udzielania tych łask subdelegować dyrektorów poszczególnych domów.

W breve, będącym odpowiedzią na powyższą prośbę, z dnia 30 lipca 1875 roku, mógł ku wielkiej swej radości wyczytać, że dobrodziejstwo jego Towarzystwa są uważani na równi z innymi tercjarzami. Był to wielki krok naprzód.

Ale Księdzu Bosko to nie wystarczało i w rok potem wystosował do Ojca Świętego nową prośbę: „Ojciec Święty, odkąd Świątobliwość Wasza raczył zatwierdzić pokorne Towarzystwo Salezjańskie, wzrosła znacznie liczba jego członków i rozszerzyło się pole jego działalności. Wobec coraz większych potrzeb powiększyła się i liczba gorliwych osób świeckich i duchownych ofiarujących swą pomoc. Ci, by ujednostajnić swoją pracę i skonsolidować ją, prosili o ułożenie dla nich stosownego regulaminu. Regulamin został ułożony, a stowarzyszenie otrzymało nazwę Pomocników Salezjańskich. Zmierza ono do wciągnięcia ludzi żyjących w świecie, do takiej samej pracy, jakiej oddają się salezjanie. Świątobliwość Wasza w swej łaskawości już raczył te ich prace pochwalić i pobłogosławić. Także wielu biskupów zaleca ją swoimi listami pochwalnymi i ci zachęcili mnie, bym wniósł prośbę do Waszej Świątobliwości o przydzielenie tymże Pomocnikom odpustów z niewyczerpanego skarbcza łask duchowych Kościoła. Tak każdy z nich będzie miał dowód oczywisty, że Związek ten cieszy się uznaniem i błogosławieństwem Waszej Świątobliwości. Równocześnie będzie to duchową odpłatą dla nich za poświęcenie się dla sprawy Bożej. Prosimy, zatem wszyscy o udzielenie salezjanom i ich Pomocnikom:

1. Odpustu zupełnego na godzinę śmierci;
2. Odpustów i łask duchowych, jakimi cieszą się tercjarze franciszkańscy;
3. Aby odpusty, jakie można zyskać w kościołach franciszkanów w ich święta, można też zyskać i w kościołach salezjańskich.

Ufny, że Wasza Świątobliwość raczy uwzględnić tę pokorną prośbę, błagam o specjalne błogosławieństwo dla wszystkich, którzy wspomagają dzieła salezjańskie i równocześnie chylę się z najgłębszą czcią i synowskim oddaniem do stóp Waszej Świątobliwości pokorny syn i zobowiązany za uwzględnienie prośby.

Ksiądz Jan Bosko

04.03.1876 r.

Odpowiedzią było breve z dnia 9 maja tegoż roku, w którym Pius IX pisał: „aby Towarzystwo Salezjańskie z dnia na dzień rosło i przebierało na sile, udzielam upragnionych odpustów, nie przez pośrednictwo Głównego Przełożonego, ale wprost Związkowi Pomocników Salezjańskich”. Przez tę formę Ojciec Święty niedwuznacznie zatwierdził Związek.

Teraz należało zapoznać z Dziełami i z przyznanymi mu przywilejami szersze społeczeństwo. W tym celu kazał Ksiądz Bosko wydrukować broszurkę, a pierwszy jej egzemplarz z jedną stronką niezadrukowaną przesłał swemu ordynariuszowi, z następującym listem:

Ekscelencjo!

Dziś rano skończyliśmy druk i skład broszurki pod tytułem: „Pomocnicy Salezjańscy”. Są oni jakby naszymi tercjarzami i jako takim, Ojciec Św. udzielił im niektórych łask duchowych. Otrzymawszy błogosławieństwo papieskie, zwracam się obecnie z pokorną prośbą do Waszej Ekscelencji, by jako Arcypasterz głównego Domu Zgromadzenia, również raczył tę rzecz pobłogosławić i by, jeżeli uzna za stosowne, pozwolił umieścić swe imię zaraz po Ojcu Świętym. Uwzględnienie tych dwu prośb będę uważał, jako szczególniejszą łaskę dla nas. W każdym razie proszę niniejsze pismo przyjąć, jako wyraz głębokiej czci i poważania dla Dostojnej Osoby Waszej Ekscelencji. Niech mi wolno będzie kreślić się z wyrazami wielkiej wdzięczności zobowiązany sługa

Ksiądz Jan Bosko

Turyń, 11.07.1876 r.

Niestety i w tym wypadku odnowiła się podobna sytuacja, o jakiej już była mowa w poprzednim rozdziale. Arcybiskup zaraz wysunął zastrzeżenia, jak można było drukować broszurę bez aprobaty Kurii, a po wtóre, jak można było ogłaszać jakieś odpusty, dla jakiegoś Związku Pomocników, o którym władza kościelna w Turynie nic nie słyszała. Chciałby, więc wiedzieć, jak mogło dojść do podobnego przekroczenia przepisów diecezjalnych i Soboru Trydenckiego. Przy tym załączone było ostre upomnienie za wprowadzanie do kościoła na nabożeństwa kapeli wbrew przepisom kanonicznym i synodalnym.

Ksiądz Bosko odpowiedział na to listem skierowanym do kanonika Chiuso, przez którego, jak już widzieliśmy, przychodziło mu załatwiać wszystkie sprawy z arcybiskupem, gdyż ten nie chciał z Księdzem Bosko wprost rozmawiać, ani korespondować. Przewielebny księżę kanoniku. Odpowiadam na twój ostatni list trochę z opóźnieniem, spowodowanym moją nieobecnością w Oratorium. Broszurka o Pomocnikach Salezjańskich nie jest jeszcze opublikowana, bo właśnie jej pierwszy egzemplarz został wysłany do Ekscelencji. Nie jest on całkiem nawet wykończony. Stronica 38. Zostawiona jest pusta i tam miało być wydrukowane błogosławieństwo naszego ordynariusza, o ile by go nam łaskawie udzielił. Uczyniłem to za radą jednej wysokiej osobistości, której zdaniem miało to być specjalnym wyróżnieniem dla arcybiskupa, iż jego błogosławieństwo następuje zaraz po słowach Ojca Świętego. Związek Pomocników Salezjańskich nie jest instytucją diecezjalną, lecz ogólną i we wszystkim, co dotyczy spraw religijnych zależy od biskupów i proboszczów. Niemożliwą było rzeczą omawiać te sprawy ze wszystkimi biskupami, ale z arcybiskupem turyńskim pomówiłbym bardzo chętnie, tylko, że nielaskaw był przyjmując mnie osobiście a przez pośredników to trudniej wszystko uzgodnić i wyjaśnić swój punkt widzenia. Dowodem tego jest, iż Dzieło Synów Maryi Wspomożycielki, którego program już od roku leży w Kurii, a drukarnia również od roku ma złożone czcionki, tymczasem z Kurii nie może doczekać się odpowiedzi. Dopóki mogłem bezpośrednio kontaktować się z Ekscelencją, zawsze wszystko z nim dało się

uzgodnić. Niestety zostałem tej możliwości pozbawiony i nie mogę osobiście z arcybiskupem porozmawiać, a moim wyjaśnieniom pisemnym się nie wierzy. Co dotyczy kapeli, to nie podpadł mi w tym względzie żaden przepis w aktach synodalnych, a i zwyczaj po kościołach, zdaje mi się, nie są temu przeciwne, gdyż nawet w samym Rzymie we większe uroczystości słyszy się po bazylikach muzykę instrumentalną, jak to sam skonstatowałem. Aby jednak dostosować się do życzenia Ekscelencji, od uroczystości Matki Najświętszej Wspomożycielki 1875 roku, kapela w kościele naszym nie grała. Ostatnio zaś, w uroczystość Świętego Alojzego, wystąpiła w czasie procesji, ale to poza kościołem. Gdyby w tych rzeczach było należyte porozumienie i zrozumienie, ileż to nieprzyjemności i zamieszania, by się uniknęło. Twój etc.

Dnia 01.08.1876 r.

Sekretarz arcybiskupa potwierdził odbiór listu i wyraził przy tym nadzieję, iż pismo to chyba zadowoli ordynariusza.

Nie mogąc się dogadać w Turynie, Ksiądz Bosko dał broszurkę wydrukować w Albendze z pozwoleniem tamtejszej Kurii i kazał ją zaraz przetłumaczyć po francusku.

Zdawać by się mogło, że w ten sposób sprawa broszurki dla Pomocników będzie załatwiona. Ale gdzie tam. Dwa miesiące później wypadło znowu wydrukować ostatnie breve papieskie i trzeba się było zwrócić po aprobatę Kurii i z tej okazji sprawa zaogniła się jeszcze bardziej niż przedtem, jak wynika z listu sekretarza arcybiskupa:

Do Przewielebnego Księdza Bosko, Przełożonego Salezjanów!

Arcybiskup polecił mi odpowiedzieć na pismo Jego Przewielebności, z dnia 5 października, negatywnie. Nie może udzielić pozwolenia, o które chodzi bez sprzeciwienia się obowiązkowi, jaki na nim spoczywa, jako na stróžu praw kanonicznych. Każdy reskrypt papieski zawierający odpusty, należy przed ogłoszeniem przedstawić ordynariuszowi, aby ten zbadawszy jego autentyczność, położył na nim swą wizę. Należy, więc przedłożyć breve w oryginale. Po drugie breve papieskie wydane jest na korzyść jakiegoś Związku Pomocników Salezjańskich, który to Związek miałby być kanonicznie zatwierdzony: cum – jak pisze Papież – sicum relatum est nobis, pia quaedam sodalit as canonice institute sit. Otóż taki związek mógłby być ustanowiony wprost przez Ojca Świętego, albo od biskupa dla jego diecezji wyłącznie, bądź nie od biskupa, ale od innej osoby, mającej specjalne upoważnienie od Papieża.

W pierwszym wypadku należy odnośny reskrypt z Rzymu przedstawić Kurii w Turynie. W drugim wypadku trzeba by przedstawić pismo odnośnego biskupa i upoważnienie dla niego z Rzymu, że może założone przez siebie stowarzyszenie rozszerzyć i na inne diecezje; w trzecim, dana osoba ma wykazać się upoważnieniem |Stolicy Świętej do erygowania nowego stowarzyszenia. Póki tego Ekscelencja nie

otrzyma, nie może uczynić zadość prośbie Przewielebnego Księdza, któremu przy tym życzy wszelkiego błogosławieństwa.

Z głębokim etc.

Dnia 11.10.1876 r.

W tym czasie Ksiądz Bosko zajęty był ekspedycją misjonarzy do Ameryki, z którymi wypadło mu udać się do Rzymu. Wyprawa ta, jak pisze do jednego ze swoich przyjaciół, Marka Gonella, mocno go absorbowała, aby wszystko przygotować i wszyskkich odpowiednio zaopatrzyć.

Z Rzymu tak pisze, najprawdopodobniej, do księdza Rua /pismo nie ma daty ani podpisu/ w sprawie obecnie omawianej: Na razie zaczekajmy z odpowiedzią na pismo z Kurii turyńskiej. Poślij tylko kogoś, aby odebrał oryginał breve, by się nie zawieruszyło. Po moim powrocie do Turynu, zobaczymy, czy się da coś zrobić:, ale pamiętaj o breve. To dotyczące Pomocników, nie będzie drukowane w Turynie, więc nie ma, co się martwić, byle tylko je zwrócili. Gdyby zaś z tamtej strony nalegano, gdzie i kto założył Pomocników Salezjańskich, to powiesz, że tu w Rzymie jedna bardzo wysoko stojąca osobistość powiedziała: Odkąd jakaś Kongregacja rzymska wyda breve lub jakiś dekret, innych racji nie zwykła przytaczać, prócz podanych w samym akcie. Władze miejscowe zaś mają zbadać tylko autentyczność aktu, a nie dociekać, z jakich powodów został wystawiony. Dotąd list. A więc oryginał breve został przedstawiony Kurii arcybiskupiej w Turynie, bo zresztą nie było żadnych racji, by go nie przedstawić. Z innymi wyjaśnieniami, żądanymi przez Kurię należało poczekać do powrotu Księdza Bosko do Turynu. Inne rzeczy miały być załatwione gdzie indziej. Kim by zaś były owe osobistości, które podsunęły wymijającą odpowiedź, nie wiadomo, może kardynał Beradi albo Antonelli...

Interesujące jest też w tym piśmie, że Ksiądz Bosko, stawiając przypuszczalne pytanie ze strony dociekającej początku Związku Pomocników Salezjańskich, najpierw stawia pytanie „gdzie?” on został ustanowiony, a potem „kto go założył”... Wynikło to najprawdopodobniej z tego, że pisząc już myślał o odpowiedzi, w której potem wykazywał, iż to, co pisze breve o kanonicznym założeniu Związku, ma słuszne podstawy i żadnego w tym nie ma kręactwa. Pewno, że najprostsza rzeczą było porozumieć się z Kurią turyńską, co do Związku Pomocników, ale przecież to z góry było wiadomym, że nie będzie miało żadnych widoków powodzenia i byłoby tylko dalszą stratą czasu.

Warto tu przytoczyć znowu wyjątek z pamiętnika księdza Barbarisa, który nam uświadomi niezmordowaną działalność Księdza Bosko. Ten tak wynurzał się przed swoim zaufanym współpracownikiem na temat ducha, jaki miał ożywiać nowe Zgromadzenie: Trzy mają być jego cechy charakterystyczne: Wielka aktywność, nigdy nie urażać swoich przeciwników, jeśli nie da się pracować tu, to iść gdzie indziej. My się nigdy nie zatrzymujemy – mówił – bo zawsze jedna sprawa już ściga drugą. Zdawałoby się, że teraz czas zatrzymać się, celem lepszej konsolidacji naszych dzieł,

a nie rozszerzać się tak bardzo. Jednak ja widzę, że z chwilą, gdybyśmy się zatrzymali, Zgromadzenie zaczęłoby podupadać.

Ani dnia nie można się zatrzymać, bo doprawdy jedna sprawa goni drugą: jeszcze nie wsiadła na okręt grupa misjonarzy do Ameryki, a już wypadło jechać do Nizy, by tam otwierać nowy dom. Jeszcze trwały pertraktacje w Nizy, a już nas wzywano do Bordighera. A jeszcze tu sprawy nie zostały ostatecznie załatwione, gdy trzeba było myśleć o otwarciu domu dla Synów Maryi. Kłopoty z tym jeszcze trwały, a już wyłoniła się sprawa zatwierdzenia Związku Pomocników Salezjańskich, a równocześnie powstał projekt misji w Patagonii, i kardynał Franchi zaproponował nam wikariat w Indiach itd. Biedna głowa Księdza Bosko, natłoczona tyloma sprawami, cierpi na tym bardzo. A jednak naprzód..., naprzód..., zawsze trzeba iść naprzód. Konsolidacja Zgromadzenia jest potrzebna... Tak. I widzę, że powoli się dokonuje, ale zatrzymać się nie wolno. Dotąd z kroniki księdza Barberisa.

A teraz wróćmy do naszej sprawy Pomocników, o których tak pisze Ksiądz Bosko w swym Memoriale.

Pomocnicy Salezjańscy. Historia Pomocników Salezjańskich sięga roku 1841, w którym to rozpoczęło się zbieranie chłopców ubogich wałęsających się po Turynie. Zbierani byli w odpowiednich lokalach i po kościołach, gdzie po godziwych rozrywkach przyuczano ich do godnego przyjmowania sakramentów świętych. Do pomocy w tej pracy przyłączyło się kilku panów, którzy czy finansowo, czy osobiście podtrzymywali żywotność tzw. Oratoriów świątecznych. Różnie tych panów nazywano, zależnie od funkcji, jaką spełniali. Ale na ogół nazwano ich dobrodziejami, promotorami, współpracownikami Zgromadzenia św. Franciszka Salezego.

Przełożonym tych Oratoriów był Ksiądz Bosko, który działalność swoją rozwijał pod bezpośrednim kierownictwem ks. Arcybiskupa Fransoniego, otrzymując od niego potrzebne upoważnienia ustnie, względnie pisemnie, do udzielania sakramentów świętych, do dopuszczania do Pierwszej Komunii świętej, do urządzania triduum, nowenn, rekolekcji itp.

Ci tak zwani promotorzy i pomocnicy salezjańscy zrzeszeni w prawdziwe Zgromadzenie pod wezwaniem św. Franciszka Salezego, otrzymali pierwsze przywileje od Stolicy świętej 18 kwietnia 1845 roku, reskrytem podpisanym: pro Domino Card. A. del Drago L. Averardi substitutus. Tym reskrytem przyznane zostały pewne uprawnienia Przełożonemu, między innymi to, że mógł udzielić 50 osobom według swego uznania błogosławieństwa apostolskiego i odpustu zupełnego.

Dnia 11 kwietnia 1847 roku arcybiskup Frasoni zatwierdził stowarzyszenie św. Alojzego, założone w Towarzystwie Salezjańskim, z odpustami przyznanymi przez niego i przez Papieża. W roku 1850, Ksiądz Bosko przedłożył Stolicy świętej, iż w Turynie zostało prawnie erygowane Zgromadzenie pod wezwaniem i opieką św. Franciszka Salezego i prosił o szersze przywileje dla jego członków i jego pomocników. Przywileje te zostały przyznane.

Tak utworzone zgromadzenie promotorów myśli salezjańskiej, faktycznie uznane przez miejscowe władze duchowne, a także przez Stolicę świętą, biorąc pod uwagę wzrastającą liczbę chłopców podopiecznych, uczęszczających do Oratoriów, było zmuszone otworzyć nowe szkoły i nowe Oratoria w innych częściach miasta. Aby zaś w nich zachować jedność ducha, karności, zarządu i ustabilizować byt Oratoriów, władza kościelna, dekretem z dnia 31 marca 1852 r., wyznaczyła Księdza Bosko, jako głównego ich dyrektora, ze wszelkimi upoważnieniami w tym celu niezbędnymi, względnie tylko przydatnymi. Odtąd Zgromadzenie promotorów salezjańskich uważało się, jako prawnie zatwierdzone i w jego imieniu przełożony związku utrzymywał stosunki ze Stolicą świętą. W latach pomiędzy 1852 a 1858, zostały mu przyznane dalsze łaski i przywileje. Wtedy to Zgromadzenie podzieliło się jakby na dwie kategorie, a raczej dwie rodziny. Jedni z wolnego wyboru idąc za swym powołaniem, zamieszkali razem w budynku, który był ośrodkiem zgromadzenia, by prowadzić życie wspólne. Ci za radą Papieża Piusa IX, nazwali się Pobożnym Towarzystwem świętego Franciszka Salezego, która to nazwa pozostała im nadal. Drudzy, mieszkali w swych rodzinach, ale nadal popierali dzieło Oratoriów, zatrzymując jeszcze nazwę: związek albo zgromadzenie promotorów, względnie współpracowników salezjańskich. W roku 1864 Stolica Apostolska wydała dekret pochwalny dla Pobożnego Towarzystwa Salezjańskiego i wyznaczała mu stałego przełożonego.

W zatwierdzeniu jest mowa i o zewnętrznych członkach Towarzystwa, których zawsze nazywano promotorami albo dobrodziejami, a ostatnio Pomocnikami Salezjańskimi. W roku 1874 zostały definitywnie zatwierdzone Reguły przez Rzym dla Pobożnego Towarzystwa Salezjańskiego. Uważając zawsze członków dawnego Zgromadzenia salezjańskiego, jako promotorów i współpracowników w tej pracy, jakiej podejmowali się jego właściwi członkowie w szkołach, przy funkcjach religijnych, na rozrywkach młodzieży, dnia 13 lipca 1875 r., Św. Kongregacja udzieliła Przełożonemu Towarzystwa władzy przydzielania odpustów i łask duchownych właściwych Towarzystwu swoim dawnym wybitnym dobrodziejom tak, jakby byli tercjarzami, z wyjątkiem tych, które związane są z życiem wspólnym. Wspomniani dobrodziej, to są właśnie dawni tak zwani promotorzy, czy współpracownicy, którzy w Regułach mają osobny rozdział i tam zwani są eksterni /członkowie zewnętrzni/. Stąd, gdy Stolica Święta w swej łaskawości przyznała teraz nowe, jeszcze szersze przywileje Pomocnikom Salezjańskim i wspomina się o nich, jako o Związku kanonicznie ustanowionym, którego członkowie zajmują się młodzieżą opuszczoną, to to odnosiło się:

1. Do owych dawnych promotorów, zatwierdzonych i znanych już od lat dziesięciu, jako współpracowników Oratoriów, które to dzieło zatwierdzone było pismem z roku 1852. Takimi pozostali oni żyjąc w świecie, podczas gdy niektórzy zaczęli prowadzić życie wspólne.

2. Ci członkowie złączeni życiem wspólnym, czyli Pobożne Towarzystwo Salezjańskie, stale kierowało poczynaniami tych swoich dobrodziejów, którzy według

dla nich utworzonego Regulaminu, z gorliwością i miłością wspomagali materialnie i moralnie właściwych członków Zgromadzenia.

Z powyższego Memoriału jasno wynika, że gdy w roku 1875 powstały nieporozumienia między Księdzem Bosko, a ówczesnym arcybiskupem turyńskim Gastaldim, jakoby Ksiądz Bosko nowe zakładał stowarzyszenie, to ono wtedy istniało już od kilkunastu lat, a w owym roku tylko ostatecznie zostało ustabilizowane, a więc niepotrzebne były te wszystkie formalności, jakich domagał się arcybiskup, a które byłyby ewentualnie potrzebne, gdyby związek dopiero wtedy był zakładany. Ułożony świeżo Regulamin i przedłożony władzom kościelnym do zatwierdzenia, nie miał być dopiero podstawą do zakładania nowego stowarzyszenia, ale został ułożony na życzenie członków już stowarzyszonych od dawna, dla których regulamin miał być tylko ujednostajnieniem ich pracy i wzmocnieniem ich organizacji istniejącej dla wspomagania dzieła Oratoriów Księdza Bosko.

Te zaś Oratoria miały już zatwierdzenie i błogosławieństwo tak arcybiskupa Fransoniego, jak i Stolicy Apostolskiej.

Dalszych szczegółów nieporozumień między Kurią a Księdzem Bosko w sprawie Związku Pomocników Salezjańskich bliżej nie znamy. Faktem zaś jest, że Związek ten objął cały świat, ciesząc się zawsze oczywistym błogosławieństwem Nieba i zyskując sobie wzięcie u wszystkich ludzi dobrej woli. Dziś wiadomą jest ogólnie rzeczą, czym są i czym chcą być Pomocnicy Salezjańscy, choć może niektórzy zbyt zacieśniają ich działalność wyłącznie do wspomagania zakładów salezjańskich. Ale nie taka była właściwa myśl Księdza Bosko, który w roku 1876 tak wyraził się pół żartem, pół serio o Pomocnikach Salezjańskich do księdza Angelo Rigoli: „Pomocnicy Salezjańscy jest to masoneria katolicka, istniejąca dla własnego uświęcenia i dla propagowania dobra na wszelki możliwy sposób w rodzinach i społeczeństwie”. Ksiądz Bosko miał z całą pewnością wielkie i bardzo rozległe plany. Można by do niego słusznie zastosować słowa Pisma świętego o najwyższym kapłanie Symeonie /Ekl 50,1/: „Za żywota swego dom podparł Boży i za dni swoich świątynię umocnił”. W myśli Księdza Bosko już wtedy zrodziła się idea Akcji katolickiej.

ROZDZIAŁ IV

POŚREDNICTWO ARCYBISKUPA Z VERCELLI

Piszący historii znajduje się nieraz doprawdy w trudnej sytuacji. Ma to miejsce zwłaszcza, gdy przedstawienie całej prawdy będzie graniczyć z uwłaczaniem czci należnej osobistościom wysoko postawionym w hierarchii kościelnej. A z drugiej strony przemilczanie faktów mogłoby stać się krzywdzące dla tego, kto w danych wypadkach brał bezpośrednio udział i ma prawo do zachowania mu dobrego imienia między potomnymi. W tak niewygodnej pozycji trzeba doprawdy największego wysiłku, by do spraw podchodzić sine ira et studio i przedstawić bieg wydarzeń z całą słuszną obiektywnością.

Chodzi tu oczywiście o stosunki, jakie przez dłuższy czas trwały między Kurią turyńską a Księdzem Bosko. W tym roku 1875 nieporozumienia jeszcze się zaostrzały z dnia na dzień. Aby lepiej zorientować się w zawiłościach omawianej przez nas w tym rozdziale kwestii, dobrze będzie zapoznać się z pytaniami, na które miał odpowiedzieć biskup Vitelleschi.

Otóż dnia 23 września 1874 roku ordynariusz turyński przedstawił Stolicy świętej pięć następujących pytań:

1. Czy Reguły Zgromadzenia założonego przez Księdza Bosko są już definitywnie zatwierdzone?
2. Czy to Zgromadzenie jest zaliczone do grupy „ordines religiosi”, a jako takie czy jest zależne bezpośrednio od Stolicy świętej i tym samym wyjęte spod jurysdykcji biskupiej?
3. Czy biskupowi jest odjęte prawo wizytacji kościołów i domów takiego Zgromadzenia?
4. Czy rektorowi wolno przyjmować kleryków z diecezji, bez uprzedniego pozwolenia, a nawet wbrew pozwoleniu biskupa, przywdziewać ich w suknię klerycką i przyjmować ich profesję?, względnie zajmować ich tylko jako nauczycieli, asystentów itd.?
5. Czy wolno wyżej wspomnianemu przyjmować do Zgromadzenia kleryków, którym biskup kazał złożyć sutannę, gdyż uznał ich za nienadających się do stanu kapłańskiego i to bez pozwolenia, a nawet wbrew woli biskupa?

Święta Kongregacja Biskupów i Zakonników nie zwlekała z przygotowaniem odpowiedzi. Ale gdy ta była gotowa, zwlekano z wysyłką, a to z powodu skrupułów kardynała Prefekta. Dostojny ten Prałat tak miał delikatne sumienie, iż Ksiądz Bosko

pewnego razu wyraził się o nim żartobliwie, iż z kardynałem Bizzarim trzeba być bardzo ostrożnym, bo nawet, gdy mu się z wdzięczności przyrzeka modlitwy w jego intencji, to on gotów dopatrzeć się w tym symonii.

Na wysłanie odpowiedzi trzeba byłoby jeszcze, kto wie jak długo czekać, gdyby kardynał Barardi tej sprawy nie dostrzegł.

Odpowiedź wysłano do Turynu 13 stycznia. Oto jej zasadnicze punkty: Dekretem z dnia 3 kwietnia 1874 roku zostały ostatecznie zatwierdzone Reguły Towarzystwa Salezjańskiego, o czym arcybiskup turyński powinien wiedzieć, gdyż na pewno Przełożony Generalny tegoż Towarzystwa o tym go zawiadomił. Z treści wspomnianego dekretu, którego kopię się załącza, jak i też z drugiego, w którym się zatwierdza Zgromadzenie, a który też na pewno jest mu znany, łatwo można wywnioskować, na jakich ono istnieje warunkach prawnych. W obydwu tych pismach znajduje się przecież wyraźnie zwrot: „Salva Ordinariorum iurisdictione ad praescriptum sacrorum canonum et Apostolicarum Constitutionum”. Taki warunek w każdym Zgromadzeniu o ślubach prostych, a więc i w salezjańskim, pociąga za sobą, z wyjątkiem wypadku, kiedy by przez Stolicę Świętą został zrobiony jakiś specjalny wyjątek, że te Zgromadzenia są wyjęte, czyli nie podlegają jurysdykcji ordynariuszów tylko w tym, co jest zawarte w Regułach od Stolicy świętej zatwierdzonych. Co zaś dotyczy wolnego wstępowania kleryków diecezjalnych do zgromadzeń o ślubach prostych, Święta Kongregacja oświadcza, że tychże kleryków dotyczy konstytucja Papieża Benedykta XIV „Ex quo dilectus”. Wynika z niej to, co w dekrecie św. Kongregacji „Super statu regularium Romani Pontifices” z 25 stycznia 1840 roku, jest przepisane pod nr 2, a mianowicie, że ordynariuszom nigdy nie wolno odmówić litteras testimoniales postulantom wstępującym do jakiegokolwiek zakonu, nawet o ślubach prostych. W przekonaniu, że Wasza Ekscelencja dostosuje się do wszystkich tych dyrektyw, spraszam od Boga obfitość łask niebieskich.

W trzy dni potem kardynał Berardi, dotrzymując obietnicy danej Księdzu Bosko, wysłał mu pod największym sekretem dla jego normy kopię tego dokumentu, wyrażając przy tym nadzieję, że przecież kiedyś znajdzie się środek na to, by, jak pisał „uwolnić się od krzyża, który go męczy”.

Ale zanim pójdziemy dalej w opowiadaniu, musimy niestety powiedzieć, że odpowiedź ta nie odniosła żadnego skutku i rzeczywiście od początku roku aż do końca nic się nie zmieniło. Jak w styczniu ordynariusz odmówił władzy głoszenia kazań dwom księżom salezjanom, z których jeden, to ks. Milanesio, późniejszy misjonarz w Patagonii, zajmował się darmowymi szkołami dla eksternistów i Oratorium świątecznym na Valdocco, a drugi, ks. Piotr Cuidazio, późniejszy dyrektor kolegium Księdza Bosko na Sycylii w Randazzo, był profesorem patentowym IV gimnazjalnej w Oratorium, tak w grudniu odmówił tejże władzy księdzu Janowi Branda i księdzu Aniołowi Bordone. Pierwszy był prefektem, a drugi profesorem kolegium w Valsalice. Jakie były powody tej odmowy, pozostało na zawsze tajemnicą. Poza tym powtarzały się nadal tak samo odmowy udzielania święceń klerykom

z Oratorium, jako też wydawania „testimoniales” tym, którzy chcieli wstąpić do Zgromadzenia Salezjańskiego. Tak samo odmownie załatwiane były zaproszenia z funkcjami do kościołów salezjańskich.

Nie można było oczekiwać czegoś lepszego, skoro sam ordynariusz uważał za stosowne podkreślić, że ci „Eminentissimi” nie zrozumieli jego pytań, którymi on właściwie chciał tylko podać im do wiadomości, że Ksiądz Bosko przyjmował do swoich domów księży z jego diecezji, aby w nich uczyli, spowiadali, względnie zamieszkali tam na stałe bez zwracania się do niego o pozwolenie.

Trzeba tu jednak przestrzec czytelników przed wydawaniem zbyt pochopnych sądów o arcybiskupie, bo kto by ze stosunków między nim a Księdzem Bosko chciał sobie wyrobić ogólny sąd o jego sobie, bardzo by się mylił. Indywidualność biskupa Gastaldiego nie tylko w tym się objawiała. Pozostawił on o sobie pamięć pasterza bardzo gorliwego i przedsiębiorczego w zarządzie archidiecezji turyńskiej. Niektóre jego listy pasterskie ujęte w wytwornym stylu, dziś jeszcze czyta się z wielką korzyścią i przyjemnością. Miał takich, którzy się nim entuzjasmowali, jak nie brakło mu i zaciętych przeciwników między klerem. Ale to nikogo nie zdziwi, kto ma trochę doświadczenie życiowego. Tylko ten, kto nic nie robi, nie błądzi, a na tym świecie jeszcze się nie narodził, kto by wszystkim dogodził.

Oдноśnie zaś do stosunków z Księdzem Bosko trzeba i to zauważyć, że arcybiskupa otaczały jednostki, które codziennie wprost oczerniały przed nim Oratorium. Faktem też jest, że arcybiskup, cały pochłonięty sprawami własnej diecezji, nigdy nie mógł dojść do przekonania, że jest rzeczą pożyteczną i słuszną popierać takie Zgromadzenie, które niby stawiając sobie szerokie plany, ciągnie z diecezji dochody, które jak mu się zdawało, winne być zużyte na miejscu.

Jakkolwiek było, widocznie Opatrzność Boża dopuściła, by przy tych nieprzyjemnościach Ksiądz Bosko miał okazję wykazania całego heroizmu swoich cnót. Zresztą znaną jest rzeczą, iż prawie wszyscy założyciele wielkich zakonów mieli mniej lub więcej utrapień z powodu podobnych nieporozumień.

Z owych wyżej przytoczonych pięciu pytań arcybiskupa turyńskiego jak i z relacji kardynała Berardi, Pius IX doszedł do przekonania, że trzeba na wszelki sposób starać się zaradzić złemu. Poleciał więc wspomnianemu wyżej kardynałowi Berardi zwrócić się do arcybiskupa Fissore z Vercelli, zaufanego przyjaciela monsignora Gastaldiego, z zapytaniem, czy by nie był w stanie załagodzić wreszcie nieporozumienia między nim, a Księdzem Bosko, dotyczącego Zgromadzenia Salezjańskiego. Dostojny ten purpurat zaraz usłuchał zalecenia papieskiego i napisał list do arcybiskupa Vercelli, którego kopię drogą poufną wysłał również Księdzu Bosko. Po tym wszystkim – pisał on – będę czekał rezultatu, a następnie zobaczymy quid agendum. W owym piśmie było zaznaczone, iż istnieje jakieś nieporozumienie, już chyba znane adresatowi, między arcybiskupem Turynu a Księdzem Bosko, dotyczące spraw Zgromadzenia Salezjańskiego. Kwasy podobnej natury są zawsze nieprzyjemne i pociągają za sobą godne oplakania następstwa. Powiadomiony o tym Papież, pragnąc temu zaradzić, chce posłużyć się w tym celu mediacją arcybiskupa

Vercelli. Spodziewa się on, że ten w swojej roztropności doprowadzi do szczęśliwego rozwiązania tych nieporozumień. Monsignor Fissore otrzymawszy to pismo, zwrócił się zaraz bezpośrednio do Księdza Bosko, prosząc go, aby mu przedłożył, nikomu nic nie mówiąc, o co właściwie chodzi między nim a arcybiskupem turyńskim. Prosił przy tym, aby mu całą sprawę przedstawić z pewną dokładnością i drobiazgowością.

Ksiądz Bosko nie miał żadnych zastrzeżeń ani co do mediacji, ani co do osoby mediatora. Owszem na dorocznym zebraniu przełożonych domów zgromadzenia wyraził swoją radość, że tymi sprawami został zainteresowany biskup z Vercelli, gdyż temu, jako wielkiemu przyjacielowi arcybiskupa łatwiej będzie dowiedzieć się od niego o właściwych powodach opozycji względem Zgromadzenia.

A oto odpowiedź Księdza Bosko do arcybiskupa Fissore przesłana mu pocztą: Ekscelencja pyta się mnie, jakie są powody nieporozumień między biednym Towarzystwem Salezjańskim, a naszym arcybiskupem. I ja chciałem już tyle razy pomówić z nim na ten temat, ale nie udało mi się. Teraz powiem wszystko dokładnie, co wiem.

Według mnie powodów nie ma żadnych.

Arcybiskup twierdzi :

Ksiądz Bosko przyjmuje do swego Zgromadzenia kleryków usuniętych z Seminarium. Dotąd /do 12 stycznia 1875 roku/ takich w Zgromadzeniu nie ma.

Ksiądz Bosko każe drukować listy Arcybiskupa bez jego wiedzy. Ani mi to na myśl nie przyszło.

Ksiądz Bosko urządza rekolekcje bez zezwolenia. Takie rekolekcje były prowadzone już od 30 lat za pozwoleniem wszystkich arcybiskupów, poprzedników obecnego, które to pozwolenie on sam zaaprobował. Skoro się temu sprzeciwił, albo lepiej zaledwie dał mi znać, że nie pochwała rekolekcji urządzanych dla nauczycieli i profesorów, zaraz zostały one zaniechane.

Arcybiskup stale powtarza te zarzuty na cztery strony świata /undequaque/ i nic więcej nie ma. Najgorzej, że nie chce dać temu wiary, co Ksiądz Bosko mówi czy pisze i mimo ponawianych zapewnień, że jest tak, jak wyżej przedłożyłem, nie wierzy i zawsze to samo powtarza.

W Rzymie jednak żalił się i na inne rzeczy.

Zgorszenie, jakie dają Salezjanie – pisał – jest tego rodzaju, iż obawiam się, czy oni nie popadli w cenzury kościelne. Ale nie przytacza dowodów na to ani faktów. To znowu stawia zarzut wewnętrznemu funkcjonowaniu Zgromadzenia, pisząc:

Wielka liczba występujących z tego Instytutu, daje powód do żalu ze strony biskupów a także i od niego. Jako przykład podaje księdza Tignolo kapłana z Saluzzo i siedmiu innych, którzy ponoć pracując w zakładzie głuchoniemych, zachowali się tam bardzo nie odpowiednio. Kilka razy przedstawiałem ustnie i pisemnie, że oni nigdy do Zgromadzenia nie należeli. Ale on obstaje przy swoim i nadal powtarza jedno i to samo przed wszystkimi. Wiele razy prosiłem go, aby mi powiedział, czego sobie życzy, a zadowolę go we wszystkim, co tylko będę mógł.

Powiedział mi, że chciałby egzaminować naszych kleryków przed dopuszczeniem ich do święceń. Stało się zadość jego życzeniu.

Chciał, aby 40 dni przed święceniami przedstawili się u niego, aby ich mógł wypytać o miejsce ich studiów, skąd pochodzą, czy mają powołanie, co ich skłoniło do zapisania się do Zgromadzenia. I to zostało spełnione, mimo związanych z tym trudności.

Chciał, bym mu pisemnie oświadczył, iż żadnego kleryka nie przyjmę do siebie, który zostałby usunięty ze seminarium. Stało się wedle jego woli... A jednak już od trzech lat nie uznał za stosowne wyświęcić żadnego z naszych kleryków, oprócz jednego, który z biedą został dopuszczony do tonsury i minorek. Odmówił kilku klerykom, którzy do nas chcieli wstąpić testimoniales. Nie przyjął do egzaminu na spowiednika jednego z naszych księży, mimo że ten nie tylko skończył 5 lat studiów teologicznych, ale odbył jeszcze 3 - letni kurs moralny w konwikcie. Jako powód podawał, iż ten nie ma jeszcze ślubów wieczystych. A przecież obecnie reguły wszystkich zakonów wymagają ślubów trzechletnich. Z diecezji Como wstąpił do nas jeden kapłan /ks. Guanella/. Zaledwie arcybiskup dowiedział się o tym, natychmiast napisał do tamtejszego ordynariusza list z ostrzeżeniem: Proszę zawiadomić ks. Guanella, że z chwilą przybycia do mojej archidiecezji nie otrzyma mojego maneat, ani upoważnienia do głoszenia kazań. Wreszcie w wigilię Bożego Narodzenia posunął się do aktu, jaki jeszcze nie miał miejsca w historii Kościoła, a już na pewno w diecezji turyńskiej, mianowicie osobnym dekretem, doręczonym mi w samą wigilię Bożego Narodzenia, odwołał wszystkie przywileje, upoważnienia i łaski przyznane nam przez niego i przez jego poprzedników, dotyczące naszych domów i kościołów. Jedynie pozostawił nam prawo przygotowania wychowanków do Pierwszej Komunii św. i do Bierzmowania. I oto teraz, po trzydziestu latach, przez które posługiwaliśmy się tymi przywilejami, nie wolno nam nawet było udzielić błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem, ani urządzać nabożeństw 40 - godzinnych, ani głosić nowenn, czy triduum, ani zanieść wiatyk święty, czy odśpiewać w razie potrzeby egzekwie w naszych domach. Całe szczęście, że mamy szczególniejsze przywileje wprost od Stolicy świętej i dzięki temu mogło się uniknąć plotek i zgorszenia. A przecież do wydania podobnych zarządzeń wymagane są poważne motywy w kodeksie kanonicznym, a o takich nic nam nie wiadomo. Gdyby Ekscelencji udało się dociec, o co właściwie chodzi, wielką by to nam wszystkim było ulgą i najchętniej postarałbym się, o ile to byłoby w mojej mocy, złemu zaradzić.

Jeślibym miał powiedzieć otwarcie, co ja o tym wszystkim myślę, to mam wrażenie, iż diabeł widząc, ile dobrego arcybiskup mógłby zrobić dla naszego Towarzystwa, posiał kłopot między nami w tajemniczy sposób i zdołał mu dać wzrost... Doprawdy kłopot z tym niezmierny, plotki ze wszystkich stron, mniejsza liczba kapłanów i spowiedników u nas, poważne nieprzyjemności dla samego arcybiskupa, który lojalnie wyznać trzeba, przez trzydzieści lat z górą, był moim zaufanym przyjacielem. Wszystko, co powiedziałem, opiera się na autentycznych listach, jakie w każdej chwili mogę przedstawić. Proszę uwzględnić to przydługie

pisanie, które nie wiem, czy da się łatwo odcyfrować, ale sama treść listu nie pozwala mi posługiwać się sekretarzami. Prosząc o arcypasterskie błogosławieństwo, proszę etc.

Dnia 16.01.1875 r.

Zdaje się, że do tego listu załączone było jeszcze poniższe „Pro memoria”, które kardynał Richelny przysłał z innymi biografiami świętego do Kongregacji rytów, 10 września 1903 roku. Nie ma w nim daty, ani podpisu. Oto tekst owego Pro memoria:

Uważam za stosowne dołączyć jeszcze osobne uwagi na temat przyczyn nieprzyjemności, które spotykają nas ze strony arcybiskupa Gastaldiego. Przyczyną ich są plotki, jakie ten czy ów złośliwie mu na nas donosi. A oto niektóre:

1. B. Chiapale i D. Pinolo zostali przyjęci do Zgromadzenia. Ani jeden, ani drugi nigdy do nas nie należał.
2. Kilku poszło, jako asystenci, czy nauczyciele, do zakładu głuchoniemych i tam pozostawili po sobie jak najgorszą pamięć. Nie chcę o nich wydawać tutaj sądu, ale to pewne, że nigdy nie byli salezjanami.
3. Wielu z tych, co wystąpili z naszego Zgromadzenia, siało zamieszki w diecezjach, w których przebywali... Mogę zapewnić, że, aż do roku 1874 nikt z naszego Zgromadzenia nie występował, prócz jednego profesora, pana O. Oreglia, który u nas był, jako brat. Ostatecznie zdecydował się przejść do Jezuitów i tam ukończył swe studia, jako O. Fryderyk Oreglia.
4. Są tacy, co przekonują arcybiskupa jako bym ja publikował drukiem prywatne jego listy... Ależ doprawdy, to mi nigdy nawet w głowie nie powstało.
5. Wysłałem raz zaproszenia na doroczne rekolekcje, a już ktoś doniósł arcybiskupowi, że to był okólnik skierowany do wszystkich proboszczów. Ani ja, ani nikt z moich podwładnych do żadnego proboszcza podobnych zaproszeń nie wysyłał.
6. Gdy napisałem arcybiskupowi, że rekolekcje przewidziane na dni od 7 do 13 września nie odbyły się, zaraz ktoś to zinterpretował, że Ksiądz Bosko na despekt swemu zwierzchnikowi duchowemu urządza kryte rekolekcje w Lanzo.
7. Wikariusz z Lanzo zapewnia go, że tam są tylko rekolekcje dla tych z naszego Zgromadzenia, ale znowu znalazł się ktoś, który twierdził, co innego. Stąd nowe poważne nieprzyjemności dla obu stron, a takich faktów znalazłoby się jeszcze dużo więcej. Doprawdy nie wiadomo, co o tym wszystkim sądzić.

Bardzo to bolesne dla mnie, że przy tylu innych kłopotach, jeszcze przynosi mi ponosić konsekwencje tych zjadliwych, tendencyjnych donosów. Dotąd Pro memoria.

Oczywiście trudno przypuszczać, żeby w Oratorium nic się o tych napiętych stosunkach miało nie wiedzieć. Wszak sam Ksiądz Bosko musiał informować członków Kapituły Wyższej i Dyrektorów o tym, by wiedzieli, co odpowiedzieć, w razie gdyby byli zagadnięci na ten temat. Rzecz prosta, że nie byli oni związani

zadnym specjalnym sekretem. Stąd też w rozmowach, nieraz poruszany był ten temat wobec Księdza Bosko. Gdy tak pewnego dnia rozmawiano o trudnościach, jakie w ogóle Zgromadzenie napotykało w swoim rozwoju, właśnie z tamtej strony, to Ksiądz Bosko tak to skomentował, z właściwym sobie spokojem:

„Całe szczęście, że idziemy stale naprzód, z ufnością, zawsze pewni siebie in Domino Domini. Pewne trudności, jakie napotykamy, powstają tylko stąd, iż różne kwestie nie są dostatecznie wytłumaczone, albo nie są dobrze zrozumiane. Więc nie ma się, co dziwić”.

Dnia 4 lutego monsignore Fissore przybył do Turynu i rozmawiał najpierw osobno z arcybiskupem i z Księdzem Bosko, a następnie był świadkiem rozmowy między nimi dwoma. Po niej wrócił do Vercelli przekonany, że przecież coś wskórał.

Treść tej rozmowy z arcybiskupem Turynu uznał Ksiądz Bosko za stosowne podać kardynałowi Berardi do wiadomości. Ujął to w formie całkiem bezpretensjonalnej i pogodnej, choć niepozbawionej akcentów stanowczych. Napisanie tego, jakoby raportu z góry przesądza możliwość podejrzenia Księdza Bosko o upór przy swym zdaniu w sprawie, którą ks. Arcybiskup uważał za najsilniejszy taran przeciwko niemu:

OŚWIADCZENIE, ŻE NIE PRZYJMIE SIĘ WIĘCEJ ANI JEDNEGO KLERYKA ZE SEMINARIUM.

Eminencjo, nie chcąc zajmować mu drogiego czasu nic w ostatnim miesiącu nie pisałem o znanej kwestii. Obecnie dziękując najpierw za wszystkie względy nam okazywane, pragnę przedstawić, co się dotąd uzyskało. Otóż arcybiskup z Vercelli zażądał, bym mu podał jak się przedstawia mój stosunek do arcybiskupa. Napisałem mu. Później przyjechał on sam i o wszystko w drobnych szczegółach mnie wypytywał. Następnie udał się do arcybiskupa i nalegał, abym mu wyraźnie powiedział, co właściwie jest przyczyną, że tak gwałtownie występuje przeciw biednemu, co dopiero powstającemu zgromadzeniu. Przebieg tego przesłuchania referował mi w tych mniej więcej słowach:

Pozwoliłem mu /arcybiskupowi/ swobodnie się wypowiedzieć, wpytując szczegółowo o wszystko. On stale powtarzał, że nic nie ma przeciw nam, jedynie, na co się żalił, było to, iż się przyjmuje jego kleryków turyńskich do nas bez jego zgody. A ponieważ wyraził przy tym życzenie porozmawiania ze mną, poszedłem do niego w zeszły czwartek. Po półtora godzinnym czekaniu w przedpokoju zostałem wreszcie przyjęty. Rozmowa w tonie bardzo grzecznym rozpoczęła się od rzeczy obojętnych, ale urwała się gdy poruszyliśmy właściwy temat. Wobec czego już zabierałem się do wyjścia Re infecta – gdy wszedł arcybiskup z Vercelli, który mnie zatrzymał, chcąc być świadkiem wymiany naszych poglądów. Każdy z was – zaznaczył wyraźnie – może teraz mówić całkiem swobodnie i otwarcie.

Don Bosco: Nic innego nie pragnę, jak tylko usłyszeć, co nie podoba się naszemu arcybiskupowi, bym mógł temu zaradzić.

Monsignore Gastaldi: - Ja nie mam nic przeciw temu zgromadzeniu, ale tu jest skandal poważny, którego nie mogę tolerować, a mianowicie, że są przyjmowani do

tego Zgromadzenia klerycy z mego seminarium, a to jest powodem wielkich nieporządków.

D.B. – Jak dotąd żaden z kleryków z seminarium turyńskiego nie należy do naszego Zgromadzenia.

M.G. – A właśnie, że są tacy. Kto temu przeczy, przeczy faktom.

D.B. – Proszę Waszą Ekszelencję mi wierzyć. Dotąd /4 lutego 1875 r./ ani jeden kleryk z jego kleryków nie należy do grona salezjanów.

M.G. – tu zachnął się rozgniewany, potem mówił coś, że ja chcę odgrywać biskupa za niego i dodał /Jeżeli ich się nie przyjmuje do Zgromadzenia, to ich się przyjmuje do swoich domów, a to powoduje mi nieporządki/.

D.B. – Odpowiedziałem, że w naszych domach, znajdujących się na terenie jego archidiecezji, nie przebywa żaden kleryk z jego seminarium, jako salezjanin, ani jako wychowawca. Jeden tylko został przyjęty w Alassio, diecezji Albenga, a to, dlatego, by przeszkodzić pogrożkom i wyzwiskom, skierowanym przeciwko arcybiskupowi od krewnych owego alumna, który zresztą został przyjęty na razie, jako wychowawca, chociaż wyraził zamiar wstąpienia do Zgromadzenia.

M.G. – Na to nie mogę pozwolić, nie mogę ...

D.B. – Jak już miałem zaszczyt pisać Waszej Ekszelencji, zdaje mi się, że przepisy Kościoła dla ochrony wolności sumienia w sprawie wyboru swego powołania – zostawiają wolność klerykom wstąpienia do zakonu.

M.G. – Tak. Tak... ale ci nie mieli powołania kapłańskiego, źle się prowadzili.

D.B. – A więc nie powinno to sprawiać takiej przykrości, że podobne indywidua opuściły seminarium. Obecni zaś ich przełożeni już będą wiedzieć, jak się do nich ustosunkować.

M.G. – W tym względzie nie mogę ustąpić. Żądam wyraźnego i formalnego oświadczenia, że do Zgromadzenia Księdza, ani do jego domów nie zostanie przyjęty żaden z kleryków wypędzony z mojego seminarium i to nie tylko w mojej diecezji, ale w ogóle do żadnego z domów Zgromadzenia, gdziekolwiek by były.

D.B. – Dotąd coś podobnego nie miało miejsca, więc nie ma racji odmawiać podobnego zapewnienia, które ostatecznie dotyczyłoby także naszych domów, pozostających pod inną jurysdykcją. Jeśli to jednak wystarczy do uspokojenia Waszej Ekszelencji, oświadczam formalnie, że jak dotąd, tak i na przyszłość nie przyjmę nigdy żadnego kleryka usuniętego z jego seminarium, bez pozwolenia Waszej Ekszelencji. Ale chciałbym, żeby to było zawsze w granicach zakreślonych przez święte kanony, broniące stanu wyższej doskonałości, jakim jest życie zakonne. Wszystko byłoby dobrze, tylko nie ostatnie zastrzeżenie, które koniec końcem pozwala w tym względzie postąpić, jak się uważa. Następnie prosiłem arcybiskupa o wyjaśnienie listów przeciwko mnie napisanych.

M.G. – Zaprzeczył istnieniu takich listów i ich treści, podczas gdy ja miałem niektóre z nich przy sobie w kieszeni. Zapytałem również, dlaczego nie dopuszcza się niektórych z moich księży na egzamin do spowiedzi.

M.G. – Ponieważ mają tylko śluby trzyletnie.

D.B. – No, ale jeśli nasze Zgromadzenie w taki sposób jest zatwierdzone...

M.G. – Właśnie to jest źle, to mi się nie podoba... zresztą Zgromadzenie Księdza nie jest jeszcze całkowicie zatwierdzone... ale ostatecznie niechże ten ksiądz przyjdzie już na egzamin i będzie mógł go zdać.

D.B. – A czemu się przeszkadza, by księża innych diecezji wstępowali do naszego Zgromadzenia?

M.G. – Gdyż, zanim jakiś ksiądz zamieszka w mojej diecezji, to ja chcę wiedzieć, co on znaczy.

D.B. – Ależ on wstępuje do zgromadzenia zakonnego.

M.G. – Które jest w mojej diecezji.

D.B. – Więc o co właściwie chodzi Waszej Ekscelencji ?

M.G. – Ażeby zgłosił się po upoważnienie do odprawiania Mszy św.

D.B. – Wiem, że kodeks kanoniczny czegoś podobnego nie przepisuje. Wiem także, że od innych zakonów tego się nie wymaga. Ale ostatecznie dla zadowolenia Waszej Ekscelencji, skoro jakiś kapłan obcy wstąpi do naszego Zgromadzenia, to będę prosił o pozwolenie, by mógł odprawiać na terenie tutejszej diecezji.

Zostało jeszcze poruszonych kilka innych spraw, których tu na razie nie wypada poruszać i ostatecznie zakonkludowano, co następuje:

1. Jedynie dla zadowolenia arcybiskupa, przyjmując kleryków z tej diecezji do naszego Towarzystwa, będę ich przyjmował w ubiorze świeckim, nie kleryckim. Dla księży z innych diecezji będę prosił o pozwolenie na celebrowanie Mszy św. Ale dotąd podobnego wypadku jeszcze nie było.

2. Arcybiskup zgadza się na przyjmowanie egzaminów naszych tak do święceń, jaki do jurysdykcji do spowiadania. Rozeszliśmy się w zgodzie, ale wszystkim trzem było bardzo przykro, że zaszła potrzeba poruszać podobne kwestie. Resztę powiem ustnie Waszej Eminencji, gdyż w ciągu miesiąca, spodziewam się, że będę w Rzymie, dokąd ma udać się także i nasz arcybiskup, choć, jak dowiaduję się w ostatniej chwili, ponoć z tego zrezygnował.

Monsignore Fissora na pewno napisze swoją relację. Wybór pośrednika w tej sprawie nie mógł być lepszy. Należy on do najbliższych przyjaciół naszego arcybiskupa, podziela wszystkie jego poglądy i on to jedyny odmówił nam listu pochwalnego do Papieża. Sumienie ma jednak bardzo delikatne i jestem przekonany, że nic nie zmieni z tego, co pomiędzy nami zaszło. Z wyrazami etc.

Dnia 07.02.1875 r.

Wkrótce po tej relacji prywatnej Księdza Bosko nadeszło do Rzymu urzędowe sprawozdanie mediatora. Pismo to nie wnosi nic nowego poza tym, co już wiemy. Ksiądz Bosko, który je czytał, wyraził się, że jest ono ne zuppa ne pan molle /ani to zupa ani ciasto/. Zaznaczył też, że jednak dużo różniło się od tego, co monsignor Fissore mówił mu przed jego zredagowaniem. Utrzymane było raczej w ogólnikach dla Księdza Bosko mniej korzystnych, choć wyczuwało się cały wysiłek piszącego, aby być obiektywnym w osądzie. Relacja ta poszła do Ojca Świętego z dopiskami na

marginesie, uczynionymi przez kardynała po rozmowie z Księdzem Bosko. Monsignore Fissore streszczenie tej relacji przesłał grzecznościowo Księdzu Bosko, który otrzymawszy je w Rzymie, widząc, w jakim świetle przedstawia się pewne wymagania ordynariusza turyńskiego, bardzo się zdziwił. I tak je skomentował do kardynała Berardi:

Eminencjo!

Z listu napisanego do Waszej Eminencji przez arcybiskupa z Vercelli, jak i z tego do mnie, widać, że ordynariusz turyński chce, aby żaden kleryk nie mógł wstąpić do zgromadzenia zakonnego bez jego zgody i bez uprzedniego egzaminu na temat powołania. To zdaje mi się, jest zupełnie sprzeczne z rozporządzeniami Stolicy świętej, jak i z listem wystosowanym do wspomnianego arcybiskupa przez św. Kongregację Biskupów i Zakonników. Zresztą żądanie, by tacy klerycy, nawet w innej diecezji, nie mogli być przyjęci do zakonu, zdaje mi się, że grzeszy nie tylko przeciw św. kanonom, ale i przeciwko cnocie miłości. Rzym, 28.02.1875 r.

Optymizm monsignora Fissore jednak wkrótce zaczął przygasać. Na początku, bowiem już marca, nie wiadomo, z jakiej okazji, przekonał się, że te nieszczęśliwe nieporozumienia nie tylko się nie skończyły, ale wystąpiły z jeszcze większą siłą, a to w związku z księżmi z innych diecezji, którzy przyszli do Zgromadzenia, a nie zwrócili się z prośbą o pozwolenie do odprawiania Mszy świętej. Ksiądz Bosko w tym względzie, jak wiemy, pro bono pacis – obiecał, że zawsze będzie się o to pozwolenie zwracał do Kurii. Tej obietnicy jednak nie chciał dać na piśmie, ażeby nie robić uszczerbku dla swego przywileju egzempcji. Arcybiskup z Vercelli, widząc, że jego pojednawcze wysiłki na nowo są zagrożone, pragnął żeby doszło do układu ogólnego w tym względzie na piśmie. Znając jednak negatywne stanowisko Księdza Bosko, co do wydania oświadczenia na piśmie, które by kompromitowało Zgromadzenie, prosił go listownie, kiedy jeszcze ten był w Rzymie, by się przecież nad tym zastanowił i zmodyfikował swój punkt patrzenia. Nie mamy dowodu, żeby Ksiądz Bosko w tym względzie ustąpił.

Była jeszcze jedna rzecz, co, do której ks. Bosko był nieustępliwy, a mianowicie w żądaniu faktów konkretnych, zamiast ogólnikowych zarzutów. I tak czytamy w jednym z jego zapisków: Nasz ordynariusz był tyle razy interpelowany ustnie lub piśmiennie, ażeby wymienił, choć jedną osobę, czy fakt, dotyczący salezjanów, który by można udowodnić to, co im się zarzuca, ale nigdy na to nie było odpowiedzi.

W innym liście przytacza arcybiskup zdarzenia czy osoby, jakoby należące do salezjanów, ale ci klerycy, księża, czy bracia nigdy do Zgromadzenia nie należeli.

Z tych zapisków wynikałoby, że ordynariusz turyński pisał list za listem do Rzymu przeciw Księdzu Bosko i Jego Zgromadzeniu. Oczywiście w Rzymie żądano faktów konkretnych. Wynikałoby to z listu zwróconego przez arcybiskupa do kanonika Marengo, którego prosi, ażeby ten zaświadczył na piśmie, czy on mówi prawdę, czy nie, twierdząc:

1. Że go upoważnił polecić Księdzu Bosko, aby nie powodował przykrości, przyjmując kleryków zwolnionych z jego seminarium;
2. Że kanonik spełnił to polecenie;
3. Że otrzymał od Księdza Bosko odpowiedź, iż ten nie może zadośćuczynić takiemu żądaniu, gdyż święte kanony upoważniają go do przyjmowania takich kleryków.

Kanonik Marengo złożył to oświadczenie i podpisał, zaznaczając odnośnie do trzeciego punktu, że Ksiądz Bosko go zapewnił, iż zrobi wszystko, co możliwe, by zadośćuczynić życzeniom Ekscelencji, ale nie może dać słowa i zobowiązywać się pisemnie, że nie będzie przyjmował żadnego kleryka usuniętego ze seminarium arcybiskupiego, gdyż to byłoby przeciwne prawom przysługującym jego Zgromadzeniu. Tego prawa nie może się zrzec bez uszczerbku dla swego Towarzystwa i nawet nie ma władzy uczynić tego. W razie zaś, gdyby coś podobnego zaszło, taki kleryk nie będzie przetrzymywany w Turynie. Więcej chyba nie potrzeba, aby uznać całą misję arcybiskupa z Vercelli za chybioną. A jednak nie na tym wszystko się skończyło.

Kuria turyńska 18 kwietnia tegoż roku (tj. 1875) zażądała katalogu wszystkich księży, którzy mieszkali w domach salezjańskich na terenie diecezji turyńskiej, w którym byłoby zaznaczone, kto jest profesem wieczystym czy czasowym, względnie nowicjuszem, albo tylko aspirantem, a nawet rezydentem. A w wypadku, gdyby był aspirantem, czy tylko rezydentem z poza diecezji, miało być zaznaczone, czy ma axeat i maneat z datą jeszcze należycie świeżą. Co do jurysdykcji do spowiadania należało zaznaczyć, czy każdy ubiegający się o nią jest profesem ze ślubami wieczystymi, gdzie po raz pierwszy otrzymał jurysdykcję do spowiadania i czy złożył przepisany egzamin.

Chociaż to była wyraźna ingerencja w sprawy wewnętrzne zgromadzenia i Ksiądz Bosko bardzo dobrze wiedział, co na to odpowiedzieć, to jednak uznał za stosowne i roztropniejsze zapytać o poradę kardynała Berardi i sekretarza Kongregacji Biskupów i Zakonników. Pierwszy chorowity odpowiedział przez pośrednika: Bardzo mi przykro czytać o nowym incydencie, o którym Wasza Wielbność wspomina w swym liście. Cóż robić, potrzeba cierpliwości i w tym. Ściśle mówiąc arcybiskup nie ma prawa żądać podobnego wykazu, ale pro bono pacis będzie roztropniej uczynić zadość jego życzeniu, zwłaszcza, jeżeli idzie o spowiedników, co, do których ma pewne prawa. Arcybiskup Vitelleschi /sekretarz Kongregacji Biskupów i Zakonników/ myślał tak samo, podsuwając przy tym myśl, ażeby tego wykazu nie podpisywać i zaznaczyć, że zawarte w nim informacje mogą się w każdej chwili zmienić. Otrzymawszy te pisma Ksiądz Bosko uczynił zaraz zadość życzeniom ordynariusza.

Także i co do kandydatów do święceń nie były dochowane warunki ze strony arcybiskupa, który o udzielaniu święceń klerykom salezjańskim nie chciał słyszeć.

Usprawiedliwiał swe postępowanie tym, że nic mu nie wiadomo o ostatecznym zatwierdzeniu Zgromadzenia Salezjańskiego przez Stolicę świętą, ani też, że główny przełożony ma na 10 lat władzę wydawania dimisorii. Widocznie ordynariusz miał bardzo słabą pamięć, gdyż autentyczny dekret zatwierdzania był mu przedstawiony tak przez Księdza Bosko, jak i później wprost zakomunikowany przez samą Kongregację Biskupów i Zakonników. W tymże samym jego liście następowały zwykle jego zażalenia, iż Zgromadzenie Salezjańskie przyjmuje laików i duchownych, którzy chcą wymknąć się spod jurysdykcji arcybiskupiej. Twierdzenie takie było całkiem bezpodstawne. Ale też wypędzanie na ulice każdego zgłaszającego się kłeryka do Zgromadzenia nie dało się pogodzić z miłością bliźnich Księdza Bosko ani też nie wypadało przecież odmawiać przyjęcia temu, który był odpowiednio usposobiony. No tak, ale jak dojść do porozumienia?

W tym roku przypadało siedmioletnie od konsekracji kościoła Maryi Wspomożycielki. Ksiądz Bosko zaprosił swego arcybiskupa, żeby był łaskaw przyjść na tę uroczystość i wybierzomować internistów z Oratorium, gdzie już od trzech lat nie było bierzmowania. Tym bardziej o to nalegał, że między chłopcami znajdowało się kilku, którzy przyjęci na łono Kościoła katolickiego, mieli opuścić Oratorium, by powrócić do Anglii, gdzie o bierzmowanie było im bardzo trudno.

Negative na całej linii, nawet nie pozwolono na zaproszenie innego biskupa. Łatwo sobie wyobrazić, że ta potrójna odmowa nie mogła przejść niezauważona i nie wywołać zdziwienia nie tylko wewnątrz Oratorium, ale i poza nim.

Ksiądz Bosko rozmawiając pewnego razu z księdzem Lemoyne, oświadczył, że nigdy nie byłby przypuścił, żeby kiedykolwiek było możliwe zerwanie stosunków między nim a monsignorem Gastaldim, nawet gdyby mu to przepowiadały najpoważniejsze osoby. Tak serdeczne były dawniej ich wzajemne stosunki. Mimo tych nieporozumień, miał on zawsze największy szacunek dla arcybiskupa, jako swojego zwierzchnika. Znając jego gwałtowny temperament, hamował go nieraz ostrzegając go i prosząc.

Pewnego dnia, kiedy jeszcze był z nim w dobrych stosunkach, wszedł do jego gabinetu, podczas gdy arcybiskup załatwiał pisemnie pewną sprawę.

O, Ksiądz Bosko, zawołał arcybiskup, załatwiam w tej chwili bardzo poważną rzecz.

Uważam, że wszystko, co arcybiskup załatwia, jest bardzo ważne – odpowiedział Ksiądz Bosko.

Ale tu chodzi o wypadek wyjątkowy. Mam podpisać dokument dotyczący jednego z kanoników...

Otrzyma z pewnością awans?

Ładny awans. Suspensa a divine.

Proszę się jednak przed tym zastanowić, czy doprawdy ów kanonik na to zasługuje?

Wypadek jest bardzo poważny, a informacje mam pewne.

A można by wiedzieć, o kogo chodzi?

O Don Calosso.

Co? Ten z Chieri?

Tak, tak - ten z Chieri.

Niechże Wasza Ekscelsja zauważy, że kanonik ten cieszy się najlepszą opinią. Całe Chieri zna go dobrze i otacza szacunkiem... To będzie skandal, ucierpi na tym powaga władzy kościelnej.

A jednak, a jednak... trzeba tak postąpić – zawołał arcybiskup rezolutnie i nie ustąpił. Chodziło o jakąś kaplicę. Kanonik był już człowiekiem starszym i co prawda trochę upartym. Kiedy otrzymał suspensę, czego biedaczyna nigdy nie byłby się spodziewał, cały zdenerwowany pobiegł zaraz do Księdza Bosko, którego w swoim czasie był spowiednikiem w seminarium w Chieri, prosząc go o przyjęcie do jednego ze swoich domów, chciał w ten sposób uniknąć wstydu, jaki na niego ściągnął ten surowy dekret. Ksiądz Bosko wysłał go do Alassio „in de iras” - stąd gniew.

Wolno jednak przypuścić, że sprawy nigdy nie były by się tak daleko zaogniły, gdyby nie dmuchano na nie stale w otoczeniu arcybiskupa. Temu przedstawiono wszystko w fałszywym świetle, albo wyolbrzymiano jakieś nieroztropności popełnione przez któregoś z mieszkańców Oratorium. Chociaż, po ludzku mówiąc, nie było możliwe, aby w Oratorium wszystko szło jak w zegarku, bo i wśród młodzieży było wielu wziętych wprost z ulicy i wychowawcy byli dopiero początkujący. Zrozumieć Oratorium, trzeba było w nim żyć. Nic więc dziwnego, że co do różnych szczegółów można było mieć coś do zauważenia. Ale pewną jest rzeczą, że pierwsi salezjanie i to wcale nieprzeczułeni, powracali chętnie myślą do owych lat Oratorium, jako do czasu rajskich iście młodzieńczych przeżyć.

Ale historia konfliktu jeszcze się przeciągnie i do wydania jego oceny będziemy mieli dużo nowych danych.

Podziwiać też przy tym będziemy mogli dziwny spokój, z jakim Ksiądz Bosko przyjmował te wszystkie udręki. Oświadcza ks. Rua, który z nim przecież w stałej pozostawał łączności, iż nie słyszał nigdy od niego słowa, które by wyrażało brak uszanowania dla arcybiskupa, owszem, nie słyszał nawet nigdy, by Ksiądz Bosko z kimkolwiek na temat doznawanych przykrości rozmawiał poza tymi, z którymi konieczność tego wymagała. Innych pozostawiał w nieznajomości wypadków, aby nie umniejszać u nich czci wobec najwyższej władzy w archidiecezji.

Sam zaś mówiąc o tym, nazywał to próbą zesłaną na niego przez Opatrzność Boską.

ROZDZIAŁ VI

W RZYMIE – 1875 R.

W czasie swego pobytu w Rzymie, w roku 1875, miał Ksiądz Bosko do omówienia cały szereg spraw, takich jak: Dzieło Synów Maryi Wspomożycielki, Pomocników Salezjańskich, misje w Ameryce, te już przyjęte i jakie mu proponowano, sprawę przywilejów i prawo wydawania dimisorii. Niestety, co do tego pobytu źródła są raczej skąpe. Jego towarzyszy podróży, ks. Berto, notuje tylko daty i nazwiska osób, bez podawania bliższych szczegółów spotkań Księdza Bosko z różnymi osobistościami. Pewno, że nie we wszystkich brał udział i stąd mógł tylko tyle wiedzieć, ile mu opowiedział ten święty, który znowu nie wszystko, co robił, chciał, by doszło do publicznej wiadomości, już to, by nie wysuwać swej osoby na pierwszy plan, już to, iż niektóre rzeczy same przez się wymagały pewnej rezerwy.

Z Turynu wyjechał w pierwszą niedzielę Postu, 14 lutego, w kierunku Sampierdarena. Tym razem jechał koleją na bilet darmowy, jaki mu przyznała Dyrekcja Generalna Kolei na koleje Włoch północnych.

Zaledwie przyjechał do Genui, zauważył, iż zapomniał kilku rzeczy. Zaraz, więc napisał, co ks. Berto, który miał go dogonić w Genui i towarzyszyć, jak wspomnieliśmy, do Rzymu. Oto jak mu pisze:

Drogi ks. Berto! Zapomniałem kilku rzeczy, więc je zabierz i zaraz przyjeżdżaj. Chodzi o rozkład jazdy kolei i o książeczki francuskie, traktujące o Szkołach Apostolskich. We wtorek pójdziesz do księdza Chiuso i Audagnotto i zawiadomisz ich, że jestem w Genui, skąd wprost jadę do Rzymu. Gdyby arcybiskup miał, jakąś sprawę do przekazania, chętnie posłużę. Jeśliby rozmowa padła na temat celu mej podróży do wiecznego miasta, to powiedz krótko, że chodzi mi głównie o omówienie sprawy misji w Ameryce i Oceanii. Poza tym wezwała mnie pewna osoba, ciężko chora, telegraficznie i listownie. Dobrze będzie, jeśli weźmiesz jej list, a także pisma dotyczące naszych przyszłych placówek w Buenos Aires i S. Nocilas. Vale in Domino et valedie. Oddany w Chrystusie Panu. Ksiądz Jan Bosko.

PS. Księdzu Rua powiedz, by mi przysyłał każdy tydzień spis chłopców wyróżnionych obiadem przełożonych itd.

Wzmiankowane szkoły apostolskie – to były małe seminaria dla uboższych założone przez księdza Le Foresta we Francji. Chora osoba, to zdaje się Matka Galaffi w Tor de Specchi. Widać z tego listu, iż Ksiądz Bosko pragnął zapobiec wszelkim podejrzeniom, co do celu jego podróży do Rzymu i stąd kazał zawiadomić o tym

Kurię turyńską. Przebija także jego zainteresowanie sprawami Oratorium, z którego zaleca przysyłać sobie wiadomości, choćby z rzeczy całkiem drugorzędnych.

Ks. Berto załatwiwszy, co miał zlecone, dwa dni potem był już w Sampierdarena, skąd razem wyjechali do Rzymu, 17 lutego, dokąd przybyli następnego dnia.

Na stacji oczekiwał ich powóz z Tor de Specchi, który zawiózł ich na via Sistina 104, do państwa Sigismondi. Miał tu Ksiądz Bosko tę wygodę, że mógł odprawiać Mszę św. Na miejscu. P. Sigismondi przechował ze czcią paramenta i kielich używany przez świętego, w czasie pobytu w Rzymie. Po śmierci pana Sigismondi, rodzina przekazała je salezjanom rzymskim.

Wieczór, po przyjeździe do Rzymu, spędził Ksiądz Bosko razem ze sekretarzem u swych gościnnych gospodarzy, do czego zresztą zmusił go rześcicie padający wtedy deszcz. Nazajutrz rano, 19 lutego, wysłał księdza Berto, żeby złożył od niego uszanowanie biskupowi Vitelleschi i ustalił z nim godziny, kiedy by mógł przyjść na posłuchanie, bo miał wiele spraw do omówienia. Monsignore przyjął wysłańca bardzo życzliwie, wypytał o rozwój Zgromadzenia, przy czym wspominał, iż co dopiero nadeszło od ordynariusza turyńskiego pismo, w którym tenże, pomijając stale odgrzewaną sprawę kleryków, tym razem żali się, iż się przyjmuje obcych do Towarzystwa bez jego zezwolenia. Oczywiście ks. Berto mógł zaraz zaprzeczyć temu, gdyż żaden ksiądz spod jurysdykcji arcybiskupa, nie przebywał w Oratorium. Posłuchanie dla Księdza Bosko naznaczone zostało w domu rodziny Vitelleschich, na godzinę trzecią popołudniu. Oczywiście przybył tam punktualnie, przyjęty ze wszystkimi względami i z objawami szczególnej serdeczności. Rozmowa potoczyła się raczej o rzeczach ogólnych, gdyż Monsignore został wezwany do Ojca Świętego i na załatwienie spraw urzędowych zabrakło czasu. Wobec czego Ksiądz Bosko zaproszony został na wieczór dnia następnego, a na niedzielę, na obiad.

Wyszedłszy od Vitelleschich, udał się do adwokata Bertorelli, ciężko przeżywającego śmierć swego jedynaka. Po tym uczynku miłosiernym wstąpił, jak notuje sekretarz, do fryzjera, aby się odpowiednio znaleźć u kardynała Berardi, z którym na całkiem poufnej rozmowie spędził dwie godziny. Na pożegnanie kardynał z wielką uprzejmością odprowadził go aż pod bramę. Po drodze Ksiądz Bosko tak odezwał się do swego sekretarza: Kardynał Berardi opowiadał mi, że pewnego dnia Ojciec Święty tak miał się do niego wyrazić: Czy Eminencja wie, kto nam podarował tego arcybiskupa turyńskiego? Nie wiem, proszę Waszej Świątobliwości...

Nie, kto inny, tylko sam Ksiądz Bosko. Proszę to sobie zapamiętać. A teraz ma za swoje /lo paga bene/.

Zresztą nie tylko wtedy Ksiądz Bosko podkreślał, iż arcybiskup turyński Gastaldi został przeniesiony ze Saluzzo do Turynu za jego interwencją; a czynił to na swoje zawstydzenie, bo sam spodziewał się, iż będzie w nim miał, jako w swoim

dawnym przyjacielu, ostoję przy organizowaniu swych dzieł; ale zaznaczał przy tym z całą pokorą, że takie stawianie na pomoc ludzką nie podobało się Panu Bogu.

Dowiedział się jeszcze od kardynała o innej rzeczy, a mianowicie, iż z Turynu przyszły nowe dwa listy: jeden to właśnie do kardynała Berardi, a drugi, na 16 stron, do Ojca Świętego. Papież przeglądając pismo, oddał je zaraz kardynałowi Berardi, aby ten przekazał jego treść Księdzu Bosko.

Kiedy w późniejszych miesiącach zdawał sprawę przed swoją Kapitułą, z pobytu w Rzymie i mówił o tym liście, to protokolant konferencji taką na ten temat zrobił uwagę: Wyczuwało się wyraźnie wzburzenie, z jakim ten list był pisany, ale, co przykrzejsze, były w nim wprost miotane oszczerstwa pod naszym adresem. Następane dni: 20 – 21 lutego zeszły na wizytach: wieczór dwudziestego pierwszego spędził Ksiądz Bosko według umowy u Monsignora Vitelleschi.

O posłuchanie u Ojca Świętego zaczęli się nasi przybysze starać oczywiście zaraz po przyjeździe do Rzymu. Odpowiedź nadeszła niespodziewanie szybko z naznaczeniem audiencji na godzinę pół do jedenastą, w dniu 22 lutego. Sprawy, jakie miał Ksiądz Bosko omawiać na audiencji, ujął w dwanaście punktów, z których pierwszy brzmiał: wyrazy hołdu ze strony wszystkich salezjanów i ich wychowanków, a ostatni: błogosławieństwo, odpusty dla salezjanów i ich wychowanków. Chodziło mu zawsze o to, by swoich coraz bardziej przywiązywać do namiestnika Chrystusowego. Audiencja trwała godzinę i kwadrans. Wyszedł z niej bardzo zadowolony i tak jeszcze na schodach Watykanu odezwał się do czekającego go księdza Berto: dwie piękne rzeczy podarował nam Papież: jedna – to wszystkie przywileje któregoś ze zgromadzeń do wyboru; druga – dimisorie ad quemcumque Episcopum.

Oczywiście te dwie rzeczy bardzo go ucieszyły, bo dobrze zdawał sobie sprawę, ile trzeba będzie zabiegów, zanim otrzyma przyznanie mu pełni przywilejów, choć może nie przeczuwał, iż dzień ten jest doprawdy jeszcze bardzo daleki.

Na tejże audiencji zapytał Papieża, czy ma prosić o wyznaczenie mu kardynała protektora, jakiego mają inne zakony. Papież na to tak dosłownie odpowiedział: Dopóki ja jestem przy życiu, zawsze będę protektorem Księdza i waszego Zgromadzenia.

Po powrocie z Watykanu miał Święty miłą wizytę. Otóż dzień przed tym podszedł do niego na mieście jakiś porucznik Gwardii Królewskiej, całując go w rękę z oznakami szczerej radości i czci. Ksiądz Bosko spojrzawszy na niego zawołał:

O, mój drogi Benvenuto... Co jeszcze jesteś przyjacielem Księdza Bosko?

Naturalnie... nigdy nie zapomniałem i nie zapomnę swego największego dobroczyńcy...

No tak, ale wiesz przecież, że przyjaciele nie mogą żyć od siebie z dala, lecz zawsze chcą być blisko... A ty jesteś tak daleko ode mnie. Przyjdź, więc mnie kiedy odwiedzić.

Oficer ten nazywał się Benvenuto Graziano i uczęszczał swego czasu do Oratorium. Słowa Księdza Bosko bardzo go uderzyły i nie mógł w nocy spać spokojnie. Przyszedł, więc na drugi dzień, właśnie po powrocie Świętego z Watykanu, powiedzieć mu, że jeśli by go przyjął, to jest gotów z nim pozostać, a potem pójść, dokądkolwiek by go posłał. Ksiądz Bosko odpowiedział mu, że kiedy będzie mógł i zechce, to może bez niczego stawić się do Oratorium i wtedy ostatecznie zadecyduje się. Ale koniecznie ma przyjść w swoim wspaniałym uniformie, bo to wszystkich ucieszy, iż w swoich szeregach będą mieli prawdziwego żołnierza... Graziano słowa dotrzymał, jak zobaczymy później.

Do spraw własnych, jakie miał Ksiądz Bosko do załatwienia w Rzymie, dołączyły się jeszcze nie przewidziane: Ojciec święty zlecił mu omówienie pewnych rzeczy poufnych z ministrem Viglianim, Przyszło mu, więc odbyć kilka konferencji, jedną w ministerstwie sprawiedliwości, a następnie w sekretariacie stanu. Następnym tego były listy, jakie zlecił zanieść księdzu Berto do ministra. Nie znamy bliżej spraw, o jakie chodziło, ale najprawdopodobniej traktował o obsadzaniu niektórych stolic biskupich, gdyż bezpośrednio po tych konferencjach nastąpiło kilka nominacji nowych biskupów.

Innych szczegółów z tego pobytu Księdza Bosko w Rzymie nie mamy. Wobec tego musimy przejść zaraz do drugiej audyencji u Ojca świętego, jaka miała miejsce 12 marca, o pół do dwunastej. Stawił się na nią Ksiądz Bosko, jak zwykle ze spisem spraw do omówienia. Między innymi było tam zaznaczone: Niech nam nadal Wasza Świątobliwość będzie Ojcem jak dotąd, zwłaszcza przy załatwianiu sprawy przywilejów i dimisorii. Obok tego jest w nawiasie na tej kartce: Si – tak, świadczące o życzliwości Ojca świętego do tych spraw. Audyencja trwała trzy kwadransy i zakończyła się takim miłym dla zainteresowanego przeżyciem. Otóż przy końcu posłuchania tak się odezwał do Papieża: Ojciec Święty, w chwili, gdy mam powrócić do moich synów w Turynie, chciałbym prosić Waszą Świątobliwość o podanie mi jakiejś myśli, która by była dla nich upominkiem, pochodzącym wprost od Namiestnika Chrystusowego. A potem ja także mam coś do powiedzenia Waszej Świątobliwości od nich, ale chciałbym najpierw usłyszeć, co Wasza Świątobliwość w swej dobroci będzie łaskaw im przekazać.

Owszem – odrzekł Ojciec święty z całą serdecznością: Mam dla nich zlecenie, upominek, który im dobrze zrobi i chciałbym, aby był często przypominany tak współbraciom Księdza, jak i chłopcom. Proszę im powiedzieć, by przyrzekli wierność i pełne oddanie Chrystusowi i Jego zastępcy na ziemi. A wtedy Ksiądz Bosko pokazał Ojcu świętemu punkty, w jakie ujął audyencję, z której ostatni brzmiał: Przyrzekamy wierność i posłuszeństwo Ojcu świętemu, jako zastępcy Chrystusa na ziemi. Mile uderzony tożsamością uczuć, a nawet słów, Papież zawołał: Trzeba uznać w tym wyraźne natchnienie Boże, albo - w Księdzu, gdy to pisał, albo - we mnie, gdy to mówiłem. Widocznie są to słowa pełnowartościowe.

O na pewno Waszą Świątobliwość natchnął Pan Bóg, by podał nam tak zbawienny upominek, gdyż ja te słowa pisałem z wielkim pospiechem, prawie nie zdając sobie sprawy z ich ważności. Gdy przyjadę z Rzymu do Oratorium, nie tylko je zakomunikuję swoim synom, ale postaram się, żeby te uczucia były im stale wpajane na kazaniach i okolicznościowych przemówieniach.

Jak obiecał tak uczynił. Dyrektorom na konferencjach w kwietniu zalecił, ażeby, gdy wrócą do swoich zakładów, opowiedzieli ten fakt, a następnie przy każdej okazji, do tego tematu powracali.

Po skończonej audiencji także sekretarz Księdza Bosko miał zaszczyt być przedstawiony Ojcu świętemu. Ośmielony życzliwością Piusa IX, poprosił go o kilka łask duchowych dla siebie, które zostały mu przyznane.

Ksiądz Bosko przebywał w Rzymie tym razem 25 dni. Między jedną wizytą a drugą u różnych prałatów, przy tylu innych sprawach, znalazł jeszcze czas na odwiedzenie kilku domów zakonnych. I tak był u Redemptorystów, u mniszek di Bocca dela Verita, a kilka razy u Nobili Dame di Tor de Specchi. Do wielu rodzin arystokratycznych był zapraszany na obiady, gdzie miał sposobność zetknąć się z wybitnymi osobistościami. Oczywiście nie mogło zabraknąć zaproszenia i ze strony oddanego mu całym sercem Monsignora Pratejacci. Był to typ prawdziwego rzymianina, jowialnego, z pełną dezynwolturą, który w swej korespondencji nie oszczędzał przeciwników Księdza Bosko, a w rozmowach na ten temat nie liczył się ze słowami. Pewnej niedzieli, gdy wracał z kościoła św. Eustachego, przy którym był kanonikiem, napotkał Księdza Bosko na placu Minerwy. Wziąwszy go pod rękę, powiedział:

Proszę ze mną – i zaprowadził go do pobliskiej kawiarni na jedną filiżankę czarnej. Tutaj usiadłszy, wypróżnił sakiewkę, opowiadając przy tym wszystko, co się robiło i gadało na mieście na szkodę salezjanów. Opowiadał i opowiadał, a Ksiądz Bosko słuchał i słuchał. I wreszcie tak zakończył rozmowę: Otóż, jak widzi Wasza Ekscelencja Ksiądz Bosko znajduje się w tej samej sytuacji, w jakiej znajdował się sławny kapitan, awanturnik Giovannini delle Bande Nere. Musi dobrze oglądać się na prawo i na lewo, aby wiedział, jak zdecydować i co zrobić, a następnie rozkazać swoim, jak rozkazywał wspomniany kapitan żołnierzom: Nie pchać się naprzód, ale chodźcie za mną.

Ksiądz Bosko nie tracił nigdy spokoju i właściwej mu pogody ducha. Jego sekretarz, który miał sposobność być świadkiem wizyt od jednej do drugiej osobistości, nieraz bez rezultatów, wspinania się na czwarte piętro, by otrzymać jałmużnę, nie mógł powstrzymać się od zawołania: Biedny Ksiądz Bosko! O gdyby w Oratorium wiedziano, ile Ksiądz podejmuje się trudów, ażeby wyżebrać jakąś pomoc, względnie, aby załatwić jakąś sprawę na korzyść swoich synów. Tak, tak, to wszystko, aby zbawić swoją biedną duszę... Ażeby ją zbawić, trzeba być gotowym na wszystko... Obecnie już mnie nic nie zajmuje, jak tylko, aby w tych paru latach, jakie

mi jeszcze pozostają życia, uporządkować ostatecznie wszystkie sprawy naszego Zgromadzenia. Poza tym dla mnie nie ma już nic żadnego uroku.

Pobył Księdza Bosko w Rzymie i tym razem nie był bezowocny. Najważniejsze sprawy, interesujące go, były odpowiednio pokierowane i pozostawało tylko kwestią czasu ostateczne ich załatwienie, a niektóre rzeczy zostały już definitywnie zakończone.

Oprócz łask indywidualnych dla różnych dobrodziejów niósł ze sobą dwa breve papieskie i trzy dekry, a inne były w trakcie redagowania. W pierwszym breve było przyznane wszystkim wiernym, którzy by odwiedzili kościół Maryi Wspomożycielki, odpust zupełny raz w roku, w dniu do wyboru, na zwykłych warunkach. Ten indult był bardzo praktyczny dla tych, co w zwykłe dni, nie na święta odpustowe, przychodzili z dala w pielgrzymce do tejże świątyni. Drugie breve przyznawało jeszcze szereg innych przywilejów, a mianowicie:

1. Ołtarz uprzywilejowany w każdym kościele Zgromadzenia;
2. Odpust zupełny dla dusz zmarłych współbraci, za których przy jakimkolwiek ołtarzu w naszych kościołach odprawiały się Msza święta;
3. Odpust zupełny trzy razy w tygodniu dla jakiegokolwiek zmarłego, za którego by kapłani salezjańscy odprawili Najświętszą Ofiarę;
4. Władzę błogosławienia krzyżów i nakładania odpustów zupełnych w czasie Mszy św.;
5. Odpust 200 dni dla każdego wiernego, który słucha kazania;
6. Władzę dla kaznodziei i spowiedników błogosławienia koronek i medali;
7. Władzę erygowania Drogi Krzyżowej w miejscowościach, gdzie nie ma kościołów franciszkańskich.

Oprócz tego otrzymał dla wszystkich księży Zgromadzenia pozwolenie na odprawienie w czasie rekolekcji Mszy świętej w godzinę przed brzaskiem. Upoważnienie do śpiewania po naszych kościołach dwóch Mszy św. De Requies na tydzień, chociażby to nie była rocznica. Dyrektorzy otrzymali władzę poświęcania paramentów kapłańskich we własnych domach. Oczekiwał też wkrótce zezwolenia, by dyrektorzy mogli zamieniać brewiarz na inną modlitwę, czy dobry uczynek dla słusznych przyczyn, a także by mogli wysyłać swoich kapłanów ze Mszą świętą do domów prywatnych, byle tam było wszystko odpowiednio urządzone.

Dzisiaj te koncepcje same w sobie nie wydają się czymś niezwykłym, ale w owych latach miały one wielkie znaczenie, gdyż przyczyniały się do ustabilizowania Zgromadzenia i podkreślenia jego osobowości prawnej.

Pełen żywej wiary i pobożności, cieszył się święty Jan Bosko również tym, że mógł przynieść swoim synom trzy drogocenne dary od Papieża, w formie trzech wielkich odpustów, a mianowicie:

1. 300 dni, ilekroć przed jakąkolwiek swoją czynnością, czy kazaniem lub lekcją, lub po niej przeżegnają się;
2. 300 dni dla tych, co uczą w szkole, czy asystują;

3. Trzy lata za każdym razem, kiedy wezmą udział corde saltem contra ido w praktykach pobożnych porannych, nawet gdyby nie przystąpili do Komunii świętej.

Ale najwięcej cieszyło Księdza Bosko przy odjeździe ze Rzymu, iż przekonał się, jak poważano tam jego Zgromadzenie. Nie tylko Ojciec święty – powiedział na jednej z konferencji – dobrze nam życzy i popiera nas, ale wszyscy tam życzliwie patrzą na działalność naszego Zgromadzenia, które jest mile widziane tak od dobrych, jak i przeciwników, tak od władz cywilnych jak i kościelnych. Za małymi wyjątkami wszyscy nas popierają. Umyślnie zaznaczyłem, że i przeciwnicy patrzą na nas życzliwym okiem. Dało się, bowiem zauważyć, że ci sami, co głośno występują przeciw zakonom i chcieliby je widzieć wprost starte z powierzchni ziemi, to nas chwala... Dodał Ksiądz Bosko.

Teraz przytoczymy parę listów jego pisanych z Rzymu do swoich.

DO KS. REVIGLIO, który był pierwszym wychowankiem Oratorium, jaki został wyświęcony na kapłana, a w owych dniach miał objąć parafię św. Augustyna w Turynie. Jest o nim często mowa w pierwszych pięciu tomach *Memorie Biografiche*. Niemożliwą mi jest rzeczą – pisze mu Ksiądz Bosko zdążyć na niedzielę czwartą Postu do Turynu. Ingres twój może się odbyć i beze mnie. Będę w nim uczestniczył przez modlitwę, a ty możesz powiedzieć swoim parafianom, że Ojciec święty przesyła im swoje szczególniejsze błogosławieństwo *vivae vocis raculo et expressis verbis*, tak tobie, jak klerowi i wszystkim powierzonym przez Boską Opatrzność twojej opiece. Módl się za twego biednego, ale w Chrystusie Panu całym sercem oddanego przyjaciela. Dnia 28.02.1875 r.

DO HRABINY CALLORI – dobrodziejki Księdza Bosko, który zwykł zasięgać jej rady w wielu sprawach, zwracając się do niej ze synowską poufałością. Wzmiankowany w liście pan Emanuel, to jej drugi 22 - letni syn, którego Ksiądz Bosko zachęcał często życzliwymi liścikami do nauki i cnoty. *Mia buona Mamma!* – zaczyna Ksiądz Bosko – Wracam od Ojca świętego, z którym miałem sposobność mówić o pani i jej rodzinie. Ojciec św. był łaskaw wypytywać o panią, o jej męża i upoważnił mnie zakomunikować wam jego błogosławieństwo apostolskie. Uważałem także za stosowne prosić o szczególne błogosławieństwo dla p. Emanuela i polecić go modlitwom. Zaczekajmy na skutki. Pewny jestem, że będą dobre. Tyber dzisiaj rano wyszedł na przechadzkę ze swoich brzegów i zalał miasto w kilku punktach. Ciekawi wszyscy, jak daleko dotrze. Spodziewam się, że na Wielki Tydzień będę w domu i będę mógł opowiedzieć jeszcze inne rzeczy. Ojciec święty jest zdrow i przy dobrym humorze. Pracuje wiele, jakby był w pełni sił. Osoba godna podziwu. Dla mnie powietrze rzymskie też nieźle służy. Niech Bóg pani udzieli świętości i pełni zdrowia. Proszę i za mnie się pomodlić, który itd.- Rzym, 02.03.1875 r.

PS. Ks. Berto mi mówi, żebym i od niego dołączył wyrazy uszanowania. Św. przedmiot mam ze sobą i doręcę go w Turynie.

DO PANI EUROZJI MONTI – wybitnej dobrodziejki Oratorium, niedawno owdowiałej. Wzmiankowany w liście pułkownik, to jej mąż. Zmarł także wtedy ostatni jej brat, ks. Colzio, współpracownik księdza Tuola i świętego Józefa Cafasso w Konwikcie, spowiednik Księdza Bosko po śmierci księdza Cafasso. Wielce Czcigodna Pani Eurozjo! W czasie mego pobytu w Rzymie często myślałem o Pani i współczułem w jej samotności, w jakiej się obecnie znajduje. Oprócz tego, że modliłem się każdy dzień we Mszy świętej, ażeby jej Bóg udzielił długiego i szczęśliwego życia, postarałem się również o szczególne błogosławieństwo dla niej od Ojca świętego, który chętnie słuchał, co mówiłem mu o niespodziewanej śmierci pana pułkownika i ostatnio jej brata. Na końcu tak się odezwał. Napiszcie ode mnie i powiedzcie jej, że nas oczekuje lepsza ojczyzna, w której będziemy mogli spotkać się z naszymi drogimi zmarłymi, przy czym zakomunikujcie jej moje apostolskie błogosławieństwo z odpustem zupełnym, który może uzyskać w dniu według swego uznania. Niech się modli dużo za obecne potrzeby Kościoła Świętego. Piszę o tych rzeczach, bo mam wrażenie, że będą dla pani przyjemne. Mówiłem też dużo o niej z Monsignorem Fratejacci, który ostatnio poważnie chorował. Bardzo się przejął wiadomością o śmierci pana pułkownika. Mam nadzieję, że w Wielkim Tygodniu będę w Turynie i będę jej mógł złożyć swoje uszanowanie. Polecając się itd. Rzym, 02.03.1875 r.

DO KS. MICHAŁA RUA – który w zarządzie Oratorium, można powiedzieć, palcem nie ruszył bez konsultowania się z Księdzem Bosko. Ten z wiecznego miasta interesował się każdym szczegółem życia Oratorium, jak np. wymianą żywoplotu na mur, otaczający ogród; motorem do wody, który zdaje się nigdy nie doszedł do skutku i innymi drobniejszymi robotami. Drogi księżo Rua! Śnieg, jaki spadł ostatnio, na pewno spowodował w Turynie wielkie zimno. Dlatego nasz wyjazd z Rzymu odłożymy do poniedziałku, tym bardziej, że jeszcze mam kilka spraw w biegu. Listy proszę przysyłać pod zwykłym adresem. Co do ogrodzenia za domem dobrze będzie, że zaczekasz na mój powrót, byśmy to wspólnie omówili. Ale trzeba polecić panu Spozia, aby zabrał się do roboty koło motoru na wodę... Pozdrów wszystkich w Panu, zwłaszcza Audisio i Cottini. Podziękuj pierwszemu za list mi napisany. Kochaj mnie w Chrystusie Panu i módlcie się za mnie, który itd. Dnia 08.03.1875 r.

PS. ksiądz Chiala jak się ma? Czy ksiądz Bologna urósł już coś? Powiedz księdzu Guanella, że dla niego wiozę podarek.

DO KS. DALMAZZO DYREKTORA W VALSALICE - który w październiku poprzedniego roku przyprowadził do Rzymu grupę swoich konwiktorów na wycieczkę, o czym tak pisał Monsignore Vitelleschi swego czasu do Księdza Bosko: Z przyjemnością poznałem dyrektora z Valsalice i grupę młodzieńców z nim

przybyłych. Był to bardzo szczęśliwy pomysł, a by w nagrodę za ich zachowanie, urządzić im wycieczkę do wiecznego miasta, ażeby mogli uklęknąć u stóp Ojca świętego... O tym będzie właśnie wzmianka w następującym liście:

Drogi Księżę Dalmazzo!

Niestety biegu czasu nie możemy zatrzymać i oto, podczas gdy on ucieka, ja jego kawałeczek tobie przesyłam. Wręczyłem Ojcu świętemu list z załączoną ofiarą. Czytał go od początku do końca i z tej okazji przypomniał sobie waszą zeszłoroczną wycieczkę, mile ją komentując. Między innym tak się wyraził: Dobre wrażenie zrobiły te chłopaki tak w Watykanie, jak i w mieście. Już kilku mi o tym mówiło. Wszyscy byli zdania, że widoczne jest na nich, iż otrzymują nie tylko ogólne wychowanie i kulturę, ale co najważniejsze, robi się to w duchu chrześcijańskim. Gdy przeglądając podpisy, doszedł do nazwiska De Zecchi / ze starych/, zażartował: To widocznie jeden z takich, do jakich i ja należę. Odkładając pismo dodał: W swoim czasie im odpowiem. Ale można im zaraz podziękować z mojej strony i zapewnić ich o moim błogosławieństwie, połączonym z odpustem zupełnym, który mogą przyjąć i uzyskać w dniu, kiedy przyjmą Komunię Świętą.

Wtedy poprosiłem go, żeby te odpusty rozciągnął także na krewnych chłopców. Owszem, odpowiedział. Na ich rodziny, krewnych aż do trzeciego stopnia inclusive. Ale o tym to już wy ich poinformujcie. Dziękuje za twoje życzenia jak i naszych drogich wychowanków w Valsalicy, jak też za modlitwy, które za mnie przyrzekacie zanosić. Ja codziennie we Mszy świętej proszę Boga dla was o „trzy S”, które tamtejsi inteligentni uczniowie będą umieli przetłumaczyć: sanitas, sapientia, sanctitas. Wnet wyjadę z Rzymu, ale po drodze mam dużo do załatwienia, tak, że u was nie będę przed Wielkim Tygodniem. Rozważę sprawę dotyczącą p. Bacchialoni. Co odnosi się do Teroga, to ponieważ nie ma dyplomu do matematyki, o ile by się można bez niego obejść, to przyjąć jego propozycję, czy groźbę i zwolnić go. Sprawy Zgromadzenia stoją bardzo dobrze, o czym będziemy mówić na miejscu.

Mój drogi księżę Dalmazzo: messie multa, messie multa ... Powiedz swoim chłopcom, aby się przygotowali na dzielnych i świętych misjonarzy, z których jeden znaczący tyle, co stu, a wtedy będziemy mogli zadośćuczynić potrzebom, jakie ze wszystkich stron się wyłaniają. Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa niech będzie zawsze z tobą, z twoją matką, ze wszystkimi „Valsaliczykami”, a w sposób szczególny ze mną, który polecając się modlitwom każdego z was, pozostaje w Jezusie Chrystusie najbardziej przywiązany przyjaciel

Rzym, 08.03.1875 r.

DO KS RUA /drugi/ - od którego Ksiądz Bosko chciał informacje o zachowaniu się uczniów. Drogi ks. Rua! W poniedziałek rano, za wolą Bożą wyjedziemy ze Rzymu przez Orvieto do Florencji, dokąd będziesz kierował listy aż do nowego zawiadomienia. Mam nadzieję być na Święta Wielkanocne z wami. Gimnazjalistom powiedz, że bardzo miły był dla mnie ich podarek, złożony

z ogólnego ich zachowania na stopień optima. O jedenastej dzisiaj idę do Ojca świętego i między innymi podam mu tę wiadomość, prosząc o specjalne błogosławieństwo dla wszystkich naszych grzecznych wychowanków, zaczynając od dzielnego asystenta kleryka Cinzano. Przyjemność moja będzie podwójna, jeśli taki sam podarek otrzymam na przyszły tydzień. Pozdrów księdza Chiala, którego listy otrzymałem i zastosuję się do jego rady. Przykro mi, że nie mam czasu napisać do księdza Berberisa i do moich i jego drogich wychowanków. Także dla nich jest błogosławieństwo Ojca świętego z odpustem zupełnym. W niedzielę jest świętej Matyldy. Dobrze by było wysłać telegram o treści: Matylda Sigismundi – Sistina 104 – Roma. Życzenia imieninowe, modlitwy, Bóg udzieli zdrowia, szczęśliwego życia.

To samo niech się zrobi na św. Józefa do kardynała Berardi, oczywiście mutatis mutandis. Módlcie się etc.

Dnia 12.03.1875 r.

DO KS. JANA BAPTYSTY FRANCESIA, dyrektora w Varazze – który swego czasu napisał broszurkę: „**Dwa miesiące z Księdzem Bosko w Rzymie**” opisując w niej pobyt z Księdzem Bosko w wiecznym mieście 1867 roku w jego towarzystwie. Drogi ks. Francesia! Zanim wyjadę z Rzymu, chcę dać znać, co zrobiłem dla ciebie i twoich i moich synów. To, co jest dla ciebie, to ci osobiście wręcę; dla twoich wychowanków przesyłam wyrazy zadowolenia Ojca świętego z tego, co o nich mówiłem i błogosławieństwo apostolskie wraz z odpustem zupełnym. Błogosławieństwo rozciąga się na wszystkich wychowanków i osoby kolegium, na eksternistów, na księdza proboszcza i jego rodzinę oraz na rodziny wszystkich wyżej wspomnianych. Niechże i ci wychowankowie zawiadomią swoich najbliższych. Pozdrawia cię Monsignore Fratejacci i tylu innych, których już nie pamiętam. Caro in omnibus, francesia, labora, opus fac Evangelista. Sanctifica salvifica te et tuos et dic ut omnes ad Deum preces fundant pro ps. Amen. Rzym, 12.03.1875 r.

PS. Powiedz księdzu Tomatisowi: Zdaje się, że karliści idą naprzód.

To postscriptum odnośnie karlistów jest aluzją do wojny cywilnej w Hiszpanii między karlistami a zwolennikami Alfonsa – jaka wówczas się toczyła. Ponieważ stronnictwo Don Karlosa opierało się raczej na partii katolickiej, przeciw liberalnemu Don Alfonsowi, stąd ten pierwszy między duchowieństwem miał i we Włoszech wielu sympatyków, do których widocznie Tomatis należał. Chwilowymi zwycięstwami karlistów pocieszał go Ksiądz Bosko żartobliwie. W czasie pobytu w Rzymie Księdza Bosko, który w rozmowie ze świętym, na jego pytanie, co będzie robił w Madrycie, odpowiedział, że ma dwa listy uwierzytelniające od Ojca świętego: jeden zaadresowany do Don Alfonso, a jeden in blanco, że mógł na nim wypisać, jak będzie potrzeba, w razie gdyby Don Alfonso był zdetronizowany, a zwyciężyli karliści, względnie republikanie. Don Karlos kilka razy spotkał się z Księdzem Bosko, nawet odwiedził go w Turynie. Ten zaś tak się o nim wyraził do księdza Dalmazzo w 1875

roku: Ja zawsze stawałem otwarcie po stronie Don Karlosa, ale spostrzegłem, że w Rzymie myśli się inaczej, niż ja myślałem, odtąd musiałem być ostrożniejszy.

DO KS. JANA BONETTI – dyrektora w Borgo S. Martino. Drogi księże Bonetti! Przed wyjazdem z Rzymu pragnę przynajmniej jeden list napisać. Listy twoje otrzymałem ze smutną wiadomością o stracie naszego współbrata Fara /pełnił on funkcję portiera, ucząc się równocześnie łaciny, by zostać księdzem/. Był to dobry młodzieniec. Liczyłem na niego, że zdziała dużo dla dobra dusz, ale niech się dzieje wola Boża. Módlmy się, więc za niego a twoim wychowankom a moim drogim synom powiedz, żeby naśladowali Fara w pokorze, pobożności, a zwłaszcza w posłuszeństwie. Powiedz swoim, że miałem okazje w piątek ubiegły mówić z Ojcem świętym o waszym zakładzie. Między innymi pytaniami było i takie, czy tam między chłopcami są podobni do Dominika Savio. Odpowiedziałem, iż zdaje mi się, że niektórzy porównać by się z nim mogli, ale większość jest raczej dopiero na drodze do tego... Roześmiał się wtedy Ojciec święty, mówiąc: Niech Bóg błogosławi dyrektora, przełożonych i konwiktorów tamtejszych. Udzielam im specjalnego odpustu na dzień, w którym przystąpią do św. sakramentów.

Żegnając mnie, tak się odezwał Ojciec św.: Do widzenia, drogi Księżu Bosko. Tylko niech Ksiądz nie będzie Bosco da bruciare /las, który by się spalił/.

Postaram się, by takim nie być – odrzekłem.

Pozdrowienia dla wszystkich. Przywiozę coś i dla ciebie. Na Wielkanoc będę z wami. Twój itd.

Dnia, 15.03.1875 r.

DO ADWOKATA MIKOŁAJA GALVAGNO – adwokat ten pozostawał do śmierci w bardzo serdecznych stosunkach z Księdzem Bosko, odwiedzając go, ilekroć razy bawił w Turynie. Nie skąpił też ofiar na cele Oratorium.

Drogi Panie Adwokacie! Na prywatnej audiencji Jego Świątobliwości miałem okazję poszemrać trochę na Pana Adwokata, do którego często się zwracam, kiedy moje finanse grożą załamaniem się. Ojciec święty, wysłuchawszy tego wszystkiego, zapytał. A cóż my możemy dać temu zacnemu Panu? Uważam - odpowiedziałem, że mu sprawi przyjemność szczególniejsze błogosławieństwo Waszej Świątobliwości dla niego i całej jego rodziny, zwłaszcza dla dzieci jeszcze małoletnich, ażeby rosły w zdrowiu i świętej bojaźni Bożej.

Owszem, owszem, tego bardzo chętnie udzielam z całego serca.

Ale ja chciałbym – prosił dalej Ksiądz Bosko – jeszcze jednej łaski nadzwyczajnej.

A cóż to takiego?

Żeby rodzina państwa Galvagno, jej krewni aż do trzeciego stopnia włącznie, mogli zyskać odpust zupełny, ilekroć przystąpią z należytym usposobieniem do sakramentów świętych i pomodlą się na intencję Waszej Świątobliwości.

Rem difficilem postulasti, ale ponieważ to nie przekracza zakresu mojej władzy, zgadzam się, ale pod warunkiem, ażeby z tego korzystali jak najczęściej. Podziękowałem Ojcu świętemu i spełniam jego zlecenie, prosząc równocześnie, aby Pan Adwokat powiadomił o tym swoich krewnych, którzy jak myślę, będą umieli docenić ten rzadki przywilej.

W nadziei, że będę mógł osobiście... polecam się modlitwom...

Dnia 15.03.1875 r.

Dotąd listy: Ksiądz Bosko wyjechał ze Rzymu rano, 16 marca, a przenocował w Orvieto u biskupa Briganti. W czasie tego etapu podróży zdawało się księdzu Berto, iż jest on dziwnie uradowany. Zapytał, więc o przyczynę takiego podniecenia. Otóż widzisz mój drogi – odpowiedział – tej nocy śniło mi się, że jestem na równinie, wśród łąnów dojrzałych do żniwa. Zboże było doprawdy piękne, kłosa dziwnie bujne. Gdzieś w dali pały się owieczki – i zamilkł.

Czy mi Ksiądz Bosko nic więcej nie powie.

Otóż, jadąc wśród tych łąnów, zdaje mi się, że widzę znowu te same dojrzewające zboża - i tu zadumał się.

Od 17 marca do 20, zatrzymał się we Florencji, gdzie odwiedzając rodzinę Parlatore, zastał jej ojca ciężko chorego. Pocieszył serdecznie zasmuconych domowników, zapewniając, że ich modlitwy będą wysłuchane, co rzeczywiście się spełniło. Chory powrócił do zdrowia lepszego niż przed tym. Z Florencji wyjechał Ksiądz Bosko do Bolonii, gdzie był serdecznie goszczony w domu Lazzarini. Pan ten, mający sklep delikatesów, swego czasu przyjechał zwiedzić Oratorium z księdzem Guanella i tutaj zachorował. Ksiądz Bosko posłał mu swojego lekarza. Od tego czasu Lazzarini często tym się przechwalał i pozostał wielkim dobrodziejem Księdza Bosko. Ks. Guanella robi na ten temat uwagę:

Tak to Ksiądz Bosko potrafił sobie ujmować różne osobistości i pokierować sprawami według swego uznania.

Jadąc z Bolonii do Turynu wstąpił jeszcze do księcia Tarabini w Modenie, a następnie do adwokata Comaschi w Mediolanie, swego dawnego przyjaciela. Wreszcie na Wielką Środę stanął w Oratorium ku ogólnej radości wszystkich jego mieszkańców.

Dłuższy jego pobyt w Rzymie byłby prawie jeszcze niezbędny ze względu na sprawę przywilejów, ale pilne interesy w Turynie nie cierpiały zwłoki. Musiał więc czym prędzej wracać. Sprawę przywilejów i dimisorii pozostawił łaskawym względom kardynała Berardi i Monsignora Fratejacci. Ażeby jednak podtrzymać w wiecznym mieście żywe zainteresowanie się Zgromadzeniem i przy tym orientować się, jakie tam są nastroje, to Ksiądz Bosko, jeśli nie jechał sam, to wysyłał do Rzymu niektórych ze swoich salezjanów, w tym roku wysłał księdza Jana Baptystę Lemoyne i ks. Bonetti. Przyświecał mu przy tym i ten cel, żeby taką podróżą do Rzymu wynagrodzić poświęcenie tych, którzy w szczególny sposób na nagrodę zasługiwali,

przy tym poszerzyć ich światopogląd, rozbudzić wiarę i pobożność, pogłębić ducha romanitatis, a zwłaszcza wzmocnić przywiązanie do Papieża i do Kościoła.

A dalej obecność w Rzymie wybitniejszych synów Świętego, ich zetknięcie się z tamtejszymi dykasteriami kurialnymi, miało także na celu zadać kłam namacalnie tym złośliwcom, którzy chcieli przedstawić salezjanów, jako ludzi mniejszych wartości, życiowo niedoświadczonych i bez ogłady towarzyskiej.

Głównym celem wyjazdu ks. Lemoyne i ks. Bonettiego w maju tego roku do Rzymu, było złożenie hołdu Piusowi IX, w imieniu salezjanów, z okazji 83 – rocznicy jego urodzin, które przypadały 13 maja.

Z tej okazji cały świat katolicki w szczególniejszy sposób wyrażał swoje przywiązanie do dostojnego „Starca Watykańskiego”, by zaprotestować przeciwko napaściom, jakie znowu wzmogły się w owym czasie przeciwko Stolicy świętej. I tak Józef Garibaldi pisał do Karola Blinde, agitatora politycznego w Niemczech:

Mój drogi przyjacielu! Mam wrażenie, że nie ma na świecie narodu tak mało katolickiego jak Włosi. Rząd i klasy wykształcone udają katolicyzm, który w nich nie istnieje. Masy w ogóle nie wierzą w Kościół, w świątyniach papieskich nie widzi się nikogo więcej, jak tylko stare bigotki. Na razie jednak było by ciężko uzyskać od rządu i parlamentu dekret, który by nas uwolnił od papiestwa. Możecie jednak być głęboko przekonani, że większość narodu włoskiego sympatyzuje z Niemcami w ich walce do ostateczności przez sprzeciw jezuityzmowi we wszystkich formach. /Unita Cattolica, kwiecień 1875 r./

Otóż w maju tego roku okazała się cała bezpodstawność podobnego twierdzenia i do Piusa IX z różnych stron napływały wyrazy czci i hołdu, w którym koniecznie chciał Ksiądz Bosko, by wzięli udział jego synowie i tak pisał do księdza Bonettiego:

Drogi księżu Bonetti! Czy chciałbyś pojechać do Rzymu razem z księdzem Lemoyne, aby reprezentować tam nasze Zgromadzenie, 13 maja? Odpisz jak najprędzej, abym mógł wszystko na czas zadysponować. Niech ci Bóg błogosławi. Dnia 11.05.1875 r.

Obydwaj ci księża mieli zanieść wiele listów Księdza Bosko do wybitnych osobistości Rzymu i do samego Ojca świętego. Wieźli też ze sobą w jeden tom ujęte i pięknie oprawione, napisane prze siebie utwory, aby po egzemplarzu ofiarować Ojcu świętemu i kardynałom. Ponieważ żaden z nich nie był obeznany w Rzymie, dał im Ksiądz Bosko na drogę bardzo praktyczne i cenne wskazówki, jak się tam w różnych sytuacjach i ośrodkach zachować. Sfery, w jakich się mieli obracać, były dla nich całkiem nowe i odmienne od dotychczasowych. Atmosfera wiecznego miasta była inna niż ta, którą dotąd żyli. Zresztą Rzym papieski robi wrażenie nieraz przytłaczającego, nawet na bywalców w świecie. Łatwo, więc było przewidzieć, jakie zrobi on wrażenie na księdza Bonettiego, który dotąd obracał się zawsze w środowisku raczej skromnym, jak i na księdza Lemoyne, który choć z rodziny arystokratycznej, żył z dala od wielkiego świata. Dlatego Ksiądz Bosko własnoręcznie podał im normy,

jak się zachować w czasie wizyt w zetknięciu się z różnymi osobistościami, poczynając od Papieża, a kończąc na rodzinie Sigismundi, u której mieli się zatrzymać. Nie od rzeczy będzie przytoczyć tu je w całej ich oryginalności. Poznamy z tego, jaka była znajomość ludzi u Księdza Bosko, jaka jego delikatność i taktyka w obcowaniu ze światem, jaki duch wiary, który promieniował na najzwyczajsze obowiązki grzeczności. A oto normy:

OJCIEC ŚWIĘTY

Oferta książek – wyrazy największego uszanowania i przywiązania wszystkich salezjanów, Pomocników i Dobrodziejów tak duchownych jak świeckich oraz chłopców, których jest ok. 7.600. Podziękowanie za wszystkie dobrodziejstwa, świadczone dla Zgromadzenia, z prośbą by nadal był nam Ojcem; oświadczenie, że wszyscy gotowi pracować dla niego, modlić się za niego i umrzeć za religię, której on jest najwyższą Głową. Prosić o błogosławieństwo dla wszystkich zakładów z odpustem zupełnym, dla wychowanków i ich krewnych, w dniu do wyboru.

KARDYNAŁ ANTONELLI

Pozdrowienia dla ks. Agostino, jego sekretarza; oferta książek, podziękowanie i uszanowanie; modlitwy, które będziemy dalej zanosić; prośba o dalszą protekcję, zwłaszcza w rzeczach, które dotyczą NN /chodzi najprawdopodobniej o sprawy turyńskie/.

KARDYNAŁ BERARDI

Pałac jego jest na via del Gesu; jest naszym wielkim przyjacielem, można z nim mówić o wszystkim, co dzieje się w naszych domach; o Księdzu Bosko i innych szczegółach, zapewniając go o modlitwach szczególniejszych w jego intencji; ofiarować książki, zapytać o jego matkę i teściową, za którą się tutaj modlimy; poinformować go o Dziele Synów Maryi i Pomocnikach; prosić o pozwolenie na pożegnanie go przed odjazdem. Jego służącym dać napiwek /3 fr./.

MONSIGNORE VITELLECCHI

Arcybiskup Seleucji, sekretarz Kongregacji Biskupów i Zakonników. W jego ręku są wszystkie nasze sprawy. Dom ma własny na via S. Nicolo de Cezarini. Oferta książek, podziękowania itd., itd....; w moim imieniu zapytać o wiadomości o markizie Angelo, o markizie Giulio, jego braciach, o markizie Klotyldzie, jej krewnej i rodzinie; co do spraw naszego Zgromadzenia, czy napotykają jakieś trudności, czy jest coś do zrobienia w tym względzie, czy sprawy oddane w jego ręce idą swoim biegiem, czy miałby jakieś zlecenie do spełnienia. Jeżeli wejdzie w dłuższą rozmowę, to porozmawiać o NN / ordynariusz turyński/.

KARDYNAŁ PATRIZI WIKARIUSZ

Mieszka obok S. Luigi de Francesi. Jest on jednym z członków komisji do przestudiowania naszych reguł i przywilejów /bardzo pobożny i nam życzliwy, ale

bardzo zajęty/. Oferta książek; podziękowanie; zapewnienie o modlitwach w naszych domach. Ksiądz Bosko zapytuje uprzejmie o wiadomości o jego kuzynach i markizie Genowefie; polecić nasze sprawy już tyle razy przez nas doznanej jego ojcowskiej życzliwości.

KARDYNAŁ BIZZARRI

Piazzetta della Chiesa nova; Prefekt Kongregacji Biskupów i Zakonników, członek komisji do naszych spraw, bardzo pobożny, skrupulatny, nie przyjmuje podarków, a zatem książek nie ofiarować, ale zapytać o zdrowie, zawsze jesteśmy wdzięczni, polecamy mu nadal nasze Zgromadzenie. Jeżeli wejdzie w rozmowę chętnie słuchać. Gdyby się zaś okazał zniecierpliwiony, zaraz grzecznie pożegnać.

KARDYNAŁ ANTONIO DE LUCA

Piazza Barberini, Palazzo del Principe, jeden z członków komisji, życzliwy, pobożny, hojny, uczony, przy czym chytry, można z nim porozmawiać; ofiara książek; podziękowanie; polecenie; wdzięczność i modlitwy.

KARDYNAŁ MARTINELLI

Jeden z komisji, augustianin, bardzo pobożny, życzliwy, itd. Ofiarować, zapewnić o modlitwach, podziękować, polecić się, itd.

MONSIGNORE RICCI

Mistrz Dworu Jego Świątobliwości; on dopuszcza na audiencje, pobożny, był dłuższy czas w Oratorium – ukłony, oferta, zaproszenie w nasze strony. Złożyć szczególne uszanowanie jego sekretarzowi, Rosati Baldini.

KARDYNAŁ CONSOLINI

Bardzo pokorny, niekrępujący, życzliwy dla naszych spraw – ofiarować, złożyć uszanowanie, polecić się jego modlitwom.

MONSIGNORE FRATEJACCI

Audytor kardynała wikariusza, dziekan itd. Mieszka naprzeciw Pontanone di Ponte Siato, reprezentuje Księdza Bosko w sprawach bieżących; wielki przyjaciel, lubi dużo mówić. Ofiarować, złożyć uszanowanie, zaprosić go na miesiąc do nas itd.

ADWOKAT PROFESOR MENCHINI

Jest „minutantem” przy Kongregacji Biskupów i Zakonników – wszystkie nasze sprawy ma w swych rękach. Był u nas zeszłego roku, okazuje się dla nas bardzo życzliwy. Zaprosić go do nas ponownie itd. Ale odchodząc, dać unos cudo di mancia /napiwek/. Gdyby zaprosił na obiad, przyjąć. Ale przedtem przejść się do cukiernika, aby mu posłał un gatto /właściwie tort/. O tym obiedzie tak pisał później do Księdza Bosko, pod datą 18 maja:

Piszę dalej ten list już po obiedzie, na którym miałem zaszczyt gościć dwóch zacnych jego dyrektorów: ks. Lemoine i ks. Bonetti. Przed podaniem owoców zjawił się na stole wspaniały tort alla inglese, wyraz życzliwego przewidywania Waszej Wielbności. Niech żyje Ksiądz Bosko – zawołaliśmy razem – gdy wśród tylu spraw ważnych umie uwzględnić grymasy swoich przyjaciół.

PAŃSTWO ALEKSANDER I MATYLDA SIGISMONDI

Oboje bardzo pobożni. Obsypywali nas zawsze grzecznościami, nie przyjmując za to ani solda. Wszystkich salezjanów uważają za świętych. Pilnujcie się, zatem. Pani domu lubi dyskusje teologiczne, codziennie komunikuje. Mają kapliczkę domową, tam według ich życzenia będziecie odprawiać. Opowiadajcie dużo o Oratorium, a będziecie zawsze mile słuchani. Zapytacie o ich bratanka Alojzego i siostrę Adelajdę Fantoni.

NORMY OGÓLNE

Przy składaniu wizyt osobistościom wysokim, odpowiadajcie chętnie na ich zapytania, chwalcie zawsze Rzymian i Rzym, zwłaszcza kler wyższy, tylko nie przed monsignorem Fratejaccim. Co do innych rzeczy dotyczących etykiety, trzymajcie się tego, co wam powie komandor Fontanella. Praebete vos ipsos exemplum bono rum operum. Baczcie, by się nie pocić. Gdy wam się spieszy, weźcie doróżkę. Gdziekolwiek spotkacie osoby znajome, pozdrówcie je ode mnie i powiedzcie, że się za nie modlimy.

Odwiedźcie także matkę Galeffi, prezeskę z Tor de Specchi, opowiadając jej o naszych sprawach itd.

Pan Aleksander jest tam kasjerem.

Na kopercie z tymi uwagami było jeszcze napisane: Monsignore Fratejacci i adwokata Menghini należy serdecznie zaprosić do nas na jakiś czas.

Wobec tak obszernego programu, zakreślonego im przez Księdza Bosko, nasi dwaj pielgrzymi, przy zwyczajnych swoich obowiązkach kapłańskich chcąc przy tym zwiedzić jeszcze trochę miasto, mieli bardzo mało czasu, bo tylko dwanaście dni, które ich dzieliły od święta Najświętszej Wspomożycielki. Oczywiście wykorzystali je bardzo skrupulatnie. Co ich najbardziej ucieszyło, to ogólna sympatia, z jaką się wszędzie spotykali i łatwy wobec tego dostęp do wszystkich dygnitarzy. Byli wprost zachwyceni serdecznością, z jaką ci dostojnicy kościoła odzywali się o Księdzu Bosko i o Zgromadzeniu. Niestety mało nam przekazali z tego wiele, co pewno mieli do opowiedzenia po powrocie swemu ukochanemu Ojcu. Wiemy tylko nieco o wizycie u kardynała wikariusza i o audiencji u Ojca świętego.

Kardynał Patrizi rozmawiał z nimi bardzo poufale. Poruszył też znane nam już zatargi turyńskie i tak kończył:

To przecież Ksiądz Bosko chciał go mieć w Turynie, niech go sobie teraz trzyma – powiedział mi tak sam Pius IX. Zresztą jestem zadowolony z tego, co tam

zachodzi. Utrapienia, jakie ma obecnie wasze Zgromadzenie, są dowodem, że jest ono dziełem Bożym. Przykro by mi było, gdyby rzeczy szły innym torem. Ale i to przejdzie... A mówił to doprawdy z całą serdecznością.

Na 14 maja nasi delegaci otrzymali bilet wejścia na audiencję ogólną, która jednak dla nich dwu mało różniła się od prywatnej. Przeżyli te chwilę z bijącym sercem, jak się przeżywa największe zdarzenia w życiu. Wejście Papieża przejęło ich dreszczem wzruszenia. Ks. Lemoyne ujął to w te słowa:

Pius IX ubrany na białe, o spojrzeniu majestatycznym, a pociągającym, był doprawdy obrazem dobroci naszego Boskiego Zbawiciela. W odpowiedniej chwili Monsignore Ricci przedstawił ich mówiąc: Ojciec święty, oto tutaj dwaj kapłani Księdza Bosko... Wtedy Papież, jak pisze wspomniany ks. Lemoyne, spojrzał jakoś tak, że tego nie umiem wyrazić – i podszedł wprost do nas. A podniósłszy ręce i oczy w górę – jakby w natchnieniu – zawołał głośno wśród ogólnego milczenia zdziwionych uczestników posłuchania: To cudowna rodzina... rośnie i rośnie... iluż was tam jest?

Ojciec święty – odpowiedziałem wzruszonym głosem – nas jest 400, a wychowanków 8 tysięcy. Wtedy Wikariusz Chrystusa Pana pobłogosławił nas, kładąc ręce na naszych głowach i dając je po tym do ucałowania. Wszyscy zauważyli, że cały czas patrzył w górę.

I odszedł już, przed nikim nie zatrzymując się i z nikim nie rozmawiając.

Monsignore Ricci wyrobił jeszcze posłuchanie prywatne dla naszych delegatów, choć ci nie prosili o nie, nie mając nic szczególnego do omówienia. Na ich widok Ojciec święty odezwał się serdecznie, stojąc przy swoim biurku: O drodzy synowie, jak się ma Ksiądz Bosko? Jest zdrow? Klęcząc, wręczył mu ks. Lemoyne list od niego i dwie koperty zapieczętowane...

A więc to jest świętopietrze waszych chłopców? Ksiądz jest ksiądz Bonetti, dyrektor z Borgo S. Martino; a ksiądz jest ksiądz Lemoyne z Lanzo?

Tak, Ojciec święty. Pragnieniem naszym jest złożyć najpokorniejsze wyrazy czci, oddania i posłuszeństwa w imieniu Księdza Bosko, całego Zgromadzenia i jego wychowanków i prosić dla nas wszystkich o apostołskie błogosławieństwo.

Bardzo chętnie błogosławię kierującym i kierowanym.

I naszych wychowanków – dorzucił ks. Bonetti.

A czy oni nie są kierowani – zauważył z uśmiechem Papież.

Ale chodzi o to, byśmy im mogli powiedzieć, że byli szczególnie wymienieni.

Owszem, owszem, w szczególniejszy sposób im błogosławię z całego serca.

Jeszcze o jedną szczególniejszą łaskę chcielibyśmy prosić Waszą Świątobliwość.

O jaką?

O odpust zupełny dla wszystkich przebywających w naszych zakładach.

A przecież jest Rok Jubileuszowy

Owszem, jest. Ale pragniemy mieć pamiątkę ojcowskiej dobroci Ojca świętego i audiencji u Namiestnika Chrystusa Pana.

Dobrze, niech będzie; ale tylko na jeden raz, tylko jeden raz; to mówiąc podnosił palec do góry.

Na końcu ofiarowali też Ojcu świętemu i tom ze swoimi utworami literackimi, przyjęty przez niego ze słowami zachęty. Tak skończyła się audiencja, na którą przypuszczeni zostali przed setkami osób, już dawno czekających. Gdyby im przyszło czekać na normalną swoją kolejkę, musieliby pozostawać w Rzymie jeszcze dalsze dwa tygodnie.

Z tego wszystkiego przekonali się, w jakim poważaniu była osoba Księdza Bosko w Rzymie.

Dnia 24 maja, w Uroczystość Najświętszej Wspomożycielki, ksiądz Lemoyne śpiewał Sumę w Oratorium.

ROZDZIAŁ VII

OSTATECZNE PRZYJĘCIE MISJI W AMERYCE

Pius IX, który jako młody kapłan bawił w Ameryce Południowej, w charakterze audytora delegata papieskiego Monsignora Muzzi Sbarcati w Buenos Aires, bardzo chętnie rozmawiał z Księdzem Bosko o tamtych krajach i jego projekt misji w Argentynie popierał.

W roku 1875 pertraktacje Księdza Bosko z władzami kościelnymi i cywilnymi z Buenos Aires już dobiegały końca. W wigilię uroczystości św. Franciszka Salezego nadeszła odpowiedź na ręce konsula Gazzoli, iż warunki, stawiane przez Księdza Bosko, zostały przyjęte. Wobec tego postanowił on podać to do publicznej wiadomości we formie uroczystej. Polecił, więc, aby wieczorem, w samo święto naszego Patrona, zgromadzili się w sali studium, gdzie zostało ustawione obszerne podium, wychowankowie i współbracia Oratorium. Na podwyższeniu zasiedli: Ksiądz Bosko w otoczeniu swojej kapituły, dyrektorzy domów, którzy zjechali się na święto i konsul argentyński Gazzolo w pełnym uniformie galowym. W pierwszej chwili ze zebranych prawie nikt nie wiedział, po co to wszystko. Dopiero na dany znak podniósł się konsul i odczytał świeżo przysłane pismo z Argentyny. Następnie powstawszy zabrał głos Ksiądz Bosko, oświadczając, iż o ile zależy od niego, decyduje się na podjęcie pracy misyjnej w Argentynie, ale ostatecznie słowo teraz należy do Ojca świętego. W tym celu wybierze się do Rzymu w najbliższych dniach i tam zapadnie już stanowcza decyzja.

Poruszenie wśród współbraci i chłopców było ogólne, nawet ci, co mieli zastrzeżenia do tej inicjatywy, jako zbyt ryzykownej, dali się porwać ogólnemu entuzjazmowi i wiadomość ta rozeszła się błyskawicznie w Oratorium i poza nim. Zaraz też Święty wydał odpowiednie zarządzenia do przygotowań, zwracając się do swoich z następującym pismem:

Ai soci Salesiani! Ze wszystkich propozycji, dotyczących przez nas objęcia misji zagranicznych, zdaje mi się najbardziej dla nas odpowiada ta z Argentyny. Oprócz ludności cywilizowanej, żyją tam jeszcze liczne szczepy dzikie, wśród których otwiera się dla salezjanów wielkie pole do rozwinięcia ich gorliwości. Na razie uruchomimy schronisko w Buenos Aires i kolegium z kościołem w S. Nicolas de los Arroyos, niezbyt odległym od wzmiankowanej stolicy... Teraz wypada nam przygotować odpowiedni personel. Nie mam zamiaru posyłać tam kogokolwiek na mocy posłuszeństwa, ale tylko tych, którzy wyrażą gotowość. Ci więc, którzy mają ochotę pracować na misjach, niech wniosą prośbę na piśmie, iż chcą jechać do

Argentyny jako misjonarze salezjańscy. Potem zbierze się Kapituła Główna i wezwawszy Ducha Świętego, zadecyduje o każdym, czy się nadaje do takiej pracy. Wyznaczeni na misje zostaną następnie zebrani na jakiś czas razem, aby się poduczili języka i zapoznali ze zwyczajami krajów, do których mają nieść słowa żywota wiecznego. Jeśli nic nie zajdzie, to wyjazd przewidziany jest na najbliższy październik.

Dziękujemy z całego serca Dobroci Bożej, że tak obficie z każdym dniem zlewa na nas swe łaski, starajmy się okazać ich godnymi przez skrupulatne zachowanie Reguł, zwłaszcza w tym, co dotyczy ślubów, przez które poświęciliśmy się Bogu i nie przestawajmy zanosić modlitw przed majestat Bożego Tronu, byśmy postępowali, zwłaszcza w cnocie cierpliwości i łagodności. Amen. Pozostaje zawsze w Jezusie Chrystusie najbardziej przywiązany przyjaciel

Ksiądz Bosko.

Turyń, 05.02.1875 r.

PS. Niech dyrektor okólnik ten przeczyta i wytłumaczy salezjanom swego domu.

Ks. Ceccarelli, proboszcz ze S. Nicolas de Arroyos, napisał do Księdza Bosko dużo pochwał o czcigodnym starcu w jego parafii, który nazywał się Józef Franciszek Benitez. Oczekiwał on niecierpliwie przyjazdu salezjanów do swej ojczyzny. Temu wtedy, zaraz po zadecydowaniu o wyjeździe naszych do Argentyny, tak Święty uznał za stosowne napisać:

Ekscelencjo! Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa niech będzie zawsze z nami. Wiele osób z Argentyny, a zwłaszcza komandor Jan Baptysta Gazzolo, mówiło mi dużo o pełnym oddaniu Waszej Ekscelencji w sprawie Kościoła i religii. Niech Bóg we wszystkim będzie błogosławiony i niech zachowa go na długie lata szczęśliwego życia. Również ks. Ceccarelli, mój dawny przyjaciel, dużo mi pisał o zainteresowaniu Waszej Ekscelencji przyjazdem salezjanów do S. Nicolas. Miła w tym widzę zbieżność, że Ekscelencja nosi imię Franciszek, a również popierane przez niego Zgromadzenie, pozostaje pod opieką św. Franciszka Salezego i jego nosi imię. Dziękuję Waszej Ekscelencji za tyle okazanego serca i już teraz robię intencję, aby tak wielki nasz dobrodziej mógł mieć udział we wszystkich modlitwach i dobrych uczynkach, jakie spełniają salezjanie czy prywatnie, czy wspólnie. Ze swej strony codziennie we Mszy świętej, szczególniejsze robię memento o długie życie Waszej Ekscelencji. A ponieważ nasze Zgromadzenie ma dopiero początki, a organizuje wiele nowych zakładów, to też polecamy się wszyscy kornie dalszej jego pomocy dla miłości Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Niech nam Bóg wszystkim błogosławi, byśmy zawsze postępowali drogą cnoty i raz mogli się znaleźć zebrani u stóp naszego Ojca Niebieskiego w ojczyźnie Świętych. Amen. Polecam siebie jego modlitwom i pozostaję zobowiązany sługa.

Dnia 02.02.1875 r.

Ksiądz Bosko bardzo dobrze znał stosunek Ojca świętego do zamierzonych misji, ale zanim poprosił go o błogosławieństwo, chciał już mieć coś pewnego w ręku, ażeby w Rzymie przekonali się zainteresowani, iż to przedsięwzięcie dojdzie do skutku i da oczekiwane owoce. Dlatego przed tym starannie przygotował teren w Ameryce i w swym najbliższym otoczeniu. Zatwierdzenie za tym i błogosławieństwo Ojca świętego było już tylko „currentem incitavit”.

Kiedy się stawił w Rzymie, najpierw konferował z Prefektem Propagandy, kardynałem Franchi i Monsiorem Simeonim, sekretarzem tejże Kongregacji, którzy do tego przedsięwzięcia misyjnego odnieśli się z wielkim uznaniem. Kiedy Ksiądz Bosko wracał z Rzymu, to w Kongregacjach przygotowywały się już dwa dekrety: jeden do ordynariusza miejsca misji, w którym zawiadamiało się go, iż tam przyjeżdżają salezjanie z poleceniem Stolicy świętej, mając wszelkie upoważnienia, jakie w takich okazjach zwykło się udzielać pracownikom ewangelicznym; drugi był do Przełożonego Generalnego, który właśnie miał te przywileje swoim misjonarzom przekazać. Były one bardzo obszerne, bo na terenach misyjnych, jak się wyraził Ksiądz Bosko, nie zważa się tak bardzo na pewne subtelności.

Z Rzymu napisał on też do Ameryki, prosząc o dalsze informacje, aby zapobiec wszelkim możliwym trudnościom tak w działalności misyjnej salezjanów, jak i co do ewentualnych w przyszłości święceń kandydatów do nich. Odpowiedzi były wszystkie pozytywne. Wtedy ostatecznie zdecydował podjęcie misji, podając do ogólnej wiadomości, że Ojciec święty dał na nie swoje beneplacitum.

I tak ostatecznie można by było powiedzieć, iż sprawa ta już w zasadzie jest załatwiona. Ale cóż? Właśnie wtedy wybuchły w Argentynie gwałtowne rozruchy antyklerykalne. W marcu 1875 roku zbrodnicza ręka, po wiecu w teatrze Variededes, na okrzyk: Precz z jezuitami /ebbajo los Jesuitas/, podpaliła kolegium Salvador, bardzo wspaniale urządzone. Była obawa, że te szaleństwa sekciarskie nie tak łatwo da się opanować. Trzeba więc znowu było pisać i dowiadywać się czy to w ogóle przekreśli wszystkie dotychczasowe plany, czy względnie tylko opóźni przyjazd salezjanów do Argentyny. Na szczęście rozruchy wnet się uspokoiły.

Wobec tego 12 maja Ksiądz Bosko tak zaczął swoje słówko wieczorne pod portykami. Dzisiejszy wieczór, pomijając wszystko inne, chcę wam, drodzy chłopcy powiedzieć coś na temat, który was od dłuższego czasu pasjonuje. Będę mówił o Buenos Aires i o San Nicolas. No, no, nareszcie, odezwały się głosy ze wszystkich stron. Gdy się uspokoiło, tak mówił dalej: Otóż niektórzy już rozsiewali wiadomość, iż sprawa naszej misji w Ameryce nie dojdzie do skutku. A właśnie chcę wam zakomunikować, iż dziś przyszło już ostateczne pismo w tej sprawie. Kto chce, zatem jechać, niech szykuje walizki. Bo oto piszą mi, że Alcade ze San Nicolas, która to nazwa odpowiada naszemu burmistrzowi, otrzymawszy mój list, ukląkł na ziemi i z oczyma wzniesionymi ku niebu, dziękował Bogu za przybycie do tego miasta salezjanów, jako za największą łaskę. Następnie osobiście powiadomił o tym innych urzędników, a nam odpisał, iż przyjmuje bez zastrzeżeń wszelkie warunki przeze mnie stawiane i że od tej chwili oddaje do naszej dyspozycji kolegium z przyległym

terenem, zdolnym wyżywić 8 tys. owiec, z ogrodem, placami odpowiednimi na boiska. Znajdzie się tam, więc pole do pracy dla wszystkich: dla kaznodziejów - w kościele, dla nauczycieli - w szkołach, muzyków bardzo się tam lubi i ceni. I pasterze będą przydatni do popędzenia kierdeli na pastwiska, gdzie trzeba będzie owce strzyc, doić, a potem wyrabiać sery. I do tylu innych zajęć potrzebny tam personel. A co najważniejsze, niedaleko od tegoż miasta mieszkają szczepy dzikie, choć usposobienia raczej spokojnego i skłonne do przyjęcia wiary, byle ich tylko, ktoś nauczył. Niestety taki dotychczas się nie znalazł. Nabierzmy, więc więcej odwagi i postarajmy się działać dla nich coś dobrego. W najbliższym czasie ustali się personel, który tam dotąd miałby wyjechać. Ci będą musieli zabrać się do nauki języka hiszpańskiego, którym w Argentynie się mówi. Nikogo nie powinna przerażać odległość tych krajów, gdyż obecnie maszyny parowe, telegraf zbliżają coraz bardziej narody do siebie.

Jak widać z tych słów, głównym celem Księdza Bosko było nawracanie plemion żyjących w pogaństwie. Tylko podchodzi on do tego zagadnienia odmiennie, niż się to dotąd robiło. Misjonarze, udający się wprost do dzikusów, zwykle kończyli u nich śmiercią. On zaś chciał otwierać zakłady w sąsiedztwie pogańskich tubylców, do tych zakładów powoli przyjmować ich dzieci, poznając przy tym ich język i zwyczaje i tak zaskarbiając sobie ich zaufanie, pokierować ich na drogę cywilizacji i pociągnąć do wiary świętej.

Właśnie w Buenos Aires, a zwłaszcza w S. Nicolás, mocno wysunięte ku osadom pogańskim, miały być punktami wyjścia dla takich misyjnych poczynań.

Nie mniej leżał na sercu Księdzu Bosko i los emigrantów włoskich, którzy w poszukiwaniu pracy i chleba, zawędrowali w te odległe kraje, a tam pozbawieni opieki kapłańskiej, łatwo mogli zatracić wiarę i stać się podobnymi do wspomnianych mieszkańców puszczy. Słowa Księdza Bosko i całe jego podejście do misji robiły wielkie wrażenie na chłopcach, przebywających w zakładach i budziły powołania misyjne wśród samych salezjanów.

Z dwu zaś następujących listów przekonamy się, jak Ksiądz Bosko był skrupulatnie przejęty przygotowaniem wszystkiego na przyszłym miejscu pracy swych synów duchownych, zabiegając o to, by oni tam przyjechali, nie, jako obcy do obcych, ale jako przyjaciele do przyjaciół. W pierwszym liście jakoby przedstawia ich tamtejszym czynnikom kościelnym i świeckim oraz zapewnia sobie dyskretnie pomoc finansową na podróż, co nie było bezowocne, gdyż magistrat San Nicolás opłacił bilet podróży dla pięciu uczestników wyprawy. A oto list do księdza Ceccarelliego:

Wielce Czcigodny i Drogi Księżę! Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa niech będzie zawsze z nami. Po otrzymaniu listów od Waszej Przewielebności i od dostojnej Komisji Założycieli, zdecydowałem się, by w jak najszybszym tempie przygotować moich synów do podróży w tamte strony. Proszę, więc zakomunikować wspomnianej prześwietnej Komisji, co następuje: Dziękuję z całego serca owym panom za życzliwość, jaka przebija z ich ostatniego listu i zapewniam ich, że salezjanie zrobią wszystko, by nie zawieść nadziei, jaką w nich się pokłada tak, co do prowadzenia kolegium w S. Nicolás, jak i co do szkół wieczorowych, które tu we Włoszech bardzo

dobrze prosperują. Stosownie do naszych konstytucji, nastąpią pewne zmiany w personelu, jaki się tam wybierze, a mianowicie przyjedzie tam pięciu księży. Wszyscy pięciu z dyplomami do nauczania. Dalej jeden nauczyciel muzyki instrumentalnej i organowej i śpiewu tak kościelnego, jak i rozrywkowego. Z dwóch koadiutorów jeden zajmie się zakrystią, drugi poprowadzi agendy gospodarcze. Chciałbym, aby cały personel pomocniczy był salezjański, tak będziemy mogli być bardziej spokojni o wszystko. Ale ostatecznie szczegóły ustali się, gdy się już tam praca rozpocznie.

Na czele misjonarzy będzie ks. Cagliero, inspektor i zastępca Głównego Przełożonego z pełnymi prawami reprezentowania go i załatwiania wszystkich spraw z władzami cywilnymi i kościelnymi.

Gdy już sprawy się ułożą, wyznaczy on księdza Bonettiego na dyrektora w S. Nicolás, który już był od lat dyrektorem zakładu liczącego przeszło stu wychowanków i znany jest z dzieł, jakie wydał drukiem, a sam powróci do Europy, aby stąd dopomagać do dalszego rozwoju tamtejszych misji.

A ponieważ ta wyprawa misyjna będzie pierwszą podróżą morską, w jaką wybierają się salezjanie, to bardzo życzyłbym sobie, by im towarzyszył konsul argentyński ze Savonny - pan Gazzolo, który jest naszą osobą zaufaną i obeznany z warunkami, w jakich się nauki znajdują. Osób wszystkich będzie dziesięć. Zwracam się, przeto do prześwieconego magistratu, aby możliwie zapewnił tyleż biletów dla nich na przejazd; dwa mogą być drugiej klasy. Gdyby jednak, co do tego były jakieś trudności, to ostatecznie podejmuję się ja zapłacić podróż tym, dla których biletów nie dostarczono. Chętnie spełnię tę ofiarę, bo mi bardzo leży na sercu, aby wszystko odbyło się w porządku, zwłaszcza, co do moralności i by Dzieła salezjańskiemu w krajach misyjnych zapewnić solidne początki.

Wyjazd salezjanów nastąpiłby około połowy listopada, o czym jeszcze zawiadomię, gdy już dzień będzie ostatecznie ustalony.

Co do nazwisk, jakie potrzeba umieścić na biletach jazdy, to najpraktyczniej byłoby umieścić tylko księdza Cagliero, albo kom. Gazzolo i liczbę, jaką uzna się za stosowne, osób jadących z nim. Tak będzie też łatwiej wymienić ewentualnie kogoś, co przecież z różnych powodów zawsze może okazać się konieczne.

Rzeczy w tym liście poruszone proszę zakomunikować według uznania tamtejszemu arcybiskupowi.

Przewielebności Waszej dziękuję całym sercem za okazywane dotąd poparcie dla naszej wspólnej sprawy. We wszystkim, co zdołamy zrobić tam dla większej chwały Bożej, będzie miał Przewielebny Ksiądz główną zasługę. Jestem przekonany, że w salezjanach znajdzie swoich kochających braci, którzy korzystając z jego rad, zadośćuczynią oczekiwaniom tamtejszych władz tak świeckich, jak i duchownych. Gdyby jeszcze trzeba coś zrobić, to proszę mi napisać bez żenady. Ja również dam znać, co tu u nas się przygotowuje. Polecając siebie i wszystkich moich modlitwom itd.

Dnia 28.07.1875 r.

W drugim liście schodzi Ksiądz Bosko do najdrobniejszych szczegółów, nie zapominając nawet o papierze nutowym, aby tylko jego synowie mieli wszystko potrzebne do godnego reprezentowania Zgromadzenia w tych dalekich krajach. Przy czym wymknął mu się, jakoby z serca jeden zwrot, ujmujący najistotniejszą zasadę jego pedagogiki i dydaktyki. A to gdzie mówi o regulaminach, jakimi kierują się po naszych zakładach, i pisze: **/Ale prawdziwy regulamin stanowi zawsze osobista postawa tego, co go stosuje, czyli wychowawcy/.**

Drogi księżę doktorze Ceccarelli! Otrzymałszy jego list, uzgodniliśmy zaraz z kom. Gazzolo, że wyjazd naszych misjonarzy nie odwlecze się poza 15 listopada, choć może nastąpić i wcześniej. A teraz chciałbym zapytać o kilka szczegółów:

- czy naczynia święte i paramenty kościelne będą tam na miejscu, czy mamy je tu sprawić i zabrać ze sobą;
- to samo dotyczy mebli, naczyń kuchennych, bielizny, zastawy stołowej, umeblowania domu itd.;
- chodzi też o mszały, te wielkie i do Mszy św. żałobnej, katechizmy, kancjonały, książki szkolne, słowniki itp.;
- czy przyjechawszy do S. Nicolás nasi pójdą zaraz do przeznaczonego zakładu, czy też na plebanię?;
- czy mamy sami starać się o służbę, czy też już coś w tym względzie jest ustalone;
- czy w szkole, przy kolegium będą również szkoły miejskie, czy też są osobno;
- czy mamy sami postarać się tu o pianino, czy też zastaniemy już na miejscu?;
- czy tam można nabyć papier nutowy, szkoły na instrumenty muzyczne, organy, śpiewniki itd.?

Posyłam regulamin do przejrzania, stosowany po naszych zakładach. Ale właściwy regulamin stanowią jego wykonawcy.

Czy nasi księża będą też zapraszani z kazaniami do uczenia katechizmu, do spowiedzi, jak to się u nas dzieje? Czy mam teraz napisać do arcybiskupa i w jakim sensie?

Ponieważ zamierzam wydrukować książeczki do nabożeństwa dla młodzieży w języku hiszpańskim, więc prosiłbym o przysłanie jak najprędzej małego katechizmu w tym języku, w którym by były modlitwy, jak Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo, itd. i inne według tamtejszych zwyczajów. Tak nasi księża będą mogli zaraz się do nich dostosować.

Na razie niech Przewielebność Wasza uzbroi się w cierpliwość, niech mi radzi i poucza mnie. Pragnę, abyśmy dobrze się zaprezentowali i by nikt nie mógł powiedzieć: *È una meschinitá* – bardzo to wszystko nieudolne. Ponieważ chodzi o Zgromadzenie dopiero początkujące, nie chcę nic oszczędzać ani co do personelu, ani co do wydatków, co by mogło przyczynić się do dobrego wyniku naszego przedsięwzięcia. Bardzo, zatem proszę o wszystkie do tego celu pożyteczne uwagi.

Proszę też ode mnie złożyć uszanowanie dla członków Komisji, którzy raczyli napisać mi tak życzliwy list. Niech Bóg etc.

Dnia 12.08.1875 r.

Ksiądz Bosko rozpoczynając jakieś dzieło, które uważał za zgodne z wolą Bożą w przeprowadzaniu go trzymał się zasady: Pomagaj sobie a Bóg ci pomoże.

Zabiegał, więc i teraz na wszystkie strony o pomoc w przygotowaniach do tej wyprawy misyjnej. Między innymi tak pisał do kardynała prefekta Propagandy w Rzymie:

Eminencjo! Zwracam się pokornie do Waszej Eminencji, aby był łaskaw być nam ojcem i protektorem w sprawie, jaką mam zaszczyt pokornie przedstawić. Z błogosławieństwem Ojca świętego rozpoczęliśmy praktyki wstępne z arcybiskupem Buenos Aires i z radą miejską de los Arroyos, aby w tamtejszej stolicy otworzyć dom opiekuńczy dla młodzieży, a w S. Nicolás kolegium, mając na oku zawsze na pierwszym miejscu misje, a przy tym także i korzyść duchowną dla tamtejszych obywateli, zwłaszcza narodowości włoskiej. Z końcem października ma wyruszyć tam grupa złożona z naszych dziesięciu misjonarzy, a niedługo potem pojedzie druga. Ponieważ jest to pierwsza wyprawa misyjna zagraniczna salezjanów, ośmielam się zwrócić z prośbą do Waszej Ekscelencji o przyznanie Zgromadzeniu Salezjańskiemu, zatwierdzonemu urzędowo 3 kwietnia 1874 r., wszystkich łask i przywilejów duchownych, jakie Stolica święta zwykła przyznawać zakonnikom udającym się na misje. A ponieważ nasze Zgromadzenie, jako początkujące, nie dysponuje żadnymi środkami materialnymi, zwracam się w tej biedzie do Waszej Eminencji, aby w mierze, w jakiej to uzna za stosowne raczył przyjąć nam z pomocą czy finansową, czy w książkach - zwłaszcza hiszpańskich, czy w paramentach kościelnych, czy w przyborach szkolnych itp.

Magistrat miasta S. Nicolás oddaje nam lokal na zakład wychowawczy i kościół oraz opłaci podróż dla pięciu naszych misjonarzy. Resztę wydatków ponosi Zgromadzenie. Łaskawość i szczególne względy, jakie mi zawsze Wasza Eminencja okazywał dotychczas, są mi rękojmią, że i obecnie znajdę w nim Ojca i Protektora.

Troską zaś salezjanów będzie okazać się ze swej strony godnymi takich względów, które wdzięcznie zawsze wspominać będą, jako że te ułatwiły im drogę do szerzenia Ewangelii i Królestwa Bożego w Argentynie, skąd mają nadzieję rozszerzyć swą działalność i na inne sąsiednie kraje. Wszyscy też będą się modlić itd.

Dnia 31.08.1875 r.

Odpowiedzią na ten list było zalecenie, żeby się zwrócić do Sekretariatu Stanu, bo republika Argentyńska zależała od Kongregacji dla spraw kościelnych nadzwyczajnych.

Zdaje się jednak, że z tego Ksiądz Bosko nie skorzystał. Ostry kryzys w sprawie przywilejów i dimisorii, nakazywał raczej pewną rezerwę w tym względzie. Pozostawał on w związku z tymi perypetiami z ordynariuszem turyńskim. Mimo

wszystko nie tracił Święty pogody ducha, z nadludzkim spokojem pracował nad uruchomieniem misji w Ameryce. Nie brakło mu nawet humoru, jak to wynika z poniższego listu do wielkiego przyjaciela i dobrodzieja jego księdza Michelangelo Chiatellino.

Drogi księże Chiatellino! Ponieważ w czasie wakacji nie będzie ksiądz miał tyle do roboty, a przechadzki nawet mu dobrze zrobią, zatem w Imię Matki Najświętszej, powierzam mu pewne zajęcia na korzyść misjonarzy naszych, którzy z końcem października, pod kierownictwem ks. Cagliario wybiorą się na drugi świat, to znaczy na nowy kontynent Ameryki Południowej. Załączam tu, zatem spis potrzebnych rzeczy na wyprawę misjonarzy. Niechże i katolicy świeccy zrobią ofiarę z forsy, skoro misjonarze robią ją z życia na korzyść dzikich szczepów Patagonii. Dobrze więc będzie tak zrobić: Niech ksiądz obejdzie, kogo uważa i niech znajdzie tylu ofiarodawców, ile jest w spisie wymienionych przedmiotów. Jeśli to się księdzu uda, to zwrócę się do Papieża, aby go mianował monsignorem, albo i czymś więcej. Zobaczmy. „Caritas Christi urget nos” .

I proszę pamiętać, że tych rzeczy na gwałt potrzeba: ja na ten cel nie mam nic, ani solda. Uważam, że z nadzieją dobrego rezultatu warto się zwrócić do monsignora Appendino, da Fascio i tylu innych (tu wylicza ich cały szereg, kończąc) i tych wszystkich, o których Bóg księdza natchnie, że są osobami dobrej woli. Gdyby księżna była z powrotem, to uważam, że i ona coś powinna by pomóc. Niech nas Bóg błogosławi. Niech ksiądz się poświęci i niech coś zrobi dla chwały Bożej. A ja kreślę się oddany przyjaciel.

Turyń, 15.09.1875 r.

Wyprawa doprawdy wymagała poważnych wkładów, na które Oratorium nie mogło się szarpnąć. Wszak potrzebne były: pończochy, skarpetki, obuwie, koszule, płaszcze, peleryny, pelerynki, sutanny, meble, paramenty kościelne, kielichy, mszały, kancjonały puszki, książki hiszpańskie, francuskie, podręczniki do teologii, książki kaznodziejskie, ascetyczne. Ksiądz Bosko zrobił spis tego wszystkiego, powielił go i rozesłał na wszystkie strony. Wtedy doprawdy okazała się w pełni wspańiałomyślność Turyńczyków. Rodziny zakonne i prywatne prześcigały się w przygotowaniu obficie tego wszystkiego. Do Oratorium wciąż napływały paczki z obuwiami, bielizną prywatną i kościelną, z kapami, ornatami itd. Pracownice domowe również pracowały całą parą w tym celu.

Warto tu jeszcze zwrócić uwagę na jeden szczegół. Pomimo tak wielkiego entuzjazmu misyjnego, nie brakowało jeszcze takich, którzy nie wierzyli w udanie się tej wyprawy. Zdawało im się, iż wyjazd tylu i na ważnych stanowiskach stojących współbraci, jest wprost niemożliwy. Przywódca wyprawy, ks. Cagliario, był profesorem teologii moralnej, nauczycielem muzyki w Oratorium, dyrektorem duchowym Córek Maryi Wspomożycielki; inny był prefektem w jednym z większych zakładów, inny profesorem, inny zaangażowany w ważnych sprawach: wszyscy wprost nie do zastąpienia. Koadiutor Belmonte, zajmujący się gośćmi,

odwiedzającymi Oratorium, pół godziny przed odjazdem, jeszcze załatwiał sprawy swego urzędu i trzeba mu było przypomnieć, by oddał klucze, bo mało brakło, a byłby je włożył do kieszeni i z nimi wyjechał do Ameryki. Biada, gdyby Ksiądz Bosko liczył się z tymi wszystkimi zastrzeżeniami i nie miał szerszego horyzontu przed sobą. Nie gubił się on wobec trudności większych, czy mniejszych, ale zaraz studiował, jak je rozwiązać i przezwyciężyć, kierując się zasadą św. Teresy: „Niente ti turbi – Nie trap się niczym”.

ROZDZIAŁ VIII

KONFERENCJE KWIETNIOWE 1875 ROKU

Organizując Zgromadzenie Salezjańskie, Ksiądz Bosko postąpił, jak ów izajaszowy gospodarz, który winnicę swą otoczył płotem, wybrał kamienie i zbudował wieżę pośród niej (Iz 5,2). I on łąkę na Valdocco zamienił na wspaniałą winnicę, zabezpieczając ją starannie dobrze przygotowanym regulaminem; z pośród niej wybrał odpowiednich do swoich planów chłopców, uformował ich i ubrał według ideału, jaki miał przed sobą. A złączywszy ich wspólnotą interesów duchowych, przywiązał do siebie więzią synowskiego uczucia tak, że ci prawie nie spostrzegli się, jak z nich utworzył organizm spoisty, zdolny do życia, do rozwoju samodzielnego i do podjęcia dzieł wielkich.

Nie czytamy doprawdy w rocznikach Kościoła, aby który zakonodawca postąpił w podobny sposób, aby zbierając wkoło siebie uliczników, swymi zabiegami ukształtował z nich kamienie węgielne pod wielką budowlę zakonną. Skupiali oni koło siebie raczej ludzi już dojrzałych i dopiero z nimi pracowali nad założeniem nowych zakonów.

A trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, że były to czasy, kiedy nawet nie można było bezkarnie dobrze mówić o zakonach, a cóż dopiero zakładać nowe. Trzeba, zatem było postępować bardzo ostrożnie.

Zresztą, kto by mógł podejrzewać, że wśród takiej zbieraniny dzieci z ulicy, co tylko objadali Księdza Bosko, kiełkuje nowe Zgromadzenie. A tu potrzeba powiedzieć jeszcze coś więcej. Wielką ostrożność musiał on zachować nawet wobec tych, co właśnie stanowili awangardę jego formujących się zastępów. Takie to wtedy było ogólne uprzedzenie do życia doskonalszego. Gdyby im za wcześniej wspomniał o życiu zakonnym, o ślubach, zaraz zrobiłaby się wkoło niego pustka. Sam kardynał Cagliero z właściwą mu do końca życia żywością, mawiał, że gdyby mu Ksiądz Bosko z początku coś wspomniał o życiu zakonnym, zaraz byłby zawołał: O, tak. Pozostać z Księdzem Bosko, pomagać mu, owszem, - ale zostać mnichem. Przenigdy. Potrzeba, więc było wielkiej cierpliwości i wyrozumiałości, aby kierować nimi tak, by osiągnąć zamierzony cel i wypchnąć ich na szerokie morze pracy ewangelicznej, zanimby się spostrzegli, że płyną już w łódce Zgromadzenia.

Ta jest właściwa racja, dlaczego osobistości wysoko postawione w hierarchii kościelnej, gorszyły się taktyką Księdza Bosko i stosowały do niego kryteria, których niewłaściwość dzisiaj po prostu nas razi. Stali oni z dala od Oratorium i osądzali postępowanie Księdza Bosko według zasad już wtedy nawet przestarzałych.

Właśnie ci dyrektorzy, którzy w kwietniu 1875 roku, zebrali się na ponowne konferencje, to właśnie owi urwisy z przed kilkunastu lat, którzy swoją żywością wystawiali cierpliwość Świętego na poważną próbę. A jednak powoli, pociągnęci jego dobrocią, przez niego wykształceni i ochronieni od niebezpieczeństw świata, zaprawieni do pobożności pogodnej, a serdecznej, ukochali swego dobrego Ojca miłością stałą i serdeczną, oddani mu całym sercem na życie i śmierć.

Jednym ze sposobów, by ich przepoić swym duchem i tak umacniać zręby Zgromadzenia, co dopiero zatwierdzonego przez Rzym, było częste zwoływanie ich na wspólne konferencje. Nie było na nich żadnego zbytniego formalizmu; była to raczej intymna wymiana myśli w gronie rodzinnym, w czasie, kiedy dzielono się własnymi doświadczeniami, omawiano różne projekty, sposoby przewycięzania trudności, wyjaśniano powoli wchodzący w życie regulamin. Równocześnie miał Ksiądz Bosko sposobność porozmawiać z każdym z osobna, poznać lepiej jego zalety i zdolności, zachęcić, poradzić mu tak, że potem rozjeżdżali się wszyscy z nowym zapałem do pracy, z wiarą w wielkie zadania, jakie czekały Zgromadzenie.

Okazją do zwołania w tym roku dyrektorów był powrót Księdza Bosko z Rzymu. Wiedział on dobrze, jak wielkie wrażenie robi na nich opowiadanie tego, co myśli o salezjanach Papież, co o nich mówi się w Rzymie, jakie są widoki na ostateczne załatwienie witalnych spraw Towarzystwa, do jakich należały przywileje.

Konferencje trwały trzy dni – od 14 do 16 kwietnia. Pięć z nich było prywatnych a jedna ogólna. Brali w nich udział księża: Rua, Cagliero, Durando, Lazzero, Ghivarello, Bonetti, Lemoyne, Francesca, Cerruti Albera, Dalmazzo, wreszcie ks. Barberis podpisany w protokole na ostatnim miejscu, jako sekretarz. Brakło tylko księdza Savio i księdza Costamagna, którzy wyjechali z posługą duchowną.

Na pierwszym posiedzeniu Ksiądz Bosko z wielkim namaszczeniem zakomunikował zebranych o szczególnym błogosławieństwie Ojca świętego dla wszystkich Przełożonych Towarzystwa. Następnie wyłuszczył powody swej podróży do Rzymu, naszkicował w krótkich słowach, w jakim stadium znajdują się poszczególne sprawy i na jakie napotykają trudności. Stwierdził przy tym, że w Rzymie wszędzie spotkał się z żywą sympatią, nawet u najwyższych sfer, pomimo nieprzychylnych opinii, jakie nadsyłało z Turynu. W tym miejscu kazał wyjąć z archiwum niektóre tajne dokumenty, aby obecni mogli przekonać się wyraźnie o stanie rzeczy i z jaką należy postępować roztropnością w zarządzie domu.

Na drugiej konferencji przewodniczył ksiądz Rua. Odczytanie protokołu konferencji styczniowych wywołało dyskusję, która mogłaby się nam wydawać błahą. Zresztą nie była to jedyna w tym stylu dyskusja. Ksiądz Bosko pozostawiał wiele spraw do omówienia swoim współpracownikom, podając im tylko myśl zasadniczą, a oczekując od nich konkretnych wniosków. W ten sposób zaprawiał ich do rządzenia swymi domami i wciągał do współodpowiedzialności za losy Zgromadzenia, które co dopiero zakiełkowało – na podobieństwo ziarenka gorczycznego – z serca Księdza Bosko i wypuszczało pierwsze swoje konary.

W naszym wypadku chodziło o sekretarza Kapituły Wyższej, który by jej uchwały notował skrzętnie, przekazując je potomności. Wprawdzie takim sekretarzem nominalnym od jakiegoś czasu był już ks. Ghivarello, niestety miał tyle zajęć, że jego sekretarstwo schodziło do zera, a nikt się tym bardzo nie przejmował. Chodziło, więc o to, czy zwolnić księdza Ghivarello z innych zajęć, aby mógł pełnić obowiązki sekretarza, czy wybrać innego współbrata na ten urząd. Przeważyło drugie zdanie; ale ponieważ dotychczasowy nominalny sekretarz był zamianowany przez samego Księdza Bosko, ostatecznie pozostawiono to do jego decyzji. Następnie odczytano przyznane nam przywileje i łaski duchowne, o czym już była mowa w poprzednich rozdziałach.

Przeszło się do porządku dziennego, który obejmował trzy punkty:

1. nie zmieniać personelu;
2. teatrzyk nie ma zakłócać ustalonego rozkładu dnia;
3. nie robić wydatków zbędnych.

Nad dwoma pierwszymi punktami zebrani nie mogli przyjść do zgody, bo każdy je inaczej interpretował. Po dłuższej dyskusji postanowiono zwrócić się do Księdza Bosko, by wyjaśnił, o co właściwie chodzi.

Pozostał punkt trzeci. Ale znowu nie rozumiano, które to wydatki są zbędne. Nie mogło się to odnosić do nowych budowli, gdyż w ogóle był zakaz budowania bez pozwolenia Kapituły Wyższej. Pozostawały, więc drobne zmiany w urządzeniu mieszkania, czy inne remonty. Co do tego żaden z dyrektorów nie miał zastrzeżeń. Na końcu omawiano wydatki związane ze zmianą ubrania stosownie do pory roku. W Piemontcie, w czasie lata duchowni nosili pelerynkę, co wychodziło bardzo tanio. Obecnie weszła moda, że zakonnicy, czy księża świeccy, a nawet biskupi, nosili płaszcze letnie. Czy więc i salezjanie mają się do tego dostosować? Byłoby to o tyle praktyczne, że ponieważ te płaszcze są długie, to przykryją one i sutanny wytarte, czy wypłowiałe, „jakie w większości wypadków u nas się nosi”. Taką uwagą kończy się protokół z tej konferencji. I w tym względzie ostateczną decyzję pozostawiono Księdzu Bosko.

W trzeciej konferencji bierze udział Ksiądz Bosko. Omawiano na niej przebieg mediacji arcybiskupa z Vercelli i niektóre dekryty, dotyczące odpustów i przywilejów, które już znamy. W drugiej jej części interpelowano Księdza Bosko o znaczenie pierwszych dwóch punktów, co, do których nie osiągnięto zgody. A więc: Co to znaczy: „Nie zmieniać personelu”. Czy chodzi o przenoszenie współbraci z jednego domu do drugiego przez dyrektorów, co przecież, o ile wiadomo, nigdy nie miało miejsca, czy raczej o to, by nie zmieniać zajęć współbraci w poszczególnych zakładach bez uprzedniego pozwolenia Kapituły Wyższej. To by mogło stać się bardzo kłopotliwe, gdyż bardzo często zachodzi potrzeba bezpośredniego przeniesienia kogoś z jednej asystencji do drugiej, względnie z jednego zajęcia na inne.

Ksiądz Bosko tak odpowiedział: Chodzi tu raczej o zapobieżenie na przyszłość możliwym ekscesom, niż o ich napiętnowanie. Zasadą ogólną jest, by rzeczy

postępowały tak, jak zostało ustanowione z góry. W tym względzie radziłem się ojca Franko, który mi powiedział, że u Jezuitów nie podejmuje się nikt żadnych zmian, jeśli najpierw nie uzyska pozwolenia przełożonych wyższych. I całkiem słusznie, gdyż przez to przełożony lokalny nie jest narażony na możliwość niechęci ze strony podwładnych, a podwładni przyjmują zarządzenie chętniej. Wiercie mi: chciałbym, aby ten zwyczaj utrzymał się we wszystkich naszych domach. Tak, mogą z tego powodu powstać pewne trudności, ale skoro każdy dyrektor wyda, jakie zarządzenie ważniejsze uprzedzi o tym przełożonych wyższych i to zarządzenie nadejdzie potem z Turynu, to przyczyni się to wielce do spokojnego postępu naszych zakładów. To samo odnosi się do wypadków, kiedy trzeba czegoś odmówić. Jeśli wypadnie odmówić jakiegoś zezwolenia, natenczas najpraktyczniej będzie powiedzieć: Zaczekaj napiszę do Turynu i skoro przyjdzie odpowiedź, to ci ją zakomunikuję. Tak uniknie się tego, by współbrat posądzał dyrektora, iż mu odmówił zezwolenia tylko dla własnego widzi mi się. Tym łatwiej o to w razie przenoszenia współbraci. Jeśli przeniesiecie współbrata na własną rękę, to łatwo przyjdzie mu podejrzenie, iż chcecie go się pozbyć. Uniknie się zaś tego, jeśli zmiana przyjdzie z Turynu. Następnie dyskusja zeszła na temat korespondencji. W tym względzie Ksiądz Bosko dał jedno polecenie i dwie normy. Poleciał, ażeby zostawiono współbraciom pełną swobodę pisywania do Przełożonego Głównego. Zwrócił uwagę, iż w niektórych zakonach jest nawet zagrożona ekskomunika na przełożonego miejscowego, który, by przeszkadzał tej korespondencji, a względnie uzurpował sobie prawo czytania takich listów, czy to wysyłanych czy to otrzymywanych. Wyraził też życzenie, aby zachęcano współbraci do częstszego pisywania do niego. Normy dane przez niego, dotyczyły ogólnej korespondencji. Każdy członek ma wręczać dyrektorowi listy niezapieczone i również każdy dyrektor ma je dawać otwarte; zwrócił przy tym uwagę, aby dyrektor doręczał listy osobiście, a nie, przez kogoś innego. „To jednak, dodał jeszcze, nie obowiązuje w sposób bezwzględny, do tego stopnia, iżby przełożony musiał robić to za każdym razem. Zostaje jednak podkreślone prawo dyrektora do kontroli listów, a tym samym nikt nie będzie mógł się dąsać, kiedy dyrektor z tego prawa będzie chciał skorzystać”.

Ks. Dalmazzo, który wyciągnął sprawę listów, również zwrócił uwagę na nieporządki, jakie wynikają z wychodzenia współbraci z domu.

Otóż przychodzą do mnie – mówił on i oświadcza: Potrzebuję wyjść z domu i wcale nie podają motywów. Idą sobie, dokąd chcą i robią, co im się podoba. W związku z tym ustalono, aby wychodzenia z domu i pozwolenia na to ograniczyć do minimum, gdyż zawsze to kryje pewne niebezpieczeństwa; kto wychodzi powinien mieć towarzysza, jak mówią Reguły i to nie zawsze tego samego. Ale ktoś tu zrobił zarzut: Jak tu znaleźć w większości wypadków dla wychodzącego towarzysza skoro wszędzie jest taki brak personelu? Tym lepiej – przerwał Ksiądz Bosko. Skoro trudno znaleźć towarzysza, to doprawdy nie będzie pozwoleń, jak tylko w wypadkach absolutnej konieczności. Sam fakt, że nie można znaleźć takiego towarzysza, upoważnia sam przez się, by odpowiedzieć: Na razie nie możesz wyjść. Ktoś

tu nadmienił, że widział w Rzymie O. Perrone i O. Curzi, idących w towarzystwie braciszka, ubranego niedbale. Oczywiście, że takiego towarzysza łatwiej było znaleźć. Ostatecznie tak, co do korespondencji, jak co do wychodzenia na miasto, uznano za rzecz stosowną odczekać z wykonaniem powziętej uchwały, aby nie narazić dyrektorów na zarzut, że działają samowolnie. „Wkrótce – powiedział Ksiądz Bosko – wyśle się okólnik do wszystkich domów, w którym będą te sprawy poruszone, z poleceniem dla dyrektorów, by tego dopilnowali. Tak uniknie się możliwych krytyk pod ich adresem. Wiele jeszcze innych rzeczy byłoby do zreformowania i urzeczywistnienia, ale to będzie możliwe dopiero w miarę przybywania personelu. I tak np. byłaby do ulepszenia rachunkowość zakładu. Na szczęście (a mówił to uśmiechając się) wy wszyscy tu jesteście wykwittem uczciwości i oczywiście nie wynosić chcecie, ale przynosić do Zgromadzenia to, co macie. Ale swoją drogą, kto wie, ile tysięcy lir moglibyście ściągnąć zanimby was nakryto, skoro nad wami nie ma żadnej kontroli? Koniecznie trzeba położyć większy nacisk na księgowość, jeżeli chcemy uniknąć większych nieporządków w przyszłości”.

Teraz przysła kolej na teatrzyk. Co Ksiądz Bosko chciał otrzymać, zalecając, aby przedstawienia nie zakłócały rozkładu dnia w zakładach? Czy może, aby wstanie w następnym dniu nie było opóźnione z powodu teatru? Bo zresztą, jakże można urządzić przedstawienie, nie zmieniając normalnego rozkładu dnia? Siłą faktu wieczerza była przyspieszona, a godzina spoczynku opóźniona. Ja natomiast – oświadczył Ksiądz Bosko – jestem zdania, aby nie przyspieszać wieczerzy, ale urządzić ją po teatrzyku. W ten sposób uniknęłyby się tego, co uważam za rzecz bardzo niewłaściwą, żeby aktorzy otrzymywali osobno, po przedstawieniu, drugą wieczerzę.

Ale tu zwrócono uwagę, że właśnie do niedawna tak postępowano, ale trzeba było tego zaniechać wobec wynikających nieporządków. A przy tym wszyscy dyrektorzy są zdania, że wieczerza po przedstawieniach jest mniej praktyczna. Obecnie po skończonym przedstawieniu odmawia się modlitwy wieczorne zaraz na miejscu i tak wszystko jest skończone. Jeżeli zaś ma być dopiero wieczerza, to po niej trzeba zrobić krótką rekreację, która zwykle bywa bardzo kłopotliwa dla asystentów. A dalej przetrzymywać w czasie przedstawienia wszystkich kucharzy i służbę jadalnianą w gotowości, też zdaje się nie jest bardzo wskazane. „A jednak – odrzekł Ksiądz Bosko – na wszelki koszt trzeba unikać wyróżniającej wieczerzy dla aktorów. Zawsze tu są jakieś nieporządki. Wystarczyłoby, bym przytoczył te, jakie ostatnio miały miejsce, a zaraz wszyscy bylibyście jednomyślni, by na nią nie pozwalać. W ostatecznym razie niech się urządza przedstawienie we czwartek w ciągu dnia, który to dzień jest wolny od lekcji.

Ale tu nowe wyszły trudności. Jeżeli przedstawienie będzie w ciągu dnia, to rzemieślnicy będą musieli przerwać pracę. A wtedy? Poza tym na przedstawienia często są zapraszani goście z miasta, dla których godzina poobiednia jest całkiem nieodpowiednia. W takim razie, zaproponował Ksiądz Bosko – nie widzę innego wyjścia, jak tylko, aby w dniach, kiedy jest przedstawienie, posiłki odbywały się alla

francese. Un dé jeuné około jedenastej, obiad około piątej, na którym oczywiście będą i aktorzy. Po obiedzie godzina przerwy. O w pół do siódmej teatr, na który dwie i pół godziny powinno wystarczyć. I tak o dziewiątej wszystko jest skończone, a nie potrzeba urządzać osobnej wieczerzy dla aktorów. Po przedstawieniu odmówi się zaraz pacierze wieczorne i idzie się spać. A ponieważ teatrzyk bywa urządzany zwykle w dni świąteczne, to przed piątą jest czas na odprawienie nabożeństwa i wszystko się składa. W każdym razie cały ten projekt należy przed tym wypróbować. Dopiero skoro okaże się praktyczny, to wprowadzi się go we wszystkich domach.

Było to w zwyczaju u Księdza Bosko, że zanim ustalił jakąś regułę, chciał zawsze najpierw przekonać się, jak to wyglądać będzie w praktyce, i jakie ewentualnie wyłonią się jeszcze trudności.

Na czwartej konferencji przewodniczył ks. Rua. Zezwolenie na egzaminy nadzwyczajne upoważniające do otrzymania dyplomu na nauczyciela w szkołach technicznych i gimnazjalnych, było ważne jeszcze na rok. Bardzo zależało wszystkim na tym, aby kto tylko może, poddał się takiemu egzaminowi. Ks. Durando zauważył, aby się wszyscy dobrze przygotowali, gdyż w razie niepowodzenia, naraziłoby się na szwank dobre imię Zgromadzenia. Wobec czego dyrektorzy tak winni rzeczy ułożyć, aby kandydaci mogli na parę miesięcy przed tym zebrać się w Oratorium i tam odbyć odpowiedni kurs przygotowawczy. Do egzaminów na nauczycieli w gimnazjach nie ma celu stawać w Turynie, gdyż członkowie komisji egzaminacyjnej turyńskiej, wystarczy, że zobaczą księdza, a tym samym już ten jest spalony. Trzeba będzie zgłosić się do takich egzaminów w Wenecji, Bolonii, albo gdzie indziej. O tym zadecyduje się dopiero, znając liczbę kandydatów. Ci swoje podania powinni skierować do księdza Durando. Termin składania tychże upływa z końcem maja.

Jeśli zaś chodzi o egzaminy nauczycieli szkół podstawowych, to na tym polu panowało zamieszanie, jak to zresztą nierzadko i dawniej miało miejsce. Okólnik ministerstwa wymagał od kandydatów, by zapisali się, do jakiejś szkoły specjalnej, ale również pozwalał na egzaminy i bez tej formalności, o ile zdający prywatnie mógł udowodnić, że od roku już uczył w szkole. I odwrotnie drugi okólnik tegoż ministerstwa nie uznawał żadnego nauczania, jeżeli ktoś uprzednio nie zdał przepisanych egzaminów. Jednym słowem nie można było liczyć na to, że próbne nauczanie będzie wzięte pod uwagę.

Ks. Rua był zdania, aby raczej nie stawać do tych egzaminów. Inaczej myślał ks. Cerruti, który proponował, by o zdanie egzaminów postarali się wszyscy, ale po kolei, bez robienia koło tego zbytniego szumu, jak to miało miejsce w latach poprzednich. Kto się czuje, niech zdaje. I na tym stanęło. Egzaminy takie zdawano dotąd w Nowarze, ale w 1875 roku już to było nieaktualne, gdyż nowarska szkoła miała tylko prawa szkół państwowych, a przepisy ministerialne wymagały, aby zdający prywatnie zdawali egzaminy w szkołach państwowych. Zdecydowano się, zatem na państwową szkołę w Pinerolo.

Po wyczerpaniu tego argumentu niektórzy dyrektorzy zwrócili uwagę na nieporządki, jakich przyczyną byli współbracia przejezdni. Ci, zatrzymując się

w czasie podróży w jakimś domu, wychodzili bez niczego na miasto, a nawet zachodzili do restauracji bez zawiadomienia miejscowego dyrektora. Ale zaraz zwrócono uwagę, iż tu niepotrzebna żadna dyskusja. Wystarczy, aby się praktykowało, co uprzednio było ustalone, a mianowicie, żeby każdy współbrat, choćby na krótko wstępujący do zakładu, który nie jest jego stałą rezydencją, zaraz poddał się pod posłuszeństwo przełożonego tego domu i nie wychodził, ani czegokolwiek nie przedsięwziął bez pozwolenia.

Z troski o utrzymanie karności wypłynęło inne na tej konferencji zarządzenie, zmierzające do przeszkodzenia podróżom, na które nie było upoważnienia. Zwiększająca się liczba współbraci pociągała za sobą częstsze ich wyjazdy, a tym samym i przejazdy po różnych zakładach. I tu stawiano pytania: czy na takie zatrzymywanie się w zakładach miał każdy zawsze należne pozwolenie, czy nikt podstępnie nie przedłużył sobie pobytu poza swym domem. A cóż ma czynić dyrektor miejscowy, nie znając w ogóle celu podróży danego współbrata ani czasu jej trwania? Ustalono wtedy, że każdy dyrektor, ilekroć jeden z jego podwładnych wybiera się w podróż i ma przejeżdżać przez inny dom, zaopatrzy tego współbrata w list, w którym będzie podany cel i trasa podróży, czas jej trwania, słowem wszystko, co by mogło dyrektora użyczającego gościny, zorientować odnośnie do wstępującego współbrata. List taki powinien być zamknięty, opatrzony na kopercie pieczęcią tak, że portier zaraz może być pewny, iż oddawca jest salezjaninem, a nie jakimś symulantem. Dyrektorzy zaś, odbierający to pismo niech podrą zaraz kopertę, aby jej, kto inny nie mógł nadużyć. Zwrócono jeszcze uwagę na zachowanie się tych, co wyjeżdżają do rodziny. Pozwalają sobie oni często na wycieczki bez żadnego na nie upoważnienia. Znalazł się nawet taki, który w czasie ostatnich wakacji wybrał się samowolnie na szczyt San Bernardo. W tym względzie nic ostatecznie nie zadecydowano. Tylko dyrektorzy mieli upomnieć współbraci, aby mając pozwolenie udania się w jedno miejsce, nie tułali się gdzie indziej. Jeśliby zaś im wypadło podjąć się, jakiej podróży, czy wydatków nieprzewidzianych, to powinni o tym zawiadomić swego przełożonego.

Piąta konferencja była publiczna. Wzięli w niej udział wszyscy współbracia Oratorium, nowicjusze, aspiranci w kościele św. Franciszka. Z tej konferencji mamy przechowane dosyć dokładne sprawozdanie. Ksiądz Bosko rozpoczął od zakomunikowania 150 zebranych błogosławieństwa Ojca świętego. Wspomniał dalej, jak upominek Papieża zgodny był z oświadczeniem przedstawionym Mu w imieniu salezjanów, zapewniających go o swej wierności i posłuszeństwie dla Głowy Kościoła. Podał dalej do wiadomości odpusty, jakie już znamy i tak dalej mówił: Miło mi tu podkreślić w specjalny sposób, jak nie tylko Ojciec święty życzy nam dobrze i popiera nas, ale prawie wszyscy w Rzymie, z którymi się spotkałem, odnoszą się przychylnie do naszego Zgromadzenia, tak dobrzy jak i źli, tak władze cywilne jak i kościelne, z bardzo małymi wyjątkami. Umyślnie powiedziałem, że i źli patrzą na nas dobrym okiem, gdyż nieraz spotkałem takich, co wygadują na zakony i chcieliby je widzieć zlikwidowane, a do nas odnoszą się więcej niż lojalnie.

Oto najświeższy epizod. Co dopiero dzisiaj słyszę, jak pozdrawia mnie jakieś barczyste, przyzwoicie ubrane panisko, który trzymał w ręku dwa dzienniki, te z najgorszych. Od razu nie poznałem go, ale przedstawił mi się, jako jeden z dawnych wychowanków Oratorium, podkreślając przy tym, że zawsze mile sobie wspomina moją osobę i Oratorium. Pytając go, jak w takim razie znajdują się w jego ręku owe piśmidła, przekonałem się, że on nawet w nich pisuje artykuły w duchu zupełnie przeciwnym do tego, czego się nauczył u nas. W trakcie rozmowy wspomniałem mu o spowiedzi św. wielkanocnej i wyszło na jaw, że już od szeregu lat nie chodził do kościoła. Więc pytałem go dalej, jak on drukując podobne artykuły i żyjąc tak jak żył, może mile wspominać sobie czasy spędzone w Oratorium.

Odpowiedział, że jeżeli pisze przeciw księżom, zakonnikom i prałatom, to tylko, dlatego, że widział wśród nich rzeczy wstręt budzące. Ale nas zna i także jego współpracownicy nic nie mają przeciwko nam, widząc, że nie leniuchujemy, że działamy dużo dobrego, trzymając się z dala od polityki. I w entuzjastycznych słowach wygłosił panegiryk na naszą cześć. Ale ja wróciłem do tematu Komunii św. wielkanocnej, przy czym nieznacznie nasunąłem mu myśl o jego grzeszkach własnych, którym byłby czas, żeby już zaradził, zamiast sierznić się na innych. Rozeszliśmy się z lepszymi widokami na przyszłość.

Mówię to, dlatego, byście sobie zdali sprawę, jak i źli umieją uczciwą pracę ocenić. Za taką uważa się naszą działalność. Postarajmy się, zatem być takimi, za jakich nas mają.

Mając zaś mówić teraz wprost o naszym Zgromadzeniu, muszę najpierw zrobić kilka uwag.

Kiedy zakłada się jakieś zgromadzenie zakonne, to sprawa ta przechodzi przez trzy stadia. Najpierw Ojciec święty wyznacza przełożonego, który tym samym ma prawo gromadzić koło siebie przyszłych członków zgromadzenia. To stadium w zarodku rozpoczęło się u nas w roku 1841, kiedy zacząłem pracować nad młodzieżą z kilku znanymi pomocnikami, oparty o powagę arcybiskupa turyńskiego. Taki stan rzeczy został zatwierdzony przez Ojca świętego, kiedy byłem u niego po raz pierwszy w 1858 r. i po raz pierwszy rozmawiałem o Zgromadzeniu, które tym samym weszło formalnie w pierwsze stadium swojej organizacji. Ten okres jego rozwoju zakończył się w roku 1864, kiedy to Ojciec święty pochwalił nasz instytut i pozwolił w nim składać śluby.

Drugi okres rozpoczyna się wtedy dla danego zgromadzenia, kiedy Ojciec święty i kongregacje rzymskie zatwierdzają ostatecznie samo zgromadzenie, jako dobre i zdolne działać z korzyścią dla Kościoła świętego, ale nie zatwierdzają tym samym poszczególnych jego reguł. Te mogą jeszcze być nadal zmieniane i dostosowywane do ducha, jaki ma dany zakon ożywiać. To zatwierdzenie nasze Towarzystwo otrzymało dekretem papieskim z 19 lutego 1869 roku, kiedy też otrzymaliśmy przywilej ad decennium, wydawania dimisoriów dla kandydatów do święceń ad quemcumque episcopum. Po tym dekrete zostały oddane nasze Reguły do przestudiowania Kongregacji Biskupów i Zakonników i ich zatwierdzenie nastąpiło

3 kwietnia 1874 roku. Tym samym nasze Zgromadzenie jest już ostatecznie zorganizowane i zatwierdzone.

Wobec tego pozostaje jeszcze do załatwienia sprawa przywilejów, które niezbędne są, by jakieś zgromadzenie mogło rozwijać się i pracować bez przeszkód. W tej właśnie sprawie byłem ostatnio w Rzymie. Wprawdzie wiele przywilejów mamy już przyznanych, ale tylko tak pojedynczo, a teraz chodziłoby o uzyskanie ich w pełni na wzór innych zakonów, zredagowanych in corpus privilegiorum – dla salezjanów. I ta rzecz jest na dobrej drodze.

Przechodząc teraz do spraw wewnętrznych Zgromadzenia, z prawdziwą satysfakcją mogę tu oświadczyć, że idą one bardzo dobrze. Liczba członków rośnie z roku na rok, a stale napływają nowe podania o przyjęcie, a także duch, jaki wszystkich ożywia wróży najlepsza przyszłość. Nie traćmy, więc otuchy i pracujmy nadal z tym samym zapałem. Niech świat mówi, co chce, zadowolić wszystkich nigdy nie zdołamy. Przyznam wam się, że było moim szczególnym staraniem, by nikomu nie dać powodu do utyskiwań na mnie, ale coraz bardziej przekonuję się, że wprost niemożliwą jest rzeczą wszystkich zadowolić. Pracujemy, zatem bez zniechęcania się, ile tylko możemy, inni mogą o nas mówić, co chcą, my zaś mówmy o wszystkich dobrze. To jedna rzecz, jaką wam chcę szczególnie zalecić.

A druga: Starajmy się wszyscy usunąć na wszelki sposób z pośród nas wszelkie objawy szemrania. Jeśli ktoś ma coś do zarzucenia, niech mówi przełożonym, a nie wywodzi swoich żalów przed wszystkimi. Co będzie możliwe, zrobi się, by go zaspokoić. Owszem, podtrzymujmy jeden drugiego na duchu. To przyczyni się wiele do rozwoju naszego Zgromadzenia.

Polecam również wszystkim troskę o własne zdrowie. Gdy ktoś czuje się źle, niechże powie to śmiało, komu należy, a zrobi się wszystko możliwe, by mu ulżyć. W szczególniejszy sposób polecam dyrektorom, ażeby dopatrzeli, by chorym nic nie brakowało. Niech również zwracają uwagę, czy ktoś nie pracuje za wiele. Wołałbym, by jakaś praca została odłożona, niżby miał się zamęczać jakiś współbrat. Odwagi, kto może więcej pracować, niech pracuje więcej i ochoczo; kto jest słabszy, niech pracuje mniej; i nikt nie powinien z tego powodu robić mu wyrzutów.

I cóż byście chcieli, żebym wam powiedział na zakończenia. /Tutaj głos Księdza Bosko jakby zamarł. Już przedtem mówił bardzo po cichu i wydawał się być przemęczony. Ale w tej chwili wyglądało, że się rozplącze tak był wzruszony/. Otóż chciałbym was prosić, abyście zawsze w swej dobroci znosili mnie cierpliwie, jak to czyniliście dotąd i modlili się za mnie. Znośmy się wzajemnie jeden drugiego i to niech będzie najważniejszy mój upominek na całe nasze życie.

Jeszcze jedna rzecz – i kończę. Dbajmy bardzo, wszyscy, zgodnie, by dobrze odprawiać praktyki pobożności, właściwe naszemu Zgromadzeniu, a zwłaszcza ćwiczenie dobrej śmierci. W tym dniu, ile tylko możliwe, odłożyć wszelkie zajęcia zewnętrzne i każdy niech zajmie się sprawami swojego wiecznego zbawienia. Ja dużo spodziewam się od tego ćwiczenia, jeśli będzie odprawiane dobrze. Kto co miesiąc poświęca jeden dzień, ażeby uregulować sprawę swego sumienia, ten – niech

przyjdzie śmierć, kiedy chce i jak chce – nie ma się, co jej obawiać. W tym dniu, nie tylko odprawcie dobrze spowiedź św. i przystąpcie gorliwiej do Komunii św., ale postarajcie się także uporządkować wszelkie inne swoje rzeczy, a zwłaszcza sprawy materialne tak, żeby w razie śmierci mogliście powiedzieć spokojnie: Nic nie mam do załatwienia, jak tylko umrzeć w pokoju. Niech wam Bóg zawsze błogosławi, moi drodzy synowie.

Na ostatnie posiedzenie zebrali się dyrektorzy w pokoju Księdza Bosko. Po wezwaniu Ducha Świętego, jak zwykle, ks. Rua w imieniu wszystkich, zapytał, jak stoją pertraktacje z Ameryką.

Ksiądz Bosko bardzo chętnie zadowolił ogólną ciekawość, przedstawiając bardziej szczegółowo zebranych, co załatwił w Rzymie w sprawie Buenos Aires. Rzeczy te są nam już znane z poprzedniego rozdziału.

Po Ameryce przyszła kolej na Włochy. Podania o otwarciu nowych kolegiów we Włoszech napływały bardzo licznie. Było zaproszenie do Bassano, ale budynek tam ofiarowany, wymagał za dużo przeróbek. Było i z Cremony, gdzie wydatki na rozpoczęcie byłyby mniejsze. Wzywano salezjanów do Cremy, do Como, potem do Mediolanu. W tym mieście wszystko było gotowe do przyjęcia naszych. Ale monsignor Calabiana przewidywał jedno niebezpieczeństwo: gdyby tam przyszli salezjanie, to zrobiliby się koło nich wielki ruch, a wtedy mogłyby ucierpieć na tym inne kolegia już tam istniejące. Ta sama obawa przeszkodziła otwarciu zakładu w Rho. Przy tym wszystkim Ksiądz Bosko miał jeszcze inny swój cel. W całej Lombardii władze szkolne były wrogo usposobione do księży i dlatego mając na oku przyszłość, starał się ich nie drażnić. Na razie – mówił – nie mamy wielkiej potrzeby rozszerzania się, owszem lepiej będzie umocnić się na placówkach, jakie już mamy otwarte. Jeśli więc nie ma żadnych szczególniejszych powodów, to zwróćmy nasze zainteresowania gdzie indziej.

Niestety w owych latach, na stanowisku kuratorów szkolnych w Lombardii, byli nasłani „najgorsi Piemontczycy” – jak się wyraził ks. Durando, którzy, jeśliby w najlepszym razie, nie dokuczali wprost salezjanom, to przynajmniej ich nie popierali. Wobec tego Ksiądz Bosko zdecydował, że jeśli oni nie są gotowi przyznać nam tej swobody, jaką nam przyznają ogólne prawa szkolne, to tam nie pójdziemy.

Ks. Rua wtedy podsunął myśl, iż skoro już jest dosyć zakładów w dawnych stanach sardyńskich, to może byłoby wskazane otworzyć je poza granicami. Ksiądz Bosko podchwycił tę myśl, oświadczając, iż kardynał Berardi bardzo pragnie salezjanów w Ceccano, ale że na razie ta sprawa jeszcze nie dojrzała. Zresztą trzeba myśleć o rozwoju Dzieła Synów Maryi Wspomożycielki, no i przygotowywać personel do Ameryki.

Od tych rzeczy ogólnych wymiana zdań przeszła na sprawy bieżące. Kilku kleryków było gotowych do święceń wyższych, ale mieli tylko śluby trzyletnie. Ponieważ oni mogli zdobyć sobie potrzebne patrimonium ecclesiasticum, wyszła kwestia, czy mają być święceni na tej podstawie, czy też mają czekać, aż złożą śluby wieczyste, by móc otrzymać święcenia titulo mensae communis? A dalej, czy wypada

uprzedzić im profesję wieczystą, zanim upłynie czas ślubów trzyletnich, złożonych po raz pierwszy.

Po dłuższej dyskusji doszło do takiej konkluzji:

Ad primum – Kto może mieć własne patrimonium – niech się o nie postara. Zawsze to będzie pewien dochód dla domu, gdzie bieda piszczy, a także i wyświęcony na księdza będzie spokojnie patrzył w przyszłość, która dla księży w owych czasach przedstawiała się problematycznie. A i rodzice, jako zamożniejsi, chętnie taką ofiarę zrobią dla swoich synów. To odnosiło się oczywiście tylko do profesów wieczystych. Profesi trzyletni nie powinni tak łatwo być dopuszczani do święceń na podstawie własnego patrimonium. Byłaby to zbyt wielka pokusa dla młodego księdza, który w każdej chwili mógłby sobie wyjść ze Zgromadzenia, mając zapewnione stypendium no i swoje dochody z patrimonium; lada nieporozumienie ze współbraćmi mogłoby go zwichnąć. Wreszcie sama możliwość otrzymania święceń kapłańskich w czasie profesji czasowej mogłaby przynieść wielkie szkody Zgromadzeniu, gdyż mogłoby się znaleźć tacy, co by do niego wstępowali, jedynie z myślą otrzymania święceń, by sobie potem pójść. Oczywiście takie indywiduala, bez powołania, wniosłyby w życie wspólne tylko rozstrój i zamieszanie.

Ad secundum – co dotyczy dopuszczania do ślubów wieczystych przed ukończeniem trzechletnich – Ksiądz Bosko tak się wypowiedział:

Są niekiedy powody, by dopuścić do ślubów wieczystych, nawet zaraz po ukończeniu nowicjatu. Śluby trzyletnie przed wieczystymi są obopólnym przywilejem: są przywilejem na korzyść członka, któremu pozostawia się czas do lepszego zbadania swego powołania i życia w Zgromadzeniu; są również przywilejem na korzyść Towarzystwa, które może w ten sposób lepiej poznać swych młodych adeptów, zanim ich ostatecznie przyjmie do swego grona. Otóż skoro to są przywileje dla obu stron, to one mogą, za obopólną zgodą, z nich zrezygnować. Może, więc być dopuszczony do ślubów wieczystych ten, kto nie skończył jeszcze czasowych, względnie w ogóle ich nie złożył. Właściwie Ksiądz Bosko mógłby powołać się bez niczego na władze, jakich mu udzielił Pius IX, *vivae vocis oraculo*. Rozumiał ten wielki Papież różne trudności początkującego Zgromadzenia i dlatego był wobec niego bardzo wyrozumiały. Tak samo i Leon XIII, nie odwołał udzielonych przywilejów przez poprzednika, dopóki nie zostały przyznane ogólne przywileje Zgromadzeniu.

Na samym końcu Ksiądz Bosko polecił dyrektorom pozdrowić od niego wszystkich współbraci rozproszonych po domach; zakomunikować im serdeczne przyjęcie, jakie go spotkało od Papieża; względy, jakimi cieszył się w Rzymie, błogosławieństwo papieskie dla każdego z nich poszczególne. Dalej zalecił, ażeby im przedstawili rozwój Zgromadzenia, gdyż jak zauważył, po zakładach odległych od Turynu, bardzo są współbracia ciekawi, jaki jest ogólny bieg spraw Zgromadzenia.

Zakończył tymi słowy: Pozdrówcie osobiście ode mnie każdego z księży i innych współbraci, powiedzcie, że ich bardzo wszystkich cenię; wierzcie mi, że to

robi dobrze; także i księża cieszą się słysząc, że są poważani i wspominani przez Przełożonych.

Także i wy starajcie się okazywać im swoje uznanie, jakie dla nich macie, a to przyczyni się do tym większej łączności braterskiej między nami tak, że będziemy tworzyć doprawdy wszyscy razem jedno serce i jedną duszę.

ROZDZIAŁ IX

PRZYWILEJE I DIMISORIE

W tym rozdziale zajmiemy się pierwszą fazą pertraktacji Księdza Bosko w Kongregacjach rzymskich o uzyskanie pełni przywilejów. Pierwszy raz wspomniał on o przywilejach dyrektorom na konferencjach styczniowych. Wyraźniej mówił o tym w kwietniu, jak to czytaliśmy w poprzednim rozdziale.

Sprawa przywilejów jest sprawą żywotną dla wszystkich zakonów. To też już od czasów św. Benedykta zakony o nie zabiegały i stosownie do czasów i potrzeb, były one im przyznawane. Z biegiem czasu liczba tych przywilejów wzrosła do tego stopnia, że późniejsze dekry Kurii rzymskiej były bezradne wobec uprzednio udzielonych różnych przywilejów zakonem. Z końcem XV wieku zaczęły powstawać zgromadzenia zakonne, których celem było nie tylko chwalić Boga za klauzurą i dążyć do własnego udoskonalenia, ale raczej wejść w społeczeństwo i wziąć żywy udział w szerzeniu Królestwa Bożego wśród wiernych. I tak powstały teatyni, jezuiti, somaskowie i tyle innych rodzin zakonnych o ślubach prostych, różniących się znacznie od pierwszych zakonów mniszych, w których składało się śluby uroczyste. Przywileje przyznawane były zakonom przez Stolicę świętą albo wprost prosiącemu o nie zakonowi, albo też ad instar, to znaczy przydzielano mu takie same przywileje, jakie miał inny zakon czy zgromadzenie. Pius IX zniósł zwyczaj przyznawania przywilejów jednego zakonu innemu dopiero powstającemu, stąd każdy założyciel od tej chwili powinien starać się o przywileje, jakie okazały się potrzebne dla jego zgromadzenia. Po takie właśnie przywileje pojechał Ksiądz Bosko w lutym 1875 roku do Rzymu. Ponieważ zabiegi o uzyskanie poszczególnych przywilejów zwykle przeciągały się długo, pragnął on jeszcze uzyskać je przez komunikację przywilejów, wraz z upoważnieniem do wystawiania dimisoi ad quemcumque episcopum. Długo na ten temat rozmawiał z Sekretarzem św. Kongregacji Biskupów i Zakonników, monsignorem Vittelleschim. Nikt lepiej od niego nie mógł mu dać potrzebnych informacji. Gdy arcybiskup zapytał, o jakie przywileje chodzi, usłyszał taką odpowiedź:

Potrzeba mi ich bardzo wiele, już to dla dalszego rozwoju wewnętrznego Zgromadzenia, już to dla utrzymania dobrych stosunków z lokalnymi władzami kościelnymi. To mówiąc, Ksiądz Bosko przedstawił mu ich spis, obejmujący 80 punktów.

Ale przy tym chciał się zorientować, czy jest jakieś prawdopodobieństwo, by mógł otrzymać per assimilationem przywileje, z jakich korzystały inne zakony. Na to arcybiskup mu odpowiedział:

Ojciec święty ma wszelką władzę; może bardzo dobrze zrobić wyjątek odnośnie do prawa, które sam ustanowił. Niech Ksiądz z nim o tym pomówi.

Ekscelencjo – powiedział Ksiądz Bosko, pokazując arcybiskupowi gruby tom. To ja przedłożę Ojcu świętemu tę książkę. Zawiera ona przywileje redemptorystów i poproszę go, ażeby mi je przyznał per assimilationem.

Na miłość Boską – zawołał Monsignore - niech Ksiądz tego nie pokazuje Papieżowi. Przecież on by się przeraził na widok tyłu tych przywilejów i nie tylko by ich Księdzu nie przyznał, ale gotów je cofnąć i innym.

Ksiądz Bosko zrozumiał, że sprawa ta będzie wymagała wiele taktu. Kiedy więc znalazł się na posłuchaniu u Ojca świętego, skierował rozmowę na ten temat, wykazując, jak bardzo potrzebowaliby podobnych przywilejów, jakie przyznano już innym zakonom.

No to niech Ksiądz wniesie prośbę – odrzekł Ojciec święty.

Dobrze, dobrze, proszę Waszej Świątobliwości, ale tu jest pewna trudność. Od trzydziestu lat nie wolno już przyznawać przywilejów globalnie.

No to niech Ksiądz postąpi tak, jak postąpiły inne zgromadzenia przez nas zatwierdzone.

Kiedy cała trudność właśnie polega na tym, że biedny Ksiądz Bosko jest właśnie pierwszy, który znajduje się w takim kłopotcie. Ostatni raz przyznano przywileje globalnie Instytutowi Miłosierdzia w 1838 r.

A zatem?

Wasza Świątobliwość ma wszelką władzę. Nie wiem, czy wolno by mi było prosić o zrobienie dla mnie wyjątku?

Owszem, zrobię to. Niech Ksiądz wniesie prośbę do Kongregacji Kardynałów. Oni rozpatrzą wszystko, przedyskutują, a gdy to przyjdzie do mnie, to zobaczymy, co się da zrobić. Ze swej strony jestem gotów zrobić jeszcze ten wyjątek.

Ksiądz Bosko podziękował Papieżowi za tak wyraźny objaw życzliwości. Zdawał sobie jednak sprawę, ile to będzie kosztowało go trudów. Wypadało mu, bowiem w kilku dniach zrobić pracę, która normalnie wymagałaby całych miesięcy. Nie miał nawet pod ręką słownika łacińskiego, by upewnić się, co do niektórych słówek. Mimo to zabrał się energicznie do pracy. Przystudiował całą historię przywilejów, powyciągał różne cytaty z bull papieskich, imiona papieży, wypowiedzi kanonistów, ponotował przy poszczególnych przywilejach, kiedy, od kogo i dla kogo zostały przyznane, przewertował przy tym odpowiednie rozdziały prawa kanonicznego, słowem, jak się później sam wyraził, pracował „alla disperata” – „z całą rozpaczliwą determinacją.” – Rezultatem tych gorączkowych poszukiwań były dwie prośby po łacinie do Papieża i jedno pro memoria – także ujęte w formę prośby – do kardynałów.

Jedna prośba dotyczyła dimisoryj *ad quemcumque episcopum*, druga komunikacji przywilejów przyznanych innym zgromadzeniom zakonnym. Do pierwszej prośby dołączył monsignore Vitelleschi polecenie ze swej strony. Prośba ta została wysłana osobno, gdyż indult, dotyczący dimisorii, nigdy nie bywa przyznany, jako część przywilejów, ale zawsze osobno, zwłaszcza, gdy chodzi o zgromadzenia o ślubach prostych.

Dwie prośby, wysłane do Ojca świętego, spowodowały bezpośrednio ustanowienie specjalnej Komisji Kardynałów *pro voto*, o czym Ksiądz Bosko został zawiadomiony biletem podpisanym przez Sekretarza św. Kongregacji Biskupów i Zakonników, który brzmiał: *Ex audientia SS. die 26 Februarii 1875 SS. mus porrectas preces examini demittere dignus est Em. mi Batrisi, de Luca, Bizzari, Martinelli, pro voto emittendo. Segr. Archiepiscopus Seleuciensis. (str. 115)* Byli to ci sami kardynałowie, którzy zostali wyznaczeni rok przedtem do przestudiowania Reguł. Do nich to Ksiądz Bosko skierował wspomniane *pro memoria*.

Owo *pro memoria* można podzielić na dwie części. W pierwszej jest mowa o przywilejach, w drugiej – o dimisorjach. Opuszczając wywody kanoniczne, ograniczymy się tylko do tego, co dotyczy samego ks. Bosko.

We wstępie podnosi w gorących słowach dobroć Stolicy świętej, która przyznaje zgromadzeniom tak znakomite łaski, nazywając je tyłuż wstążkami, które wiążą zakony ze Stolicą Apostolską.

Następnie przechodzi do właściwej prośby i podania jej motywów. I tak pisze: „Uprasza się o przyznanie przywilejów raczej albo tych redemptorystów albo misjonarzy, których konstytucje i zakres pracy bardzo zbliżone są do salezjańskich. Z załączonych tu *breve* papieskich jasno widzi się, jakie racje skłoniły Papieży do przyznania redemptorystom przywilejów. Motywy zaś specjalne, dla których o te same przywileje prosi się i dla Zgromadzenia Salezjańskiego, byłyby następujące:

1. Z uwagi na to, że nie rozporządza ono żadnymi środkami materialnymi, potrzebuje tym bardziej życzliwego poparcia i pomocy duchowej, aby mogło osiągnąć swój cel.
2. Zgromadzenie to rozpoczęło swą działalność i rozwijało się w czasach tak burzliwych, jakie są obecnie, kiedy to chce się zniszczyć wszelkie instytucje kościelne; a przecież mogło rozwinąć się, otworzyć swoje domy w różnych diecezjach, a nawet na misjach zagranicznych. Wobec tak ciężkich czasów, wobec odmiennych warunków różnych krajów, wobec wielkich odległości, jakie dzielą jednych od drugich, potrzebują oni dla utrzymania jedności w zarządzie – przywilejów, już wypraktykowanych przez inne zgromadzenia.
3. Przy dzisiejszych nastrojach władze cywilne patrzą krzywym okiem na zbyt częste zwracanie się do Stolicy świętej. Wszak były wypadki, iż kiedy rząd dowiedział się o udzielonych przywilejach przez Stolicę świętą, zażądał, by takie reskrypty, były przedłożone do królewskiego *exequatur*. Trzeba było ustąpić, a tymczasem ani *exequatur* nie nadchodziło, ani nawet oryginałów nie zwrócono.

/Miał, więc Ksiądz Bosko słuszność napisać w drugiej prośbie do Ojca świętego,

iz roztropność wymaga dzisiaj: *multa facere sed non patefacere* – dużo robić, a mało się ujawniać/.

4. Przedkładający tę pokorną prośbę, pragnie tej łaski, ażeby mógł resztę swego życia, jakiego mu Bóg jeszcze użyty, poświęcić na uregulowanie spraw Zgromadzenia i wprawić jego członków do posługiwania się przyznanymi przywilejami z należną roztropnością i tylko wtedy, kiedy tego będzie wymagać wyraźnie większa chwała Boża i dobro dusz”.

Przeciw komunikacji przywilejów niektórzy kanoniści wysuwali głównie trzy trudności, a mianowicie:

1. Może to wywołać spory;
2. Zakłócać spokój i harmonię z ordynariuszami;
3. Mogą w ten sposób niektóre instytuty otrzymać przywileje wcale dla nich nieodpowiednie.

Na te zarzuty tak odpowiada Ksiądz Bosko:

„Ad primum: Gdyby te przywileje były nowe, mógłby stać się przyczyną sporów. Ale przywileje, które przechodzą z jednego zakonu na drugi już coś od trzystu lat; które były stale studiowane, interpretowane i wypraktykowane jednolicie i według ducha Stolicy świętej, zdaje się, że mogą być tylko zawiązką jedności, a nie przyczyną jałowych sporów.

Ad secundum: Zdaje się, że również nie ma podstawy przypuszczać, iżby one miały zakłócić zgodne współzycie z ordynariuszami. Wszak w praktyce tak biskupi, jak i proboszczowie znają już przywileje różnych zakonów zatwierdzonych przez Kościół i u nas raczej powodowałoby to zdziwienie, gdyby się widziało, że jeden instytut ma większe, czy mniejsze przywileje niż drugi.

Owszem i na to warto zwrócić uwagę, że przywileje są wyrazem uznania ze strony Stolicy świętej dla danego Zgromadzenia i stąd dopóki dany instytut ich nie otrzymał, można sądzić, iż nie jest on tak ceniony przez Stolicę świętą jak inne.

Jeden uczony i czcigodny ordynariusz, jeszcze dotąd nie może się przekonać, że nasze Zgromadzenie jest ostatecznie zatwierdzone, gdyż nie ma na to dowodów, żeby ono miało te same przywileje, co mają bonifratrzy, czy misjonarze, czy oblaci.

Ad tertium: Nie można też twierdzić, że przez komunikację przywilejów nowe instytuty otrzymują takie, które są dla nich niewskazane. Przecież przy każdym dekrete przyznania łask duchowych, jest klauzula: „*Duramoda institutis eorum convenient ac regulari observantiae non sint contraris*”. Zresztą jeśliby zaszły jakieś niewłaściwości w posługiwaniu się przywilejami, Stolica święta w każdej chwili jest władna je odwołać”.

Motywacja dotycząca dimisorii była bardziej zwięzła. Ograniczała się do podania faktów jak to, że domy Zgromadzenia rozsiane są po różnych diecezjach, że jego zakłady wychowawcze otwarte zostały już w Argentynie, w najbliższym czasie inne uruchomi się w Australii i Chinach, co nieraz wywołuje potrzebę udzielania święceń extra tempora i przez różnych biskupów. Do tego dołącza się paląca konieczność usunięcia takiej anomalii, jaką jest to, iż ordynariusz jednej diecezji, w której znajduje się kilka kolegiów i sierocińców prowadzonych przez salezjanów, odmawia udzielania święceń klerykom salezjańskim.

Prośba ta kończyła się zaś tymi słowy: „Wywody powyższe mają tylko posłużyć, jako pewne poparcie dla prośby o przyznanie nam przywilejów per assimilationem. Ale ja nie na nich opieram swą petycję, lecz wyłącznie i całkowicie zdaję się na decyzję Eminencji, prosząc, aby postąpili wedle tego, co w swej roztropności uznają za bardziej godne większej chwały Bożej i korzystne, dla co dopiero powstającego Zgromadzenia. Za łaskawe względy wszyscy salezjanie z wdzięcznością modlić się będą o obfitość łask niebieskich dla ich Eminencji.

Przed odjazdem z Rzymu Ksiądz Bosko złożył poszczególnym kardynałom należącym do komisji wizytę pożegnalną. Ci zapewniali go, iż mając na uwadze wolę Ojca świętego, nie przewidują, żeby sprawa ta miała wywołać jakieś sprzeciwy.

Dopilnowanie wszystkiego zlecił swemu powiernikowi księdzu Menghiniemu, pracującemu w Kongregacji Biskupów i Zakonników, jako „minutant”, a także przeznacnemu monsignorowi Fratejacciemu, który miał wielkie wpływy u niektórych kardynałów tą sprawą zainteresowanych.

Ale już w kilka dni po powrocie do Turynu, otrzymał Ksiądz Bosko od wspomnianej Komisji kardynalskiej pismo z dwoma pytaniami:

- primo: czy Zgromadzenie Salezjańskie, od chwili definitywnego zatwierdzenia, uczyniło jakieś widoczne postępy?;
- secundo: jakie trudności napotykało się przy uzyskaniu poszczególnych przywilejów?

Na te pytania Ksiądz Bosko wysłał dwa odrębne wyjaśnienia.

Wyjaśnienie I. W tym roku starano się skrupulatnie zachowywać Reguły z uwzględnieniem zmian wprowadzonych dekretem zatwierdzenia. Życie nowicjackie zostało jak najściślej dostosowane do przepisów, czy choćby tylko ustnych wskazówek Komisji. Liczba zakonników znacznie wzrosła. Samych nowicjuszków jest przeszło stu i rokują najlepsze nadzieje. Istniejące już zakłady poszerzyły swą działalność i trzeba było powiększyć ich personel. A oto wykaz nowych dzieł podjętych przez Salezjanów:

- Kierownictwo szkół publicznych w Mornese; – Kierownictwo szkół publicznych w Borgo S. Martino; – Nowy dom Córek Maryi Wspomożycielki w tejże miejscowości; – Zakład wychowawczy z kościołem publicznym w Buenos Aires; – Kolegium z kościołem publicznym misyjnym w S. Nicolás. Placówka ta sąsiaduje z tamtejszymi plemionami dzikimi, których ewangelizacja wkrótce się rozpocznie;
- 20 Salezjanów przygotowuje się bezpośrednio do pracy misyjnej, ucząc się

potrzebnych języków; – Zbudowany został kościół pod wezwaniem Jana Ewangelisty a przy nim sierociniec z lokalami dla szkół publicznych i oratorium. Stało to wszystko w pobliżu „kirchy protestanckiej”, w dzielnicy liczącej obecnie trzydzieści tysięcy mieszkańców, a niemającej dotąd kościoła.

Na wszystkich placówkach praca wre intensywnie, we wszystkich zwiększa się liczba wychowanków, z których wielu utrzymywanych jest gratisowo, wszędzie rozbudowuje się pomieszczenia, aby zadośćuczynić napływającym licznie prośbom o przyjęcie.

Z proboszczami i biskupami żyjemy w najlepszej harmonii tak, że wszystkich nazwać możemy naszymi protektorami i dobrodziejami. Wyjątek stanowi tylko jeden ordynariusz, ale i z tym mamy nadzieję, że wszystko się dobrze ułoży, skoro tylko poda nam jasno motywy swej do nas niechęci.

Spotkaliśmy się z zarzutem, jakoby dużo salezjanów występowało ze Zgromadzenia, a ci potem szerzą niezdrowy ferment w różnych diecezjach. Co do tego mogę stanowczo oświadczyć, iż bardzo nikła liczba wychodzi ze Zgromadzenia w czasie okresu próby; ani jeden zaś dotąd nie wystąpił po złożeniu ślubów wieczystych. Jeśli były jakieś po seminariach nieprzyjemności z osobnikami, którzy się na nas powoływali, to mogli to być nasi byli wychowankowie, może nawet przez nas usunięci za swe nieodpowiednie zachowanie się. Ale za tych po ich odejściu z naszych zakładów nie możemy brać więcej odpowiedzialności.

Inne rzeczy przedstawione były już zeszłego roku, jako aneks do prośby o zatwierdzenie Reguł.

Wyjaśnienie II. W zeszłym roku, kiedy Jego Świątobliwość raczył definitywnie zatwierdzić nasze Reguły, poradzono mi, abym się nie starał o uzyskanie komunikacji przywilejów, ale z osobna prosił o każdy, wedle tego, jaka okaże się potrzeba, by Zgromadzenie mogło zachować swą autonomię i pracować w swym duchu na większą chwałę Bożą. W praktyce jednak przy tych zabiegach napotkałem wiele trudności.

1. Z góry nie można przewidzieć wszystkich sytuacji, dla których rozwiązania potrzebny byłby dany przywilej. Wobec tego starania o takowy może przełożony zacząć dopiero, gdy się dowie o powstałych trudnościach, które tak przewlekają się i wywołują ogólne niezadowolenie. Podobny sposób załatwiania spraw mógłby być tolerowany w nadzwyczajnych rzadkich wypadkach gdzie indziej, ale nie w Zgromadzeniu, liczącym 10 placówek i to w różnych diecezjach.
2. Często nie wiadomo, do której Kongregacji wypada się odnieść po dany przywilej, a więc znów przewlekanie sprawy. Zeszłego roku przedłożyłem kilka takich prośb: upłynął rok cały na bezskutecznej korespondencji, aż wreszcie musiałem osobiście pojechać do Rzymu, by przy pomocy osoby obeznanej w tych sprawach trafić z moimi pismami, dokąd należało.
3. Wnoszone prośby z trudnością zostają uwzględnione: swego czasu zwróciłem się do Świętej Penitencjarii o przywilej, jakim cieszą się wszystkie zakony,

a uznano za stosowne mi go odmówić. W innych Kongregacjach coś mi przyznano, ale i dużo odmówiono jak władzy udzielania błogosławieństwa papieskiego in articulo mortis własnym Współbraciom, pozwolenia na trzymanie ksiąg zakonnych. W innych wypadkach załatwiono sprawę, ale nie w tym sensie, w jakim była wniesiona. I tak wniesiona była prośba o pozwolenie na odprawienie Mszy świętej godzinę przed brzaskiem dnia i godzinę po południu: zgodzono się na to, ale tylko na czas misji, podczas gdy prawie codziennie zachodzi tego potrzeba.

4. Z tym związane są także poważne koszty na pocztę, taksy i różne inne dodatki.

Raz jedno breve papieskie pociągnął za sobą wydatek 1000 lirów. Wprowadził kardynał Prefekt odnośnej Kongregacji w swej łaskawości zredukował tę sumę do 120 lirów, ale i to stanowi poważną sumę dla tak ubogiego Zgromadzenia jak nasze, które musi utrzymywać oparte tylko na Opatrzności Boskiej siedem tysięcy sierot, czterystu współbraci i zaopatrywać kościoły swoje we wszystkie przybory liturgiczne.

Wobec czego ponawiam swoją pokorną prośbę o łaskawe przyznanie nam przywilejów per communicationem, jakimi cieszą się inne zakony dla domów naszych już istniejących, jaki i dla tych, które otworzy się w przyszłości.

Turyń, 12.04.1875 r.

Ksiądz Jan Bosko

Jak z tego widać sprawa przywilejów zaczęła się przewlekać ponad spodziewanie Księdza Bosko. Komisja kardynałów nie mogła się zebrać, bo raz brakowało jednego, to znów drugiego; Bizzarri był poza Rzymem prawie cały maj i czerwiec; De Luca prawie cały lipiec; kiedy indziej posiedzenia drugich Kongregacji zajmowały członków Komisji; wreszcie nastąpiły wielkie gorąca letnie, a wtedy jak pisał Menghini „nie warto zwoływać Eminencji na posiedzenia nadzwyczajne, bo wtedy wychodzą na nich dziwolągi”. I tak upływał tydzień za tygodniem i wrzesień dobiegał końca.

A tymczasem Księdzu Bosko wypadało koniecznie wyświęcić 11 kleryków, co w Turynie wyglądało całkiem beznadziejnie. Dlatego 16 lipca zwrócił się do Ojca świętego z prośbą, aby ten „w swej niewyczerpanej dobroci i łaskawości” zezwolił na wyświęcenie ich a quocumque catholico Episcopo extra tempus. Dla czterech z nich potrzebna jeszcze była dyspensa od lat. Prośbę tę motywował tym, że na jesień wypada mu wysłać do Argentyny znaczną liczbę profesów, z których większość wypada, aby była już księżmi, a dalej, że odczuwa się wielką potrzebę kapłanów do obsługi kościołów publicznych jak i kaplic, wreszcie, że pole pracy salezjańskiej tak się gwałtownie rozszerza, iż niezbędne jest zwiększenie liczby pracowników ewangelicznych.

Ojciec św. odesłał prośbę do Kongregacji Biskupów i Zakonników, której sekretarz już drugiego sierpnia zawiadamiał Księdza Bosko, że Ojciec św. „in parte” uwzględnił wniesione podanie. Po odnośny reskrypt ma się zwrócić do ekspedienta p.

Sigismondiego. Zaraz też serdecznym listem dziękował Ekscelencji pisząc: Otrzymałem list Waszej Ekscelencji i dziękuję całym sercem za łaskawość, z jaką mnie traktuje; zachowam to na zawsze we wdzięcznej pamięci. Postaram się wiernie dostosować do warunków wyrażonych w reskrypcie, tylko o jedno proszę, a mianowicie by mnie nie uzależniać od naszego Arcybiskupa.

Ale tu czekała Księdza Bosko przykra niespodzianka. Jego prośba została uwzględniona w bardzo nikłej mierze. Pozwolono mu tylko dla pięciu wystawić dimisorie do biskupa ich pochodzenia. Nie było też żadnej wzmianki o święceniu ich extra tempora. Nie udzielono dyspensy od wieku.

Święty znalazł się w poważnym kłopotcie. By ratować sytuację odesłał reskrypt monsignorowi Vitelleschi w nadziei, że go zmieni. Ale nadaremnie. Sekretarz Kongregacji odpisał, iż nawet ten tak skromny indult zdołał tylko z wielką biedą uzyskać; zwraca go, więc bez zmian. Ma wrażenie, że Ksiądz Bosko całej jego doniosłości nie docenia i tak kończy: Ojciec święty zamiast tego indultu chciał, abym napisał do arcybiskupa turyńskiego, by ten przyjął dimisorie przez Księdza wystawione. Odważyłem się mu zwrócić uwagę, iż to byłoby strzelaniem kulą w płot. Wtedy Jego Świątobliwość zgodził się na pięciu wedle wyboru Księdza. Nie uwzględniono święceń extra tempora, bo w tym względzie nie było osobnej prośby, a skoro tylko pięciu otrzymało indult, to niepotrzebna dyspensa od wieku, bo należy wybrać takich, którzy jej nie potrzebują. Proszę, więc reskrypt zatrzymać, który zwracam, bo inaczej to nawet z tego nie będzie Ksiądz mógł korzystać. Gdyby Ksiądz wybrał koniecznie tych, co potrzebują dyspensy od wieku, to proszę mi dać znać, a może się, coś da zrobić. Co do innych to proszę wystawić dimisorie do arcybiskupa Turynu.

Właśnie w owych dniach otrzymał Ojciec św. reklamacje od ordynariuszów Turynu i Ivrei przeciw Dziełu Synów Maryi. Wobec tego, jak zobaczymy dalej Rzym nie chciał zaostrzać walki i kompromitować powagi biskupiej.

Cóż, więc miał robić Ksiądz Bosko? A no czekać cierpliwie, zadawałając się tym, co otrzymał. Tak też postąpił. Wysłał do Rzymu dwie prośby, prosząc dla trzech o dyspensę od wieku kanonicznego, a dla pięciu o indult apostolski extra tempora. Na obdwie te łaski Sua Sanctitas benigne annuit, pod datą 27 sierpnia.

W tymże miesiącu odbyło się posiedzenie Komisji kardynalskiej, na którym zostało odczytane owo pro memoria Księdza Bosko w sprawie przywilejów. Krótka historia przyznawania przywilejów per communicationem była w nim tak przejrzyste ujęta, że to wzbudziło ogólny podziw. Czytał pismo monsignor Bianchi wcale dla salezjanów nieprzychylny, ale jako człowiek był prostolinijny i bezstronny. Kardynałowie, przekonani, że to jest praca adwokata Menghiniego, przerywali lekturę od czasu do czasu wypowiedziami się pełnymi uznania dla referatu. Ale monsignor Bianchi czytał dalej bez zatrzymywania się. Gdy zaś skończył, słysząc te ogólne pochwały, zapytał: Jak widać, to Eminencje uznają tę pracę za bardzo do rzeczy?

Wspaniała – odpowiedzieli chórem.

A któż ich zdaniem miałby być jej autorem?

Oczywiście, adwokat Menghini. Tu się zaraz czuje jego pazur.

A jednak. Tę pracę napisał sam Ksiądz Bosko.

Zamilkli zdetonowani, dziwiąc się takiej znajomości prawa kanonicznego. Pewni byli, że referat napisał Menghini, dając Bianchiemu do przepisania. Ale wobec zapewnień tego ostatniego, musieli fakt przyjąć do wiadomości, choć z pewnym żalem, że tak się tą pracą rozentuzjzmowali, a tym samym już jakby przesądziли całą tę sprawę.

Dyskusje nad nią odłożono na później i niestety ciągle ją odwlekano. Relatorem miał być monsignor Vitelleschi, który zaraz zlecił Menghiniemu, by mu opracował odnośną do tego konsultację. W takiej konsultacji urzędnicy Kongregacji opracowują uwagi do danej sprawy według wskazań zainteresowanego relatora, dają je do druku, by następnie doręczyć je tym, co mają sprawę opiniować. Zaczyna Menghini sprawę nie zbył; całym sercem oddany Księdzu Bosko, przestudiował ją dokładnie, zebrał obfity materiał na poparcie i tak opracował, że się bardzo podobała samemu Księdzu Bosko. Pobieżne choćby przyjrzenie się tej pracy, dopomoże nam do lepszego zorientowania się w całej tej sprawie przywilejów.

Konsultacja rozpoczyna się takim charakterystycznym stwierdzeniem: „Ma w sobie coś cudownego ten fakt, że Stolica święta tyłu napaściami niepokoiona, podczas gdy oplakuje zniweczenie tyłu czcigodnych dawnych zakonów, to równocześnie z niezłomną wiarą popiera powstające nowe pobożne Zgromadzenia, które jakby hufce posiłkowe wypełniają luki i docierają tam, dokąd pierwsze już nie mogą sięgnąć swą działalnością. „Następuje krótki rys historyczny Pobożnego Zgromadzenia Salezjańskiego ze zręcznym podkreśleniem trudności, jakie ono napotyka ze strony ordynariusza turyńskiego odnośnie do przywileju egzempcji i święcenia własnych kleryków. Otworzywszy sobie tą wzmianką drogę do właściwego tematu, Relator tak ciągnie dalej: „Założyciel tego Zgromadzenia wobec takich kolizji, jak również dla zrównania się z innymi zakonami, od których na pewno nie stoi niżej dokonując tyłu zadziwiających dzieł dla dobra Kościoła jak i społeczeństwa przesłał na początku tego roku do Ojca świętego dwie prośby”. Tu podaje ich treść. Chodziło jak wiemy o dimisorie i o komunikację przywilejów.

Obie te kwestie rozwinięte są bardzo dogłębnie i jasno. Co do dimisorii po przedstawieniu wszystkich teorii w tym względzie stawia sobie pytanie, czy wypada uwzględnić tę partykularną prośbę, jaką wnosi Ksiądz Jan Bosko Założyciel tej tak zasłużonej Instytucji. Przeciw uwzględnieniu jej zdają się przemawiać trzy motywy:

1. To należy do łask, jakie przyznaje się bardzo rzadko;
2. Nie mają tego przywileju inne zakony również zasłużone dla Kościoła i dawno już istniejące, więc może się obejść bez tego i Zgromadzenie, co dopiero powstałe tym bardziej, że już posiada przywilej ten ad decennium wprawdzie, ale ad Episcopum Dioecesanum;
3. Zresztą praxis Curiae w tym względzie jest rygorystyczna.

Ale na to się odpowiada: Przyznanie tak rzadkich przywilejów zdaje się jest usprawiedliwione nadzwyczajnym rozwojem i cudownym wprost wzrostem w tak ciężkich czasach Towarzystwa Salezjańskiego, które zyskuje sobie z dnia na dzień coraz większe ogólne uznanie za swą pracę na polu tak religijnym jak i humanitarnym. Właśnie wynagrodzenie tak wybitnych zasług będzie wyrazem łaskowości Ojca świętego, który do tego ma pełne prawo na mocy swych najwyższych, królewskich praw. Tak zresztą praktykowało się to już tyle razy w wiekach minionych. Tu redagujący konsultację bardzo zwięźdnie zacytował Tomassiniego, który „użycza nie wyjątkowych przywilejów wyjątku spod zbyt rygorystycznych wymagań, które to rygoryzmy były czasem tylko wynikiem kaprysów i gorszych jeszcze rzeczy”.

Dlatego nie można zbagatelizować wywodów księdza Bosko przytoczonych przeciwko zbytniemu rygoryzmowi arcybiskupa turyńskiego w udzielaniu święceń salezjanom.”

W drugiej części konsultacji, w której omawia komunikacje przywilejów, przy czym zaznacza, że ta może być podwójna, albo absolutna, plena et perpetua, albo imperfecta et relativa, Relator zauważa, iż właśnie dla uniknięcia możliwych tendencyjnych interpretacji ze strony biskupa diecezjalnego odnośnie do poszczególnych przywilejów Ksiądz Bosko nalega usilnie o udział w ogóle w przywilejach przyznanych innym Zgromadzeniom, a mianowicie Redemptorystom. Zresztą takie fakty komunikacji niedawno miały miejsce i na tym oparty Ksiądz Bosko wnosi prośbę o podobną łaskę.

Ale po argumentach „za” trzeba było poruszyć i te „przeciw”. Redukowały się one do trzech:

1. Komunikacji przywilejów już od dłuższego czasu nie przyznawało się nikomu, a zatem trzeba i nadal trzymać się tej praktyki;
2. W przepisach Regulaminu, jakim kieruje się Kancelaria Apostolska, a zatwierdzonymi przez Piusa VI jest zaznaczone, że podobnych przywilejów należy udzielać *specifice et nominatim* zwłaszcza Zgromadzeniom, które tyle tylko mogą mieć ile im się doraźnie przyzna. Większą egzempcją spod jurysdykcji biskupiej cieszyć się mogą tylko właściwe Zakony, choć i te na podstawie Konstytucji papieskiej „*Inscrutabili*” są jej siedmiu artykułami władzy ordynariuszów miejscowych poddane;
3. Bardzo wiele już przywilejów zostało przyznanych tak Zakonom jak i Zgromadzeniom: czyżby one wszystkie miały być konieczne potrzebne Towarzystwu *sui generis*, jakim jest Zgromadzenie Księdza Bosko? Mimo jego wielkich zasług, to przecież wydaje się rzeczą roztropniejszą, by ono i nadal pozostawało pod normalną władzą biskupa.

Zbijając te obiekcje, Relator stawia sobie zaraz pytanie, czy to one właściwie były powodem, iż Ojciec święty uznał za stosowne przesłać petycje Księdza Bosko Komisji kardynalskiej. I odpowiada, że raczej nie, bo przecież Papież, jako rozdawca wszelkich łask i przywilejów, może postąpić według swego osobistego uznania. A więc na pewno chodzi tylko o to, by Eminencje zbadali, czy obecne warunki, jako

czas, miejsce, osoby przemawiają „za czy przeciw” przyznaniu łaski, o jaką proszą członkowie Zgromadzenia, które choć dopiero świeżo założone, dokonało więcej dla chwały Bożej, niż inne już od wielu lat istniejące.

W tym miejscu konsultacja wykorzystuje bardzo zręcznie „wyjaśnienia” przysłane w kwietniu do Kongregacji, dotyczące rozwoju Zgromadzenia i dodaje jeszcze nowe szczegóły, a mianowicie:

1. Wielu salezjanów odznaczyło się wartościowymi pracami literackimi historycznymi, pisząc równocześnie podręczniki szkolne, których używa się i w szkołach publicznych. Około dwudziestu z nich zmarło w opinii świętości i wydane są ich życiorysy.
2. Wydrukowano u nich i względnie powielono cały szereg utworów muzycznych religijnych, jak też wydano podręczniki do nauki gry na organie czy do śpiewu gregoriańskiego.
3. Towarzystwo to posiada własną księgarnię i drukarnię, w której przy czterech maszynach na parę pracuje 130 ludzi. Stąd to rozchodzą się już od 23 lat *Letture Cattoliche*, błogosławione przez Ojca świętego, który je zalecił specjalnym pismem do kardynała Wikariusza. Tu także drukuje się książkę do nabożeństwa „*Il Giovane Proveduto*”, której w kilku latach rozeszło się już przeszło milion egzemplarzy.
4. Placówki tego Zgromadzenia stale się rozbudowują, jako to w Alassio, w Sampierdarena; Siostry od niego zależne Córki Maryi Wspomożycielki otworzą w najbliższym czasie trzy domy w Alassio, Lanzo i na Valdocco, gdzie za wygórowaną cenę wykupiono dom publiczny, aby tylko przeszkodzić obrazie Boskiej, a opuszczonym dziewczętom tej dzielnicy zapewnić opiekę. Wreszcie ostatnio zorganizowane zostało Dzieło Synów Maryi Wspomożycielki dla pielęgnowania powołań do stanu duchownego wśród młodzieńców od 16 do 30 lat. Liczba ich dosięga już setki.

Trafne te wywody relator tak kończy: Uzupełniając powyższe dane wykazami przedłożonymi niedawno w związku z zatwierdzeniem Reguł Zgromadzenia, Eminencje znajdą dosyć materiału, by przy swej roztropności i dojrzałości sądu należycie odpowiedzieć na następujące „DUBIA”:

- I. CZY I W JAKIM ZAKRESIE PRYZNAĆ PRAWO WYSTAWIANIA DIMISORII AD QUECUMQUE EPISCOPUM I EXTRA TEMPORA PRZEŁOŻONYM TOWARZYSTWA SALEZJAŃSKIEGO?
- II. CZY, JAK I JAKIE PRZYWILEJE WYPADA PRYZNAĆ PRZEZ KOMUNIKACJE NA KORZYŚĆ TEGOŻ TOWARZYSTWA?

Wobec bliskiego wyjazdu Misjonarzy do Argentyny Księdzu Bosko bardzo zależało, aby sprawa przywilejów została załatwiona do wakacji jesiennych. Niestety nie szło to jednak tak łatwo. Ale i tak nie było bez korzyści. Adwokat Menghini i monsignore Fratejacci mieli czas opracować lepiej konsultacje, a Ksiądz Bosko przez

pośrednictwo tych swoich dwu przyjaciół mógł lepiej zorientować się w całej atmosferze, jaka tę sprawę otaczała.

Otóż Kardynał Matrizzi życzliwy Księdzu Bosko cieszył się, że może tej specjalnej Komisji kardynalskiej przewodniczyć; ale równocześnie oświadczył, iż zdaje się na ostateczny wynik głosowania.

Kard. Da Luca, człowiek rezolutny, nie miał w tej sprawie żadnych skrupułów, jak może inni: to też na niego najwięcej liczył Ksiądz Bosko.

Kard. Martinelli w liście z dnia 9 lipca wyrażał Księdzu Bosko swe zadowolenie, że go odwiedzili księża Lemoye i Bonetti, prezentując mu kilka swych dzieł. Dziękował mu również za przesłanie mu już dawniej dzieła pod tytułem: *Maria Ausiliatrice*, dodając: Z cudownego przebiegu całej budowy tego kościoła, przyznać trzeba, że *Maria modificavit sibi domum*.

Ale niestety nie ci trzej kardynałowie mieli w Komisji głos decydujący. Najważniejszy głos miał kard. Pizzarri, na którego znowu wywierał przemożny wpływ monsignor Vitelleschi. Jako prefekt Kongregacji Biskupów i Zakonników w pismach swoich kładł nacisk na to, że komunikację przywilejów *in praese difficillae concedi* parte tylko, dlatego nie twierdził, że *nullimode*, bo to zależało ostatecznie od decyzji Ojca świętego, ale jego nastawienie w tej sprawie było całkiem oczywiste. Wskazówki, jakich udzielał adwokatowi Menghiniemu, który przy redagowaniu znanej nam konsultacji zasięgał jego zdania były też takie, iż ten na końcu wyznał, iż napisał pod naciskiem kardynała, który poddawał mu takie myśli, na które on wedle sprawiedliwości w sumieniu nie mógł się zgodzić. Łatwo teraz pojmiemy najlepszą wolę Menghiniego wobec przesadnych skrupułów kardynała.

Zresztą jeszcze w sierpniu Prefekt Kongregacji kard. Pizzarri i jej sekretarz monsignore Vitelleschi wyraźnie oświadczyli, że w ogóle nie ma mowy o przyznaniu przywilejów *per communicationem*; później jednak na pewną ich liczbę kardynał się zgodził, ale nie na wszystkie; zaś, co do *dimisorii* bezwzględnie był przeciwny.

Po jednej rozmowie z monsignorem Vitelleschim adwokat Menghini zaproponował Księdzu Bosko, ale całkiem poufnie „jak syn swemu ojcu” czyby nie było dobrze dodatkowym pismem wyszczególnić niektóre z przywilejów, o które by najwięcej chodziło, jak np. *dimisorie* do biskupa. Także ja jestem zdania, że w pewnym punkcie trzeba stanąć twardo, bez wahań i niedomówień i z taką pewnością siebie, jak przewidujący i doświadczony generał armii. Ale zawsze trzeba nam pamiętać, że opozycja niestety istnieje.

O monsignorze Vitelleschim myślał Ksiądz Bosko, iż on nie należy do przeciwników. Jeszcze nie wiedział wtedy, iż właśnie sekretarz Kongregacji Biskupów i Zakonników (czyli monsignore Vitelleschi) wręczając pismo Księdza Bosko Menghiniemu do konsultacji, powiedział mu: „Cała ta prośba, to prawdziwe dziwactwo: wystarczy kilka zdawkowych uwag, aby tylko było, od czego zacząć posiedzenie”.

Dzień posiedzenia Komisji kardynalskiej się zbliżał. Ksiądz Bosko przewidując, iż jego sprawa weźmie niepomyślny przebieg, poszedł za radą

Menghiniego i napisał do poszczególnych zainteresowanych nią kardynałów list następującej treści:

Eminencjo!

Gdybym szczęśliwym trafem znajdował się teraz w Rzymie, to oczywiście poczuwałbym się do obowiązku złożenia osobiście mego uszanowania Waszej Eminencji a równocześnie prosiłbym Go o życzliwe ustosunkowanie się do sprawy tak ważnej dla Zgromadzenia Salezjańskiego, jaką jest przyznanie mu komunikacji przywilejów, z których korzystają inne zakony przez Kościół święty zatwierdzone. Obecnie czynię to niniejszym pismem.

Eminencja w swej łaskawości okazał się nam życzliwym ojcem i wybitnym dobrodziejem w chwili, gdy chodziło o zatwierdzenie naszego Zgromadzenia. Niech wolno będzie wyrazić nadzieję, że okaże się takim również i teraz, gdy zabiegamy o przyznanie nam komunikacji przywilejów. Dwie wielkie korzyści odniesiemy z tego:

1. Zgromadzenie Salezjańskie będzie tym samym zrównane z innymi wobec władz kościelnych;
2. Nasi misjonarze wyruszający do Argentyny w październiku, by tam podjąć się pracy duszpasterskiej, wychowawczej i misyjnej wśród dzikich plemion staną w tamtych okolicach z tymi samymi przywilejami, z jakich korzystają już inni misjonarze tamże pracujący. Prócz tego, przyznając nam przywileje usunie się jeden pozór jakim zastawia się ordynariusz turyński w sporze z nami, kiedy twierdzi, że nasze Zgromadzenie nie jest jeszcze definitywnie zatwierdzone, skoro o ile on wie, nie ma dotąd przyznanych przywilejów innych Zgromadzeń.

Zdając się zresztą w tym wszystkim na znaną roztropność Waszej Eminencji zapewniam, iż tak za dotąd okazaną nam łaskawość, jak i za względy dla nas w przyszłości salezjanie zachowają zawsze wielką wdzięczność i nie przestaną się modlić. itd.

Turyn, 11.09.1875 r.

Posiedzenie Komisji kardynalskiej w sprawie przywilejów, o jakie prosił Ksiądz Bosko, miało się odbyć 9 września, ale znowu odłożone zostało na 16 tegoż miesiąca. O przebiegu tej odkładanej konferencji nic dokładniejszego nie wiemy, gdyż podobne zebrania Kardynałów otoczone są zawsze sekretem ścisłym. Wprawdzie pewne niedyskrecje często zdarzają się: były i w tym wypadku, ale nie warto tu nad nimi się zatrzymywać.

Ale faktem jest, że właśnie 16 września monsignor Vitelleschi kończył swój urząd sekretarza Kongregacji Biskupów i Zakonników, gdyż wyniesiony został do godności świętej purpury, a ostatnim jego aktem na tym stanowisku, było referowanie sprawy przywilejów dla salezjanów. Wprawdzie już dwa dni przedtem złożył urządowanie, ale tę właśnie kwestię chciał koniecznie według swego punktu widzenia

doprowadzić do końca. Posiedzenie trwało od dziewiętej do dwunastej. Uchwała na nim powzięta miała być zakomunikowana nazajutrz Papieżowi. Ale w tym dniu miał się odbyć Konsystorz, więc były widoki, że rezultat posiedzenia Komisji kardynalskiej będzie mógł być przedłożony Ojcu świętemu dopiero w następny tydzień, a wtedy zreferowałby go już nie nowy kard. Vitelleschi, lecz jego następca monsignor Fratejacci bardzo żałował, że nie było wtedy w Rzymie kard. Berardi, o którym był pewny, iż całą sprawą pokierowałby na korzyść Księdza Bosko.

Dotychczasowy jednak sekretarz Kongregacji Biskupów i Zakonników koniecznie chciał postawić na swoim, a ponieważ po konsystorzu już by nie wypadało, aby się tą sprawą zajmował, tego samego więc dnia 16 września zaraz wieczorem „in via extraordinaria” udał się do Papieża, by zdać relacje z przebiegu posiedzenia w znanej nam sprawie. Kiedy nazajutrz adwokat Menghini zapytał go, na czym ostatecznie stanęło, to odpowiedział: „Na pewno, gdy się Ksiądz Bosko dowie o wyniku, nie będzie z niego bardzo zadowolony”.

Wynik zaś był taki: Na pierwsze dubium odpowiedziano: Negative et ad mentem. Dotyczyło to dimisoryj. To „ad mentem” znaczyło, iż należy arcybiskupowi Turynu podać do wiadomości prośbę Księdza Bosko o przyznanie mu władzy wystawiania dimisorii ad quemcumque episcopum i extra tempora zawiadamiając go przy tym, iż prośba ta została odrzucona, bo on już ma podobny przywilej na lat dziesięć, który to przywilej arcybiskup powinien respektować, jeśli nie chce, by święta Kongregacja miała w inny sposób umożliwić Księdzu Bosko korzystanie z tego indultu.

Na drugie dubium (dotyczyło sprawy przywilejów) odpowiedziano: Communicationem, prout potitur, non expedire. Przy czym uwzględniono, by prosić Ojca świętego o wyjście spod jurysdykcji biskupiej wszystkich domów regularnych (to jest mających 6 członków) Pobożnego Towarzystwa Salezjańskiego i uznanie ich, jako wolnych od wizytacji ordynariuszów miejscowych w rzeczach administracyjnych i dyscyplinarnych, nie zaś tego, co dotyczy kościołów i kultu.

Zacny Bianchini kiedy przeczytał, iż reskrypt ma być równocześnie wysłany ordynariuszowi turyńskiemu, własnym oczom nie chciał wierzyć i tak pisał do Księdza Bosko: Nie chcę sprawy zaogniać. Wielebność Wasza najlepiej będzie wiedział, quid agendum. Wiedział on też dobrze, co może być największą osłodą dla jego wielkiego przyjaciela w Turynie, a mianowicie wiadomość, iż mimo wszystko życzliwość Ojca świętego do salezjanów nigdy się nie zmniejszyła. Stąd też, gdy był na posłuchaniu u Papieża, aby mu podziękować za nominację na kanonika dostojnej kolegiaty świętego Euzebiusza, rozmowę umyślnie sprowadził na temat Księdza Bosko i przekonał się, iż Ojciec święty bardzo życzliwie słuchał, co mu o nim mówił. Zaraz też o tym napisał do Oratorium.

Ksiądz Bosko jak zwykle przeżył poniesioną porażkę bardzo spokojnie, rzecz można pogodnie. Ale rezygnacja nie oznacza poddać się. To też nie na tym koniec, ale o tym później.

Chodziłoby teraz jeszcze o ustalenie, co ostatecznie było powodem tak nieprzychylniej uchwały ze strony Komisji kardynalskiej dla Księdza Bosko. Byłoby naprawdę krzywdzące dla tak dostojnego grona posądzać ich, że działali, z jakichś niskich pobudek.

Raczej trzeba wziąć pod uwagę umysłowość ogółu kurialistów przywykłych do kurczącego trzymania się przyjętego „siluve curiae” i z reguły niechętnych dla wszelkich nowości w rzeczach ważniejszych i do tego dodać obawę przed zerwaniem stosunków między ordynariuszem turyńskim a Stolicą Świętą, a wtedy wszystko stanie nam się jasne. Nawet sam Pius IX był zaniepokojony postępowaniem arcybiskupa Gastaldiego w stosunku do Księdza Bosko. Nie chciano wtedy więcej drażnić popieraniem salezjanów, i tak Ksiądz Bosko musiał na razie ponieść smutne tego konsekwencje.

Upłynął zaledwie miesiąc od tych wypadków, a świeżo mianowany kardynał Vitelleschi już nie był wśród żyjących. Gwałtowna febra tyfoidalna doprowadziła go do grobu. „Co za dziwny zbieg okoliczności. Jakże to wymowne”, zawołał na wiadomość o tej śmierci przejęty do głębi monsignor Fratejacci, który śmierć tę przepowiedział na trzydzieści dni naprzód. Twierdził on, że po krzywdzie, jaka stała się Księdzu Bosko i jego Zgromadzeniu, musi się w to wmieszać Opatrzność Boża.

Kiedy w kwietniu 1876 roku Ksiądz Bosko bawiąc w Rzymie odwiedził zacną rodzinę kardynała, zastał ją jeszcze głęboko pogrążoną w żałobie po śmierci jego tak nagłej i jak się na ogół mówiło, tajemniczej.

W tymże roku 11 kwietnia kard. Martinelli wyraźnie oświadczył, iż wszystkie trudności pochodziły od monsignora Vitelleschi; nie można jednak twierdzić, żeby on działał ze złej woli na niekorzyść Księdza Bosko. Właściwego sprawcę zawodu, jaki spotkał tego ostatniego, trzeba szukać daleko na północ od Rzymu.

ROZDZIAŁ X

ŻYCIE W ORATORIUM 1875 R.

W opisie życia Oratorium w roku 1875, który obejmie dwa długie rozdziały, uwzględnimy oczywiście to tylko, co było charakterystyczne w owych dwunastu miesiącach, jak również wypowiedzenia Księdza Bosko, czy jakieś więcej podpadające wypadki w jego otoczeniu. Ponieważ Oratorium było rzeczywiście jedną wielką rodziną więc, by trzymać się pewnego porządku, najpierw będziemy mówić o jej ojcu, następnie o domu, dalej o synach, a wreszcie o pewnych zajściach i sytuacjach godnych zapamiętania. Materiał zaczerpnięty jest z kronik, pamiętników, protokołów, czy listów przechowywanych w archiwum Zgromadzenia.

1. „PATERFAMILIAS”

Przystało, aby Oratorium, jako siedziba Księdza Bosko i Dom Macierzysty co dopiero powstającego Zgromadzenia, stanowiło kompleks, który by w oczach świata honor przynosił Założycielowi, a równocześnie, aby ono odtwarzało jego ducha i stanowiło wzór dla nowo powstających placówek. Stąd Ksiądz Bosko życzył sobie, aby ono we wszystkim zależało od jego dyrektyw i rad. Oczywiście, że w praktyce nie zamierzał krępować inicjatywy i działalności przełożonych niższych, na których barkach spoczywał cały pondus diei et aestus: owszem zostawiał im wiele swobody, ale zawsze w ramach Reguł przez niego ustanowionych i zawsze w jego duchu. Zresztą było to nieuniknionym, gdyż wszyscy odpowiedzialni wychowawcy byli jeszcze księżmi bardzo młodymi i bez doświadczenia, więc dla wszystkich on był właściwie jedynym oparciem, ostoja i wyrocznią. Widać to z protokołów posiedzeń Kapituły domowej, z jej składu i sposobu jej postępowania.

Jako dyrektor figuruje tam naturalnie Ksiądz Bosko, ale już nie sam. Ma do pomocy wicedyrektora, którym jest ks. Rua. I nie trzeba myśleć, że Ksiądz Bosko był tylko honorowym dyrektorem, a wszystko robił ten ostatni. Nie. Wprawdzie z protokołów, zresztą bardzo lakonicznych, ale przejrzystych, wynika, że zebrania prowadził wicedyrektor, on przedstawiał wnioski i uzgadniał z innymi członkami, ale jego staraniem było jak najwierniej interpretować myśl ich wspólnego Ojca, a o ile wysuwano projekty całkiem nowe i odmienne od dotychczasowych zwyczajów, wszystko to było zaraz odkładane do decyzji Świętego.

Zasadą jego było: uprzedzać. Wszystko powinno być ustalane z góry i omawiane już tygodnie naprzód z uwzględnieniem najdrobniejszych szczegółów, aby

tak zaradzić wszelkim ewentualnościom, jakie mogłyby się wyłonić. W tym celu odczytywano na zebraniach Kapituły uchwały z lat poprzednich i uwagi tam dopisywane post eventum. To dopisywanie uwag popartych doświadczeniem bardzo zalecał, jako drogocenny skarb na przyszłe lata, z którego czerpać można zawsze normy postępowania w podobnych okolicznościach.

A oto jedno charakterystyczne zdarzenie. W owych latach weszło w zwyczaj, że na święto Matki Boskiej Wspomożycielki ludność pozostawała na noc w bazylice na modlitwie. Oczywiście, że wielu też rozchodziło się po przyległych podwórzach i krużgankach. To pociągnęło za sobą poważniejsze nieporządki. Byli tacy z domowników, co wymknąwszy się spod dozoru przełożonych, gdzieś w zakamarkach wyprawiali breverie. Wobec tego dały się słyszeć między domowymi Przełożonymi głosy, by te nocne czuwania zlikwidować, choć one wielce pobudzały do pobożności pielgrzymów, zwłaszcza tych z dalsza. Gdy o tym dowiedział się Ksiądz Bosko, przeczekał parę dni, aż się wszyscy wygadają, a przy sposobności zauważył:

Prawda, że zaszło to i to, ale czyja to wina? Wasza, boście nie czuwali dostatecznie. A teraz nie należy usuwać tego, co dobre, aby zapobiec złu. Raczej trzeba w przyszłości na czas wszystko przewidzieć i powziąć odpowiednie środki zaradcze, aby podobne nieporządki już się nie powtórzyły.

Sprawy dnia bieżącego, czy administracyjne, czy dyscyplinarne załatwiał on po wieczery, od jej ukończenia aż do modlitw. Oto jak jedno takie półgodziny opisuje skrzętny kronikarz, pod datą 8 lipca: „Gdy większość współbraci opuściła już jadalnię, Ksiądz Bosko zawołał do siebie księdza Chiałę, katechetę (dyrektora rzemieślników) i z nim porozumiał się co do druku następnych numerów „Letture Cattolice”. Zaraz też podszedł ks. Lazzero, prefekt domowy, w sprawie karności wśród rzemieślników. Jeszcze ten nie skończył, a już zbliżył się ks. Barberis, magister nowicjusów, by pomówić o zorganizowaniu wakacji dla nich, tak by im nie przychodziło do głowy prosić o wyjazdy do domu rodzinnego. Przedstawiał projekty, gdzie by mogli je spędzić, w jakim czasie, jak długo i inne szczegóły.

Dobrze, - zakonkludował Ksiądz Bosko. Miejsce proponowane zdaje mi się za ciasne, ale ostatecznie można spróbować. Zaczynjcie więc przygotowania.

Na to nadszedł ks. Durando, radca szkolny generalny, mówiąc:

Profesor Rocchia chciał wydrukować u nas ową książkę, o której już pisał, pozostawiając ją nam na własność.

Czy to książka szkolna?

To jest repertorium frazesów łacińskich. Zdaje się, że nie zła to rzecz.

A czy będzie miała zbyt?

Używają jej Bracia szkolni w swoich szkołach. To przyczyni się do jej spopularyzowania.

No to pomów o tym z Barale (księgarz Oratorium) i zadecydujcie. Ja wołałbym, by była drukowana na koszt autora.

Nadszedł i ks. Guanella, by pomówić z Księdzem Bosko o broszurce, jaką miał zamiar napisać na temat rozszerzania wiary i przedstawił swój plan. Kiedy już Ksiądz Bosko wychodził z jadalni, przyłączył się do niego ks. Milanerio, dyrektor Oratorium świętecznego i szkół elementarnych dla eksternistów, a towarzysząc mu, prosił o zezwolenie na kursy wieczorne dla starszych eksternistów, które według niego dałyby się pogodzić z ogólnym rozkładem godzin w domu i tak według wskazówek Świętego konkretnych i wyraźnych płynęło życie w Oratorium, rozwijała się jego działalność i formowali się nowi członkowie Zgromadzenia.

Nie mniej bacznie śledził on życie Oratorium, będąc od niego daleko. Świadczą o tym trzy listy pisane z Sampierdarena, z Alassio i z Nizza. Porusza w nich najróżnorodniejsze sprawy, jako to: przeniesienie wychowanków z Oratorium do innych kolegiów salezjańskich; przejścia jakiegoś gimnazjalisty na szewca; treść zaświadczenia dla kogoś odchodzącego; obłóczyny kleryckie; sprzedaż nieruchomości; sprawy bankowe; kontrakty kupna – sprzedaży; dopuszczanie do nowicjatu itd. Są i doraźne odpowiedzi dla różnych współbraci, ujęte zresztą w wyrażenia dla nich samych tylko zrozumiałe; dalej wskazówki dla uczniów z klas „di fuoco”, nie zgadza się np. by przedzielano jedną z dłuższych sypialń; księdzu Rua zwraca uwagę: Jeśli masz 500 franków dla adwokata Comaschi, to je prześlij mu, jeśli nie, to napisz, żeby, o ile możliwe, zaczekał; w każdym razie daj mi znać, jak sprawy stoją. A ponieważ ks. Rua proponował nowy lokal dla eksternistów, to mu żartem odpowiada: Jeżeli Przewielebność Wasza sądzi, że tak dobrze będzie, to ostatecznie można spróbować. Wyraża równocześnie swój niepokój z powodu jego milczenia w sprawie czy arcybiskup zgodził się na święcenia dwóch kandydatów: Albano i Ferrot? Na końcu zaleca mu tak wszystko ułożyć, by na niedzielę po Niepokalanej mógł być w Kornese i tam wygłosić kazanie. Komentarze do tego skrótu niech zrobią sobie sami czytelnicy. Nam chodziło tylko o to, aby wykazać, jak od Księdza Bosko wszystko brało początek, przez jego szło ręce i do niego wracało wszystko, co dotyczyło życia Oratorium tak w rzeczach nadzwyczajnych jak i codziennej administracji. Dodamy tu tylko odpowiedź na jedno pytanie, posługując się kroniką księdza Barberisa, czy mianowicie, gdy Ksiądz Bosko wyjeżdżał z Oratorium, co przecież w 1875 roku kilka razy następowało, to wtedy chyba szczury tańczyły, bo nie było kota? Lecz kronikarz temu przeczy, podkreślając, że Oratorium jest już tak zorganizowane, iż nawet nikt się nie spostrzega o nieobecności Księdza Bosko.

Czytamy we *Vie spirituelle*, że Ksiądz Bosko nie tyle nie pozostawił pięknych traktatów, ile raczej swego ducha przelał w swoich synów duchowych, nadającego im pełnię życia. I o tego ducha właśnie chodziło mu, by go utwierdzić w Oratorium i przeszkodzić infiltracji jakichś obcych idei, które, by go wypaczyły. Koncentrując wszystko w swoich rękach, oczywiście, że nie wszystko sam robił, ale nie pozwalał nic robić bez swojej wiedzy. Były to rządy silne, lecz konieczne, a zawsze ojcowskie, o których tak pisze do Ojca świętego biskup z Vigevano, monsignore Gaudensi: „Kto odwiedził Oratorium w Turynie, czy inne szkoły prowadzone przez Księdza Bosko i jego kapłanów, ten odczuł w nich jakąś dziwną atmosferę pobożności, jakiej nie

spotyka się tak łatwo w innych instytucjach. Zdaje się, że w zakładach Księdza Bosko oddycha się doprawdy miłą wonią Chrystusową.

2. LA CASA E L'ECONOMIA DOMESTICA

Budowle po naszych placówkach były prowadzone solidnie. Plan budowy podawał Ksiądz Bosko, następnie studiował rysunki i dopóki ich ostatecznie nie zatwierdził, nikt nie mógł podejmować się roboty. Tym bardziej było to przestrzegane w Oratorium. Wszak już widzieliśmy, jak z Rzymu interesował się wzniesieniem jakiegoś marnego muru granicznego, a oto jeden charakterystyczny epizod: w roku 1876 ks. Rua, pod nieobecność Księdza Bosko zdecydował się odmurować jedno okno przedtem zamurowane przy dzwonnicy kościoła św. Franciszka Salezego. Ksiądz Bosko zauważywszy tę nowość po swoim powrocie, zwrócił się tonem raczej twardym do swego wicedyrektora: Tak, tak, teraz, gdy rządzi Ksiądz Bosko, róbcie, róbcie według własnego widzimsię, ale pewnego dnia, gdy będziecie wy rządzić, także inni będą postępować jak im się żywnie podoba. Biedny ks. Rua, na którego w przyszłości miała przejść cała odpowiedzialność za rządy Zgromadzenia, zrobił się taki malutki, malutki i ledwie był zdolny wypowiedzieć kilka słów zakłopotanego usprawiedliwienia z przyrzeczeniem całkowitego oddania i uległości na przyszłość. Ale Ksiądz Bosko nie miał nic do zmieniania w tym, co powiedział. Tak zeznaje ks. Vespignani:

Mamy tu wielki przykład, jak Święci przykładają wielką wagę do wyrzeczenia się własnej woli.

W roku 1875 zaokrąglono obszar Oratorium przez nabycie przyległego placu z domem od Antoniego Catellino. Wybudowano nowe skrzydło, ciągnące się od portierni wzdłuż ulicy Cottolengo, w którym na dole ulokowana została księgarnia ze swymi magazynami, a u góry introligatornia. Tak podwórze rzemieślników odgródzone zostało od miasta.

Inne prace budowlane ograniczyły się do drobnych przeróbek dookoła portierni. Z atrium przebito zejście do podziemi kościoła Najświętszej Wspomożycielki. Bramę tymczasową zastąpiono solidniejszą. Za progiem atrium postawiono wagę, a na lewo umieszczono tablicę marmurową z napisem w języku łacińskim i włoskim, przypominającą wchodzącym, że ubogiemu trzeba oddawać to, co zbywa; wykuto tam też małą niszę na dzwonek, który przez z górą pół wieku swym srebrzystym głosikiem regulował życie wszystkich mieszkańców Oratorium.

Trzeba też jeszcze wspomnieć o portyku, jaki wzniesiono dookoła absydy kościoła Najświętszej Wspomożycielki, a który przedłużony dozwalał przejść pod dachem do domu. Granitowe kolumny podtrzymujące portyk, na pewno zdolne będą przez wieki stawiać opór wszelkim szturmom ze strony chłopców.

Sprawy finansowe tej wielkiej instytucji na Valdocco spoczywały wyłącznie na głowie Księdza Bosko. Stałych dochodów nie było.

Jeśli się weźmie pod uwagę opłaty wychowanków, to przeciętnie wypadało na głowę 20 centesimów dziennie. Wydatki osobiste jednej czwartej chłopców również

ciążyły na bilansie zakładu. Zresztą nie tylko chłopcy mieszkali w Oratorium, ale poza przełożonymi i służbą kształcili się w nim jeszcze Synowie Maryi - wszyscy na ogół z ubogich rodzin i klerycy, którzy nic lub prawie nic nie płacili. Z pracowni tylko drukarnia i stolarnia przynosiły dochody, które z biedą wyrównywały deficyt innych pracowni. Księgarnia niewiele mogła rentować, gdyż dla celu propagandy religijnej ceny książek były niskie. Zakłady sąsiednie niewiele zdołały zaoszczędzić, bo i w nich pensje wychowanków były bardzo umiarkowane. Czytamy w jednym z listów Świętego do Oratorium: W Alassio, w Varazze i w Sampierdarena bilans dochodów i rozchodów równa się zeru.

Krytyczne dni dla kasy Oratorium były: sobota, pierwszy i piętnasty miesiąca oraz kwartały. Wtedy to, a mianowicie w sobotę, kiedy trzeba było opłacać pracowników szkoły zawodowej, z powodu zwykłego braku gotówki Ksiądz Bosko szedł na obiad do któregoś ze swoich dobrodziejów, zawsze mile przez nich widziany i wracał z sumą, jaka mu była potrzebna. Gorzej było, gdy na terenie Oratorium kręcili się murarze, a ich majster, co 15 dni zgłaszał się po to, co im się należało. Wtedy Święty musiał iść wprost na zebranie od bramy do bramy i pukał, aż uciulał tyle ile trzeba było. Nigdy się w tym nikim nie wyręczał. Najciężej zaś było na końcu kwartału, kiedy trzeba było wyrównać rachunki u hurtowych dostawców. Ale i te dni nie odbierały mu zwykłego spokoju. Długoletnie doświadczenie nauczyło go i wtedy spokojnie oczekiwać w przekonaniu, iż w najkrytyczniejszym momencie Opatrzność przyjdzie z pomocą. Dla niego nie było różnicy między nic nie mieć w portfelu, a bezgranicznie ufać Bogu.

Jak ciężko przychodziło opanować sytuację finansową Oratorium, przekonał się ks. Rua najlepiej pod nieobecność jego Założyciela. Bo kiedy ten był w domu, to albo dobrodziejże przychodzili do niego, albo on szedł do dobrodziejów, ale gdy on wyjechał, to jego wicedyrektor był w kropce.

Wspomnieliśmy, że Ksiądz Bosko chodził na obiady. Trzeba zauważyć, że choć pierwszym jego celem było zyskać zapomogę, to jednak nad jałmużnę przedkładał on dusze swoich dobrodziejów i ich rodzin, którym chciał zapewnić szczęśliwość wieczną.

A miał do tego bardzo szczęśliwe podejście. Bez nadawania sobie tonu kaznodziei czy mentora, zjednywał serca Bogu swym budującym zachowaniem się, umiarkowaniem i wdzięczną skromnością, jako też pociągającą rozmową bez fanfaronady. Świadom, że skąpstwo jest prawdziwą gangreną toczącą bogatych i żadne kazanie nie ma na nich wpływu w tym względzie, skłaniał ich po swojemu do robienia jałmużny, a tym samym, nawet bez ich wiedzy, do zdobywania sobie dóbr wiecznych. Jeśli zaś zdarzała się sposobność, a okoliczności tego wymagały, to wyraźnie i głośno podkreślał wszystkim obowiązek pełnienia uczynków miłosierdzia.

O jałmużnę zabiegał i listownie. I tak do hrabiny Callori pisze:

Mia buona Mamma! We wtorek mam nadzieję być we Vignale i spędzić tam środę w świętym spokoju aż do czwartku. Ale cóż robić? Biedaczyna, który to pisze,

jest jak zwykle na lodzie i potrzebuje centymów. Wspominam quatrini, bo nie mam odwagi mówić o soldach. Chcę przez to powiedzieć, że zadowolę się i najmniejszą kwotą. Znam dobre serce pani hrabiny. I jeśliby nie mogła tym razem, to odwołuję swoją prośbę. Niech ją Bóg uczyni szczęśliwą w życiu i wieczności. Amen. Oddany sługa.

Dnia 03.10.1875 r.

A już 10 tegoż miesiąca dziękuje jej:

Mia buona Mamma!

Spełniam swój obowiązek i dziękuję jej bardzo, bardzo, tak za gościnę, jak i za wszystkie okazane względy, a najbardziej za hojność okazaną dla podpisanego tu kwestarza. Hrabina Bricherasio, współzawodniczka waszej dostojności na drodze cnoty, dała mi jeszcze „piątkę” i tak granity (do wspomnianego portyku) są załatwione, ale nie pozostaje załatwiona sprawa mojej wdzięczności i na pewno nie skończą się błogosławieństwa dla niej z Nieba, które spraszać będziemy na jej rodzinę. Czy pannę Marię bolą jeszcze zęby? Jeśli mnie Bóg wysłuchał, to powinna już była wyzdrowieć. Modliłem się w jej intencji. W najbliższych dniach wracam do Turynu, by zająć się ekspedycją misjonarzy do Argentyny. Niech Bóg błogosławi panią hrabinę i da jej łaskę rezygnacji wobec Jego najświętszej woli, zapewniając jej przy tym należyte miejsce w niebie. Niech się pani pomodli i za tego biedaka, który jest zawsze jej pokornym sługą.

Nizza Monferrato, 11.10.1875 r.

O zapomogi pisał Ksiądz Bosko i do czynników państwowych. Oto jeden z tych listów skierowany do burmistrza Turynu:

Illustriissimo Signore!

Niżej podpisany, już od wielu lat prowadzi szkoły elementarne dla najuboższej młodzieży Turynu. Ogólna liczba wychowanków sięga tysiąca i stale wzrasta. Potrzeba, zatem jest wielka ławek, aby móc wymienić te już zniszczone i dostawić nowe dla przybywających. Wobec tego ośmielam się zwrócić do znanej mi dobrze łaskawości Szanownego Pana Prezydenta, aby nam odstąpił te ławki ze szkół miejskich, które by tam okazały się zbędne. Ufamy, że prośba zostanie uwzględniona, już z góry serdecznie dziękuję za pomoc, podczas gdy mam zaszczyt kreślić się z wyrazami szczególniejszej czci zobowiązany sługa.

Turyn – 1875 r.

Podobne listy skierowane zostały do przewodniczącego Rady wojewódzkiej w Turynie, do Dyrekcji kolei, do ministerstw itd.

A teraz wspomnimy o trzech przykrych incydentach na tle finansowym, które sprawiły Świętemu niemałe kłopoty.

Adwokat Alojzy Succi, właściciel piekarni parowej w Turynie, człowiek znany jako dobry chrześcijanin wspierający dzieła dobroczynne, prosił Księdza Bosko o żyrowanie przy odbiorze z banku z banku 40 tys. lir (czterdzieści tysięcy). Wiedząc, że to obywatel zamożny, a przy tym dobrodziej Oratorium, Święty zgodził się. Za trzy dni pan ten umarł. Gdy nadszedł termin płatności weksła, dano o tym znać spadkobiercom. Byliśmy na wieczery – zeznaje kardynał Cagliero – kiedy wszedł ks. Rua i oznajmia, że spadkobiercy nic nie wiedzą, ani też wiedzieć nie chcą o żadnych wekslach. Siedziałem koło Księdza Bosko. Jadł zupę i widziałem, jak między jedną łyżką, a drugą (a wiedzieć trzeba, że był to styczeń i jadalnia nie była ogrzana) spadały mu z czoła do talerza krople potu. Przecież nie stracił równowagi i nie przerwał swej wieczery. Żadne racje nie pomogły: trzeba było zapłacić. Dopiero coś po 10 latach zdołano odzyskać sumę gwarantowaną jego podpisem.

I drugi uczynek miłosierny dużo go kosztował, choć może nie tyle pieniądze, ile z powodu związanych z nim sekatyw. Niejaki pan Józef Rua wykombinował urządzenie, za pomocą, którego można było podnosić monstrancję na tron i opuszczać, tak, że równocześnie zniżał się krzyż i równocześnie podnosił na miejsce swoje. Odpadał, więc kłopot ze schodkami. Zainteresowali się tym proboszczowie, a nawet biskupi okoliczni i Ksiądz Bosko. Gdyby to zostało zatwierdzone przez Rzym, dla wynalazcy otwarłoby się piękne źródło dochodów. Aby mu pójść na rękę, Ksiądz Bosko wysłał rysunki tego aparatu do Kongregacji Rytów z listem polecającym od siebie. Kongregacja wynalazku nie zatwierdziła i nawet nie chciała, jak to jest w jej zwyczaju zwrócić rysunków. I tylko, by Księdzu Bosko zaoszczędzić nieprzyjemności, zrobiła wyjątek, zwracając projekty. Rua, widząc, że jego sprawa wzięła fatalny obrót, wytoczył proces Świętemu, jakoby on winien był jego straty, wnosząc sprawę do Kongregacji, bez czego nie byłoby zakazu z Rzymu. Żądał wypłaty wysokiego odszkodowania. Na szczęście władze sądowe inaczej się na to zapatrywały i Rua sprawę przegrał.

I trzecie przykre zajście pozostawało w łączności z miłością bliźniego. W zimie z roku 1872 na 1873, kiedy to państwo włoskie czuło się zmuszone do nałożenia różnych ograniczeń na swych obywateli, Ksiądz Bosko urządził loterię sui generis, polegającą na tym, że do wielkiej liczby swych dobrodziejów rozesłał w kopertach bilety po 10 lir, z prośbą o ich nabycie na dobro Oratorium. Jako zachęta i pewna nagroda za ofiarność na rzecz sierot, miał służyć obraz, będący wartościową reprodukcją rafałowskiej Madonny z Foligno. W tym władze administracyjne dopatrzyły się przekroczenia prawa, zakazującego loterii publicznych i organizator został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej. Nie pomogło tłumaczenie, iż to wcale nie była loteria dla zysku, ale tylko zwykłe zwrócenie się do publiczności o wsparcie, za które można było wylosować wspomniany obraz. Proces ciągnął się długo i dopiero w tym roku, tj. w 1875 został zakończony wyrokiem sądu apelacyjnego, skazującym „Il sacerdote cavaliere Don Bosco” na zapłacenie poważnej sumy pieniężnej, jako kary za przekroczenie prawa o loteriach. W motywacji wyroku czytamy jednak, że „Nie można wątpić, iż cel zamierzony przez „cavaliere sacerdote

Don Bosco” jest ze wszachmiar godny pochwały i sam cel loterii nie mniej godny uznania, lecz dobra wola działającego nie zmienia faktu, iż prawo materialnie zostało przekroczone, co pociąga za sobą konsekwencje karne, bo przecież cel zamierzony nie jest to samo, co cel osiągnięty, a więc...

A może zamiast iść za rozumowaniem jurydystów piemonckich, ciekawszą będzie rzeczą to, co umieszcza ks. Ceria w uwadze, a mianowicie, że trybunał turyński skazał Księdza Bosko na zapłacenie 3.500 lirów i koszty z zagrożeniem aresztu, w razie nie zapłacenia sąd zaś apelacyjny, w lutym 1875 roku zredukował karę do 1500 lirów plus połowa wartości obrazu, będącego premią.

Oskarżał prokurator Dedominici, bronił adwokat Jacek Pipino. Ksiądz Bosko w aktach sądowych nazywany jest stale „cavaliere”, gdyż rzeczywiście w roku 1852 przyznany mu został krzyż kawalerski Zakonu Świętych Maurycego i Łazarza.

Przytoczone wyżej motywy wyroku wyraźnie wskazywały, iż same władze sądowe czuły niewłaściwość wyroku, mimo że materialne przekroczenie prawa do wydania takiego nie innego upoważniało je. Wyczuł to i Ksiądz Bosko. Odważył się więc na ostatni krok, a mianowicie zaapelował do łaski króla Wiktora Emanuela II, zaznaczając, iż kara właściwie spadnie nie tyle na zasądzonego, ile na sieroty. Król prośbę uwzględnił. Dekret ulaskawienia przyszedł prawie w dniu wyjazdu misjonarzy do Ameryki.

Sprawdziło się i w tym przypadku przysłowie ważne w Królestwie Miłości, iż „chi ben fa, ben trova” - kto dobrze czyni, dobrze znajduje (po polsku – jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie). Ludzie dobroczynni, choćby byli bez grosza, to wszędzie spotykają się z zaufaniem. Ich rzetelne słowo więcej znaczy, niż jakiegokolwiek gwarancje. Tak było i w życiu Księdza Bosko. Budował wtedy w Turynie kościół ku czci Niepokalanej przedsiębiorca Buzetti Karol. Komitet budowy złożony z wybitniejszych obywateli miasta winien mu był trzydzieści tysięcy lirów i zwlekał z płacaniem z braku gotówki. Wobec tego Buzetti odmówił dalszego prowadzenia robót, żądając wypłaty, względnie poważnej gwarancji. Wtedy panowie komitetowi zwrócili mu uwagę, że względem Księdza Bosko nie był tak wymagający i spokojnie czekał zawsze w razie potrzeby. O, z Księdzem Bosko, to, co innego – odpowiedział. Jego nazwisko więcej znaczy, niż jakakolwiek gwarancja. Zawsze widziałem, iż Opatrzność na czas przysłała mu pieniądze. Mam na to niezbite dowody. W stosunku do innych nie mogę tego być pewny. Tak, tak. Budowa kościoła Najświętszej Wspomożycielki zapłacona mi została do ostatniego centesima.

3. I FIGLI

W dialekcie piemonckim na chłopaka mówi się figlio (pierwsze znaczenie – syn). Otóż takich synków Ksiądz Bosko miał w Oratorium w owych latach blisko 800. Wielkich wygod tam nie mieli, ale żyli. Dzielili się na uczniów szkół zawodowych i tych szkół średnich (rzemieślnicy i gimnazjaliści). Synowie Maryi, podzieleni na trzy klasy, stanowili zespół osobny i o nich na razie nie będzie już wzmianki.

Może się wydawać dziwnym, że do roku 1875 nie było wydrukowanego prospektu przyjęć do Oratorium, a jednak tak było. Wszystko szło raczej alla patriarcale – po patriarchalnemu. Pierwszy arkusz warunków przyjęcia do korekty tym jest drogocenniejszy dla nas, iż ma na sobie dwie linijki autografu Świętego. Zamieszczono o nim wzmiankę o świadectwie moralności od ks. proboszcza. I właśnie Ksiądz Bosko dopisuje pod punktem 5: „świadectwo szkolne i ks. proboszcza. To ostatnie jest najważniejsze”.

W roku 1875 nastąpiła pełna reorganizacja działu rzemieślniczego. Prócz lekcji, jakie odbywały się wieczorem, wprowadzono jeszcze lekcję ranną, zaraz po Mszy świętej, na której po wstaniu byli sami rzemieślnicy. Rok szkolny, jako taki, kończył się dla nich razem z gimnazjalistami. Również i karność u nich została wzmocniona. Zostali całkiem odizolowani od eksternistów, a kapelmistrzowi zabroniono brać do kapeli tych, co już zakład opuścili, co się nieraz zdarzało, zwłaszcza z okazji większych uroczystości. Do owego czasu wolno było rzemieślnikom trzymać walizki w sypialni, co było powodem wielu nadużyć. Teraz walizki zostały usunięte, a na ich miejsce wstawiono szafki nocne niezamykane. Zwrócono szczególniejszą uwagę, by wokoło ich podwórza nie było żadnych kryjówek, czy jakich zakamarków. Ustanowiono też osobnego katechetę tylko dla nich z nazwą dyrektora rzemieślników.

I to warto zauważyć, że Ksiądz Bosko niechętnie patrzył, jak rzemieślnicy zmieniają swój zawód, przekonany, że to przynosi tylko szkody. W maju, więc tego roku wprost tego zakazał, mówiąc: „Kto raz zaczął uczyć się jednego rzemiosła, niech go pilnuje, a nie myśli o innych. Ileż to już takich zmian było, a wszystkie źle się skończyły”.

Co dotyczy uczniów szkół elementarnych i średnich, mamy kilka szczegółów do zanotowania. Otóż opodal Oratorium otworzyli protestanci gratisową szkołę elementarną, podarunkami i pieniędzmi hojnie rozdawanymi kaptując do niej młodocianych adeptów. Było to wyraźnie wyzwanie rzucone Księdzu Bosko. Chodziło o dusze. Wielki wychowawca podjął rękawicę. Wprawdzie podarków wielkich nie miał ani pieniędzy. Ale miał modlitwy swych chłopców i im zlecił ratunek ich rówieśników. Równocześnie otworzył podobną szkołę elementarną w Oratorium, zlecając jej kierownictwo tak gorliwemu i pełnemu inicjatywy kapłanowi, jakim był późniejszy wielki misjonarz Patagonii, ks. Milanerio. I szkoła protestancka, mimo wszystkich wysiłków sekciarskich, powoli zaczęła pustoszyć na korzyść Oratorium, aż w kwietniu emisariusze złych mocy musieli swoją szkołę zamknąć i odejść z kwitkiem skąd przyszli. Z ich odejściem, oczywiście szkoła ta nie została zlikwidowana, ale postarano się o odpowiedni dla niej lokal w domu Castellina, świeżo zakupionym, jak o tym była wzmianka wyżej.

Także do gimnazjum internistów Ksiądz Bosko przyjmował młodzież z miasta dochodzącą. Było tym potrzebniejsze, że dzielnica Valdocco bardzo szybko się rozbudowywała. Przez parę, więc lat Święty tolerował tę mieszaninę. Oczywiście młodzież nie tylko dochodziła do szkoły, ale również była zobowiązana brać udział

w praktykach religijnych internistów w kościele Najświętszej Wspomożycielki i to bez żadnego wyjątku.

Na postępie tych szkół Ksiądz Bosko bacznie zwracał uwagę i wsłuchiwał się w głosy uczniów o ich profesorach, którym przy okazji, po ojcowsku, zwracał swoje uwagi. Oto jego wskazania dydaktyczne, jakie nam przekazał ks. Barberis w swej kronice:

Na ogół profesorowie odnoszą się ze szczególną życzliwością do uczniów zdolniejszych, zaniedbując, a niekiedy wprost w kąt odsuwając słabszych. Ja natomiast jestem przeciwnego zapatrywania. Uważam, że głównym obowiązkiem profesora jest szczególną troską otaczać słabszych, częściej ich pytać od innych i powtarzać, powtarzać, aż zrozumieją. Zadania i poziom lekcji stosować raczej do ich umiejętności. Jeśli nauczyciel trzyma się przeciwnej metody, to nie jest nauczycielem klasy tylko korepetytorem dla kilku uczniów. Aby zaś dać zajęcia zdolniejszym, niech im się wyznacza prace nadprogramowe, czasem nawet z odpowiednią nagrodą za ich pilność. Dla niżej zdolnych pominąć nawet rzeczy mniej ważne, ale to, co istotne, koniecznie stosować do ich zdolności.

Chciałbym też, aby przy prowadzeniu przedmiotów trzymano się podręcznika, wyjaśniając jego tekst. Górnotłone popisywanie się swoją wiedzą uważam za bezcelowe kręcenie wiatraków. Konieczną też jest rzeczą jak najczęściej pytać i możliwie wszystkich na każdej lekcji. To przynosi bardzo wielkie korzyści. Tymczasem słyszę, że niektórzy wszedłszy do klasy zapytają najwyżej jednego, czy drugiego i zaraz idą dalej.

Taka metoda to nawet na seminariach uniwersyteckich nie bardzo jest wskazana. Pytać, pytać wiele, pytać jak najczęściej: im więcej daje się sposobności uczniom do wypowiedzenia się, tym więcej odnoszą korzyści.

Nie krytykować podręczników. Umniejszyć ich powagę w oczach młodzieży, to bardzo łatwo, ale następstwem tego będzie, że się z nich w ogóle nie będą uczyć. W razie potrzeby można dodać, co się uważa za stosowne, ale krytykować nigdy.

Jak więc ostatecznie było z tą nauką w Oratorium? Czy tam doprawdy dbano o wykształcenie uczniów? Na ogół zawsze mówiono, że tak. A przecież w sierpniu 1875 roku ordynariusz turyński napisał do Rzymu po egzaminie dopuszczającym do obłóczyn kleryckich w seminarium uczniów z Oratorium, co następuje:

Zgłosiło się do seminarium 9 chłopców (giovanetti) ze szkół Księdza Bosko. Z tych czterech nie przyjęto z powodu braku świadectwa dobrego zachowania się; reszta pięciu, choć zostali dopuszczeniu, są bardzo słabi w naukach i żaden nie otrzymał stopni pełnych, (czyli bardzo dobrych tylko dostateczne) w żadnym przedmiocie.

Ale widocznie biskup nie był dobrze poinformowany o stanie rzeczy, bo po pierwsze: Według rejestrów Oratorium, owi giovanetti (chłopczyki) mieli już od 16 do 21 lat, więc to byli młodzieńcy, którym nauka przychodziła trudniej. A dalej nie było ich dziewięciu, ale tylko siedmiu, z których trzech zostało przyjętych, dwóm odłożono przyjęcie na następny rok, dwóch było po piątej klasie, jeden nawet po maturze

licealnej. Inni byli po czwartej i ryzykowali, bo egzamin był raczej na poziomie klasy piątej, więc nic dziwnego, że stopnie mieli słabsze. Przytoczony powód braku dobrego świadectwa również jest niewyraźny, gdyż w Oratorium mieli wystawione wszystkie dokumenty w porządku.

O poziomie zresztą nauk w Oratorium możemy sobie wyrobić pojęcie choćby na podstawie katalogów szkolnych państwowego gimnazjum „Monviso.” Otóż wynika z nich, że w roku 1875 zgłosiło się tam 15 licealistów z Oratorium do matury licealnej i zdało ją 14. Zestawiając ten wynik z wynikami wszystkich tam zgłoszonych kandydatów ze szkół prywatnych, dowiemy się, że ogółem było ich 87, a zdało 50. Między nimi uczniowie z Oratorium mieli drugie miejsce, trzecie (dwu), czwarte, piąte (trzech), siódme (dwu), dziewiąte (dwu), jedenaste, czternaste, siedemnaste. Pierwsze miejsce zajął Antoni Ronco z Kolegium Salezjańskiego w Alassio. W następnych latach z Oratorium do wspomnianego gimnazjum zgłosiło się w roku 1876 siedemnastu licealistów, zdało egzamin szesnastu, w 1877 roku – na trzydziestu dwóch zdało trzydziestu, z tych dwóch z odznaczeniem. W tymże gimnazjum „Monviso” zdawali także uczniowie z innych naszych szkół i tak z Lanzo – na jedenastu zdało dziewięciu, z Varazze – na siedmiu zdało sześciu, z Alassio – na sześciu zdało pięciu, z Borgo S. Martino – pięciu na pięciu, z Valsalice – czterech na czterech. Statystyka jest często najlepszym sprawdzianem.

4. DISCIPLINA E PIETA

Karność i pobożność szły ręką w rękę w Oratorium. Opowiada stary, zacny koadiutor Enria, że dwóch panów spotkał w roku 1875, których oprowadzał Ksiądz Bosko po Oratorium. Ci na widok chłopców siedzących w uczelni w największym skupieniu i pilnie przykładających się do nauki, zapytali swego przewodnika:

Czy dla utrzymania takiej karności potrzeba dużo asystentów?

Panowie widzą – jest tu jeden.

No, ale ten, kto wie, do jakich drakońskich posuwa się środków.

Przenigdy, żadnych nadzwyczajnych rygorów nie potrzeba.

A w takim razie?

Proszę panów, to, co trzyma tych chłopców w karności i zachęca do nauki, to nie bojaźń kar, ale bojaźń Boża i sakramenty św. to działa cuda wśród młodzieży.

Te cuda były rzeczą w Oratorium najzwyczajniejszą. Pewno, że dla wielu wydaje się, to niemożliwym, by w Oratorium nie miały miejsca pewne wybryki, o jakich się słyszy winnych kolegach, gdzie nie potrafią utrzymać młodzieży w należnych korbach. Ale obserwatorzy ci nie znali pewnych sekretów zakładu na Valdocco. Wyliczył je Ksiądz Bosko na początku czerwca, właśnie roku 1875, a mianowicie:

1. Chłopcy ubodzy, utrzymywani gratis, albo za bardzo skromną opłatą, wiedzieli dobrze, że niesfornych się usuwa, więc strzegli się większych wybryków.
2. Częste przystępowanie do sakramentów św. sprawia, że kierują się w swym zachowaniu sumieniem, a nie obawą kar.

3. Cały personel wychowawczy (przełożeni, nauczyciele, asystenci, kucharze) to są salezjanie, bez domieszki czynnika obcego.
4. Częste zebrania wychowanków, jakie się z nimi urządza, dają im sposobność do wywyższenia się i kierują ich zainteresowania na odpowiednie tory.
5. Przełożeni odnoszą się do nich zawsze życzliwie i chętnie z nimi przebywają bez zbytecznego spoufalania się.
6. Wielki też wpływ wywierają na nich słówka wieczorne, przepojone rodzinną serdecznością, które z góry zapobiegają możliwym wybrykom.
7. Wesołość, śpiew, muzyka i wielkie urozmaicenia w rozrywkach też robią swoje.

Ale optymizm Księdza Bosko nie był ślepy. Orientował się on dobrze w labiryncie, jaki go otaczał i zdawał sobie dokładnie sprawę, jak trudno zakład o tak skomplikowanej strukturze prowadzić, nie dopuszczając, by zamienił się w prawdziwą „babilonię”. Nie uszły też uwagi jego nieporządku, jakie od czasu do czasu się zdarzały. Ale jeśli w wyjątkowych wypadkach był zmuszony uciekać się do ostatecznych środków, to jednak najchętniej i to z artyzmem, posługiwał się swym systemem zapobiegawczym.

Oto jeden z tych chwytów jemu właściwych:

W księgach pensyjnych nigdzie prawie nie spotyka się nazwisk chłopców świeżo przyjętych, którzy by zaraz mieli przyznane jakieś ulgi. Te uzależnione były od ich zachowania się i postępów w nauce. Stąd też i rodzice, którym nieraz było bardzo ciężko płacić nawet 5 lir miesięcznie i musieli sobie odejmować od ust, by syna kształcić, naciskali na niego, by swym zachowaniem ulżył im w opłacie. Tak nowy obywatel Oratorium zaprawiał się w najlepszą wolę do karności, nauki i pobożności z wielką korzyścią na przyszłość dla siebie i ku tym większej pociesze swych najbliższych.

Serdeczne podejście Księdza Bosko również miało zbawienny wpływ na chłopców, którzy za jego ojcowski uśmiech i życzliwe słowa odwdzięczali mu się staraniem, by nie sprawić przykrości Przełożonym. Oto niektóre podejścia do tego młodego świata, o których jest wzmianka w zapiskach z tego roku. Jednego dnia wychodząc z domu, mówi do portiera, którym był starszy młodzieniec:

Czytałem twój list i będę o nim pamiętał. Wiedz, że Ksiądz Bosko zawsze jest życzliwym dla ciebie i zawsze chętnie ci dopomoże.

Kiedy indziej wracając do domu, przechodził przez portiernię i napotkał tam zastępcę odźwiernego, Depperta, a kładąc mu rękę na głowę rzekł: Chciałbym, żebyś wkrótce złożył tę marynarkę, a przywdział strój klerycki. Zaufałeś Księdzu Bosko, to wiedz, że Ksiądz Bosko cię nie opuści. Pomyśli o twojej przyszłości i postara się, abyś był szczęśliwy w tym życiu i przyszłym. Rzeczywiście Deppert został w przyszłości godnym kapłanem salezjaninem.

Do kleryka Trivero, który złożył podanie na misjonarza, odezwał się wesoło: Oto nasz dzielny szermierz o sprawę Bożą. Chciałbym, abyś został małym świętym

Franciszkiem Ksawerym. Liczę na to bardzo. Będziemy zawsze przyjaciółmi, nieprawdaż? Zdać się na mnie. Tylko abyś mi dopomógł, a potem, a potem, zresztą zobaczysz. Kleryk ten umarł świątobliwie w S. Benigno w roku 1879.

Gdy grupka chłopców zajadających smacznie na podwórzu bułkę, która stanowiła ich śniadanie, podeszła do niego, by mu na dzień dobry ucałować rękę odezwał się do nich przyjaźnie.

Jedzcie wasze śniadanie, jedzcie, a nigdy o nim nie zapominajcie, potem biegnijcie bawić się wesoło. To mnie bardzo cieszy. Tylko uważajcie, byście sobie, jakiejś krzywdy nie zrobili i bądźcie zawsze grzeczni.

Odwiedzał często chorych, a zatrzymując się przy ich łóżku, rozmawiał z nimi na pogodne tematy o rodzinie, szkole, o ich proboszczu, o wypadkach domowych. Ks. Vacchina wspomina jeszcze, jak to Ksiądz Bosko omawiał z nim, leżącym wtedy w łóżku ustawianie ołtarzyka w szpitaliku, by wszyscy chorzy mogli wysłuchać codziennie Mszy św. Gdy zaś później wyszedł już ze szpitalika, ale jeszcze chodził słaby i blady, natknął się na Świętego, który z wielką troskliwością wypytał o jego stanie zdrowia i zalecił: Dobrze będzie, jeśli postarasz się używać więcej ruchu i to nie tu w domu, ale na wolnym powietrzu. W tej chwili przechodził kleryk Giordano, późniejszy dyrektor z Loretto. Tego zatrzymał i mówi mu: Powiedz księdzu prefektowi, że ci poleciłem, abyś przez dwa tygodnie codziennie chodził na godzinę i dłużej z tym słabeuszem za miasto.

Ta jego dobroć i serdeczność względem chłopców, troskliwość o nich, działała jak magnes. Ledwie tylko się pokazał na dziedzińcu, biegli do niego wszyscy ze wszystkich stron, aby go pozdrowić, porozmawiać z nim, pośmiać się i pożartować. Zawsze miał im coś do powiedzenia, a chętnie słuchał, jeśli któryś chciał mu się z czegoś zwierzyć. Słowem młodzież go kochała i cieszyła się, gdy miała sposobność tę swoją miłość mu wyrazić. Ksiądz Bosko był dla wszystkich – zeznaje ks. Nai.

Miał zupełną słuszność monsignore Alberti, gdy przemawiając z okazji uroczystości beatyfikacyjnych Księdza Bosko, między innymi tak się wyraził: Ksiądz Bosko z cech pedagoga miał tyle ile konieczne, z policjanta nic, wszystko w nim było ojcowskie.

Nadnaturalnym czynnikiem w jego systemie uprzedzającym jest pobożność. Żadnego nie było przymusu do sakramentów świętych, owszem wyglądało jakby w ogóle na to nie zwracało się uwagi, a jednak czytamy w kronice z tego roku, że: Pięćdziesiątka przystępuje do Komunii św. codziennie lub prawie codziennie; dwustu poza niedzielą – jeszcze, jakiś raz w tygodniu; przeszło trzystu – każdy tydzień; bardzo mało jest tych, co by tylko raz na miesiąc komunikowali. Tacy zwykle krótko wytrzymują w Oratorium i albo sami odchodzą, względnie ukazuje się konieczność wydalenia ich. Ta praktyka była wtedy w ogóle nieznaną i niepraktykowaną w domach wychowawczych.

Rok obecnie omawiany był rokiem rozkwitu pod każdym względem towarzystw religijnych. Było ich sześć. Najliczniejsze to Towarzystwo św. Alojzego, obejmujące prawie połowę wychowanków. Zebrania miało raz na miesiąc.

Towarzystwo Najświętszego Sakramentu miało 700 członków pomiędzy lepszych chłopców i to tych starszych z piątej gimnazjalnej. Mały Kler złożony był z gorliwych członków poprzedniego Towarzystwa. Walne zebrania urządził zawsze na większe święta. Do Towarzystwa Niepokalanej należeli młodzieńcy nieliczni, dojrzałsi, wybrani wśród wybranych. Ich zebrania miały charakter poufny. Obowiązkiem ich było przyświecać dobrym przykładem, czcić serdecznie Matkę Najświętszą, a przy tym wpływać na lekkoduchów. Każdemu z nich był przydzielony jeden z najbardziej niesfornych, ażeby wedle wskazówek moderatora Towarzystwa, na niego oddziaływał na rekreacji i poza nią, wciągając go do gier, pomagając w nauce, zachęcając, aby się usatkwował, a wszystko to miało być przeprowadzone tak, by delikwent nawet się nie spostrzegł, o co chodzi.

Dla omawiania tej ich pracy i jej rezultatów mieli, co tygodniowe zebrania.

Konferencja św. Wincentego była właściwie tylko dla starszych, którzy pracowali w Oratorium. Głównym jej celem było nauczanie katechizmu oratorianów. Rzemieślnicy mieli swoje Towarzystwo św. Józefa.

Jeszcze słówko o Małym Klerze. Jego członkowie wybornie orientowali się w ceremoniach i przykładowo w nich uczestniczyli. Przez to stowarzyszenie zamierzał Ksiądz Bosko nadać jak największego splendoru służbie Bożej, podnieść w oczach wychowanków dostojność świętych obrzędów i budzić w nich powołania do stanu duchownego. O zachowaniu się Małego Kleru przy ołtarzu pisze ksiądz Rua: „Ich delikatność i wdzięk, z jakim przygotowują wszystko potrzebne do świętych obrzędów: powaga, skupiona postawa, serdeczna pobożność w czasie świętych funkcji jest, jako miła woń kadzidła przed Obliczem Pana, a zarazem zbudowaniem dla wiernych.”

Zakładanie tych stowarzyszeń, które stanowią istotną część systemu uprzedzającego w myśli Księdza Bosko, do dwóch zmierzało celów, a mianowicie, aby w nich lepiej zżyli się wychowankowie z wychowawcami i aby ich członkowie, przechodząc w miarę dorastania z jednego stowarzyszenia do następnego, wyższego stopnia, trwali w gorliwości o swój postęp duchowy i tak nieznacznie zostali jakby doprowadzeni pod próg Zgromadzenia, którego tradycje już były uwzględnione w regulaminach poszczególnych towarzystw. Wejście więc ich członków do nowicjatu było rzeczą naturalną, było po prostu przejściem ze stowarzyszenia niższego do następnego wyższego rzędu.

5. LA FESTA DEL PADRE

W życiu Oratorium imieniny wspólnego Ojca Księdza Bosko, były zawsze wielką uroczystością przygotowaną z daleka i oczekiwaną, jako dzień entuzjastycznej radości, który wywierał bardzo korzystny wpływ na młodzież. Miłość synowska była królową świętą.

W omawianym przez nas roku 1875, od 7 czerwca, Święty wizytował sam Sampierdarena, Varazze i Alassio. Jego powrót do Turynu zapowiedział ksiądz Rua dnia 21 tegoż miesiąca, wspominając o Komunii św. generalnej w jego intencji, jako

najlepszym bukietem złożonym mu na imieniny. Stał Ksiądz Bosko w Oratorium w chwili, gdy chłopcy w rzędach szli do jadalni. Zobaczyli go, a okrzykiem: „Niech żyje Ksiądz Bosko!”. Rzucił się ku niemu na powitanie – było dziełem jednej chwili. Na słówku zaś po tym tak do nich przemówił:

Znów jestem między wami. Wprawdzie wyjechałem bez waszej wiedzy i bez waszego pozwolenia. Ale na drugi raz już się poprawię. Zwiedziłem sąsiednie nasze zakłady, pełne również chłopców w waszym mniej więcej wieku, mających podobne upodobania jak wy, no i nie mniej grzecznych jak wy. Wypytywali mnie często o was. Oczywiście mówiłem im tylko o tym, co u was najlepsze, na ogół przedstawiałem rzeczy, jak są, ale czasem też mówiłem, jak dopiero będzie, czy względnie, jak powinno być.

Ale zaraz chcę z wami podzielić się pewnym swoim niepokojem, a mianowicie, że choć ogólnie z was jestem zadowolony, to jednak nie ze wszystkich. Kilku doprawdy ostatnio zachowywało się bardzo nieodpowiednio. Już nawet zacząłem pisać list do księdza Rua, ażeby z tego wyciągnął ostateczne wnioski, ale nie miałem czasu go skończyć i nie wysłałem. Na razie jeszcze poczekam trochę. Ale jeśli nie nastąpi poprawa, będę musiał zrobić, jak to już, kiedy indziej miało miejsce, mianowicie usunąć ich. No, ale nie mówmy o tym. Wszyscy postaramy się jak najlepiej, w zgodzie spędzić uroczystości św. Alojzego, św. Jana, św. Piotra, a wszystko się ułoży.

Już od wigilii Oratorium pulsowało radością. Wprawdzie deszcz przeszkodził urządzeniu akademii na podwórzu, gdzie już wszystko przygotowano do niej i trzeba było przenieść ją do obszernej sali uczelnianej. Tam na miejscu katedry stał tron dla Księdza Bosko, otoczony fotelami dla gości i przełożonych. Po prawej stanęli na podwyższeniu śpiewacy, po lewej gimnazjaliści, a naprzeciw rzemieślnicy.

Po ukończeniu spowiedzi, o godzinie 10.00 wszedł na salę, wśród huraganowych oklasków Ksiądz Bosko, witany hymnem, którego słowa napisał ks. Demcyna, a muzykę ks. Cagliero. Po wierszach i śpiewach zaofiarowano mu dary w postaci przedmiotów liturgicznych. Złożyli się na nie wychowankowie: 113 lir - rzemieślnicy, 87 lir – gimnazjaliści. Akademia trwała godzinkę. Na końcu przemówił Solenizant: Deklamowano tu różne poezje, a poetom oczywiście wolno przesadzać. Nie wszystko, co tu powiedziano, można do mnie zastosować, ale za wasze dobre serce szczerze dziękuję. Podobało mi się przyrzeczenie, jakie wielu składało z was, a mianowicie, że nie mają nic innego do ofiarowania, oddają mi swe serce, z zapewnieniem, iż dobrym postępowaniem udowodnią szczerą swych wynurzeń. Tak, tego tylko pragnę, pragnę waszego serca, abym mógł je przyozdobić we wszystkie cnoty i tak przyozdobione ofiarować przez ręce św. Jana Chrzciciela Bogu.

Całe moje życie poświęciłem dla was drodzy chłopcy, a podobnie jak ja, tak i inni wasi przełożeni nic nie pragną innego, jak tylko zbawienia dusz waszych. Coście powiedzieli o mnie, że pracuję, poświęcam się, zabiegam, to wszystko odnosi się i do moich współpracowników. Zapewniam was, że uczynię wszystko dla waszego dobra,

co w mojej mocy. Nie mógłbym powiedzieć, że uczynię więcej, ale mogę was zapewnić, że będę dla was pracował dopóki Pan Bóg udzieli mi życia.

Dzień 24 czerwca rozpoczął się Komunią św. generalną. Chłopcy wyszli z kościoła z twarzami rozpromienionymi. Ksiądz Bosko, który od rana spowiadał, odprawił Mszę św. o 10.00. Kiedy szedł na śniadanie, zastąpiła mu drogę kapela eksternistów, którzy z gromadą mężczyzn, po większej części byłych wychowanków, przyszedli z życzeniami i darami.

Myśl zorganizowania kapeli z byłych wychowanków Oratorium podsunął sam Ksiądz Bosko, ustanawiając dla niej nawet osobny regulamin, w którym zabronione było przyjmowanie do niej młodzieńców usuniętych karnie z Oratorium. Również wzbronione było występowanie w teatrach publicznych, a zalecone przystępowanie do św. sakramentów, udział w uroczystych nabożeństwach, wzajemna pomoc. Projekt doszedł do skutku i ci właśnie muzycy przychodzili teraz złożyć mu swój hołd. Inicjatorem tej manifestacji wdzięczności był Gastini. Jako dar imienny ofiarowali z własnych składek ufundowaną wspaniałą monstrancję metr wysoką. Dziękując im za życzenia, zaprosił ich dostojny Solenizant na obiad. Wieczorem Ksiądz Bosko udzielił uroczyste błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem, co uradowało wszystkich tym bardziej, iż takie nabożeństwa osobiście odprawiał Ksiądz Bosko najwyżej dwa lub trzy razy do roku. Nigdy też nie celebrował Mszy św. śpiewanej, za wyjątkiem Bożego Narodzenia. Nieszporów nie śpiewał już od roku 1850.

Wieczorem niebo znowu rozpląkało się tak, że i druga akademie (pierwsza była dla samych domowych) z udziałem licznych gości, musiała się odbyć na sali. Przybyli na nią uczniowie ze szlacheckiego gimnazjum w Valsalicy, ofiarując Księdzu Bosko w darze wspaniałą żyrandol. Nie brakło i mnóstwa oratorianów z bukietami kwiatów. Święty, dając wyraz swym uczuciom zadowolenia z objawów młodzieńczej wdzięczności, uderzył w nutę raczej poważną. Podkreślił, że wiele jest młodzieży, która takiej opieki nie ma jak obecni, ani tak miłych chwil nie przeżywa.

Umiejcie, więc – mówił - docenić tę łaskę Opatrzności i starajcie się jej wiernie odpowiadać. Nie dajcie się uwieść złudnym pozorom zła. Jedyne ważną rzeczą na tym świecie jest zbawienie własnej duszy. Wielu z was życzyło mi długiego życia. Nie moi drodzy, nie to jest najważniejsze. Najważniejsze jest, abyśmy żyjąc długo, czy krótko, żyli na chwałę Bożą i Matki Najświętszej. Reszta jest w ręku Boga. Pamiętajcie – kończył – skandując słowa – iż przez usunięcie się od świata, przez umartwienie i gorliwość o chwałę Bożą święty Jan Chrzciciel został największym świętym w Niebie.

Uroczystość ta miała jeszcze swoją kodę. Po południu następnego dnia przyszło złożyć życzenia 150 chłopców z Oratorium św. Alojzego. Przyprowadził ich koadiutor Nacagno, z księdzem Abrate, który w pobliżu tego Oratorium prowadził prywatne gimnazjum i chciał, aby jego przedstawiciele również złożyli hołd Księdzu Bosko. Kilku z nich miało w najbliższym czasie przywdziać suknię klerycką. Przyjęci zostali w bibliotece zakładowej. Na wstępie przemówił w imieniu ich wszystkich ks. Guanella, dyrektor tegoż Oratorium, a chłopcy ofiarowali kwiaty i deklamowali.

Ksiądz Bosko odpowiadając, zwrócił im uwagę, iż mało jest jego zasługi w tym, co się dla nich robi i cała wdzięczność należy się księdzu Guanella i jego współpracownikom. Zachęcał dalej swych młodych gości, by skwapliwie uczęszczali do Oratorium, by bawili się wesoło, a unikali grzechu. Podkreślił przy tym, że Bogu trzeba zacząć służyć od młodości, jak to uczynił święty Alojzy. Gdyby on odkładał poświęcenie się Bogu na późniejsze lata, nie umarłby, jako święty. Na pożegnanie pobłogosławił ich, a chłopcy wrócili wesoło do swoich domów.

Z górą 600 listów otrzymał Ksiądz Bosko w tym dniu od wychowanków. Zawierały one nie tylko życzenia i wyrazy wdzięczności, ale i prośby o poradę, pytania dotyczące dalszego życia, wynurzenia osobiste itd. Odpowiadał na nie kolejno, jednym ustnie, innym pisemnie, zależnie od potrzeby piszącego chłopca.

6. „BUONE NOTTI”

Warto tu przytoczyć niektóre słówka wieczorne Księdza Bosko. Wprawdzie niewiele ich mamy, ale te, co przechowały się, lepiej od jakiejś kroniki malują nam życie wewnętrzne Oratorium. Oto niektóre z nich z ewentualnym komentarzem.

18 kwietnia – Opieki św. Józefa. Dzisiaj, moi drodzy chłopcy, obchodziliśmy uroczystość Opieki św. Józefa i przyznam, że wypadła ona wspaniale. Jestem z was zadowolony, zwłaszcza dlatego, że doprawdy wielu, nie tylko robi, co trzeba, ale robi to pilnie i ochotnie tak w kościele, jak w sypialni, w szkole czy w pracowni, a nawet w refektarzu. Powtarzam, że sprawia mi to prawdziwą przyjemność.

Ale muszę też wyznać, że tak ściśle nie można tego powiedzieć o wszystkich. Wprawdzie nie mógłbym nazwać tych co, do których mam zastrzeżenia, złymi, ale by się tak wyrazić są oni ani zimni, ani gorący (jest nadzieja, że z nadchodzącym latem chyba się trochę rozgrzeją). Wiedzą tacy, że dobrą jest rzeczą iść do kościoła i modlić się, spełniać pilnie swe obowiązki, wiedzą to i zgadzają się na to. Ale u nich, co innego jest wiedzieć, a co innego wypełniać to. Na drodze do czynu mają zawsze pewne przeszkody. Taką przeszkodą jest obojętność.

Oto jeden śmieszny epizod, jaki przydarzył się przed paru dniami. Do zakrystii wraz z innymi przyszedł taki niedbaluch, niby się spowiadać. Ale rzecz dziwna. W miarę jak przed nim ubywało kolegów, którzy się już wyspowsiadali, to on stale usuwał się wstecz i przepuszczał innych. Czy myślicie, że doszedł do konfesjonału? Ale gdzie tam. Gdy już była ostatecznie kolej na niego, zwraca się do ostatniego kolegi, który stał za nim i szeptem:

No, idź naprzód.

Czemu ty nie idziesz?

Nie, nie - idź ty – mruknął mu do ucha.

Nie bój się, naprzód – odpowiada tamten. Mało brakowało, że nie przeszli do szturchańców.

Nie, nie, jeszcze chwileczkę i cofał się uporczywie w tył. Wtem naraz usłyszał za ścianą jakiś hałas, zdaje się kosza z chlebem spuszczanego z wozu i w nogi. Już

było po spowiedzi. Czyż można powiedzieć, że ten miał dobrą wolę spowiadania się? Ale to tak dla waszej wesołości. Otóż podobni jemu są między nami. Myślą, że wiedzieć, jak należy postępować, to wystarczy, a robią swoje. Uważają na przykład, że nabożeństwo do św. Józefa polega na tym, by znać kilka szczegółów z jego życia. Otóż nie. Trzeba jego cnoty naśladować. Nie wystarcza nawet pobożność uczuciowa, ani machinalne odmawianie modlitw. Potrzeba silnych postanowień i poprawy. Tylko tak się uczeni Świętych należycie. Niestety wielu tego nie rozumie. Kończę. Chcecie być wiernymi czcicielami św. Józefa, idźcie w jego ślady, a będziecie zadowoleni w życiu i przy śmierci. Dobranoc.

Następne słówka miał Ksiądz Bosko w czasie rekolekcji gimnazjalistów.

Dnia 23 kwietnia mówił oczywiście na temat odprawiania rekolekcji, a także i powołania i tak zaczął:

Dzisiaj chciałbym sobie z wami bezpośrednio porozmawiać. Więc pytam: Chcecie być przyjaciółmi Księdza Bosko?

Tak, chcemy.

Wobec tego, jako jego przyjaciele, chętnie spełnicie, co on wam powie?

Tak, tak, naturalnie.

Gdybym wam, więc, zalecił, byście dobrze odprawili rekolekcje to uczynicie to, nieprawdaż?

Tak, tak.

W takim razie wszystko w porządku. Wobec waszej dobrej woli możemy się spodziewać z nich jak najlepszych owoców. To prawda, że jesteście wszyscy cnotliwi i święci, ale mimo to rekolekcje jeszcze się przydadzą, bo czytamy w Piśmie świętym: „Qui sanctus est, sanctificetur adhuc, qui iustus est, iustificetur adhuc”, a więc trzeba starać się o postępek w cnocie.

Dalej mówił o powołaniu, zalecając uczniom klas wyższych, by się dobrze zastanowili nad swoją przyszłością, radząc się w tym względzie swego zwyczajnego spowiednika na spowiedzi generalnej.

25 kwietnia. Chwali dobrych, a przestrzega lekkoduchów, by się ustatkowali, zaznaczając, że przez dobre odprawienie rekolekcji mogą uzyskać darowanie wybryków ostatnio popełnionych. I tak mówił: Cieszę się, że zaraz od początku tak wzorowo zachowujecie milczenie. Jest ono jednym z najważniejszych czynników dobrych rekolekcji. Równocześnie świadczy to o waszej najlepszej woli nabywania cnót. Zachęcam was tym samym całym sercem, abyście wytrwali w tym usposobieniu, a na pewno poczynicie wielkie postępy na drodze cnoty, za co Pan Bóg zleje na was obficie swoje błogosławieństwa. Dobranoc.

Spowiednikiem w Oratorium był sam Ksiądz Bosko, po innych zakładach dyrektorzy i tak trwało do roku 1900. Otóż w związku z tym wyszła kwestia, czy wypada, by w czasie rekolekcji spowiadał dyrektor. Święty tak to rozstrzygnął: Raczej

nie, chyba żeby ktoś koniecznie chciał się u niego spowiadać. Chłopców trzeba zawiadomić, że głównymi spowiednikami są kaznodzieje. Dyrektor niech nie siada na miejscu zwykłym, ale najwyżej na uboczu, by utrudnić dostęp do siebie i by ewentualnie do niego szli tylko ci, co doprawdy tego potrzebują bez celów ubocznych.

W praktyce jednak chłopcy spowiadali się najchętniej u Księdza Bosko, choć i kaznodzieje, ks. Dalmazzo i ks. Costamagna, mieli dużo roboty. Choć wszyscy oni spowiadali do późnej nocy. To jeszcze znaczną część chłopców trzeba było odłożyć do dnia następnego.

Po zakończonych spowiedziach spowiednicy poszli na wieczerzę, podczas której Ksiądz Bosko bawił ich opowiadaniem historii gomółki podanej do stołu. Otóż przed paru dniami wrócił do Oratorium uczeń trzeciej klasy gimnazjalnej, który chwilowo musiał wyjechać z powodu choroby. Witając się z Księdzem Bosko oświadczył mu, że jego rodzice absolutnie nie mogą wyrównać zaległych długów, ani opłacać pensji bieżącej. Jedyne – dodał – co mogą uczynić moi rodzice, a conto opłaty za mnie, to ofiarować Księdzu te sześć gomółek, które tu przeze mnie przysyłają. Słowa te wypowiedziane z wielką gracją i chłopięcą powagą mile zaskoczyły Księdza Bosko, który zresztą dobrze wiedział, iż stoi przed nim prymus klasy, wzorowy pod każdym względem.

No, więc twoi rodzice absolutnie nie mogą nic więcej uczynić?

Tak, absolutnie nic więcej. Jedyne, co mógłbym ja uczynić ze swej strony, to odbyć spowiedź generalną.

Ksiądz Bosko roześmiał się na to, przekonany, że chłopak żartuje. Tymczasem on w następny dzień z całą powagą przystąpił do spowiedzi generalnej. Na zakończenie swego opowiadania, zauważył Ksiądz Bosko, iż jeden taki serek mógł kosztować najwyżej 50 centesimów. W dalszym ciągu rozmowy, zwrócił uwagę na cierpliwość chłopców wyczekujących na klęczkach, w skupionej postawie, bez opierania się, nieraz dwie i trzy godziny na swoją kolejkę przy konfesjonale. Mimo tak długiego czekania, w razie potrzeby przepuszczają jeszcze swoich kolegów naprzód. Do tego bezsprzecznie potrzebna jest wielka cnota – zakonkludował.

W maju zgłaszali się dość liczni aspiranci do stanu duchownego z rodzin bardzo ubogich. Trzeba, więc było baczyć, by nie wcisnęli się tacy, co mieli na celu tylko korzyści doczesne. Wszak i Ksiądz Bosko uważał, że dla Kościoła lepiej jest mieć jednego księdza mniej, niż jedno zgorszenie więcej. Dlatego też bardzo poważnie przestrzegał przed hazardem wstępowania do seminariów li tylko dla pieniędzy, czy dla zabezpieczenia przyszłości rodziny. Trzeba też było równocześnie zwracać uwagę na piękno i wartość powołania zakonnego. By to lepiej wyjaśnić użył nawet formy dialogu z księdzem Barberisem. Uczynił to na słówkach wieczornych 10 i 11 maja.

Na słówku 18 maja, w czasie nowenny już do uroczystości Najświętszej Maryi Wspomożycielki tak mówił: „Już jesteśmy w czasie nowenny do naszego święta. Trzeba, zatem, byście przygotowali quatrini na tę uroczystość. Zostało zdecydowane, moi drodzy chłopcy, że jak w poprzednich latach, tak i tego roku monetą bieżącą

w Oratorium będzie tylko pieniądź bity w banku narodowym w Oratorium św. Franciszka Salezego. Nie będzie honorowana moneta z innych państw (aluzja do bonów, za które chłopcy w czasie uroczystości mogli sobie zakupić jakieś drobne smakołyki czy napiwki).

Ale poza pieniędzmi należy przygotować i serce na przyjęcie licznych łask od Najświętszej Dziewicy. Proście Ją w szczególny sposób o dwie łaski: pierwsza to zdrowie, tak bardzo potrzebne, byście mogli kontynuować swe studia, a w najbliższym czasie pomyślnie zdać swe egzaminy, od których dzielą was zaledwie dwa miesiące. Trzeba, więc o nich poważnie myśleć.

Druga łaska i to o wiele ważniejsza, a która stanie się źródłem wszystkich innych łask, to zachowanie pięknej cnoty skromności. Jest to cnota szczególnie miła Sercu Niepokalanej Pani. Kto ją posiada, posiada wszystko, kto jej nie ma, nic nie ma. O niej to powiedzieć można, że „venerunt omnis bona pariter cum illa”. Wystarczy powiedzieć, że kto ją posiada, ten po prostu fruwa pod płaszczem Maryi, kto ją utracił, a potem odzyskał i wszelkimi siłami stara się ją zachować, ten biegnie, kto o nią nie dba wystarczająco, ten zaledwie chodzi, a kto jej nie ma, ten się wlecze. Proście, więc o nią i na wszelki sposób starajcie się na nią zasłużyć. Wszak niewinni idą za Barankiem, gdziekolwiek idzie, śpiewając pieśń innym nieznaną. Ale ponieważ to cnota bardzo delikatna, trzeba nieustannie się o nią modlić i unikać najmniejszych okazji, która, by mogły narazić ją na uszczerbek. Taką okazją mogą być niektórzy mniej dobrzy towarzysze, pewne słowa niestosowne, wymawiane, czy wyszukiwane po słownikach. Na miłość Boską, unikajcie okazji, a za to posługujcie się tymi wszystkimi środkami, które dopomogą do jej zachowania, jakimi są: częsta Komunia święta, gorące nabożeństwo do Najświętszej Dziewicy, nawiedzenie kościoła itd. Mam nadzieję, że do tego się zastosujecie, a zobaczycie, że będziecie zadowoleni, a nagroda, jaką za to otrzymacie przewyższa wszystko, cokolwiek byśmy mogli o niej powiedzieć. Dobranoc”.

W czasie uroczystości Najświętszej Wspomożycielki, gdy zmęczony przyjmowaniem pielgrzymów, mógł nareszcie wrócić do swego mieszkania, zastał w przedpokoju grupę dostojnych pań, które przyszły z Mediolanu specjalnie na święto. Z całą prostotą wyciągnął przy nich z kieszeni coś ponad 50 banknotów ofiarowanych mu z wdzięczności za łaski otrzymane, opowiadając im przy tym zdarzenie, mające wszelkie cechy nadprzyrodzoności. Oto cztery dni przed tym hrabia Vialardii był prawie konający, gdy odwiedził go Ksiądz Bosko i stwierdził, że stan jego jest doprawdy groźny, mimo to zachęcił go, aby zaufał Madonnie, a jeszcze trochę pożyje. Lecz nie powinien zapomnieć przyjść na Jej święto do kościoła, by przyjąć Komunię św. Nikt w rodzinie nie wierzył, ale hrabia przybył do kościoła do Komunii św. i właśnie mógł Ksiądz Bosko pokazać owym paniom jałmużnę, jaką od niego otrzymał z wdzięczności za uzyskane zdrowie.

W dniu tym wszystkim podpadał w prezbiterium bogaty dywan, wykonany i podarowany przez damy florenckie. Na jego obramowaniu był wyhaftowany napis:

MARIAE AUXILIATRICI IN SUMA SUORUMQUE TUTELAM MATRONAE FLORENTINAE ANNO MMDCCCLXXV. Mamy jeszcze przechowaną deklarację dziękczynną ze strony Księdza Bosko za tak wspianiały dar, z zapewnieniem, iż dobrodziejki będą miały udział w modlitwach wznoszonych przed ołtarzem Wspomożycielki.

W ciągu nowenny do wspomnianego święta stale nadchodziły liczne listy dziękczynne za otrzymane łaski. Pielgrzymi przybyli aż z Genui, ze Savony, Bolonii, Florencji, a nawet Rzymu. Tłumy zawały podwórze, krużganki i ulice przyległe. Nie było słyhać o żadnym nieporządku. Ciągłe posłuchania wycieńczyły organizm Świętego. Wszak wiele było osób, które przyrzekały, iż wprzód nie wyjadą z Turynu, dopóki przez niego nie zostaną specjalnie pobłogosławieni. Podziwiać przy tym można było niewzruszony spokój i pogodę ducha, a nie mniejszą serdeczność, z jaką odnosił się do tych, co do niego się zbliżali.

W uroczystość Bożego Ciała, 27 maja wieczorem, tak mówił:

„Dziś jest jedna z największych uroczystości w roku kościelnym: „Boże Ciało. Chciałbym, ażebyście ją zakończyli wszyscy przyrzeczeniem Boskiemu Zbawicielowi w dowód wdzięczności za tak niewysłowiony dar, jakim jest to, że dał nam Siebie Samego na pokarm. Przyrzeknijcie, zatem, w zamian dwie rzeczy:., że będziecie jak najczęściej komunikować i to nabożnie, oraz że osobiście zrobicie wszystko, aby serca wasze przyozdobić pięknymi cnotami, oczyszczając je z wszelkiego grzechu, by w nich Pan Jezus mógł z radością zamieszkać”. I dalej, notuje tu kronikarz, rozwijał jeszcze szerzej ten temat.

Z końcem maja zaczęły się rekolekcje dla rzemieślników, do których 30 tegoż miesiąca tak mówił:

„Cieszę się, że mogę do was mówić osobno z okazji tych rekolekcji. Cieszę się, widząc, że większość bezwzględna z was stara się odprawiać je z najlepszą wolą. Doprawdy stosowna to pora, by się uświęcić. Nie dopuście, więc, aby łaska Boża miała przejść koło was bezskutecznie. Powiedziałem: większa część, bo niestety są i tacy, co nie bardzo chcą o rekolekcjach słyszeć i gdyby mogli, toby w ogóle nie uczęszczali. Biedacy, nie znają, nie rozumieją daru Bożego. Niechże jednak tacy pamiętają, iż niewykluczone, by któryś z nich jeszcze przed końcem tych rekolekcji znalazł się u bramy zakładu. Mimo wszystko czekam cierpliwie, ale jeśli po tych świętych ćwiczeniach nie nastąpi radykalna zmiana, to bezwzględnie się ich usunie.

Niektórzy dosłownie sieją kłokol i nie można otrzymać, by zaprzestali pewnych rozmów, które są posiewem szatańskim. Bardzo mi przykro, że jeszcze dzisiaj miały miejsce poważne wykroczenia, a byli i tacy, co wyszli na miasto bez żadnego pozwolenia. W innych zakładach po podobnych wybrykach już by im nocy nie pozwolono spędzić na miejscu i słusznie. Ale w tej chwili nie chcę posuwać się tak daleko. Niech jednak pamiętają, że postąpili bardzo źle”.

„A oto trzy punkty, na które trzeba, byście zwrócili uwagę w czasie tych świętych dni. A mianowicie zastanówcie się nad swoją przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Co do przeszłości, wypadnie się zastanowić nad szczerością i dokładnością dawnych spowiedzi; czy żęście, czego nie zapomnieli, albo może nie wyznali, uważając to za drobnostkę, co było doprawdy obrazą Boga. Trzeba to sobie obecnie przypomnieć, wyznać i szczerze za to żałować. Mogły to być jakieś nieskromności w dzieciństwie, może drobne kradzieże, ale powtarzane, szkody wyrządzone a niewynagrodzone.

Także wiele razy na spowiedzi nie zwraca się uwagi na dane zgorszenie; wyznaje się popełnienie tego czy owego, a nie wspomina się, iż było to dla innych zgorszeniem. A niewykluczone, iż ktoś może doprawdy popełnił świętokradztwo zatajając grzech świadomie.

Pewno, że dla większości z was nie będą to ostatnie rekolekcje, ale też nie trzeba być wielkim prorokiem, by przepowiedzieć, iż dla tego, czy owego są one ostatnie. Wszak stale widzicie, że co roku nawet kilku umiera. A dla tych poprzednich rekolekcje były ostatnimi. Niechże to was zachęci do stanowczych postanowień na przyszłość. Kto jest dobry, niech jeszcze postara się być lepszym. Kto zaś potrzebuje odmiany poważnej życia, niech zdobędzie się na odwagę, niech zabierze się do pracy nad sobą, niech wytrwa w dobrym, a na pewno będzie to dla niego wielką pociechą w godzinie śmierci. Dobranoc”.

Podczas gdy Ksiądz Bosko robił powyższe wyrzuty obecnym tam lekkoduchom, ks. Barberis stojący między chłopakami, słyszał jak dwóch podrostków szeptało do siebie: Któż by to myślał, że już wiedzą o naszym wyjściu na miasto? Kto to mógł zauważyć? Będzie źle z nami.

Takie niespodzianki nie były rzadkie w Oratorium. Winowajcy nieraz byli przekonani, iż ani na myśl nikomu nie przyjdzie o ich wybrykach, a tu Ksiądz Bosko publicznie je piętnował.

W ostatni dzień rekolekcji spowiedzi przeciągnęły się w późną noc. Spowiadał Ksiądz Bosko i kaznodzieje. Jeden z nich, ks. Dalmazzo, przychodząc zmęczony na wieczerzę, odezwał się: No dziś, to był dzień doprawdy pełny pracy. A na to Ksiądz Bosko: Cieszę się, że chłopcy z zaufaniem garną się do spowiedzi do kaznodziejów. Ja także wypowiadałem, ile mogłem, ale jeszcze coś zostało na jutro. Bardzo dobrze wszystko się kończy. Zdaje się, iż rekolekcje te przyniosą piękne owoce.

Słówko z 4 czerwca. Jutro, drodzy chłopcy, obchodzi Kościół Święty uroczystość Boskiego Serca. Trzeba, byśmy również ze swej strony postarali się oddać mu hołd należny. Wprawdzie uroczystość zewnętrzną przeniesiemy na następną niedzielę, ale już od jutra przygotujmy się do niej żarliwszą modlitwą i Komunią świętą. W niedzielę zaś będzie muzyka i uroczyste ceremonie, które tak dodają blasku naszym świętom chrześcijańskim.

Może, który z was chciałby lepiej wiedzieć, co to święto znaczy, dlaczego czci się w szczególniejszy sposób Serce Jezusowe? Otóż to święto jest niczym innym, jak odwdzięknięciem się Jezusowi Chrystusowi za jego szczególniejszą miłość dla nas ludzi.

Och, jakżeż wielką, prawdziwie nieskończoną, objawił nam swą miłość nasz Boski Zbawiciel przez swoje Wcielenie, Narodzenie, przez swe życie i nauczanie, a zwłaszcza przez swą Mękę i Śmierć. A ponieważ na ogół przyjmuje się, że siedzibą miłości jest serce, więc czcimy to najśodsze Jego Serce, jako ognisko Jego bezkresnej miłości. Kult Najświętszego Serca, czyli miłości Jezusowej do nas zawsze był praktykowany, ale nie było jeszcze ustanowionego na ten cel osobnego święta. Jaki miały przebieg objawienia się Boskiego Serca św. Małgorzacie Alacoque i jakie obietnice dał Pan Jezus tym, co będą czcili to Jego Serce, to usłyszycie w najbliższą niedzielę wieczorem. A teraz niech każdy uczyni, co w jego mocy, aby godnie tej Boskiej Miłości odpowiadać.

Dnia 6 czerwca przypadały dwa święta: setna rocznica objawienia się Boskiego Serca Marii Małgorzacie Alacoque i 25 – lecie pontyfikatu Piusa IX. Z tej okazji urządzono ćwiczenie dobrej śmierci, choć niedawno były rekolekcje, aby zachęcić wszystkich do Komunii św. Dłuższa rekreacja powiększyła ogólnie dobre humory wychowanków. Wieczorem całe Oratorium zebrało się w kościele, by wziąć udział w akcie poświęcenia się Boskiemu Sercu. Po okolicznościowym kazaniu ks. Rua, nastąpiło wspólne odmówienie formy poświęcenia i Te Deum na podziękowanie za łaski udzielone Kościołowi za pontyfikatu Piusa IX.

Na słówku wieczornym 6 czerwca zachęcał Ksiądz Bosko wychowanków do wzajemnej, braterskiej miłości. Jako sposób uczczenia świętego Alojzego, w drugą niedzielę ku jego czci. Niechże, więc ustaną – mówił – wszelkie wzajemne niechęci, złośliwości i uprzedzenia. Czasem ktoś nadeptnie nam na nagniotek, czy niechęć potrąci, a zaraz reagujemy wyzwiskiem, gotowi nawet oddać kopniaka czy szturchańca. Nie. Pamiętać trzeba na słowa Boskiego Zbawiciela: „Przykazanie nowe daję wam, abyście się wspólnie miłowali. Po tym poznają, że jesteście moimi uczniami”. U Żydów był zwyczaj oddawania zęb za zęb, my nie tak mamy czynić. Chętnie przebaczajmy, chętnie pomagajmy sobie nawzajem wedle możliwości. Za taki objaw praktycznego nabożeństwa do świętego Alojzego będzie on się wami opiekował w życiu, a po śmierci będziecie uczestnikami jego nagrody w niebie.

Słówko z 7 czerwca. Jutro idąc na przechadzkę, będziecie mieli sposobność oglądać żniwa. Przypominają mi one słowa Ewangelii: „Quas et seminaverit homo haec et metet”. Dobrze wiemy wszyscy, że gdy sieje się żyto, urośnie żyto, a jeśli jęczmień, to zakiełkuje jęczmień. Rzecz to oczywista. Wiemy też, że siew kosztuje dużo pracy, ale jakże potem wesole są dożynki. Tak samo rzecz się ma z uczynkami ludzkimi i cnotami. Jakie uczynki, taka nagroda. Ale i na to trzeba zwrócić uwagę,

że pewne gatunki zbóż sieje się na jesień, a inne na wiosnę. Także i dla siania dobrych uczynków wyznaczona jest pora. Otóż pytam: w jakiej porze życia należy zabrać się do tej siewby? Niech to powie NN (tu wywołał jednego z najniesforniejszych chłopaków). A on na to:

- Na wiosnę życia;
- A jeśli kto nie sieje w młodości?
- To nie będzie zbierał na starość.
- A co należy zasiewać?
- Dobre uczynki.
- A jakby, kto siał kąkol, to, co zbierze?
- Zbierze ciernie na starość.

Bardzo dobrze, bardzo dobrze, zapamiętaj to sobie, bo ci to bardzo potrzebne. A i wszyscy niech sobie to zapamiętają.

A mówi jeszcze Pismo święte:, że kto sieje wiatr, zbiera burzę. Tym wiatrem to namiętności. W waszym wieku są one jeszcze słabsze. Pamiętajcie jednak, że jeśli ich nie będziecie trzymali od początku w ryzach, będą rósć z wami i z biegiem lat sprowadzą straszne burze. Niedźwiadek wyrośnie na niedźwiedzia; mały lwi kociak na groźne lwisko. To odnosi się do wszystkich namiętności. Ale co najbardziej zalecam wam wykorzeniać, to namiętność przeciwną pięknej cnotie skromności. Najmniejsza nieostrożność w tym względzie jest groźna. Niech wam przykładem tej cnoty będzie św. Alojzy. Nie pozwólcie żadnej złej myśli, aby miała owładnąć waszym sercem. Ostrożni bądźcie w słowach, spojrzaniach, w zachowaniu się, słowem we wszystkim.

Szczególnie na tę cnotę niech zwrócą uwagę ci, co mają teraz zadecydować o swym powołaniu. Dobranoc.

Dnia 9 lipca tak mówił na temat milczenia: Wizytując ostatnio nasze zakłady, przekonałem się, iż tam bardzo sumiennie jest przestrzegana reguła, dotycząca milczenia, która tutaj w Oratorium mimo tylokrotnych upomnień jest nadal lekceważona. Zwracam, więc ponownie na to uwagę, po raz już chyba tysięczny i pierwszy oraz będę obserwował, czy wystarczy wreszcie, czy nie. Wymagam bezwzględnie, aby było milczenie, gdy się przechodzi z kościoła do uczelni i z uczelni do kościoła. Tak samo wieczorem po modlitwach, a tego milczenia nie wolno przerywać aż do czasu po Mszy świętej następnego dnia. Już tyle razy na to kładłem nacisk: był skutek, ale tylko na parę dni. I znowu rzędy się rozluźniały, jeden wyskakiwał w jedną stronę, drugi w inną, niektórzy darli się na całe gardło tak, że przekrzyczyć byli zdolni wszystkie przekupki turyńskie. Teraz zobaczymy. Nie chcę tu grozić żadnymi karami, ale kładę wam to na sumienie i spodziewam się, że się dogadamy. Zachowaniem porządku w rzędach sprawicie mi prawdziwą przyjemność. Ale właściwym motywem waszego dobrego sprawowania się, powinna być chęć przypodobania się Zbawicielowi i Jego Matce Najświętszej. Ileż to podobnych drobnych okazji macie, by zbierać sobie zasługi. Bądźcie pewni, że jeśli wymagam zachowania tych drobnych na pozór rzeczy, to czynię to jedynie dla waszego dobra.

Stosując się do tych zaleceń prawie niepostrzeżenie i bez większego trudu, postępujecie w cnotcie i zbieracie sobie zasługi bardzo liczne na niebo.

Dnia 8 sierpnia mówił: Jesteśmy w nowennie do Wniebowstąpienia Matki Boskiej. Nie ma wprawdzie u nas żadnych szczególniejszych nabożeństw z tej okazji, ale nie zaniedbujmy każdy ze swej strony, by prywatnie przygotować się do tego święta przez częstą Komunię św. jako też praktykując umartwienie czy to oczu, czy języka, czy smaku. Wypraszajmy sobie u naszej Wniebowziętej Pani tak szczęśliwe zejście z tego świata, jakie ona miała. Przecież Jej śmierć właściwie nie była śmiercią, ale spokojnym zaśnięciem. Wszystkim wam życzę podobnej śmierci.

Dnia 10 sierpnia – poleciwszy modlitwom zebranych duszę ojca jednego z księży, tak dalej mówił na temat śmierci:

Sprawa śmierci jest najważniejszą naszą sprawą. Jeżeli się nie uda wszystko stracone, bo się tylko raz umiera. Wielka to udręka dla umierających przypomnienie sobie grzesznych uciech życia. Ciężko im, gdy pomyślą, że zdrowia otrzymanego od Boga tak źle użyli, że rękami danymi im przez Opatrzność posługiwali się do kradzieży, czy innych grzechów. Bóg dał im język, a oni nim bluźnili, szemrali przeciwko przełożonym, prowadzili gorszące rozmowy. Bóg dał im oczy, a oni czytali nimi złe książki lub oglądali rzeczy sprośne. Mieli od Boga i bogactwa, a co z nimi zrobili? Używali ich dla zadowolenia swej dumy, swych kaprysów, rozpustnego życia. Gnębili ubogich, dręczyli biedaków. Ale nie będę nad tym się rozwodził, bo nie tyle was dotyczy. Z tego jednak, co powiedziałem, możecie wywnioskować, iż niegodziwcy cierpią nie tylko w samym momencie śmierci, ale gryzą się i w czasie poprzedzającej ją choroby. Wzdychają wtedy: Obym to zrobił... tak postąpił... A jeśli wyzdrowieją, to znowu to samo. Zapominają o swych postanowieniach. Nieszczęśliwcy – wszak w chwili śmierci chodzi o to, co się zrobiło, a nie tyle o to, co się niby chciało zrobić.

Nie czekajmy, więc do ostatniej chwili, by zacząć Bogu służyć, ale od dzisiaj zacznijmy. W niedzielę przypada święto Wniebowstąpienia Matki Boskiej. Oby każdy z nas rozważając błogie zaśnięcie Najświętszej Dziewicy, mógł sobie powiedzieć: Gdybym miał umrzeć w tej chwili, umierałbym chętnie, z nadzieją pewnego zbawienia. Prośmy o to gorąco Najświętszą Madonnę.

7. UN SOGNO

W roku 1876 ks. Józef Vespignani odważył się zagadnąć Księdza Bosko na temat jego snów, a mianowicie, jak się na nie zapatrywać. Ksiądz Bosko dał mu odpowiedź dość ogólnikową, ale wystarczającą, mówiąc, że w warunkach, w jakich przyszło mu pracować, bez żadnych środków materialnych, bez personelu, byłoby rzeczą niemożliwą uczynić coś dobrego dla młodzieży, gdyby Maryja Najświętsza Wspomożycielka nie przyszła mu z pomocą przez specjalne oświecenia i pomoc z Nieba. A więc sny Księdza Bosko należy przyjąć, jako właśnie te nadzwyczajne

oświecenia i jako tę szczególniejszą pomoc Madonny. W życiu Oratorium sny te miały wielkie znaczenie. Należały one do najistotniejszych jego czynników wychowawczych. Wspominano je długo i oczekiwano z wielkim napięciem. Zapowiedź, że Ksiądz Bosko będzie opowiadał swój sen, wywoływała u chłopców niezwykle podniecenie; słuchano go z najwyższym napięciem uwagi, zbawienne zaś tego skutki były natychmiastowe.

Otóż dnia 30 kwietnia Ksiądz Bosko, zachęcając swych ukochanych wychowanków do dobrego odprawienia miesiąca maja, zaleciwszy im większą pilność w pełnieniu swych obowiązków na cześć Matki Najświętszej, dodał, że ma sen do opowiedzenia. Nie chcąc jednak przedłużać swego przemówienia, obiecał opowiedzieć w następny wieczór. Chłopcy z ciekawości ledwie nie wyskoczyli ze skóry. Tym więc bardziej wzrosło ogólne podniecenie, że Ksiądz Bosko nie mógł dotrzymać słowa, gdyż weszły mu w drogę nieprzewidziane przeszkody. Sen ten mógł opowiedzieć dopiero 4 maja i tak zaczął:

Przychodzę dotrzymać obietnicy. Wiecie dobrze, że sny ma się wtedy, kiedy się śpi. Otóż w związku z waszymi rekolekcjami zastanawiałem się, jak też je odprawicie i co wam należałoby powiedzieć, abyście z nich odnieśli jak największy pożytek. Z tą myślą poszedłem na spoczynek w niedzielę, 25 kwietnia, w przeddzień waszych rekolekcji. Ledwie się położyłem i zasnąłem, gdy zdawało mi się, że znajduję się sam jeden w bardzo rozległej kotlinie, po bokach, której wznosiły się dwa pagórki. Z jednej strony horyzontu, gdzie teren się wznosił, biła wielka światłość, na drugiej zaś panował półmrok. Rozglądając się wokoło, ujrzałem podchodzących ku mnie Buzzettiego z Gastinim, którzy wołali:

Księżę Bosko, niech Ksiądz szybko wsiada na konia, a prędko, prędko.

Chyba sobie żartujecie ze mnie – odpowiedziałem. Wiecie przecież, że od dłuższego czasu nie dosiadałem konia. Oni jednak nalegali, mimo że wzbraiałem się, perswadując im: Nie wsiadam na żadnego konia, bo już raz z niego spadłem. Ci byli nieustępliwi i nalegali: Wsiadać, wsiadać i to szybko, bo nie ma czasu do stracenia.

Ależ koniec końcem, jak wsiądę to, co potem dalej? Dokąd mamy jechać?

Zobaczy Ksiądz, tylko proszę prędko wsiadać.

No a gdzież ten koń, żadnego konia tu nie widzę.

Otóż tam, zawołał Gastini, wskazując ręką kierunek.

Obróciłem się i ujrzałem rzeczywiście pięknego i dziarskiego wierzchowca, o smukłych nogach, bujnej grzywie, maści lśniącej.

No dobrze – rzekłem – skoro już tak nalegacie, to wsiadam na tego konia, lecz jeżeli spadnę.

Proszę być spokojnym, jesteśmy przygotowani na wszelką ewentualność.

Ale zaznaczam, że jeżeli sobie kark skręcę, to ty Buzzetti pamiętaj, abys mi z powrotem głowę nasadził na jej miejsce.

Buzzetti zaczął się śmiać. Nie ma czasu na śmiechy – fuknął Gastini.

Zbliżyliśmy się do konia, na którego wgramoliłem się z wielkim trudem. Jak bardzo wysoki wydawał mi się ten rumak. Miałem wrażenie, iż znajduję się raczej na

wyniosłym wzgórzu. Oczyma obejmowałem całą tę wspaniałą kotlinę. Nagle mój bachmat ruszył z kopyta: i oto nowa osobliwość. Miałem wrażenie, że jestem w swoim pokoju. Więc mówię sam do siebie: gdzie ja się właściwie znajduję? Tym bardziej zaś byłem niespokojny, bo widziałem jak przychodzą do mnie księża, klerycy i inni, wielce zakłopotani i przestraszeni.

Po dość długiej podróży mój koń stanął. Otoczyli mnie owi księża i klerycy, między którymi ujrzałem ks. Rua, ks. Cagliero, ks. Bologna. Wszyscy podziwiali wierzchowca, na którym siedziałem, ale nikt słowa nie przemówił. Myny ich zdradzały jakieś niebywałe zakłopotanie. Przyzwałem, więc księdza Bologna i mówię mu:

Księżu Bologna, ksiądz ma pokój blisko portierni, czy nie wie, co zaszło w domu, dlaczego wszyscy są tak przygnębieni?

A on mi na to: Sam nie wiem, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, straciłem zupełnie głowę. Wciąż przychodzi tu mnóstwo, coś rozmawiają między sobą i odchodzą. W portierni jest straszne zamieszanie, nie można sobie dać rady.

Czyżby może – powtarzałem sobie – dzisiaj miało zdarzyć się coś niebywałego?

Wówczas podano mi jakąś trąbkę, abym ją trzymał, bo mi się przyda. Ale gdzież ja się znajduję – pytam.

Zadmij w trąbę.

Zadąłem, a z trąby wydobył się głos: Jesteśmy w krainie próby.

Wtedy ujrzałem olbrzymie mnóstwo chłopców. Było ich setki, tysiące. Schodzili z jednego pagórków. Wszyscy uzbrojeni byli w widły i maszerowali śmiało ku dolinie. Byli to chłopcy z Oratorium i z innych naszych zakładów, ale większości z nich wcale nie znałem.

W tej chwili z przeciwnej strony horyzontu niebo zaczęło się gwałtownie ściemniać, jakby noc nastąpiła, a równocześnie pojawiło się niezmierne mnóstwo zwierząt, podobnych do lwów, czy tygrysów. Straszne te bestie, z grubymi cielskami, o nogach krępych, szyjach długachnych, łby miały raczej małe. Ale mordy ich budziły grozę, zwłaszcza z powodu czerwonych ślepi, wychodzących im z oczodołów. Wstrętne te potwory rzuciły się na chłopców, ale ci stanęli odważnie do walki. Trzymając w ręku widły o dwóch zębach, nastawiali je przeciwko tym potworom, to wznosząc, to zniżając, zależnie od zachowania się owych zwierząt, które nie mogąc za pierwszym impetem zwyciężyć, gryzły widły, a połamawszy na nich kły, pierzchały. Niestety niektórzy chłopcy mieli widły jednozębne i ci zostali pokrwawieni. Inni mieli rękojeści złamane lub spróchniałe, a co najgorsze, to bardziej zarozumiali stanęli do walki bez broni. Ci wszyscy padali ofiarą rozjuszonych zwierząt, które ich rozszarpały. Niestety było ich niemało. Więcej jednak było tych, co mieli widły dobre o dwóch zębach.

Mój koń z początku również został otoczony przez wielką masę owych gadów, ale podskakując i kopiąc na wszystkie strony, pozgniatał je i odpędził. Przy tym stawał się coraz wyższy i coraz bardziej unosił się w górę.

Z ciekawości zapytałem, co oznaczają widły o dwóch zębach. W odpowiedzi podano mi jedno. Na pierwszym zębie był napis: Spowiedź św., a na drugim; Komunia św.

Ale co oznaczają owe zęby?

Zadmij w trąbę.

Zatrąbiłem i usłyszałem głos: Spowiedź i Komunia św. dobrze odprawiona.

Zadałem jeszcze w trąbę i znowu usłyszałem: Rękojeść złamana – to Spowiedź i Komunia św. niedobrze odprawione. Rękojeść podpróchniała – spowiedzi niedbałe.

Po owym pierwszym napadzie objechałem konno pobożowisko, na którym leżało wielu rannych i zabitych. Niektórzy byli uduszeni, ze szyją nabrzmiałą, drudzy mieli twarze straszliwie powykrzywiane, inni padli z głodu, choć w pobliżu nich stały półmiski, pełne smakołyków. Owi uduszeni – to ci, którzy popełniwszy grzech w młodości, nigdy nie wyznali go w spowiedzi. Ci z twarzami powykrzywianymi – to obzartuchy. Zmarli z głodu – to ci, co chodząc do spowiedzi, nie korzystają z rad i upomnień spowiednika.

Obok tych, u których rękojeść wideł była spróchniała, były wypisane wyrazy: Pycha – lenistwo – nieskromność – itd. Należy jeszcze zaznaczyć, że chłopcy w czasie owego marszu, stąpali po różach bardzo zadowoleni, po kilku jednak krokach niektórzy z krzykiem padali na ziemię, zdrętwiali, czy ranni, z powodu kolców ukrytych pod płatkami róż. Inni natomiast postępowali odważnie i zachęcając się wzajemnie, przydeptywali kolce i tak odnosili zwycięstwo.

Wtem znowu ściemniło się niebo i nagle wyskoczyło jeszcze większe mnóstwo tychże potworów, co poprzednio, które w ciągu paru sekund otoczyły mego konia. Bestie te strasznie się rozrastały, iż sam się ich przeraziłem, bo mi się zdawało, że już mnie dosięgną swoimi szponami. Ale w sam raz podano mi widły tak, że mogłem się obronić i zmusić je do ucieczki. Wkrótce wszystkie znikły, bo każdy, jeśli w pierwszym natarciu nie zdołał przemóc, to w tej chwili gdzieś się zapodziawał. Zadałem wtenczas w trąbę, a po dolinie rozległ się potężny głos: Zwycięstwo, zwycięstwo... Lecz jakże – pomyślałem sobie – nazwać to zwycięstwem, skoro tylu jest rannych i zabitych?

Zadałem, więc ponownie w trąbę i usłyszałem: Czas dla zwyciężonych.

Wnet niebo dotychczas ciemne wypogodziło się i zajaśniała różnokolorowa tęcza, tak cudna, że niepodobna jej opisać. A była szeroka i wielka. Mogłaby oprzeć się jedną stroną o Supergę, a drugą Mont`Cenisio. Dodać tu jeszcze trzeba, iż zwycięscy mieli na głowach korony mieniające się barwnymi brylantami, iż rozkoszą było na nich patrzeć. Twarze ich jaśniały przedziwnym blaskiem i pięknnością. W głębi, za tęczą, wznosiło się podwyższenie, pełne rozradowanych postaci tak pięknych, iż trudno to wyrazić. Na przedzie, jakby na balustradzie, stała majestatyczna Pani w królewskim płaszczu i wołała: Dziateczki moje, przybywajcie i chrońcie się pod mój płaszcz. W tejże chwili, od owej Pani rozpostarł się wielki płaszcz. Chłopcy zaczęli biec pod niego, a niektórzy wprost jakby fruwali, a to ci, co mieli na czole

niewinność. Inni szli pieszo, byli i tacy, co wlekli się za ledwie. Wtedy ja zacząłem biec, myśląc sobie: Przecież to się musi skończyć, bo inaczej to umrzemy wszyscy. Tak myślałem biegnąc... i obudziłem się.

Do tego snu powrócił jeszcze Ksiądz Bosko dnia 6 maja, w święto Wniebowstąpienia. Zgromadziwszy wszystkich tak gimnazjalistów jak rzemieślników, mówił do nich:

Owego wieczoru, opowiadając wam powyższy sen, nie mogłem wszystkiego powiedzieć, gdyż słuchały tego także osoby obce, a ja chciałbym, żeby te rzeczy pozostały tylko pomiędzy wami i nie wypada o nich pisać nawet do rodziców ani do znajomych. Chętnie mówię o wszystkim, także o własnych grzechach, ale tylko do was. Otóż owa dolina, owa kraina próby, to ten świat. Półmrok – to miejsce zatracenia. Owe dwa pagórki – to przykazania Boskie i kościelne. Węż – to szatany; potwory zaś – to pokusy do złego. Ów koń – to jakby ów rumak, który powalił Heliodora, a symbolizuje ufność w Bogu. Ci, co kroczyli po różach i ginęli, to ci, co wśród rozkoszy tego świata zadają śmierć swej duszy. Ci, co deptali róże, oznaczają tych, co wzgardzili ucieshami światowymi i zostają zwycięzcami.

Kto by chciał wiedzieć, jaką miał wówczas broń i czy należał do zwycięzców, czy względnie był zabity lub ranny, to z biegiem czasu mogę każdemu z poszczególna powiedzieć. Wprawdzie wszystkich tam obecnych nie znałem, ale was tu z Oratorium rozpoznałem wszystkich. Być może, że owi nieznani mi przyjdą dopiero do Oratorium.

Sekretarz ks. Berto, który spisał to opowiadanie, przyznaje się, iż wielu szczegółów już nie pamięta, które Ksiądz Bosko obszerniej wyjaśnił. Więc zapytał go 7 maja, będąc u niego w pokoju:

Jak Ksiądz może zapamiętać wszystkich chłopców, jakich ogląda we śnie? a następnie każdemu powiedzieć, w jakim go oglądał stanie, wskazując mu przez to jego wady?

Ech, to za pomocą: Otis, Botis, Pia, Tutis. Jest to jedna z tych odpowiedzi wymijających, jakie dawał na pytania ambarasujące.

Również księdzu Barberisowi, który zagadywał go na temat tego snu, odpowiedział bardzo poważnie: Jest w nim coś więcej, niż zwykły sen. I na tym przerwał rozmowę, przechodząc do innego tematu.

Ks. Berto kończy swoje opowiadanie słowy: Także ja, który piszę te rzeczy, odważyłem się zapytać go o samego siebie: Otrzymałem odpowiedź tak dokładną, że się rozpląkałem i powiedziałem sobie: Nawet gdyby Anioł z nieba przyszedł, nie mógłby lepiej mego stanu wyrazić.

Do tego snu wrócił jeszcze Ksiądz Bosko dnia 4 czerwca owego roku. W związku z nim taki odbył się dialog między Świętym a księdzem Barberisem:

Ks. Barberis: Jeśli Ksiądz Bosko pozwoli, to chciałbym zadać kilka pytań, odnośnie ostatniego jego snu.

Ksiądz Bosko: No to powiedz, o co ci chodzi. Wprawdzie upłynęło już sporo czasu, ale mniejsza o to.

Ks. Barberis: Otóż opowiadał nam Ksiądz, że przy końcu snu niektórzy lecieli pod płaszcz Matki Najświętszej, wielu biegło, inni szli powoli. Niektórzy człapali w błocie, bardzo powaleni i nie dochodzili pod płaszcz. Już wiemy, że ci pierwsi, to niewinni; co do drugich, łatwo się domyśleć. Ale ci powaleni, kogo przedstawiają?

Ksiądz Bosko: Ci obłoceni, co nie doszli pod płaszcz Madonny, to ci, co mają wielkie przywiązanie do dóbr tej ziemi; to egoiści, którzy myślą tylko o sobie, niezdolni wznieść się ku rzeczom niebieskim. Czują, że Matka Najświętsza ich woła, chcieliby usłuchać, a nawet czynią już kilka kroków, ale błoto ich więcej pociąga. Mówi Zbawiciel, że „gdzie jest twój skarb, tam jest i serce twoje”. Ci nie myśląc o skarbach, jakie niesie Łaska Boża, przywiązują serce do rzeczy ziemskich, chcąc tylko tu używać, bogacić się, stać się sławnymi, a Niebo nie odgrywa w ich życiu żadnej roli.

Ks. Barberis: Jest jeszcze jedna rzecz, o której Ksiądz Bosko nie mówił nam, opowiadając sen, ale, o której słyszeli niektórzy prywatnie od niego, a mianowicie, że gdy zapytali, czy oni biegli, czy tylko wlekli się pod płaszcz ów, to Ksiądz im odpowiedział, że jakaś chmura przeszkadzała mu i nie widział ich dobrze.

Ksiądz Bosko:, Jako teolog, powinieneś to wiedzieć. Prawdą jest, że kilku chłopców widziałem, nie mogąc sobie uświadomić, co się z nimi działo. Są to ci, którzy trzymają się z dala od przełożonych i nie są szczerymi. Z tego powodu nie mogłem im dać innej odpowiedzi jak tylko podkreślić, że ty nie jesteś szczerzy wobec przełożonych. Pamiętajcie jednak, moi drodzy, że będzie to dla was wielce korzystne, jeśli będziecie mieli pełne zaufanie do przełożonych.

Ks. Barberis: Jeszcze jedno, ale boje się, bym nie został posądzony o zbyt dużą ciekawość.

Ksiądz Bosko: No, o tym, żeś ciekawski, wszyscy dobrze wiedzą /ogólny wybuch śmiechu/. W każdym razie jest i ciekawość dobra, jeśli prowadzi do poznania prawdy. Gorzej jest z tymi, co zawsze gdzieś się kryją jak sowy, nigdy o nic się nie pytają.

Ks. Barberis: Nie chcę do tych należeć, więc się pytam o to, co do czego ciekawość mnie dawno męczy. Czy Ksiądz Bosko w owym śnie widział rzeczy przeszłe, czy także przyszłe, co kto z nas będzie robił i czym kto zostanie?

Ksiądz Bosko: Nie tylko przeszłość, ale i przyszłość waszą widziałem. Każdy chłopak miał przed sobą wiele dróg. Niektóre były bardzo wąskie i pełne kolców, a niektóre nawet nabite ostrymi gwoździami, ale drogi te również były pełne Łaski Bożej i kończyły się we wspaniałym ogrodzie.

Ks. Barberis: A więc może nam Ksiądz powiedzieć, jakie jest powołanie każdego z nas, jaką drogą pójdziemy i jak się z nami skończy.

Ksiądz Bosko: Odnośnie do tego, jaką drogę każdy z was wybierze i jak skończy, nie jest rzeczą odpowiednią mówić. Gdybym któremuś z was powiedział: Ty pójdziesz drogą bezbożnika, na pewno by mu to dobrze nie zrobiło. To, co mogę powiedzieć jest to, że kto pójdzie drogą swego powołania to pójdzie drogą zbawienia; kto z niej zboczy, ten schodzi na manowce. Pewno, że niektóre drogi życia ciasne są i pełne kolców, ale nie traćcie odwagi, Łaska Boża będzie wam towarzyszyć, zaś nagroda, jaka was oczekuje, każe prędko zapomnieć o wszelkich ukłuciach życiowych.

Ostatecznie, co wam chcę jeszcze powiedzieć, jest to, iż wszystko, co opowiadałem, to było snem i nikt nie jest zobowiązany w to wierzyć, ale jeśli wam coś odpowiada, z tego korzystajcie. A dalej, o czym chciałbym, abyście nie zapomnieli, jest to: abyście się za mnie modlili – *ne cum aliis presdicaverim, ipse reprobis efficiar.*

Polecajcie mnie, więc naszemu Zbawicielowi i zbawienie mojej duszy. Łatwo, bowiem mogłoby się stać ze mną, jak z kwoczką, która zbiera robaczki i ziarna dla swoich kurczątek, a sama by wnet zginęła z głodu i wycieńczenia, gdyby nie pomyślano o obfitym dla niej pokarmie.

Niech, więc wasze modlitwy będą tym pokrzepieniem dla mnie i pomocą, abym mógł przyozdobić swe serce wielu cnotami i tak mógł podobać się Bogu, byśmy wszyscy kiedyś razem godnymi byli cieszyć się chwałą w Niebie u stóp Najświętszej naszej Madonny. Dobranoc.

R O Z D Z I A Ł X I

JESZCZE O ŻYCIU ORATORIUM W ROKU 1875

Nie tylko gimnazjaliści i rzemieślnicy zamieszkiwali w Oratorium, ale pod ojcowską opieką Księdza Bosko nabierali tam ducha aspiranci i nowicjusze, pracowali profesji, których była znaczna liczba. W tym rozdziale chcemy właśnie wykazać, jak te różne elementy chłopięce i zakonne, starszych i młodszych, umiał Ksiądz Bosko złączyć w jedną, kochającą się rodzinę. Rozpocznijmy od aspirantów, którzy po większej części skupieni byli w Oratorium.

1. ASPIRANCI

Według zdania ordynariusza turyńskiego Ksiądz Bosko miał się przechwalać, iż dostarcza powołań do seminarium diecezjalnego, a właściwie to ściągał do siebie młodzież z okolicznych diecezji, a potem „zamieszawszy warzechą”, co lepsze zostawiał dla siebie, a gorszych odsyłał biskupom. /Takie przynajmniej informacje, wyjęte z listu Kurii turyńskiej, przesłał Księdzu Bosko adwokat Menghini, pod datą 5 września 1875 r./ Konia z rzędem temu, kto będzie umiał pogodzić powyższe twierdzenie z tym, co w tymże samym środowisku kurialnym mówiło się na temat nieudolności personelu salezjańskiego, złożonego z tych „lepszych”.

Pewno, że nieraz do Oratorium zgłaszały się indywidualności wybitne i oczywiście ci nie byli odsyłani. W wigilię święta Niepokalanej, w czasie poufnej pogadanki ze swoimi najbliższymi, wypowiedział się Ksiądz Bosko na temat, dlaczego Oratorium ma tyle powołań. Na 500 gimnazjalistów – mówił on, którzy są w Oratorium, przeszło 400 i więcej, gotowych jest obecnie przywdziać suknię klerycką i swoim zachowaniem na to zasługują. Bez wątpienia pewna ich część zgubi się w czasie dalszych studiów, a zwłaszcza w czasie wakacji. Mimo tego liczba pozostałych będzie jeszcze znaczna. Tymczasem przyjdą nowi. Pociąga ich szerokie pole naszej pracy, jej różnorodność, sposób naszego życia i tak chętnie pozostają z nami.

A ponieważ było troską dyrektorów także innych naszych zakładów, aby żyły duchem Oratorium, stąd i o nich mógł Święty powiedzieć, że w czasie wizytacji przekonał się i tam o licznych powołaniach do stanu zakonnego i kapłańskiego.

W tym względzie w ciągu ostatnich lat dużo się po naszych kolegiach zmieniło. W pierwszych początkach swej działalności Ksiądz Bosko miał zaledwie kilku pomocników. Z nimi mówić o sprawie powołania trzeba było bardzo ostrożnie i nieznacznie, jakby półgębkiem, by nie odstraszać kandydatów. „Gdyby na ten temat

Ksiądz Bosko nam jasno mówił – powiada jeden z najbardziej przywiązanych jego synów - ks. Barberis – wszyscy bylibyśmy zwiali”.

Stąd też wyrażał się zwykle w ten sposób:

Czy ty życzysz dobrze Księdzu Bosko? A może byś okres swego bycia klerykiem chciał spędzić w Oratorium? A czy nie zechciałbyś pomagać Księdzu Bosko? Och, ileż mamy pracy. Choćby tu było najwięcej kleryków i księży, dla wszystkich znalazłaby się robota.

W ten sposób starsi zostali pociągani przez Księdza Bosko do współpracy z nim, a przywiązanie ich do niego robiło resztę. Miał on specjalny dar od Boga pociągania młodzieży do życia głębszego, bez cienia jakiegokolwiek przymusu moralnego. I tak, kiedy ks. Barberis, jeszcze jako chłopak, przyszedł do niego i oświadczył, że rodzice starają się mu o miejsce w Oratorium, wobec czego chciał prosić o poradę, co ma zrobić. Święty mu odpowiedział:

Napisz im, że czujesz wdzięczność dla Księdza Bosko za wszystko, co dla ciebie już uczynił i że chciałbyś z nim pozostać, aby mu, jako kleryk pomagać w różnych pracach, jakie są do spełnienia w Oratorium, czy to w szkole, czy podczas asystencji.

A teraz przedstawiamy czytelnikom na jednym przykładzie, jak takie rozmowy na temat powołania się odbywały. Otóż obecny ks. Vacchina właśnie w tym roku kończył piątą gimnazjalną. W ostatnich miesiącach poważnie zastanawiał się nad swoim powołaniem. W czasie pierwszej rozmowy z Księdzem Bosko na ten temat, usłyszał: Na razie pilnuj nauki, módl się, a potem zdecydujemy. Dni upływały, a to „potem” nie nadchodziło. Zdenerwowany czekaniem, wcisnął się pomiędzy tych, co otaczali konfesjonał Świętego i przygotowany dobrze czekał na jego przybycie. Był w szeregu pierwszy. Gdy nadszedł Ksiądz Bosko, kazał mu poczekać na koniec. Dopiero, gdy wszyscy się wyświadczyli, pobłogosławił go i kazał mu przejść z lewej na prawą stronę by się wyświadczył. Na końcu chłopak poprosił o obiecaną decyzję. Otrzymał poradę, by został kapłanem, ale nie w świecie.

W takim razie, jeżeli nie ma trudności to ja pozostanę tu z Księdzem Bosko, tu w Oratorium.

Owszem, odpowiedział Ksiądz Bosko będą z tego bardzo zadowolony. Widzisz, ja ci zawsze dobrze życzyłem i byłem szczerym twoim przyjacielem, choć i tego nie okazywałem. Ucz się dalej i módl się i dawaj dobry przykład.

Powiedział mi jeszcze inne rzeczy – pisze tenże ks. Vacchina z taką ojcowską serdecznością, że się rozplakałem, do Komunii św. osobno przystąpiłem o dziewiątej, zapominając o bułce na śniadanie i tak zawsze oczekiwanej kiełbasie. Wiadomo przecież, że Ksiądz Bosko zwracając chłopcom myśl na duszę, nie zapominał o żołądku w czasie ćwiczenia dobrej śmierci. W dniach większej łaski Bożej, powinno i ciało być zadowolone.

Przyjmując aspirantów Ksiądz Bosko nie otwierał dla nich drzwi na oścież, ażeby do Oratorium wciskali się „ovens et boves”. Na posiedzeniu, w dniu 7 listopada, na dziewięciu przyjęto ośmiu. Dziewiąty, chociaż już uczęszczał na filozofię do Oratorium, został tymczasowo zawieszony od studiów i przydzielono mu inne zajęcie domowe, tak jednak, by się nie spostrzegł, że to jest uczynione na prośbę ad tempus.

Z dobrocią łączył Święty roztropność. W roku 1873 w przyjmowaniu do nowicjatu był więcej wymagający niż w latach uprzednich, zwłaszcza jeśli chodziło o kleryków. Należy, mówił do swoich kapitulnych bezwzględnie odsyłać takich, co nie dali pewnych dowodów swej wartości moralnej, względnie wobec przełożonych nie byli zupełnie szczerzy i otwarci. Dla koadiutorów można być więcej pobłażliwym, ale odnośnie do kleryków nie. Co do moralności trzeba zapamiętać, że nie wystarcza doraźna dobra wola, ani chwilowe postanowienie, co może wystarczyć do otrzymania rozgrzeszenia, bo to nie jest dowodem, że upadki się nie powtórzą. Tacy, jeżeli przez dłuższy czas nie dali dowodów prawdziwej wytrwałości, nie zasługują na zaufanie. Upadki zwykle się powtórzą.

Główni Przełożeni, stosownie do życzenia Księdza Bosko, starali się z roku na rok coraz lepiej organizować życie w Oratorium i całe kierownictwo Zgromadzenia. W związku z tym nasunęła się wątpliwość, czy należy dla aspirantów żądać od ordynariuszy litterae testimonio, czego dotąd nie robiono, już to, dlatego, że bezwzględna większość z nich od lat chłopięcych przebywała w Oratorium, już to, dlatego, że Ksiądz Bosko był zdania, że może korzystać z przywileju udzielonego mu przez Piusa IX *vivae vocis oculo* (spr.!), a nie było dotąd żadnych większych racji, aby zmienić postępowanie, biorąc zwłaszcza pod uwagę, że nie tylko Kuria turyńska, ale i z Ivrei miałyby w tym względzie swoje zastrzeżenia, a właśnie z tych diecezji było najwięcej aspirantów. Takie jednak postępowanie mogło ściągnąć poważne monitum ze strony Kongregacji Zakonników, w razie, jakichś donosów w tym względzie, których tyle szło stale do Rzymu z Kurii turyńskiej. Niech by, więc było coś na piśmie na wszelki wypadek. Ksiądz Bosko zdecydował na razie, by *quieta non movere*: a on, gdy będzie w Rzymie, tę rzecz załatwi.

Ważniejsza była sprawa, by stosownie do ówczesnych przepisów kanonicznych wyznaczyć skrutatorów generalnych i prowincjalnych, którzy by egzaminowali kandydatów do Zgromadzenia. Oczywiście z początku było to niemożliwe, skoro samo Zgromadzenie składało się zaledwie z kilku członków. Obecnie postanowiono jednak do tego się zastosować, mimo przywilejów Księdza Bosko. Zdecydowano, więc, że Kapituła Główna będzie stanowiła Komisję Generalną, zaś domowe kapituły zastąpią tę prowincjalną.

Pierwszy raz takie skrutynia odbyły się w Lanzo, od 9 do 16 września, w czasie rekolekcji, w których brali udział wszyscy członkowie kapituły. Zostało wtedy dopuszczonych 18 – tu kandydatów do profesji wieczystej, a jak notuje kronikarz, po raz to pierwszy na jednym posiedzeniu tylu zostało przyjętych do Zgromadzenia.

W listopadzie suknię klerycka przywdziało 48 nowicjuszków, rzecz dotąd niebywała. A większej jeszcze liczby spodziewano się na rok następny. Duch, jaki

ożywiał tych kandydatów, z roku na rok widocznie się podnosił. W poprzednich latach kilku musiało suknię złożyć, inni po paru miesiącach przeszli do seminariów diecezjalnych. Obecnie coś podobnego nie zapowiadało się.

Najwięcej z tego cieszył się, obok Księdza Bosko, ówczesny magister nowicjuszy, ks. Barberis, który w takich słowach, przelał na papier swą radość w swych zapiskach: 4 lata temu wszyscy dziwiliśmy się, mówiąc - O, w tym roku 18 nowych kleryków – rzeczywiście piękna to cyfra. Jeszcze w Oratorium tylu nigdy nie było. W następnym roku liczba ta wzrosła, tak samo i w rok potem. W następnym jeszcze bardziej, bo już było trzydziestu i wszyscy wprost wykrzykiwali z radości: to bajeczne. Jeszcze tak dotąd nie było. Teraz jest ich 48, a na przyszły rok będzie o wiele więcej. Idziemy z postępem geometrycznym. Zdumienie wszystkich ogarnia i powtarzają za psalmistą: *A domino fatum est istud et est mirabile in oculis nostris.*

2. ASCRITTI

W tym roku życie nowicjatu uregulowało się bardzo dużo. Może to zdanie zdziwi kogoś, co mniej orientuje się w pierwotnym życiu Oratorium. Przecież, jeśli Oratorium jest dziś tym, czym jest, to tylko dzięki temu, że najpierw było tym, czym być mogło. Dużo cierpliwości potrzebował Ksiądz Bosko, zanim wytworzył koło siebie atmosferę, jakiej pragnął. Był czas, kiedy sam wyraz: nowicjusz – mógł zdenerwować odważniejszych, a zniechęcić tych słabego ducha. Dopiero w 1874 roku posłużył się Ksiądz Bosko tą nazwą. W 1875 r. zaś już do niej przyznawali się i nowicjusze.

Jest rzeczą doprawdy ważną, byśmy się lepiej zorientowali w atmosferze, jaka panowała w Oratorium, w pierwszym okresie naszej salezjańskiej historii. Nie będzie to na szczęście trudne, bo warunki wtedy panujące opisuje i komentuje sam Ksiądz Bosko. Posłuchajmy jak wyraża się o owych perypecjach.

„Ileż różnych nieporządków zewnętrznych zdarzało się w owych latach: zaciekle wprost walki między klerykami, kłócącymi się na tematy literackie i teologiczne, zupełnie nie na czasie i bez sensu; bałagan, jaki robili w swojej uczelni, kiedy nie było w niej chłopców; wielu rano po dzwonku pozostawało w łózkach inni nie szli na lekcje nikomu nic nie mówiąc; nie było czytania duchownego i rozmyślenia, ani innych praktyk pobożnych, oprócz tych z chłopcami. Teraz natomiast ile to rzeczy się zmieniło. Powoli, ale stale wszystko ulepsza się i krzepnie.

Ja oczywiście widziałem te nieporządki, ale patrzyłem na nie na razie przez palce, aby tylko naprzód. Gdybym chciał temu wszystkiemu naraz położyć kres, wypadło by mi było zamknąć Oratorium i rozpuścić chłopców, gdyż klerycy absolutnie nie poddali by się pod surowszy regulamin i poszliby sobie wszyscy. A ja wiedziałem, że przecież oni, choć bardzo roztrzepani, jednak dużo pracowali i chętnie. Dobre mieli serca, moralność u nich była bez zarzutu i czułem, z biegiem czasu, jak się mi wyszumią, staną się dzielnymi dla mnie pomocnikami. I rzeczywiście muszę przyznać, iż z wielu obecnych księży w Zgromadzeniu, co właśnie do liczby tych

należeli, teraz dzielnie pracują, najlepszego są usposobienia i mogą na nich liczyć. A wtedy na pewno by odeszli, niezdolni dostosować się do większych rygorów.

Ale też trzeba zauważyć, iż to całkiem inne były czasy. Zgromadzenia nie można było zakładać według utartych formułek. Wszak ja byłem sam: w dzień lekcje, po południu – kursy wieczorowe; przy tym trzeba było pisać książki, głosić kazania, asystować, administrować i zaganiać o fundusze. Gdybym chciał, by wszystko szło jak w zegarku, nie byłbym, nic wskórał. Ostatecznie Oratorium mogło dziś zaliczać się do zakładów liczących 50, najwyżej setkę wychowanków”. Dotąd Ksiądz Bosko

Podstawą życia zakonnego pozostanie zawsze pobożność. Z praktyk pobożnych dwie zajmują czołowe miejsce: doroczne rekolekcje i rozmyślanie codzienne. W 1875 roku nowicjusze mieli rekolekcje osobno, dostosowane do ich potrzeb. Wiadomą jest rzeczą, że tym lepiej urobi się ducha zakonnego wśród nowicjuszy, im bardziej będą oddzieleni od reszty personelu. Osobno, więc w ciągu roku, zaraz po wstaniu mieli rozmyślanie, osobne także czytanie duchowne, osobne sypialnie, podwórze. We Mszy św. uczestniczyli z absydy kościoła oddzieleni od reszty wiernych z miasta.

Nowicjusze nie przerywali nauk, przerabiając program klas licealnych, z większym uwzględnieniem filozofii. Rosnąca ich liczba i różny poziom umysłowy spowodowały, iż trzeba ich było podzielić na dwie sekcje: jedna dokładnie przerabiała program licealny, w drugiej głównie kładziono nacisk na filozofię, biorąc innych przedmiotów tyle tylko, co było niezbędne dla ogólnej kultury, jak to praktykowano po seminariach. Zawsze jednak magister uważał, aby nauka nie przeszkadzała pracy wewnętrznej. Oczywiście na taki sposób urządzania nowicjatu mógł Ksiądz Bosko pozwolić sobie tylko na podstawie specjalnych upoważnień od Piusa IX, które również pozwalały mu na posługiwanie się nowicjuszami do asystencji i do nauczania w szkole. Zresztą ks. Barberis pozostawał w ścisłym kontakcie ze Świętym i najdrobniejsze szczegóły życia nowicjackiego z nim omawiał.

A teraz zobaczymy, jakimi kryteriami kierował się wielki Założyciel salezjanów w dopuszczeniu do profesji. W tym pytaniu chodzi nam o ducha, w jakim były interpretowane świeżo zatwierdzone Reguły Zgromadzenia. Oto kilka szczegółów:

Dnia 10 grudnia było posiedzenie Kapituły Wyższej, z udziałem magistra w sprawie dopuszczenia do ślubów wiecznych.

Stanowczo nie dopuszczono do profesji jednego, który zaglądał do butelki. W tym względzie Ksiądz Bosko zaznaczył, iż należy postępować bardzo stanowczo. Nie wystarcza, że upomniani przyrzekają nawet bardzo uroczyście, iż się to już nigdy więcej nie powtórzy. To nie daje żadnej gwarancji rzeczywistej poprawy. Ich „już nigdy” – jest zawsze domyślnym: „dopóki nie będzie okazji”. I podał przykład: jeden z jego kolegów z lat szkolnych, niestety popadł w nałóg zaglądania do kieliszka. Upomniany zapewniał na wszystkie świętości, iż się poprawi. Pewnego nawet dnia, spotykając Księdza Bosko, powiedział mu: „Niech Ksiądz jest pewny, że nigdy coś podobnego się nie zdarzy, bym miał „dźwigać łokieć” /wyrażenie włoskie o pijakach/.

Jestem zdecydowany, bezwzględnie zdecydowany, na śmierć i życie, owszem, odtąd postanowiłem, nawet nie popatrzyć na wino do końca swego życia. Ale gdzie tam. Na drugi dzień rano tak się złożyło, że Ksiądz Bosko klęczał w ławce koło ołtarza, gdzie ten odprawiał Mszę św. i przy ablucji końcowej usłyszał, jak ten „absolutnie zdecydowany na wszystkie świętości” bureczał na ministranta: lej śmiało, śmiało. Przecież nie lejesz ze swego, „urwimazgaju”. Ksiądz Bosko w przekonaniu, że ten przecież ma najlepsze chęci i tylko tak się zapomniał zwrócił mu uwagę na niewłaściwość podobnego odezwania się. Ten uznał w pełni swój błąd i odnowił swe uroczyste przyrzeczenie poprawy. W kilka dni potem jednak Święty mógł widzieć, jak tego nieszczęsnego abstynenta wieziono dorożką upitego jak bela”.

I postawił jeszcze jedną kwestię: „Dajcie dziś wszystkim wychowankom choćby tylko kieliszek mocniejszego wina. Jutro niech zrobią oni dobry rachunek sumienia i niech wam się zwierzą, a zobaczycie, co się stało. Chłopcy ci, nie zdają sobie nawet sprawy, co i jak będą mieli do wyrzucenia sobie wiele złych myśli i pokus, a mógłbym nawet stwierdzić z całą pewnością, że nie obeszło się bez upadków”.

Tu ks. Rua zwrócił uwagę, że i niektórzy profesorzy w ciągu roku szkolnego, skądinąd bardzo zacni, a jednak trzymali swoją butelkę w pokoju. Ksiądz Bosko na to: „Takie rzeczy nie powinny się zdarzać. No, ale ostatecznie można im darować, skoro nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie to grozi. Oczywiście, o ile uważa się, że na razie nie wypada krótko uciąć. W każdym razie jest to wypadek poważny i na przyszłość trzeba go mieć na uwadze”.

A teraz przytoczymy rozmowę Księdza Bosko z księdzem Barberisem na temat nowicjuszy, w której poruszony jest cały szereg problemów, związanych z życiem nowicjackim. Rozmowa miała miejsce w pierwszych dniach lipca, a więc, gdy kończył się rok szkolny i nowicjacki.

Ks. Barberis zaczął od nowicjusza, który między kolegami ostentacyjnie jakby chełpił się, że wraca do domu. „Postaraj się, by poszedł sobie jak najprędzej – zadecydował Święty Założyciel. Przy czym powiedz mu ode mnie, że w każdej chwili, gdy tylko poprosi, zaraz otrzyma zwolnienie. Ale póki jest u nas, niech sobie założy kłódkę na gębę i niech nie odważy się więcej na tę gadaninę, bo będę zmuszony chwycić się surowszych środków. U Jezuitów w podobnych wypadkach taki ani jednej doby nie może dłużej pozostać w klasztorze, nawet nie wolno mu więcej z nikim rozmawiać. I słusznie. Wszak skoro zacznie mówić, że sobie idzie, to go towarzysze pytają dlaczego? Właściwym powodem jest, że nie ma chęci do pracy nad sobą, do umartwienia. Ale o tym braku cnoty nigdy się nie mówi, za to wysuwa się cały szereg pretensji: to mi się nie podoba, tamto niedobre, ten znów ma do mnie uprzedzenia itd. Łatwo się domyślać, jak to działa destruktywnie na otoczenie. To prawdziwe zarzewie niezadowolenia, szemrania, krytyki w domu”.

No tak – zauważa magister – ale ten nowicjusz ma bardzo skandaliczne przykłady w domu. On, by tam nie powinien wracać.

„Wiem o tym – ciągnął dalej Ksiądz Bosko – i sprawia mi to wielką przykrość. No, ale cóż na to poradzimy. Przecież nie może z nami pozostać i siać niezadowolenie wśród współnowicjuszy. Zresztą on mi napisał przedwczoraj list, że zostałby w Zgromadzeniu, ale pod warunkiem, że mu się na to pozwoli, że mu się da tamto, słowem chce, jakby stawiać warunki, pod jakimi pozostanie. A ja z takim, który mi zaczyna stawiać warunki, uważam za wskazane skończyć z miejsca. Tacy uważać się będą z biegiem czasu za ważne figury, a gdy im się pozwoli na jedno, to zaraz wystąpią z nowymi pretensjami. Takim trzeba wyraźnie powiedzieć: Widzisz, jeżeli chcesz zostać z nami i postępować jak wszyscy inni, no to dobrze. Inaczej w każdej chwili możesz odejść sobie. Czasem wystarczy to, by taki opamiętał się i przekonał, że nie mamy żadnego interesu zatrzymywać go, a jeśli został przyjęty, to tylko z pobudek nadprzyrodzonych i zabiera się do poważnej pracy nad sobą”.

Ale ze wspomnianym wyżej nowicjuszem zachodziła jeszcze ta okoliczność, że choć nie miał zamiaru pozostać w Zgromadzeniu, to przecież chciał ukończyć w nim nauki, odrabiając to przez pomoc w asystencji, czy w szkole. „Nie wypada, nie wypada – powtórzył Ksiądz Bosko, aby w naszej rodzinie pozostawał ktoś, który obcy jest dla niej duchem – absolutnie nie wypada. Ale jest gorsza jeszcze rzecz z tym facetem. W owym liście, o którym wspomniałem, pozwala on sobie na inwektywy pod adresem księdza Rua, a więc wyraźnie brak u niego zupełny jakiegokolwiek subordynacji. Postaraj się, więc, aby jak najprędzej szukał sobie miejsca gdzie indziej, bo z takiego żadnej nie będziemy mieli pociechy”.

Ponieważ ten kleryk wyraził chęć przejścia do seminarium, ks. Barberis pochwalił ten jego zamiar, tym bardziej, że sam Ksiądz Bosko radził mu przed rokiem przywdziać suknie klerycką. „Ja, tłumaczył Święty – rok temu poradziłem mu, gdy prosił o przyjęcie do Zgromadzenia. Gdyby pozostał z nami z dobrą wolą, z dala od świata, mając tyle dobrych przykładów i zachęty do cnoty, mógłby się utrzymać i być pomocnym, ale nigdy nie radziłbym mu zostać księdzem w świecie”.

Następnie zeszła rozmowa na innego nowicjusza, który pragnął pozostać w Zgromadzeniu i wydawało się, że jest porządny na pozór, a może nawet był takim, ale zamknięty w sobie, mało obcował z przełożonymi i nie miał do nich zaufania. Ksiądz Bosko osądził, „że takie temperamenty nie nadają się do życia salezjańskiego”.

Trzeci przyszedł osobiście wprost do Księdza Bosko, oświadczając, że wstąpił do Zgromadzenia, nie zapoznawszy się z jego duchem, że nawet nie wiedział, iż to jest zgromadzenie zakonne. Teraz usłyszawszy na konferencji, o co właściwie chodzi, nie zamierza w nim dłużej pozostać, tym bardziej, że umarł tam jakiś jego krewny w domu i nie ma, kto zająć się jego bratem. Na razie wraca do rodziny, a potem wstąpi do seminarium. „Ty mój drogi – powiedział Ksiądz Bosko, możesz bez żadnej krępacji postąpić jak uważasz. Z mej strony żadnych nie napotkasz przeszkód. Tylko to twoje twierdzenie, jako byś wstąpił do nowicjatu, nie zdając sobie sprawy, na co się decydujesz, jest mało dowcipne i naiwne. Wszak w czasie rekolekcji, w Lanzo były wam czytane Reguły Zgromadzenia, tłumaczono wam je na kazaniach i ty z tego nic nie zrozumiałeś? A więc, twoje twierdzenie ubliża i Księdzu Bosko. Bo wygląda,

jakoby on przyjmował do nowicjatu wbrew wszelkim kanonom, nie wyjaśniając kandydatom, o co właściwie chodzi. Nowicjusz zamilkł, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Ale i tak sobie poszedł. A oto inny przypadek.

Był nowicjusz, którego postępowanie pozostawiało dużo do życzenia, mimo, że często chodził do Komunii św. Co do niego takie otrzymał ks. Barberis wskazówki: częsta Komunia św. nie jest jeszcze dowodem wewnętrznej wartości nowicjusza, wszak są tacy, którzy choć nie popełniają świętokradztwa, to jednak przystępują do sakramentów bardzo oziębło, a ich dziwna apatia sprawia, że nie zastanawiają się i w ogóle nie zdają sobie sprawy, czym jest Eucharystia. Kto chodzi do Komunii św., nie pracując nad zrzuceniem z siebie starego człowieka, kto nie oddaje się całkowicie w ręce Boskiego Zbawiciela, ten nie odnosi z niej owoców pożądaných.

Inny, trochę z kaprysu, trochę przez uprzedzenie, chciał zostać zwolniony z uczęszczania na pewne przedmioty szkolne, choć ks. Barberis stanowczo się temu sprzeciwił, ten jednak uporczywie obstawał przy swoim. Mówiąc o tym z Księdzem Bosko, magister zaznaczył, iż jest to młodzieniec o niepospolitych zdolnościach, który przy swej silnej woli, zdolny był zrobić wielkie postępy w cnocie, o ile by uspokoiwszy się zaczął poważnie pracować nad sobą. W tej chwili chodziło mu o to, czy by nie było wskazane, aby obstając przy swoim, przymknąć jedno oko na ten kaprys i nie robiąc koło tego wielkiego szumu, tak jakoś przeczekać.

„Nie, odpowiedział Ksiądz Bosko. Traktuj go nawet dyplomatycznie a nie daj się wyprowadzić z równowagi. Częściowo można mu przyznać i rację w tym sensie, że tego kaprysu nie uważa się za rzecz wielką, ale tylko, jako wynik jego młodzieńczej lekkomyślności. Bezwzględnie jednak należy stać twardo przy tym, co mu powiedziałeś. Inaczej tacy, po profesji stale będą kaprysić i trzeba ich będzie traktować w rękawiczkach, albo w ogóle ich pożegnać”.

Mamy jeszcze inne uwagi Księdza Bosko dotyczące traktowania różnych charakterów w nowicjacie, jakie przekazał nam w swojej kronice ks. Barberis: O niektórych nowicjuszach informacje stale bywają pozytywne, a jednak zauważa się u nich brak stałości w postępowaniu. Przez pierwszych parę miesięcy zdaje się, że u nich sam ogień i gorliwość. Kto ich głębiej nie zna, mógłby spodziewać się od nich nie wiem, jak wielkich rzeczy, ale powoli ogień gaśnie, gorliwość słabnie. Okazuje się, że to wszystko były objawy efemeryczne. I rzeczywiście kończy się u nich wszystko wystąpieniem ze Zgromadzenia.

Natomiast inni wstępują do niego po dłuższym namyśle, postępy ich są powolne, ale stałe, jak to widać z roku na rok. Nigdy nie zauważa się u nich, by cofali się wstecz. Tacy na pierwszy rzut oka wydaje się, że są oziębli i nie rokują większych nadziei. Kto jednak im się lepiej przypatrzy i przez dłuższy czas obserwuje, dochodzi do przekonania, że na nich można liczyć.

Na uwagę, że niektórzy, jako wychowankowie zostawiali dużo do życzenia i poważnie wahano się z ich przyjęciem odpowiedział: „tu warto zauważyć jedną

rzecz, a mianowicie, że po większej części będą to ci, co poza Zgromadzeniem nie mają środków na swe utrzymanie. U nas natomiast niczego im nie brak, owszem nasz wikt wydaje im się wyśmienity. Specjalnych utrudnień nie napotykają, traktowani są życzliwie, więc czują się całkiem zadowoleni. Z biegiem czasu nabierają zamiłowania do pracy nad sobą, wzywają się lepiej w nurt naszego obcowania i utwierdzają się w tym powołaniu, za którym poszli w pierwszej chwili z pobudek mniej zakonnych. I takim środkiem wolno nam się posługiwać dla pozyskania nowych członków. Gdy się ma do czynienia z takimi, trzeba bardzo dbać by im na niczym nie zbywało, bo w ich wieku bardzo łatwo o zniechęcenie. A wtedy bez namysłu odchodzą, choć nieraz przyjdzie im tego gorzko żałować. Gdyby to byli młodzieńcy starsi to bym powiedział: Obrażają się za lada, co, to niech sobie idą: na pewno Zgromadzenie nie będzie z nich miało pociechy. Ale gdy mamy do czynienia z chłopakami, to trzeba być bardzo wyrozumiałym: wakacje, rodzice, interes jakiś, bujna wyobraźnia, budzące się namiętności zdolne są zawrócić im w głowie i spowodować u nich jakiś krok nierozważny. Jeśli dopomożemy im przetrzymać ten kryzys, to w późniejszych latach możemy mieć z nich, i z tylu już mamy, wielką pomoc”.

Raz wyszła sprawa finansów poruszona przez księdza Barberisa, który zreferował Księdzu Bosko, że prefekt wysłał rachunki rodzicom nowicjuszy wprawdzie nie za pensje, bo tej nie płacili, ale za te tak zwane drobne wydatki osobiste i grozili wydalaniem tych, co ich nie uiszczą. W związku z tym zgłosił się jeden ksiądz, stryj nowicjusza i chciał go zabrać, oświadczając, iż nie ma zamiaru płacić za niego o ile pozostaje w Zgromadzeniu, bo on go chce umieścić w seminarium. Słyszając to Ksiądz Bosko polecił magistrowi powiedzieć prefektowi, by nigdy w tonie stanowczym, co do opłat nie pisał do rodziców nowicjuszy. Krewni nieraz umyślnie nie chcą płacić, by owego syna czy kuzyna wyciągnąć tak z nowicjatu. Owego zaś kleryka, który za żadną cenę nie chciał posłuchać stryja i opuścić Zgromadzenia, kazał uspokoić oświadczeniem, iż nikt z powodów finansowych nie zostanie usunięty z nowicjatu.

Wielce też dbał Ksiądz Bosko o zdrowie nowicjuszy. Kiedy niedługo po przytoczonej wyżej rozmowie, ks. Barberis wspomniał, iż niektórzy mają trochę wygląd chorowity, to Ksiądz Bosko zalecił mu, aby po Wielkiej Nocy, w każdy czwartek wysyłał nowicjuszy na przechadzkę na Supergę, do parku przy villi Monti. Tam, wśród lasów i krzewów, mogą spędzić nawet cały dzień. To według niego, nie tylko posłuży im na zdrowie, ale ich również rozerwie, uraduje i przywiąże więcej do Zgromadzenia.

Kiedy indziej ks. Barberis zapytał, czy ma wysłać do domu nowicjusza, który chce odwiedzić ciężko chorego dziadka.

„Uważam, że tak – odpowiedział zapytany. Ile razy w rodzinie jest poważna choroba, to nie należy robić nowicjuszom trudności. Gdyby, bowiem umarł, czy to ojciec, czy brat, czy ktoś z bliskich krewnych, a my byśmy nie pozwolili odwiedzić

ich przed zgonem, to by nam to poczytano za okrucieństwo, a także i nowicjusze mieliby do nas żal na całe życie, że im nie pozwoliliśmy wtedy odwiedzić ich najdroższych”.

Inna kwestia. Pytał ks. Barberis, co ma zrobić z nowicjuszem oziębłym w praktykach pobożności, leniwym i nieposłusznym.

„A zawołaj do siebie prywatnie – poradził Ksiądz Bosko – pogadaj z nim szczerze, zachęć go, by się wyzbył tego lenistwa i by we wszystkim stosował się do Reguł, jeżeli doprawdy chce pozostać w Zgromadzeniu; inaczej niech się zawczasu decyduje i wraca do domu z własnej woli. Zawsze byłoby dla niego nieprzyjemnie, gdyby został ze złą opinią wydalony z Oratorium”.

Oczywiście przykro było Księdzu Bosko oddalać od siebie tych, co okazywali chęć pozostania w Zgromadzeniu. Ale mimo to nie łudził się, jeśli ktoś słabe czynił postępy albo było mu coś do zarzucenia pod względem moralnym, to wtedy stawał się nieubłagalnym. Jego wyliczenia odnośnie do nowicjuszy były następujące: Na osiemdziesięciu w czasie nowicjatu odpadnie dziesięciu; drugich dziesięciu – w czasie ślubów trzyletnich: pozostanie sześćdziesięciu wartościowych. Przed rokiem 1876, tych, co odchodzili była liczba dość znaczna, ale z biegiem lat cyfra ta stale malała.

W tym roku dwa miesiące przed końcem roku nowicjackiego, umarł 8 września prawdziwy Anioł – nowicjusz nazwiskiem Defendente Barberis. Jego proboszcz tak pisał o nim do Księdza Bosko:

„W mojej parafii nie ma nikogo, który by go przewyższył pod względem cnoty. W czasie pobytu w Oratorium był bardzo pilny, gorliwy w pobożności i tylko pragnął zostać kapłanem, by pracować nad zbawieniem dusz. Jako aspirant pilnował portierni w Oratorium dla eksternistów. Każde zajęcie spełniał z największą skrupulatnością i roztropnością. Będąc w nowicjacie bardzo pięknie uczył katechizmu w Oratorium. Do Komunii św. przystępował prawie codziennie z taką żarliwością, że był zbudowaniem dla wszystkich. Punktualny, sumienny w spełnieniu swoich obowiązków, umiarkowany w jedzeniu i picu, ze szczególniejszym zainteresowaniem słuchał zawsze opowiadania o początkach Oratorium i trudach poniesionych przez Księdza Bosko przy jego zakładaniu. Niestety jego dni były policzone. Zrobiono wszystko dla jego uratowania, a jego zmartwieniem największym było, że staje się ciężarem dla swego otoczenia. Za poradą lekarza, który miał nadzieję, że mu powietrze rodzinnych stron pomoże, powrócił do swoich stęsknionych rodziców, gdzie wkrótce zmarł, budując wszystkich swoim zdaniem się na wyroki Boże. Miał 21 lat życia. Pamięć na jego budujące zachowanie się była zachętą do pracy nad sobą dla jego współtowarzyszy”.

3. PROFESSI

Do profesorów zaliczamy tutaj koadiutorów, kleryków filozofów i teologów oraz księży.

W Oratorium, na początku roku, koadiutorów - profesów było 23, która to liczba po wakacjach wzrosła do 27. Chętnie byśmy coś więcej napisali o ich relacjach

z Księdzem Bosko, ale w tym względzie z roku 1875, mamy bardzo mało wiadomości. A oto, co się dało zebrać:

Mistrz Dogliani, w roku 1875, co dopiero złożył profesję czasową. Ksiądz Bosko, który w relacjach ze swoimi nie robił różnicy pomiędzy sutanną a marynarką wziął go sobie pewnego dnia za towarzysza, gdy wybierał się do Caselle. A ponieważ już mało brakowało czasu do odjazdu pociągu, zawołał do niego:

Biegnij, Dogliani, czym prędzej na stacje i kup nam bilety.

Pierwszej czy drugiej klasy?

Trzeciej, zawsze trzeciej.

Kiedy nadszedł Ksiądz Bosko, wsiedli obydwaj razem do trzeciej klasy. Ale konduktorzy, którzy dobrze znali Księdza Bosko, przeprowadzili go koniecznie do pierwszej, razem z towarzyszem. Kiedy się już ulokowali, Ksiądz Bosko, uśmiechając się powiedział do Doglianiego:

A widzisz? Gdybyśmy byli kupili bilety drugiej klasy, na pewno pozostawili, by nas w drugiej, a tak kupując do trzeciej jedziemy w pierwszej.

Dogliani wspomniał także o innej przygodzie w podróżowaniu z Księdzem Bosko, a mianowicie o tym, jak zgubił mu walizkę. Święty widząc jego zmartwienie i dowiedziawszy się o przyczynie tegoż, uspokajał go mówiąc: Nie martw się. Szkoda mi tylko niektórych papierów. Jeszcze nie skończył mówić, gdy nadbiegł zadyszany jakiś człowiek wołając: To chyba twoja walizka. Dogliani odetchnął.

Delikatność Księdza Bosko względem koadiutorów Dogliani miał sposobność poznać także w innym wypadku, trochę przykrym. Oprócz tego, że uczył on muzyki, usługiwał również do stołu położonych w jadalni. Otóż pewnego razu Ksiądz Bosko, zatrzymany spowiedziami w kościele, przyszedł na wieczerzę, kiedy już inni wyszli. Dogliani pobiegł zamówić danie dla niego do kuchni. Kucharz podał mu ryż przypalony i zimny. Nasz kelner oburzył się na to i powiedział: Jak tak można? Przecież to dla Księdza Bosko. A jego kolega z kuchni na to: Och znowu. Przecież Ksiądz Bosko jest jak każdy z nas. Pewno, że kto zna życie kuchni, i to jeszcze kuchni w owych czasach, to by się na pewno nie dziwił takiemu odezwananiu.

Znany w owych czasach kucharz Gaja był zacnym człowiekiem mimo swego opryskliwego usposobienia /tu ks. Ceria zaznacza w uwadze, że tenże kucharz zwariował w 1876 roku i musiał zostać odesłany do domu wariatów/.

Dogliani rad nie rad, musiał potrawę zanieść Księdzu Bosko, a postawiwszy ją przed nim, usunął się zmartwiony. Ale kleryk Casinis, przyszły misjonarz, nie wytrzymał i opowiedział, co zaszło. Święty ani czoła nie zmarszczył, ani nie dał najmniejszego znaku oburzenia, przytakując z uśmiechem, powiedział spokojnie: Wiecie co, Gaja ma rację, to jest prawda.

Ale jeszcze inną przygodę miał Dogliani, a ta już była z jego winy. Otóż pewnego dnia byli goście, a obrus zasłany na stole w jadalni był trochę brudny. Na ten widok Ksiądz Bosko nie wytrzymał i z pewnym oburzeniem skarcił Doglianiego. Ten biedak o mało nie popadł w rozpacz. Wieczorem napisał list do Księdza Bosko, w którym między innymi i to zaznaczył, że po raz pierwszy widział go jakby

rozgniewanego. Ksiądz Bosko w swej pokorze odczytał to pismo na kapitule. By zaś pocieszyć swego zacnego koadiutora, gdy go spotkał, ujął za rękę i robiąc aluzje do swego zniecierpliwienia, posłużył się głośnymi już wtedy słowy owego kucharza: Czy nie wiesz, że Ksiądz Bosko jest takim samym człowiekiem jak wszyscy inni?

W taki to sposób Ksiądz Bosko odnosił się przy każdej sposobności do swoich koadiutorów. W tym leży cały sekret Księdza Bosko, który ludzi nieróżniących się na zewnątrz niczym od świeckich, umiał zaprowadzić do solidnego życia zakonnego

Ksiądz Józef Vespignani, który takiego stylu braci zakonnych dotychczas nie znał, został mile zaskoczony ich pobożnością, jaką miał sposobność podziwiać w Alassio w roku 1875, gdzie ci modlili się i śpiewali oficjum razem z wychowankami. Wtedy tamtejszy dyrektor ksiądz Cerruti odezwał się do niego: Widzisz oto, że ci koadiutorzy zawstydzają nas nieraz swoim cnotliwym życiem; nam kapłanom wypada zaczerwienić się wobec tych przykładów cnoty, jakie nam dają.

Ale też Ksiądz Bosko potrafił zaskarbić sobie ich zaufanie tak, że ci gotowi byli dla niego na wszystko. Koadiutor Bernard Russo, mistrz szewski przechowywał, jak najdroższy skarb list, który otrzymał od Świętego z Rzymu w roku 1874, będąc jeszcze zwykłym uczniem w Oratorium. Krótki był, ale jakżeż zachęcający dla młodego terminatora:

Mio Caro Bernardo Musso!

„Potrzebuję bardzo pomocy twych modlitw i twoich kolegów. Poszukaj mi, zatem takich, którzy by razem z tobą codziennie pomodlili się na moją intencję przed Najświętszym Sakramentem. Gdy powrócę do Turynu to mi ich wskażesz, a ja wam wszystkim dam ładny podarunek na pamiątkę. Twój najbardziej przywiązany przyjaciel Ksiądz Jan Bosko”.

W roku 1875 przenieśli się do wieczności dwaj współbracia, Antoni Lanteri i Jakub Para.

Lanteri umarł w sierpniu w swym domu rodzinnym. W latach chłopięcych był pastuszkim. Chętnie chodził do kościoła, przystępował do sakramentów świętych, kochał Madonnę i rozczytywał się w nabożnych książkach. Pewnego dnia, gdy gonił zabłąkaną owcę, poczuł, że grunt traci pod nogami i leci w przepaść. Zaledwie zdołał zawołać: Jezu, Maryjo ratujcie mnie. W tej chwili miał wrażenie jakby, coś błysnęło nad nim i znalazł się na dnie przepaści bez żadnych okaleczeń. Zerwał się na równe nogi, a zmierzwszy wzrokiem, z jakiej spadł wysokości, podniósł ręce do nieba i zawołał: „O Jezu, o Maryjo na Waszą służbę oddaję to moje życie, któreście mi ocalili”.

W zimie przyszło mu opuścić miejsce rodzinne i przenieść się do miasta, gdzie musiał słuchać rozmów niemoralnych i bezbożnych. Postanowił, zatem schronić się do jakiegoś zgromadzenia zakonnego. Do Oratorium wstąpił w 1871 roku. Chciał uczyć się, ale zdrowie mu na to nie pozwalało. Zaproponowano mu, więc prace ręczne i zgodził się na to. Po dwumiesięcznej próbie został wysłany do Sampierdarena na kościelny. Jego pobożność, pogoda ducha, jaka przebijała z jego oczu, staranność

o piękno domu Bożego, delikatność w obejściu budziły ogólny podziw i zyskiwały mu sympatię. W ten sposób odbył swój nowicjat i mógł złożyć śluby czasowe. Czas modlitwy nigdy mu się nie dłużył. Po roku jakoś zaczął tracić siły tak, że to zaniepokoiło jego otoczenie. W nadziei, że powietrze piemonckie lepiej mu będzie służyć, niż morskie, wysłano go do Oratorium. Z początku czuł się tu trochę lepiej, ale w zimie choroba wystąpiła z nową gwałtownością. Za poradą lekarza wysłano go w strony rodzinne. Ale on już myślał tylko o przygotowaniu dobrym na śmierć, której oczekiwał pogodny z całym spokojem ducha. Zmarł mając lat 34.

Para był młodszy od niego, gdyż urodził się w roku 1850. Już, jako chłopiec starał się przeszkadzać śpiewakom nieodpowiednim, ucząc swych współkolegów pieśni nabożnych. Sam pracował na roli, chętnie się modlił i przystępował do sakramentów świętych. Pragnął zostać księdzem, ale brak środków materialnych nie pozwalał mu na studia. W dwudziestym roku życia za interwencją swego proboszcza dostał się do Oratorium. Ksiądz Bosko przekonawszy się, że to młodzieniec bardzo zacny, zaliczył go do studentów. W roku 1873 pozwolił mu zacząć nowicjat i mimo, że jeszcze nie ukończył całego kursu łaciny pozwolił mu wyjątkowo złożyć śluby. Kiedy zaś z początkiem roku szkolnego okazała się wielka potrzeba odźwiernego w Borgo S. Martino, wysłany tam został Para. Żał mu było opuszczać Księdza Bosko, no i przerywać naukę, ale usłuchał. Wyznaczono mu tu później osobnego nauczyciela, tak, że mógł równocześnie przerabiać czwartą klasę. Po niedługim jednak czasie zaczął mocno szwankować na zdrowiu, mimo to nie dawał tego poznać po sobie i w czasie najcięższej zimy wstawał regularnie o piątej rano. Kiedy 22 lutego poszedł po pocztę, powiedział do urzędnika:

Za dwa dni, to już, kto inny będzie przychodził po listy.

A to, dlaczego?

Bo mnie już na świecie nie będzie. Tego samego dnia wieczorem musiał położyć się na stałe do łóżka. Rankiem 25 opowiedziawszy odwiedzającemu go współbratu piękny swój sen, zapewnił go, iż wkrótce umrze. Po przyjęciu świętych sakramentów prosił dyrektora, aby zawiadamiając Księdza Bosko o jego śmierci, podziękował mu w jego imieniu za to wyróżnienie, iż został tak wcześniej dopuszczony do ślubów. I dodał: Mam wrażenie, że Ksiądz Bosko wiedział o mej bliskiej śmierci i dlatego użył mi tak wielkiej łaski. W dwie godziny później całując Krzyż – skonał.

A teraz przejdziemy do formacji intelektualnej, zakonnej i kapłańskiej kleryków pod kierownictwem Księdza Bosko.

W miarę jak się normowało w Oratorium życie nowicjuszy, tak też coraz bardziej stabilizowało się wychowywanie kleryków – studentów. Na konferencjach kwietniowych dyrektorów ksiądz Albera wystąpił z wnioskiem, ażeby jak najprędzej dać do druku Reguły po włosku. Sprawa ta opóźniała się trochę, gdyż Święty chciał równocześnie wydrukować te drogocenne wstępne rozdziały, wyjaśniające bliżej ducha całych Reguł. Właśnie w tym roku nad nimi gorączkowo pracował. Ostatecznie

do druku było wszystko gotowe na 15 sierpnia. Tymczasem to, co pisał wpajał praktycznie w swych przyszłych współpracowników.

Nie uszło uwagi innych Przełożonych, jak szczególną troską otaczał jednostki o usposobieniu trochę liberalnym i buntowniczym względem Reguł. Podchodził do nich z taką roztropnością, jak pisze ksiądz Barberis, że ci nawet nie zdawali sobie sprawy, dlaczego tylu otacza ich względami, a równocześnie czuli się zaszachowani.

Niekiedy zachodziła potrzeba, ażeby ich wysłać na pomoc po zakładach, ale i tam towarzyszyła im jego skrzętna miłość i troska ojcowska. Pięknie o tym świadczy list kierowany do kleryka Nai. Ale najpierw wypada podać kilka innych szczegółów z życia tego potem tak wielce zasłużonego salezjanina.

Kiedy Nai był jeszcze w klasie czwartej gimnazjalnej pewnego dnia zniecka usłyszał pytanie Księdza Bosko:

Czy chciałbyś zawrzeć kontrakt z Księdzem Bosko?

Jaki?

Powiem ci na przyszły tydzień.

Kiedy nadszedł dzień jego spowiedzi tygodniowej zapytał Świętego:

O jaki kontrakt chodzi Księdzu Bosko?

Czy chętnie pozostałbyś na stałe z Księdzem Bosko?

Owszem. Bardzo chętnie.

No to zrób tak: idź do księdza Rua i powiedz mu, że ja cię do niego przysłałem.

Chłopak usłuchał. Wtedy ksiądz Rua zaprosił go na najbliższy czwartek, o takiej to godzinie do kościoła świętego Franciszka Salezego. Nai był punktualny. Tam razem z grupą najlepszych chłopców wysłuchał konferencji tego przełożonego, na temat, co znaczy zostać z Księdzem Bosko. Nie upłynęło dużo od tego czasu a Nai na spowiedzi usłyszał od Księdza Bosko: „W tej chwili widzę całą twoją przyszłość”. I odchylił mu całą kryjącą ją zasłonę.

Kiedy potem ks. Nai miał już siedemdziesiąt lat, gotów był pod przysięgą stwierdzić, że wszystko sprawdziło się, co do joty.

Kiedy więc młodzieńki Nai kończył swój nowicjat i miał składać śluby naraz przyszły na niego tak gwałtowne wątpliwości, że nie mógł sobie z nimi dać rady. Zwierzył się więc z tego przed kierownikiem swej duszy, który taką dał mu odpowiedź na piśmie:

Carissima Nai! Chrzęszczyki skaczą po ziemi i nad ziemią, a śluby, które zamierzasz złożyć, wzniosą się pod niebiosa przed Tron Boży; dlatego pierwsze nie mogą przeszkodzić drugim. Nic się więc nie obawiaj i idź naprzód. W razie potrzeby pomówimy w najbliższym czasie. Niech cię Bóg błogosławi. Age viriliter, ut caroneris feliciter. Módl się za twego w Jezusie Chrystusie zawsze życzliwego przyjaciela.

Turyń, Uroczystość Najświętszej Maryi Wspomożycielki – 1875 r.

A teraz bardzo miło nam będzie zaobserwować Księdza Bosko, jak spędzał rekolekcje ze swoimi klerykami. I mamy na szczęście jedną taką scenę, wprost jakby nagraną na magnetofonie, a przekazaną nam przez jednego z obecnych tam kleryków.

Pewnego dnia po wieczerzy stała grupka kleryków rozmawiających spokojnie ze sobą. W tym momencie nadchodzi Ksiądz Bosko z kilku innymi. Ci z grupy zbliżają się do niego i otaczają go całując z uszanowaniem mu rękę. Święty zatrzymał się, odpowiadając każdemu jakimś żarciem na pozdrowienie. Wreszcie przemówił do wszystkich:

Wy klerycy jesteście moją koroną i chlubą.

Bylebyśmy tylko nie byli koroną cierniową – odpowiedział jeden.

A wtedy Ksiądz Bosko, uśmiechając się i wskazując na stojącego obok księdza Barberisa – gdyby nawet tak było – podchwycił – to przecież mam u boku takiego, który jest gloria Patris et Filii sapiens. I dalej żartował z otaczającymi wesoło, aż wreszcie naprowadził nas na sen, jaki miał poprzedniej nocy.

Zdawało mi się, owszem, wtedy byłem pewien, że niesiono Wiatyk do chorego. Zaniepokojony, kto by był tak ciężko chory, zapytałem sąsiada, ale ten mi nie odpowiedział. Powtórzyłem pytanie, ale drugi tylko skrzywił się. A jednak ja muszę dowiedzieć się – pomyślałem sobie i poszedłem za kapłanem niosącym Wiatyk. Przychodzę do domu chorego, kapłan wchodzi, a ja za nim. Ale doszedłszy ku drzwiom mieszkania, gdzie leżał konający, chcę wejść i jakoś nie mogę. Na wszelkie sposoby chciałem dostać się do środka i nie udało mi się. Wtedy rzekłem sobie: Przecież to jest sen. I rzeczywiście obudziłem się... i powtórzyłem: oczywiście, że to był tylko sen.

Tu Ksiądz Bosko zmienił temat rozmowy wyrażając swoje zadowolenie, że nikt w Oratorium wtedy nie chorował. Rozmowa zesłała na temat długości życia, przy czym jeden z obecnych wyrwał się z pytaniem: Czy to prawda, że długość życia zależy od starannej konserwacji zębów? I to możliwe – orzekł Święty – byleby tylko dzień śmierci nie był już ustalony na dany dzień w księgach wieczności. W takim, bowiem wypadku, ani zdrowe zęby nie pomogą. To, co rzeczywiście może przedłużyć życie, to zachowanie przykazań Bożych, praktykowanie cnoty, zwłaszcza wstrzeźliwości, a także inne zabiegi dyktowane nam przez higienę. Niedawno temu – ciągnął dalej – dowiedziałem się o śmierci pewnego młodzieńca, w pełni sił, rokującego najlepsze nadzieje, a tymczasem jego brat, chorowity, z wyglądu prawie suchotnik, a żyje. Widzicie więc, że nie dużo znaczy zdrowie i siła, jeżeli w księgach wieczystych zdecydowane jest, iż ten czy ów ma umrzeć.

Tu rozmowa urwała się, bo nadszedł ks. Rocca i odezwał się dzwonek. My odeszliśmy ucałowawszy po kilkakroć ręce naszego Ojca – pisze sprawozdawca tej rozmowy. I właśnie ten sprawozdawca był tym, do którego odnosił się opowiedziany przez Księdza Bosko pogrzebowy sen. Nazywał się Cezar Peloso. Ciekawy to symptom, że właśnie temu przyszło na myśl zapisać tę rozmowę, który wkrótce potem miał umrzeć.

Z pośród wszystkich przedmiotów, jakich uczyli się klerycy, największą wagę przypisywał Ksiądz Bosko nauce filozofii, której nauczaniem żywo się interesował, dając odpowiednie wskazówki profesorom: Profesorzy – zalecał im – niech mają

cierpliwość, niech umieją zniżyć się do poziomu swych słuchaczy. Niechaj nie gubią się w długich i wymyślnych dysertacjach. Nie tyle chodzi o mądre wywody, ile raczej o dokładne wytłumaczenie tekstu podręcznika.

Oto, co w tym względzie napisał do ówczesnego profesora filozofii, który widocznie nie bardzo był zadowolony ze swoich młodocianych słuchaczy:

Carissimo Bartelo!

Ja zrobię ze swej strony wszystko, co jest możliwe, by rozbudzić zamięłowanie do studiów u twoich słuchaczy. Ale ty również ze swej strony zrób wszystko, ażeby im naukę ułatwić.

1. Uważaj ich za swoich młodszych braci; uprzejmość, życzliwość, wyrozumienie – oto klucze do ich serca.
2. Zadawać im należy tyle, ile mogą opanować, a nie więcej. Trzymać się więcej tekstu bez żadnych dygresji.
3. Przepytawać ich jak najczęściej, dawać im okazje do wypowiedzenia się, do czytania; do czytania i jeszcze raz do wypowiedzania się swobodnego.
4. Stale zachęcać, nigdy nie upokarzać. Pochwalić, kiedy tylko można. Nikogo nie lekceważyć, karcić tylko w razie koniecznej potrzeby. Próbuj zastosować się do tego, a następnie dasz mi odpowiedź. Ja będę modlił się za ciebie i za twoich.

Turyń, 09.04.1875 r.

Zależało też naszemu Założycielowi, ażeby przygotować sobie profesorów z tytułami naukowymi. Trzeba więc było, by klerycy zdawali maturę gimnazjalną i licealną. W tym względzie takimi kierował się kryteriami:

„Wypada najpierw dobrze zastanowić się, których kleryków do takich egzaminów przeznaczyć, ażeby potem Zgromadzenie mogło z nich mieć korzyść. I tylko korzyść dla Zgromadzenia powinna decydować o tym, kto ma stawać do matury, a nie mniejsza, czy większa ochota danej jednostki, ani też wzgląd na to, czy komu podobny egzamin mógłby się osobiście przydać. Druga rzecz, którą trzeba mieć na względzie, to zdolności danego kleryka. Tych tylko dopuszczać do egzaminu, co są młodszy, a których zamierza się skierować do dalszych studiów. Innych, czy to mniej zdolnych, czy starszych, raczej wypada zwolnić z pewnych przedmiotów drugorzędnych, by tak prędzej mogli ukończyć swoją formację oddać się pracy kapłańskiej. Zresztą potrzeba nam wielu do asystencji i administracji i tylu zajęć nam właściwych”.

Profesorami teologii byli kapłani z miasta, którzy bardzo chętnie szli w tym względzie Księdzu Bosko na rękę.

A oto jeden epizod przekazany nam przez księdza Vespignaniego, charakteryzujący stosunek Świętego do nauki teologii. Pewnego dnia, po obiedzie, wspomniany ks. Vespignani rozmawiał z Księdzem Bosko, gdy nadszedł ksiądz Barberis i podał mu listę kandydatów do święceń. Ten rzuciwszy na nią okiem, zrobił minę zdziwionego. Brakło tam kilku nazwisk takich, którzy już kończyli teologię i nie

było, co do nich żadnych zastrzeżeń. Wtedy ksiądz Barberis odezwał się z uszanowaniem:

„Prawda, tutaj kilku brakuje, którzy mogli by otrzymać święcenia, ale ci uczą także w szkołach i gdyby otrzymali subdiakoniat, tracili by czas na odmawianie brewiarza, a tymczasem”.

Ksiądz Bosko nie wytrzymał i żywo zareagował: „Co ty mówisz? Odmawianie brewiarza to strata czasu? To jest właśnie najlepsze wykorzystanie czasu. Klerycy, odmawiając go spełniają Boską czynność; modlą się zaś gorliwie z całym Kościołem, poznają lepiej natchnione słowa Pisma Świętego i Ojców Kościoła, budują się żywotami i przykładami świętych; wielbią Boga psalmami, hymnami i kantykami liturgicznymi. Brewiarz nauczy więcej tych kleryków niż tyle książek i tylu profesorów, a przygotowuje ich równocześnie do udzielania wiedzy Bożej innym. Starajmy się, zatem dobrze uświadomić naszych kleryków, jak dostojny jest subdiakoniat i jak wielce brewiarz będzie im pomocny do własnego wykształcenia i uświęcenia. Zobaczysz, że odniosą z niego pod każdym względem wielkie korzyści. A następnie zwracając się do księdza Vespignani, który stał zbudowany i zdziwiony pochwalnymi wywodami na cześć brewiarza, zakończył pytaniem: Czyż nieprawda, że to jest największy skarb kleryka, odkąd jest in sacris?”.

Nad głowami kleryków wisiał zawsze miecz Damoklesa, jakich dla nich był pobór do wojska. To niweczyło nieraz najlepsze nadzieje. Narzekali na niego biskupi włoscy. Także i Ksiądz Bosko odczuwał jego skutki. Bo co rok, przynajmniej dziesięciu kleryków bywało wzywanych do wojska. Robił, więc ze swej strony, co tylko było można, aby ich od tego zwolnić. Podsuwał im więc możliwe fortele, składał wizyty osobom wpływowym, zbierał pieniądze dla ich wykupu.

Tymczasem sytuacja stawała się z dnia na dzień gorsza. W kwietniu parlament uchwalił prawo znoszące wszelkie przywileje na korzyść kleryków. Dotąd jednak nikt z Oratorium do wojska nie został zaciągnięty.

W lipcu spotkała kleryków bardzo miła niespodzianka: wakacje poza Oratorium. Bardzo życzliwa pani Eurozja Monti odstąpiła swoją willę w okolicach Supergi, do dyspozycji Księdza Bosko. Ponieważ nie pomieściła ona więcej niż piętnaście osób, zatem wyjeżdżali oni tam grupami na dwa tygodnie. Dla tych wczasowiczów takie dał Święty normy, które nam przechował zawsze skrzętny w tym względzie ks. Barberis:

„Postarajcie się żyć w zgodzie z gospodarzami i obsługą willi, pytając się ich, jakimi rzeczami możecie się posłużyć a jakimi nie; poinformować się u nich, gdzie można chodzić; oświadczyć im zaraz z początku, iż jeśli by coś zostało zniszczone, jesteście gotowi płacić i takie dawał tego uzasadnienie:

1. Jeśli by służba miała co do was jakie zastrzeżenia, to oczywiście doniosą to właścicielce. A chociaż ona takimi drobnostkami nie będzie się zajmować, to jednak zawsze może u niej pozostać mniej dodatnie, jakieś o nas wrażenie.
2. Złożyć wizytę księdzu proboszczowi i pozdrowić go od Księdza Bosko. Nawiązać dobre stosunki z panem Arnaldi i z księdzem Tomatisem, którzy są

- sąsiadami posiadłości pani Monti. Także ich pozdrowić od Księdza Bosko, zapewniając, że się o nich pamięta w Oratorium.
3. Wysłać list dziękczynny do pani Monti, przebywającej w Biella, zapewnić ją o naszej pamięci w modlitwach i Komuniach św.; zaznaczyć w nim, że bardzo miło czas się spędza w jej willi, ale że byłoby nam jeszcze milej, gdybyśmy się mogli cieszyć jej obecnością.
 4. Dbać o to, by wszyscy byli zawsze zajęci: moim życzeniem jest, mówił Ksiądz Bosko – ażeby było trochę szkoły, by słabsi mogli podciągnąć się w języku łacińskim. Niech to będą rzeczy łatwe, podane przystępnie, bez wkuwań gramatycznych; zaprawiać uczniów do dobrego czytania. Trzeba sobie zdawać sprawę, że doprawdy jest rzeczą trudną czytać poprawnie przed szerszą publiką. Zwracać też uwagę na wymowę, czy to podwójnych spółgłosek, czy i samogłosek. Podać im także normy pisania listów. Zdarza się spotykać księży, lekarzy, czy adwokatów, którzy nie umieją porządnie napisać listów, a nieraz popełniają błędy ortograficzne, czy gramatyczne; nie znają się na tytułach ani nie wiedzą, gdzie się stawia datę a gdzie podpis. Do zaznajomienia się z tymi szczegółikami właśnie najlepiej nadaje się czas wakacyjny. Dla zdolniejszych można by wprowadzić naukę języka obcego, np. francuskiego.
 5. Ustalić rozkład dnia. Praktyki pobożności: o 6 - tej – Msza św. i rozmyślanie. O 10 - tej – godzina szkoły, potem czytanie duchowne. Od wpół do czwartej do piątej – wolne studium. O piątej nawiedzenie Najświętszego Sakramentu. Przez resztę dnia niech będzie ostatecznie rekreacja. Wieczorem przechadzka do wpół do ósmej. Po powrocie wieczera. O dziewiątej modlitwy i spoczynek”.

Wieczorem 6 - tego lipca zebrał Ksiądz Bosko wszystkich kleryków i miał do nich konferencję na temat: jak spędzić z korzyścią wakacje i tak mówił:

„Skończyły się egzaminy tak z filozofii, jak teologii i rozpoczynają się wakacje. Wiem, że jesteście zmęczeni i dlatego chciałbym, żebyście wszyscy sobie trochę odpoczęli. Dla jednych rozpoczną się one już jutro. Dla drugich, co mają dokończyć niektóre zajęcia, urządzimy je później. Odpocznijcie więc sobie, ale nie spędzajcie czasu beczynnym, bo to może zaszkodzić na duszy.

Następnie zszedł na temat misji w Ameryce, przedstawiając, jak wielka tam potrzeba kapłanów, skoro w takim mieście, jak S. Nicolas na 50 tysięcy katolików, jest zaledwie trzech kapłanów a ludnością jeszcze nieucywilizowaną mieszkającą po lasach w ogóle nikt się nie zajmuje tak, że ci biedacy umierają, nie poznawszy światła Ewangelii.

Dalej wspominał o świeżej wtedy wizycie kardynała Berardi, który specjalnie z Genui przyjechał do oglądnięcia Oratorium i oświadczył, że Ojciec św. osobiście go upoważnił do pozdrowienia wszystkich salezjanów i zawiezienia im specjalnego błogosławieństwa. Zdaje się, że jesteśmy nie wiadomo czym, skoro Papież tak nami bezpośrednio się interesuje – zakończył ten passus konferencji.

Wracając do tematu wakacji, przedstawił swym nowym słuchaczom jak wielce potrzebna jest nauka języków obcych, zwłaszcza dla tych, co chcieliby wyjechać na misje. Dalej podkreślił niebezpieczeństwa, na jakie są narażeni ci, co koniecznie chcą udać się do swej rodziny, gdzie tylko mowa o interesach, kupnie, sprzedaży, o kłopotach domowych, o biedzie własnej, czy o chorobie najbliższych, którym należałoby pomóc. Pewno, że wtedy – mówił – trudno im opanować rodzinne uczucia i chęć zainteresowania się najbliższymi, którym mogliby pomóc, zostając z nimi, choćby, jako kapłani w świecie. Ale nawet sam św. Bernard z żalem o swym przeżyciu wspomina i przestrzega: „Raz tylko odwiedziłem swych najbliższych, ale po powrocie do konwentu, nie mogłem się uspokoić i przez parę miesięcy łyżę lałem na myśl o położeniu mego ojca, któremu zdawało mi się, że mógłbym być pomocnym. Po dłuższym dopiero czasie łaska Boska dopomogła mi do przezwyciężenia tej pokusy”.

W dalszym ciągu konferencji omawiał jeszcze różne wątpliwości, co do powołania: „A może nie jestem powołany? A może by lepszy był dla mnie zakon ostrzejszy, gdzie bym pewniej zbawił swą duszę. A Przełożeni nie są ze mnie zadowoleni. Nie jestem zdolny do różnych prac w Zgromadzeniu i byłbym dla niego tylko ciężarem”.

Wszystkie te trudności nazwał zwykłymi pokusami, którymi szatan posługuje się, by odwieść kogoś od drogi wytkniętej mu przez Opatrzność. „Skoro, ktoś już jest w Zgromadzeniu – wyjaśniał – i ono podoba mu się, na pewno ma i powołanie, bo przecież ta pierwsza chęć od Boga była i tylko trzeba jej strzec i jej się trzymać. Ci, co to niby pragną wyższej doskonałości, bardzo łatwo wyszedłszy z jednego Zgromadzenia, do następnego nawet nie wstąpią i zgubią się dla swej lekkomyślności w świecie. Czy będzie zdolny do pracy w Zgromadzeniu, to już osądzą Przełożeni. Ciężarem w nim są tylko nieposłuszni, zamiłowani w wygodach, nieostrożni pod względem czystości. Jeśli kto ma najlepszą wolę i stara się o postęp w cnocie, ten nigdy dla zakonu nie będzie ciężarem. Podejrzewanie zaś Przełożonych, że nam dobrze nie życzą, jest nonsensem. Pracują przecież dla was, poświęcają się rzecz można, dniem i nocą, i mieliby to robić z nienawiści? Może tylko nieodpowiednie postępowanie, które zmusza ich do okazania mu niezadowolenia. Ale dla dobrych zawsze są życzliwi, choć może tego wyraźnie nie okazują, jak to trzeba czasem robić z dziećmi.

I kończył, cytując wezwanie św. Pawła: „Manete in vocatione quae vocati estis.” Gdy ktoś jak chorągiewka ciągle się zmienia, raz mu się zachciewa tego, to znów, czego innego, raz uważa, że mu lepiej będzie tu, to znowu gdzie indziej, to nigdy nie zazna spokoju. Weźcie, więc sobie do serca te słowa Ewangelii, jako do was powiedziane o Przełożonych: „Qui vos audit, me audit”. Korzystajcie chętnie z ich pouczeń, nic nie przedsięwierzcie bez ich porady, tym mniej wbrew ich wskazówkom, a będziecie zadowoleni i nie będziecie musieli zdawać sprawy przed Trybunałem Bożym z tego, żeście nie poszli za wolą Bożą”.

Jeśli klerycy stanowili nadzieję na przyszłość Księdza Bosko to również z powodu nich nie brakło mu przykrości ze strony Kurii turyńskiej. Oto pismo, jakie z końcem tego roku stamtąd otrzymał i to w tonie pozbawionym zwykłych form grzecznościowych.

„Zgromadzenie wasze ma wprawdzie możliwość przyjmowania w grono swych członków tych, co o to proszą. Ale nie może tego czynić bez litterae testimoniales ich ordynariusza. W razie zaś gdyby ten żądane zaświadczenia odmówił, a Zgromadzenie uważało, że to jest niesłuszne, to może odnieść się do Kongregacji rzymskiej, ale nie ma prawa uważać się za sędziego we własnym interesie.

Nie ma też prawa prowadzić zakładu, w którym by wychowankowie chodzili w sukni kleryckiej bez pozwolenia biskupa, na którego terytorium dane kolegium zostało otwarte.

Nie ma też prawa przywdziać w suknię klerycką chłopaka, który by ją nosił poza kolegium, bez pozwolenia biskupa, do którego diecezji wychowanek ten należy. A więc to, że niedawno został przybrany w szatę klerycka chłopak z Vinovo, bez pozwolenia arcybiskupa turyńskiego, było rzeczą doprawdy anormalną, a biorąc pod uwagę okoliczności temu towarzyszące, było ciężkim wykroczeniem przeciwko obediencji należnej biskupowi diecezjalnemu”.

Konflikt, jaki powstała pomiędzy władzą kościelną Turynu, a Zgromadzeniem i który trwa po dziś dzień wziął właściwie swój początek od tego, że do Oratorium byli przyjmowani klerycy wydaleny z seminarium metropolitalnego i to nie tylko bez zgody, ale wprost wbrew wyraźnemu zakazowi biskupa, a to już doprawdy było po prostu burzeniem porządku hierarchicznego i podważeniem karność wśród seminarzystów. Nic, więc dziwnego, że arcybiskup musiał odczuć to, jako cios wymierzony w najczulszą stronę swego serca.

Przykra ta scysja trwa, a nawet powiększa się, wobec braku uszanowania, tak w listach jak i rozmowach, należnego charakterowi i władzy arcybiskupiej, jak to miało miejsce wczoraj wieczorem /29.12.1875 r./. A na domiar złego przepraszając za to, posłużono się trybem warunkowym z partykułą „jeśliby”. W tej formie można przepraszać nawet za winy w ogóle niepopelnione.

„Niech, więc Zgromadzenie trzyma się ściśle w granicach prawa kanonicznego, niech zachowuje swoje konstytucje, niech nie zapomina o szacunku należnym arcybiskupowi i niech nie występuje przeciwko jego jurysdykcji, jak to już się tyle razy zdarzyło. Niech również nie zapomina o obowiązkach sprawiedliwości względem niego i względem diecezji, niech wreszcie, tak względem niego, jak względem innych, i to przy każdej sposobności, świeci przykładem pokory, która powinna być pierwszą cnotą wszystkich instytutów zakonnych, a wtedy rzeczy ułożą się według tego, jak wymaga sprawiedliwość chrześcijańska”.

Ksiądz Bosko bez zwłoki podyktował na to odpowiedź księdzu Rua, ujmując ją w jego osobie.

„Ekscelencjo!

Poczuwam się do obowiązku najserdeczniej podziękować za uwagi przesłane mi pod datą 31 grudnia, ubiegłego roku. Potwierdzają one to, iż tylko niemożliwość udzielenia wyjaśnień z naszej strony jest powodem niezadowolenia Waszej Ekscelencji ze Zgromadzenia Salezjańskiego. Jestem pewien, że skoro tylko będziemy mieli sposobność przedstawić wszystkie te sprawy w ich właściwym świetle i zapewnić Waszą Ekscelencję o naszej najlepszej woli, to te trudności, które właściwie nie istnieją albo są niezawinione, znikną. Jako prefekt Zgromadzenia jestem wtajemniczony w jego sprawy i dlatego proszę, by mi wolno było przedłożyć nasz punkt widzenia, który z całym uszanowaniem oddaje pod światły osąd Waszej Ekscelencji.

„Zgromadzenie Salezjańskie nie może przyjmować nikogo bez „Litterae testimoniales” od jego ordynariusza”.

To nie sprawia nam najmniejszej trudności, gdyż to mamy przepisane w Regułach. Zresztą na Nowy Rok odczytywany jest wobec wszystkich dekret „Romani Pontifices” z 25 stycznia 1848 r. i norm tam zawartych ściśle się trzymamy. Nie są nam obce także i różne odpowiedzi Kongregacji wyjaśniających wyżej wspomniane pismo Ojca św.”.

„Zgromadzenie Salezjańskie nie ma prawa prowadzić kolegium, w którym by wychowankowie chodzili w sukni kleryckiej bez pozwolenia Ordynariusza”.

I co do tego nie mamy żadnych zastrzeżeń, bo ani w tej ani w innej diecezji nie prowadzimy żadnego zakładu, w którym by chłopcy chodzili ubrani za kleryków.

„Niedawno został przyodziany w suknię klerycką chłopak z Vinovo bez pozwolenia ordynariusza. Jest to ciężkie wykroczenie przeciw zależności, obowiązującej względem biskupa diecezjalnego”.

Jeśli w tym było coś niewłaściwego, to całą winę biorę na siebie, ale ufam, że Pan Bóg mi tego za grzech nie poczyta, gdyż stało się to tylko przez przeoczenie. Młodzieniec ten został przeze mnie przyjęty na polecenie jednego wielce pobożnego i gorliwego kapłana. Suknię klerycką otrzymał po wniesieniu prośby o przyjęcie do naszego Zgromadzenia. Przecież swego czasu Wasza Ekscelencja raczył nam oświadczyć, iż nie stawia żadnej trudności, by młodzieńcy przychodzący ze świata do nas, jeżeli o to proszą, mogli być zapisani do naszego Zgromadzenia. Do tego również zostaliśmy upoważnieni, z chwilą zatwierdzenia naszych Reguł, 3 kwietnia 1874 r. jak nas o tym zapewniał tyle razy monsignor Vitelleschi.

„Zgromadzenie Salezjańskie przyjmuje indywidua wydalane seminarium diecezjalnego bez pozwolenia ordynariusza”.

Na pewno Wasza Ekscelencja wie lepiej ode mnie, że żaden ordynariusz diecezjalny, nie może stawiać przeszkód, aby jego księża, czy klerycy wstępowali do zgromadzenia zakonnego, co zresztą niedawno, bo 13 stycznia bieżącego roku, wyraźnie zadeklarowała św. Kongregacja Biskupów i Zakonników i co też na pewno zostało Waszej Ekscelencji zakomunikowane. Ale w tych katastrofalnych czasach, w jakich żyjemy, nie tyle trzymaliśmy się litery prawa, jak mieliśmy na oku dobro

dusz. A więc skoro tylko Ekscelencja wyraził swoje niezadowolenie z tego, nikt więcej nie został już przyjęty. O dwóch Ekscelencja wspomniał w czasie jednej rozmowy, a mianowicie o klerykach Munina i Maccono, że zostali przyjęci w jednym z naszych domów. Otóż w niedługim czasie potem, zostali oni odesłani.

„W listach i rozmowach ubliża się należyj czci arcybiskupowi itd.”. Ekscelencjo, nie tylko ja, ale wszyscy salezjanie, pragnęliby nareszcie dowiedzieć się, w jakich to listach, czy rozmowach ubliżono arcybiskupowi, a zależy im na tym, bo chcieliby to naprawić i za to w sposób jak najbardziej uroczysty zadośćuczynić.

Jesteśmy w stałym kontakcie z przeszło 40 biskupami, którzy dla nas okazują się prawdziwymi ojcami i dobrodziejami i niech mi wolno będzie oświadczyć, że przy żadnym innym nie liczymy się tak ze słowami, czy w rozmowie, czy w piśmie, jak gdy przychodzi nam porozumieć się z Waszą Ekscelencją, któremu nie chcielibyśmy przenigdy zrobić najmniejszej przykrości. Doprawdy bardzo mi zależy, bym mógł się dowiedzieć, choćby o najmniejszym nietakcie względem Waszej Ekscelencji, ze strony, któregoś z moich współpracowników, a to tylko z tej przyczyny, by czegoś podobnego na przyszłość uniknąć.

„Zgromadzenie niech się trzyma w granicach prawa kanonicznego itd.”.

Proszę ponownie Ekscelencję, ażeby to nasze Zgromadzenie dopiero powstające i to w czasach tak burzliwych, raczył traktować z jak największą wyrozumiałością, jaką tylko da się pogodzić z władzą ordynariusza, by nie z rygiorem prawa do nas podchodził, ale z miłością i wspaniałomyślnością. Wszak 200 salezjanów pracuje w diecezji turyńskiej, nie pod przymusem prawa, czy własnego interesu, ale jedynie, by zaradzić gwałtownym potrzebom, w jakich obecnie znajduje się Kościół św., Przy czym jestem upoważniony od wszystkich moich współpracowników zapewnić Waszą Ekscelencję, że na cokolwiek by zwrócił uwagę nam, jako przeciwne prawu kanonicznemu, w tej chwili się do tego bezwzględnie zastosujemy.

Równocześnie jednak niech mi wolno będzie przedłożyć niektóre sprawy, które bardzo skonsternowały i upokorzyły biednych salezjanów.

Zaczęło się od Dekretu z dnia 17 listopada 1874 r., w którym odebrano nam przywileje i łaski, jakie Ekscelencja i jego poprzednicy raczyli nam przyznać w ciągu 35 lat. Jest to fakt, jaki chyba rzadko spotyka się w historii; drugi podobny – to przyznanie naszemu Przełożonemu tylko ograniczonej jurysdykcji i odebranie mu władzy rozgrzeszania od rezerwatów, jaka przedtem została mu łaskawie przyznana, chociaż o nią nie prosił.

Odmownie została załatwiona nasza prośba, by Ekscelencja zaszczycił swoją obecnością obchód siedmioletnia konsekracji kościoła Najświętszej Maryi Wspomożycielki, jak i ta, by raczył przyjść udzielić bierzmowania naszym wychowankom. Przy czym nie otrzymaliśmy pozwolenia na zaproszenie innego biskupa.

Na początku tego roku odmówiono władzy głoszenia kazań dwóm naszym kapłanom, z których jeden jest dyrektorem szkół dla eksternistów i oratorianów. Wszystkie te tak ciężkie dla nas zarządzenia z pewnością każą się domyślać

poważnych powodów ich wydania, których jednak dotąd nie podano nam do wiadomości.

Mimo to wszystko nasz Przełożony, którego te zarządzenia najbliżej dotyczą nigdy nie odezwał się słówkiem w sposób, który by mógł ubliżyć jego przełożonemu diecezjalnemu, przeciwnie, mogę zapewnić Waszą Ekszelencję, że kiedy chciano, by podpisał skargę, jaka na Waszą Ekszelencję została wysłana do Rzymu, kategorycznie odmówił.

Kiedy zaś doszło do jego wiadomości, że korespondent jednego z najgorszych dzienników miał przygotowanych kilka zjadliwych artykułów przeciwko Waszej Ekszelencji, wtedy zdecydował się przyjąć do Oratorium syna tego złośliwca, a nawet wpłacić mu pewną sumę pieniędzy, byle tylko zniszczył wspomniane pisma oszczercze, co na szczęście się udało.

Nie dawniej jak w ubiegłym październiku niektórzy panowie, przekonani, że Ksiądz Bosko jest przeciwnikiem arcybiskupa, przynieśli do niego paszkwil na Waszą Ekszelencję, ofiarując przy tym poważną sumę pieniężną na jego wydrukowanie. Ksiądz Bosko wziął manuskrypt, który miał ponad tysiąc stron, a zapoznawszy się z jego treścią, podarł na drobne kawałki i wrzucił do ognia. Miał z tego powodu poważne przykrości, ale jego największą przyjemnością jest, kiedy choćby z poświęceniem może obronić honor swego arcybiskupa, którego zawsze kocha i szanuje.

Spostrzegam się, że moje pismo się przedłuża, ale Ekszelencja mi daruje, że tak się wynurzam. Czynię to tylko dlatego, by go zapewnić, iż salezjanie zawsze odnoszą się do Jego Osoby z największą czcią i uszanowaniem, z jakim odnosili się wtedy, kiedy był zwykłym kanonikiem w tym mieście, czy potem biskupem Saluzzo, czy wreszcie, kiedy za zrządzeniem Boskiej Opatrzności, został naszym arcybiskupem.

Zawsze uważam sobie za największy zaszczyt, ilekroć mogę wyrazić Waszej Ekszelencji swoją największą wdzięczność i cześć.

Zobowiązany sługa ks. Michał Rua.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć parę słów o księżach. Jak widać z katalogu, księży nie było w Oratorium za dużo, zwłaszcza, jeśli weźmie się pod uwagę ogrom pracy, jaką spełniali. To tłumaczy nam żale, z jakimi zwrócił się do Księdza Bosko ks. Cagliero. Interesująca będzie poniżej przytoczona scena takiej bezpośredniej rozmowy pomiędzy rzutkim i energicznym przyszłym kardynałem a niewzruszonym w swoim spokoju Świętym. Dialog poniższy odbył się 4 lipca po wieczery. Rozpoczął ks. Cagliero, robiąc wyrzuty Księdzu Bosko, że do pracy w Oratorium tak mało przeznaczają księży. Na to Święty:

„Pociesz się. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w ciągu trzech miesięcy wyświęcimy jedenastu nowych księży”.

„Dobrze, dobrze. Nawet byłoby ich za wielu, gdyby tylu wyświęcono na raz. Ale ja już nie jestem dzisiejszy w Zgromadzeniu. Co roku wyświęca się księży i co roku jest ich większy brak. Wyświęca się jednego księdza, a pracy przybywa dla

dwóch. Wyświęca się dwóch niby dla Oratorium, a Ksiądz wysyła z tego Oratorium trzech do innych zakładów. O, na przykład teraz; ma ich być jedenastu, a tymczasem już otwiera się domy w Ameryce i nowy dom dla przyszłych Synów Maryi. A jeszcze z tych jedenastu z takiego, czy innego powodu, może czterech czy sześciu, a nawet więcej, zostanie wstrzymanych od święceń i dobranoc. Wszystko pozostanie w gorszym położeniu niż dotąd”.

„No, tak znowu źle nie będzie. Chyba żeby nam z Rzymu nie przyznali extra tempus, o co prosiłem, ale tego nie ma się, co obawiać, bo zawsze nam to uwzględniano. Skoro tylko nadejdzie pozwolenie, w najbliższą niedzielę będą minorki, w następną subdiakoniat, a potem diakonat i tak w miesiącu mamy prymicjantów”.

„I ci zajmą miejsce innych. Ale przecież będzie potrzeba innych jedenastu, którzy by zajęli miejsce tych wyświęconych”.

„Och, boję się, że dopóki będzie istniało Oratorium, to zawsze tak będzie. Jedna praca ściga drugą, a druga trzecią. Jeśli by się zdarzyło, że ktoś nie ma dwóch prac w ręku, to na pewno, ma je trzy i tak będzie nam zawsze wesoło”.

„Dosyć, dosyć. Na razie, kto się o to ma martwić, niech się martwi; Ja uciekam do Ameryki i zobaczmy, czy tam się coś zmieni w tym względzie”.

Rozmowy tej słuchało trzech księży, którzy zresztą całkiem nie gorszyli się ze swobody, z jaką ks. Cagliero rozmawiał ze swoim Przełożonym, do którego zresztą zawsze odnosił się z największą czcią. Oczywiście odjedzie on do Ameryki, ale nie, jako uciekinier. Święcenia odbyły się, jak wynika z katalogów 1876 roku, ośmiu zostało wyświęconych na księży, dwóch na diakonów i jeden na subdiakona.

Swoim nowo wyświęconym księżom Ksiądz Bosko nie szczędził stosownych uwag. Szkoda, że tyle z nich już zaginęło. Oto niektóre. Między nielicznymi profesami, którzy wstąpili do Zgromadzenia już jako księża, wyróżniał się ks. Guanella. Jemu to, jako dyrektorowi Oratorium św. Alojzego, takie dał normy praktyczne Ksiądz Bosko, dotyczące głoszenia kazań:

„Jeżeli chcesz, by się twoje przemówienia do dzieci podobały i były dla nich korzystne, to staraj się przytaczać jak najwięcej przykładów, przypowieści i porównań. A co przy tym jest najważniejsze, to trzeba je szeroko opowiedzieć, przytaczając różne szczególiki i dokładnie opisując, choćby najmniejsze okoliczności im towarzyszące. To dopiero wzbudzi zainteresowania u chłopców i będą z wielkim napięciem oczekiwali, jak się to wszystko skończy.

Oto, co zapisał sobie, późniejszy biskup ks. Costamagna z uwag, jakie otrzymał od Księdza Bosko w 1875 roku:

„Kiedy miałem głosić rekolekcje w naszych zakładach w Turynie, w Varazze i w innych, Ksiądz Bosko zawołał mnie do siebie i takie dał zalecenia:

Kładź wielki nacisk na to by unikali złych rozmów, wykazując, jak one są szkodliwe. Opowiedz im nawet, że Ksiądz Bosko czytał dużo grubych książek, słyszał już bardzo dużo i dużo kazań, ale niewiele z tego pamięta; ale o jednym niewłaściwym słowie, które usłyszał w siódmym roku swego życia od złego kolegi jeszcze do dzisiaj

nie zapomniał; że złośliwy diablík ciągle mu się z tym wyrazem naprzykrza do ucha, a przecież ma już 60 lat.

W tym samym roku, kiedy był w Sampierdarena, rozmawiał z księdzem Alberą na temat kierownictwa duchowego młodzieży, jechali właśnie karocą od pana Angelo Borgo, gdzie byli na obiedzie. Po chwilce milczenia Święty zawołał:

„Jakże trudną jest rzeczą oddziaływać dobrze na dusze. Teraz nawet, gdy już mam 60 lat, napotykam trudności przy spowiedziach chłopców, a przecież nie brakło mi i oświeceń z nieba”.

Ksiądz Bosko, który do różnych zajęć wysyłał jednostki posiadające więcej dobrej woli, niż przygotowania, jeśli chodziło o pełnienie funkcji kapłańskich, to był o wiele więcej wymagający niż by to można przypuszczać. I tak pewien młody kapłan, wyświęcony w sierpniu 1875 roku, wyznaczony został do kolegium w Valsalice, a ponieważ miał większe zalety kaznodziejskie, bardzo chętnie występował na kazalnicy. Pewnego dnia Ksiądz Bosko zagadnął dyrektora tamtejszego zakładu, ks. Dalmazzo:

Słyszę, że ten ksiądz bardzo dużo głosi kazań?

Owszem, odpowiedział ks. Dalmazzo.

A wywiązuje się z tego dobrze?

Nie tylko dobrze, robi furory.

No, ale jego kazania, przynoszą owoc w duszach?

No, tego nie umiałbym powiedzieć, ale jest ciżba na jego kazaniach i wszyscy są rozentuzjasmowani.

No tak, ale ja pytam czy są nawrócenia?

Tego to już nie wiem. Ma wspaniały styl, bujną wyobraźnię, piękny głos. Może te kazania są zbyt wystylizowane.

No, to na kilka lat zabraniam mu głosić kazań.

Sposób odnoszenia się Księdza Bosko do jego księży był doprawdy pociągający i tym pozyskiwał ich serca. Raz do dyrektora kolegium w Lanzo, księdza Lamoyne tak się odezwał, otwierając szafę:

No, masz tu, nabierz sobie pieniędzy.

Ależ ich nie potrzebuję.

Ale bierz, będziesz mniej zależny od prefekta, a czasem to dobrze jest być mniej kontrolowanym. Ks. Lemoyne ucałował mu ze wzruszeniem rękę.

A oto rozmowa z księdzem Barberisem.

Ty będziesz zawsze wielkim przyjacielem księdza Bosko?

Och, myślę, że tak.

I będziesz baculus sanocutis meas.

Jeśli tylko będę mógł, zawsze jestem z całą gotowością do usług.

Wy dokończycie dzieła, które ja zaczynam. Ja nadaję mu rysy, wy nałożycie kolory.

Byleśmy tylko nie zepsuli tego, co Ksiądz Bosko zrobił.

Nie ma obawy. Bo tak: ja teraz piszę, jakby na brudno treść Zgromadzenia, a pozostawię tym, którzy po mnie przyjdą, aby to przepisali na czysto. Teraz jest ono w zarodku. Sam przecież zauważyłeś, ile to zmian zaszło, odkąd przyszedłeś do Oratorium; i pod każdym względem rzeczy idą ku lepszemu, tak pod względem materialnym, duchowym, karności.

A cóż znaczy to nasze Oratorium, tu na Valdocco, wobec całego świata? – odezwał się, kiedy indziej – i tymi słowy zakończymy te dwa już przydługie rozdziały. Czym jest Oratorium? Mały atom. A jednak tyle tu mamy do pracy. I z tego kącika zamierzamy rozesłać pracowników na wszystkie strony. Jakże potężna jest myśl ludzka, jak potężna jest Dobroć Boża.

O, niewypowiedziana świętość Męża Bożego – zawołamy z naszej strony. Ksiądz Karol Ghivarello, w owym czasie radca Kapituły Wyższej, człowiek raczej małomówny, zamiłowany w mechanice, zimny obserwator nie tylko maszyn, ale i ludzi żywych, postanowił sobie w szczególniejszy sposób obserwować na każdym kroku naszego świętego Założyciela, aby przekonać się, czy będzie mógł zauważyć w jego codziennym życiu czy to w słowach, czy rozmowach, coś mniej właściwego. Przez cały miesiąc wytrwale śledził go na każdym kroku; ale jak potem oświadczył księdzu Nai, już po śmierci Księdza Bosko, nic absolutnie nic, nie mógł zauważyć, co by można było nazwać wadą.

Z tych wielkich cnót Świętego Założyciela maleńkie Oratorium czerpało swoją wewnętrzną siłę, która dawała impuls do wielkich poczynań. Już nie tylko we Włoszech, ale, jak to dziś widzimy, na całym świecie.

ROZDZIAŁ XII

INTERESANCI, PRZEJEZDNI I GOŚCIE

Jak wynika z tytułu, będziemy w tym rozdziale ciągle jeszcze w rytmie życia wewnętrznego Oratorium. Wizyty, bowiem składane Księdzu Bosko, często wpływały na ogólny rozkład zajęć dziennych, jak to zaraz zobaczymy. Przyjmowanie różnych interesantów przez Świętego było w ostatnich trzydziestu latach jego życia, rzecz można, jednym z największych krzyżów. Oto jak sam się o tym wyraził po uroczystości Najświętszej Maryi Wspomożycielki, siedząc przy stole z zaproszonymi gośćmi, których nie był w stanie z powodu przemęczenia bawić, jak zwykle, pociągającą rozmową: „Te ciągle posłuchania doprawdy mnie wyczerpują. Wszyscy chcą ze mną mówić i to jak najdłużej, a ja już doprawdy nie mogę tak dalej. Teraz jeden chce tylko pół godzinki, drugi mówi, że z Turynu nie wyjedzie, zanim by ze mną swobodnie nie porozmawiał. Odpowiadam: Ależ doprawdy już nie mogę, proszę zobaczyć, ilu czeka. A on na to: Zatrzymam się jeszcze, poczekam i czas się znajdzie. To łatwo się mówi, ale przecież każdy człowiek to tylko jeden człowiek i robi tyle, ile może zrobić jeden”.

I rzeczywiście wprost polowano na niego i nikt nie robił sobie skrupułów, gdzie i jak, byle na niego się natknąć. Zdarzyło się, a było to 1 czerwca, że Ksiądz Bosko dłużej spowiadał i później przyszedł na wieczerzę. Po podwórzu kręciły się dwie panie z Bolonii, które przyjechały na uroczystość Maryjną, no i by pomówić ze Świętym. Zauważywszy, że wszedł do jadalni, weszły do niej bez żadnej krępacji.

O tej godzinie tu? – zawołał Ksiądz Bosko zobaczywszy je.

Zdobyłyśmy się na odwagę, bo nie możemy się do Księdza docisnąć.

Ale panie zapomniały, że o tej godzinie obowiązuje klauzura?

Prawdę mówiąc, nie zdawałyśmy sobie sprawy z tego, ale ostatecznie możemy poczekać za drzwiami.

Kiedy właściwie nas tu skierował ks. Rua – wtrąciła druga.

Nie gadajmy wiele. Ja pań nie wyrzucam, ale proszę pamiętać o cenzurach, jakie można ściągnąć na siebie za pogwałcenie klauzury.

Obecnych przy tym było coś dziesięć osób i panie czuły się mocno skonfundowane. Mniejsza o to czy Ksiądz Bosko poważnie chciał im cenzurami zagrozić, czy nie, ale ten, co to zanotował pisze:

„Wprawdzie jego słowa nie były w tonie szorstkim, ale też nie towarzyszył im zwykły mu dobrotliwy uśmiech. Kto zna posuniętą do ostatecznych granic rezerwę

Księżda Bosko w tym względzie, łatwo zrozumie, że powyższy epizod nie mógł się zasadniczo inaczej skończyć.

Przez cały dalszy czerwiec Oratorium było rzec by można, domem zajezdnym. Ksiądz Bosko nie chciał przed nikim zamykać bramy. Razem z owymi paniami z Bolonii, przyjechał pan Lanzarini, który gościł w marcu, w Bolonii Świętego, gdy ten wracał z Rzymu. Zatrzymali się na Valdocco i inni goście z różnych krajów a nawet z różnych wyznań, a więc byli: jeden świeżo przechrzczony Żyd i 25 - letni Anglik, katolik, który uczył się łaciny, by zostać następnie księdzem, był jakiś kleryk z Malty i młodzieniec ze Szwecji, protestant, co chciał przejść na katolicyzm, był i Francuz, który od dłuższego czasu, opuściwszy się w praktykach pobożności, teraz po spowiedzi u Księżda Bosko, chciał koniecznie pozostać w Oratorium; nie brakło i księży: jeden Sycylijczyk, drugi kanonik z Alassio, odwiedzający swego krewnego, oraz jeden proboszcz; przyjeżdżało też innych dziesięciu duchownych pielgrzymujących do Paray le Monial. Inny ksiądz z Modeny przygotowywał się tu do egzaminów z teologii.

Rozmowa z tym księdzem na temat masonerii dostała się nawet do ówczesnych pism, bo w czasie niej miał Ksiądz Bosko powiedzieć, co następuje: „Cavour, głowa masonerii piemonckiej, zaliczał Księżda Bosko do swoich osobistych przyjaciół. Wyraźnie on mi powiedział i to nieraz, że nie przyjmie mnie na posłuchanie, o ile u niego nie zatrzymam się na obiedzie i zaznaczył, że najważniejsze rzeczy najlepiej się omawia przy stole. I raz rzeczywiście, w jakiejś pilnej sprawie zgłosiłem się u niego w urzędzie, w porze obiadowej nie przyjął mnie tam, ale koniecznie wziął ze sobą na obiad. Wszystko wtedy zostało załatwione według mej myśli”.

O ministrze Viglianim zaś wyraził się, że traktował go z taką życzliwością, jak gdyby był jego starym kolegą. Nie mniejszymi względami cieszył się u ministra Rattazziego.

Czasem, z powodu przejezdnych kapłanów miał Święty i nieprzyjemności. I tak zamieszkał w tym roku w Oratorium kapłan z diecezji Casale, nazwiskiem Teodor Boverie. Gdy jego celebret, jaki miał wystawiony z Kurii turyńskiej stracił swoją ważność, wniósł on prośbę o jego przedłużenie. Tymczasem wyjechał z Turynu i po odbiór tego dokumentu się nie zgłosił. Zaraz też przyszło ostre upomnienie od ordynariusza, z zagrożeniem na przyszłość, jeśli do trzech dni tak Ksiądz Bosko, jak i zainteresowany, sprawy nie uregulują. Ksiądz Bosko poinformowawszy się o wszystkim napisał poniższy, pełen szacunku list wyjaśniający:

Ekscelencjo!

Zebrałem informacje, dotyczące księdza Teodora Boverio i niniejszym poczuwam się do obowiązku zakomunikować, co następuje. Wspomniany kapłan, przyjechawszy do Turynu, przez jakiś czas zatrzymał się u nas i odprawiał Mszę św. w kościele Najświętszej Maryi Wspomożycielki. Ostatnio, celem leczenia się, pojechał do Genui i przebywa w szpitalu w Sampierdarena. Tyle dla normy Waszej Ekscelencji,

podczas gdy mam zaszczyt kreślić z najgłębszą czcią Ekscelencji Waszej pokorny sługa.

Dnia 13.08.1875 r.

Przyjeżdżały też do Oratorium osobistości wybitne, chcące poznać Księdza Bosko i jego dzieło. W tym roku zwiedzało Oratorium kilku misjonarzy i biskupów. W maju przejeżdżał misjonarz /nazwiska nie znamy/ z Azji, który swym opowiadaniem, jak to w jego rejonie, na 8 milionów mieszkańców, pracuje biskup i ośmiu księży, wzbudził ogólne zainteresowanie misjami wschodnimi. W październiku biskup z Calutcy miał długą rozmowę ze Świętym, po czym udzielił uroczyste błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem. W listopadzie zwiedzał urzędzenia Oratorium biskup z Acerenza, nie mogąc się nadziwić wszystkiemu, co widział.

A teraz kilka słów o biskupie Parocchi z Pawii, którego wizyta miała pewien wpływ na przebieg kanonizacji Świętego. Bawił on w Turynie w lipcu tego roku, niedługo po biskupie ze Suzy i nawet tu nocował. Otóż dawny adwokat fiskalny Kurii turyńskiej, kanonik Calomiatti, który składając szczegółik do szczegółiku przeciw Księdzu Bosko zdołał zagmatwać przebieg procesu beatyfikacyjnego; zeznał, że w roku 1900 słyszał od kardynała Parocchi, Wikariusza Rzymu, co następuje:

Przypominam sobie miał powiedzieć ten dostojny Purpurat, że będąc jeszcze arcybiskupem w Pawii odwiedzałem Księdza Bosko w Oratorium i ten na powitanie zapytał mnie, czy przychodzę do niego o poradę. To niemile mnie uderzyło, bo choć byłem młodszy w latach od niego, to jednak, jako biskup miałem pełnię kapłaństwa i raczej nie wypadało postawić podobne pytanie.

Kto zna, nie mówmy już, głęboką pokorę Księdza Bosko, ale choćby tylko jego delikatności oględność w wyrażeniach, ten tylko się uśmiechnie, słysząc taką piramidalną niedorzeczność. Jedną w tym wypadku może być alternatywa; albo kanonik przekręcił słowa kardynała, czy ich nie zrozumiał, albo też biskup Pawii, późniejszy kardynał, wziął „Roma par Thoma” /barana na osła/. My dziwić się nie będziemy, że paladyn dawnej Kurii turyńskiej, kiedy miał wydać sąd o Księdzu Bosko, wszystko widział przez swe zaproszone uprzedzeniem okulary, a może nawet wprost mu zależało, by białe zrobić czarnym, co zresztą zostało aż do przesady wykazane przez księdza Cossu i innych w odpowiedzi na powyższy zarzut. Nie chcemy jednak posądzać go o złą wolę, ale „il fatto non si sfaita” /co się stało, to się nie odstanie/. Zresztą przy namiętnych dyskusjach podobne chwytły zdarzają się. Lecz już Owidiusz śpiewał w Trenach na przestrożę pewnym adwokatom, że – *causa patrocini non bona peror fit* /Psuje, kto słabym sprawom patronuje/.

A choćby Ksiądz Bosko tak się wyraził, to już doprawdy podobne przyjęcie jego żartobliwych słów przez owego biskupa, raczej na minus tego ostatniego świadczy, jak mógł dopatrywać się obrazy, gdzie jej cienia nie było. Ksiądz Bosko zawsze pełen szacunku dla wszystkich władz kościelnych, odnosił się do tych, co z nimi żyli w serdeczniejszych stosunkach, bardzo szczerze, bezpośrednio a nawet

z pewnym humorem, okraszając rozmowę z nimi żartami, czy dowcipem, na który nigdy sobie nie pozwolił, gdyby przeczuwał, że będzie źle przyjęty i już na pewno nie narzuczał się biskupom na doradcę: to nie w jego stylu. I na ten temat wystarczy.

Dzień, który na długo pamiętnym został w Oratorium, to dzień 5 - ty lipca w tym roku. Ksiądz Ceria pisze, że „lapillo albo signanda dien” także dlatego, że Ksiądz Bosko nadał jego programowi szczególnego charakteru tajemniczości. Oto w czasie obiadu zjawia się w jadalni chłopców jeden z przełożonych, daje znak lektorowi, by przerwał czytanie i trochę tajemniczo poleca im, by na dany znak dzwonka udali się do sypialni i tam umyli się, uczesali, buciki dobrze wyczyścili, ubrania świąteczne wdziali, bo przyjeżdża bardzo wybitna osobistość ich odwiedzić. Niech, więc okażą się dobrze wychowanymi, niech nie zapomną zdjąć na powitanie kapeluszy, zachowując spokój gdzie i jak trzeba. Muzycy zaś o drugiej zbiorą się, by zrobić próbę okolicznościowego hymnu. Łatwo wyobrazić sobie ciekawość wszystkich. Księżom, klerykom nie dawano spokoju, a ci biedacy też tyle wiedzieli, co wychowankowie. Końca nie było kombinacjom i dociekaniu. Chyba księżę Amadeusz?. A może księżę Humbert. Nie. to będzie Don Carlos, co wraca od Papieża. A może generał Lizzaraga, jego wysłaniec do Rzymu, wracając przejeżdża przez Turyn? Jeden z kleryków zaś posłyszawszy w rozmowie przełożonych z Kapituły wyraz kardynał, puścił żartem pogłoskę, że to na pewno jakiś monsignore wiezie z Rzymu kapelusz kardynalski dla Księdza Bosko. Nowy element do tych kombinacji wnieśli śpiewacy, którzy na kartkach ze znanym im już okolicznościowym hymnem zamiast „Viva Don Bosco” wyczytali „Viva Giuseppe, Giuseppe viva”. A ponieważ ostatecznie pewnym się stało, że gość przybywa z Rzymu, więc już tylko trzeba było ustalić, komu tam na imię Józef, a takich na pewno było bardzo wielu.

Ów tajemniczy pan miał nadjechać o czwartej i czwarta się zbliżała. Program przyjęcia tak ustalono: Wychowankowie wszyscy mają znajdować się w uczelniach względnie w pracowniach: kapela u bramy zakładu; ks. Bosko pod portykami; w czasie, gdy goście będą zwiedzać pracownię, gimnazjaliści zejść na podwórze i ustawią się półkołem, by odśpiewać hymn powitalny. W praktyce jednak wypadło trochę inaczej, bo oto już kwadrans przed czwartą wchodzi na podwórze czterech panów jeden za drugim. Pierwszy z nich wysoki wzrostem, trochę szpakowaty, ale bardzo dostojny, robił wrażenie, że to o niego chodziło. Ubrany był w czarny garnitur z cylindrem na głowie. Muzycy niestety jeszcze nie zdążyli się ustawić. Ale ksiądz Sela, który znalazł się wtedy w portierni, zaraz dał znać Księdzu Bosko i do niego skierował bezpośrednio przybywających.

Po niedługim czasie już on prowadził gości do uczelni i sypialni a po oglądnięciu z tarasu ogrodu zeszedł z nimi pod portyki. Wtedy dopiero przywitała ich kapela. Następnie zwiedzali pracownię. Ksiądz Bosko zalecił tym, co byli w Rzymie, aby nic nie mówili, ani żadnym znakiem szczególniejszego uszanowania nie zdradzili, że tych panów znają. Lecz utrzymanie tajemnicy nie było rzeczą tak prostą. Już w księgarni, gdy ksiądz Berto ofiarował nieznanemu Mszę św. księdza Cagliero dedykowana kardynałowi Józefowi Berardi, jednemu ze zwiedzających wyrwało się:

och, dedykowana Waszej Dostojności. Podchwyciło to dwu tamtejszych pracowników i tajemnica zaczęła się rozwiewać. Zaś w drukarni dwaj młodociani terminatorzy z Rzymu na widok nadchodzących zawołali: Och, kardynał Berardi.

Po zwiedzeniu pracowni goście wrócili pod portyki, gdzie już stali w ordynku gimnazjaliści. Goście usiedli na przygotowanych fotelach, a uczniowie odśpiewali hymn powitalny. Koncert trwał pół godziny. Po skończeniu improwizowanej akademii owi panowie wstali, a pozdrowiwszy młodzież uchyleniem cylindrów, w milczeniu odeszli ku portierni.

Zdziwienie budził szacunek i względy, jakie ów starszy pan okazywał Księdzu Bosko. Zawsze chciał go mieć po swojej prawej stronie, a gdy ten przechodził na lewo, zabronił mu tego słowy: W tym wypadku to ja decyduję: proszę zostać. Przy wsiadaniu do karety usadził Księdza Bosko po swej prawicy mimo jego grzecznego oporu i nie pozwolił towarzyszyć sobie z głową odkrytą. Chłopcy otoczyli karocę i oklaskiwali odjeżdżających, przy czym podglądnęli, jak ksiądz Cagliero i ksiądz Berto ucałowali ręce starszego pana, który ich pobłogosławił. Wtedy znikły już wszelkie wątpliwości. Był to kardynał Berardi, wielki przyjaciel i dobrodziej Oratorium.

Powóz odjechał najpiękniejszymi ulicami Turynu w kierunku Valsalice. Po drodze Ksiądz Bosko pokazywał gościom osobliwości miasta. Samo Valsalice zaimponowało kardynałowi tak samo i jego położenie, jak i budynek i przyjęcie zgotowane mu przez młodzież. Tu – rzekł do Księdza Bosko – zaraz się widzi, że to kolegium jest dla szlachty: całe urządzenie odpowiada poziomowi jego wychowanków. Na Valdocco widać czystość i porządek bez elegancji: także i tam wszystko dostosowane do stanu, z jakiego pochodzą tamtejsi chłopcy. Gdyby tu na Valsalice ten zakład był mniej po pańsku urządzony, nie miałby kandydatów: gdyby tam w Oratorium było więcej wygód, nie wyglądałoby ono na zakład dobroczynny. Wszystko, doprawdy wszystko, odpowiednio zestawione.

Z Valsalice wrócił kardynał do Hotelu Europejskiego. Po drodze Ksiądz Bosko wskazał mu miejsce na budowę kościoła ku czci św. Jana Ewangelisty, opowiadając równocześnie wszystkie kłopoty, jakie miał z nabyciem placu pod tę budowę. Gdy późnym wieczorem Święty znalazł się w Oratorium, otoczyli go księża, wypytując o różne szczegóły z pobytu niespodziewanych gości. Okazało się, że kardynał był już w Turynie od dnia poprzedniego, ale absolutnie nie chciał, ażeby w szerszych kołach wiadano o jego pobycie. Ksiądz Bosko już wtedy go odwiedził i oprowadził go po mieście, przy czym nie pominął i cmentarza, gdzie mieli sposobność podziwiać liczne grobowce, wspaniałe marmury, szerokie aleje, otoczone cyprysami, a między innymi także grobowiec madam Graffa, o którym – ciągnął dalej Ksiądz Bosko – na pewno słyszeliście.

Nie, nie, nic nie wiemy – zawołali obecni.

No to słuchajcie. Otóż pani ta, gdy już była blisko śmierci bardzo wydawała się zmartwiona. Zapytana przez męża o przyczynę tego jej niepokoju, odrzekła: Wiesz, nie tyle obawiam się śmierci ile raczej martwi mnie, co innego, a mianowicie myśl,

że tam na cmentarzu zostanie rzucona do ziemi i wystawiona na wszelkie kaprysy pogody, bez żadnej osłony przed słońcem, deszczem, czy śniegiem. Gdyby to, choć jakiś parasol postawiono nad grobem, ale ani tego mi nie dadzą.

Słyszając to małżonek przyrzekł jej, że pomyśli o parasolu odpowiednim z żelaza, który będzie ją chronił od kaprysów przyrody.

Jeżeli tak, to teraz jestem spokojna – odrzekła małżonka. I umarła. Mąż dotrzymał słowa i ja właśnie zaprowadziłem Eminencję, żeby zobaczył sławny parasol, który tam dotąd stoi.

Podczas gdy tak Ksiądz Bosko rozmawiał ze swoimi księżmi, ks. Rua miał słówka wieczorne do chłopców na temat ostatniej wizyty:

Na pewno, moi drodzy chłopcy, chcecie wiedzieć, co to byli za goście, co nas dzisiaj odwiedzili. Niektórzy przypuszczali, że to Papież inni, że kardynał, znowu inni, że Don Carlos. Otóż krótko powiem, kto to był: Jest to osobistość bardzo życzliwa dla Księdza Bosko i dla Oratorium, ale na razie nie chce, ażeby w szerszych kołach wiadano o jej pobycie w Turynie. Z biegiem czasu oczywiście dowiecie się o wszystkim. Ale większość już i tak była przekonana, że to kardynał Barardi.

Spędził on jeszcze jeden dzień w Turynie. Wizyt żadnych nie składał, nawet arcybiskupowi. Rozmawiał tylko dłużej z dyrektorem Unita Cattolica, księdzem Margotti. Przez owe trzy dni Mszę świętą odprawiał w katedrze. Jego postawa majestatyczna i dostojność obejścia zamknęła usta służbie w zakrystii, która nie odważyła się żądać od niego bliższych wyjaśnień, kim był, ale bez trudności podała mu zaraz sutannę i przygotowała wszystko do odprawiania Mszy św. potrzebne.

Z owych trzech, co mu towarzyszyli, dwaj to byli jego kuzyni, a ten młodszy, to był właśnie ten, który został cudownie uzdrowiony w 1869 roku po błogosławieństwie Księdza Bosko.

Ostatni dzień swego pobytu w Turynie kardynał w towarzystwie Księdza Bosko spędził na zwiedzaniu innych osobliwości Turynu, jak zbrojowni królewskiej, ogrodu botanicznego, zwierzyńca z dzikimi zwierzętami, pałacu królewskiego i kaplicy św. Całunu, jak również biblioteki uniwersyteckiej. A żegnając się Eminencja ze swoim przewodnikiem, wyraził mu całe swoje zadowolenie z tego, co widział w Turynie, a zwłaszcza w Oratorium i dodał:

Zaraz napiszę o tym wszystkim do Jego Świątobliwości.

Wróciwszy zaś do Rzymu, już będę ja dobrze wiedział, co powiedzieć o całej działalności Księdza Bosko.

Na słówku wieczornym tego dnia tak Ksiądz Bosko mówił do chłopców:

Teraz, kiedy już owa osobistość odjechała z Turynu, mogę wam spokojnie powiedzieć, kto to był. Otóż, jak niektórzy już się domyślają, był to Jego Eminencja ks. Kardynał Berardi, nadzwyczaj nam życzliwy. Poleciał mi, aby was bardzo, bardzo pozdrowić, podziękować wam za tak serdeczne przyjęcie i powiedzieć wam, że bardzo jest z was zadowolony. Bardzo chętnie byłby do was zwrócił kilka słów przed odjazdem, ale wtedy musiałby się przedstawić, kim jest, a on na razie nie chciał, by o tym w mieście wiadano. I mnie zlecił, bym wam wyraził całe jego uznanie dla

Oratorium. Zapewnił mnie, że powróciwszy do Rzymu, pomówi z Ojcem św. o was i o tym, co tu widział. Jeszcze zanim powróci, to napisze list do Piusa IX, by mu przedstawić swoje wrażenia z Valdocco. Obiecał też, że cokolwiek byśmy potrzebowali w Rzymie to najchętniej wszystko uczyni czy poprze. Widzicie więc łaskawość tego dygnitarza. Przyjechał do Turynu tylko po to, by zobaczyć Księdza Bosko i Oratorium, o którym już tyle słyszał. Z nikim tu nie chciał mówić, ani nie życzył sobie by go, kto inny oprowadzał po mieście jak tylko Ksiądz Bosko. Dziękował też za modlitwy, jakie za niego odmawialiście i dalszej waszej pamięci poleca siebie i potrzeby dzisiejszego Kościoła świętego. Zapewnił, że będzie o nas pamiętał w swoich modlitwach, abyśmy kiedyś razem mogli urządzać piękne uroczystości w Niebie. Dobranoc.

W dwa dni potem miał również Ksiądz Bosko słówko do rzemieślników podobnej treści jak poprzednie, podkreślając jak Eminencja był zadowolony z muzyki, ze śpiewu i z tego, co widział po pracowniach. Chciał – mówił dalej Ksiądz Bosko – bym go oprowadzał po Turynie i pokazał mu, co jest godne widzenia. Zaprowadziłem go także na cmentarz. Ileż wrażeń budzi to święte miejsce w sercu każdego chrześcijanina, widzieć tam spoczywających obok siebie bogatych i ubogich, młodych i starych, uczonych i prostaczków. Jest to rzeczywiście miasto dla wszystkich, bo śmierć wobec wszystkich jest nieubłagana. Wszyscy musimy ulec pod sierpem tej zmory. Czy wy o tym myślicie, drodzy chłopcy? A jednak trzeba się nad tym zastanawiać, by się do tej chwili odpowiednio przygotować, a wiemy, że jakie życie taka śmierć. Pamiętajmy o tym.

Jeszcze jedna wizyta u Księdza Bosko godna jest uwagi w tym roku, a można by ją nazwać historyczną. Otóż w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Dziewicy, rano przybył do Oratorium, na zaproszenie monsignora Ferre razem z monsignorem Andrzejem Scottom, z którym głosił rekolekcje dla kleru w Casal Monferate – kanonik Józef Sarto. Ksiądz Bosko zaprosił ich na obiad. Był to obiad uroczystszy ze względu na urodziny Księdza Bosko, o których on sam był przekonany, że miały miejsce 15 sierpnia, a były jak wiemy w dniu następnym. Po skończonym obiedzie goście pożegnali uprzejmie Księdza Bosko, a kanonik Sarto, by prawdę powiedzieć, pociągnął za rękaw swoich towarzyszy, aby z nim poszli do restauracji na poprawkę. Już, jako Papież, wspomniął o tym Pius X, wyrażając podziw dla umartwienia Księdza Bosko i jego bardzo skromnych posiłków.

Opowiadał też przy tym, jak posłuszni byli chłopcy Księdzu Bosko na każde jego skinienie. Gdy bowiem przechodzili przez podwórze, wielki Wychowawca odezwał się do ówczesnego kanonika Sarto:

Czy chciałby ksiądz wiedzieć, jak tu posłuszna jest młodzież? I zawołał jednego z przechodzących malców i dał mu butelkę do ręki. A teraz mój drogi otwórz dłoń. Ten w tej chwili otworzył i butelka upadła na ziemię. Roześmiał się kanonik,

roześmiali się wszyscy obecni. Chłopczyk jednak stał spokojnie, oczekując dalszych zleceń Księdza Bosko.

ROZDZIAŁ XIII

COŚ O ŻYCIU INNYCH ZAKŁADÓW

A oto trochę wiadomości o życiu innych zakładów w roku 1875, które uzupełniają lepiej biografię Świętego.

Ze swoimi zakładami wychowawczymi pozostał Ksiądz Bosko w ścisłym kontakcie, choćby tylko drogą korespondencyjną. Odwiedzał je przynajmniej dwa razy do roku, oczekiwany zawsze z największym utęsknieniem. Spowiadał tam wtedy chłopaków, którzy wprost tłoczyli się do jego konfesjonału, przyjmował na sprawozdania wszystkich swoich salezjanów, każdego wieczora mówił słówko wieczorne, osobno zaś miewał konferencje do Współbraci. Odjeżdżając, pozostawiał za sobą atmosferę spokoju i zadowolenia.

W roku 1875 groziła wojna zakładom salezjańskim w Ligurii. O grożącym niebezpieczeństwie zawiadomił księdza Francesię poseł Boselli, pisząc mu:

„Burza gromadzi się nad Varese, ale spadnie także na Alassio, a nie wykluczona także Sampierdarena”. Lecz człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi.

Pierwsze uderzenie przyszło z królewskiej Prefektury z Genui. Prefekt Celucci odmówił zatwierdzenia szkołom technicznym kolegium w Varazze; odmówił także zatwierdzenia nauczycielom, którzy tam od pięciu lat pracowali, za zgodą władz szkolnych. Dyrektor zakładu zaraz zawiadomił o tym posła, który zapewniał o swoim poparciu.

Ale oprócz tego, co mógł uczynić poseł, wielce pomocna okazała się interwencja innego miejscowego człowieka. Colucci - bezwzględny i nieustępliwy, miał za swego przyjaciela zaufanego adwokata Maurizio, chlubę palestry genueńskiej, przyjaciela Garibaldiego, a równocześnie całym sercem oddanego Księdzu Bosko. Prefekt bardzo potrzebował jego pomocy, zwłaszcza na początku swego urzędowania. Lepszego doradcy nie mógłby znaleźć w Genui, a przy tym jego stosunki z liberałem tak dobrze widzianym u urzędu i zasłużonym, tym bardziej czyniły go wartościowym. Otóż ten adwokat, dowiedziawszy się o zamierzeniach prefekta względem zakładów Księdza Bosko, powiedział mu krótko i węzłowato: „, Panie prefekcie, jeżeli chce pan zrobić karierę, to niech sobie zjedna Księdza Bosko, inaczej go Ksiądz Bosko bezwzględnie utraci”.

Prefekt jednak nie wziął tych słów poważnie. Wbrew dotychczasowym zwyczajom sam wizytował i inspekcjonował urzędy miejskie i szkoły, chowając do swojej kieszeni diety z tym związane, które wynosiły 30 lir. I oto właśnie do Varazze przyszła wiadomość, że na św. Jana Chrzciciela zjeżdża on z inspekcją magistratu

i kolegium. Biedny ksiądz Francesia nie mógł nawet wyjechać na imieniny Księdza Bosko do Turynu.

Przybył prefekt o godzinie czwartej wieczorem, przedstawił się burmistrzowi, przeglądnął księgi administracyjne, a widząc w nich pozycje przeznaczone na Msze św. na uświetnienie i iluminacje uroczystości kościelnych, odezwał się z przekąsem do prezydenta miasta: „Przecież teraz są już inni święci, dla których uczczenia należałoby przeznaczyć te sumy”. Burmistrz, zamożny obywatel, niezbity z tropu odpowiedział zimno: „Ostatecznie na Msze św. łożymy z naszych kieszeni pieniędzy”.

Celucci wrócił jednak tego samego wieczora do Genui, z nieodwołalnym postanowieniem, że za dwa dni wróci celem wizytacji kolegium i innych szkół. Tak był pewien siebie, iż kazał burmistrzowi już z góry podpisać zaświadczenie o odbytej za dwa dni inspekcji, aby mógł podjąć należną za to dietę. A przecież do Varazze już nie wrócił. Gdy wrócił do swego biura, dostał tu jakby pałką w łeb: na stole leżał dekret ministerialny przenoszący go do Catanii. Zwolniony następnie i z tego urzędu, poniósł jeszcze większą klęskę. Bo gdy został nominowany na senatora, senat /co zdaje się było bez precedensu/ nominację tę odrzucił. By jednak oddać każdemu, co mu się należy, musimy przyznać, że w czasie swego urzędowania w Catanii, spuścił on dużo ze swego tonu antyklerykalnego i to do tego stopnia, iż za wszelką cenę starał się ułatwić otwarcie pierwszego kolegium salezjańskiego na Sycylii w Randazzo.

Ale po wyjeździe Colucciego trwała w prefekturze /województwo nasze/ w Genui niechęć do Księdza Bosko, której kres położył dopiero sam Garibaldi. Gdy ten przybył do Genui i spostrzegł się o niechęci do Księdza Bosko i jego szkół, chciał dociec przyczyny tego. Zorientowawszy się, iż nie ma do tego żadnych podstaw, zawołał: „Ależ zostawcie w spokoju tego Księdza Bosko. Przecież to jest kapłan wielce zasłużony dla społeczeństwa”. Że Ksiądz Bosko miał takiego obrońcę to zaskoczyło i nie mało zdziwiło tych, co zasiadali w fotelach ministerialnych. Wiadomość o tym mamy od osób z najbliższego otoczenia generała.

A oto jeszcze jeden szczegół z życia Garibaldiiego dla nas interesujący. Gdy ten przechadzał się na wybrzeżu morskim w Alassio został mu przedstawiony przez niejaką panią Franciszkę Armonikę należącą do otoczenia Garibaldiiego, jej pupil dawny, a następnie wychowanek kolegium salezjańskiego, z którym taką generał nawiązał rozmowę:

Więc ty obecnie przebywasz w kolegium Księdza Bosko?

Tak, proszę pana generała.

I chcesz zostać księdzem?

Co do tego jeszcze nie jestem zdecydowany.

A tam w tym kolegium wygaduje się na mnie dużo, nieprawdaż?

Ja nigdy nie słyszałem, by u nas ktoś źle się wyrażał o panu generale.

No to dobrze. Wracaj, więc do swoich kolegów, ucz się pilnie, a słuchaj twoich przełożonych.

Sympatie Garibaldiego dla Księdza Bosko zdaje się nie były całkiem efemeryczne. Kiedy w roku 1880 przybył on do Mediolanu i tam był triumfalnie przyjmowany, ktoś go zagadnął, czemu nie wybierze się do Turynu? A on na to:

Do Turynu nie pojedę.

A to, czemu?

Bo tam jest Ksiądz Bosko.

Kiedy indziej tak miał się wyrazić: „Ten tak, to jest dzielny Ksiądz, prawdziwy kapłan Boży, dobroczyńca ludzkości. Leży mu na sercu dobro młodzieży. Ale taki jest jeden w całych Włoszech. Oczywiście jest w tym powiedzeniu dużo przesady; w każdym razie podobny osąd nieprześląganego wroga księży o świętym Założycielu salezjanów ma swą wymowę.

W czasie swego pobytu w Alassio z początkiem czerwca, Ksiądz Bosko zdobył jedno piękne powołanie do swego Zgromadzenia, które zasługuje, by je tu uwzględnić.

Uczęszczał tam do piątej klasy uczeń Franciszek Ghigliotto jako eksternista. W roku 1869 czytając Żywoty Świętych, modlił się gorąco, aby mu Bóg udzielił tej łaski, by napotkał w swym życiu Świętego, którego by mógł naśladować. I sześć lat później został wysłuchany. Bo oto, gdy w tym roku Ksiądz Bosko bawił w Varazze, profesor piątej klasy ksiądz Tomatis wspomniał swym uczniom, że jeśliby, który pragnął z nim mówić, może spokojnie do niego się udać. Kilku wyszło, między nimi Ghigliotto. Ten jednak nie znając dotąd bliżej Księdza Bosko, bał się wejść do niego. Kręcił się przed drzwiami jego pokoju, nie mogąc się zdecydować. Na ten czas jeden z kolegów, widząc to jego wahanie się, nie wiele myśląc, wepchnął go po prostu do mieszkania Świętego i drzwi za nim zamknął. Ten znalazłszy się przed Księdzem Bosko, zupełnie się stropił i zapomniał języka w gębie.

Cóż mi powiesz? – Zapytał życzliwie Ksiądz Bosko.

No, ... właściwie. Jestem z piątej gimnazjalnej. Przyszedłem poradzić się.

Och, to bardzo dobrze. Ty się chcesz oddać mnie? A ja cię oddam Panu Jezusowi.

Ghigliottiego zaniepokoiły bardzo te słowa. Ale Ksiądz Bosko posadził go koło siebie na kanapie, a wyciągnąwszy notes, pytał dalej.

Powiedz mi, jak się nazywasz?

Chłopak przeraził się tymi słowy jeszcze bardziej, aż zbladł cały. Co za tajemnica kryje się za tym? Spostrzegłszy to Ksiądz Bosko uśmiechnął się dobrotliwie i zachęcająco powtórzył pytanie.

Nie obawiaj się niczego: powiedz mi tylko swoje nazwisko. Usłyszawszy je zanotował sobie i dodał:

Może zrobimy tak, za dwa miesiące napiszesz mi list do Turynu, a następnie możesz tam przyjechać na osiem dni, które spędzisz razem ze mną w Oratorium. Jeśli ci się spodoba, to będziesz nawet mógł tam pozostać, jeśli nie to wrócisz sobie do domu. Zresztą zrób jak chcesz: napiszesz mi to dobrze, nie napiszesz, też dobrze. Tak będzie między nami wszystko skończone.

Przez następne dwa miesiące aż do matury gimnazjalnej, Ghigliotto miał ciągle na myśli list do Księdza Bosko. Ostatecznie go napisał i poprosił rodziców, aby mu pozwolili wyjechać do Turynu. Pojechał i więcej do domu nie wrócił. Ojciec wezwał go by, czym prędzej wracał, a gdy listy nie pomogły zagroził, że go sprowadzi przez policję.

Ale Ghigliotto wtedy już chodził w sutannie, o czym ojciec nic nie wiedział, bo Franek wyjeżdżając, tylko matkę wtajemniczył do swoich zamiarów. Ta usłyszawszy, o co chodzi, popłakała się po cichu i rzekła zrezygnowana: Wiesz, jaki jest twój ojciec. Nie denerwuj go. Lepiej nic mu o tym nie mów. Z twej strony staraj się zawsze iść za wolą Bożą.

Ghigliotto groźny list ojca przyniósł Księdzu Bosko, gdy był w jadalni, wyraził mu swoje obawy i pytał jak ma postąpić. Na to otrzymał takie wskazówki: Słuchaj. Teraz podyktuję ci, co masz odpisać do domu:

„Najdrożsi Rodzice, komu dobrze, ten nie zmienia miejsca. Ja czuję się tu dobrze, przełożeni są mi życzliwi, mogę dalej się uczyć. Więc pozwólcie mi tu pozostać”. Dalej możesz już pisać, co uważasz. Kleryk usłuchał i przez sześć miesięcy miał spokój.

Na końcu roku szkolnego wezwano go do domu z powodu śmierci dziadka. Obawy znowu odżyły. Ksiądz Bosko uspokoił go mówiąc: Nie obawiaj się. Powiesz, że Ksiądz Bosko żadnej rodzinie nie chce robić przykrości, owszem wszystkim pragnie tylko robić dobrze i gdyby twoja rodzina potrzebowała twej pomocy, zaraz cię odeślę.

Kleryk dostosował się do tej rady, uspokoił rodziców, przedstawiając im całą dla nich życzliwość Księdza Bosko tak, że ci ostatecznie zgodzili się na wszystko i nie stawiali już dalej przeszkód. Kiedy zaś proboszcz z Varazze koniecznie chciał go przeciągnąć do seminarium diecezjalnego, usłyszał taką odpowiedź: Wolę być handlarzem niż księdzem świeckim. Do tego nie czuję absolutnie żadnej ochoty. Zaczna zaś matka tego kleryka umierając zawołała: Zróbcie mi pogrzeb, jaki wam się podoba; ja jestem szczęśliwa, że mam syna księdza, który się będzie modlił za mnie. Ghigliotto zawsze był przekonany, że Ksiądz Bosko, co do jego powołania otrzymał z nieba szczególniejsze oświecenie.

Ksiądz Bosko bawił ponownie w Varazze późną jesienią już po odjeździe misjonarzy swoich do Ameryki i stąd tak pisał do księdza Rua:

Drogi Księżu Rua!

Od mojego wyjazdu nie ma od ciebie żadnego listu. A chciałbym wiedzieć, czy tam ci nie nadeszło coś z Rzymu.

Dla twojej normy podaję ci do wiadomości, że jutro 19 jadę do Albengi, ale na noc już będę w Alassio, skąd 20 wybiorę się do Nizzy dokąd przez 6 dni możesz kierować listy. Na 26 muszę być we Ventimiglia. Od 27 do 30 będę ponownie w Alassio, a potem w Sampierdarena, albo gdzie indziej, to ci jeszcze napiszę.

Załączam tu wykaz kleryków, których by trzeba z bliższą przysposobić do święceń.

Trzeba rozważyć sprawę Synów Maryi, aby mieli więcej czasu na naukę.

Czy sprawa święceń napotyka na trudności ze strony arcybiskupa? Czy pożyczka w Chieri doszła do skutku?

Zapytaj księdza Cibrario, czy by chętnie poszedł otworzyć dom do Bordigheri, gdzie potrzebny jest kapłan taki sic. Niech ci Bóg błogosławi etc.

Varazze, 18.11.1875 r.

Drugi list napisał do hrabiego Eugeniusza de Maistre, w którym jest mowa o misjonarzach. O ich odjeździe będzie później.

Carissimo Signor Conte Eugenio!

W tym roku nie mogłem przybyć na świętego Eugeniusza, ale w swoich modlitwach nie zapomniałem ani o Panu ani o jego zacnej rodzinie. Byłem cały pochłonięty wyjazdem naszych misjonarzy. Odprowadziłem ich aż na okręt i upewniłem się, czy będą mieć wszystkie możliwe wygody w czasie podróży tak, co do spoczynku jak też i do wikt. Mieli tam ołtarz do swojej dyspozycji, a także i pianino. Oczywiście ks. Cagliario zasiadł przy nim i wraz ze swoimi śpiewał pieśń: *Lodate Maria*.

Zaraz też zbiegli też inni podróżni i przyłączyli się do śpiewających. Po skończonej pieśni ks. Cagliario zwrócił do nich kilka słów, zaznaczając, że w ten sposób uświęcona została dalsza podróż i ponieważ widział, że pomiędzy obecnymi są także Francuzi i do nich krótko przemówił po francusku. Skutkiem tego było, że wielu poprosiło o spowiedź.

Przekonałem się, drogi Panie Eugeniuszu, jak nasza religia przedstawiona rzetelnie a śmiało, robi wrażenie i na niewierzących.

Nasi misjonarze wyjechali w niedzielę, o drugiej po południu. Już w poniedziałek napisali z Marsylii, uspakajając, że wszystko jest w porządku. Wczoraj opuścili Barcelonę i miejmy nadzieję w Bogu, że na Niepokalaną będą w Buenos Aires.

Obecnie bawię na Riwierze, a mianowicie w Nizy z trzema księżmi, gdzie chcemy otworzyć nowy dom, a następnie pojedę do Bordighery, ażeby tam posadzić naszych w samym centrum protestantów.

Na wiosnę wyślemy drugą ekspedycję misyjną na pomoc pierwszym naszym pionierom. Za nimi pojedą także w 1876 r., w jesieni, i nasze Siostry, o które prosi rząd argentyński. Niech Bóg was zachowa wszystkich w świętej swej łasce itd.

Varazze, 18.11.1875 r.

Napisał także list do księdza Chiapellino, polecając się jego szczodropliwości, która go nie zawiodła.

W Ligurii, w hospicjum Sampierdarena napotymano na wielkie trudności w początkach swoich, dla których przewyciężenia Ksiądz Bosko zwracał się na wszystkie strony z prośbą o pomoc, względnie o ułatwienie mu prowadzenia dalszej budowy. Dyrekcję Kolei Żelaznych prosił o gratisowy przewóz 70 ton kamienia obrobionego ze stacji Cozzano do Sampierdarena. Zwrócił się także do Ojca świętego o błogosławieństwo dla Pomocników Dzieła Salezjańskiego we wspomnianym mieście, jak również o pomoc finansową. Ojciec św. przez kardynała Antonellego pochwalił tę piękną i świętą imprezę, a błogosławiąc jej ze swej strony przesłał dwa tysiące lir na dalsze prace. Przykład Papieża ogłoszony w Unita Cattolica zachęcił innych do zainteresowania się tym zakładem.

Kamień węgielny pod nowy budynek w Sampierdarena położony został i poświęcony przez arcybiskupa z Genui, monsignora Magnasco, wielkiego przyjaciela i dobrodzieja Księdza Bosko i jego synów. W Memoriale zamieszczonym we fundamentach Święty kazał napisać te dużo mówiące słowa: „Są wszelkie dane po temu, iż to dzieło będzie od Boga błogosławione i szczęśliwie ukończone, gdyż cieszy się błogosławieństwem Wikariusza Jezusa Chrystusa na ziemi”. I rzeczywiście nie upłynęły dwa lata, a budowa była skończona. Znalazło w niej schronienie 200 ubogich chłopców, dla których uruchomiono pracownię stolarską, krawiecką, szewską, ślusarską, drukarską i introligatorską.

A teraz jeszcze kilka słów o Valsalicy i o Lanzo. W Valsalicy obchodzono z wielką okazałością uroczystość św. Alojzego i z tej okazji miało odbyć się bierzmowanie kilkudziesięciu tamtejszych uczniów. Przełożeni poprosili do tego księdza Arcybiskupa. Ale ponieważ ten nie mógł przybyć, gdyż w tym czasie był poza Turynem, poprosili o pozwolenie zaproszenia biskupa ze Suzy. Ich prośba została uwzględniona. Biskup ten przyjechał, odprawił pontyfikalną Mszę świętą, wybierzmował wychowanków, dodając w ten sposób całej uroczystości większego splendoru i odjechał sam również zadowolony. Ale nikt nie wiedział w Valsalicy, że diabeł i w tym wypadku wsadził tu swój ogon, powodując Księdzu Bosko jedną przykrość więcej.

Otóż Przełożeni kolegium, zanim przedstawili biskupa ze Suzy, jako tego, którego by chcieli mieć na uroczystości, zwrócili się oczywiście najpierw do niego samego z zapytaniem czy przyjmie ich zaproszenie. I dopiero otrzymawszy przychylną odpowiedź, wspomnieli o tym arcybiskupowi, ale ten, jak się zdaje, wziął im to za złe. Zamiast bowiem w kilku słowach zawiadomić biskupa Suzy o swojej zgodzie, wypisał długachny list, w którym zezwolenie ujęte było w dwa długie stylizowane przesadnie okresy, po których nastąpił taki pikantny passus pod adresem Księdza Bosko:

„Nie mogę jednak pominąć milczeniem braku roztropności i szacunku, jakiego winni się stali ci przełożeni z chwilą, gdy zwrócili się do Waszej Ekscelencji z prośbą o przybycie na ich uroczystości, a przed tym nie upewnili się co do mojej zgody, co przecież przepisują święte kanony i uchwały mojego Synodu z roku 1873. Niestety,

Ekscelencjo, muszę się pożalić na brak uszanowania, jaki mnie spotyka ze strony tego nowego Zgromadzenia, poczynając od jego Założyciela i głównego rektora.

Gdyby Wasza Ekscelencja jadąc tam, mógł uprosić swoimi modlitwami u Boga, Najświętszej Maryi Panny i WW Świętych i wpłynąć także swoim słowem, aby powaga i godność arcybiskupa Turynu znalazły wreszcie w Zgromadzeniu Księdza Bosko cały należny im respekt, to tym samym Ekscelencja wyświadczy wielką przysługę tutejszej archidiecezji. Jak zawsze się sprawdza, że dla uprzedzonych rzeczy najprostsze komplikują się automatycznie i każą im się domyślać u drugich tego, o czym tym się nawet nie śniło”.

Jeśli Ksiądz Bosko kochał swoje kolegia, to dla zakładu w Lanzo zdawać by się mogło, że żywił szczególniejszą sympatię. Przekonamy się z poniżej umieszczonego przemówienia tamtejszych wychowanków. Ale najpierw przytoczymy uwagi powizytacyjne księdza Rua odnośnie do tego kolegium, które przesłał jego dyrektorowi:

Caro Direttore!

Podaję do wiadomości swoje wrażenia z ostatnio odbytej tam wizytacji. Zapewniam was, że wyjechałem zadowolony tak z egzaminów, jak i z zachowania się kleryków i postępu chłopców. Niechże Bóg wam nadal błogosławi, byście mogli postępować z dnia na dzień w doskonałości. A oto kilka uwag, które dobrze będzie, że weźmiecie pod uwagę i do nich się zastosujecie:

1. Widziałem obrusy na ołtarzach nie dość czysto utrzymane.
2. Dowiedziałem się, że nie ma w ciągu tygodnia Mszy świętej dla eksternistów, a należało, by ją zaprowadzić jak to praktykuje się u nas, czy w Varazze, czy w Alassio.
3. Prawie nigdy nie ma wykładu ceremonii ani dla kleryków ani dla chłopców. Trzeba nalegać, ażeby, kto jest za to odpowiedzialny, miał wspomniane wykłady, a względnie wyznaczyć mu kogoś do zastępstwa.
4. Mało się kładzie w gimnazjum nacisku na naukę katechizmu, a przecież to najważniejsza gałąź naszego nauczania.
5. Nie dba się o naukę śpiewu gregoriańskiego, który tak jest zalecany przez naszego drogiego Ojca Księdza Bosko.
6. Szkoła wieczorowa nie jest prowadzona w ten sposób, jak sobie tego życzył Ksiądz Bosko, który pragnie, aby w tych korepetycjach wszyscy brali udział. Wtedy to właśnie jest sposobność nauczania modlitw tych, co ich jeszcze nie umieją, służenia do Mszy świętej, czego tam również nie praktykuje się, przygotowania do Pierwszej Komunii św. itd.
7. Zauważyłem potrzebę lepszego uregulowania działalności poszczególnych kółek religijnych, św. Alojzego, Najświętszego Sakramentu, Małego Kleru itd.
8. Byłoby dobrze, od czasu do czasu, wieczorem odwiedzić koadiutorów i zwrócić się do nich ze słowem zachęty.

9. Wypada większy kłaść nacisk na lekcje dla kleryków, zwłaszcza filozofii.
10. Będzie z wielką korzyścią dla kleryków, jeśli jak to ustaliliśmy na konferencjach, zbiorą się przynajmniej raz na dzień, pod kierownictwem któregoś z kapłanów; jedni na rozmyślanie, drudzy na czytanie duchowne.
11. Trzeba celki kleryków zmniejszyć tak, aby prócz łóżka mieli jeszcze 60 cm wolnego miejsca, jak tam już niektóre widziałem.
12. Zbyt zaniedbuje się czytanie przy stole, a przecież wypada wykorzystać czas nawet ten przy jedzeniu.
13. Zauważyłem, że nie daje się wypracowań miesięcznych w szkole ani obserwacji, które powinny odbywać się przynajmniej, co miesiąc.
14. Należy położyć większy nacisk na pilność młodzieży.
15. Brak wam różnych formularzy, ale te wam wkrótce nadeślę.

Drogi Dyrektorze, oczywiście wiele z tych rzeczy zależy od dobrej woli twoich poddanych. Trzeba jednak, abyś wszystko miał na oku i w razie potrzeby dodawał bodźca i zachęty. Ty jesteś głową, prefekt jest ramieniem. Obydwaj macie być oczami i uszami, nade wszystko zaobserwować i wszystko słyszeć. Niechże Bóg wam błogosławi razem z waszym najbardziej przywiązanym ks. Rua, prefektem Zgromadzenia św. Franciszka Salezego.

Dnia 10.03.1875 r.

A teraz posłuchajmy jak Ksiądz Bosko przemawiał serdecznie o chłopcach w Lanzo – do swoich w Oratorium:

„Przychodzę moi drodzy chłopcy, z wizytacji mojego ukochanego kolegium w Lanzo. Tam również jest dużo wychowanków, którzy razem z ich dyrektorem księdzem Lamoyne i wszystkimi tamtejszymi Przełożonymi, upoważnili mnie, bym wam życzył szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia oraz jak najobfitszych łask niebieskich. A ja ze swej strony, w waszym imieniu, odwzajemniłem im te serdeczne uczucia. Przy tej sposobności ustaliliśmy, że skoro tylko wykończona zostanie kolej od nas do Lanzo, co zresztą wkrótce nastąpi, to oni zjadą tutaj specjalnym pociągiem do was na cały dzień z wizytą. Oczywiście, że i my wtedy będziemy zobowiązani zrewizytować również na cały dzień i dopiero późnym wieczorem wrócimy do naszego kochanego Oratorium. Tam w Lanzo nie jest wcale tak zimno, jak niektórzy myślą. Wprawdzie są dni, w których się ono daje mocno odczuwać, ale za to tam jest dużo słońca, którego tu w Turynie tak wielki brak. W Lanzo zatrzymałem się dwa dni, aby pogadać sobie z chłopcami, którzy jak przekonałem się, są bardzo dobrzy. Obecnie jestem do waszej dyspozycji, by zaradzić waszym potrzebom duchowym w tych ostatnich dwóch dniach nowenny do Bożego Narodzenia, ażebyśmy potem wszyscy mogli przystąpić do Komunii św. w czasie Pasterki. Jak już chyba wiecie, nadeszły listy od naszych misjonarzy, które daliśmy do druku, aby je udostępnić dla

wszystkich. Będziecie je mogli wysłać także do waszych rodzin. Kończę, zalecając wam, abyście się godnie przygotowali na przyjście Boskiego Zbawiciela starając się oczyścić swoją duszę z najmniejszych plam, by móc jak najgodniej i ze świętym uniesieniem przyjąć do serca swego Bożą Dzieciną. Dobranoc.

Kończąc ten rozdział ks. Ceria wyraża swój żal: czemu poszczególne domy nie prowadziły porządnie kroniki domowej. Ile by to rzeczy można było umieścić w tym rozdziale, które by z największą przyjemnością i korzyścią były przez wszystkich czytane. A wobec tego zaniedbania rozdział ten jest za krótki i nawet nie pozbawiony przeskoków a to właśnie z winy kronikarzy.

ROZDZIAŁ XIV

KONFERENCJE JESIENNE

Pierwsze kroki Zgromadzenia kanonicznie ustalonego z Regułami zatwierdzonymi, z hierarchią już zorganizowaną, będą zawsze więcej interesujące, gdyż naświetlają nam tworzenie naszych tradycji Salezjańskich pod okiem Księdza Bosko, czy na jego zlecenie, czy względnie za jego wiedzą. Wszak ich znajomość dla nas spadkobierców owych poczynań jest sprawdzianem naszego ducha, bo umożliwia nam porównanie własnego postępowania z tym, jak postępowali nasi czcigodni poprzednicy razem ze Św. Założycielem i jak stosowali w życiu literę prawa świeżo zatwierdzonych Konstytucji. Dlatego uważamy za rzecz bardzo ważną odtworzenie i najdrobniejszych szczegółów z ówczesnych lat i przekazanie ich dalszym pokoleniom.

W tym roku wypada nam już po raz trzeci wziąć udział w konferencjach głównych Przełożonych i dyrektorów, jakie odbyły się od 18 do 26 września w Lanzo, w czasie rekolekcji. Ich uczestnicy zwołani już zostali trzy dni wcześniej, aby mogli pozalać między sobą sprawy powodujące większe roztargnienie. By zebrani mogli mieć większą swobodę i samodzielność w wypowiedaniu się, odbywały się te posiedzenia bez udziału Księdza Bosko, pod przewodnictwem księdza Rua. Dopiero ostateczne rezultaty narad i wnioski końcowe poddawano pod decyzje Świętego. W takich to warunkach młodzi przełożeni zaprawiali się do samodzielnej inicjatywy i do współodpowiedzialności za losy Zgromadzenia.

Zebrania odbywały się nawet w czasie ćwiczeń duchownych, dwa razy dziennie, tylko, że w ciągu rekolekcji były one krótsze, a mianowicie rano od 11 - tej do obiadu i po południu pół od piątej do pół do szóstej. W związku z tym kronikarz taką dopisał poufną uwagę /prawdopodobnie z westchnieniem/: „przy czterech kazaniach i innych praktykach religijnych i podwójnych jeszcze konferencjach, z nadejściem nocy wszyscy mieli tego dosyć i czuli się przemęczeni do ostatka, ale mimo to zadowoleni, że pracowali in Nomine Domini”. Na pierwszych konferencjach, jak wspomniano, pod przewodnictwem księdza Rua, omawiano zmiany personalne na ważniejszych urządach. I tak:

Potrzebny był dyrektor do zakładu w Ameryce. Najbardziej nadawałby się na to stanowisko ks. Bonetti, ale jego rodzice, starszankowie, bardzo by odczuli ten jego wyjazd, a wiedzieli wszyscy, że Ksiądz Bosko liczył się także z tymi uczuciami rodzinnymi swoich współbraci. Wysunięto, zatem kandydaturę księdza Fagnano i księdza Ronchaila, pozostawiając wybór Księdzu Bosko.

Ks. Anioł Savio, ekonom generalny, zajęty nadzorowaniem budowy w Alassio, stale tam przebywał, wobec czego nie mógł pełnić swego urzędu, a zanosilo się na to, że ta sytuacja przeciągnie się na dłuższy czas. Uznano, więc za stosowne, by jego miejsce zajął albo ks. Chial, albo ks. Bodrato względnie ks. Fagnano. Zdecydować miał Ksiądz Bosko.

Także ks. Rua, będąc prefektem generalnym Zgromadzenia i wicedyrektorem, nie mógł podolać swoim obowiązkom. A zatem na stanowisko wicedyrektora /dyrektora jak wiemy był sam Ksiądz Bosko/ uznano za odpowiedniego księdza Lazzero, jeśli to będzie odpowiadać Księdzu Bosko.

Ks. Cagliero wyjeżdżał do Ameryki razem z innymi misjonarzami. Któż go będzie mógł godnie zastąpić? – dumali zebrani. I znowu padło nazwisko księdza Bonetti. Ale właściwie rozwiązanie w tej kwestii pozostawiono i w tym wypadku Księdzu Bosko.

Wreszcie wysunęła się nowa koncepcja, a to w związku ze sprawą szkół prowadzonych po naszych kolegiach, nad którymi trzeba było czuwać, aby stosując program rządowy, nie odbiegły one za daleko od właściwego ducha Zgromadzenia, zwłaszcza przez zaniedbanie troski o powołania duchowne. Stąd zrodziła się potrzeba ustanowienia prowedytora studiów, którego obowiązkiem byłoby czuwać nad szkołami poszczególnych kolegiów i wizytować je od czasu do czasu. Choć wtedy Ksiądz Bosko był wszystkim, to jednak myśl o wizytacjach zakładu przez innych członków Kapituły nie była nowością. Wszak już ks. Rua, jako prefekt generalny, wizytował Lanzo, o czym wyżej czytaliśmy. Widać z tego, że wszyscy pragnęli serdecznie pomagać swemu Ojcu w trosce o dobry postęp Zgromadzenia. Do objęcia opieki nad szkolnictwem najodpowiedniejszy wydał się wszystkim ks. Guidazio. Tak powstał urząd, którego kierownik nazywa się dzisiaj - radca szkolny generalny.

Przy tej okazji ustalono też nazwy niektórych urzędów po zakładach. Tytuł dyrektora miał tylko ten, kto był głową domu całego.

Dotychczasowy dyrektor duchowy został nazwany katechetą; dotychczasowy dyrektor szkoły otrzymał wtedy nazwę inspektora szkolnego; oczywiście, że i te zmiany czekały na aprobatę Ksiedza Bosko.

Następnie ustalono prefektów domowych, profesorów teologii i filozofii oraz wykładowców w szkołach. W roku 1875 – 1876, na wydziale teologii byli profesorami, oprócz tych z miasta, ks. Molinari i ks. Askaniusza Savio, nasi księża: Barberis, Bertello i Paglia; na filozofii: Monateri, Cipriano, Barberis, Paglia i Guanella. Widać z tego, że o profesorów nie było tak trudno. Także i obsada gimnazjów: Borgo S. Martino, Lanzo, Alassio, Varazze – nie przedstawiała większych trudności.

Ksiądz Bosko przyszedł na zebranie po raz pierwszy, dopiero 20 - tego, na końcu popołudniowego posiedzenia, które trwało od pół do trzeciej do szóstej. Przebieg obrad bardzo mu się spodobał; zatwierdził ks. Lazzero na wicedyrektora Oratorium, a ks. Bodrato, jako tymczasowego ekonomu generalnego aż do nowych wyborów. Ta ostatnia nominacja należała wyłącznie do jego kompetencji na mocy

Reguł, które przyznają Głównemu Przełożonemu prawo nominacji członków Kapituły Wyższej, w razie vacatu w tejże Kapitułe.

Na rannym posiedzeniu, 23 września, obecni wysłuchali uwag, propozycji i poleceń księdza Rua, jako wiernego tłumacza myśli Założyciela oraz jego „portavoce”.

Położył on główny nacisk na ćwiczenie dobrej śmierci, tak zalecane przez Księdza Bosko na rekolekcjach i konferencjach. Przypominał, by je odprawiano koniecznie i to, co miesiąc, ściśle według tego, co przepisują Reguły, gdyż w tym względzie dały się zauważyć pewne zaniedbania. W czasie dyskusji chodziło głównie o ustalenie jednej normy dla wszystkich, przy czym wysunęły się trudności, co do dnia i co do zwolnienia współpracownika od zajęć codziennych. Zgodzono się na projekt przewodniczącego, który polegał na tym, żeby zrobić pewien eksperyment, a mianowicie: niech każdy współpracownik wybierze sobie dowolny dzień w miesiącu na ćwiczenie dobrej śmierci i o tym niech zawiadomi dyrektora. Ten wyznaczy jednego ze współpracowników, podając mu listę dni obranych, aby dzień przed tym przypomniał zainteresowanemu, iż nazajutrz ma odprawić miesięczne skupienie. Zainteresowany współpracownik, powinien wtedy, wedle możliwości, usunąć się od zajęć doczesnych, załatwiając ściśle tylko to, czego pominąć nie można. I tak, kto ma lekcje, niech już poza lekcjami nie zajmuje się nauką, ani poprawianiem zadań, ale czas wolny powinien poświęcić praktykom przez Regułę przepisany. Nowicjusze zaś będą mieli cały dzień, możliwie pierwszy miesiąca, wolny tylko na ćwiczenia duchowe.

Druga sprawa dotyczyła finansów. Chodziło o wydatki nadzwyczajne robione przez pewnych dyrektorów, bez pozwolenia Księdza Bosko. Wyszła kwestia, co należy rozumieć przez wydatki nadzwyczajne. Wyjaśniono, że do takich należą: wydatki nie związane z wyżywieniem, ubraniem i prowadzeniem zakładu, jak np. wydatki na różne roboty murarskie, na wewnętrzne przebudowy, na wybijanie drzwi czy okien, na nieprzemysłane nieraz przybudówki, czy zakupy ponad bieżące potrzeby. By uniknąć możliwych nieporozumień, na co właściwie otrzymało się pozwolenie, należy takiego zawsze żądać na piśmie. Gdy otrzyma się zasadnicze pozwolenie, na ten czas praktyczne przeprowadzenie tego należy już do zakresu działania dyrektora razem z Kapitułą domową. I tak np. jeśli Ksiądz Bosko pozwolił, komuś na uruchomienie nowych kursów czy klas, wtedy tym samym wolno mu nabywać ławki, mapy, tablice itp.

Po wyczerpaniu tych dwóch punktów, ks. Rua dał pięć zleceń tak sformułowanych:

1. Pożądany jest większy posłuch dla Reguły i poleceń Przełożonych, w czym zebrani powinni przyświecać przykładem innym. Na jednej instrukcji rekolekcyjnej O. Bruno z Zakonu Filipinów twierdził, że nieporządki po zakładach zaczynają się nie od początkujących, lecz od starszych zakonników.
2. Świecić przykładem podwładnym w przerywaniu zajęć na głos dzwonka, by udać się, dokąd on woła.

3. Rano wstawać o godzinie oznaczonej, bez ociągania się by nikt nie mógł nam zarzucić, że się zbyt długo wygrzewamy.
4. Po modlitwach wieczornych unikać wszelkich hałasów, pogawędek i zaraz usuwać się do własnej celi. Niech się każdy do tego ściśle stosuje i dopatrzy, by tak samo postępowali inni księża i klerycy.
5. Słuchać Księdza Bosko we wszystkim, nawet w najdrobniejszych rzeczach, bez okazywania niezadowolenia. Niestety zdarzało się już, że mimo całej delikatności jego w wydawaniu zleceń, niektórzy nie umieli się do nich dostosować. Z tego powodu – zaznaczył ks. Rua, miał już Ksiądz Bosko poważne nieprzyjemności. Nie twierdzą, żeby nie można było zrobić żadnych uwag, czy przedłożyć swoje trudności: to można. Ale gdy te nie zostaną uwzględnione, nie należy upierać się przy swoim widzimisie, lecz pokornie i bez ociągania się wypełnić, co zostało zleczone i to jak mówi Reguła, ciesząc się z tego, że możemy wypełnić posłuszeństwo.

Po południu było dopuszczenie do ślubów. Przewodniczył Ksiądz Bosko. Okazał się tu bardzo wyrozumiały, zwłaszcza przy dopuszczaniu do ślubów wieczystych, stosownie zresztą do zasady tyle razy przez niego wyrażonej: że właściwie nie widzi on większej różnicy między ślubami wiecznymi a czasowymi, gdyż ostatecznie tak z jednych, jak i z drugich może zwolnić, o ile by się okazało, że ktoś już nie nadaje się do Zgromadzenia. Gdy obecni zauważyli, że to ryzykowne, zbytnio podkreślać tę władzę Przełożonego, tak na to odpowiedział:

„Uważam, że na razie nie ma niebezpieczeństwa, by ktoś lekceważył z tego powodu śluby wieczyste. Może raczej dobrze na to zwrócić uwagę, aby ktoś nie zawahał się składać ślubów na samą myśl, że nawet w razie trudności nie do przewyciężenia nie można być od nich zwolnionym. Zresztą do dyspensy od ślubów wieczystych potrzebne są bardzo poważne racje i wcale nie wystarcza chwilowy kaprys. Gdyby jednak te niespodziewane a poważne trudności zaistniały, zdaje mi się, że uświadomienie sobie możliwości dyspensy nie powinno pociągać za sobą niepożądanych następstw.

To stanowisko Świętego tłumaczy nam odpowiedź, jaką dał koadiutorowi Garziano, którego jako oficera spotkał w Rzymie, a który właśnie przed ślubami wieczystymi napadnięty został przez różne skrupuły i wątpliwości. Usłyszawszy o tym od niego, uspokoił go i kazał spokojnie iść naprzód, podkreślając, iż śluby nie są żadnym żelaznym łańcuchem. Szczegół ten przekazał nam ks. Vespignani.

Dopuszczono do ślubów wieczystych szesnastu, a dziewiętnastu do czasowych. Następnie mówił Ksiądz Bosko o sprawozdaniach. To jest klucz główny do dobrego postępu poszczególnych domów. Na ogół w czasie sprawozdań Współbracia otwierają swoje serce wynurzając się z tego wszystkiego, co ich boli, ujawniają nieporządki. Jest to także środek bardzo przydatny do kierowania współbraćmi. W razie, czego można ich nawet karcić i to surowo, bez obrażenia ich. Skarcenia, bowiem w chwili jakiegoś zapomnienia się współbrata są bardzo niebezpieczne. Jest on wtedy zwykle

zdenerwowany, nie bierze upomnienia z dobrej strony i zdaje mu się, że także my działamy tylko pod wpływem nerwów. Tymczasem upominając go spokojnie i życzliwie, jak to ma miejsce na sprawozdaniach, winowajcy łatwo reflektują się i widzą w takim upomnieniu, iż Przełożony pełni tylko swój obowiązek i wyłącznie zależy mu na dobru współbrata.

Po sprawozdaniu z tej konferencji, protokolant przytacza mały incydent, jaki w owym czasie miał miejsce. Kleryk Augustyn Anzini dopuszczony do ślubów ociągał się później z ich złożeniem; ale wreszcie namyślił się i bardzo gorąco prosił Księdza Bosko o uwzględnienie. Ten odesłał go do księdza Rua, który ze swej strony skierował go do poszczególnych członków Kapituły Wyższej i do magistra nowicjuszków, aby przed nimi ponowił swoją prośbę. Wobec dobrej woli, jaką przy tym okazał, został dopuszczony do profesji czasowej. Biedny kleryk z powodu choroby jednak musiał powrócić do rodzinnej miejscowości w kantonie Ticino. Został później bardzo gorliwym kapłanem i proboszczem, choć zawsze chorowitym. Ze swej strony jednak starał się wedle możliwości wynagrodzić Księdzu Bosko za wszystkie wydatki, jakie na niego Zgromadzenie łożyło. Był bardzo gorliwym propagatorem „Letture Cattolice”.

Na obydwóch posiedzeniach, 24 września, przewodniczył również Ksiądz Bosko. Sprawy tam omawiane ujęte zostały przez protokolanta w trzynaście punktów.

1. W bibliotece Oratorium zauważono brak książek wypożyczonych przez inne zakłady. Należy je zwrócić, jak najszybciej. Ci, co mają je prywatnie u siebie, również powinni je oddać, a nikt nie jest upoważniony, by wynosić książki z biblioteki bez wiedzy bibliotekarza. Warto tu zaznaczyć, że od samych początków Oratorium biblioteka była przedmiotem szczególniejszego zainteresowania ze strony Księdza Bosko, który chciał, żeby się ona znajdowała tuż przy jego mieszkaniu i stale ją wzbogacał w nowe dzieła, czy to otrzymane w darze lub w spadku, czy bezpośrednio przez niego zakupione. Mimo braku lokali na bibliotekę bez żadnych trudności przeznaczył lokum raczej obszerne. Na bibliotekarza wyznaczył księdza, czyniąc go odpowiedzialnym za porządek, czystość, a zwłaszcza, by niepożądane ręce nie powodowały w niej zamieszania, względnie nie wykrađały dzieł wartościowych.
2. Z książek drukowanych w Oratorium należy zawsze po dwa egzemplarze wysłać do każdego domu, jeden do biblioteki, a drugi do dyspozycji współbraci, obciążając tym konto poszczególnych domów.
3. Kiedy jakiś współbrat dłuższy czas przebywa w zakładzie, do którego nie jest na stałe przeznaczony, to po jego odjeździe dyrektor owego domu powinien przesłać księdzu Rua, albo dyrektorowi owego współbrata opinie o jego zachowaniu się, zwłaszcza gdyby zaszło coś szczególniejszego.
4. Dyrektorzy nie mają władzy pozwalając członkom na wyjazd na wakacje; należy prosić o pozwolenie Kapituły Wyższej. To ich uwolni od możliwych kwasów ze strony współbraci w razie odmowy. Jeśli zaś decyzja przyjdzie od Kapituły

- Wyższej i będzie odmowna, to zainteresowany nie wiedząc, kto ostatecznie zadecydował, nie będzie mógł mieć do nikogo pretensji.
5. Nie wypada ażeby prymicjanci wyjeżdżali odprawiać Msze św. do swoich miejscowości, gdyż za wiele tam jest okazji do roz targnień, które przeszkadzają temu skupieniu, z jakim te Msze św. powinny być odprawione. W razie gdyby tego wymagały okoliczności, to ostatecznie mogą wyjechać później.
 6. Nie podejmować się odprawiania funkcji religijnych, czy służenia do nich, o ile nie ma się księży względnie kleryków, którzy by je odprawili z należytą powagą i znajomością rzeczy.
 7. Każdy dyrektor niech czuwa, względnie niech zleci to katechecie, aby księża odprawiali Msze św. ani zanadto prędko, ani zbyt powoli i ściśle stosowali się do rubryk.
 8. Wielce do tego pomocnym będzie, jeśli od czasu do czasu będą sobie księża wzajemnie usługiwali do Świętej Ofiary, zwłaszcza w czasie rekolekcji, w których to dniach każdy powinien przeglądnąć rubryki.
 9. W każdym zakładzie, co tydzień powinna być lekcja św. ceremonii.
 10. Dyrektorzy niech uważają sobie za szczególniejszy obowiązek czuwania nad wykładami teologicznymi, nigdy ich nie opuszczając. Również niech baczą by członkowie, po ukończeniu rekolekcji, zaraz wracali do swoich domów i ci, którzy do tego są obowiązani, niech się przygotowują na czas do ewentualnych egzaminów.
 11. Ujednastajnienie studiów teologicznych. W każdym domu powinny być przerabiane te same traktaty, by w razie zmiany, klerycy mogli spokojnie dalej ciągnąć swe studia.
 12. Zdarzało się, że niektórzy zostali wyświęceni zanim ukończyli wszystkie traktaty teologiczne. Wtedy dyrektor jest zobowiązany dopatrzeć, ażeby tacy zaległe traktaty zdali, w związku, z czym trzeba im pozostawić czas wolny na przygotowanie się do egzaminów. Jeśli w danym domu są wykładane te traktaty, to powinni chodzić na te wykłady.
 13. Ponieważ uznano za rzecz wielce wskazaną, ażeby rekolekcjoniści odprawiali Msze św. na miejscu, zalecono zbudowanie dwu nowych ołtarzy przenośnych na te dni.

Na wieczornym posiedzeniu ks. Rua, w obecności Księdza Bosko, odczytał projekty odnośnie do rozkładu personelu. W tym miejscu kronikarz taką robi uwagę: „Ksiądz Bosko z godną podziwu bystrością orientował się, co dobre, a co mogłoby spowodować nieporządki, a w swej wielkiej pokorze chętnie przyjmował uwagi i zmiany, jakie inni uznali za potrzebne”.

Odmiennie od decyzji Kapituły uznał za stosowne mianować na dyrektora do Ameryki księdza Pagnano, a nie księdza Ronchaila.

Następnie powzięto trzy uchwały natury dydaktycznej, jedna dla Oratorium, dwie dla Valsalice. W Oratorium ci, którzy z powodu starszego wieku, przerabiają

skrócony kurs gimnazjalny, rozpoczynając potem filozofię, powinni by najpierw przetłumaczyć traktat na włoski, ażeby trochę oswoili się z wyrażeniami łacińskimi i lepiej je zrozumieli. Odnośnie zaś kolegium we Valsalice, postanowiono:

1. Nie angażować profesorów świeckich, gdyż to pociąga poważne wydatki, jak też nie wpływa dodatnio na uczniów, gdyż w większej części są to ludzie odmiennych pojęć i ducha od naszych.
2. Złączyć dwa kursy w jeden, by oszczędzić na personelu. I tak, na pierwszym roku można przerabiać historię średniowieczną i logikę przez wszystkich razem, a na drugim historię nowożytną i etykę.

W końcu Święty wyraził życzenie, aby nie tylko w Oratorium, ale we wszystkich zakładach, klerycy mieli swego asystenta, który to urząd najlepiej byłoby powierzać katechecie. O tym zleceniu Księdza Bosko dyrektorzy mieli powiadomić swoich kleryków.

Dnia 25 września, do południa, przyjmował Ksiądz Bosko profesję zakonną nowych członków, wieczorem zaś odbywało się przyjmowanie nowych kandydatów do Zgromadzenia. A oto niektóre kryteria stosowane za wskazówką Świętego w przyjmowaniu nowicjuszków:

„Ażeby jakiś aspirant mógł być przyjęty do zgromadzenia na kleryka, wymaga się, ażeby ze strony Przełożonych był dobrze poznany, on sam dał dowody wielkiej szczerości wobec tychże, a co do moralności był bez zarzutu. Kto swoją decyzję uzależniał od widzimisię rodziców, temu radzono do Zgromadzenia nie wstępować, choćby nawet wydawał się dobrym. Co do pewnych lekkoduchów, co, do których można było mieć zastrzeżenia, postawił Ksiądz Bosko, jeśli byli ubodzy, ten warunek, aby płacili normalną takse, w nowicjacie wymaganą, której większość nie płaciła i taką dodał uwagę: Później będzie się od nich wymagać tyle ile będą w stanie płacić, bez większego nacisku. Ale właśnie z tego, z jaką starannością będą zabiegać u swoich o pomoc dla Zgromadzenia, można będzie wywnioskować o szczerości ich intencji”.

Jesteśmy w ostatnim dniu zebrań. Na rannym posiedzeniu ksiądz Rua odczytał list adwokata Michel, który zapraszał salezjanów do Nizza Marittima aby tam założyli coś takiego, jak w Turynie. Zdecydowano, że po odejściu misjonarzy Ksiądz Bosko pojedzie na miejsce zbadać sytuację.

Omawiano następnie sprawę oratoriów świątecznych, które powinno się otwierać przy każdym zakładzie. W owym czasie, bowiem prowadzone były tylko w Turynie i w Sampierdarena. Brak personelu... zauważył któryś. A drugi dodał: i lokali. Na to Ksiądz Bosko:

„Tylko przez Oratoria można poważnie wpływać na ludność danej miejscowości. Jeżeli zaś gdzieś nie da się gromadzić chłopców, to przynajmniej eksternistów naszych szkół należy zobowiązać, by brali udział w dni świąteczne

w nabożeństwach. Tam będzie równocześnie sposobność przystąpienia, przynajmniej raz w miesiącu, do Sakramentów świętych”.

Odczytano również pismo hrabiego Gazeli z Rosana, który zaofiarował kaplicę św. Franciszka Salezego blisko Valsalice, aby przy niej uruchomiono Oratorium świąteczne. Ksiądz Bosko kazał mu odpowiedzieć, aby się poinformował, czy arcybiskup na to pozwoli. Salezianie objęliby ową kapliczkę tylko na wypadek, gdyby zostali usunięci z Valsalice. Ostatecznie jednak te pertraktacje nie dały żadnego rezultatu.

Na zakończenie posiedzenia Ksiądz Bosko wyraził nadzieję, iż wkrótce członkowie Kapituły Wyższej będą mogli zostać zwolnieni od zajmowania się bezpośrednio sprawami Oratorium; tak, że dyrektorzy poszczególnych domów powinni przekazywać swoim podwładnym załatwianie spraw mniej ważnych, zastrzegając sobie tylko ogólny wygląd i troskę o postęp duchowny współbraci. Oczywiście obecni zgodzili się na to chętnie.

Po południu miał nasz święty Założyciel dłuższe przemówienie do wszystkich zebranych. Mówił mniej więcej tak:

1. Wypadnie wydrukować formularze listów posłuszeństwa, jak to jest w zwyczaju u innych zakonów. List taki ma być przedstawiony przez współbraci dyrektorom domów, do których są przeznaczeni. Zanim nie przedstawi tego listu, współbrat nie powinien włączać się w życie wspólne danego domu.
2. Po ukończeniu tych konferencji jesiennych wydrukuje się imiona i urzędy poszczególnych członków w domach. Jeśli to nie da się uskutecznić jeszcze tego roku, to w każdym razie należy czynić to w latach przyszłych.
3. Nie wyrzucać papierów, które jeszcze mogą być przydatne. Kartki zapisane z jednej strony mogą służyć, choćby na bozze drukarni. Półarkusze całkiem czyste można zeszyć razem i mogą służyć, jako podręczny notatnik; papier pakunkowy może służyć kilka razy na ten sam cel; papier zapisany można sprzedawać na makulaturę. W ten sposób oszczędzi się tysiące lir.
4. We wszystkich zakładach należy okazywać wielkie zaufanie profesom wieczystym czy klerykom, czy księżą; im powierzać zajęcia i sprawy bardziej delikatne i poufne Zgromadzenia, choćby nawet mniej byli zdolni od osób zewnętrznych. Nawet wypada im wyraźnie dać do zrozumienia, że to robi się właśnie ze względu na to, że są profesami wieczystymi, a więc naszymi braćmi, ściśle do rodziny należącymi.
5. Każdy dom niech ze swej strony robi wszystko możliwe, by doksztalać swój personel. W najbliższych latach nie zawsze przysyłane będą jednostki całkiem odpowiednie do danego urzędu. Będzie więc szczególną troską dyrektorów, ażeby takich pouczyć i przestrzec przed możliwymi pomyłkami. To samo należy powiedzieć o koadiutorach i domownikach, którzy przychodzą z Turynu. Niech każdy jest przekonany, że posyłamy mu zawsze takiego, który

by, o ile możliwe, najlepiej odpowiadał potrzebom domu; ale nieraz nie ma się pod ręką ludzi odpowiednich. Tym brakiom musza zaradzić prefekci. Niech, więc swój personel administracyjny i pomocniczy często zbierają, pouczają go i przestrzegają, nie zapominając przypomnieć mu o przystępowaniu do sakramentów świętych. W ten sposób uformują sobie pomocników może więcej przydatnych, niż się z początku wydawało.

6. Należy być ostrożnym przy oddalaniu służby, czy domowników. Jeżeli są przysłani z Turynu, a absolutnie nie nadają się do tej roboty, do jakiej zostali przysłani, to ostatecznie można ich odesłać z listem wyjaśniającym sytuację; jeżeli wykroczenia były doprawdy ciężkie, to bez niczego odesłać ich do ich domu rodzinnego, gdyż przysyłanie ich do Turynu tylko przedłuża sytuację już samą przez się nieprzyjemną dla zainteresowanego i dla przełożonych. Ale i w wypadku odesłania kogoś wprost do domu należy zawiadomić o tym Oratorium.
7. Podtrzymujmy jeden drugiego. Niech po domach panuje stale zgoda między przełożonymi. Biada, gdyby podwładni mieli podstawę do szeptania między sobą: Między przełożonymi nie ma harmonii; jeden chce tak, drugi inaczej; jeden to, drugi owo; co jeden zarządzi, to drugi inny zwalcza. Wobec podwładnych powinniśmy jeden popierać drugiego. Powinniśmy nawet umieć pochwalić inicjatywę współpracowników, okazywać sobie wzajemny szacunek, a w razie jakichkolwiek nieporozumień osobistych nic z tego nie okazywać na zewnątrz. Także i domy powinny wzajemnie się moralnie popierać; ich Współbracia niech zawsze z największym uznaniem wyrażają się o innych naszych zakładach, podkreślając ich walory. A już wszyscy bezwzględnie na całego stawajmy w obronie Domu Macierzystego i wśród obcych i wobec domowników, z całym uznaniem odnosząc się do wszystkich zarządzeń, jakie stamtąd przychodzą.
8. Rzeczą najważniejszą dla naszych zakładów jest na wszelkie sposoby podtrzymywać, szerzyć, zapewnić zachowanie moralności. Dopóki one pod tym względem cieszyć się będą dobrą opinią zawsze mieć będziemy dużo wychowanków i wzięcie, jako wybitni wychowawcy. Z chwilą, gdyby tego zabrakło, zabraknie wszystkiego. Oczywiście nie taka jest zasadnicza pobudka do strzeżenia czystości, ale i dobra opinia i życzliwość ludzka są nam potrzebne i trzeba o nie zabiegać. Środki do zachowania moralności, zwłaszcza wśród Współbraci są następujące:
9. Co miesiąc są dwie konferencje; na jednej niech się tłumaczy Reguły, na drugiej jakieś zagadnienia moralne. Jeśliby jej nie mógł urządzić dyrektor, niech ją się zastąpi odpowiednim czytaniem - przynajmniej tyle.
10. Skrupulatnie zachowywać Reguły Zgromadzenia. Ich przestrzeganie na pewno osiągnie swój cel zamierzony.
11. Kluczem do zachowania porządku i moralności pozostaną na zawsze miesięczne sprawozdania. Nigdy ich nie zaniedbywać, a przeprowadzać je

zawsze poważnie i szczerze. Dyrektor niech pamięta zapytać zawsze o te dwie rzeczy: pierwsze - czy w twoim zajęciu napotykasz coś takiego, co by cię mogło zachwiać w powołaniu? A drugie - czy wiesz, o jakimś poważniejszym nieporządku w domu, lub o jakim zgorszeniu? Wtedy często dowiemy się rzeczy, o jakich w ogóle by nam na myśl nie przyszło, a kiedy indziej zaś, że współbrat jest przekonany, iż jesteśmy o wszystkim poinformowani, a tylko nie przypisujemy pewnym wydarzeniom większej wagi. Właśnie dzisiaj rano z kilku słów jednego współbrata przeze mnie zagadniętego dowiedziałem się rzeczy bardzo ważnej, a której usunięcie zapobiegnie całemu szeregowi nieporządków.

Gdy na sprawozdaniu dowiemy się o czymś niewłaściwym, trzeba sobie to zanotować i gdy zgłosi się winowajca, zapytać go z dalsza a niekiedy wprost, jak się sprawy przedstawiają. Tak zdołamy zapobiec różnym niespodziankom, nawet poważnym, bez urażenia kogokolwiek, a względnie mamy sposobność uświadomić niektórych o ich wadach, z których sobie nawet sami nie zdają sprawy. Nie należy jednak na sprawozdaniach wchodzić w rzeczy sumienia, sprawozdanie dotyczy tylko rzeczy zewnętrznych, z których możemy korzystać przy zarządzie naszym domem. A gdybyśmy wchodziłi w sprawy sumienia, to moglibyśmy się łatwo znaleźć potem w wielkim kłopotcie.

12. Prócz sprawozdania i innych środków zaradczych dopomoże nam jeszcze w utrzymaniu moralności zapobieganie pewnym podwieczorkom urządzanym wspólnie przez kleryków i wychowanków, czy przez wychowanków, kleryków i majstrów. Należy tego bezwzględnie zabronić i temu przeszkadzać. U chłopców powoduje to kradzieże, naraża ich na różne pokusy; powoduje, że piszą do domu po paczki, które potem ukrywają, a dla kleryków i instruktorów jest okazją wprowadzania wychowanków do swoich pokoi, co przecież wszystko stanowi dla nich wielkie niebezpieczeństwo.
13. Niech żaden z księży, czy profesorów nie posługuje się chłopcami, by mu przynosili wodę, czyścili buty itp. Każdy niech w tym względzie sam się obsłuży, gdyż zauważam objawy dążności do wygodnictwa, co łatwo doprowadzi do zatraty tego ducha, który dotychczas ożywiał nasz Zgromadzenie.
14. Przyczyni się wielce do zachowania moralności zamykanie zawsze sypialń, dokąd nie powinno się wchodzić, tak jak tylko wieczorem na spoczynek i czasem, ale to tylko w nadzwyczajnych wypadkach i na bardzo krótko w czasie po śniadaniu.
15. Bardzo ważną rzeczą jest unikanie przyjaźni osobistych; praktykujmy zasadę św. Hieronima: aut nullos aut omnes parter dilige.
16. Unikać kładzenia rąk na drugich, nie chodzić pod ramię, choć to wygląda na rzecz obojętną, to jednak czy w chłopcu czy w kleryku bardzo łatwo może wywołać nieodpowiednie myśli, czy wyobrażenia.

17. Przechodząc do innych rzeczy, uważam za stosowne zaznaczyć, iż w żadnym domu, oprócz dyrektora, nikt nie powinien mieć dostępu do dzienników. Oczywiście niech dyrektorzy abonują tylko poważne czasopisma. Nie powinny one być zaadresowane na zakład, czy wprost na dyrektora lub dyrekcję, ale na nazwisko, jakiej bądź osoby w kolegium. Niech to będzie portier czy kucharz lub ktoś tego rodzaju. O ile możliwe, nie prowadzić rozmów na tematy polityczne, nie czytać dzienników w obecności wychowanków.
18. Warto zauważyć, że dotąd posłuszeństwo wasze było raczej względem osoby, a nie zakonne. Nie jest to właściwe; wszak nie należy słuchać dlatego, że rozkazuje ten czy inny, ale wyłącznie z pobudek nadprzyrodzonych: że to Bóg rozkazuje, mniejsza o to, przez kogo. Zaczniemy sami praktykować tę cnotę i powoli, powoli zaprawiajmy do niej innych. Dopóki tego nie otrzymaliśmy, to osiągnęliśmy bardzo mało. Nie spełniamy tych rzeczy, dlatego, że nam się podobają, albo, że nam jest miły sposób ich zlecenia, gdyż to wielce umniejsza ich wartość wobec Boga. Często trzeba to powtarzać na kazaniach, w konfesjonałach, w spowiedziach, przy każdej okoliczności.
19. Powinniśmy w tym roku zwłaszcza położyć nacisk na ujednostajnienie ogólnego zarządu Zgromadzenia, a co za tym idzie, zwolnić członków Kapituły Wyższej z zajęć w Oratorium. Na razie jestem ja i dopóki ja jestem, wszystko mogłoby iść tak jak idzie. Znam was wszystkich dobrze i mam do was pełne zaufanie, a wy do mnie, ale jest już czas, by rzeczy postawić tak jak będą kiedyś w przyszłości, kiedy mnie nie będzie, by nasi następcy mieli przykład, jak dalej się prowadzić. Wszystkie więc zakłady powinny zdawać dokładne sprawozdania do Kapituły Wyższej ze wszystkiego, co się w nich dzieje i nie zaprowadzać najmniejszych zmian, bez szczególniejszego upoważnienia z Turynu.

A teraz kończąc nasze zebranie, dziękujemy z serca nieskończonej Dobroci Bożej i Najświętszej naszej Wspomożycielki za tak piękny rozwój naszego Zgromadzenia. Wszak sami widzimy, a obcy nie mogą się nadziwić, że gdy inne kongregacje podupadają, nasza bajecznie się rozrasta; inne zakłady nie mają młodzieży, u nas zawsze brak dla nich lokalu. Jeden współbrat nie jest zdolny jeszcze zrobić A, a już wyłania się potrzeba by zrobił B, bo zaraz mamy miejsce, gdzie by go umieścić i to często w sam raz dla niego.

Zdaje mi się, że widzę nowych wstępujących do Zgromadzenia, wszyscy pełni zapału i najlepszej woli, wspinają się wyżej, za nimi inni jeszcze wyżej i tak ciągle naprzód; z tym samym zawsze zapałem tworzą nowe dzieła, podejmują się nowych przedsięwzięć, porywają za sobą nowe powołania, ażeby zaprawiwszy tych swoich naśladowców do niezmordowanej pracy i rozpaliwszy ich entuzjazmem do jeszcze większych poczynań, wytknąć im do zdobycia coraz wyższe, aż niebosiężne cele.

Tak, dziękujemy całym sercem Bogu, bo widzimy, że nasze Zgromadzenie wzrasta, a co jeszcze ważniejsze, że wzrasta liczba współbraci z dnia na dzień coraz

lepszyc, coraz zdolniejszych, coraz bardziej przejętych duchem zakonnym, czy to są klerycy, czy koadiutorzy. To jest najlepszy dowód, że digitus Dei est hic - palec Boży jest w tym.

Tak, wymagało to olbrzymich poświęceń, to prawda. Ale już teraz możemy oglądać, jak ziarno rzucone w trudzie i pocie kiełkuje a właściwie wspaniale buja w górę. Zwłaszcza dzieło Synów Maryi Wspomożycielki rokuje najlepsze nadzieje. Ci młodzieńcy o zdrowym kryterium, zaledwie zostaną kapłanami, zdziałają dużo dobrego; a przecież nawet przed tym jakżeż są nam pomocni w różnych sprawach domowych, w asystencji, w szkole itd.

A podania o przyjęcie ciągle napływają, także od żołnierzy zgłosił nawet jeden brygadier. Biskupi polecają to Dzieło, proboszczowie stale zgłaszają kandydatów.

Cześć i dzięki Bogu składając za wszystko, dokładajmy wszelkich starań my, co stoimy na czele tych spraw, aby Zgromadzenie z naszej winy nie poniosło jakiegokolwiek, choćby najmniejszej szkody.

ROZDZIAŁ XV

CÓRKI MARYI WSPOMOŻYCIELKI

Skromny dom w Mornese, będący wylęgarnią powstającego Instytutu Córek Maryi Wspomożycielki, gromadził w swych murach grono dusz wybranych, których życiem była pobożność, ubóstwo i praca. Matka Mazzarello gorącością swego ducha i przykładem zagrzewała postulanki, nowicjuszki i profeski do coraz gorliwszego praktykowania cnót zakonnych, zawsze stosownie do choćby najdrobniejszych wskazówek św. Założyciela. Na miejscu kierownictwo duchowne w dobrych było rękach. Kronika centralna Instytutu pisze w tym względzie: „Ks. Costamagna niczego nie zaniedbuje. Wyrwany z ośrodka, w którym kipiało życie chłopięce i przeznaczony do kierownictwa Sióstr o najlepszych chęciach, sam będąc temperamentu żywego, czuje potrzebę dać upust tej wybujałości swego usposobienia, to też interesuje się wszystkim: praktykami pobożnymi, szkołą, higieną, dobrym wychowaniem itd.

W Mornese ubóstwo panowało bezwzględnie, w formach najsurowszych. Czujemy się zbudowani i wzruszeni, pytając, do jakich poświęceń były zdolne tamtejsze zacne dziewczęta z miłości do tej cnoty. Ksiądz Bosko jednak uznał za stosowne miarkować tę ich gorliwość. Napisał, więc do Matki Przełożonej, czy by nie było wskazane trochę wzbogacić menu, zaczynając od suchego dotąd śniadania. Matka otrzymawszy list, wyraziła natychmiast swą gotowość zastosowania się do niego, ale równocześnie przedstawiła także swoje obawy, czy polepszenie wiktów nie spowoduje pogorszenia ducha.

Aby ratować według niej zagrożoną sytuację, uciekła się przy tym do pewnego wybiegu, a mianowicie wysławszy wspomniany list do Świętego, szła od jednej do drugiej siostry, pytając każdą:

Czy jesteś zadowolona ze śniadania, czy z tego powodu nie cierpisz? Czy nie czujesz może potrzeby, by podano coś lepszego, na przykład mleko? Od pierwszej do ostatniej wszystkie z właściwą im szczerością oświadczyły się za status quo i odnośną deklarację podpisały. To zostało wysłane Księdzu Bosko. Ten odpowiedział, iż bardzo go cieszy ta dobra wola wszystkich Sióstr, ale jednak jest zdania, aby dawano kawę z mlekiem na śniadanie.

„O jeśli Ksiądz Bosko sobie życzy – zawołała w swej prostocie Matka Mazzarello – to my jesteśmy gotowe jadać i kurczaki”.

W praktykach pobożności nic nie zmieniano bez Założyciela. Jedno jego słowo wystarczało, by zaniechano jakiegoś nabożeństwa, względnie by je odprawiano. Wielką wagę przypisywały Siostry nabożeństwu do Boleści jak również do Radości

Maryi Najświętszej. Wspominały je w pewnych godzinach dnia, odpowiadającym godzinom brewiarzowym, ażeby w ten sposób łączyć się z ogólną modlitwą Kościoła.

Wielka cześć, jaką miały względem Księdza Bosko, powodowała, że jego synów duchownych uważały za swoich braci. W 1875 roku na temat wstąpienia do nich siostry księdza Tamietti taką uwagę spotykamy w kronice: Jak to pięknie, że do Mornese przychodzą krewni synów Księdza Bosko. Czyż to nie jeszcze jeden znak więcej, że Madonna uważa obydwie instytucje, jak jedną rzecz i że obydwie te gałęzie są jej jednakowo drogie?

W tym roku ustalony został ostatecznie habit zakonny Sióstr. Kilka przechodził on zmian, zanim ostatecznie został ustalony. Najpierw nosiły na głowie bufiasty czarny czepek. Ówczesny ich dyrektor ks. Cagliario, zobaczywszy to, uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „No, zobaczymy, czy się to utrzyma”. Następnie nakrycie głowy zbielało, ale pozostał czarny welon. O, to już lepiej, zawołał ks. Cagliario. Jeszcze później cały habit był koloru kawowego. Łatwo wyobrazić sobie, jak on wyglądał, gdy go trochę promienie słońca wybieliły i prace przy gospodarstwie zrobiły swoje. Był to doprawdy łachman, o którym ks. Cagliario z właściwym mu dowcipem tak wyraził się pewnego dnia do Księdza Bosko:

„O Księżu Bosko, gdyby te siostry miały być takie brzydkie wewnątrz, jak są zewnątrz, to marny nasz los. Przecież większość zakonnice w Turynie chodzi ubranych czarno”.

„A można by spróbować – przytaknął Ksiądz Bosko”. I na najbliższych oblóczynach zrobiono próbę: Dwanaście postulantek przedfilowało ubranych w bieli, a następnie powróciły w stroju czarnym. Na ten widok dał się słyszeć ogólny szmer zdziwienia, ale i aprobaty.

Matka Generalna czekała jednak aprobaty Księdza Bosko. Ten w odpowiedzi zapewnił ją, że przyjdzie na rekolekcje i wtedy ostatecznie się zadecyduje. Równocześnie zawiadamiał ją, że kaznodzieją rekolekcyjnym będzie ks. Rua, który dotąd bliżej Sióstr jeszcze nie znał, a w ten sposób będzie miał okazję z nimi się zetknąć. Prefekt Generalny przyjęty został przez Siostry z oznakami największego szacunku. Zainteresował się całym postępem materialnym Instytutu, przeglądnął księgowość i porobił odpowiednie uwagi i powrócił do Turynu, dokąd odwołały go ważne sprawy. Kaznodziejami byli zamiast niego: ks. Cagliario i jeden z Ojców Karmelitów. Ćwiczenia te duchowne zaznaczyły nowy postęp w uregulowaniu życia Instytutu. Ksiądz Bosko przyjechał w ostatnich paru dniach. Spowiadał, miał konferencję na końcu, której taką podał zebranych słuchaczkom wiadomość:

„Wprawdzie w Regule waszej tego jeszcze nie ma napisane, ale jest intencją Kościoła ażeby Siostry po trzech latach dobrze odbytej próby związały się z Bogiem ślubami wieczystymi. Otóż, ponieważ upłynęło dla niektórych to trzechlecie, to na końcu rekolekcji, oprócz oblóczyn i profesji trzechletniej, będzie się przyjmować również profesję wieczystą od tych, które tego sobie życzą, a które przez Przełożonych zostaną do niej dopuszczone. Inne będą mogły ponowić śluby czasowe, chyba żeby,

która... - to niedomówienie Świętego było znaczące. Wiedział on dobrze, co dzieje się w domu i tam znalazły się główki trochę egzaltowane, zresztą jak wszędzie.

Profeski o ślubach czasowych usłyszawszy to, poszły prosić Księdza Bosko o dopuszczenie ich do ślubów wieczystych. On jednak po rozmowie z nimi z osobna, odsyłał każdą do Matki Generalnej, mówiąc: „Trzeba żebyście jeszcze usłuchały, co wam powie wasza Przełożona. Widzimy z tego, że święty Założyciel, choć interesował się bardzo całym postępem Instytutu, to przecież do wewnętrznego zarządu nie chciał się mieszać.

Dnia 28 sierpnia odbyły się uroczyste obłóczyny 15 postulantek. Przewodniczył tej ceremonii sam Ksiądz Bosko w otoczeniu ojca Karmelity, księdza Cagliero i księdza Costamagna. Habit i tym razem pozostał już czarny. Z tej okazji mamy list Księdza Bosko skierowany do Magdaleny Martini, która z wielką troskliwością przechowywała: „Diletta Figlia in Gesu Cristo”. Twoje wstąpienie do Mornese było takim policzkiem dla świata, że ten wysłał nieprzyjaciela dusz naszych, ażeby cię niepokoić. Ale ty słuchaj głosu Bożego, który cię wzywa, byś weszła na drogę łatwiejszą prowadzącą do wiecznego zbawienia i byś odważyła się odepchnąć wszelkie inne podszepty. Owszem, możesz być zadowolona z przykrości, jakich doznałaś, gdyż tylko droga krzyża prowadzi do Boga. Przeciwnie gdybyś od samego początku miała być radosna i zadowolona, to raczej trzeba by się obawiać, czy w tym nie ma jakiejś pułapki złego ducha. Zapamiętaj, więc sobie:

1. Nikt nie zdobywa chwały bez wielkiego trudu.
2. Nie jesteśmy sami, ale z nami jest Jezus, a św. Paweł wyraźnie podkreśla, że z pomocą Bożą stajemy się wszechmocni.
3. Kto opuszcza ojczyznę, krewnych i przyjaciół, aby pójść za Boskim Mistrzem, ten ma zapewniony skarb w niebie, którego nikt mu nie może wydrzeć.
4. Wielka nagroda przygotowana w niebie, powinna nam być zachętą do znoszenia jakiegokolwiek przykrości na ziemi.

Odwagi, zatem. Jezus jest z tobą. Jeżeli napotykasz ciernie, to pomnij na ciernie korony Zbawiciela. Polecam cię Bogu w każdej Mszy świętej, a ty módl się za mnie, który zawsze jestem w Chrystusie Jezusie, twoim pokornym sługą.
Ksiądz Jan Bosko

Po obłóczynach nastąpiła profesja: 14 sióstr złożyło czasową a 8 wieczystą. Z tej okazji Memorie Cronologiche mówią:

„Matka Mazzarello jest szczęśliwa. Ona już od wielu lat poświęciła się Bogu ślubem wieczystym. Ale skoro teraz został publicznie odnowiony, zdaje się jej, że węzeł miłości został bardziej zacieśniony i uświęcony, a całe oddanie się Bogu stało się doskonalsze”.

Po tej funkcji, na zakończenie rekolekcji, przemawiał dłużej Ksiądz Bosko. Mówił o wielkim pokoju, jakim cieszą się dusze wybrane przez Boga, przy czym

podkreślił, że aby mieć pokój z Bogiem i z bliźnimi, to trzeba najpierw mieć go we własnym sumieniu. Wielce do tego przyczyni się szczere przedstawienie przełożonym swoich ewentualnych kłopotów, bez odwlekania na jakiś oznaczony dzień. Niech przełożone względem podwładnych, a te względem przełożonych, a i Siostry między sobą niech zaraz powiedzą sobie spokojnie z uszanowaniem, co mają do powiedzenia dla własnego spokoju.

W ćwiczeniach tych brały udział także Siostry z Borgo S. Martino. Jedna z nich mogła wtedy opowiedzieć Księdzu Bosko taką miłą rzecz; otóż kiedy on był w kolegium tamtejszym, na uroczystości św. Alojzego, chciała ona koniecznie z nim mówić, ale jej się to nie udało. Nawet, gdy przyszedł ze siostrami się pożegnać przed odjazdem, nie mogła zamienić z nim słowa. Ale Ksiądz Bosko widząc ją przed sobą, wyczytał, co działo się w jej sercu, popatrzał tylko znacząco z ojcowskim uśmiechem i to wystarczyło.

Samo wejrzenie Księdza Bosko rozwiało wszystkie chmury w mej duszy – oświadczyła siostra – a do serca mego wstąpił pokój. Przed odjazdem z Mornese Ksiądz Bosko, zebrawszy cały zespół sióstr oświadczył im, iż jego zdaniem, nadszedł czas, ażeby już ściślej zachowywać klauzurę. Jak dotąd wszystko szło doprawdy tak „alla buona” odnośnie do klauzury „gdyż właściwie byłyście raczej rodziną, a niżeli zespołem zakonnym” według wszystkich przepisów. A potem ciągle tu kręcili się murarze, robotnicy itd. Obecnie jednak te rzeczy trzeba uregulować. Wypada więc, aby brama zewnętrzna była stale zamknięta, wobec czego należy wyznaczyć jedną siostrę, która by była odpowiedzialna za klucze i przyjmowała osoby z zewnątrz.

Do domów zakonnych o ściślej klauzurze wejść tylko można w nadzwyczajnych wypadkach i za szczególniejszym pozwoleniem. A kiedy tam przychodzi spowiednik, do jakiejś chorej, to poprzedza go Siostra z dzwoneczkiem, która też podczas jego pobytu od czasu do czasu dzwoni, zaznaczając tym jego obecność. Oczywiście, że między wami o to nie chodzi, gdyż nie jesteście obowiązane do klauzury mniszek. Stale musicie obcować z młodzieżą, a nieraz i z osobami obcymi. Jednak do waszych celek absolutnie nie należy wprowadzać osób z poza domu, bez koniecznej potrzeby a i wtedy w towarzystwie jednej ze sióstr.

Żadna niech nie wychodzi sama z domu pod żadnym pozorem. Żadna też niech się nie zatrzymuje poza domem na noc. A po oddzwonieniu na Anioł Pański wieczorem już nie wolno nikogo wpuszczać do domu.

Te, które były w Borgo S. Martino zauważyły, że z kuchni czy ze szatni wydaje się rzeczy przez tak zwaną „ructa” /bęben/. Dzieje się to, dlatego, aby siostra obsługująca interesantów, nie widziała ich ani nie była widziana. W Mornese na razie dla obsługi księdza niekonieczny jeszcze będzie bęben, ale z biegiem czasu również należy go urządzić. Ale i tu należy zachować to, co stanowi istotę klauzury, mianowicie przestrzegać pewnego odgrózenia. Wasze Reguły przepisują również, że siostry nie będą chodzić do proboszczów, czy innych kapłanów, ani im usługiwać. Na razie jest to u was nieaktualne; ale w razie, czego, stosujmy w praktyce to, co przepisuje Reguła. Reguła, to głos Boży”.

Co do czarnego habitu Ksiądz Bosko nie miał zastrzeżeń. Ze względów ekonomicznych nie mogły go otrzymać zaraz wszystkie. W tym względzie takie dał wskazówki:

Owszem, niech wszystkie powoli przywdzieją czarny habit, ale tak, żeby to nie pociągnęło naraz zbytnich wydatków, zwłaszcza te siostry, które nie kontaktują się z gośćmi, mogą spokojnie nosić jeszcze ubranie kawowe, dopóki się nie zniszczy. Pewno, że wszystkie powinniście nosić jednakowe ubranie, ale w tym wypadku ma również coś do powiedzenia Pani ubóstwo. Powoli, powoli, wszystkie przybierzecie jeden kolor. Nieprawdaż?

Ksiądz Bosko odjechał z księdzem Cagliario i ks. Costamagna do Ovada. Tam było dziewięciu biskupów biorących udział w uroczystościach jubileuszowych św. Pawła od Krzyża. Odwiedził ich wszystkich i był przez nich rewizytowany. Oczywiście w tych wizytach chodziło tylko o sprawy Zgromadzenia i Instytutu sióstr. Zamieszkał u księdza Tytusa Borgatta, u którego zatrzymał się trzy dni. Razem z księdzem Costamagna, w chwilach wolnych przerabiał reguły dla sióstr. Do zatwierdzenia biskupowi w Acqui ostatecznie przedłożył je w styczniu 1876 roku.

Wielkim zmartwieniem dla wszystkich sióstr był nagły wyjazd księdza Cagliario do Ameryki. Tym większa była ich boleść, że nawet nie przyszedł z nimi się pożegnać. A o tym, że odjechał dowiedziały się, gdy ten już płynął z Genui ku nowemu kontynentowi. Najwięcej odczuła to Matka – czytamy w kronice – gdyż ona najwięcej korzystała z jego poparcia moralnego, zwłaszcza w ciężkich chwilach. By ją pocieszyć Ksiądz Bosko posłał do nich księdza Rua. Przyjechał on tam w sam raz, gdy w domu był poważny kłopot. Swego czasu skierowana została do Mornese /by się wyrazić tak jak czytamy w zapiskach/ pewna czcigodna panienska 63-letnia. Zaryzykował to Święty by iść na rękę jej bratu profesorowi uniwersytetu, a jego przyjacielowi. No, ale łatwo zrozumiemy, że w tym wieku trudno człowiek się zmienia, zwłaszcza, jeśli ma pewne zastarzałe przyzwyczajenia i ograniczone horyzonty. Przełożone znosiły wszystko cierpliwie, póki tylko było można. Ale wreszcie Matka trochę zaniepokojona sytuacją, poszła do Księdza Bosko, pytając o radę. Ten jej krótko odpowiedział: „Te, które ja posyłam do Mornese, to ja posyłam, aby słuchały a nie, aby rozkazywały”. Zdaje się, że jednak z tym posłuszeństwem wspomnianej staruszki było gorzej, wobec czego ks. Rua zabrał ją do Turynu.

A teraz jeszcze jeden cytat z listu księdza Castamagna, późniejszego biskupa Salezjańskiego, w którym czytamy:

Kiedy przebywałem w Mornese, jako dyrektor tamtejszego domu macierzystego Sióstr Córek Maryi Wspomożycielki, przyjechał tam Ksiądz Bosko z wizytacją. Na powitanie zbiegły się wszystkie, by ucałować mu rękę. Ksiądz Bosko jednak całym zachowaniem okazał z tego swoje niezadowolenie. Następnie zwróciwszy się do mnie, co stałem obok niego, odezwał się głośno, tak by mógł być przez wszystkich słyszany: „Teraz całuje się rękę Księdzu Bosko; później będzie się to

samo czynić ze wszystkimi innymi, a następstwem tego mogą być poważne nieprzyjemności”.

Ciasne horyzonty Mornese rozszerzały się z roku na rok zadziwiająco. A dokądkolwiek dotarła działalność Córek Maryi Wspomożycielki, tam docierał i duch Księdza Bosko i św. Marii Mazzarello, niosący z sobą entuzjazm dla sprawy Bożej.

W owym czasie przygotowywał św. Założyciel dla swoich siostr miejsce w pobliżu Oratorium na Valdecco. Chodziło o zdobycie placu pod budowę, tym bardziej był on tym przejęty, że równocześnie nasuwała się sposobność zlikwidowania gniazda diabelskiego. Stał bowiem w pobliżu Oratorium dom publiczny, oczywiście ku wielkiemu zgorszeniu młodzieży. Właściciel jego zbankrutował i był gotów go odsprzedać za 55 tys. franków. Ksiądz Bosko skorzystał z tej okazji i postanowił dom wykupić. O pomoc, jak zwykle zwrócił się do swoich pomocników i tak pisał do jednej z dam turyńskich, Angeliny Dupraz:

Benemerita Signora!

W ciężkich sytuacjach mam zwyczaj zwracać się o pomoc do Jaśnie Wielmożnej Pani i nie zostałem nigdy zawiedziony. Obecnie zaryzykowałem bardzo poważną rzecz, a mianowicie zburzyć doszczętnie jedno gniazdo diabelskie. Niestety na ten cel nie mam jeszcze ani solda. Niech mi wolno wyrazić nadzieję, że Pani będzie pierwsza, która poprze tę inicjatywę, za co na pewno Pan Bóg hojnie Ją wynagrodzi. W każdym wypadku zapewniam, że będziemy się modlić etc.

Z domu, 20.01.1875 r.

Swoje zwycięstwo mógł ks. Bosko ogłosić w lipcu tegoż roku. I tak pisze na ten temat do hrabiny Caleri:

Mia buona Mamma!

Dzisiaj nareszcie podpisaliśmy kontrakt dotyczący sławetnego domu. Diabeł zrobił wszystko, co mógł, ale nie przemógł. Przy okazji opowiem wstrząsające a równocześnie ciekawe epizody związane z tym kupnem. Tu tylko pragnę zaznaczyć, że mimo wszystko cierpliwością i ciężkim wysiłkiem zdołaliśmy interes sfinalizować i diabłu rogi połamać etc.

Turyń, 21.07.1875 r.

Zamknięcie tego nieszczęśliwego domu to właściwie była dopiero pierwsza część przedsięwzięcia. Trzeba tam było otworzyć inny dom – dom błogosławieństw. O potrzebne zezwolenie zwrócił się, zatem do arcybiskupiej Kurii z prośbą, by w nowo wzniesionym budynku mogły osiedlić się Siostry Córki Maryi Wspomożycielki i korzystać razem ze swoimi uczennicami z kaplicy domowej.

Do swojej odpowiedzi ordynariusz dołączył arkusz, na którym było wypisane sześć warunków z dopiskiem: „Jeżeli Ksiądz uważa, tak, że mu to odpowiada, niech to podpisze, nie pomijając daty, i prześle arcybiskupowi”.

Jeden z warunków był doprawdy kłopotliwy. Ponieważ siostry mieszkały bardzo blisko kościoła Najświętszej Maryi Wspomożycielki, nie otrzymywały pozwolenia na korzystanie z własnej kaplicy; ale tak do spowiedzi, jak na nabożeństwa miały uczęszczać do wspólnej świątyni. To jednak wielce było niepraktyczne, gdyż kościół ten był zwykle przepełniony wiernymi, na funkcje religijne chodzili tam chłopcy z Oratorium, gdzie, więc miały się zmieścić siostry i ich wychowanki?

Wobec tego Ksiądz Bosko zwrócił się ponownie do arcybiskupa, przedstawiając mu te trudności. Tym razem odpowiedź wypadła całkiem po myśli Świętego, gdyż ordynariusz zgodził się na uruchomienie kaplicy, o ile siostry będą prowadzić świetlicę dla dziewcząt a przecież o to tylko chodziło.

Otrzymawszy upragnione pozwolenie, Ksiądz Bosko zarządził zaraz by przygotowano lokal dla sióstr. Na razie postanowiono wykorzystać zakupioną rudę i z całą ufnością w Opatrzność Bożą przystąpić do wzniesienia takiej budowli, którą dzisiaj wszyscy podziwiać możemy. Ale o tym będzie mowa już w następnych tomach.

ROZDZIAŁ XVI

ODJAZD MISJONARZY

Pewnego dnia marcowego Ksiądz Bosko, przechadzając się z księdzem Cagliero, naraz przystanął zamyślony i po chwili milczenia odezwał się:

Chciałbym wysłać jednego z naszych starszych księży razem z misjonarzami, ażeby im towarzyszył do Ameryki i tam zatrzymał się tak długo, jak okaże się potrzeba, to znaczy aż oni usadowią się tam na dobre. Pozostawić ich tak samych, bez żadnego oparcia, bez żadnego doradcy, do którego mieli by zaufanie, wydaje mi się ryzykowne. A i dla nich byłoby to na pewno przykro tak, że nie mogę się z tą myślą jakoś pogodzić.

Jeśli Ksiądz Bosko nie ma innego – odezwał się na to ks. Cagliero, a uważa, że ja bym się nadał, to jestem gotów.

No to dobrze, zakonkludował Ksiądz Bosko.

Upływały miesiące, a o tym nie było już więcej mowy. Dopiero niedługo przed dniem wyznaczonym na odjazd naszych do Ameryki, Święty zagadnął znowu znienacka księdza Cagliero:

Odnosnie do twego wyjazdu do Ameryki, czy obstajesz przy swoim jeszcze? Czy może powiedziałeś tak dla żartu, żebyś się tam wybrał?

Przecież Ksiądz Bosko wie dobrze, że ja sobie nigdy z niego nie żartuję.

No, to dobrze, przygotuj się, już czas. W tej chwili ks. Cagliero pobiegł dać wszystkie rozporządzenia związane z przygotowaniem do podróży. Wtedy stało się jasnym Księdzu Bosko, iż zbliża się chwila przez niego przepowiadana, w której ks. Cagliero zostanie wyniesiony do godności biskupiej.

W Oratorium nikomu nawet nie przyszło na myśl, żeby ks. Cagliero mógł na dłuższy czas stąd odjechać. Przecież był on profesorem moralnej, kierownikiem duchowym kilku zakonów w mieście, nauczycielem śpiewu i muzyki, miał w rękach delikatne sprawy domu, jako najbliższy współpracownik Świętego Założyciela. Gdyby do Ameryki był wysłany ks. Bonetti, to wtedy wyjazd księdza Cagliero nie byłby konieczny. Ale między wyznaczonym na misję współbraćmi brakło takiego, na którego by się Ksiądz Bosko mógł całkowicie zdać.

Z księży wyznaczonych na misję, oczywiście prócz księdza Cagliero, na pierwszy plan wysuwa się ks. Józef Fagnano, wyznaczony na dyrektora kolegium w S. Nicolas de los Arreyes. Urodzony w Rochetta Tanaro 1844 roku był człowiekiem o wielkim sercu i nieustraszoną. Przed swoim wyjazdem uczył w gimnazjum wyższym w Lanzo, a następnie w Varazze, gdzie był równocześnie prefektem. Jedno

słówko Księdza Bosko wystarczyło, ażeby oderwał się od tego wszystkiego i nie zważając na piętrzące się trudności, wybrał się w drogę.

Ks. Walenty Cassinis z Monferrato nie mały miał kłopot, by nakłonić swą matkę do pogodzenia się z jego wyjazdem. Wielce go również żalowali jego wychowankowie rzemieślnicy, z którymi zżył się od trzynastu lat. Nic, więc dziwnego, że nie mógł powstrzymać łez przy odjeździe, gdyż jest pewny, że taka jest wola Boża względem niego.

Prócz wyżej wspomnianych było jeszcze trzech księży, którzy z nimi wyjeżdżali, a mianowicie: ks. Dominik Tomatis z Mondovi nauczyciel języka włoskiego w gimnazjum, ks. Jan Baccino, od Savony, nauczyciel szkoły powszechnej, ks. Jakub Allavena z Ventimiglia, również nauczyciel szkoły powszechnej. Z nimi jechało czterech koadiutorów, którzy jako misjonarze, nazywali się katechistami. Byli to: Bartłomiej Scavini, mistrz stolarki; Wincenty Gicia, kucharz i mistrz szewski, Bartłomiej Molinari, nauczyciel muzyki i śpiewu; Stefan Belmonte, muzyk prowodytor.

Podczas wakacji letnich zebrał ich wszystkich Ksiądz Bosko w Varazze, ażeby tam pod kierownictwem komandora Gazzolo, poduczili się języka hiszpańskiego. Zobowiązawszy się stale mówić między sobą po hiszpańsku, robili w tym niezłe postępy. Między nimi był jeden, mianowicie ks. Cassinis, który we wrześniu jeszcze nie otrzymał prezbiteratu. Oczywiście nie można było o tym mówić z arcybiskupem. Zwrócił się zatem Ksiądz Bosko do biskupa De Gaudenzi z Vigevano, prosząc go o wyświęcenie wspomnianego diakona z innymi czterema. Biskup zgodził się chętnie, ale pod warunkiem, że Ksiądz Bosko osobiście weźmie udział w święceniach, oczywiście ten musiał się na to zgodzić.

Święcenia miały odbyć się w parafii Sannazzaro dei Burgundi, na uroczystość MB Różańcowej. Na ten dzień zapowiedziana była wizytacja biskupia. Wśród ludności tamtejszej panowała niechęć względem ich proboszcza. Oto, dlaczego biskup koniecznie życzył sobie obecności tam Księdza Bosko. We wigilie święta zjechał na miejsce biskup w towarzystwie trzech kanoników. W tymże dniu przyjechali i kandydaci do święceń, którzy wieczorem o ósmej pobiegli przywitać z kilku innymi księżmi Księdza Bosko na stacji. Ks. Borio wspomina, że ludność, która nie знаła jeszcze Świętego, była bardzo zdziwiona oznakami czci, jaką okazywano mu przez całą drogę aż na plebanię, gdzie na jego spotkanie wyszedł ojciec proboszcza. Na jego serdeczne powitania odezwał się Święty:

Wszystko bardzo dobrze, ale niestety, to, czego mi najwięcej potrzeba, to pewno nie otrzymam.

Ależ tak, Księżo Bosko. Wystarczy jedno słówko, a w tej chwili będzie Ksiądz obsłużony.

Nie, nie. Tego wy mi nie dacie, czego mi bardzo potrzeba. Bo ja potrzebuję... pieniędzy.

Na to ów zacny pan stracił na rezonie i nic nie powiedział.

Zawiadomiony o przyjeździe Księdza Bosko biskup zaraz wstał z konfesjonu i wybiegł na powitanie, a spotkawszy go na podwórzu, serdecznie uściskał i tonem żartobliwym zawołał:

A teraz, jeżeli Ksiądz Bosko chce sobie zarobić na wieczerzę, to trzeba żeby mi przyszedł pomóc spowiadać.

Ależ najchętniej. I poszli obaj do kościoła, spowiadając do późnej nocy. Nazajutrz od rana Ksiądz Bosko siedział już w konfesjonale, z którego wyszedł tylko na moment uroczysty wkładania rąk przez duchowieństwo na przyjmujących święcenia. Po południu miał kazanie do tłumów, które wypełniały świątynie. Biskup i kanonicy, ażeby go lepiej słyszeć, kazali sobie postawić krzesła tuż naprzeciw ambony tuż za balustradą. Kazanie trwało godzinę i trzy kwadransy. A mimo to wszystkim zdawało się, że było za krótkie. Kiedy w roku 1906, salezjanin ks. Anzini, głosił w tamtej miejscowości kazania pasyjne, miał sposobność przekonać się, jak żywa była tam jeszcze pamięć z pobytu Księdza Bosko.

Po powrocie do Turynu Ksiądz Bosko cały pochłonięty był wraz z wyjeżdżającymi misjonarzami ostatecznym przygotowaniem ich wyprawy. Mimo, że czas naglił, chciał swym odjeżdżającym synom dać to zadowolenie, by mogli otrzymać błogosławieństwo papieskie na drogę. Wyjechali do Rzymu 29 października, w towarzystwie komandora Gazzolo.

W wigilię Wszystkich Świętych bardzo serdecznie przyjęci zostali przez kardynała Antonelli, zaś w samo święto przez Papieża. Jego Świątobliwość najpierw przyjął komandora Gazzolo z księdzem Cagliari, który wyraził mu całą wdzięczność salezjanów za względy okazywane przez niego powstającemu Zgromadzeniu i zapewnił o nieprzemijającej wdzięczności wszystkich synów Księdza Bosko względem jego dostojnej osoby. Papież wysłuchał tych słów z ojcowską dobrocią, a udzieliwszy łask duchowych, o jakie był proszony, okazał wyraźnie chęć, by jak najprędzej mógł przywitać resztę salezjańskich misjonarzy, oczekujących na niego w sąsiedniej sali. Wchodząc do niej, zawołał z niewypowiedzianą słodyczą: Oto jestem biedny starzec, a gdzie są moi młodzi misjonarze? A więc wy jesteście owi synowie Księdza Bosko, co wybieracie się w dalekie kraje dla głoszenia Ewangelii? Dobrze, dobrze, witam was.

A dokąd to się wybieracie?

Do Republiki Argentyńskiej.

O, tam będziecie mieć szerokie pole dla swojej zbożnej działalności. Pewien jestem, że spotkacie się z dobrym przyjęciem. Na pewno będziecie tam dobrym zasiewem, skoro was wybrali do tego wasi przełożeni. Rozsiewajcie więc wśród tamtych ludów wasze cnoty, a przysporzycie tym wielce chwały Bożej. Pragnę całym sercem, abyście wzrastali w liczbę, gdyż czeka was wielka praca na niwie ewangelicznej wśród tamtejszych plemion jeszcze dzikich.

Następnie podchodził do każdego Ojciec Święty, zamieniając z nim kilka słów. Koadiutorów wypytywał o ich zawód, każdemu dał rękę do ucałowania i w końcu wszystkich jak najczulej pobłogosławił. Wyszli oni tak przejęci z tej audiencji,

że gotowi byli dla sprawy Kościoła Świętego pójść, choćby na koniec świata i życie swe dla niej poświęcić.

Przy pożegnaniu kardynał Antonelli wręczył księdzu Cagliero list do arcybiskupa Buenos Aires, w którym oddawał mu w opiekę misjonarzy. Kapłani otrzymali przywilej spowiadania i odprawiania w jakimkolwiek miejscu, nawet na okręcie. Kardynał Franchi, Prefekt Propagandy, osobnym dekretem nadał im tytuł misjonarzy apostołskich, a sam Ojciec Święty, dla okazania swej wielkiej życzliwości, wystosował do Księdza Bosko następujące Breve:

Pius P. IX. – Dilecte Fili, Saultem et Apostolican Benedictione

Otrzymałiśmy z radością twoje dwa listy z miesiąca października i z ojcowskim uczuciem uściskaliśmy misjonarzy, których z ukochanym synem Janem Gazzolo do nas po błogosławieństwo przysłałeś. Ich widok umocnił nas w nadziei, że ich praca w owych dalekich krajach okaże się wielce owocną. Pochwaliliśmy za tę ich gorliwość i obfitość błogosławieństwa Bożego na nich spraszaliśmy... Tymczasem, jako wyraz naszej ojcowskiej życzliwości względem siebie przyjmij nasze Apostolskie błogosławieństwo, jakiego Tobie i całemu Zgromadzeniu, któremu przewodniczysz, całym sercem udzielamy. Datum Rozae apud sanctum Petrum, die 17 Novembrie 1875. Pontificatus Nostri Anno trigecimo P.P. IX. Dilecto Filio Joanni Bosco Presbytero – Augustam Taurinorum.

Misjonarze z Rzymu wrócili 4 listopada późną nocą. Zanim ich Ksiądz Bosko wysłał do Papieża, nie zapomniał o swoim arcybiskupie. Zwrócił się więc do niego z prośbą, aby był łaskaw udzielić im swego błogosławieństwa w czasie ceremonii pożegnalnej. Na to arcybiskup taką kazał dać odpowiedź; pod datą 31 października teologowi Chiuso: Misjonarzom Waszej Przewielebności, którzy mają wyjechać do Argentyny, Eksceleńcja bardzo chętnie udzieli uroczystego błogosławieństwa i publicznie jeżeli jutro, w uroczystość Wszystkich Świętych, stawią się w bazylice metropolitalnej, po sumie, po której będzie udzielone błogosławieństwo papieskie. Tak zwykle praktykowało się z innymi misjonarzami wyjeżdżającymi do krajów misyjnych.

Oczywiście misjonarze nie mogli się wtedy stawić, bo znajdowali się w Rzymie. Wyznaczono im, zatem 7 listopada. Ale i z tą datą były trudności, o których tak pisał Ksiądz Bosko do wspomnianego teologa Chiuso: Proszę Cię, abyś podziękował Eksceleńcji z mej strony i od naszych misjonarzy, za dobroć nam okazywaną. Przykro nam tylko, że nie wszyscy w tym dniu będą mogli być obecni, gdyż niektórzy musieli wyjechać z Turynu w sprawach osobistych. Siedmiu jednak z nich razem z księdzem Cagliero, jutro rano, pospieszą ucałować pierścień arcybiskupa i otrzymać od niego błogosławieństwo. Kończąc ten list Święty życzy teologowi wszelkiego dobra od Boga i prosi go o modlitwę za „povero Don Bosco”.

Pragnieniem Świętego było, aby ceremonia pożegnalna odbyła się z największą możliwie uroczystością. Przewidziany był wielki napływ wiernych, gdyż podobna uroczystość była pierwszą w Turynie i zapowiedziały ją dzienniki. Chciałem zaprosić jednego z biskupów – oświadczył Ksiądz Bosko na posiedzeniu Kapituły 7 listopada – ale to mogłoby doprowadzić arcybiskupa do furii. Zaprosimy, zatem tylko proboszcza miejscowego, który jest przecież osobą urzędową i osobistym naszym przyjacielem, a zwłaszcza księdza Cagliari, który odjeżdża.

Tu zdziwić nas może trochę sposób wyrażenia się Księdza Bosko o arcybiskupie, że ten „wpadłby we furie”. Trudno przypuszczać, że nie są one nam ściśle przekazane. Wszak zachowane są przez księdza Barberisa, który raczej skłonny był do łagodzenia niż zaostrzania wyrażen. Jaki więc one mogły mieć podkład psychologiczny?

Zadaje się, że na to wyjaśnienie mamy w poniżej przytoczonym liście Świętego, w którym żali się dyskretnie, że nie został odpowiedni potraktowany w czasie swego ostatniego pobytu u arcybiskupa, kiedy to zapraszał go na udział w pożegnaniu misjonarzy. Przewidywał, więc z góry, że Jego ordynariusz bardzo by odczuł, gdyby inny biskup został zaproszony na tę uroczystość. A oto wzmiankowany wyżej list Księdza Bosko z dnia 28 października do arcybiskupa:

Ekscelencjo!

Wczoraj Wasza Ekscelencja uznał za stosowne powiedzieć mi wszystko, co zdawało mu się, że trzeba mi powiedzieć bez pozostawienia mi możliwości bronienia się, choćby tylko jednym słowem, względnie wyjaśnienia tego, co mi było zarzucane. Współczułem więcej Waszej Ekscelencji bardziej niż samemu sobie. Pragnąłem bardzo przedstawić właściwy stan rzeczy, co by mogło wielce przyczynić się do zmniejszenia nieporozumień a może nawet do całkowitego ich usunięcia. Z całym szacunkiem dla godności arcybiskupiej, którą Wasza Ekscelencja jest przyodziany, myślę, że mogę tu przypomnieć Waszej Ekscelencji, iż jeśli został biskupem w Saluzzo, a następnie arcybiskupem w Turynie, że jeśli wyłaniające się przy tym trudności zostały przewyciężone to to, jak dobrze obaj wiemy, Wasza Ekscelencja zawdzięcza inicjatywie i zabiegom „del povero Don Bosco”, któremu teraz nie pozwala się nawet dojsć do słowa i odprawia się go w sposób Ekscelencji wiadomy.

Uważam, że mogę, owszem, że jest to nawet moim obowiązkiem mówić: Obecnie zaś uważam, że jestem z tego całkowicie zwolniony.

Proszę mi wybaczyć przykrości, jakich mogłem być przyczyną i proszę przyjąć wyrazy mojej najgłębszej czci, jaką zawsze miałem i mieć będę dla Waszej Ekscelencji zobowiązany sługa. Ksiądz Jan Bosko

Jak widać z powyższego listu, przyjęcie, jakiego doznał Ksiądz Bosko u arcybiskupa, 27 października, kiedy to widocznie był zaprosić Go na uroczystość pożegnania misjonarzy, a przy tym był może omówić także inne sprawy, odbyło się /by delikatnie powiedzieć/ z pominięciem ogólnie przyjętych konwenansów.

Szczegóły tej audycji nigdy nie dostały się do publicznej wiadomości. Ksiądz Bosko przemilczał je także w swoim piśmie do św. Kongregacji Soboru w 1881 roku. I zdaje się, że i arcybiskup żałował tego, iż tak dalece dał się unieść gniewowi. Tym tłumaczyć by można pewne ustępstwa z jego strony, do jakich zaliczyć wypada życzliwe ustosunkowanie się do uruchomienia kaplicy w budynku przeznaczonym dla sióstr i gotowość udzielenia błogosławieństwa w katedrze odjeżdżającym misjonarzom.

Ale już przejdźmy do właściwego tematu. Odjazd misjonarzy wyznaczony był na 11 listopada. Ksiądz Bosko przemawiając wieczorem dnia poprzedniego, do chłopców, mówił oczywiście o odjeździe misjonarzy, następnie podał rozkład tego uroczystego dnia i zachęcił wszystkich, ażeby w intencji rozpoczynającego się nowego dzieła pomodlili się serdecznie, przystępując do świętych sakramentów. Ów 11 listopada był to dzień doprawdy wielki i pamiętny w dziejach Oratorium i przeżywany przez wszystkich bardzo głęboko. Dzisiaj odjazdy misjonarzy, powtarzające się corocznie, mniejsze oczywiście robią wrażenie. Ale wtedy była to prawdziwa sensacja tak dla salezjanów, jak i wychowanków, a także dla całego Turynu. Na odjeżdżających patrzyli wszyscy jak na bohaterów, którzy odważnie wybierają się w nieznaną. Wszyscy chcieli się do nich zbliżyć, zamienić choćby jedno słowo z nimi, zwłaszcza ks. Cagliero kochany przez młodzież jak ojciec, był przedmiotem szczególniejszych objawów przywiązania z jej strony.

O godzinie 10 - tej głos dzwonów wezwał wszystkich na rzadką ceremonię. Oto niejaki Giovanelli młodzieniec 18 - letni, który niedawno, co zamieszkał w Oratorium, składał abiurę wyrzekając się błędów Piotra Waldo i tym samym powracał na łono Kościoła katolickiego. Abiurę przyjął ks. Cagliero, udzielając nawróconemu następnie chrztu św. sub conditione. Tak rozpoczynał u stóp Najświętszej Maryi Wspomożycielki misję, jaką miał pełnić później za Atlantykiem.

Właściwa uroczystość pożegnania misjonarzy rozpoczęła się około 4 - tej po południu. Tłumy zaległy świątynię, jak rzadko.

Zanim jednak rozpoczęły się nieszpory, stało się coś nadzwyczajnego; bo gdy odezwały się dzwony wzywające wiernych na tę podniosłą uroczystość, zerwał się wichur tak gwałtowny, jakby chciał roznieść całe Oratorium. Szum burzy, łoskot trzaskających drzwi, szczęk wylatujących rozbitych szyb, wywołały chwilowo ogólny popłoch... Przypadek, nie przypadek, ale zawsze dziwny zbieg okoliczności; bo faktem jest, że coś podobnego zdarzyło się w chwili, gdy zakładano kamień węgielny pod kościół Najświętszej Wspomożycielki – gdy się odbywała konsekracja tejże świątyni – gdy Ksiądz Bosko wracał z Varazze po dłuższej chorobie – a także w późniejszych latach, gdy nadeszło ostateczne zatwierdzenie przywilejów dla Zgromadzenia, słowem - kiedy działo się coś ważnego dla Oratorium.

Nieszpory trochę spóźnione odśpiewała po gregoriańsku młodzież Oratorium. Na Magnificat weszli uroczyście dwójkami przez kościół misjonarze i zajęli miejsca przygotowane dla nich w prezbiterium. Księża ubrani byli na modłę hiszpańską, z kapeluszami w rękę, koadiutorzy – w strój czarny, z cylindrem w dłoni. Otaczali ich

wszyscy księża z Oratorium i dyrektorzy. By nie pominąć żadnego szczegółu wspomnijmy, iż zaproszenie dyrektorów wywołało dyskusję, ze względu na połączone z ich przyjazdem wydatki. Przeważało zdanie, że w takiej chwili nie powinno ich braknąć, by tym większego nadać splendoru i powagi wydarzeniu tak nadzwyczajnemu nie tylko w Turynie, ale w ogóle w całym Piemoncie; oraz, aby uczestnicząc w ceremonii tak wzniosłej, mogli następnie opowiadać o niej swoim wychowankom, budząc wśród nich nowe powołania.

Po skończonych nieszporach na ambonę wstąpił Ksiądz Bosko. Szmer ogólnego wzruszenia dał się słyszeć wśród zebranych, po czym nastąpiło głębokie milczenie. Głos mówcy drżał, zwłaszcza, ilekroć przyszło mu wspomnieć misjonarzy, ale zdołał się jednak opanować. Na kościele zaś szloch był ogólny. A oto, jak nam zostało przekazane owo przemówienie przez jednego z tam obecnych:

Nasz Boski Zbawiciel – zaczął Święty – odchodząc z tej ziemi Ojca Swego Niebieskiego, rzekł do Apostołów: „idąc na cały świat, nauczajcie wszystkie narody... głosście Ewangelię wszystkiemu stworzeniu”. Nie była to rada. To był wyraźny rozkaz. Rozkaz głoszenia Ewangelii po całej kuli ziemskiej. Apostołowie doskonale to zrozumieli i już święty Paweł mógł do Rzymian napisać; *Fides vestra annuntiat in universo mundo*.

Otóż właśnie za przykładem Apostołów, przy błogosławieństwie Ojca św. i my, według naszych skromnych możliwości staramy się wziąć udział w tych wielkich poczynaniach Kościoła św. Byliśmy wzywani do różnych krajów, ale ostatecznie zdecydowaliśmy się pójść do Argentyny, gdzie nadzwyczajny brak kapłanów do pracy duszpasterskiej, gdzie nasi rodacy emigranci oczekują pomocy ze swojej ojczyzny, pragnąc w rodzinach zachować wiarę ojców, gdzie wreszcie całe szczepy plemion dzikich oczekują światła Ewangelii. Wyrażam tu całe swe podziękowanie dla tych, co w jakikolwiek sposób umożliwili nam rozpoczęcie tego dzieła...

A teraz do was zwracam się, drodzy synowie, co wybieracie się dziś w daleką podróż. I na pierwszym miejscu polecam wam, byście w modlitwach waszych nie zapomnieli nigdy o dobrodziejach w Europie. Pierwsze dusze, jakie pozyskacie dla Chrystusa, ofiarujcie Ojcu Przedwiecznemu, jako hołd wdzięczności i wynagrodzenia dla naszych dobrodziejów, za to, co dla tej wielkiej sprawy czynią i czynić będą...

Już każdemu z was z osobna powiedziałem, co mi serce dyktowało; jeszcze wam przekażę pewne wskazania na drogę pisemnie, które niech będą jakby moim testamentem... Brak mi słów... Łzy ściskają gardło...

Ale to wam chcę powiedzieć, że jeśli cały wzruszony jestem z powodu waszego odjazdu, to jednak w sercu czuje radość, że i nam, mimo naszej małości danym jest dołożyć cegiełkę do wielkiej budowli Kościoła Świętego... Tak, jedźcie, odważnie, ale pamiętajcie, iż jeden jest Kościół obejmujący tak Europę jak i Amerykę i cały świat, Chrystus jest Władcą dusz i tych tu i tych tam. Jeśli ciałem będziemy daleko jedni od drugich, to mamy łączność ducha przez pracę dla chwały Boga i Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa...

Gdziekolwiek pójdziecie, pamiętajcie zawsze, że jesteście kapłanami katolickimi, że jesteście salezjanami. Jako katolicy poszliście po błogosławieństwo Ojca Świętego i z jego to poręki macie teraz pójść i głosić naukę Chrystusa Pana, sprawować Jego sakramenty, szerzyć wszędzie Jego chwałę. Niech was Bóg uchwali, byście mieli, choć słówkiem najmniejszym, uchybić najdosłowniej Stolicy świętego Piotra, co jest wykładnią samego Jezusa Chrystusa, od którego wszystko ma wychodzić i do Niego wszystko wracać.

Jako salezjanie nie zapominajcie, że tu we Włoszech macie ojca, który was kocha, macie matkę Zgromadzenie, która stale o was myśli, troszcząc się o wasze potrzeby i zawsze dla was ma serce otwarte i bramę, by was podtrzymać na duchu, a w razie potrzeby, przyjąć pod swój dach...

Jedźcie... Czekają was wszelkiego rodzaju trudy i niebezpieczeństwa i pełna mogoła praca. Ale nie obawiajcie się: Bóg jest z nami. Sami z siebie nic nie możemy, ale wszystko możemy w Tym, co mnie umacnia...

Idźcie, ale wiedźcie, że nie będziecie opuszczeni... nie będziecie sami. Wszyscy idziemy z wami... Niedługo pojedą w wasze ślady inni, by stanąć przy waszym boku i pomagać wam znosić codzienny trud apostolski. Ci zaś, co nie pojedą, będą wam towarzyszyć duchem i będą was wspierać modlitwą, cieszyć się waszymi zdobyczami ewangelicznymi, z wami dzielić będą róże i kolce, radości i smutki w życiu nieuniknione. Jedźcie spokojnie, bo jedziecie pod auspicjami Ojca Świętego i naszego najdosłowniej pasterza, którzy wam na drogę pobłogosławili.

A teraz i ja wam błogosławię, jako ojciec miłujący was całym sercem i spraszam obfitość łask niebieskich na was, na waszą podróż, na wasze wszystkie przeżycia, na każdy trud i ból...

Z Bogiem... może już wszyscy nie zobaczymy się na tej ziemi. Ale jeśli wypadnie nam na jakiś czas być z dala od siebie, to przecież na wieki połączymy się w Niebiosach, gdzie to po trudach naszych, usłyszymy radosne słowa naszego Stwórcy i Pana: *Euge serve bone et fidelis... intra in Kaudium Domini tui.*

Po tych rzewnych słowach Świętego proboszcz z Burgo – Dora udzielił uroczystego błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem. Píše jeden z naocznych świadków: „Ołtarz wspaniale przystrojony, setki jarzących się świateł, promieniejąca postać Najświętszej Dziewicy Wspomożycielki, uśmiechającej się ze wspaniałego Jej obrazu, nadały całej funkcji niezwyklego uroku.

Po błogosławieństwie kantorzy zaintonowali *Veni Creator*, po którym Ksiądz Bosko od ołtarza odmówił owe przepiękne modlitwy, jakie Kościół kładzie w usta swoich ministrów udających się w dalekie podróże apostolskie. Następnie nowym misjonarzom udzielił ojcowskiego błogosławieństwa, które przyjęte zostało przez wszystkich w głębokim skupieniu.

Nastąpił moment najbardziej wzruszający: ze wszystkich stron słyhać było tłumiony płacz. Spokój i panowanie nad sobą młodych apostołów wystawione były na ciężką próbę. Podczas gdy chór chłopięcy powtarzał w nieskończoność motet: *Sit*

Nomen Domini benedictum ex hoc nuno et uestgue in seculum. W prezbiterium Ksiądz Bosko ich ukochany Ojciec, żegnał najdroższych synów serdecznym uściskiem, wręczając każdemu z osobna upominki wydrukowane na karcie. W ślad za nim wszyscy księża, klerycy i koadiutorzy do głębi wzruszeni dawali ostatni pocałunek pożegnalny swym bohaterskim współbraciom na ich misyjne pielgrzymowanie.

Wzruszenie doszło do szczytu, napełniając cały kościół głośnym szlochem, kiedy misjonarze wyszli poza balustradę i przeciskali się środkiem świątyni między swymi krewnymi, znajomymi i wychowankami. Wszyscy cisnęli się do nich by ucałować im ręce, czy choćby skraj szaty. Ostatni za nimi szedł Ksiądz Bosko. Gdy stanął w bramie kościoła, mógł oglądać wspaniały widok: cały plac Maryi Najświętszej Wspomożycielki wypełniony był rozentuzjasmowanymi tłumami wiernych, wśród których szereg powozów czekał na odjeżdżających by ich dowieść na stację. Pożegnalne okrzyki, bicia dzwonów, migotliwe światła lamp, luna bijąca przez otwartą na oścież bramę iluminowanej świątyni, skry gwiazd migających na lazurowym sklepieniu pogodnego nieba, wywoływały nastrój dziwnie tajemniczy. nieziemski. Ks. Lemoyne nie mógł naporu swych uczuć i zawołał: „ach, Księżo Bosko – czyżby zaczynało się sprawdzać owe proroctwo w snach oglądane: inde exhibit gloria mea?

„Masz słuszość – potwierdził cały wzruszony wielki Święty Wizjoner dziewiętnastego wieku”.

Wreszcie misjonarze wraz z Księdzem Bosko i konsulem argentyńskim mogli wsiąść do powozów, które z Wolan, potem coraz szybciej potoczyły się ku stacji kolejowej. Ale więcej rączymi od koni okazali się wychowankowie z Valsalice, którzy na wyścigi pobiegli na dworzec, aby tam powitać i jeszcze raz pożegnać drogich misjonarzy. Przy owacyjnych okrzykach młodzieży i przygodnej publiczności pociąg ruszył w stronę Genui.

Ks. Ceria kończy rozdział przytoczeniem poufnych upominków Księdza Bosko dla misjonarzy, umieszczonych w naszych Regulaminach /Dz. III, R. 4 § 69/: „Dusz szukajcie a nie pieniędzy i honorów”.

ROZDZIAŁ XVII

PO ROZŁĄCZE Z MISJONARZAMI

Prędko minęła misjonarzom podróż z Turynu do Genui, wszak jechali w jednym przedziale ze swoim ukochanym Ojcem, któremu zawsze tyle mieli do powiedzenia, a on im. Do Genui przyjechali o północy, gdzie już oczekiwał ich ks. Albera. Upłynęło jeszcze dwa dni, zanim ostatecznie ulokowali się na okręcie i załatwili wszystkie formalności. W tych dwóch dniach okazało się w całej pełni, jak serdeczne uczucia żywili młodzi apostołowie względem swego Przełożonego i Ojca. Nie mogli się wprost z nim rozłączyć. Gdzie się tylko pokazał, zaraz go otaczali, zasypując pytaniami, prosząc o radę, przedstawiając swoje potrzeby. Wzruszający też był widok, z jaką ojcowską czułością i on ich traktował. Wszak to byli jego synowie wyrosli pod jego okiem, przez niego wykształceni i uformowani. Starał się też z właściwym sobie spokojem zadowolić ich we wszystkim, dzieląc się z nimi skarbami swego doświadczenia i udzielonych mu charyzmatów z Nieba.

Rankiem, 11 listopada, była to niedziela, po odprawieniu przez księży Mszy św., wybrali się do portu. Okręt, którym mieli jechać nosił imię SAVOIA. Należał do Towarzystwa francuskiego transportowców morskich w Marsylii. Kapitan okrętu Quidard bardzo grzecznie powitał Księdza Bosko i jego towarzyszy, wprowadzając ich zaraz do kabin dla nich przeznaczonych, a następnie oprowadził Księdza Bosko po całym statku. Gdy znaleźli się na sali pierwszej klasy, koadiutor Molinari usiadł do pianina i zaśpiewali wszyscy *Lodate Maria*. To zainteresowało innych pasażerów, którzy otoczyli śpiewających. Wtedy ks. Cagliero krótko do nich przemówił, nawiązując do święta Opieki Najświętszej Maryi Panny, jakie w tym właśnie dniu było obchodzone w Genui i zachęcając, by wszyscy tę długą podróż oddali pod opiekę Tej, która jest wzywana, jako Gwiazda Morza. Podał też słuchaczom do wiadomości, że podczas całej podróży będzie sposobność do wysłuchania Mszy św. I do przystąpienia do sakramentów św. Słowa te odniosły bezpośredni skutek, gdyż kilkoro poprosiło zaraz o spowiedź.

Jak dotąd, dobry humor nie opuszczał misjonarzy, wszak stale z nimi jeszcze był Ksiądz Bosko. Ale nadeszła chwila krytyczna: o godzinie jedenastej dano sygnał, aby wszyscy, niemający zamiaru jechać dalej, opuścili pokład. Ksiądz Bosko serdecznie polecał kapitanowi swoich współbraci, od którego też otrzymał zapewnienie, iż będą traktowani przez całą załogę ze wszystkimi możliwymi względami. Następnie jeszcze raz zwrócił kilka serdecznych słów do odjeżdżających synów i z rozrzewnieniem ich pobłogosławił.

Misjonarze – pisze obecny przy tym koadiutor Enria – nie mogli się oderwać od swego Księdza Bosko. On, choć równie głęboko wzruszony, dodawał im odwagi, przypominając wzniosłe cele ich podróży: chwałę Bożą, zbawienie dusz, nawrócenie tylu niewiernych...

Szczęśliwi jesteście wy, którym dano jest rzucić pierwsze ziarno ewangeliczne w tamtych stronach. Ileż ono owocu przyniesie dla Kościoła i dla naszego Towarzystwa Salezjańskiego. Niezmordowany wasz trud przyczyni się do triumfu wiary naszej świętej, uświetni pontyfikat obecnego Papieża, a wam zapewni przeobfitą zapłatę od Boga. W Jego Imieniu zapewniam was, że przeobfite będzie żniwo wasze i tego bądźcie pewni. Nie zważajcie na trudy, na braki, na pogardę ze strony świata. Misjonarze, jak i obecni uklękli. Ksiądz Bosko pobłogosławił ich spokojnym głosem, następnie uściskał każdego ze swoich, rozpoczynając od księdza Cagliero. Następnie zeszedł z pokładu do łódki, która go odwiozła na ląd. Byli z nim ks. Albera, brat księdza Cagliero i kilku innych. Cały czas oczy ich zwrócone były ku okrętowi, z którego powiewały chusteczki na pożegnanie. Ksiądz Bosko, cały czerwony był na twarzy od wysiłku, by powstrzymać swoje wzruszenie.

Podróźni właśnie siadali do stołów, zajadając obiad, kiedy, ku zdziwieniu misjonarzy, zaanonsowano im miłą wizytę: oto wychowankowie zakładu Sampierdarena przyszli ich jeszcze raz pożegnać. Był to gest ze strony samego Księdza Bosko. Ale niedługo mogli się nimi cieszyć misjonarze, bo zaraz odezwał się ostatni sygnał na odjazd. Statek ruszył z portu o godzinie drugiej po południu.

Następnego dnia już byli nasi podróżni w Marsylii, gdzie mieli sześć godzin czasu na zwiedzanie. W trzy dni potem okręt dobił do portu w Gibraltarze. Tutaj ks. Fagnano wyszedł zakupić hostie i świece. Będąc w mieście złożył wizytę tamtejszemu biskupowi, który bardzo zainteresował się całą działalnością salezjanów. A teraz niech nasi misjonarze jadą szczęśliwie do swego celu, a my zostanmy z Księdzem Bosko we Włoszech.

Ostatnie wielkie przeżycia misyjne nie pozostały bez skutku.

Długo o nich mówiono w mieście, a w Oratorium wychowankowie nie przestawali na częstych nawiedzeniach wznosić modły o szczęśliwą podróż dla ich dawnych wychowawców. Znalazł się nawet jeden chłopak, który postanowił pościć trzy dni na tydzień tak długo, dopóki, po skończeniu studiów, sam nie będzie mógł wyjechać na misję. Oczywiście, że przełożeni, dowiedziawszy się o tym, bezwzględnie mu tego postu zabronili.

Warto tu jeszcze przytoczyć partykularne zalecenia, jakie pisemnie wręczył księdzu Cagliero Ksiądz Bosko, a które tak pięknie świadczą o jego ojcowskiej troskliwości, z jaką odnosił się zawsze do swoich synów.

Do księdza Cagliero!

1. Dbaj bardzo o zdrowie i moralność wszystkich i uważaj, by każdy miał czas na potrzebny odpoczynek.

2. Doktorowi Ceccarelli powiedz, że otrzymałeś dwieście franków i polecam się o katechizm używany w Argentynie, potrzebny mi przy wydawaniu „Giovane Proveduta” w języku hiszpańskim.
3. Tematia niech przetłumaczy moją gramatykę na język hiszpański i niech mi to przyśle, aby można było wydrukować tu w Turynie. Zorientuj się, czy tam jest jakiś dobry tekst historii św., bo jeśli nie ma to skombinujemy tutaj.
4. Nie zapomnij ofiarować, jakiejś książki panu doktorowi Spinoza.
5. Jeśli Allavena i jego towarzysze zgłoszą się na okręt w Marsylii, to mi przysłać telegram w tym sensie: Tutti benvenuti e in sanita, jeśli zaś nie, to opuścić tutti. /Wszyscy szczęśliwie dojechali i w zdrowiu/.
6. Skoro tylko będziecie mieć sposobność w ciągu podróży, by do nas coś napisać, piszcie jak najczęściej. Ale ty, na osobnym bileciku zawsze dołącz, jeśliby coś poufnego było mi do zakomunikowania.
7. Okazujcie jak największe uszanowanie dla pana Franciszka Beniteza, uświadamiając go, że również jest franciszkaninem, gdyż nosi imię tego wielkiego Świętego Doktora, który jest i naszym Patronem.
8. Niech się nikt nie chełpi z tego, co umie, względnie z tego, co robi, ale niech każdy spełnia, co do niego należy bez orientacji.
9. Gdyby wam wypadło przysyłać pieniądze, to adresujcie zawsze na księdza Rua.
10. Pisząc do waszych dobrodziejów, róbcie w listach wzmiankę o modlitwach i o waszej wdzięczności dla tych, co pomagają wam i Oratorium. Pod tym względem nigdy nie obawiajcie się, że powiecie za wiele.
11. Po drodze, względnie na końcu waszych podróży, wypadnie napisać jakieś listy do wybitniejszych dobrodziejów, jak do markiza Fassati, do rodziny Corsi, do hrabiny Callori itd. Te rzeczy wielce mogą być pożyteczne nam i wam.
12. Gdy będziesz potrzebował więcej personelu, to pisz zawsze wyraźnie, czy chodzi o zakonnice, czy o salezjanów: równocześnie zaznacz, kto by – twoim zdaniem – był najodpowiedniejszy na stanowisko, o które chodzi.

Róbcie, co możecie, Pan Bóg zrobi to, co my nie możemy. Zaufajcie Panu Jezusowi w Najświętszym Sakramencie i Najświętszej Wspomożyciele, a dowiecie się, co to są cuda.

Zawsze myślą jestem z wami i codziennie polecam was dobroci Bożej we Mszy św. Niech wam Bóg błogosławi, dokądkolwiek pójdziecie. Módlcie się za mnie i za waszą matkę Zgromadzenie. Amen.

Sampierdarena, 13.11.1875 r.

Otrzymał również ks. Cagliari list od Świętego do arcybiskupa w Buenos Aires, do którego dołączona była lista personelu z zaznaczeniem zajęć, do jakich mieliby być przeznaczeni. Drugie pismo było do Komisji w S. Nicolas de los Arroyos z wykazem kosztów związanych z ekspedycją misyjną i z deklaracją, w której oświadcza się, że Zgromadzenie Salezjańskie nie ma pretensji do całej

wyszczególnionej tam sumy, ale było by wdzięczne za jakąkolwiek pomoc finansową, by tak można myśleć o przygotowaniu nowej ekspedycji.

W dwa dni po wyjeździe misjonarzy Ksiądz Bosko był już w Varazze, skąd pisał do hrabiny Callori:

Mia buona e carissima Mamma!

Odprowadziłem naszych misjonarzy aż do Genui, potem do portu, wreszcie na okręt, którym mieli odpłynąć do Ameryki. Wszyscy byli weseli, choć wzruszeni, ale zawsze gotowi na wszystko, co Boska Opatrzność względem nich zarządzi. Na koniec ks. Cagliari w imieniu swoich towarzyszy, zabrał głos i tak powiedział: Prosimy bardzo w imieniu naszym podziękować pani hrabinie Callori za wszystkie względy, jakich od niej doznaliśmy. Zawsze będziemy się modlić w intencji jej rodziny, a dusze, które mamy nadzieję zbawić, otworzą jej pewnego dnia bramę nieba. Pewni jesteśmy, że nie przestanie nas Pani popierać materialnie, a Ksiądz Bosko będzie nam dosyłał nowych pracowników ewangelicznych. Po tych słowach popłynęły i łezki, a okręt o godz. 14.00 płynął w stronę Francji, skąd już dostałem telegram, że podróż mają przyjemną.

Skoro tylko otrzymam świeże wiadomości, będę się poczuwał do obowiązku zaraz o wszystkim Szanowną Panią zawiadomić. Dziękując za wszystko itd.

Varazze, 17.11.1875 r.

Niestety w Varazze powtórzyło się Księdzu Bosko to, czego doświadczył już trzy lata przedtem w tym samym kolegium i o tej samej porze roku: wystąpiła gorączka z wysypką /miliare/. Prawdę powiedziawszy, po pierwszym ataku nie ustąpiła ona całkowicie już nigdy i powtarzała się, co dwa miesiące, a także i częściej, zwłaszcza, gdy był przemęczony, albo przy zmianie pogody. Występowały wtedy na skórze pryszczki przy podniesionej temperaturze ciała, połączone z silnym bólem głowy, bezsennością i uporczywym ziewaniem. Po każdym takim ataku schodził całkowicie naskórek. Niewielu się o tym spostrzegło, gdyż chory nie zaprzestawał pracy i nie zatrzymywał się w łóżku, a jednak były to dolegliwości bardzo przykre. Ks. Francesca natychmiast zawiadomił o wypadku Oratorium. Chłopcy dowiedziawszy się o tym, rozpoczęli szczególniejsze modły, bojąc się, by choroba nie zagrażała życiu ich ukochanego Ojca. Ale na szczęście sytuacja nie była na tak groźna; bo już drugiego grudnia Ksiądz Bosko tak pisał do jednego ze współpracowników redakcji Unita Cattolica:

Carisimo Don Reffo!

Posyłam list Ojca św. Z prośbą, by, jeśli uznacie, za stosowne, został umieszczony w waszym poczytnym piśmie. Ponownie dziękuję ci za bardzo udany artykuł opisujący pożegnanie misjonarzy na Valdocco.

Z Rzymu, z Florencji, z Wenecji i z innych miast otrzymałem listy wyrażające pełne uznanie dla tego sprawozdania, które niejednemu z czytających wycisnęły łzy z oczu. Jedna wybitna i niepodejrzana osobistość wprost mi powiedziała: „Uważam, że to sprawozdanie jest non plus ultra pomiędzy artykułami Unita Cattolica”. Niech to będzie ku twojej satysfakcji, a równocześnie ku większej chwale Bożej. Piszę do ciebie, gdyż nie wiem, czy ks. Margotti wrócił już do Turynu. Jeśli tak, to moje najniższe uszanowanie dla niego. Niechże Bóg ci błogosławi itd.

Varazze, 02.12.1875 r.

Ale myśl Ksiedza Bosko zawsze była przy jego misjonarzach. 4 grudnia tak pisze:

Don Cagliero mio carissimo!

Piszę do ciebie, a ty przekażesz to innym salezjanom. Mamy wiadomości od was z Gibraltaru i dziękujemy Bogu, że wszystko idzie dobrze. Wszystkie domy modlą się dla was o szczęśliwą podróż. W następnym dniu po waszym wyjeździe, otrzymałem dokumenty z Rzymu. Jest między innymi list do arcybiskupa Buenos Aires, dekret dla was, list Papieża i kardynała Antonelli. U nas sprawy postępują szybko i dobrze. W ostatnich dniach listopada stworzyliśmy nową placówkę w Nizza dla ubogich chłopców. Dyrektorem został ks. Ronchail. Oprócz niego, jako nauczyciel, pójdzie tam Perrot, pianista Rabagliati i kucharz Capellano. Tam przeniesie się chłopców z Algieru.

W Bardighora rozpoczęliśmy akcję przeciw protestantom. Kierował nią będzie ks. Cibrario. Również otworzą tam placówkę Córki Maryi Wspomożycielki, które opiekując się dziewczętami, będą nam służyły pomocą w kuchni. Na razie mieszkamy w domu wynajętym, ale już jest zakupiony plac pod budowę i to przy zborze protestanckim, koło którego skupiają się ich szkoły i hospicja. Z pomocą Bożą na wiosnę rozpoczniemy budowę kościoła. Za parę dni będą mogły nasze siostry zająć w Sampierdarena lokal dla nich wyłącznie przeznaczony, gdyż dotąd były rozproszone po kilku domach. W połowie grudnia ks. Rua pojedzie do Mornese na obłóczyny i na przyjęcie profesji. Liczba sióstr stale rośnie. Na początku stycznia otworzą nową placówkę w Alassio.

Kiedy piszesz ty, albo inni do nas, nie pomijajcie choćby najmniejszych szczegółów, gdyż to wszystko bardzo nas tu interesuje. Wszystkie nasze domy przesyłają pozdrowienia misjonarzom. Zalecam, by każdy dbał o swe zdrowie i nie zapomnij w najbliższym liście zaznaczyć mi, czy któryś chorował w czasie podróży i jak się tam każdy z nich czuje. Gdy będziesz przemawiał do tamtejszych współpracowników, nie zapomnij odczytać publicznie upominków, jakie wam dałem na odjeździe. Niech was Bóg wszystkich błogosławi itd.

PS. Jest rzeczą samą przez się zrozumiałą, że ile razy ja piszę do was, to zawsze w liście domyślić się trzeba szczególniejszych pozdrowień dla doktora Ceccarelli, Benitoza, Repinozy itd.

Zanim posłużycie się przywilejami przyznanymi wam, jako misjonarzom, postarajcie się najpierw przedstawić je waszemu arcybiskupowi.

Wyjeżdżając tym razem z Ligurii, miał Ksiądz Bosko tę pociechę, iż zdołał uporządkować finanse dwóch tamtejszych zakładów, a jadąc do Turynu spodziewał się, że będzie mógł to samo przeprowadzić i w Oratorium, do którego wrócił 6 grudnia, około 4 po południu, po 25 dniach nieobecności.

Chłopcy, klerycy i przełożeni oczekiwali go z niecierpliwością. Czytamy w kronice: Zawsze nam miło, gdy Ksiądz Bosko jest z nami. Ale ilekroć wypadnie mu dłuższy czas poza Oratorium, to jego powrót jest nam tym droższy. Właśnie kończyły się lekcje, gdy rozeszła się pogłoska, że ukochany Przełożony już jest w swoim pokoju. Chłopcy – jak czytamy dalej w kronice – zorientowawszy się, że choroba musiała nie być tak niebezpieczna, po prostu szaleli z radości.

Na wieczrę zeszedł Ksiądz Bosko, kiedy już rozpoczęła się w jadalni lektura. Oczywiście zaraz ją przerwano i ze wszystkich stron rozległy się radosne oklaski. A on szedł uśmiechnięty, witając się wzrokiem z tym czy owym, czy zamieniając jakieś życzliwe słówko, które dla niejednego wystarczyło, jako odpowiedź na list wysłany do niego. I tak przechodząc koło księdza Barberisa, zatrzymał się chwilę przed nim, a popatrzywszy na niego tym wzrokiem, który nie da się opisać, rzekł: „Bardzo mi się podoba twój projekt i zastanawiam się jakby go można było skutecznie. To wystarczyło dla zainteresowanego, by mu z serca odeszły wszystkie zmartwienia i ambarasy, jakie go od dłuższego czasu dręczyły”.

O godz. 9.00 gimnazjaliści, rzemieślnicy, nowicjusze, koadiutorzy, słowem całe Oratorium oczekiwało z niecierpliwością, co Ksiądz Bosko powie na słówku wieczornym. Zaledwie ukazał się na zwykłym miejscu, rozległy się tak serdeczne okrzyki: Viva Don Bosco – i tak fanatyczne oklaski, że je chyba było słyszać na cały Turyn i trzeba było dłuższej chwili, aż się uspokoiły, a wtedy ten drogi Ojciec tak przemówił do swoich ukochanych dzieci:

„Już to więcej czasu upłynęło, drodzy chłopcy, jak się nie widzieliśmy. Wyjechałem z Turynu 11 listopada, by odprowadzić naszych misjonarzy do Genui i otóż chcę wam dzisiaj kilka słów powiedzieć na temat odjazdu naszych misjonarzy. Odjechawszy stąd wieczorem, 11 listopada, we czwartek, stanęliśmy w Sampierdarena o północy. Jazda była spokojna. Długo rozmawialiśmy o różnych rzeczach; z nastaniem nocy niektórzy zdrzemnęli się; od czasu do czasu dał się słyszeć jakiś stłumiony szloch. W Sampierdarena oczekiwał nas ks. Albera i w jego zakładzie zatrzymaliśmy się jeszcze dwa dni dla załatwienia ostatnich już formalności i by odjeżdżający mieli czas napisać listy, w których dawali ostatnie rozporządzenia i przesyłali ostatnie pozdrowienia z tego świata przed wyjazdem na drugi świat /ogólny wybuch wesołości/. W tym czasie przekonałem się doprawdy, jak oni byli przywiązani do Księdza Bosko.

Nie mogłem się na chwilę od nich odłączyć. Szedłem do kościoła, oni szli za mną modlić się, idę na śniadanie, a oni już są w jadalni. Udałem się do pokoju i oni już ze mną, słowem szli krok w krok za mną. Ale muszę też przyznać, że ja nie mogłem

obejść się bez nich; gdyby oni nie przyszli do mnie, to ja byłbym ich szukał. Miałem im też wiele do powiedzenia, ale oni mieli jeszcze więcej do zapytania się. Wyglądało, że bardzo trudna będzie nasza rozłąka. Wiele napisałem im rad i wskazówek, jak Ojciec swoim synom, a tu ciągle wyłaniały się jakieś nowe zagadnienia do rozwiązania. Tak upłynęły te dwa dni: 12 i 13 listopada.

Odjazd nastąpił w niedzielę 14. Na stację podwieziono ich kilku dorożkami. Okręt stał już w porcie na kotwicy, ale w pewnej odległości od brzegu. Wsiedliśmy, więc do łódki, która nas do niego podwoziła. Trwało to wszystko razem pół godziny. Na okręt z łódki wdrapaliśmy się po drabince. Trzeba, bowiem wiedzieć, że wielkie okręty wystają dość dużo z wody i potrzeba schodków, by wydostać się na pokład. Kapitan widząc mnie, pospieszył, by podać mi rękę i tak ułatwić mi wdrapanie się na pomost.

Statek ten francuski należał do większych transatlantyków. Mógł mieć długości więcej jak sto metrów, a szeroki jedenaście. Mógł pomieścić wygodnie tysiąc pasażerów. Kapitan okazał się dla nas bardzo uprzejmy i oprowadził nas po całym okręcie.

Tu muszę wam zwrócić uwagę, że podróżni dzielą się na trzy klasy, zależnie od tego ile zapłacą, ale ja udowodniłem kapitanowi, że właściwie wszyscy podróżujący dzielą się na pięć klas. Do pierwszej należą podróżni, którzy mają wszystkie możliwe wygody, jak gdyby we własnym domu; w drugiej mniej jest wygod, ale też im właściwie niczego nie brakuje, w trzeciej jadą ci najubożsi; zastawa stołowa dla nich jest taka sobie, sypialnie mają wspólną, zamiast łóżek pryczę i to jedną nad drugą. Za krzesła służą im meble okrętowe, względnie własne walizki.

Oto pomieszczenie dla poszczególnych grup podróżnych – powiedział kapitan. Innych już nie ma.

O, mam wrażenie, że jeszcze trzeba by coś dodać – podchwycił Ksiądz Bosko. Mam wrażenie, że są jeszcze inne grupy podróżujące z nami.

Nie rozumiem. Niech się Ksiądz wytłumaczy.

Zaraz, panie kapitanie. Otóż tu pod nami widziałem pełno kur, królików, gołębi, są nawet krowy i dwa tuczniki... Przecież to też pasażerowie, którzy już nie tylko jedzą, ale żrą; one to tworzą, według mnie, czwartą klasę.

Ha, ha, ha, nauczyłem się nowej rzeczy – odrzekł kapitan śmiejąc się. I ma Ksiądz słusność, a ja na to nie zwróciłem uwagi. Ale gdzie piąta klasa?

I tej łatwo się dopatrzeć, panie kapitanie. Wystarczy zmienić słówko ze strony czynnej na bierną, a będziemy zaraz mieli nie tych, co jedzą, ale to, co jest zjedzone, a więc potrawy, pieczenie, befsztyki, polędwice, weduta, ciastka, ciasteczka i torty... Czyż to nie podróżuje razem z nami? Czy bez nich mogłaby w ogóle odbyć podróż? Z pewnością nie. Trzeba je, zatem policzyć i umieścić w piątej klasie. A jeśli by sobie pan kapitan życzył, to byśmy jeszcze dopatrzyli się i szóstej, a ta jedzie na walizkach i tłumokach, a mam wrażenie, że ci pasażerowie walizkowi nie są tak ubodzy.

Roześmiała się cała brygada okrętowa, komentując wesoło moje wywody, a tymczasem kapitan zaprowadził nas na miejsce przeznaczone dla naszych. Trzeba było zejść po wygodnych schodach na dół pokrytych wzorzystym chodnikiem. Bałem się go powalać więc spoglądałem na moje kamasze, czy są w porządku, ale kapitan dał mi znak, jakby chciał powiedzieć: Tylko bez żenady, nic nie szkodzi; znajdzie się, kto go oczyści. Weszliśmy do wspaniałego salonu mało, co mniejszego od tej sali. Umieblowany był fotelami, kanapami, nie brakło stylowych szaf ani luster i żadnej wygody. Z tego salonu były wejścia do poszczególnych kabin, gdzie mieściły się łóżka. W niektórych kabinach były trzy, w innych dwa łóżka, a w tej dla księdza Cagliario dla większej jego wygody tylko jedno. W sali pełno było podróżnych i marynarzy uwijających się z walizkami. Molinari zauważywszy tam pianino, przysiadł się do niego i zagrał pięknego marsza, po którym zaintonował „Lodate Maria”, podchwycony przez jego towarzyszy. Otoczyli ich podróżni, a wtedy, po ukończeniu śpiewu, ks. Cagliario zabrał głos wzywając wszystkich, by na całą podróż oddali się pod opiekę Najświętszej Maryi Panny. I kończąc zachęcił do skorzystania ze Mszy św., jak będzie na okręcie odprawiana. I dziwna rzecz, między tylu osobami nie znalazł się żaden, kto by nie potraktował poważnie tych słów, a niektórzy nawet zaraz poprosili o spowiedź, tak, że trzeba było konfesjonał zaimprovizować.

Gdy tak oglądaliśmy razem lokale dla nas przeznaczone, rozkładając w nich swe walizki, nadeszła chwila ostatecznego rozstania. Miny wszystkim zrzedły. Stanęli jakby bezradni i dał się słyszeć tu i tam cichy szloch. Przyznam wam się, że choć siliłem się, by udawać zucha, jednak gęste łzy pociekły mi po policzkach. Ale ten nasz płacz, to dziwny był płacz, łzy lały się z oczu, ale w duszach była pogoda, owszem radość i entuzjazm do wielkiej sprawy, do boju o zbawienie dusz, o chwałę Chrystusa i Kościoła.

Najbardziej wzruszająca rozegrała się scena, gdy dano znak, by przygodni goście na okręcie zeszli już na ląd. Wtedy wszyscy odjeżdżający misjonarze, a z nimi i kapitan oraz obecni panowie upadli na kolana prosząc o błogosławieństwo, którego im z całego serca wśród łez udzieliłem. Chwilkę potem płynąłem już łódką do brzegu wioząc ze sobą serca tych moich kochanych synów, którzy z pokładu posyłali mi jeszcze ostatnie swe: Addio..., aż zniknęli mi z oczu.

Już otrzymałem świeże wiadomości, że podróż mają bardzo szczęśliwą. Gdy byłem w Varazze, a potem w Alassio wszyscy tam tylko mówili o misjonarzach i twierdzili, że przez lornetki widzieli ich na okręcie, który płynął niedaleko tych miejscowości. Ostatni list od nich mam z Gibraltaru. Opisują w nim menu okrętowe i chwalą sobie: Na śniadanie kawa, albo herbata: około jedenastej „colazione” na który to obiad jako antypasat jest kielbasa, masło, mortadela z verdurą, po czym ministra i cztery potrawy, a na zakończenie ser, owoce i inne słodkości. Po takim posiłku chyba przyznacie, że można wytrzymać do wieczery, którą podają około 6 - tej wieczorem, poprzedzona również nie skąpszą antypastą, a zakończona po ośmiu dniach, różnymi łakociami. Mimo to ksiądz Pagnano, choć sobie wikt chwali to jednak skarży się nie tyle na morską chorobę, ile raczej na apetyt, który go ustawicznie dręczy.

Ale najważniejsze dla nas i pocieszające, że tu na okręcie mogli rozpocząć swą pracę misyjną: codziennie odprawiają Mszę św. Z udziałem wielu podróżnych, w niedzielę głoszą kazania po włosku i po hiszpańsku: w tygodniu trzy razy mają katechizm dla płynących z nimi chłopców i dziewcząt.

W tej chwili, gdy do nas mówią przepłynęli oni już równik i dobijają do stolicy Brazylii do Rio de Janeiro, a na Niepokalaną ufam, że będą już w Montevideo; ostatni to przystanek dla okrętów przed Buenos Aires, które jest celem ich podróży.

Oto, co chciałem wam powiedzieć o naszych misjonarzach. Módlcie się w czasie tej nowenny do Niepokalanej, by im błogosławiła tak w podróży, jak i w pierwszych ich poczynaniach na ziemi argentyńskiej. Równocześnie prosimy Królową Apostołów, aby wzbudziła jak najwięcej powołań misjonarskich, by tak Królestwo Jej Boskiego Syna rozszerzyło się jak najprędzej po całym świecie. Nie wątpię, że wielu z was już chciałoby również jechać na misje. Owszem, mogę wam powiedzieć, iż gdybyście w tej chwili wszyscy, jak tu jesteście, byli zdolni podjąć się podobnej pracy, dla żadnego nie zabrakłoby zajęcia. Tak wiele leży terenów odłogiem, tak wiele napływa podań i ofert na objęcie przeróżnych placówek misyjnych: w Kalifornii, w Indiach, w Chinach itd.

Ale na razie trzeba wam jeszcze trochę cierpliwości. Ale już z dala możecie przygotowywać się do tego modlitwą, pilnością w nauce, dobrym zachowaniem i co najważniejsze, dla kandydata na misjonarza, przyświecaniem sobie dobrym przykładem. W ten sposób zasłużycie sobie, by Bóg was wybrał na naśladowców Apostołów, zbliżycie się do urzeczywistnienia waszych marzeń i rosnąć będziecie mili Bogu i ludziom. Dobranoc”.

Wiadomość o wyjeździe misjonarzy salezjańskich wzbudziła powszechne zainteresowanie, zwłaszcza w Piemontcie. Równocześnie rozstawiła imię Księdza Bosko i jego Zgromadzenia po całym niemal świecie katolickim, powodując tym większy napływ podań o przyjęcie do Zgromadzenia. Na przeszkodzie temu stanął jednak opór biskupów, którzy nie mając wystarczającej ilości księży do obsadzenia swych diecezji, nie pozwalali chętnym na opuszczanie zajmowanych już parafii.

Przyjmowaniu nowych placówek misyjnych przez księdza Bosko, stała na przeszkodzie również konieczność wewnętrznej konsolidacji Zgromadzenia. Potrzebę tego zrozumiał on bardzo dobrze i tak mówił do swoich najbliższych współpracowników wieczorem, 10 grudnia: „Tak, prawda, że potrzebna konsolidacja i to mi powtarzają ze wszystkich stron: ale równocześnie widzę że jeżeli się pracuje z rozmachem, to rzeczy idą lepiej. Powolniejsza konsolidacja może nawet będzie więcej trwała. Przecież to wszyscy widzimy na własne oczy. Póki jest ten wielki rozmach, ta wielka i wytężona praca, płyniemy na pełnych żaglach, a członkowie Zgromadzenia hartują się w pracy i utrwala ją w powołaniu”.

Stąd też myśl o konsolidacji Zgromadzenia niewiele wpływa na wstrzymanie inicjatywy wielkiego Apostoła młodzieży. Dla przeprowadzenia śmiałych przedsięwzięć brakowało mu tylko jednej rzeczy, jak się sam raz wyraził,

a mianowicie czasu. Życie jest zbyt krótkie – mówił – trzeba się zabierać energicznie do przeprowadzenia tego trochę, co się da przeprowadzić, zanim nas śmierć zaskoczy. Ks. Berto był świadkiem, jak nieraz stał zadumany nad mapami, oglądając ziemie, które trzeba by zdobyć dla Chrystusa. Jakiż to piękny będzie dzień – zawołał pewnego razu – kiedy misjonarze salezjańscy, poczynając od Kongo, posuwać się będą ku Nilowi, gdzie spotkają swych Współbraci nadchodzących od Egiptu, i podadzą sobie ręce w braterskim uścisku, chwając Boga.

Ks. Franciszek Dalmazzo zaświadczył, że często słyszał Księdza Bosko powtarzającego: „Jakiż to piękny będzie dzień, kiedy nasi misjonarze poniosą światło Ewangelii do krajów Ameryki, Australii, do Indii, do Egiptu i tylu innych krajów. Już oglądam ich w Afryce i Azji, oglądam ich w Chinach, gdzie w samym Pekinie będą mieli swą placówkę”.

Zawsze gorliwy o rozszerzenie wiary, nosił się z zamiarem podsunęcia Papieżowi myśli, by do Litanii do Wszystkich Świętych dołączyć wezwanie: „ut bonos et dignos operarios in meseem tuam mittere digneris. Ta rogamus sudi nos” i myśl ta została urzeczywistniona, chociaż w innych trochę ujęciu.

ROZDZIAŁ XVIII

Z TEJ I TAMTEJ STRONY GRANICY FRANCUSKIEJ

Propozycja otwarcia nowych fundacji w roku 1875 napływały jedna po drugiej, tak z okolic Turynu, jak Mediolanu, Suza, Lucca, z Marsylii, a nawet z Ziemi Świętej. Ostatecznie Ksiądz Bosko zdecydował się zadośćuczynić życzeniu biskupa z Ventimiglia i uruchomić placówkę w Vallecrosia i wezwaniu adwokata Michel, otwierając dom w Nizza we Francji. Tak o tej swojej decyzji mówił we wigilię Niepokalanej na słówku wieczornym:

„Ostatni raz mówiłem wam o misjonarzach. Dzisiaj chcę wam powiedzieć, co załatwiłem po ich odjeździe. Oto zaraz ze Sampierdarena udałem się do Nizy, ale nie tej, co jest w Piemontcie i nazywa się Nizza Monferrato, w prowincji Aleksandrii, ale do Nizza Marittima, które to miasto należało niegdyś do Włoch, a obecnie zostało zagarnięte przez Francuzów. Byłem tam z utęsknieniem oczekiwany. Chodziło o utworzenie zakładu dla młodzieży. Nalegał o to tamtejszy biskup, jak i grono zacnych panów, już w ubiegłym roku. Obecnie poszedłem, ażeby przeprowadzić końcowe pertraktacje i rozpocząć tam naszą działalność.

Wziąłem ze sobą księdza Józefa Ronchail, który tam będzie dyrektorem, kucharza, kilku kleryków i owych ośmiu Afrykańczyków z Algieru, co tutaj byli. Pracę rozpoczniemy w Nizza od Oratorium świątecznego. Z biegiem czasu uruchomi się szkołę elementarną i Kursy wieczorowe, a potem zobaczymy, co zarządzi Opatrzność. To, od czego zaczęliśmy, to wprawdzie nic wielkiego, ale mam nadzieję, że z czasem placówka rozrośnie się i będzie mogła działać dużo dobrego. W niedzielę, 28 listopada, nastąpiło uroczyste otwarcie domu. Mówię „uroczyste”, gdyż zrobiło się wszystko, co można było w tych warunkach. Obecnych było wielu panów i pań z najznakomitszych rodzin Nizy z biskupem na czele. Wszyscy bardzo nasze poczynania popierają. Byłem też z wizytą u burmistrza, który chociaż protestant, zważcie dobrze to słowo:, „chociaż protestant”, bardzo życzliwie odniósł się do naszego instytutu, podziwiając naszą odwagę i przedsiębiorczość. Zaimponował mu zwłaszcza cel, dla jakiego ten dom został otwarty, a jeszcze bardziej to, cośmy mu opowiedzieli o naszej działalności we Włoszech. To też po kilkakroć powtarzał: *O'est une chore, qui mantue a la France*. Widziałem potem list, jaki napisał następnie do samego Prezydenta Republiki z bardzo dla nas przychylną opinią o naszych poczynaniach. O naszych poczynaniach w Nizy rozpięły się też miejscowe dzienniki, czego rezultatem było, iż i z Marsylii nadeszło wezwanie, byśmy tam otwarli podobną placówkę, jak w Nizza. Odpowiedziałem, że to nie jest sprzeczne

z moimi planami i że może jeszcze przed końcem zimy zjawię się tam, by zawrzeć odpowiedni kontrakt.

Z Nizza udałem się do Ventimiglia, gdzie przez biskupa i władze miejscowe byłem przyjmowany ze wszystkimi możliwymi względami. I tam też chodzi o otwarcie nowego zakładu w świeżo zbudowanej dzielnicy, obecnie całkiem opanowanej przez protestantów, którzy wybudowali tam swój zbór i szkoły bezpłatne, do których ściągają młodzież, płacąc nawet rodzicom, aby tylko do nich posyłali swe dzieci. Otworzyli tam nawet swój internat. Brak szkół w pobliżu ułatwia im chytrą ich robotę. Widząc tak wielkie niebezpieczeństwo dla dusz, biskup nie mając dość kapłanów, zwrócił się o pomoc do Księdza Bosko. Już zeszłego roku była o tym mowa; ale teraz dopiero zwiedziłem wszystko na miejscu i zawarłem ostateczną umowę. Na razie zaczniemy w domu najętym; a tymczasem rozpocznie się pertraktacje o kupno odpowiedniego terenu. Dziwnym zrządzeniem Opatrzności Boskiej właśnie tuż przy boku siedziby protestantów jest plac do nabycia, dla naszych celów odpowiedni. W środku postawi się kościół katolicki, a po jednej jego stronie zakład dla chłopców, z drugiej zaś budynek dla siostr, by zaopiekowały się dziewczętami. Pracę tam rozpoczniemy w ciągu nowenny nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia lub w oktawie od uruchomienia świetlicy i szkoły. Z biegiem czasu będzie i internat, bo zaraz przystąpimy do budowy kościoła i zakładu jak wyżej wspomniałem.

A czy wiecie, po co ja wam to wszystko mówię? Otóż przypominacie sobie, iż częściej w ciągu roku polecałem waszym modlitwą różne sprawy, nie mówiąc, jakie to są, że zawsze to są sprawy bardzo ważne i nieraz zbawienie wielu dusz od waszych modlitw zależy. Módlcie się więc zawsze gorąco w moich intencjach, a gdy będzie można to wam w swoim czasie powiem, jak się rzeczy ułożyły. Drugi zaś powód, że was tymi rzeczami interesuję jest byście zdali sobie sprawę jak wielkie są potrzeby Kościoła świętego, jak wielkie jest pole dla tych, co chcą zdziałać coś dobrego dla swych bliźnich. Trzeba wtedy zwiększyć nasze wysiłki, by temu podołać. I właśnie tym przemówieniem pragnę was zachęcić, abyście starali się jak najgorliwiej wzrastać w wiedzy, cnocie i świętości. Gdybyście w tej chwili wszyscy byli już księżmi, dla wszystkich, jako takich miałbym pracę. Tak, ile was tu jest, tylu mi potrzeba dyrektorów dla nowych domów, a wtedy dopiero okazałoby się, ile dobrego jesteśmy w stanie zdziałać z pomocą Bożą. Aha, słusznie... Tak wy wszyscy jesteście małymi dyrektorami, bo umiecie kierować swymi skłonnościami i zachciankami, pełniąc wzorowo swoje obowiązki. Więc starajcie się i nadal tak postępować. A jeśli by, kto przypadkowo nie dorósł jeszcze do tego urzędu, niechże od dziś zabierze się do pracy nad sobą, a pewien jestem, że z błogosławieństwem Matki Najświętszej, w przyszłości będziecie mogli zdziałać wszyscy wiele dobrego”.

A teraz podamy krótką historię początków naszych zakładów najpierw w Bordighera, a potem w Nizza.

Nazwa Bordighera nie jest tu właściwa. Odtąd używać będziemy nazwy Vallecrosia. W granicach, bowiem tej miejscowości powstało nasze dzieło salezjańskie.

„Valle Crosia” nazywała się szeroka równina rozciągająca się między Bordighera a Ventimiglia. Piękne położenie, łagodny klimat, łatwy dostęp, od czasu wybudowania tam linii kolejowej, zwabiły do niej tak Włochów jak i obcych, którzy wybudowali tam sobie wille i pałacyki, także powstała zupełnie nowa osada. Przy całym tym rozmachu budowlanym zapomniano o kościele i o szkole. Skorzystali z tego protestanci. Jakiś nieszczęśliwy ex – ksiądz zaprosił Waldensów, którzy nie dali na siebie czekać. Za pieniądze Towarzystwa Biblijnego w Londynie, wybudowali bardzo szybko zbór, ochronkę i uruchomili szkoły dla chłopców i dziewcząt z internatem. Tamtejszy biskup monsignore Wawrzyniec Biale, nie zasypał gruszek w popiele. Jako gorliwy pasterz spostrzegłszy się o inwazji protestanckiej, nie dawał sobie spokoju. Oglądał się za nauczycielami katolickimi, prosił o pomoc na wszystkie strony, zwrócił się nawet z apelem do Rzymu.

Ojciec św. osobnym brewem pochwalił jego gorliwość i nie odmówił swojej pomocy.

Ale jakżeż biedny biskup włoski mógłby wytrzymać konkurencję ze złotem płynącym z zagranicy? Wezwał więc do Ventimiglia dyrektora z Alassio księdza Cerrutiego i tak się odezwał ze łzami w oczach: „Drogi księżu Cerruti, niechże ksiądz powie Księdzu Bosko, by mnie nie opuszczał. Jestem stary, mam ponad dziewięćdziesiąt lat. Bardzo mało mam księży. W seminarium jest zaledwie dziesięciu kleryków. A oto u bramy mego domu, przed moimi oczyma Waldensi urządzają wprost rzeź dusz. Odejmę sobie chleb od ust tak, aby jakoś temu zaradzić. Ale nie dam rady. Koniecznie potrzebuje pomocy Księdza Bosko i to jak najprędzej.

Wzruszony do głębi ks. Cerruti, bez chwili wahania, pojechał do Księdza Bosko i przedstawił mu sytuację. Wracaj do Ventimiglia – odrzekł Ksiądz Bosko – i powiedz Ekscelencji, że od tej chwili jesteśmy do jego dyspozycji.

Usłyszawszy to biskup z ust księdza Cerrutiego, zawołał ze łzami w oczach: „Panie Boże, dziękuję ci, teraz już umrę spokojnie”. I rzeczywiście umarł niedługo potem, ale przecież mógł zobaczyć, że sprawa wzięła dobry obrót.

Kiedy Święty przybył do Ventimiglia, nie było żadnych trudności w ułożeniu spraw ze czcigodnym i dostojnym biskupem. Z Waldenesmi miał on już z dawien dawna do czynienia, a monsignore zaufał mu ślepo, pewien, że tylko on, Ksiądz Bosko jest w stanie powstrzymać inwazję heretycką. Choć biskup wiedział, że Ksiądz Bosko nie dysponuje kapitałami, to przecież nie wątpił, że Opatrzność otworzy dla niego swoje skarbcze.

A oto główne punkty porozumienia. Salezjanie zajmą się chłopcami i dziewczętami, Ekscelencja będzie wpłacał rocznie na nauczycieli 700 lir i te zabezpieczy także w swoim testamencie. Również będzie opłacał czynsz dzierżawny za wynajęte budynki i zaopatrzy je w potrzebne meble. Tu biskup zapytał, czy one koniecznie muszą być nowe? A Ksiądz Bosko na to: Byle tylko krzesła nie

rozsypanywały się pod siedzącymi, a stoły miały wszystkie nogi, ławki zaś nie chwiały się, by na nich można pisać to na razie wystarczy. Biskupowi zaimponowała ta wyrozumiałość Świętego.

Ze swej strony podarował jeszcze teren pod kościół i szkołę i przyrzekł polecić to dzieło osobnym listem pasterskim zwróconym do całej diecezji. Obecny przy tych pertraktacjach był kanonik Emil Viale, wikariusz generalny i wykonawca testamentu biskupa, bardzo życzliwy dla salezjanów. Ten całkowicie uspokoił Księdza Bosko, oświadczając mu życzliwie: „Ja bardzo dobrze rozumiem intencje naszego arcypasterza”.

List pasterski odczytany został we wszystkich kościołach dnia 8 grudnia, a poza tym Ksiądz Bosko rozesłał jego kopie po różnych swoich dobrodziejach; wysłano go także do Rzymu, aby tamtejsze Kongregacje zapoznały się z nowym dziełem Księdza Bosko. List ten złożony był przez niego samego, ale wikariuszowi generalnemu wydawał się zbyt zwięzły i rozszerzył go, zawiadamiając o tym autora następującymi słowami:

„Zachowałem myśli, a rzecz można także i słowa; ale przecież koniecznie trzeba było rozgrzeszyć; na ogół tutaj podobał się wszystkim. Jeśliby coś Waszej Przewielebności nie odpowiadało, niech mi wybaczy, doceniając moją najlepszą wolę, i niech przy tym pamięta, że mnie tysiąca mil brakuje do tego, by mieć ducha Księdza Bosko”.

Radzono Księdzu Bosko, ażeby żądał od młodzieży szkolnej chesnego, ale on obstawał, by szkoły były gratisowe. Urządzono je w wynajętym budynku, na piętrze, podczas gdy kaplica otwarta została na parterze. Na Boże Narodzenie było już wszystko gotowe. Trzeba było pomyśleć o personelu, którego na początku roku 1876 Ksiądz Bosko jeszcze nie miał gotowego. A oto nadchodzi list od biskupa, który nalega, żeby koniecznie rozpocząć w uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej. Wtedy Ksiądz Bosko uciął krótko wyznaczając otwarcie placówki na dzień 10 lutego. A oto jak odbywało się wyznaczanie personelu:

We środę, 26 stycznia, Ksiądz Bosko po obiedzie zwrócił się do księdza Rua, do księdza Cibrario i do księdza Barberisa i powiedział im:

„Trzeba się spieszyć. Biskup z Ventimiglia nalega, niech więc siostry i ks. Cibrario się przygotowują. Wyjazd nastąpi 10 lutego. Ty księżo Cibrario weźmiesz ze sobą kleryka Cerruti.

Kleryk ten, tęgiego wzrostu, już raczej starszy, bardzo pragnął jak najprędzej ukończyć studia i zostać kapłanem; przy tym był bardzo posłuszny. Ksiądz Bosko zwrócił się do magistra nowicjuszy, księdza Barberisa i takie dał zlecenie:

„Zawołasz Cerrutiego do siebie i powiesz mu: Prosiłeś Księdza Bosko, ażeby ze względu na twój wiek skrócił ci czas studiów, byś mógł jak najprędzej pomagać Zgromadzeniu w pracy, której jest tak wiele. Ksiądz Bosko wziął to pod uwagę, a przy tym licząc na twoje szerokie barki i zdolności w załatwianiu spraw, chce dać sposobność do pracy. To powiedziawszy odeślesz go do księdza Cibrario, ażeby ten

mu wytłumaczył, o co chodzi. Nie wykluczono, że ja sam przyjadę na otwarcie tego domu. Zatem, księżę Cibrario, wybieramy się?”

Ale przecież ja nie wiem, co w ogóle tam mam robić.

Masz rację, bo ja też nie wiem, co tam jest do roboty, ale nie obawiaj się, pracy nie zabraknie. Na razie podczas tygodnia niewiele będziesz miał do pracy. Szkołę dla dziewcząt poprowadzą Ssostry, chłopców uczył będzie Cerruti, a ty będziesz nad tym czuwał, ale za to w soboty i niedziele będziesz zagoniony. W sobotę wypadnie wypowiadać siostry, wszystkich chłopców i dziewczęta; w niedzielę od samego rana trzeba będzie siedzieć w konfesjonale, a potem Msza św. z kazaniem. Po obiedzie katechizm dla starszych i kazanie, jeśli siły ci wystarczą. Wreszcie błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem. Nieszpory można na razie opuścić, gdyż w Ligurii nie ma tego zwyczaju, ale powoli postaraj się je zaprowadzić. Jest to bardzo piękne nabożeństwo. Biskup chciał zaraz erygować nową parafię, ale uważam, że to skomplikowałoby sprawę i na razie lepiej to odłożyć. Trzeba by zaraz pomyśleć o księgach metrykalnych, o urządzeniu kancelarii, o księgowości i innych z tym związanych „imbrocii” /kłopotach/. Jak się wybuduje wielki kościół, to wtedy pomyślimy o parafii. I tak sieć kolegiów obejmujących zachodnią Riwierę, będzie kompletna. Skończył Ksiądz Bosko. A ks. Barberis zauważył, że groźniejszy ośrodek protestantyzmu jest w San Remo, dokąd zjeżdża bardzo dużo cudzoziemców. A na to mu Święty:

„W tym wypadku należy postąpić, jak postępował Hannibal, który by ocalić Kartaginę, wojnę przeniósł do Włoch; a Scypion, by ocalić Rzym, popłynął pod Kartaginę. Do San Remo należy podchodzić powoli udając, że chodzi nam głównie o Bordighera, a w rzeczywistości będziemy mieć na oku San Remo. Bordighera na razie wstrzyma napór protestantyzmu w tę stronę. Z biegiem czasu ulokujemy się i w San Remo... A co dotyczy ksiązek, które mogłyby ci być pomocne, rzekł zwracając się do księdza Cibrario, to najbardziej wskazaną była by ta pod tytułem: Protestantyzm a reguła wiary, Ferrena i tegoż autora: Waldensi.

Odjazd nastąpił o pół do drugiej po południu, 9 lutego. Odjeżdżających było nie dwóch a trzech, gdyż dodano jeszcze jednego koadiutora. Na pożegnanie odezwał się Ksiądz Bosko do księdza Cibrario: „Zapewniam cię, że nie zawsze pozostaniesz w Bordighera; na razie idź i otwieraj tam naszą nową placówkę; potem zabierz się do budowy kościoła i do zorganizowania parafii”.

Cerruti uchodził za kleryka i takim był rzeczywiście, wypróbowanej cnoty, podziwu godnej cierpliwości i o zdrowym kryterium praktycznym. Parę dni przed swym wyjazdem pisał do Księdza Bosko: „Jestem już starszy i przykro mi, że nie nadaję się, do czego innego, jak tylko do wygrzewania ławek w szkole i w niczym nie mogę być pomocny, a jestem tylko ciężarem. Ale mam nadzieję, że przecież nadejdzie czas, iż będę mógł Księdzu Bosko okazać swą wdzięczność, pracując z całym zapalem na większą chwałę Bożą i dla zbawienia dusz”.

Z księdzem Cibrario i klerykiem Cerruti jechał do Vallecrosia niejaki Kartino, zacny młodzieniec liczący ponad dwadzieścia lat. Zapytany, czy chętnie tam jedzie,

odpowiedział: „Cóż ja tu mam do gadania, czy chętnie, czy niechętnie? Jeśli mnie poślą, chętnie jadę, jeśli mnie nie poślą chętnie zostanę tu gdzie jestem”.

Nowi przybysze do Vallecrosia nie potrzebowali wiele czasu na zorientowanie się w sytuacji i bezpośrednio brali się do roboty. W następną niedzielę po ich przybyciu, została poświęcona kaplica i zaraz w niej rozpoczęła się nauka katechizmu. Na pierwszej lekcji było 29 chłopców i 45 dziewcząt. Otóż to Oratorium stało się ruiną dla protestantów, gdyż pociągało do siebie i małych, i wielkich. Znaczna też była frekwencja do katolickiej szkoły. Oto, jak ją opisał jeden ze sekciarzy: „Niech sobie czytelnik wystawi zapadłą, poniżej poziomu ulicy szopę, wilgotną, zgryzioną przez grzyb, pozbawioną światła i powietrza, a będzie miał pojęcie o lokalu, przeznaczonym przez Księdza Bosko na szkołę we Villacrosia... Myślał ten, który dobrze to zapamiętał, że tym zaszkodzi salezjanom, a przeciwnie to stało się bodźcem ażeby wszyscy pospieszyli im z wydatną pomocą w budowie odpowiednich lokali.

Faktem jest, że po Wielkiej Nocy zbór i szkoły protestanckie świeciły już pustką. Błogosławieństwo Piusa VII, który tędy przejeżdżał, wracając z Fontainebleau, przynosiło swoje owoce.

Rok 1875 jest rokiem, w którym, jak to później określono w obecności księdza Rua, Bóg dał Francji Księdza Bosko. Nizza Marittima miała wprawdzie kolegia dla zamożniejszej młodzieży, ale nie miała sierocińców. Członkowie Konferencji św. Wincentego, ludzie gorliwi i przedsiębiorczy, postanowili temu zaradzić. Dwóch z nich: adwokat Michel, prezes Konferencji i baron Heraud porozumiewając się ze swymi kolegami, zwrócili się w tej sprawie do Księdza Bosko, któremu ich projekt się spodobał. Także biskup Piotr Sola z Nizza Marittima był z ich inicjatywy wielce zadowolony. I zaraz tu dodamy, że nawet pewien bogaty Żyd Istel, zetknąwszy się z Księdzem Bosko, ujęty został jego sposobem obejścia i hojną ręką wspierał jego poczynania w tej miejscowości. Adwokat Michel był to człowiek bardzo inteligentny, gorliwy chrześcijanin, jeden z największych dobrodziejów francuskich naszego Zgromadzenia. Poznał Księdza Bosko w czasie swoich studiów na uniwersytecie turyńskim. Jego to zabiegom zawdzięczamy otwarcie, 21 listopada 1875 roku, pierwszego domu salezjańskiego we Francji.

Miał on podobne początki jak i ten we Villacrosia. Lokal na razie był wynajęty, a za podwórze miało służyć 300 metrów kwadratowych, odciętych z ogrodów biskupa. Otóż do tego domu wynajętego, 9 listopada, sine baculo et sine pera, przybyło dwóch księży, jeden kleryk i jeden koadiutor. Ks. Rua często wspominał o pierwotnym ubóstwie tej placówki, kiedy to podczas jego wizyty, gdy wszyscy chcieli usiąść, trzeba było z łóżek zdjąć materace, ażeby było gdzie się rozgościć. A gdy ktoś musiał wyjść po jakiś przedmiot do innego pokoju, zabierając ze sobą lampę, to reszta musiała pozostać w ciemnościach, gdyż więcej lamp nie było. Ale takie domy – kończył ks. Rua swe uwagi – cieszą się szczególniejszym błogosławieństwem Bożym.

Trzeba było wielkiego taktu ze strony Księdza Bosko jak i jego salezjanów, aby nie drażnić uczuć narodowych tamtejszych mieszkańców. Ostrożność była tym

bardziej konieczna, że istniało tam stronnictwo polityczne, agitujące za przyłączeniem Nizy do Włoch.

Wybrany, więc został na dyrektora ks. Józef Ronchail, urodzony w Usseaux, niedaleko Pinerole, tuż na granicy francuskiej. Nie tylko miał on nazwisko francuskie, ale również bardzo biegle mówił tym językiem. Dostyc charakterystyczne są okoliczności, w jakich zetknął się po raz pierwszy ze Świętym. Otóż pewnego dnia, kiedy Ksiądz Bosko bawił w Usseaux, dwaj tamtejsi seminarzyści, bawiący tam na wakacjach, idąc go odwiedzić, prawie siłą wzięli ze sobą swego towarzysza Ronchaila. Kiedy stanęli przed Księdzem Bosko, ten utkwiał w mimowolnego gościa swój wzrok i biorąc go za rękę, rzekł z uśmiechem do przybyłych: „Oto ptaszek, którego by trzeba zamknąć w klatce”. Niespodziewane te słowa zrobiły wielkie wrażenie na kleryku i stały się zaczynem jego powołania.

Ze współbraci, którzy towarzyszyli dyrektorowi, księdzu Ronchail, dwu mogło uczyć w szkole podstawowej, gdyż umieli wyśmienicie po francusku.

Już wiemy z przemówienia Księdza Bosko, z jak serdecznym spotkali się przyjęciem. On sam zjawił się w Nizza, kilka dni potem 20 listopada i tak stamtąd pisał do księdza Rua:

Carissimo Don Rua!

Tu już praca rozpoczęła się. Możesz, więc powiedzieć Rabagliattiemu, żeby przyjeżdżał jak najprędzej, zabierając ze sobą owych chłopców z Algieru, przysłanych nam przez monsignora Lavigarie. Ci mogą zabrać ze sobą i to swoje ubrania afrykańskie, które tu nie będą robić większego wrażenia. Rabagliatti niech nie bierze ze sobą nic innego, jak tylko to, co mu potrzebne do muzyki i swoją osobistą wyprawę. Tu będzie miał do dyspozycji i pianino, i harmonię. Niech się postara zdążyć na najbliższą niedzielę, gdyż w tym dniu będzie pierwsza Msza św. ku czci św. Piotra. Jeśli by nie zdążył na niedzielę, to może zatrzymać się w Allasio, dokąd i ja przyjadę. Zwróć uwagę, ażeby nie brali ze sobą większych pakunków, ale tylko bagaż ręczny. W ten sposób unikną trudności, jakie mogliby mieć przy rewizji na granicy we Ventomiglia. Wszyscy odnoszą się tu do nas z wielką życzliwością i oddaniem. Prośmy Boga, by nam dalej błogosławił na tej nowej placówce. Pojutrze wybieram się do Ventimiglia. Niech nas Bóg błogosławi itd.

20 dni później mógł Święty powiedzieć na Kapitulę: „W Nizy nasz przyjazd wywołał prawdziwy entuzjazm. Do wzbudzenia sympatii względem Księdza Bosko przyczyniła się jego bezinteresowność. Kiedy była mowa o pensji dla nauczycieli i ofiarowano dla nich 800 franków, on oświadczył, że jeśli chodzi o utrzymanie jego personelu, to wystarczy połowa”. Ostatecznie stanęło na 450 frankach. Taka bezinteresowność wywołała wielkie zainteresowanie w mieście i wiele pochwał, a biskup wyraził się: „Teraz rozumiem, dlaczego Ksiądz Bosko jest tak wszędzie poszukiwany. Tym stylem pociągnie on na pewno za sobą cały świat”.

Oczywiście ta skromna kwota mogła wystarczyć na utrzymanie salezjanów przywykłych do prostego wikt, ale jeśli chodzi o rozbudowę, to trzeba było pomyśleć o poważniejszych sumach. Przy tych pertraktacjach biskup wspominał, że już z kilkoma zakonami omawiał sprawę opieki nad młodzieżą opuszczoną, ale zawsze na pierwszym miejscu spotykał się z żądaniem poważnych stypendiów na utrzymanie personelu, o wiele wyższych od tego, co zaproponowano w pierwszej chwili salezjanom. A któryś z panów obecnych przy tej rozmowie zauważył: „Wnet by się trzeba obawiać, żeby ci salezjanie nie pomarli z głodu”.

„O to nie ma obawy – odpowiedział Ksiądz Bosko. Nie umrą oni z głodu, bo wiem dobrze, w jakim pozostawiam ich otoczeniu. W razie potrzeby, to pójdą do panów, zapukają do ich drzwi i poproszą o pomoc. Jestem w stu procentach pewny, że panowie nie odprawicie ich z niczym.

Skończyła się rozmowa na tym, że obecni tam obywatele wpłacili zaraz sumę pierwotnie proponowaną 800 franków przeznaczając jej połowę, jako ofiarę na ogólne potrzeby domu.

Placówka urzędowo otwarta została 21 w niedzielę, a za tydzień uruchomiono również Oratorium świąteczne pod wezwaniem świętego Piotra, stosownie do imienia biskupa. Odprawił on Mszę św. w skromnej kaplicy świeżo utworzonej, przy udziale licznych wybitniejszych obywateli. Miejskowy dziennik la Semaine de Nice tak pisał na ten temat: „Mieliśmy wielkie szczęście gościć w naszym mieście w tym tygodniu Czcigodnego Księdza Bosko z Turynu, apostoła młodzieży opuszczonej, pokornego Męża Bożego, godnego podziwu w swych dziełach. Przybył do Nizy, aby tu zainstalować trzech swoich pracowników i uruchomić placówkę, tak jak On to tylko potrafi robić, opartą wyłącznie na pomocy Opatrzności Bożej”.

Patronat św. Piotra rozwijał się rzeczywiście bujnie, wsparty błogosławieństwem Wikariusza Jezusa Chrystusa, o które poprosił ks. Cagliero, będąc w Rzymie. Wtedy Pius IX wyraził się: „Niechże Bóg błogosławi te poczynania i niech dom w Nizy będzie owym ziarnkiem gorczycznym, które wyrośnie na wielkie drzewo, na którym by wiele ptasząt mogło znaleźć schronienie na jego gałęziach, a niech trzyma od niego z dala duch zła”.

I trzeba przyznać, że ducha zła nie był zdolny powstrzymać rozwoju dzieł Księdza Bosko po całej Francji, nawet w momentach największego nasilenia walki przeciwko zakonom. A to pierwsze listy, jakie ze swoimi wskazówkami przesłał Ksiądz Bosko pierwszemu dyrektorowi po powrocie do Turynu:

Carissimo Don Ronchail!

Dzienniki narobiły wielkiego szumu około naszego domu w Nizy. Trzeba, więc dołożyć starań by wszystko tam rozwijało się pomyślnie. Pisz, więc jak najczęściej do mnie, informując o najdrobniejszych szczegółach i o życzeniach tak jednych jak i drugich. Pozdrowisz ode mnie księcia Sanguszko i księżnę jego matkę, zapewniając ich, że w szczególniejszy sposób modlimy się w ich intencji. Moc

pozdrowień dla adwokata Michel, od którego czekam długiego listu i dla barona Heraud i dla hrabstwa de la Perte i innych, z którymi będziesz miał okazję mówić.

Jeśli będziesz miał więcej intencji mszalnych, niż sami zdołacie odprawić, to prześlij je do nas, a odprawimy je na korzyść waszego zakładu. Nie przechowuj u siebie większych sum pieniężnych; ale raczej prześlij je księdzu Rua. Wykorzystamy je na kupno rzeczy wam potrzebnych. W razie zaś, gdybyś się znalazł niespodziewanie w większych opałach finansowych, pisz a poratujemy cię. Zapisuj sobie zawsze nazwiska tych, co ci przysyłają ofiary, podziękuj im i nadal utrzymuj z nimi kontakt choćby listowny, zwłaszcza, jeśli by zachorowali.

Przypuszczam, że biskup Sola widział dziennik genueński Cittadino: chciałbym to wiedzieć, by w razie, czego dosłać mu numery, w których jest o nim wzmianka. Załączone bileciki rozdaj interesantom... Wszyscy was tu pozdrawiają i cieszą się bardzo z powodu nowo otwartych domów w Nizza, Ventimiglia i w Argentynie. Kochaj mnie zawsze i módl się za mnie itd.

Turyń, 10 grudnia.

A oto drugi list do tego samego dyrektora:

Dobrze będzie, jeśli zwrócisz uwagę na tych, co by się nadawali do naszego Zgromadzenia i zjednaj ich sobie.

Rozmawiaj często z klerykami czy koadiutorami, owszem bierz ich od czasu do czasu, gdy idziesz załatwiać sprawy na miasto ze sobą. Wypytuj często, czy mają jakieś przykrości i odnoś się do nich z wielką życzliwością.

Co dotyczy owego Algierczyka, co nie chce przystępować do sakramentów świętych, to będzie dobrze pozwolić mu pójść do innego kościoła, albo lepiej zaprosz od czasu do czasu obcego spowiednika do naszego kościoła. Tym ludzkim słabością nie ma się, co dziwić i trzeba je wyrozumieć. Zapraszaj sobie często do pomocy w spowiedziach, czy innych nabożeństwach księży zewnątrz.

Miej staranie o swoje zdrowie, jak i współbraci...

Jak widzimy z tych i z innych listów, są one pisane stylem bardzo rodzinnym, tak ukochanym przez Świętego i w takim też stylu jego synowie duchowi pisali do niego, wynurzając mu swe serce, jako swemu ojcu.

R O Z D Z I A Ł X I X

APOSTOLSTWO PRZEZ PRASĘ

Szerzenie dobrej, a zwalczanie złej prasy uważał Ksiądz Bosko za jedno z głównych zadań swego życia. Tym intensywniejsze stawały się jego wysiłki ku temu, iż w miarę rozwoju jego dzieł, rosły i potrzebne do tego zasoby.

Na pierwszym miejscu interesowały go teksty szkolne. I tak nie tylko zajął się wydawnictwem pisarzy włoskich, jak i odpowiednich wyjątków dla młodzieży z dzieł klasyków łacińskich przedchrześcijańskich, ale postanowił uprzystępnić jej również pisma autorów kościelnych, rozpoczynając od świętego Hieronima: *De viris illustribus*. W przedmowie podkreślił, iż pisma te w niczym nie ustępują, co do stylu utworom klasycznym, a przewyższają je treścią i swą wartością moralną. Wydawnictwem tym kierował z jego polecenia ksiądz Tamietti. Było ono wielce na czasie, gdyż właśnie w owych latach toczyła się żywa dyskusja na temat ustosunkowania się do autorów pogańskich i chrześcijańskich w szkołach. W tej sprawie zabrał głos także Ojciec święty w swoim breve z dnia 22 kwietnia 1874 roku, w którym podkreślił wartość i piękno łaciny chrześcijańskiej i zalecał wprowadzenie do szkół na równi z łaciną pogańską, czyli klasyczną.

Jak Księdzu Bosko zależało, aby ta prasa szła i to nie krokiem ślimaka, świadczy poniższy list:

Don Tamietti carissimo!

Powinien bym wziąć Cię za czuprynę i porządnie zbesztać, by przyspieszyć twoją pracę. Twoje opóźnienie wprowadza zamieszanie w drukarni i wszystkich denerwuje. Porozumiej się, zatem z twoim dyrektorem i przyjeżdżaj koniecznie w środę rano z rzeczą już gotową. Ostatecznie będziesz mógł wrócić w piątek wieczorem, jeśli twa dostojna osoba jest tam niezastąpiona.

Tutaj mając pieniądze i wszystko, co potrzebne do dyspozycji, ufam, że będziesz mógł nareszcie puścić to na maszynę i tak wielkie twoje dzieło ujrzy światło dzienne. Kochaj mnie w Chrystusie Panu itd. Książka ta wyszła na początku roku szkolnego 1875 na 1876.

Nie mniej od wydawnictw literackich leżały Księdzu Bosko na sercu książki historyczne. Sam zaczął pracować nad Historią kościelną, aby przeciwdziałać przekręceniu różnych faktów przez sekciarzy i historyków liberalnych. Brak czasu jednak nie pozwolił mu jej wykończyć, a manuskrypt powoli się zagubił.

Bardzo również chodziło mu o odpowiedni podręcznik historii Włoch dla szkół, przy wykładaniu, której najwięcej ubliżano Stolicy świętej. Do napisania *Compendio della storia d'Italia/* Skrót historii Włoch / nakłonił profesora Antoniego Terreno. Obejmował ten podręcznik Dzieje Rzymu, wieki średnie i nowożytne. O tej książce pisała *la Civiltà Cattolica*, że jest to podręcznik historii jeden z najlepszych, ujęty systematycznie. Napisany przystępnie, a co do zagadnień kościelnych, nie można mu nic zarzucić. I tak było rzeczywiście: stale nad tym czuwał Ksiądz Bosko.

Pragnął on jeszcze wydać historię powszechną wszystkich państw ujętą popularnie, która byłaby wydawana broszurkami. Według tego projektu wyszły jednak tylko dwie broszurki napisane przez księdza Berberisa.

Za to w większej liczbie pokazały się tomiki Żywotów sławnych mężów, jak Krzysztofa Kolumba, Fernando Cortem, Bartłomieja Las Casas, a nawet Lutra i Alvina, napisane przez księdza Lamoyne. Robiły one wtedy dużo dobrego wśród ludu.

Zwrócił też Ksiądz Bosko uwagę na słowniki, gdzie wyjaśnienia przy niektórych wyrazach mogły wzbudzać niezdrowe zainteresowania u młodzieży. Wydrukowanie było już wielce ułatwione od chwili, gdy Oratorium uruchomiło własną drukarnię. Toteż ułożenie słownika łacińskiego w dwóch ujęciach: jedno mniejsze dla szkół, drugie więcej naukowe, zlecił księdzu Durando. Grecki słownik opracować miał ks. Pacchenino, ks. Cerruti zaś włoski. Miała wyjść także Encyklopedia geograficzno - historyczna, skompilowana przez księdza Barberisa. Ale to nie doszło do skutku. Za to wyżej wspomniane słowniki doczekały się bardzo wiele wydań i po dziś dzień są bardzo aktualne. Jak już wiemy słownik łaciński i polecenia Księdz Bosko, ks. Durando osobiście złożył w hołdzie Piusowi IX.

Tu nasuwa się pytanie, skąd Ksiądz Bosko brał tylu pisarzy, naukowców i lingwistów do podejmowania się takich dzieł? Odpowiedź prosta: ze swego najbliższego otoczenia. Znał on bardzo dobrze swych współpracowników i stosownie do ich uzdolnień i przygotowania umiał ich zapalić do pracy. Sam im przy tym doradzał, wskazywał dzieła pomocnicze i źródła naukowe.

A oto jeden z listów, który naświetli nam lepiej ten styl współpracy wydawniczej:

Caro Don Bonetti!

Trzeba, abyś swym twym okiem rysia i swą wnikliwą inteligencją przejrzał załączony manuskrypt, zanim pójdzie do druku. Kładę to na twoją odpowiedzialność. Postaraj nie tylko wygładzić styl, ale ewentualnie i treść poszerzyć, względnie poprawić, co by było do poprawienia. Chyba mnie rozumiesz? Niech nas Bóg wszystkich błogosławi. Sta molto allegro e prega per tuo povaro, ma is Genu Christo sempre tuo affezionatissimo amico sacerdote Gio. Bosko

W książkach pisanych przez jego synów duchowych nie życzył sobie, ażeby podpisywali się: salezjanin, jak to uczynił ks. Cerruti na jednej broszurce, podpisując

się: „D. Cerruti sacerdote della Congregazione Salesiana”, w czym naśladowali go i inni. Uważał to za pewnego rodzaju chępliwość, która mogła zrobić niedobre wrażenie na wielu. Takie więc dał polecenie ks. Rua: Lepiej tego zaniechać. Można dodać „sacerdote”, owszem, a nawet „dyrektor danego kolegium”; ale samo słowo „salezjanin”, może spowodować pewne uprzedzenie do nas, bo będą mówić: och, teraz, jak inne zakony i zgromadzenia ledwie zipią, to ci podnoszą głowę i chcą zaimponować. Dobrze jest uwypuklać rzeczy takie, które nam jedną życzliwość w społeczeństwie, które budzą powołania, zachęcają do działalności dla dobra Kościoła. Owszem, to drukujmy, rozgłaszajmy, ale jeśli nie mają tego celu wyraźnego czynienia dobrze, to zaniechajmy tego.

Inny jeszcze dział wydawnictw leżał bardzo Księdzu Bosko na sercu, a mianowicie hagiografia. Pragnął, aby po jego zakładach czytano takie właśnie książki. Te zaś *Vite dei Santi*, jakie znał, nie odpowiadały jego zapatrywaniom w tym względzie. Choć pisane przez autorów z najlepszą wolą, rozvodziły się zbyt znacznie nad niektórymi szczegółami, które mogły ujemnie wpływać na młodzież budząc w niej myśli płochy i złośliwe. Nie podobało mu się też, iż życiorysy owe kładły głównie nacisk na ostre pokuty i zdarzenia nadzwyczajne u Świętych, z pominięciem ich nabożeństwa do Najświętszego Sakramentu i do Niepokalanej Dziewicy, nie uwzględniały ich świętości, na co dzień, ani nie uwypuklały, jakimi środkami zwalczali swe wady i jak starali się serce ozdobić cnotą. Postanowił wtedy przystąpić do wydania żywotów według swego sposobu patrzenia na te sprawy.

Wciągnął do tej pracy także osoby z poza Zgromadzenia, jak hrabiego di Viancino i doktora Gribaudo, który ze swą pracą doszedł prawie do końca lutego, ale dalej nie czuł się już na siłach i na tym praca utknęła.

Swoim salezjanom polecił opracować Żywot św. Franciszka Salezego, jeden dla młodzieży, drugi obszerniejszy dla inteligencji, w którym by podkreślonym było głównie, jakie wskazówki ten święty Doktor dawał osobom chcącym żyć pobożnie w świecie. Pomyślał również o wydaniu *Filotei* dostosowanej dla młodzieży. Nie zawahał się nawet przed tak śmiałym przedsięwzięciem, jakim by było wydanie wszystkich pism tego Świętego, jak i świeże przedrukowanie Bollandystów. Dowód to jeden więcej, jak wielką wagę przypisywał Żywotom Świętych, jak szerokie było jego spojrzenie na ówczesne potrzeby ogółu wiernych. Oto, co mówił na ten temat w styczniu 1876 roku do tych, co trochę kiwali głowami nad podobnym zamiarem:

„Bardzo pragnąłbym wznowić przedruk Bollandystów. Ale widzę przecinek, że niektórzy uśmiechają się na ten projekt za moimi plecami, zdając sobie sprawę z wielkich kosztów, jakie by to przedsięwzięcie pociągnęło za sobą, wobec których nawet największe wydawnicze firmy z biedą by się czegoś podobnego podjęły, nawet przy pomocy funduszków państwowych. Ja zaś twierdzę, iż mając do dyspozycji, jakies 12 tysięcy lir, podjąłbym się tego wydawnictwa i jeszcze bym na nim zarobił.

W prawdzie nie mógłbym powiedzieć, jako by zupełnie nie mieli słuszności, ci, co uśmiechają się, słysząc o tym zamiarze, bo rzeczywiście tyle mam zajęć

w głowie, że podejmując się takiej inicjatywy, musiałbym tylu innych ważnych spraw zaniedbać. Ale rzecz sama w sobie jest do przeprowadzenia. Poszedłbym do Ojca świętego po błogosławieństwo, zwróciłbym się do wszystkich biskupów o pisma polecające, wszedłbym w kontakt ze wszystkimi księgarniami we Włoszech, jak i z ważniejszymi w Europie, rozesłałbym agentów na wszystkie strony, a to na pewno odniosłoby pożądaną skuteczną. Przy tym ogłosiłoby się, że kto zaabonuje całość wydawnictwa, to otrzyma to dzieło za połowę ceny, jaka byłaby do płacenia po ukazaniu się wszystkich tomów. W ten sposób wpłaty otrzymane przy pierwszym tomie, ułatwiłyby wydanie następnych. Oczywiście nie wygalibyśmy wpłaty całkowitej sumy, ale tylko za poszczególne tomy, w miarę ich ukazywania się.

Teraz całość kosztuje dwa tysiące lir, a ja czułbym się na siłach wydrukować ją za 600, z czego jeszcze połowę miałbym czystego zysku. Gdy myślę o tym, czuję się w swoim żywiole. No tak, ale trzeba by zawrzeć kontrakt ze śmiercią, ażeby nie popsuła nam szyków. Wszak byłoby to coś 60 tomów, jeden na rok. Wątpię więc, czy śmierć tak długo chciałaby czekać”.

Interesował się również Ksiądz Bosko podręcznikami do filozofii i teologii. Praktyczny na wskroś jego umysł nie lubił długich dysertacji i wywodów, ale raczej chciał, by takie podręczniki były zwięzłe, przystępne jak i ścisłe w stawianiu poszczególnych kwestii. Zależało mu na tym i z tego względu, iż skrócony dla wielu z jego kleryków kurs szkoły średniej. Jak i potem uboczne ich zajęcia w czasie studiów teologicznych, wymagały podobnego podejścia do tych przedmiotów. Napisaniem podobnych podręczników zainteresował księdza Bertello, który wprawdzie przyrzekł, że to zrobi, ale słowa nie dotrzymał.

Wielce popierane były przez niego i wydawnictwa muzyczne, które uwzględniały potrzeby kultu i działań rozrywkowych. A kładł nacisk, aby to była muzyka łatwa, a pociągająca. Doskonale zrozumiał jego myśl ks. Cagliero i urzeczywistnił ją ponad wszelkie nadzieje. Wydawnictwa muzyczne salezjańskie w owych czasach, jak zresztą i po dziś dzień, mogą rywalizować z największymi firmami o tym samym charakterze.

Dla prowadzenia takiego apostołstwa pracy potrzeba było dwóch rzeczy: niskiej ceny i wielkiego nakładu. Tak długo Ksiądz Bosko nie mógł decydować o cenie, dopóki nie miał własnej drukarni. To też rozpoczął wcześniej od jednej bardzo skromnej maszyny, ale w roku 1875 było ich już dziesięć i to tych najnowocześniejszych na owe lata. Otworzył też własną księgarnię, która śmiało konkurowała z innymi o wiele starszymi w mieście. Normą, jaką kierował się on, było: Zaczniemy od skromnej drukarni, potem będzie wielka drukarnia, a wreszcie będzie wiele drukarni. Przewidział on, to, co dzisiaj jest rzeczywistością, jaką rolę odgrywać będą w szerzeniu dobra drukarnie salezjańskie.

Ale szczególną troską na polu piśmiennictwa popularnego, otaczał Ksiądz Bosko swoje *Letture Cattoliche*, które w roku przez nas omawianym, liczyły sobie już

23 rok istnienia. Liczba abonentów sięgała 10 tysięcy, do których tak pisał z początkiem roku:

Ai nostri correspondenti od i benemeriti Latteri!

Cieszę się, że mogę wam zakomunikować, drodzy czytelnicy, że *Letture Cattoliche* i *Biblioteca dei Classici italiani*, tyle razy polecane Waszej życzliwości i na rok 1876 wychodzić będą regularnie. Owszem, możemy was zapewnić, że dołożymy wszelkich starań, ażeby tak, co do papieru, jak i treści, jak i dokładności przy wysyłce coraz bardziej wam dogodzić. Oczywiście, że potrzebujemy bardzo waszego poparcia w rozszerzaniu tych naszych pism i całego wydawnictwa. Wielu biskupów, arcybiskupów, nawet sam Ojciec święty pobłogosławili naszej inicjatywie i bardzo te tomiki zalecają, co też jest chlubnym świadectwem ich wartości. Bo też rzeczywiście *Letture Cattoliche* tylko walczą o triumf sprawy Bożej, a oczyszczone wydawnictwa klasyków włoskich przyczyniają się wielce do zdrowego wychowania naszej uczącej się młodzieży.

Niechże każdy z was weźmie pod uwagę, ile zła wyrządza przewrotna prasa, a ile wysiłków robią niektórzy, aby to zło szerzyć, a wtedy naturalnie przyjdzie wam refleksja: Jeżeli niegodziwe jednostki tyle zabiegają o szerzenie zepsucia, to czyż wartościowi katolicy nie powinni przynajmniej tyleżłożyć dla dobra naprawy Bożej? Niedawno temu jedna z osobistości wybitnych tak się wyraziła: „Co wydaje się na szerzenie dobrej prasy, to można porównać do jałmużny danej głodnemu”.

Ufni więc w Waszą współpracę, prosimy Boga, aby was obsypał swoimi łaskami, udzielił wam długiego szczęśliwego życia. Równocześnie mam zaszczyt kreślić się w imieniu całej redakcji zobowiązany sługa

Ksiądz Jan Bosko

Abonament dla stowarzyszonych wynosił rocznie 2,25 lir. Za tak niską cenę otrzymało się dwanaście tomików po 108 stron każdy, a do tego podarek na nowy rok, w formie kalendarza, który zwał się „*Galantuomo*”. Pierwszy to kalendarz, jaki wyszedł w Europie. Ksiądz Bosko rozpoczął jego wydawanie; aby przeciwdziałać kalendarzowi wydawanemu przez Waldensów. Kalendarz ten na rok – 1875, miał 96 stron, z czego 20 przeznaczonych było na dane kalendarzowe. W dalszym ciągu omawiał rocznice przypadające na rok 1875, jest to: setna rocznica wyboru Piusa VI, śmierci św. Pawła od Krzyża, druga setna rocznica od pierwszego poświęcenia się Najśłodszemu Sercu Pana Jezusa przez bł. Klaudiusza, trzecia setna rocznica od przeniesienia relikwii św. Męczenników Solutora, Adwentowa i Oktawiusza, czwarta rocznica męczeństwa chłopca włoskiego zamordowanego przez Żydów. Kończyło się 15 – setną rocznicą wyboru św. Sabina na biskupa Placancji, gdzie „*Galantuomo*” taką robi uwagę: Obyśmy mieli choć trochę tej wiary dzisiaj, jaka mieli nasi przodkowie. Potem następowały różne fackiki, ciekawostki, dowcipy, pouczenia praktyczne itd.

Nie brakowało i humoru, choćby przy takim opowiadaniu, jak to: ile kosztowała królowa w roku 1475 w Anglii; albo o tym księciu, co to utopił się w beczce małmazji.

Letture Cattoliche omawiały jubileusze w owym roku ogłoszone, święcenie niedzieli, używanie wody święconej, nabożeństwo do Najśłodszego Serca Jezusowego itd. Tomik, który dla nas z wielu względów jest szczególnie interesujący, to tomik napisany przez samego Księdza Bosko pod tytułem: *Maria Ausiliatrice, col racconto di alcunegrazio ottonute nel primo settenio della consacrazione della chiesa a Lei dedicata in Torino /Najświętsza Maryja Wspomożycielka i łaski przez nią udzielone w pierwszych siedmiu latach od konsekracji Jej kościoła w Turynie/*. Książeczka miała dwie części: pierwsza zawierała historię kościoła Najświętszej Wspomożycielki i opis jego konsekracji, a druga część 130 łask przypisywanych stawiennictwu Najświętszej Bożej Rodzicielki. Kończyła się uwagami dotyczącymi archikonfraternii nabożnych czcicieli Najświętszej Wspomożycielki.

W dwa lata później ukazało się drugie wydanie tejże książeczki. W roku tym, czyli 1877 wyszedł nowy zbiór świeżych łask pod tytułem: *La nuvoletta del Carmelo* wydrukowany w Sampierdarena za aprobatą Kurii Genueńskiej.

Kiedy ordynariusz turyński dostał do rąk tę „chmurkę karmelu” i odczytał sobie uważniej owe łaski z roku 1875, zaraz napisał bardzo stanowczy list do Księdza Bosko, w którym czytamy: „Podaje się do publicznej wiadomości zdarzenia, jakoby nadprzyrodzone, które miały miejsce w mojej diecezji, a które tym samym nakładają na Arcybiskupa obowiązek, o jakim mówi Sobór Trydencki na sesji 25 w rozdziale *De invocatione Sanctorum*. Proszę, zatem et quidem ufficialsente Przewielebność Waszą o poinformowanie mnie, czy te fakty oparte są na tak poważnych świadectwach, żeby je można poważnie traktować w mojej Kurii”.

A oto odpowiedź księdza Bosko:

Eccellenza Reverendissima!

W broszurce zatytułowanej *Maria Ausilistrice*, jaka wyszła z drukarni salezjańskiej w Turynie i w tej drugiej pod tytułem: *La nuvoletta del Carmelo*, opowiedziałem niektóre zdarzenia, jakie doszły do mej wiadomości, a które jako uzasadnione mogą przynieść korzyść duchową wiernych. Co dotyczy broszurki drukowanej w Sampierdarena zdałem się zupełnie na powagę imprimatur Kurii Genueńskiej; a także i ta drukowana w Turynie nie była publikowana przed uzyskaniem zatwierdzenia przez rewizora tutejszej naszej Kurii Arcybiskupiej.

Pozwolę sobie tu zaznaczyć, że przeczytałem fakty dosłownie tak jak mi zostały przedstawione przez tych, co łask doznali, strzegąc się skrupulatnie, by im nie nadawać charakteru nadprzyrodzoności, ani nie żądając od czytelników innej wiary, jak tylko tej należnej każdemu poważnemu pisarzowi. Umieściłem też na początku książeczki oświadczenie wymagane przez papieża Urbana VIII. Jestem przekonany, iż postąpiłem w tym, jak postępują wszyscy pisarze *Żywotów Świętych*, którzy pragną zachęcić wiernych do uciekania się pod opiekę Patronów niebieskich i dotąd nie wiadomo mi, by ten sposób traktowania podobnych spraw został przez kogokolwiek

zakazany. Dodam jeszcze na swoje usprawiedliwienie, iż w żaden sposób nie dałem nikomu do zrozumienia, jakoby wspomniane książki miały kanoniczne zatwierdzenie autentyczności opowiedzianych faktów czy ze strony Kurii Archidiecezjalnej turyńskiej czy innej.

Spodziewam się, iż dostatecznie wyjaśniłem sprawę i że mogę być usprawiedliwiony. Ale w każdym razie oświadczam, iż jestem zawsze gotów odwołać, jeśli cokolwiek uczyniłem, co by uwłaczało prawom Waszej Ekscelencji.

Korzystam przy tym ze sposobności, aby polecić względem Waszej Ekscelencji nowe broszurki, jakie będą przedstawiane Przewielebnym Rewizorom kurialnym, aby to wydawnictwo nie doznawało zwłoki, z wyrazami itd.

Arcybiskupa nie zadowolili te wyjaśnienia i znowu wracał do tego samego; „Ja, jako arcybiskup, jestem zobowiązany badać zdarzenia, o których się mówi, że w nich bezpośrednio objawiła się Wszechmoc Boża, aby móc ostatecznie zdecydować o ich autentyczności i o tym, do jakiej klasy cudów należą... Wobec tego uważam za swój jeden z najcięższych obowiązków zbadać opisywane łaski, które przypisuje się wstawiennictwu Matki Najświętszej Wspomożycielki Wiernych w kościele Waszej Przewielebności w Turynie. I dalej żądał dostarczenie mu dowodów na to wystarczających.

Wobec tego Ksiądz Bosko widział się zmuszony do przygotowania swej obrony in modia et forme i taką przesłał do Świętej Kongregacji Rytów, aby w razie rekursu ordynariusza swego, co mogło lada dzień nastąpić, mieć zabezpieczone plecy. I nie omylił się. Kiedy bowiem ukazał się w zakresie Letture Cattoliche jeszcze jeden tomik, zawierający otrzymane łaski od Najświętszej Wspomożycielki drukowany w Sampierdarena, arcybiskup nie wytrzymał. Zapakował wszystkie trzy te broszurki i wysłał do kardynała Bartolini Prefekta Św. Kongregacji Rytów z listem, który tak się zaczynał: „Przedkładam Waszej Eminencji książki z cudami, jakie rzekomo dzieją się w kościele Najświętszej Maryi Wspomożycielki. O czym już pisałem do Ojca świętego, a także do Waszej Eminencji, od którego otrzymałem zapewnienie, iż te fakty zostaną oddane do poważnego rozpatrzenia. Pierwszy z tych tomików ma na końcu wprawdzie dopisane: „Con permesso dell' Autorita ecclesiastica”; ale to zezwolenie polegało na tym, że ojciec Saraceno ze Zgromadzenia Filipinów, który tę książkę przeglądał, oświadczył zainteresowanemu ustnie, iż nie widzi przeszkód, by mogła zostać wydrukowana. Ale ani arcybiskup, ani wikariusz generalny, ani żaden z urzędników Kurii imprimatur dla niej nie podpisał.

Ojciec Saraceno był rzeczywiście rewizorem ksiąg religijnych mianowanym przez samego arcybiskupa i jemu sama Kuria urzędowo przekazała wspomniany tomik do przeglądu, jak świadczy ksiądz Berto, który widział nawet list przekazujący ojcu Saraceno sprawę. Kardynał Bartolini oddał plik monsignorowi Salvati z uwagą na kopercie: „Promotor wiary niech przejrzy załączone broszury, a przekona się, iż arcybiskup turyński ma słusność”.

Ksiądz Bosko nie wiadomo, jaką drogą, dowiedział się o tej tak nieprzychylniej dla niego uwadze. Poprosił więc ojca Rostagno, jezuitę, by mu w tej sprawie ułożył odpowiedni memoriał i przesłał go wspomnianemu kardynałowi z następującym listem:

Eminencjo!

„Przykro mi bardzo, że przy tylu ważnych sprawach dotyczących całego Kościoła ja muszę zabierać mu cenny czas. Ale czuję się zmuszony przesłać koniecznym zdaniem wyjaśnienia w niemilej wielce dla mnie sprawie, znanej już Waszej Eminencji.

Ale w każdym razie tak obecnie, jak i na przyszłość, pragnę pozostać pokornym synem Kościoła świętego: posłusznym i uległym wobec rozkazu, czy rady, jakie Wasza Eminencja, czy inny przedstawiciel Kościoła świętego uznał za stosowne mi podać. Z najgłębszą czcią”.

Kardynał oddając ten list do załatwienia, napisał na kopercie: „Niech się zbada dobrze, czy Ksiądz Bosko przypadkowo tym tak pokornym pismem, nie zamierzał, jak mi się zdaje, przez swego Konsulatora dać dobrą nauczkę Świętej Kongregacji Rytów, a w takim razie trzeba dać też należytą odprawę”.

Kard. Bartolini Prefekt

Ksiądz Bosko oczywiście wiele okazał pokory i w tej sprawie. Memoriał zaś jezuita Rostagno miał być ową „nauczka”. Ale jeśli byśmy chcieli się dopatrywać we wspomnianym memoriale, dla kogo nauczki, to jedynie dla arcybiskupa turyńskiego wobec Kongregacji rzymskiej, jako władzy rozstrzygającej ostatecznie. Pisma te ugrzęzły w końcu w archiwach watykańskich. Wyciągnięto je dopiero w czasie procesu kanonizacyjnego, kiedy to stały się jednym dowodem więcej, iż przyjaciele Boga muszą w tym życiu przechodzić per multas tribulationes – przez wiele utrapień. Warto tu dodać, iż ową książeczkę, zawierającą łaski Najświętszej Wspomożycielki a drukowaną w Turynie, co, do której arcybiskup miał tyle zastrzeżeń, Ksiądz Bosko rozesłał do wszystkich biskupów włoskich, którzy przyjęli ją z największym uznaniem i zalecali do czytania swym wiernym.

Zakończymy ten rozdział ogólną naszą opinią o wydawnictwach Księdza Bosko, a zwłaszcza o *Letture Cattoliche* – Czytankach katolickich stwierdzając, że były one: popularne, pouczające, służyły ku zbudowaniu czytelników i były bardzo na czasie. To tłumaczy ich wielką żywotność w owych latach

ROZDZIAŁ XX

Z POCZĄTKIEM NOWEGO ROKU SZKOLNEGO

A teraz wróćmy z Księdzem Bosko do jego ukochanych chłopców, do Oratorium. Obserwując go między nimi, mógłby ktoś myśleć, że doprawdy nie miał on nic innego do czynienia jak tylko o nich się troszczyć. Ale i to prawda, że właśnie w Oratorium widział całe przyszłe swe Zgromadzenie w miniaturze.

Z pierwszych miesięcy nowego roku szkolnego 1875/1876 mało mamy szczegółów; pozostały tylko niektóre jego słowa wieczorne, które naświetlą nam atmosferę, w jakiej pragnął, by nowo przybyli rozpoczęli swą całoroczną pracę.

Wracający wychowankowie większych nowości nie zastali; dla kapeli, która została rozwiązana w roku poprzednim z powodu poważniejszych wybryków jej członków ułożony został nowy regulamin zatwierdzony przez Księdza Bosko; przewidywał on, że do kapeli będą należeć także niektórzy współbracia. Inną małą nowością było, że powracający otrzymywali bilecik, którym powinni się byli przedstawić poszczególnym Przełożonym. Ten zwyczaj pozostał na dalsze lata.

Zjazd wychowanków przewidziany był na połowę października; ale wiadomo, jak to zawsze bywa i trzeba było na pewne spóźnienia patrzeć przez palce. Pierwszy raz po wakacjach Ksiądz Bosko przemawiał do zebranych w większej części wychowanków, 20 października, bo w tym dniu wrócił po dłuższej nieobecności do Turynu. A oto treść tego pierwszego słowa wieczornego:

„I znowu widzimy się, moi drodzy chłopcy. Przyjechaliście z daleka ja też, co dopiero wróciłem z daleka. Cieszy mnie, iż większość z was jest już na miejscu. Przypuszczam, że zjawią się i spóźnialscy, którzy może z obawy przed dzisiejszym deszczem, a może z innych przyczyn jeszcze nie przyjechali. Ale z chwilą, gdy się wszyscy zjadą, rozpoczniemy w najbliższych dniach regularny tryb życia, jaki trwał będzie przez cały rok.

Powtarzam, że jestem bardzo rad spotykając się z wami, jak cieszy się ojciec, gdy widzi, że rośnie jego rodzina. Ale wy byliście na wakacjach, biegaliście po polach i winnicach, odbywaliście wycieczki i stąd na pewno jesteście zakurzeni, a może i powaleni, o ile, który nie wpadł wprost do kałuży. Trzeba, zatem czym prędzej oczyścić się, abyście nie robili złej figury. Na pewno domyślacie się, o jakim kurzu i jak błocie chcę mówić. Chodzi o różne wybryki mniejsze lub większe wasze z czasu miesięcy wakacyjnych. Oczywiście łatwiej będzie oczyścić się tym, co tylko są zakurzeni drobnymi kaprysami, czy opieszałościami, co jednak trzeba zrobić. Bardzo

poważnie zaś powinni zainteresować się swoim sumieniem ci, co wiedzą, że zbryzgali się błotem grzechu ciężkiego. Chodzi o to, by ono nie przyłgnęło do ich serca, żeby z tego nie powstała rana trudna do wygojenia. Weźcie więc sobie do serca tę moją uwagę i skorzystajcie ze sposobności do spowiedzi.

Polecam wam także, byście w tych dniach, kiedy jeszcze wszystko nie jest uregulowane, starali się zachować należą karność i porządek; trzeba też, byście mieli wyrozumienie na możliwe braki, którym będziemy się starali jak najprędzej zaradzić”.

Także słówko wieczorem, 22 wracało do tematu spowiedzi, bo tak Ksiądz Bosko mówił:

A Jove principium – od Jowisza zaczynać zalecali poganie, tym bardziej i my powinniśmy zwrócić swoje myśli ku niebu, rozpoczynając rok szkolny. A trzeba rozpocząć go dobrze, bo przecież wiecie, że kto dobrze rozpoczyna, jest już w połowie dzieła. Otóż właśnie, aby dobrze rozpocząć, to trzeba zatroszczyć się by być w stanie łaski Bożej, a równocześnie prosić Boga o błogosławieństwo na dalsze prace. Ważną też rzeczą jest, byście sobie postanowili dobrze wykorzystać czas, a cokolwiek będziecie czynić, to ofiarować na większą chwałę Bożą i dla uświęcenia własnej duszy...

Na słówku 26 października, poruszył Ksiądz Bosko sprawę sankcji dla opornych, względnie na gorszyieli. Na ten temat tak pisze ks. Barberis: „Jest reguła ogólnie przyjętą w Oratorium, aby bezwzględnie nie tolerować takich chłopców, którzy by w jakikolwiek sposób mogli być zgorszeniem dla kolegów. Jedna zła rozmowa, czy jakiś objaw niemoralności udowodniony, wystarczy, by winowajca został z zakładu usunięty. Oczywiście, że decyzja należy zawsze do Księdza Bosko i bardzo często chłopak zagrożony karą biegnie do niego, by błagać o przebaczenie przyrzekając stanowczą poprawę. Podstawą takiego postępowania jest znane powiedzenie ewangeliczne: „Modicum fermentum totam massam corrumpit”

To, co w szczególniejszy sposób miało przyczynić się do utrzymania wysokiego poziomu moralności wśród młodzieży, to były konferencje Przełożonych, jakie odbywały się, co niedzielę od wpół do siódmej do wpół do ósmej wieczorem. Na tych konferencjach, którym przewodniczył ks. Rua, Przełożeni wspólnie uświadamiali sobie, jak rozwijało się życie w Oratorium. W ten sposób mogli na czas zapobiec nieporządkom i zaradzić tym, jakie już miały miejsce. Porozumiewali się też między sobą, co do metod pracy, ażeby tak utrzymać jedność myśli i kierunku wychowawczego. Wszyscy wtedy dowiadywali się o wszystkim, co zaszło i mogli ustalić dalszy plan działania. Możliwe wątpliwości rozstrzygał zawsze Ksiądz Bosko, który wspomnianego wieczoru tak mówił do wychowanków:

„W tym roku liczba was tu obecnych w Oratorium wzrosła. Od dzisiaj zaczynamy już życie regularne. Mówią, że człowiek przestrzeżony jest na pół zbawiony. Otóż chciałbym was dzisiaj przestrzec. A najpierw zaznaczam, że od tego dnia rozpoczynamy brać pod uwagę wasze postępowanie i będą wam dawane stopnie

z zachowania się tak w uczelni jak w szkole, czy sypialni itd. Kto nie będzie się zachowywał odpowiednio, otrzyma gorszy stopień i będzie publicznie napiętnowany z wielkim swoim wstydem. Kogo przy omawianiu stopni nie przeczytają, znak to, że jego sprawy są w porządku. Zwracam dalej uwagę tym, którzy by ryzykowali otrzymywać złe noty, że tylko do pewnego stopnia będzie się tolerować ich lekkomyślność. A po jakimś czasie wyciągnie się z tego konsekwencje i to nawet takie, że winny będzie musiał opuścić Oratorium. Przykro mi o tym mówić, ale niestety, co rok się podobne fakty zdarzają, bo przecież znacie przysłowie: „Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie”. Przełożeni pragną być jak najbardziej wyrozumiali i niekiedy czekają nawet do końca roku szkolnego, ale potem są zmuszeni zawiadomić lekkomyślnego wychowanka, żeby już więcej nie wracał. Jeżeli tu już niektórych nie widzicie, to właśnie z tego powodu. Przestrzegłem was, więc i mam nadzieję, że skorzystacie.

Nie myślcie również, że stopnie tygodniowe mają tylko znaczenie doraźne. Wypada nieraz i po latach zaglądnąć do katalogów, jak się ktoś zachowywał, gdy ten przychodzi prosić o świadectwo moralności z lat szkolnych, jak to miało miejsce przed dwoma dniami, kiedy to zgłosił się jeden z brodą i wąsami, przedstawiając się, jako były wychowanek i prosząc o zaświadczenie z lat szkolnych. Otóż w takim wypadku bierze się katalogi z lat ubiegłych i według tego wystawia się zaświadczenie. Widzicie więc z tego, że stopnie z waszego zachowania i pilności mają wielkie znaczenie i po latach.

Nie chciałbym jednak, ażebyście zabiegali o dobre stopnie tylko dla uniknięcia zawstyżenia, czy kary. Są o wiele wyższe powody, by dobrze się zachowywać, a takimi są: chęć przypodobania się Panu Bogu, zbieranie sobie zasług na niebo i spokój sumienia. Otóż widzicie, że dobre postępowanie przyniesie wam wieloraką korzyść i wieczną nagrodę i tę, że będziecie zadowoleni, szanowani i kochani na tej ziemi. Dobranoc.

Zbliżająca się uroczystość Wszystkich Świętych skłoniła Księdza Bosko aby 27 października, przypomnieć im świątobliwych dawnych wychowanków Oratorium jak Dominika Savio, Magone, Besucco i innych. Wspomnienie Dominika zawsze wzruszało Świętego Wychowawcę. Ks. Trionie zaświadcza, że raz zastał Księdza Bosko poprawiającego bozże do przedruku żywota świętego Młodzieniaszka a w oczach jego perliły się łzy: Widzisz – rzekł do nadchodzącego, ile razy jestem przy tej pracy, to nie mogę powstrzymać swego wzruszenia.

Jesteśmy w nowennie do Wszystkich Świętych – mówił na wspomnianym słówku. Chciałbym, żebyśmy ją wszyscy odprawili jak najlepiej, a wiecie, dlaczego? Bo w tym dniu obchodzimy wszyscy nasze imieniny... Och, ileż tam jest młodzieniaszków w niebie, prawdziwie świętych, którzy byli z ciała i kości jak my. Owszem, mogę powiedzieć, iż są tam ci, co nie tylko byli ludźmi jak my, ale byli w tym samym domu, w którym wy żyjecie, przechadzali się pod tymi samymi

portykami, gdzie wy się przechadzacie, modlili się jak wy, zachowali ten sam regulamin i tych samych mieli przełożonych. Mam na myśli naszych: Dominika Savio, Magone, Besucco i innych. Czyż tedy nie wypada nam powiedzieć sobie: Jeśli oni, to czemuż by i nie ja? Niechże nas to zachęci do kroczenia drogą świętości. Umiejmy znosić zimno i ciepło i niewygody życia; umiejmy się przewycięzać, słuchając przełożonych, spełniając wiernie swoje obowiązki, pracując nad swoim temperamentem. A warto to czynić, drodzy chłopcy. Bo wystarczy spojrzeć w niebo, tam nas oczekują nasi znajomi i nasi rówieśnicy. Myślcie o tym często.

Oczywiście dotąd przytaczane słówka są nam przekazane w pewnym streszczeniu. Więcej szczegółowo spisane zostało to, co następuje, z dnia 28. Uroczystość Wszystkich Świętych zbliża się wielkimi krokami. O gdyby tak wszyscy moi drodzy chłopcy myśleli poważnie nad swoim uświęceniem! Otóż chciałbym, żebyście jedną rzecz zrobili: niech się każdy zastanowi, co najwięcej mu potrzebne, by mógł zostać świętym? U jednego będzie to może, jakaś namiętność, która opanowała jego serce i oddała go od celu. Drugiemu może wypadnie zwrócić uwagę na jedną z cnót, która najwięcej by go przybliżyła do wytkniętego sobie stopnia doskonałości. Gdy tak sobie to każdy rozważy, wtedy niech rezolutnie zadecyduje: Chcę zrobić z tego Panu Bogu podarek w dniu tak uroczystym; zerwę z tym występkiem, względnie rozwinę tę cnotę. Zapewniam was moi drodzy, że w ten sposób sprawicie naszemu Boskiemu Zbawicielowi wielką przyjemność i będzie z was zadowolony.

W każdym razie upewnijcie się, czy w waszych sercach nie ma, jakiegoś brudu. Bo przecież gdybyście chcieli przyozdobić ściany mieszkania piękną tapetą, a tam w środku byłoby gnojowisko, to każdy by się z was przecież wyśmiał i powiedziałby: Zabierz się do usunięcia tego śmietnika, a wtedy dopiero będziesz myślał o przyozdobieniu mieszkania. Tak samo jest i z duszą. Jeśliby, ktoś miał na sercu grzech ciężki, a siliłby się na zwalczanie drobnych wad, ten źle by postępował. Bo najpierw trzeba usunąć brud, a potem myśleć o przyozdobieniu lokalu.

Boski Zbawiciel do jednego młodzieńca, który chciałby się zbawić, powiedział: „Jeżeli chcesz wejść do żywota, zachowuj przykazania”. Zwróćcie uwagę, że na pierwszym miejscu było powiedziane: „Jeśli chcesz, to znaczy, żeby się zbawić, to najważniejszą rzeczą jest chcieć. Ale nie jest tu mowa o takim chcieć, jakie spotykamy u leniwca, który choć chce, a nie chce; ale trzeba chcieć rezolutnie i z całą stanowczością. A co należy czynić? Zachowuj przykazania.

Wy, co uczycie się łaciny, wiecie dobrze, że: „serva mandata”, czyli zachowuj przykazania – to jest tryb rozkazujący, a więc zachowanie przykazań, jest wyraźnym rozkazem Bożym. O, gdybyśmy mogli zapytać wszystkich błogosławionych w niebie, za co dostali się do tak szczęśliwego miejsca, wszyscy odpowiedzieli by: „Spełniliśmy rozkaz Pański, zachowaliśmy przykazania”. Gdybyśmy natomiast mogli otworzyć czeluść piekielną i zapytać tam tych nieszczęśliwców, za co są potępieni – to usłyszelibyśmy odpowiedź: „Nie zachowaliśmy rozkazu Pańskiego, nie przestrzegaliśmy przykazań”. A teraz ja was pytam: „Chcecie się zbawić? Tak, z całą

pewnością. Nikt na tyle nie jest głupi, by powiedział, że nie chce iść do nieba. A więc dobrze: Zachowuj przykazania. Jeśli ich nie będę zachowywał? – moi drodzy nie ma drogi środkowej. Kto ich nie zachowa, ten się potępi.

Ale to takie trudne...

Trudne nie trudne, w każdym razie ci, co są w niebie tę trudność przewyciężyli, a teraz cieszą się mówiąc: Jakże małe były te trudy w porównaniu do szczęśliwości, jaką rozkoszować się będziesz przez całą wieczność. A cóż mówią potępienci? Chcieliśmy uniknąć fatygi i wysiłku, a teraz ponosimy straszne męczarnie i to na całą wieczność.

A którzy to są, co nie przestrzegają przykazań? Nie przestrzega ich na przykład ten, który w kościele nie jest skupiony, nie modli się i drugim przeszkadza. Nie przestrzega ich, kto nie umie znosić wad towarzyszków i ciągle się z kimś kłóci. Nie przestrzega ich, kto sakramenty święte przyjmuje oziębłe, a przy spowiedzi nie ma serdecznego żalu za grzechy. Nie przestrzega ich, kto przeklina, lekceważy dni świąteczne, jest nieposłuszny itd. Przejdźcie tak po kolei wszystkie przykazania, zbadajcie czy którego nie przestąpiliście, wyspowiadajcie się dobrze, zróbcie doprawdy silne postanowienie poprawy na przyszłość. Tak spełnicie zalecenie Boskiego Zbawiciela: „zachowaj przykazania” – jeśli was to czasem będzie kosztować trochę wyrzeczenia się, pamiętajcie, że chwilowe jest to, co cierpimy, a wieczna będzie radość. Odwagi, zatem, moi drodzy chłopcy, zabierzcie się ochoczo do zdobycia sobie szczęśliwości wiecznej, a doświadczyć pomocy Bożej i przekonacie się, że sam Duch Święty zdziała w was to, czego byście wy nie mogli uczynić. Dobranoc.

W przeddzień uroczystości św. Karola biskupa, 3 listopada, tak znowu mówił:

„Jutro wielu z was ma imieniny, bo jest św. Karola. Właśnie jego imiennicy powinni w sposób szczególny go uczcić. Postaramy się także, aby i nabożeństwo poranne było bardziej uroczyste. Msza św. będzie śpiewana.

A czyście się już zastanowili nad tym, co właściwie sprawiło, że święty Karol został tak wielkim w oczach Bożych? Czy wiecie, co to było? Otóż to, że już od pierwszej młodości oddał się całkowicie na służbę Bogu. Jako uczeń znał tylko dwie ulice w mieście: tę do kościoła i tę do szkoły. To jego wielkie zmiłowanie do skupienia, do nauki, do pobożności sprawiło, iż wkrótce został i uczniem i świętym. Poznał się na nim Ojciec święty i już w jego 23 – roku mianował go arcybiskupem Mediolanu i kardynałem.

Miły jest następujący epizod z jego życia: W czasie jednej z wizytacji diecezji natknął się na świętego Alojzego, który wtedy miał dwanaście lat. Biorąc pod uwagę jego pobożność i gorliwość, chociaż ten nie był jeszcze urzędowo dopuszczony do pierwszej Komunii świętej, on sam postanowił mu jej udzielić. W czasie tej pięknej i wielkiej uroczystości Castiglione ludność tamtejsza nie wiedziała kogo uznać za bardziej świętego: czy owego młodzieniaszka, który przyjmował Komunię świętą, czy prałata, który jej udzielał.

Prawda, że my w szczególniejszy sposób czcimy świętego Alojzego, jako Patrona młodzieży, ale również powinniśmy oddać hołd świętemu Karolowi, modląc się do niego, gdyż i on może być doprawdy przykładem dla młodzieży, której wychowanie bardzo mu leżało na sercu, kiedy został biskupem. On to w szczególniejszy sposób kładł nacisk na nauczanie katechizmu. On to był jednym z pierwszych, który otwierał zakłady i małe seminaria oraz na wszelki sposób zabiegał o dobro młodzieży tak duchowe jak materialne. Prośmy tego Świętego, aby nauczył nas tej bezinteresowności, z jaką on gardził dobrami tej ziemi tak, że gotów był w jednym dniu rozdać 40 tysięcy lir na jałmużnę. Uczmy się od niego także serdecznej, pełnej poświęcenia miłości bliźniego, której on dał dowody w czasie zarazy, jaka grasowała w Mediolanie. Zawsze spotykało się go między zarażonym; jak mógł tak ich wspomagał i pocieszał, utworzył nawet dla nich swój pałac biskupi. Ci, co mogą, niech ku jego czci przystąpią do Komunii świętej, albo przyjmą Komunię duchową, a wszyscy niech odmówią szczególniejszą modlitwę dla uproszenia sobie jego błogosławieństwa.

Do dobrego rozpoczęcia roku szkolnego brakowało jeszcze jednej ważnej praktyki, a mianowicie ćwiczenia dobrej śmierci, które wyznaczone zostało na pamiętny dzień 11 listopada. Był to dzień odjazdu pierwszych misjonarzy za ocean. Otóż w wigilię tego dnia tak mówił do swych wychowanków:

Nasi misjonarze są bardzo oczekiwani w Ameryce i ufamy wszyscy, że będą mogli tam zdziałać dużo dobrego. To jest jedyny cel ich wyprawy: szukać zbawienia dusz. Tak, tylko zbawienie dusz i nic innego: Właśnie otrzymałem dziś list ze S. Nicolas, od tamtejszego burmistrza, który przyrzeka nam wszelką pomoc także materialną i podkreśla wielkie zainteresowanie ludności przyjazdem naszym. Tyle na temat misji. Ale w tej chwili dla nas najważniejszą rzeczą jest, abyście w tym dniu pamiętnym odprawili jak najlepiej ćwiczenie dobrej śmierci, która polega głównie na tym by przystąpić do Spowiedzi i Komunii św. Takim usposobieniem, jak gdyby one miały być ostatnie w naszym życiu. Bo chodzi o to, że kiedy ktoś nabierze wprawy do jakiejś rzeczy, to w każdej chwili bez większego wysiłku spełnia ją dobrze; natomiast, ktoś nie ma wprawy, to nawet z wielkim wysiłkiem nieudolnie spełni to, czego nie umie. Otóż tak samo ten, kto zaprawia się do dobrej śmierci spowiada się, jakby po raz ostatni w życiu, przyjmuje Komunię świętą gorliwie, jakby Wiatyk, ten na pewno i w godzinę śmierci nie będzie miał trudności usposobić swoją duszę tak, by bez obawy móc stanąć przed Obliczem Boskiego Sędziego. Taki będzie umierał z całą radością, że prosto pójdzie do Nieba.

A jaka to straszna chwila ta śmierć dla tych, co się do niej nie przygotowują. Byłem już u łoża wielu umierających i mogę was zapewnić, że straszne oni przeżywają chwile, jeśli sumienie mają zagmatwane. Wtedy niektórzy chcieliby się spowiadać, ale już stracili mowę; inni nie mogą doczekać się kapłana, innych znowu otaczają krewni, przyjaciele, wcale nie myśląc o zbawieniu ich duszy, ale tylko

zasypując tego biedaka pytaniami na temat spadku, testamentu itd. I tak ten nieszczęśliwy nieraz prędzej umiera ze zgryzot sumienia niż z samej choroby.

Wy przecież macie czas. Przygotujcie się, zatem dobrze, uporządkujcie sprawy swego sumienia a nawet te materialne. Jeśli macie jakieś wątpliwości, załatwcie je właśnie w tym dniu. Wszyscy tak urządzcie swoje sprawy, ażebyście, gdyby was Bóg i jutro powołał do siebie, mogli z całym spokojem zawołać: Oto, Panie, jestem gotów. Wszystko uporządkowałem. Oto idę. Eccevenio.

Na początku programu dnia następnego chciał Ksiądz Bosko, aby było zaznaczone: o godzinie pół do ósmej ćwiczenie dobrej śmierci. Chłopcy odprawili je z całą gorliwością. Od tej chwili rok szkolny płynął już spokojnie.

ROZDZIAŁ XXI

NOWE STARANIA O PRZYWILEJE

Uzyskanie przywilejów było czymś żywotnym dla powstającego Zgromadzenia św. Franciszka Salezego, rzecz by można, *conditio sine qua non* – warunkiem, bez którego nie mogło ono rozwijać w pełni swojej osobowości prawnej, która mu świeżo została przyznana. Wobec tego Ksiądz Bosko, niezniechęcony ostatnią odmową, zaczął przemyślać, jakby tę sprawę wznowić. Głównie chodziło mu, by raz ustały te niekończące się trudności, napotykanne stale przy święceniu kleryków.

Wspomniana odmowa uzasadniona została zwrotem – *Communicationem prout petitur non convenire*. Wniosek stąd prosty: że w tej formie, jak była rzecz przedstawiona nie wypada, jej przyznać, ale w innej można zacząć od nowa. Sposobność nadarzała się właśnie w związku z wyjazdem misjonarzy do Ameryki, którym przecież cały szereg wyjątkowych przywilejów był prawie niezbędny. Mimo więc, że Prefekt Kongregacji Biskupów i Zakonników był niedysponowany, a nowa prośba mogła mu humor zepsuć, mimo że następca sekretarza tejże Kongregacji, monsignora Vitelleschiego, jeszcze w sprawach swego resortu nie był zorientowany i mimo iż kardynał Berardi pisał, że niektórzy ważni urzędnicy Kurii rzymskiej są zdania, że Ksiądz Bosko za dużo żąda i dlatego jego sprawy w szczególniejszy sposób walcują długo, to jednak tenże wystąpił z nową prośbą, uwzględniającą głównie potrzeby misjonarzy, ale nie zapominając przy tym również i o przywileju *extra tempora*. Prosił, więc o jurysdykcję do spowiadania we wszystkich diecezjach, a także i pasażerów na okrętach, o pozwolenie na urządzenie po domach salezjańskich kaplic półpublicznych i sprawowania tamże Najświętszej Ofiary, o indult posługiwania się ołtarzem przenośnym, zamienianie brewiarza na inne modlitwy, błogosławienia medalików, różańców itd. Prosił również o liczne odpusty dla swoich.

Prośbę tę przesłał drogą urzędową do monsignora Sbarretti, sekretarza św. Kongregacji Biskupów i Zakonników. Jej kopie zaś do kardynała Berrardi. Monsignore Sbarretti natrafiając na trudność odczytania pisma Księdza Bosko, wezwał do pomocy adwokata Merghiniego, który w ten sposób wiedział, jak sprawy postępują i informował o tym swego nieodstępnego przyjaciela monsignora Fratejacci, a ten Księdza Bosko. Owi dwaj pralaci bardzo żywo dyskutowali na temat wniesionej prośby, zgadzając się w tym, że, choć była ona nie na czasie, to jednak mogła służyć, jako pewnego rodzaju odwołanie się od poprzedniej decyzji, a względnie jako wyraz, że zabiegi o przywileje nie ustaną.

Kardynał Berrardi, bawiąc wtedy poza Rzymem list Księdza Bosko otrzymał z opóźnieniem, kiedy już misjonarze, o których przywileje najczęściej chodziło, odjechali. Mimo to przedstawił sprawę Ojcu świętemu. Ten jednak pamiętając niedawną opinię Kongregacji i nie chcąc jej decyzji bagatelizować, do niej zlecił odesłać prośbę. Tu jednak, jak przedtem, tak i teraz, wszystko szło opornie. Dnia 17 grudnia, kardynał pisał do Księdza Bosko:

Na razie sprawa nie posunęła się naprzód, a to

1. dlatego że kardynał Bizzari jest jeszcze chory;
2. opóźnia sprawy zmiana sekretarza, wreszcie po trzeciej
3. nadszedł nowy list od arcybiskupa z Turynu, które zrobił wielkie wrażenie na monsignorze Sbarrettim, nie orientującym się jeszcze w tych sprawach. Dowiedziawszy się o tym zaraz udałem się do niego i wszystko wytłumaczyłem. Ufam, że to odniesie swój skutek. Skoro tylko coś nowego się dowiem, dam znać Waszej Przewielebności. Na razie trzeba się uzbroić w cierpliwość, pamiętając, że diabeł zawsze narobi trudności przy każdym zbożnym dziele. Ale Bóg jest potężniejszy od czarta i wolno nam mieć nadzieję, że z Jego pomocą zwycięstwo będzie nasze. O trudnościach wysuwanych ze strony arcybiskupa tak pisał bez żadnych ogródek monsignore Fratejacci:

Otóż ten znany nam arcybiskup turyński stale zasypuje Kongregację Biskupów i Zakonników listami na salezjanów. Opanowała go po prostu jakaś gwałtowna mania tak, iż zachodzi obawa, czy to nie wstęp do obłąkania. Po piśmie arcybiskupa w sprawie nadużywania jurysdykcji do spowiedzi przez salezjanów, które w tych dniach nadeszło, monsignore Sbarretti przekonał się, że tu chodzi wprost o prześladowanie biednych salezjanów i to bez żadnej przyczyny. Napisał, więc do niego w imieniu Kongregacji list, ale taki, co właściwie nic nie mówi. Jest to takie „ibis redibis non”, jakby kiepska gra na skrzypcach i nic więcej. Tyle dla wiadomości Księdza. Ale to, co może Przewielebności Waszej zrobić przyjemność, to wiadomość, że ostatecznie te listy z Turynu zamiast nastawić przeciw Księdzu Bosko tutejsze umysły, jakby tego życzył sobie arcybiskup, służą do lepszego uwypuklenia całego prześladowania, jakiemu Ksiądz podlega, od którego wszyscy pragną go uwolnić na zawsze.

Ksiądz Bosko jednak do podobnych listów ustosunkowywał się bardzo z rezerwą i rzadko pisywał do Rzymu. W owym czasie wysłał tylko w ciągu czterech miesięcy coś dwa pisma zupełnie zresztą w sprawach obojętnych, jak np. podając spis personelu do *Annuario Pontificio*, względnie przesyłając fotografie misjonarzy. Jakimi racjami kierował się w tym wypadku, łatwo można się domyśleć.

Ta powtórna wspomniana prośba Księdza Bosko przedłożona tym samym czterem kardynałom, którzy rozpatrywali pierwsze podanie, została przez nich zróżniczkowana. Najpierw wzięto pod uwagę prośbę o *extra tempera*, co zresztą było dla Księdza Bosko najważniejsze. Niestety, ani w tym względzie ani co do innych

punktów nic nie posunęło się naprzód. Obawa, by nie drażnić ordynariusza turyńskiego i nie ubliżyć jego godności, grała w tym wielką rolę. Ten, gdy dowiedział się, że Ksiądz Bosko ponownie zabiega o przywileje, tak przedstawił swoje obawy i zastrzeżenia kardynałowi Bizzarri:

Eminenza Reverendissima!

Ksiądz Bosko, założyciel i przełożony Zgromadzenia Salezjańskiego, zwrócił się ponownie do św. Kongregacji Biskupów i Zakonników o przyznanie mu przywilejów niezgodnych z prawami, jakie przysługują władzy biskupiej i to, mimo iż zeszłego roku takie przywileje nie zostały mu udzielone właśnie, aby nie ubliżyć powadze ordynariusza. Ufam, że św. Kongregacja zanim zgodzi się na to, czego żąda wspomniany Przełożony na despekt biskupom, zechce łaskawie podać mi do wiadomości jego żądania, ażebym w wypadku, gdyby te były powodem zakłóceń w mej diecezji, mógł przedłożyć swoje zastrzeżenia. Tym bardziej to wskazane, gdyż ja obawiam się, że on, aby wykazać słuszność swoich żądań, wysunął zastrzeżenia, co do moich rządów, jako biskupa, jak to już niestety uczynił w listach kierowanych do Ojca świętego.

Byłem i zawsze będę obrońcą zakonów i uznaję, że one potrzebują pewnych przywilejów i wyjątków. Mogą im być potrzebne wyjątki, które dotyczą zależności i zmian personalnych; mogą im być potrzebne przywileje w niektórych miejscowościach, jak na przykład na misjach, ale moim zdaniem, które potwierdza długoletnie doświadczenie, to przywileje przyznawane im z uszczerbkiem władzy biskupów, przyczyniają się tylko do pomniejszenia powagi ordynariuszów, a przecież jeżeli kiedyś, to w dzisiejszych czasach ich powaga powinna być w szczególniejszy sposób podtrzymywana ze strony Stolicy Apostolskiej.

Duch „niezależności”, a rzecz by można „wyższości” /di superiorita/, z jakim odnosi się Ksiądz Bosko już od kilku lat do arcybiskupa Turynu, a którym przesiąknięci stają się coraz bardziej jego uczniowie, a którego dowód mamy w liście tegoż Księdza Bosko z dnia 29 kwietnia 1875 roku, jaki przesłałem św. Kongregacji, 17 października tegoż roku, na co z tejże Kongregacji otrzymałem oświadczenie, że fakty przeze mnie przedstawione, dotyczące Księdza Bosko, wywołały tam niesmak, to, jeśli ten duch zostanie umocniony nowymi przywilejami sprzecznymi z moją jurysdykcją, to z całą pewnością spowoduje nowe nieprzyjemności i utrapienia jakie w tej archidiecezji spotykają mnie każdego dnia.

Jeśli Ksiądz Bosko ma zasługi względem Kościoła, to uważam, że i ja Kościołowi nie przyniosłem i nie przynoszę ujmy i dlatego nie mogę zrozumieć, dlaczego jemu mają być przyznane przywileje, które dla mnie są ukaraniem. Powaga arcybiskupia w Turynie odarta ze wszelkiego splendoru zewnętrznego, pozbawiona 4/5 swych dochodów, spostponowana, wyśmiana i wyszydzana, napadana każdego dnia prawie we wszystkich dziennikach turyńskich, a to tylko, dlatego, że arcybiskup stoi niezłomnie oddany Stolicy św. i żąda przestrzegania praw boskich i kościelnych, nie powinna doznawać uszczerbku z powodu Księdza Bosko. Ten swoimi listami,

słowami, swoim całym zachowaniem się do tego stopnia stoi w opozycji do niej, iż jeden z najgorszych dzienników turyńskich, wyraził się, że jedynie Ksiądz Bosko jest zdolny przeciwstawić się arcybiskupowi. Jeżeli już koniecznie ma się przyznać nowe przywileje Zgromadzeniu Salezjańskiemu w Turynie uszczerbkiem mojej jurysdykcji, to niechże przynajmniej zaczeka się z tym do mojej śmierci, która już na pewno nie jest daleka, a najwyżej parę lat, względnie do chwili, kiedy ustąpię z mego stanowiska, na którym z powodu gromadzących się nowych trudności, nie zdolny jestem dłużej pozostać.

Proszę Waszą Eminencję zakomunikować to świętej Kongregacji, na której mądrości i sprawiedliwości całkowicie polegam. Całując ze czcią św. Purpurę, pozostaję z największym szacunkiem dla Waszej Eminencji najuniżeńszy i najposłuszniejszy sługa Wawrzyniec arcybiskup Turynu.

Turyn, 24.03.1876 r.

Jako komentarz do tego listu niech nam posłużą słowa Księdza Bosko przekazane nam przez księdza Barberisa: „Arcybiskup Turynu robi wszystko, co tylko możliwe, aby nam szkodzić w Rzymie. Korzysta z każdej okazji oportune et importuje, uzasadnionej i nieuzasadnionej, aby tylko coś donieść na nas niekorzystnego. Ja ze swojej strony nie usprawiedliwiałem się, chyba, że byłem wprost proszony o wyjaśnienia. Za moje usprawiedliwienie posłużyły niektóre listy, jakie pisałem poufnie do niego z prośbą, by zechciał zaprzestać tego ciągłego nagabywania nas. On, uważając je za corpus delicti – za istotny dowód winy z naszej strony, przesyłał je do Rzymu, gdzie właśnie posłużyły dla naszego usprawiedliwienia. Będąc w Rzymie oczywiście mówiłem o sprawach Oratorium, dawałem wyjaśnienia dotyczące zatargu z Arcybiskupem, ale nigdy wprost nie odpowiadałem usprawiedliwiając się na skargi zanoszone przez niego do Kongregacji Rzymskich czy ustnie czy pisemnie”. Co dotyczy wzmianki o swej śmierci czy ustąpieniu, jaką uczynił arcybiskup Gastaldi w piśmie do kardynała Bizzarri, tak się wyraził Ksiądz Bosko: Można by tu postawić dylemat: Jeżeli przyznanie nam przywilejów jest rzeczą dobrą, to czemu się temu sprzeciwia? Jeżeli zaś złą, to, czemu podsuwa to, jako wskazane po jego śmierci względnie po jego ustąpieniu?

Ale ordynariusz nie poprzestał na wyżej przytoczonym liście. Już następnego dnia wysłał do Kongregacji „postulatum”, w którym zaznaczywszy, iż nic mu nie wiadomo, jakoby Towarzystwo Salezjańskie było modo definitivo zatwierdzone, żalił się na Księdza Bosko, iż ten miesza mu się w sprawy dyscyplinarne kleru diecezjalnego, czego dowodem jest, iż przyjmuje kleryków wydalonych ze seminarium arcybiskupiego. To zaś wystawia powagę arcybiskupią na kpiny ze strony seminarzystów. Byłby, więc już czas, by Święta Kongregacja wreszcie położyła temu koniec.

W praktyce był tylko jeden kleryk ze seminarium turyńskiego został przyjęty przez księdza Rua, który tak się z tego usprawiedliwiał przed arcybiskupem: Wróciwszy wczoraj wieczór do domu, przeglądałem katalogi, by przekonać się, jaki

to alumn ze seminarium Waszej Ekscelencji został przyjęty przez Księdza Bosko. I rzeczywiście natrafiłem na jednego z Vinovo, który został przyjęty podczas ostatnich wakacji jesiennych. Poczuję się jednak do obowiązku zaznaczyć, że w tę sprawę Ksiądz Bosko wcale nie był wmieszany. Ten, kto go przyjmował, to właśnie niżej podpisany. Uczyniłem to wcale nie podejrzewając, żeby to miało sprawić przykrość Waszej Ekscelencji, a opinie o owym alumnie miałem jak najlepszą od osób poważnych. Proszę, zatem mieć mnie za usprawiedliwionego, gdyż jednym moim życzeniem jest zawsze być do usług Waszej Ekscelencji i nigdy nie sprawić mu przykrości.

Wysławszy swoje postulat, niecierpliwie oczekiwał arcybiskup odpowiedzi i w tej sprawie zwrócił się do adwokata Menghini.

Bardzo mi zależy – pisał mu – na odpowiedzi, abym wiedział, jak mam postąpić. Wypadnie mi, bowiem pisać w tej sprawie do Ojca świętego, a jutro Ksiądz Bosko wybiera się do Rzymu w tejże samej sprawie.

I rzeczywiście Ksiądz Bosko wybierał się wtedy do Rzymu, ale całkiem w innych sprawach. W każdym razie sekretarz św. Kongregacji zarządził, ażeby z podania Księdza Bosko wyciągnąć istotne punkty i przesłać je do Kurii turyńskiej dla zaopiniowania.

Nie wiemy bliższych szczegółów, jaki skutek odniosły te pisma arcybiskupa w Rzymie, to tylko jest pewne, że jeszcze 5 maja, żalił się on pismem do adwokata Menghini, iż jego nalegania nie zostały uwzględnione.

Na zakończenie tego rozdziału przytoczymy słowa pocieszenia zwrócone przez monsignora Fratejacci do Księdza Bosko. Oto jak pisał:

„Przykrości jakich obecnie Przewielebność Wasza doznaje, nie mogą potrwać długo, dabit Deus his quoque finem – i to za wolą Bożą się skończy. Ale z drugiej strony okazują się one potrzebne, jak to zresztą widzi się przy wszystkich wielkich poczynaniach Sług Bożych, aby Instytut Księdza Bosko, który pod nawą tyłu przeciwności powinien by załamać się na samym początku swego istnienia, wyszedł ze wszystkiego zwycięsko, tym bardziej się umocnił, przynosząc obfite owoce cnót Kościołowi i Ojczyźnie. To będzie najlepszym dowodem, że jest on dziełem nie człowieka, lecz Boga. Nie jest on z tej ziemi, ale z nieba. Za to wszystko niech będzie Bóg uwielbiony, cui soli honor et gloria”.

Cała ta nienawiść doprawdy bezpodstawną, jest tą nienawiścią, o której mówi psalmista: Quia odio habuerunt me gratis. Natrafiają na nią wszystkie dzieła miłe Bogu... Niech się dobrze zastanowią nieprzyjaciele Księdza, który może być pewien, że doprawdy niczego nie powinien się obawiać. To, co teraz zdaje się być złym i zaprzepaszczeniem dzieła, nie za długo stanie się życiem i chwałą.

ROZDZIAŁ XXII

KSIĄDZ BOSKO SUSPENDOWANY OD SPOWIEDZI

Ksiądz Bosko ze swej strony nie zaprzestawał wedle możliwości działać na korzyść monsignora Gastaldiego, występując w razie potrzeby i w jego obronie. W miesiącu października przyszło do niego kilku prowokatorów z propozycją, aby kazał wydrukować w swej drukarni pamflet wypisany na wspomnianego arcybiskupa. Na związane z tym koszty ofiarowali mu poważną bardzo sumę pieniędzy. Święty poprosił, udając greka, o manuskrypt do przeglądu: było tego coś przeszło 1000 stronic. Oczywiście rzucił go zaraz do pieca. Miał z tego powodu dużo nieprzyjemności przez dłuższy czas, gdyż owi panowie zażądali odszkodowania. Nie trapił się tym jednak zadowolony, że mógł tak obronić honor swego ordynariusza.

Niedługo potem dowiedział się Ksiądz Bosko, że jeden dziennikarz miał przygotowany cały szereg artykułów ubliżających arcybiskupowi do najgorszego dziennika w mieście. Zaraz też podjął energiczne starania, aby tej publikacji przeszkodzić. Kosztowało go to drogo. Nie tylko, bowiem musiał owego złośliwca przepłacić, ale jeszcze przyjąć jego syna gratisowo na utrzymanie do Oratorium.

Ordynariusz wiedział bardzo dobrze o tych faktach: tym więc trudniej wytłumaczyć incydent ze suspensą, jaki przychodzi nam tu opisać.

Arcybiskup Gastaldi podpisał w marcu 1875 roku jurysdykcję do spowiedzi dla Księdza Bosko i księży Oratorium. Ksiądz Cagliario poszedł z końcem maja odebrać te dokumenty do Kurii, ale usłyszał tam, że zostaną one w swoim czasie odesłane do Oratorium. Jak to? – pomyślał sobie – jestem tutaj, dokumenty są podpisane, mógłbym je spokojnie odebrać, a tymczasem nie chcą mi ich wydać, lecz wysłać mają przez specjalnego gońca. A przecież dotąd wymagano, by się po nie zgłaszać. Coś tu jest niewyraźnego.

Aż oto z końcem października, kiedy Ksiądz Bosko stał na podwórzu otoczony księżmi i klerykami, podchodzi woźny z Kurii z jakimś pakietem i mówi do niego: „Bardzo się cieszę, że spotykam Księdza, gdyż mam dla niego ten oto plik papierów”. Ksiądz Cagliario spostrzegł zaraz, że to właśnie owe dokumenty jurysdykcyjne, więc zaintrygowany prędko wyciągnął rękę, a biorąc je zawołał: „Nie, nie. To do mnie należy”. Goniec oddał mu bez trudności cały plik, a on, czym prędzej pobiegł do swego pokoju, rozpakował go i na pierwszy miejscu wpadł mu w rękę dokument Księdza Bosko. Przegląda go i oczom swoim nie wierzy: wyczytał w nim „ad sex menses”, podczas gdy wszyscy inni kapłani otrzymali jurysdykcję ad annum – na cały rok. Zatrząsał się cały z oburzenia, ale się opanował i nikomu nie pisał ani słówkiem

tej prowokacji za wyjątkiem księdza Rua, któremu zlecił załatwienie tego, lecz tak, aby się Ksiądz Bosko o niczym nie spostrzegł. Kilka dni potem wyjechał do Ameryki.

Ksiądz Rua wysłał zaraz księdza Cibrario do Kurii do kanonika Zappata, wikariusza generalnego. Ten zobaczywszy dokument wybuchnął; „To już za wiele. Nie, nie. Tak nie można: Coś podobnego można by zastosować względem jakiegoś pijaczyny. Zaraz proszę powiedzieć Księdzu Bosko, aby spokojnie spowiadał dalej: ja mu daję jurysdykcję”.

Mógł tak spokojnie oświadczyć, gdyż Arcybiskupa nie było wtedy w Turynie.

Ksiądz Rua bardzo zmartwiony taił, jak mógł najdłużej całą sprawę przed swym Przełożonym. Ale kiedy ten wrócił z Ligurii po pożegnaniu misjonarzy, zdawało mu się, iż dalej nie może tego ukrywać. Ponieważ jednak nadchodziły Święta Bożego Narodzenia i Ksiądz Bosko dużo miał wtedy do spowiadania, więc jeszcze zamilczał przed nim o wszystkim, nie chcąc powodować sensacji, jaką by wywołała wiadomość o suspensie. Tymczasem nadeszło wezwanie z Kurii do arcybiskupa. Poszedł ksiądz Rua, który zaraz po kilku słowach zorientował się, iż nie dojdzie do porozumienia.

A czemu to ksiądz przyszedł a nie Ksiądz Bosko? – zapytał.

Bo Ksiądz Bosko jeszcze o niczym nie jest poinformowany.

Jak to? Przecież wysłałem specjalnego gońca, aby do własnych jego rąk doręczył owe pisma z wyraźnym zastrzeżeniem, by nie oddawał ich, komu innemu.

Posłaniec – zauważył ksiądz Rua – widocznie nie orientował się w sytuacji, a nie chcąc czekać, pozostawił dokumenty sekretarzowi.

Usłyszawszy to arcybiskup nie chciał podpisać jurysdykcji Księdza Bosko na rok następny.

Teraz nie mógł już ksiądz Rua dalej sprawy zamilczeć przed Księdzem Bosko. We wigilię więc Bożego Narodzenia zdając się na wolę Bożą, oświadczył Świętemu, że jego jurysdykcja do spowiadania już od dłuższego czasu wygasła.

Ten po świętach skierował do arcybiskupa jeden z tych listów, jakie tylko Święci umieją w pewnych sytuacjach pisać:

Ekscelencjo!

Dopiero we Wigilię pokazał mi ksiądz Rua moją jurysdykcję, która właśnie wygasła już we wrześniu. Wobec tego, że garnęło się do mnie wielu penitentów tak spomiędzy młodzieży jak i z poza Oratorium, uznałem za stosowne skorzystać z władzy przyznanej mi przez Ojca świętego spowiadania w nadzwyczajnych wypadkach wszędzie. Dzisiaj wszakże zaprzestałem spowiadać i jutro wyjeżdżam z Turynu, by uchylić się od natrętnych pytań, jakie ten fakt siłą rzeczy wywołuje.

Niniejszym zaś pokornie proszę o łaskawe podpisanie jurysdykcji dla mnie, celem uniknięcia plotek i skandalu a ponieważ tak surowe potraktowanie mnie każe się domyślać bardzo poważnych motywów podobnego kroku ze strony Waszej Ekscelencji, dlatego i jako prosty kapłan i jako przełożony, autorytatywnie zatwierdzonego Zgromadzenia przez Stolicę Świętą i przez nią wyznaczony, uprzejmie śmiem prosić, aby Wasza Ekscelencja był łaskaw podać mi je do

wiadomości, bym mógł naprawić to, co mi się zarzuca. Jeśli zaś uznałby za stosowne nie ujawnić mi tych motywów, wprost, ale przez Rzym, to i w tym wypadku ponownie proszę dać mi o tym znać, bym mógł jakoś wybrnąć z tej przykrej i dla mnie i dla mego otoczenia sytuacji.

Jakakolwiek będzie odpowiedź, to proszę ją skierować do Oratorium, skąd mi ją doślą do miejsca mego pobytu.

Równocześnie mam zaszczyt kreślić się z należną czią i szacunkiem względem Waszej Ekscelencji uniżony sługa.

Turyń, 26.12.1875 r.

Ksiądz Bosko zajechawszy następnego dnia do Borgo S. Martino musiał całą noc spędzić na modlitwie, gdyż kl. Nai, który sprzątał jego pokój, zastał następnego ranka jego łóżko nietknięte. Ale ani kl. Nai, który o wszystkim dowiedział się dopiero kilka lat później, ani inni we wspomnianym zakładzie niczego się nie domyślali, widząc, jak Święty załatwia normalnie sprawy z całym spokojem.

Dyrektor jednak zakładu, ksiądz Bonetti został w tę sprawę wtajemniczony. Znając jego żywy temperament i postępowanie zawsze szczerze i prostolinijne, nie zdziwiliśmy się znalazłszy w archiwum następujące dwa dokumenty. Są to dwa listy; jeden do kardynała Antonellego, drugi do Papieża.

Eminencjo!

Łaskawość, jakiej tyle razy doznałem od Waszej Eminencji ośmiela mnie, bym ponownie zwrócił się do niego o następującą łaskę. Mianowicie ośmielałam się pokornie prosić Go, aby raczył przedłożyć Ojcu świętemu załączony list, w którym przedstawiam Mu, co mnie boli i wzywam jego najwyższej interwencji. Ufny, że prośba moja zostanie uwzględniona, dziękuję z całego serca itd...”.

A oto załączony list do Papieża:

Ojcze święty!

Przede wszystkim proszę o przebaczenie, że i ja zasmucam już tak zboliałe serce Waszej Świętobliwości. Przebaczenia tego spodziewam się oparty na znanej mi dobroci Jego i na tym, że jestem członkiem Zgromadzenia Salezjańskiego, dla którego Świętobliwość Wasza jest najlepszym Ojcem i jego najwyższym Przełożonym.

Na pewno znane jest Waszej Świętobliwości prześladowanie ze strony Najprzewielebniejszego Księdza Arcybiskupa Gastaldiego Wawrzyńca skierowane przeciwko mojemu tak dobremu Przełożonemu, jakim jest Ksiądz Bosko. Wiem bardzo dobrze i za to składam z głębi serca płynące podziękowanie, jak Wasza Świętobliwość starał się położyć temu koniec przez wybitne osobistości:, ale niestety zabiegi ich nie przyniosły spodziewanego rezultatu. Owszem zdaje się, iż zawziętość wspomnianego prałata z dnia na dzień rośnie do tego stopnia, że ostatnio powziął decyzję, którą trudno zakwalifikować, a mianowicie, że tego tak godnego kapłana

zawiesił od spowiedzi w Archidiecezji Turyńskiej. Wasza Świątobliwość znając dobrze cnotę mojego Przełożonego łatwo uświadomi sobie, czy w ogóle jest możliwą rzeczą, aby on popełnił coś takiego, co by zasłużyło na karę, jaką wymierza się tylko siewcom zgorszenia.

Biedny Ksiądz Bosko cierpi z rezygnacją i spokojem:, ale jego zdrowie widocznie z dnia na dzień się pogarsza ku wielkiej boleści całego otoczenia. Ojciec Święty, znana jest wszystkim Wasza łaskawość, ale i też i w razie potrzeby dostojna stanowczość. A zatem ponieważ dotychczas zawiodła łaskawość, to czas teraz na środki bardziej radykalne, jakie podyktuje roztropność i sprawiedliwość, aby nareszcie położyć kres tak wielkiemu złu. Proszę o to w uroczystość świętych Niewiniątek, w dniu narodzin do nieba świętego Franciszka Salezego, chwalebne Patrona mego Zgromadzenia.

Może tym listem popełniam pewną niedyskrecję względem Waszej Świątobliwości. Ale ostatecznie Reguły nasze pozwalają nam pisać do Ojca Świętego nawet bez wiedzy Przełożonych. Wobec tego pokornie ufam, iż otrzymam przebaczenie tego zrywu mego bolejącego serca, może za śmiałego. Ale jest on wynikiem obawy poważnych skandali i załamania się między mymi Współbraćmi i mojej bezgranicznej wdzięczności względem Księdza Bosko, któremu po Bogu wszystko zawdzięczam. Jeżeli przypadło mi w udziale to wielkie szczęście, iż mogę walczyć w szeregach i tak już przerzedzonych Waszej Świątobliwości, jemu to zawdzięczam, bo on przed dwudziestu laty podniósł mnie z prochu, przyjął do swego Instytutu, wykształcił i wychował na kapłana: on dziesięć lat postawił mnie na czele zakładu, w którym wychowuje się z górą 200 chłopców, z których wielu wstąpi z pewnością do stanu duchownego: słowem jemu zawdzięczam wszystko, co umiem i czym jestem.

Ojciec Święty, tak wielka jest ufność moja, jaką pokładam w Waszej łaskawości, iż już teraz raduje się serce moje na myśl, iż w tej ciężkiej dla nas godzinie prośba moja zostanie uwzględniona i tak otrzymamy nowy dowód Waszej życzliwości względem Zgromadzenia Salezjańskiego, dla którego Wasza Świątobliwość raczy być Ojcem i Protektorem. Pozostanie jednak tajemnicą, jakich to formalności nie dopełnił Ksiądz Bosko, a które niby miały być przyczyną tak przykrego zarządzania ze strony arcybiskupa”.

Ksiądz Rua po rozmowie z arcybiskupem dnia 29 grudnia tak pisał do niego następnego dnia komentując odniesione z niej swoje wrażenia:

„Zbolały wielce z powodu rozdarcia, jakie zdaje się dzieli Waszą Ekszelencję od naszego Zgromadzenia, a zwłaszcza od naszego Założyciela, ośmielam się zauważyć, iż wiele z tych uprzedzeń, jakie do nas żywi Wasza Ekszelencja znikłoby, gdyby Ekszelencja raczył wysłuchać naszych wyjaśnień. Proszę mi wybaczyć, jeśli czy ustnie, czy pisemnie wymknęło mi się, jakieś słowo mniej stosowne. Pewno, że ile razy słyszę coś ujemnego pod adresem Księdza Bosko, naszego drogiego Przełożonego, to odczuwam wielki ból i na ile moją niskość stać, występuję w Jego

obronie. Już od tylu lat jestem przy jego boku i podziwiam, ile dobrego działa i jak mu Bóg błogosławi. Wszak najśmielsze Jego i wprost ryzykanckie przedsięwzięcia z pod Jego ręki dochodzą do wspaniałych wyników tak, że trzeba przyznać, iż towarzyszy mu szczególniejsza łaska stanu. Dla mnie oczywistą jest rzeczą, iż Opatrzność Boża wyznaczyła mu szczególniejszą misję i nie skąpi mu nadzwyczajnych pomocy do jej spełnienia mimo sprzeciwów, jak to już przydarzało się i innym Świętym, ze strony wysoko postawionych osobistości. Mówię o tym na swe usprawiedliwienie, mego wczorajszego może za gorącego wystąpienia i jeśli, w czym uchybiłem Waszej Ekscelencji niniejszym proszę pokornie o wybaczenie, które spodziewam się otrzymać.

Oto język Świętych łączących pięknie sprawiedliwość z miłością, kiedy stają w obronie Świętych, z właściwą im delikatnością. Jakże on jest różny od tego, jakim posługiwała się Kuria Turyńska względem Księdza Bosko.

Ksiądz Bosko dał zaraz znać kardynałowi Berardi o zmianie sytuacji, który tak wyraził z tego swoje zadowolenie:

Stimatissimo Signor Don Giovanni!

Dopiero, co wczoraj wieczorem doszedł mnie jego drugi list z 19 grudnia, który przyniósł mi pocieszającą wiadomość, że już się sprawy ułożyły. Doprawdy bardzo się tym ucieszyłem i wstrzymałem dalsze swe kroki w tym względzie. Zawsze jednak jestem gotów służyć, jeśli by coś trzeba uczynić jeszcze. Proszę mnie tylko zawiadomić, a natychmiast się tym zainteresuję. W takim jednak wypadku poproszę o dokładne poinformowanie mnie o wszystkich najdrobniejszych szczegółach. Trzeba przy tym postępować z największą roztropnością i rezerwą. Gdy będę mógł osobiście porozmawiać o tym, na ten czas powiem Księdzu wszystko, co czuję. Poczta lepiej tych spraw nie załatwiać. Polecając się modlitwom. itd.”.

A oto, co o tym incydencie pisał monsignor Fratejacci, powiadomiony przez kardynała Berardi:

„Tak, Księżę Bosko, można się śmiać z podobnej suspensy. Przecież tu w Rzymie swego czasu był suspendowany przez kardynała Wikariusza pro tempore Apostoła Rzymu św. Filip Nereusz. Przyjął on ten dekret z kapeluszem w ręku mówiąc: To wyśmienie. Teraz lud przekona się nareszcie, co warta moja skóra. Wszyscy okazywali mi szacunek, bo mnie nie znali; a teraz nareszcie przekonują się, co to za indywiduum ten Ojciec Filip. Podobne migawkowe oscylacje między jasnością, a ciemnością w życiu ludzi tylko lepiej uwypuklają ich cnoty. To są owe podcieniowania niezbędne, by nadać rysunkom postaci więcej życia”. /Wyjątek z listu 9 stycznia/.

Śmiać się jednak z podobnych przeżyć nie było w stylu Księdza Bosko, którego postępowanie wielce różniło się od stylu życia św. Filipa Nereusza. Najwięcej trapiło go to, iż nie mógł dociec właściwej przyczyny podobnego kroku swego ordynariusza

i obawiał się, czy przypadkowo nie było na niego, jakiego oszczerczego donosu w materii delikatnej.

Wiadomość o tej suspensie powoli rozeszła się i wśród sfer duchowieństwa piemonckiego, a tym samym i między salezjanami. Na konferencjach styczniowych roku 1876 zagadnęli go poufnie dyrektorzy i na ten temat. Ksiądz Bosko tak się wtedy wyraził: „Cóż robić? W Rzymie obawiają się nowych ekscesów ze strony arcybiskupa. Rzym nie chce popychać do nowych nie obliczalnych kroków. Tego i sobie nie życzę. Zresztą któż by tego mógł pragnąć? O wiele lepiej będzie trochę pocierpieć, schylić głowę i milczeć. Te trzy słowa: cierpieć, schylić głowę i milczeć – to trzy świetliste promienie, stanowiące aureolę świętości naszego wielkiego Założyciela, który objawiły całemu światu wielkość jego ducha.

R O Z D Z I A Ł XXIII

WROGA PRASA O KSIĘDZU BOSKO

Chociaż pewne dzienniki, obecnie już zapomniane, ani nawet na wzmiankę by nie zasługiwały, to jednak może być interesujące poznać, do jakiej bezczelności i do jakich oszczerstw zdolna jest posunąć się złośliwość ludzka podsycana nienawiścią sekciarską.

Na pierwszym miejscu wymienić wypadnie szmatławca pod nazwą „Pulce - Pchła”. Zdziwić może bezkarność, z jaką wolno mu było napadać na wszystkich bez wyjątku. Szydził on sobie i drwił z osób najbardziej w świecie poważnych. W numerze 5, jaki wyszedł w niedzielę 17 stycznia 1876 roku, prowokacyjne jego kpiny doszły do swego szczytu. Artykuł był zatytułowany: L'avvelticio di Valdocco. Jastrząb z Valdocco. Przymioty tego okrutnego skrzydlatego drapieźcy, posłużyły, jako punkt wyjścia i tło do przedstawienia postaci tak moralnej, jak fizycznej Księdza Bosko w takim świetle, że trzeba by go wprost zaliczyć do jakichś zwyrodnialców. Cały jego życiorys to była właściwie świętokradcza karykatura. O co autorom chodziło, wynika jasno z ostatnich słów, kiedy piszą: W najbliższym czasie zamiast cudami Księdza Bosko, będą musiały trybunały zająć się jego złodziejstwami: zagarnął on półmilionowy spadek po takim niedołężnym starcu, jak był hrabia Belletrutti, choć ten ma syna, któremu nic nie pozostawił. Zarzut ten zrobił przecież wrażenie na czytelnikach, bo jeszcze w roku 1918 jakaś skrupulatna osoba uważała za stosowne poruszyć tę sprawę u najwyższych instancji. Uważamy, więc za nasz obowiązek rzecz tę przedstawić we właściwym świetle.

Hrabia generał Filip Belletrutti ze S. Biagio umarł 17 września 1873 roku wyznaczony Księdza Bosko na generalnego spadkobiercę i wykonawcę testamentu, a to „w tym celu, aby dopomóc mu w prowadzeniu jego dzieł dla dobra młodzieży ubogiej i opuszczonej”.

Gdy ogłoszono wolę zmarłego, jego syn naturalny, imieniem Józef Filip Proton i jego dwaj bratankowie zakwestionowali testament, zgłaszając do spadku swe pretensje, jako najbliżsi krewni. Księdzu Bosko zarzucali przy tym skaptowanie sobie generała, a równocześnie podkreślali, iż spadek zapisany jest na niego, jako przełożonego instytucji, która prawnie nie może dziedziczyć. Sprawa poszła na drogę sądową. Kiedy Ksiądz Bosko wniósł apelację od wyroku trybunału w Turynie, na ten czas owi dwaj bratankowie wystąpili również przeciw roszczeniom Protona, a jemu zaproponowali polubowne załatwienie całej tej sprawy. Święty na to się zgodził. Proton dowiedziawszy się o tym, zaczął lżyć publicznie Księdza Bosko. Spotkawszy

go raz na mieście, wyzwiał go od najgorszych, a mało brakło, żeby się był rzucił na niego; tylko przechodzący żołnierze powstrzymali go i Ksiądz Bosko mógł spokojnie pójść za swymi interesami. Trzeba tu dodać, że ten zawadiaka już kilka lat przed tym sądownie miał zabronione posługiwać się nazwiskiem hrabiego Belletrutti, jak sobie do tego rościł pretensje, a przyznane mu zostały tylko alimenty.

Sprawa ta ostatecznie z owymi bratankami załatwiona została w styczniu 1875 roku, z tym, iż Ksiądz Bosko przejmie na siebie zaspokojenie pretensji Protona. Ten jednak później uznał bezpodstawność swych żądań, przeprosił Księdza Bosko, który ze swej strony nie odmawiał mu swej pomocy w dalszym jego życiu. Ksiądz Rua wystarał mu się o posadę przy bazylice Serca Jezusowego na Montmartre w Paryżu.

Drugi dziennik, który w tym samym roku napadł na Księdza Bosko to był: *La nuova Torino*. Mimo, że tytułował się jako *Giornale industriale*, *Dziennik przemysłowy*, to jednak ze szpalt jego wiała straszna nienawiść antyklerykalna. Numer 65 ze soboty 6 marca zawierał następujący artykuł, protestujący przeciw budowie kościoła świętego Jana Ewangelisty w Turynie, pod tytułem: *Don Bosco i protestanci*:

Wielebny Ksiądz Bosko, co to ma zaszczyt raz na miesiąc rozmawiać z Domineddic – z Panem Bogiem i stale zanudza bliźnich ciągłą żebraniną, zdecydował się zasypać Turyn tymi kościołami, które mu się przyśniły. I rzeczywiście, co jakiś czas powstaje nowy pod jego egidą. Ostatecznie można by wytrzymać, gdyby to były jakowe budowle monumentalne, budowane za jego pieniądze, bez ujmy dla innych, ale dzieje się właśnie na odwrót. Rozgoryczony, że w Turynie istnieje kościół protestancki, ten pokorny Sługa Boży, mimo że już ma w trakcie budowy inne, wbił sobie w głowę, że musi jeszcze jeden postawić i to tuż przy świątyni protestanckiej. I rzeczywiście różnymi swymi kręctwami, piszemy o tym ze wstrętem, otrzymał dekret wywłaszczający niby na cele publiczne jednego obywatela protestanta, osiadłego tam w pobliżu. Czyż doprawdy już nie ma w Turynie innego miejsca pod kościół? Czyż jest rzeczą roztropną budować koło siebie dwa domy modlitwy różnych wyznań? Czyż to było sprawiedliwe postępowanie? Tylko w Turynie gdzie dominuje jeszcze czarna sutanna, jest jeszcze możliwe, w roku pańskim 1875, otrzymać dekret wywłaszczający pod pozorem użyteczności publicznej protestanta na rzecz jakiegoś intryganckiego klechy.

Vituperari ab iniviquis laudari est – Być lżonym przez bezbożnych jest zaszczytem. A teraz kilka słów wyjaśnienia w tej sprawie. Z chwilą rozpoczęcia budowy tego kościoła okazało się, że jeśli do nabytego już terenu nie włączy się drobnego stosunkowo skrawka ziemi, nie będzie można zachować odpowiedniej linii wzdłuż *Corso Vittorio Emanuele II*. Otóż właśnie ten skrawek terenu należał do jednego protestanta. Już było wszystko z nim ułożone, kiedy wdali się w tę sprawę Waldensi, obiecując właścicielowi odpowiednią sumę, jeśli zerwie kontrakt. I rzeczywiście ten stanąwszy u notariusza dla ostatecznego załatwienia kontraktu, nie zgodził się na ustalone warunki, ale zażądał nie mniej ni więcej jak tylko 135 tysięcy lir za teren ok. 350 m/kw. Oczywiście chodziło tylko o zerwanie umowy stosownie do życzenia Waldensów.

Ksiądz Bosko jednak nie zniechęcił się. Wystąpił z prośbą do rządu, ażeby budowę kościoła św. Jana Ewangelisty uznano, jako budowlę użyteczności publicznej. Ministerstwo zwróciło się do Prefektury turyńskiej, a ta do Magistratu, który wydał opinię negatywną, stwierdzając, że kircha Waldensów wystarcza, jako ośrodek kultu dla pobliskiej dzielnicy. Sprawa została przedłożona Radzie Państwa, ale i tu nie było dużo nadziei. Minister robót publicznych Sylwiusz Spaventa zapewnił Magistrat turyński, że nigdy nie zgodzi się na wspomnianą budowę. Sprawę tę jednak popierał bardzo markiz della Veraria. Mimo to wszyscy byli pewni, iż prośba zostanie odrzucona. Tymczasem, rzecz nadzwyczajna, głosowanie wypadło na korzyść Księdza Bosko. Kościół św. Jana Ewangelisty został uznany, jako budowla użyteczności publicznej, stąd mogło nastąpić wywłaszczenie wspomnianego skrawku terenu. Dekret został wydany. Potrzebny był jednak jeszcze podpis króla, o co musiał Ksiądz Bosko zabiegać osobiście. Król podpisał w lutym tegoż roku 1875. Ale nie na tym koniec. Podpisany dokument leżał już 3 miesiące w Turynie, ale nikt o tym nie zawiadomił nikogo w Oratorium. Ponieważ jednak Ksiądz Bosko dobrze wiedział, że pismo to zostało wysłane do Turynu, zgłosił się więc pewnego dnia u Prefekta, prosząc o ogłoszenie dekretu w dzienniku urzędowym. Prefekt odpowiedział, że takie pismo jeszcze nie nadeszło.

A jednak jestem pewien, że ono tu zostało przesłane – zaprotestował Ksiądz Bosko.

A skąd to Ksiądz wie?

Pan wybaczy, że mu nie powiem, ale proszę sprawdzić i przekona się Pan, że dekret tu jest.

Prefekt zawołał sekretarza. Ten również oświadcza, że takiego dokumentu jeszcze nie ma w prefekturze. Ksiądz Bosko nalega, pewny swego. Sekretarz przyparty do muru ostatecznie decyduje się poszukać. Poszedł, poszukał, a może i nie szukał oraz wrócił z dekretem, mówiąc:

A jednak znalazł się. Był zarzucony między papierami, nie zwróciłem na niego uwagi.

I tak dekret został nareszcie podany do publicznej wiadomości, wobec czego można było rozpocząć działania w oparciu o niego. Ale oto wyszła nowa przeszkoda, mianowicie ów plac zawalony był materiałami budowlanymi, których właściciel zażądał poważnej sumy za usunięcie ich. Zwołana specjalna komisja dla oszacowania kosztów usunięcia wspomnianych materiałów, oszacowała je na 22 tysiące i 500 lir, w której to sumie mieściła się także cena terenu.

Chciał Ksiądz Bosko jeszcze dokupić drugą część placu, o którym mowa, razem z domkiem owego protestanta. Chodziło mu o wybudowanie przy kościele zakładu. Gotów był dwa razy tyle zapłacić, ile ten teren wart był. Właściciel zgodził się i jego rodzina, ale znowu wmieszali się w tę transakcję Waldensi. Właściciel za pierwszym razem nie stawiał się u notariusza. A kiedy go w kilka dni do kontraktu zavezowano urzędowo, podniósł cenę tak wysoko, że prokurator Księdza Bosko stracił cierpliwość i podarł na drobne kawałki napisany projekt kontraktu, wołając: To są

kpiny nie załatwianie sprawy. Ale w tym czasie mury kościoła już szybko rosły ku niebu na złość Waldensom.

Osobą Księdza Bosko zainteresował się także liberalny dziennik *Opinione*, organ partii rządzącej. Pisał on o Świętym z pewną dozą niechęci, lecz nie wrogo. Wspominając o zatargu z arcybiskupem stawiał raczej po stronie Księdza Bosko. W numerze 271 z 5 października w artykule pod tytułem: *Discordie clericali* tak czytamy: „W wielu diecezjach Piemontu i Ligurii ten pobożny i niezmordowany kapłan zakłada i utrzymuje szkoły, kolegia i różne instytuty. Sława jego imienia przepłynęła już oceany i rozbrzmiewa już po całej Ameryce Południowej, gdzie również zapoczątkował swe dzieła i te rozwijają pomyślnie swą pracę.

Czytamy dalej w tymże artykule, że „pobożność i przedsiębiorczość turyńskiego księdza, jako też podziwiania godne owoce jego inicjatywy przypominają protestanckiego Franke, który żył w XVII wieku i doprawdy mu dorównują. Bo rzeczywiście bez własnych funduszków, bez poparcia rządowego, ten turyńczyk z prywatnych ofiar zbudował kościoły, otworzył szkoły, założył przytułki, seminaria i kolegia. Sam kościół i szkoły na Valdocco musiały kosztować więcej niż milion. Wychowankowie jego kolegiów liczą się już na tysiące i na pewno nie na tym koniec działalności księdza Bosko”.

Korespondent ten jednak nie łudzi się, jakoby Ksiądz Bosko działał po linii przez niego wyznaczonej i wyraźnie stwierdza: „Zbytecznym byłoby tutaj zwracać uwagę, iż owa walka wydana nędzy i ciemnocie przez pobożnego kapłana ma jedynie na celu obronę Kościoła podniesienie jego powagi w oczach społeczeństwa”. Na potwierdzenie tego wspomina o założeniu seminariów mających na celu ułatwienie dojścia do kapłaństwa młodzieńcom po odbyciu służby wojskowej.

Wywody te kończą się przestrogą, aby nie tracić z oczu tych postępów klerykalizmu między społeczeństwem, który tenże chce opanować przez wychowanie młodzieży. Przecież stronnictwo liberalne nie może pogodzić się z kierunkiem nauczania, jaki panuje w szkołach i instytutach Księdza Bosko, którego pobożność i działalność mimo wszystko godna jest podziwu i liberałowie dobrze by zrobili, naśladowując jego poczynania na polu cywilizacyjnym i naukowym.

Ostatecznie powyższe wywody można w dobrej wierze przyjąć. Niestety, że po nich następuje atak i to bardzo gwałtowny na arcybiskupa turyńskiego, o którym mówi się, „jako o despocie i tyranie, który w swej diecezji sprawuje twarde i absolutne rządy. Przed jego wolą wszyscy księża muszą się ugiąć. Jeden tylko kapłan zdołał uchylić się z pod tego prawa, a jest nim Czcigodny Ksiądz Bosko. Jest to ostry cień, jaki kłuje strasznie serce monsignora Gastaldiego i nie daje mu spokoju”.

I nie na tym koniec wywodów dziennikarskich. Mówi się tam jeszcze o ordynariuszu, który nie chce słyszeć o żadnej egzempcji z pod jurysdykcji biskupiej, ani o seminarium dla Synów Maryi, a dalej o Księdzu Bosko, który „na swoim terenie jest jakby małym biskupem” z autorytetem, który sięga daleko poza mury Turynu i ma wielkie wpływy w Rzymie u samego Ojca świętego. Nie, u kardynałów i innych prałatów.

Łatwo nam sobie wyobrazić jak bolały Księdza Bosko podobne wywody tak dalekie od prawdy. Niedługo po ukazaniu się wspomnianego artykułu odezwało się inne piśmidło turyńskie „Fischietto”, które nie tylko gwizdało sobie ze wszystkiego, ale i ze wszystkich. Było tam takie wyrażenie pod adresem Księdza Bosko wśród całego szeregu płaskich i wulgarnych słów, że „wydziobuje on testamenty u łoża umierających”.

I wszystkie te mniej lub więcej niesmaczne ataki znosił Ksiądz Bosko z całym spokojem stoickim, pomny przysłowia, że „pies szczeka a wiatr niesie”. „Psie głosy nie idą pod niebiosy”. Temu zaś, kto chciał na to reagować, nie pozwolił mówiąc: „cierpliwość, panią wszechrzeczy” i że minie. Poczciwcy ci atakują Księdza Bosko, który tylko chce zrobić dobrze wszystkim. To mimowolni przeciwnicy dzieł Bożych. Opatrzność udaremni wszelkie ich zasadzki.

ROZDZIAŁ XXIV

NIEKTÓRE WYDARZENIA NIEZWYKŁE

Zdarzenia o charakterze nadprzyrodzonym stale wplatały się w życie Księdza Bosko. W roku jednak 1875 nie mamy ich wiele. Może nie, dlatego, że ich nie było, ile raczej, dlatego że poszły w niepamięć. A oto, co nam przekazano.

W marcu umarł w Oratorium chłopak imieniem Salwator Pagani, uczeń pierwszej klasy prowadzonej przez ks. Veronesiego. Ksiądz Bosko przepowiedział, że w czasie najbliższego ćwiczenia dobrej śmierci umrze jeden z wychowanków. Było to w karnawale i padał śnieg. Pagani wychodząc z kościoła rano, wziął swoją bułkę i kawałek kielbasy, jaki chłopcy otrzymywali na ćwiczenie dobrej śmierci. Po kilku godzinach poczuł się słaby, zatelegrafowano po ojca, który przyjechał w nocy, ale zastał syna już martwego.

Kiedy Święty wyjeżdżał z Turynu, odprowadzając misjonarzy do Genui, wszedł do tego samego przedziału gdzie był już niejaki Cerrato z Asti, który przyjechał umyślnie na ceremonię pożegnania misjonarzy. To był człowiek, starszy już, wielki dobrodziej Oratorium. W swoim miejscu rodzinnym założył on „Piccola Casa” na wzór instytutu Cottolengo. Nie mógł jednak znaleźć sióstr zakonnych, które by opiekowały się tym domem. Dwa dni przedtem, w Piacenza, rozmawiał ze siostrami św. Anny, ale właściwie nic nie zakonkludował z nimi. Udał się, więc w Turynie z bilecikiem Księdza Bosko do ojca Anglesio przełożonego Małego Domu Boskiej Opatrzności, czy by on nie mógł mu użyczyć kilku sióstr, ale i ten odprawił go kilku życzliwymi słowami i nic więcej. Otóż ten pan właśnie siedział już w wagonie i pociąg gwizdnął przed odjazdem, gdy Ksiądz Bosko zwraca się do niego:

„Niech pan, czym prędzej wysiądzie i niech popróbuje pertraktować z ojcem Anglesio. Sprawa zostanie załatwiona. Pan Cerrato usłuchał, czym prędzej wysiadł, a pociąg w tej chwili ruszył. Nie wyszedł jeszcze ze stacji, gdy napotkał posłańca od ojca Anglesio z bilecikiem: „Niech pan przyjdzie, a może da się coś zrobić w tej sprawie, którą omawialiśmy”. Oczywiście Cerrato poszedł do Cottolengo tego samego wieczoru, choć już była dziewiąta i po prostu w jednej chwili wszystko zostało załatwione. Ktokolwiek byłby na jego miejscu, uznałby ten wypadek za nadzwyczajny, jak zresztą uznał go i sam Cerrato.

Między tymi, co mieli wyjechać na misje do Argentyny był ks. Walenty Cassinis. W samym dniu odjazdu ogarnął go wielki smutek i nie mógł się uspokoić tak, że stał w jakimś kącie i gorzko płakał. Zauważył to Ksiądz Bosko i pyta

o przyczynę takiego wzruszenia. Płaczę – odpowiada zagadnięty – bo muszę opuścić Księdza Bosko i już go więcej w tym życiu nie zobaczę. O drogi Cassinis – pocieszyl go Święty – bądź spokojny. Zobaczymy się jeszcze. Zapewniam cię.

„Ksiądz mi tak mówi tylko, by mnie uspokoić. Ale ani Ksiądz do Ameryki nie przyjedzie, a i ja zdaje się do Włoch nie wrócę”.

„Bądź spokojny. Na pewno przed śmiercią jeszcze się obaj zobaczymy. Zapewniam cię o tym. Ksiądz Bosko ci to mówi”.

Przy rozmowie tej obecny był ksiądz Rua.

Cassinis odjechał uspokojony. Po dwunastu latach pobytu na misjach w Argentynie wziął go ksiądz Cagliario na towarzysza podróży, kiedy w roku 1887 wybierał się do Włoch. Ksiądz Cassinis wcale o to nie prosił i bardzo był zdziwiony tą propozycją.

Pewnego dnia po przyjeździe do Turynu spotyka Księdza Bosko, który go zgaduje: „Nie mówiłem ci, że przecież jeszcze przed śmiercią się zobaczymy?”. Ksiądz Cassinis przypomniał sobie scenę z przed wielu lat i wzruszony ucałował ze łzami rękę Świętego.

Ale są jeszcze inne zdarzenia świadczenia o duchu proroczym tego Męża Bożego. Constanza Cardetti, dziewczyna lat piętnastu, była stale nagabywana złośliwie przez swego ojczyma, lecz za łaską Bożą zdołała oprzeć się wszelkim pokusom. Domu jednak nie mogła opuścić. Kiedy przedstawiła swoje położenie spowiednikowi, ten polecił jej powiedzieć wszystko matce. Matka długo nie namyślając się, pospieszyła do Księdza Bosko o poradę. Dajcie to waszej córce – rzekł Święty – wręczając jej medalik Najświętszej Wspomożycielki. Niech go nosi na szyi. Jeszcze przez dwa lata będzie musiała znosić te nagabywania, ale pod opieką Matki Najświętszej cnoty ustrzeże.

Matka zawieszając medalik córce na szyi, powiedziała jej słowa Księdza Bosko. I rzeczywiście przez dwa lata sytuacja trwała bez zmian. Po dwóch latach i 8 dniach, ni stąd, ni zowąd ojczym, który dotąd nie pozwalał jej absolutnie opuszczać domu, w święto Wniebowzięcia wysłał na stałe Constanzę do miejscowości odległej od jej domu rodzinnego 12 kilometrów. Dziewczyna zadowolona nie kazała sobie tego powtarzać dwa razy i już więcej do domu nie wróciła, lecz wstąpiła do zakonu w Cuneo, gdzie żyła jeszcze w roku 1903, gotowa zawsze pod przysięgą potwierdzić powyższe swe przeżycie.

Spotykamy także w roku 1875 wypadki odczytywania myśli drugich. I tak ksiądz Mandillo, rektor kościoła w jednej miejscowości w pobliżu Turynu, został wysłany przez Ojca Carpignano, filipina, do Księdza Bosko po poufne informacje w pewnej sprawie. Osobiście go nie znał. Gdy już był w pobliżu Oratorium, natknął się na niego. Wtedy Ksiądz Bosko pozdrowił go po imieniu i rzekł: „Ksiądz przychodzi od ojca Carpignano w tej i tej sprawie; otóż proszę mu powiedzieć to i to

oraz pożegnał go. Ksiądz Mandillo osłupiał, bo absolutnie niemożliwą było rzeczą, by ktoś mógł powiedzieć Księdzu Bosko, po co on przychodził.

Kiedy indziej spotkał Święty dwie siostry, Córki miłości, na placu przed kościołem Najświętszej Wspomożycielki, które przychodziły właśnie pomodlić się o zdrowie dla swej przełożonej chorującej ciężko na nogę. Bez żadnych wstępów powiedział im, po co przyszły i zapewnił, że przełożona wyzdrowieje i będzie jeszcze długo żyła, co rzeczywiście się sprawdziło.

Opowiadał jeden staruszek z Borgo S. Martino następujący fakt, kończąc zawsze swe opowiadanie sakralnym zwrotem: „A to, co mówię jest prawdą, jak prawdą jest, że zostałem ochrzczonym”. Zdarzenie zaś przez niego opowiedane było następujące: W roku 1875 szedł Ksiądz Bosko razem z księdzem Proboszczem przez ową miejscowość, przeciskając się wśród ludności wyległej na ulice, by go oglądać. Drogę zastąpili mu ludzie niosący niewiastę o sparaliżowanych nogach, która zaczęła błagać Świętego, by ją uzdrowił. Ksiądz Bosko zlitował się i pobłogosławił ją, mówiąc: A pamiętajcie w niedzielę pójść na Mszę świętą. I faktycznie niewiasta owa już całkiem zdrowa mogła spełnić dane jej zalecenie.

Wspomnimy tu jeszcze o jednej łasce nadzwyczajnej, jaka dostała się do publicznej wiadomości w roku 1875. Niejaki Eugeniusz Ricci, syn barona z Ferres, bawiąc się z bratem Karolem i ze swoim kuzynem, skoczył nieszczęśliwie przez rów i złamał nogę. Ksiądz Bosko lubił tego doraźnego kalekę dla jego pobożności, więc odwiedził go, przyjęty z oznakami żywej radości z jego strony. W czasie rozmowy z nim, by użyć słów ojca jezuita, który nam ten fakt przekazał, „z tym łagodnym, pokornym, a nie mniej czcigodnym spojrzeniem, które pociąga i ujarzmia serca” odezwał się do chłopca:

Mój drogi, bardzo bym się cieszył, gdybyś był złamał i drugą nogę.

Co Ksiądz Bosko mówi?

A no tak – ciągnął dalej Święty – bo wtedy lepiej byś mógł ocenić potęgę Madonny przy uzdrowieniu cię. Nie trać odwagi: z końcem miesiąca będziesz mógł udać się w podróż. I tak się stało, gdyż chłopak miał wyjechać do jednego z konwiktów w Paryżu.

ROZDZIAŁ XXV

KONIEC ROKU

Ukoronowaniem roku 1875 była radosna wiadomość o szczęśliwym przybyciu misjonarzy do Argentyny, której to radości nie mogło zakłócić Księdzu Bosko nawet owo suspendowanie go od spowiedzi. Ostatni miesiąc spędził on ze swymi ukochanymi w Oratorium.

Oprócz rzeczy już wspomnianych nie wiele szczegółów pozostaje nam do omówienia. Z tego miesiąca mamy tylko przekazane dwie jego konferencje: pierwsza dla nowicjuszków, a druga to właściwie słówko wieczorne w dniu starego roku.

Nowicjusze, jak wspomniano, wyłączeni zostali z życia wspólnego Oratorium i stanowili w nim jakby osobny dom dla siebie. Stąd nie brali udziału we wspólnych praktykach pobożnych zakładu, ani nie bywali na słówkach wieczornych Świętego. Za to miewał on dla nich w następnych latach osobne konferencje, mające ich uformować w duchu Zgromadzenia. Pierwsza taka konferencja wyłącznie dla nich, odbyła się 13 grudnia. Mówił na niej o drogocенności powołania, pouczał, jak się ustosunkować do różnych nasuwających się wątpliwości w tym względzie i podał środki do jego ustrzeżenia. Oto jej zasadnicza treść:

„Pierwszy raz jak do was przemawiam i cieszę się, że będę mógł od czasu do czasu tu przychodzić i powiedzieć wam, co w szczególniejszy sposób jest dla was odpowiednie. Cóż, więc dzisiaj mógłbym wam powiedzieć? Zacznę od tekstu Ewangelii na uroczystość św. Łucji; „Simile est regnum Dei domini negotiatori quaerenti bonas Margaritas”. Podobne jest Królestwo Boże człowiekowi kupcowi poszukującemu dobrych pereł. Jakaż to jest ta perła? Różne to ma znaczenie. Za perłę uważać można każdą cnotę. Wielu w tej perle ewangelicznej widzi cnotę wiary, przez którą otwiera nam się dostęp do Królestwa Niebieskiego. Może nią być wychowanie i wykształcenie religijne.

Gdy jednak przychodzi mi mówić z młodzieżą dorastającą, a więc z wami to uważam, że dla was najdroższą perłą, skarbem prawdziwym jest poznanie swego powołania. Powołanie zakonne, czy kapłańskie uważam za tę perłę, od której nie masz droższej na tym świecie. Oczywiście nie znaczy to, jakoby o innych perlach nie trzeba już myśleć; owszem trzeba, ale właśnie znalazłszy perłę powołania bardzo łatwo znajdziemy inne w jej sąsiedztwie, bo „Venerunt mihi omnia bona pariter eum illa”.

Pewno, że kiedy młodzieniec ma decydować o swej przyszłości, nasuwać mu się będą tysięczne myśli o urojonym szczęściu. Będzie marzył o używaniu świata, o sławie, o bogactwie; a w życiu zakonnym będzie widział tylko nudy, pogardę,

umartwienie, ciągle posłuszeństwo. Jak się na to zapatrywać? Święty Ignacy Loyola dał w tym względzie odpowiedź świętemu Franciszkowi Ksaweremu, który podobne pokusy przechodził, stawiając mu pytanie: „Cóż to wszystko znaczy na wieczność?”. Podobnie i święty Filip Nereusz pytaniem: A potem... a potem? naprowadził na dobrą drogę pewnego młodzieńca. Takie rozumowanie odnosi się do wypadku, gdy przypuścimy, iż marzenia miałyby się spełnić. Ale któż was może zapewnić, że się spełnią. Że zdasz maturę. Że ukończysz uniwersytet. Że zdobędziesz posadę? Dziś właśnie zgłosił się do mnie jeden z dawnych wychowanków tutejszych, który tak sobie idealnie wyobrażał życie i prosił mnie o wsparcie, mówiąc ze łzami w oczach: „Nie jeden, gdy jest w Oratorium, wyobraża sobie poza nim nie wiadomo co; a tymczasem w świecie czekają go tylko zasadzki, zdrady, kłopoty i rozczarowania...

Słusznie mówił, bo „mundur totus in maligno positus est”. Gdy natomiast w zakonie znaleźć można nie tylko pokój, którego świat dać nie może i zbawić swoją duszę; ale dobry zakonnik znajdzie w nim i to, czego właściwie w świecie wyrzekł się, a nawet więcej. Pozwólcie, że tu przytoczę wyraźny przykład na potwierdzenie tego, wskazując na tu nieobecnych: Ksiądz Cagliero, czym był w świecie? Gorliwym może gdzieś kapłanem, czy znanym w ciasnym kółku muzykiem. A obecnie pisze o nim prasa włoska i zagraniczna, cieszy się sławą wielkiego kompozytora, kaznodziei, profesora teologii i misjonarza /oczywiście my dziś możemy dodać wybitnego biskupa a później kardynała/; albo Gioa czy Belmonte? Pierwszy byłby sobie nie znany poza swą wioską szewcem, drugi może, jakimś lokajem... a jako członkowie naszego Zgromadzenia, byli przyjmowani przez Ojca świętego, przez kardynałów i cieszą się pełnym uznaniem u wszystkich, podziwiających ich działalność. Czy nie sprawdza się tu owo Chrystusowe „centuplum” – stokrotnie otrzyma, kto wyrzeka się świata dla Chrystusa. A więc „manete in vacazione, qua vocati estis” – trwajcie w powołaniu, bo ono wielkim jest skarbem, dla którego wszystkiego warto się wyrzec.

A czy doprawdy jest tak trudno dojść do przekonania, że się ma powołanie zakonne? Uważam, że nie. Skoro was Bóg postawił w takich warunkach, że tylko wystarczy postępować naprzód z dobrą wolą, a wyraźnie widzi się kierunek przyszłego życia, jest to najlepszy dowód waszego powołania. Mogę was zapewnić, że wy obecni tu, wszyscy macie na pewno powołanie do Zgromadzenia. Weszliście do niego z dobrą wolą, czuliście się szczęśliwi, dowiedziawszy się, iż jesteście przyjęci i to był znak od Boga, jakby pieczęć na waszą i przełożonych decyzję. Wszystkie następne wątpliwości – to pokusy.

A może ktoś powie, że nowicjat jest po to, by przekonać się, czy się ma powołanie czy nie? Nie, nowicjat nie jest czasem na badanie, czy jest się powołanym do życia doskonalszego, ale raczej ma służyć do wypróbowania swych sił i woli, czy się wytrwa w powołaniu i godnie.

W nowicjacie trzeba pogłębić i lepiej zrozumieć powiedzenie Chrystusowe: „Kto chce iść za mną, niech zaprze się samego siebie, weźmie krzyż swój i naśladuje

mnie”. O tak, rozważajmy często cierpienia Jezusa Chrystusa, a wtedy nie będzie nam ciężkie ani posłuszeństwo ani ubóstwo, ani jakiegokolwiek cierpienie.

Pewno, że szatan nie będzie ustawał nagabywać nas swymi pokusami. Zacznie od podsuwania nam myśli, iż w świecie moglibyśmy działać dużo dobrego. Następnie będzie wyolbrzymiał nam trudności życia zakonnego, to znowu przyjemności światowe. Wynikiem tego będą myśli o swobodzie, o używaniu ludzi światowych, względnie o ciężarach życia zakonnego. Za tym przyjdzie niepokój i niezdecydowanie, a w tedy niedaleko jest się już od utraty powołania.

Jakie więc są środki przeciwko podobnym wahaniom? Przytoczę je wam za świętym Alfonsem. A mianowicie: nie mówcie o waszych wątpliwościach nikomu, jak tylko waszym przełożonym. W każdej chwili jestem do waszej dyspozycji. Po drugie w chwilach wewnętrzznego zamieszania nie róbcie żadnych postanowień, bo non in commotione Dominus. Za to módlcie się, a módlcie się dużo i pamiętajcie na marność życia i na chwilę śmierci. Wreszcie przystępujcie jak najczęściej do sakramentów świętych. Jezus uspokoi waszą wewnętrzną burzę i rozpogodzi wasze myśli.

Mogą także przyjść pokusy tego rodzaju, że wam się będzie zdawać, iż niezbędni jesteście w domu dla utrzymania waszych rodziców, iż macie obowiązek być dla nich pociechą i ostoją. Ale wtedy pamiętajcie, iż kto kocha więcej ojca i matkę, nie jest godzien Chrystusa. A jeśli chodzi o ich utrzymanie, to bądźcie spokojni, bo Ojciec Niebieski, jeśli myśli o ptakach polnych, tym bardziej myśli o tych, którzy uczynili dla Niego jakieś poświęcenie.

A teraz wspomnę jeszcze o wadach, które najwięcej zagrażają powołaniu i które trzeba w szczególniejszy sposób zwalczać dla jego zachowania, a takimi są niepowściągliwość w jedzeniu i picciu, niechęć do pracy i malkontenctwo, połączone ze szemraniem. Strzeżcie się tych wad, moi drodzy i zwalczajcie je w zarodku; stosując się do tych moich wskazówek będziecie zadowoleni, będziecie się cieszyć prawdziwym pokojem wewnętrznym, działacie dużo dobrego dla was samych i dla waszych bliźnich. A ponieważ, jak widzimy, Pan Bóg błogosławi nam w szczególniejszy sposób, starajmy się być godnymi Jego łaskawości, przyozdabiając nasze serca jak najpiękniejszymi cnotami i czyniąc wszystko na większą chwałę Bożą. Oby zawsze można było powiedzieć, że gdzie znajdzie się syn św. Franciszka Salezego, tam jest światłość, która oświeca całe jego otoczenie. Tam jest żar, który rozgrzewa wszystkich miłością Bożą; tam jest mól mądrości wiecznej, która wszystkiemu nadaje smak i wszystko zachowuje od zepsucia.

Odczytujcie sobie jak najczęściej wstęp do naszych Reguł, gdzie znajdziecie te same rzeczy, które wam tutaj obszerniej przedstawiłem. Stosując się do tych wskazówek, będziecie błogosławieni teraz i błogosławieni na całą wieczność. Będziecie wy błogosławieni, błogosławione będzie Zgromadzenie. Błogosławieni będą ci, co są w Zgromadzeniu, jako też błogosławieni ci, co do niego dopiero przyjdą.

Z okazji świąt Bożego Narodzenia otrzymał Ksiądz Bosko od kardynała Berardi list z życzeniami, w którym tenże między innymi pisał:

„Bardzo mi miło zakomunikować Waszej Przewielebności, iż, jak mnie, tak i Ojcu świętemu, wielką radość sprawiło, gdyśmy się dowiedzieli, ile Ksiądz działa dla dobra naszej świętej religii i Kościoła świętego w Nizzy i Bordigherze. Ojciec św. z całego serca błogosławi nowopowstające tam dzieła, pełen ufności, że Pan Bóg w swym nieskończonym miłosierdziu pozwoli Mu zebrać tam jak najpiękniejsze owoce”.

Boże Narodzenie poprzedzone uroczystą nowenną, wносиło w mury Oratorium jakąś dziwną mistyczną radość, która miała swój punkt kulminacyjny w czasie Pasterki. Kościół wtedy był wspaniale przyozdobiony i oświetlony. Pasterkę odprawiał sam Ksiądz Bosko w asyście księdza Bologne i księdza Cibrario, co wyraźnie zaznaczone zostało w kronice domu; bo też służenie za diakona i subdiakona w czasie tego nabożeństwa Księdzu Bosko uważane było za szczególniejsze wyróżnienie, godne by przeszło do historii Oratorium.

Kościół był przepełniony wiernymi, z których wielu przystąpiło do Komunii świętej. Celebrans komunikował służbę otaczającą ołtarz a inni kapłani wiernych.

Po nabożeństwach chłopcy poszli na tradycyjną „busecca”, /u nas zastępuje ją kakao po Pasterce/, a następnie na spoczynek. O owej „busecca” czytamy w Dizionario moderno, że jest to pokarm: „grave, rozzo a indigesto = ciężki, ordynarny i niestrawny, ale zaraz następuje uwaga, że mediolańczycy są na niego szczególnie łąsi; ubodzy czy bogaci, szlachta czy plebejusze, damy z arystokracji czy proste kobiety. A pokarm ten mimo wszystko jest tradycyjny w tym mieście, gdzie już tyle rzeczy poszło w niepamięć.

Zastosowanie także miał i w Turynie, a Ksiądz Bosko wielki znawca upodobań ludowych, umiał bardzo zręcznie wykorzystać podobne tradycje dla utrzymania dobrego ducha w tym Oratorium.

Przy końcu Pasterki zaszedł incydent, który przez długie lata był wspominany przez naocznych świadków ku ogólnej wesołości. Otóż diakon przy „Ite missa est” zaczął wyczyniać różne własnego konceptu wykrętasy melodyjne na literze i „I” w wyrazie „ite” zupełnie bez sensu. Subdiakon dosadnym pemonckim wyrazem dał mu do zrozumienia, by skończył; służba ołtarza w pierwszej chwili zaskoczona, wnet parsknęła cichym śmiechem: Ksiądz Bosko spokojny z rezygnacją powtarzał do zapamiętałego w swym śpiewie kantora: „Lesio, Don Bologna, lancia. Daj spokój, księżo Bologna”.

Ale ten nie myślał ustępować i wywodził dalej swoje trele ponad wszelkie spodziewanie... Łatwo sobie wyobrazić dowcipy i komentarze po wyjściu z kościoła i dnia następnego. Ksiądz Bosko słuchał ich z uśmiechem, aż w pewnym momencie doszedłszy do słowa, opowiadał, co się jemu przed laty wydarzyło. Pewnego razu wypadło mu śpiewać w kościele, ale nie mógł sobie przypomnieć intonacji. Wtedy zaśpiewał tono peregrino, to znaczy według melodii własnej inwencji. Spodziewał się potem możliwej reprimendy ze strony proboszcza. Ale ten nawet go pochwalił zaznaczając, iż sam nie potrafiłby sobie tak doskonale dać radę. Dał tym otaczającym

go nauczkę, by podśmiejając się z innych, sami najpierw uświadomili sobie, jakby w podobnej sytuacji wybrnęli.

W ostatnim dniu starego roku miał Ksiądz Bosko do wszystkich mieszkańców Oratorium zgromadzonych w jednej sali okolicznościowe słówko wieczorne. Gdy wszedł do auli powitany został frenetycznymi oklaskami i okrzykami: niech żyje. Musicie się uspokoić – zawołał – jeśli chcecie, bym wam coś powiedział? W tej chwili zrobiło się cicho, a on tak mówił dalej:

Zebraliśmy się tutaj wszyscy, aby pożegnać stary odchodzący rok. Za parę godzin zegary wybiją koniec roku 1875 i rok ten nie wróci już więcej. Nastąpią inne lata i jeszcze inne, ale nigdy rok 1875. Zapadnie się w wieczność, a pozostanie po nim zaledwie coraz bardziej mgliste wspomnienie. Ale choć rok ten już do nas nie należy, to przecież zaciążył on na naszych barkach, jako jeden więcej, a równocześnie ubył nam jeden rok życia. Ostatni to raz Ksiądz Bosko do was w tym roku przemawia i być może, iż na przyszły rok, kto inny w tym dniu grudniowym przyjdzie tu przemawiać, a Ksiądz Bosko gdzie będzie? – Ksiądz Bosko – odpowiedzą wam – Ksiądz Bosko już jest we wieczności i więcej go na ziemi nie zobaczymy...

Ale przejdźmy teraz myślą przeżycia ubiegłego roku. Zastanówmy się, jak nam życia ubywa i jak śmierć nieubłagana ze swoim sierpem do nas podchodzi. Cóż nam stanie przed oczyma? Na pierwszy plan wysuną się łaski niezliczone, jakimi obsypywał nas Bóg i Matka Najświętsza: dalej nasze dobre uczynki, cnoty, którymi ozdobiliśmy swoją duszę i tyle innych pięknych rzeczy. Nie powinniśmy jednak przy tym przejść do porządku dziennego i nad tym, co, było mniej piękne, jak nasze grzechy, uchybienia, nieposłuszeństwa, obraza wyrządzona Bogu i Matce Najświętszej. Przypomną nam się jeszcze przyjaciele, towarzysze, którzy rok temu byli tu z nami, a teraz już ich nie ma... już są w wieczności. Tu Ksiądz Bosko wyliczył kilku zmarłych w ciągu kończącego się roku i ciągnął tak dalej: Ci odeszli od nas i nic już o nich nie wiemy: Bóg tylko wie, gdzie się znajdują. Nam jednak wolno mieć nadzieję, że są szczęśliwi, bo umierali budująco przyjąwszy sakramenty święte. A w przyszłym roku? Któż wie, czy kogo z pomiędzy tu obecnych również nie zabraknie? Owszem mogę powiedzieć, iż na pewno za rok nie będziemy już wszyscy przy życiu. Nie mówię, kto: ale na pewno więcej niż jeden. Zresztą nie trzeba być prorokiem, by coś podobnego przewidzieć. Co roku to się przecież powtarza. Czas naszego życia Bogu tylko wiadomy. Wszak nie wiemy, czy doprawdy przeżyjemy choćby tylko te cztery godziny, jakie jeszcze na ten rok pozostają a cóż dopiero cały przyszły rok.

Otóż zdaje mi się, że ci sami znajomi stoją tu między nami i słuchają, co wam mówię, chcieliby nam powiedzieć: „Ależ Księżu Bosko, zeszłego roku tyle pięknych rzeczy mówił Ksiądz do nas, a teraz już mówi o nas. A może by lepiej było, żeby się za nas pomodlił”.

Tak, pomodlimy się o spokój ich dusz, by im dopomóc, jeśliby jeszcze tego potrzebowali:, ale również odmówimy także Ojczy nasz..., Zdrowaś Maryjo...

i Chwała Ojcu... za tych, co w nadchodzącym roku będą mieli przenieść się do wieczności. A jak to wieczność dla nich będzie? Bądźmy zawsze gotowi.

A teraz pogawędziwszy z wami o roku ubiegłym, uważam, że będzie więcej pożyteczną rzeczą, podać parę wskazówek, aby wam przyszedł rok upłynął z błogosławieństwem Bożym. Te wskazówki chcę zamknąć we wiązance noworocznej, która brzmi: Jedna rzecz do zrobienia i dwaj przyjaciele. Praktykujcie je nie przez jeden dzień, ani miesiąc, ale cały rok.

Co dotyczy owych dwu przyjaciół, których chciałbym, abyście serdecznie ukochali, to z jednym z nich stale trzeba przebywać, a do drugiego jak najczęściej chodzić z wizytą. Przyjaciel, który by powinien stale być z wami na każdym miejscu, w każdym czasie, na każdym kroku, to – dobry przykład. Przeróżne są sposoby dawania dobrego przykładu. Będziecie zbudowaniem dla drugich przystępując często, a pobożnie do sakramentów świętych, upominając kolegów nieposłusznych na wezwania Pana Jezusa, czy krnąbrnych wobec przełożonych, nie dając się powodować względem ludzkim, zachowując Reguły, przykładając się pilnie do waszych zajęć, okazując się skromnymi na każdym kroku. Ukochajcie doprawdy tego przyjaciela, a będziecie mogli szczęśliwie spędzić cały ten rok 1876.

A to szczególnie kładę wam na serce, to unikajcie za wszelką cenę zgorzenia, tego nieprzyjaciela dobrego przykładu. Och drodzy synowie, gdybyście zdawali sobie sprawę, jakim złem jest zgorzenie, to byście nawet nie chcieli o nim słuchać. A przecież tak łatwo daje się zgorzenie. Regulamin zlekceważony, rozkaz niewypełniony, czasem wzdrygnięcie ramionami, słowo nie na miejscu czy rozmowa, powodują szkody nieobliczalne. A wy przecież dobrze wiecie jak Chrystus Pan gwałtownie występował przeciw gorszycielom. Ale większa jeszcze szkodę wyrządza ono nam samym, jeśli je popełniamy. Wszak czyni nas winnymi ruiny jednej duszy, ściągą na nas straszne przekleństwo Boże, odbiera nam honor, wtrąca nas do liczby zatraconych opętańców. Wypadało, by dłużej i dosadniej opisać wam tego potwora, jakim jest zgorzenie, ale nie chce przewlekać słówka. To tylko wam powiem z całym naciskiem: Unikajcie zgorzenia, jakiegokolwiek słowa, czynu, rozmowy, czy ruchu przeciwnego cnocie czystości i skromności i w ogóle wszystkiego, co by drugich odciągało od cnoty. Bądźcie pewni błogosławieństwa Bożego strzegąc tej anielskiej cnoty.

Drugi zaś przyjaciel, który wam pomoże szczęśliwie przepędzić rok nadchodzący, a którego często trzeba odwiedzać, kochać go i czcić to jak się domyślacie, Jezus utajony w Najświętszym Sakramencie. Ten powinien być waszym jedynym na zawsze przyjacielem. Z jego to rąk pochodzi wszelkie dobro. A jeśli zsyła krzyżyki, to tylko by wypróbować naszą wiarę, naszą stałość i tym piękniejszą przygotować nam nagrodę. Powiedzcie mi, moi drodzy, czy Chrystus w Eucharystii nie jest prawdziwą pociechą dla umierających? Wszak krewni i przyjaciele umierającego stoją zwykle z dala, bojąc się zarażenia, nie wiedzą, co powiedzieć i najchętniej usuwają się z pokoju chorego. Nie tak Jezus w Eucharystii. Ten z kościołów swoich wychodzi wtedy i nie tylko odwiedza chorego, ale staje się

wiatykiem na drogę wieczności, qui custodist et perducet nos ad vitam aeternam. Jeżeli więc pragniemy, aby On doprawdy, jako przyjaciel przyszedł do nas w godzinie śmierci, przyjmujemy Go godnie, a często w komunii świętej, czcimy Go w sercu swoim, odwiedzamy Go w chwilach wolnych, prosząc Go, by z nami czynił, co mu się podoba. Tak On jest nam życzliwy, że nas zawsze strzegł będzie i nigdy nie opuści.

Rzecz zaś, jaką wam na ten rok zostawiam do przeprowadzenia, jest następująca: ceńcie sobie nasze małe stowarzyszenia, jakie są w domu, a mianowicie Towarzystwo Świętego Alojzego, Najświętszego Sakramentu, Małego Kleru, Świętego Józefa i Niepokalanej Wspomożycielki. Niech sobie każdy obierze to, które więcej odpowiada jego pobożności. Polecam katechetom, nauczycielom, opiekunom tych kółek, by tchnęli w nie nowego ducha. Niech chętnie zapisują zgłaszających się, bo większych zachęt uważam, że do tego nie potrzeba na ogół. Członkowie zaś niech są przykładem dla swych kolegów, światłością dla nich w ciemnościach, niech unikają zgorszenia zwalczając go między kolegami. Szczególniejszych praktyk ani umartwień nie bardzo zalecam, gdyż i w tym mogą kryć się niebezpieczeństwa. Ale zapisywanie się do tych kółek raz jeszcze bardzo wam kładę na serce, bo one są wielce dla was pożyteczne.

Zastosujcie się do tych poleceń, a błogosławieństwo Boże będzie wam towarzyszyć w nadchodzącym roku i Pan Jezus, jako dobry przyjaciel odwiedzi was w godzinie waszej śmierci.

A teraz odmówimy pacierz za naszych zmarłych w ubiegłym roku i pacierz za tych, co umrą w roku przyszłym, a teraz są tu między nami. Na ogół według statystyki na 100 umiera rocznie 3. Nas tu jest przeszło 900, więc miałyby umrzeć z górą dwudziestu. Ale jesteście młodzi, więc procent nie będzie tak wielki, bo i wam się do śmierci nie spieszy. Ale tak jeden na 100, to łatwo będzie i to całkiem wystarczy. Owszem ufam, że i ten procent stale będzie się zmniejszał. Ale wszyscy bądźmy zawsze gotowi i korzystajmy z czasu, jaki nam Bóg w swej dobroci pozostawia. A teraz Villania niech poprowadzi te krótkie modlitwy, o jakich wspomniałem. Mimo tłoku w sali wszyscy, jak mogli uklękli. Po skończonej modlitwie Ksiądz Bosko podniósł się, życzył wszystkim szczęśliwego ukończenia starego roku i początku nowego i dobranoc. Z okrzykiem „Niech żyje Ksiądz Bosko” chłopcy opuścili salę i udali się na spoczynek.

Przez dwanaście lat z rzędu dawał Święty wiązankę na Nowy Rok dla swoich synów. Za każdym razem zwracał uwagę wszystkich na rozrost Dzieła salezjańskiego i krzepnięcie jego zrębów. Trudności i przeszkód nie brakło, ale nawet w burzach towarzyszyło mu zawsze błogosławieństwo Boże.

Pewnego razu w czasie podróży z Genui do Turynu zagadnął go ojciec Feliks Giordano, ze Zgromadzenia Oblatów jak to się dzieje, iż różne instytucje jego rozpoczęte z niczego, rozwijają się tak pomyślnie. Ksiądz Bosko odpowiedział mu tak po swojemu jakby dobrodusznie: „Niech ojciec wie, że w tym nic nie mam udziału. To wszystko Pan Bóg robi. Pan Bóg na przykład chce w swym miłosierdziu przeprowadzić to, czy owo: wtedy o to jak postępuje, by wykazać, że to jego dzieło?

Otóż posługuje się narzędziem najmniej odpowiednim. To jest właśnie nasz wypadek. Zapewniam ojca, który mnie przecież zna od dłuższego czasu, że gdyby Pan Bóg w archidiecezji turyńskiej znalazł księdza bardziej ubogiego, nieudolnego, bardziej ograniczonego, tego, a nie innego, wybrałby do przeprowadzenia spraw, o których mowa: a wtedy Ksiądz Bosko byłby zostawiony na uboczu, aby poszedł za swoim naturalnym powołaniem na kapłana wiejskiego.

Każdy rok otwiera przed Księdzem Bosko nowe wizje, które nie skłaniają go bynajmniej do hamowania swych poczynań, ale zawsze popychają go do nowych przedsięwzięć. Takie jest całe jego życie.

SPIS RZECZY

Słowo wstępne: Do czytelników Salezjanów.....	2
Rozdział I. Z nowym rokiem 1875	4
Rozdział II. Doroczne Konferencje św. Franciszka Salezego	10
Rozdział III. Dzieło Synów Maryi Wspomożycielki	16
Rozdział IV. Pomocnicy Salezjańscy	38
Rozdział V. Pośrednictwo arcybiskupa z Vercelli	48
Rozdział VI. W Rzymie	61
Rozdział VII. Ostateczne przyjęcie misji w Ameryce	79
Rozdział VIII. Konferencje kwietniowe	88
Rozdział IX. Przywileje i dymisorie	100
Rozdział X. Życie w Oratorium	115
Rozdział XI. Jeszcze o życiu w Oratorium	146
Rozdział XII. Interesanci, przyjezdni i goście	172
Rozdział XIII. Coś o życiu innych zakładów	180
Rozdział XIV. Konferencje jesienne	189
Rozdział XV. Córki Najśw. Maryi Wspomożycielki	201
Rozdział XVI. Odjazd misjonarzy	208
Rozdział XVII. Po rozłące z misjonarzami	217
Rozdział XVIII. Z tej i tamtej strony granicy francuskiej	227
Rozdział XIX. Apostolstwo przez pracę	236
Rozdział XX. Z początkiem nowego roku szkolnego	244
Rozdział XXI. Nowe starania o przywileje	251
Rozdział XXII. Ks. Bosko suspendowany od spowiedzi	256
Rozdział XXIII. Wroga prasa o księdzu Bosko	262
Rozdział XXIV. Niektóre wydarzenia niezwykle	267
Rozdział XXV. Koniec roku 1875	270